

Margaret Weis i Tracy Hickman

WOJNA BLIŹNIAKÓW

LEGENDY

TOM II

Przełożyła Dorota Żywno

(War of the Twins)

Ta książka jest dedykowana Wam, którzy bierzecie udział w naszych podróżach po Krynnie.

Dziękujemy Ci, Czytelniku, za wędrowanie tą ścieżką z nami.

Margaret Weis i Tracy Hickman

Podziękowania

Istnieje wiele osób, których zainteresowanie i praca nad książkami oraz modułami do DRAGONLANCE przyczyniły się do obecnego sukcesu tej serii. Głęboko doceniamy ich pomoc i poparcie.

Członkowie zespołu projektowego DRAGONLANCE: Herold Johnson, Laura Hickman, Douglas Niles, Jeff Grubb, Michael Dobson, Michael Breault, Bruce Heard, Roger E. Moore.

Pieśni i wiersze: Michael Williams

Okładka: Larry Elmore

Ilustracje: Yalerie A. Yalusek Projekt: Ruth Hoyer

Mapy: Steve Sullivan

Redakcja: Jean Blashfield Black.

Cenna pomoc i porady: Patrick L. Price, Dezra i Terry Phillips, John „Datamar” Walker, Carolyn Yanderbilt, Bili Larson, Janet i Gary Pack.

Plastycy: Clyde Caldwell, Larry Elmore, Keith Parkinson, Jeff Easley.

I wreszcie chcielibyśmy podziękować tym wszystkim, którzy zechcieli poświęcić swój czas i napisać do nas. Bardzo to doceniamy.

Margaret Weis i Tracy Hickman

Księga pierwsza

Rzeka płynie dalej...

Ciemne wody czasu kłębiły się wokół czarnych szat arcymaga, niosąc go wraz z towarzyszami w przód poprzez lata.

Z nieba padał ognisty deszcz, a na miasto Istar runęła góra, wbijając je głęboko w czeluście ziemi. Wody morza, które ulitowały się na widok tak straszliwych zniszczeń, pomknęły, by wypełnić pustkę. Wielka świątynia, gdzie król-kapłan wciąż czekał, aż bogowie spełnią jego żądania, znikła z powierzchni ziemi. Nawet ci morscy elfowie, którzy zapuścili się w nowo powstałe Krwawe Morze Istar, spoglądali ze zdumieniem na miejsce, gdzie niegdyś stała świątynia. Teraz nie było tam niczego, oprócz głębokiej, czarnej dziury. Morska toń w jej wnętrzu była tak mroczna i zimna, że nawet elfowie, urodzeni, wychowani i żyjący pod wodą, nie ośmielili się do niej podpływać.

Jednakże wielu na Ansalonie zazdrościło mieszkańcom Istar. Ich śmierć była przynajmniej szybka.

Do tych, którzy przeżyli gwałtowne zniszczenia na Ansalonie, śmierć przychodziła powoli, w odrażającej postaci – głodu, zarazy, mordu...

Wojny...

Rozdział I

Ochryply, głuchy krzyk strachu i zgrozy wyrwał Crysanię ze snu. Tak nagły i okropny był ten wrzask i tak głęboki jej sen, że przez chwilę nawet nie potrafiła powiedzieć, co ją obudziło. Zalekniona i zdezorientowana rozglądała się dookoła, próbując zrozumieć, gdzie jest, i starając się odkryć, co tak ją przeraziło, że ledwo mogła złapać oddech.

Leżała na wilgotnej, twardej posadzce. Drżała konwulsyjnie z chłodu, który przeniknął ją do szpiku kości, i dzwoniła zębami z zimna. Wstrzymała oddech, chcąc coś usłyszeć lub zobaczyć, lecz otaczającą ją ciemność była gęsta i nieprzenikniona, a cisza głucha.

Crysania wypuściła powietrze z płuc i chciała znów odetchnąć, lecz mrok zdawał się zapierać jej dech w piersi. Ogarnęła ją panika. Rozpaczliwie starała się nadać formę ciemności, zaludnić ją kształtami i postaciami. Żadna jednakże nie przychodziła jej na myśl. Istniała tylko ciemność, która nie miała żadnych wymiarów. Była wieczna...

Wtedy Crysania ponownie usłyszała wrzask i poznała, że właśnie to ją zbudziło. Choć niemal westchnęła z ulgi na dźwięk głosu innego człowieka, echo strachu, który słyszała w tym krzyku, pobrzmiwało w jej własnej duszy.

Rozpaczliwie i gorączkowo próbując przeniknąć wzrokiem ciemność, starała się pomyśleć, przypomnieć sobie...

Były śpiewające kamienie, ktoś nucił – to Raistlin i trzymał ją w objęciach. Potem miała wrażenie, że weszła do wody i została zniesiona w rwącą, niezmierną ciemność.

Raistlin! Wyciągnąwszy przed siebie drżącą rękę, Crysania wymacała dookoła jedynie wilgotne, zimne kamienie. Wtedy z druzgoczącą siłą napadły ją wspomnienia. Caramon rzucający się na brata z błyszczącym mieczem w dłoni... Jej słowa, gdy rzucała kapłańskie zaklęcie, by chronić maga... Brzęk oręza spadającego na kamienie.

Jednak ten krzyk – to był głos Caramona! A jeśli on...

– Raistlinie! – zawołała bojaźliwie Crysania, wstając z trudem. Jej głos ucichł i zanikł, pochłonięty przez mrok. Było to tak okropne wrażenie, że nie odważyła się odezwać ponownie. Obejmując się ramionami i dygocząc z przenikliwego chłodu, Crysania sięgnęła nieświadomie po medalion Paladine'a, który wisiał na jej szyi. Spłynęło na nią błogosławieństwo boga.

– Światło – szepnęła i ściskając mocno wisior, pomodliła się, aby bóg rozjaśnił ciemność.

Delikatny blask trysnął z medalionu pomiędzy jej palcami i odsunął duszący ją czarny aksamit, tak że mogła odetchnąć. Zdjąwszy łańcuch przez głowę, uniosła wysoko medalion. Poświeciła nim po okolicy, starając się przypomnieć sobie, skąd dobiegł krzyk.

Mignęły jej w oczach potrzaskane, nadpalone meble, pajęczyny, książki rozrzucone po podłodze, półki odpadające od ścian. Wrażenie to było równie przerażające co sama ciemność i zrodził je ten sam mrok. Owe przedmioty miały więcej prawa tam się znajdować niż ona sama.

Wtedy znów rozległ się krzyk.

Z drżącą dłonią Crysania odwróciła się szybko w stronę, z której dochodził dźwięk. Boska poświata rozproszyła ciemność i ukazała dwie postaci w szokująco kontrastowym oświetleniu. Jedna z nich, odziana w czarne szaty, leżała nieruchomo i cicho na zimnej podłodze. Nad bezwładną osobą stał ogromny mężczyzna. Ubrany w poplamioną krwią złotą zbroję i z żelazną obrozą na szyi, wpatrywał się w ciemność z wyciągniętymi rękoma, szeroko otwartymi ustami i twarzą pobielałą z przerażenia.

Medalion wyslizgnął się ze zmartwiałej dłoni Crysanii w chwili, gdy rozpoznała ciało skulone u stóp wojownika.

– Raistlin! – szepnęła.

Dopiero gdy poczuła, jak platynowy łańcuszek prześlizguje się jej między palcami, a otaczający ją bezcenny blask migocze, pomyślała o tym, by złapać spadający wisior.

Pobiegła przed siebie, a świat wirował wraz ze światłem, które szaleńczo tańczyło, zwisając z jej dłoni. Ciemne kształty umykały jej spod stóp, lecz Crysania ich nie widziała. Zdjęta strachem bardziej dławiącym niż ciemność, uklękła przy czarodzieju.

Mag leżał twarzą do ziemi z kapturem naciągniętym na głowę. Crysania łagodnie uniosła mężczyznę i go odwróciła. Zalękniona zsunęła mu kaptur z twarzy i trzymała nad nim jaśniejący medalion. Strach zmroził jej serce.

Skóra maga miała kolor popiołu, wargi były sine, a oczy zamknięte i zapadnięte w głąb oczodołów, co podkreślały sterczące kości policzkowe.

– Coś ty uczynił? – Podniosła głowę i krzyknęła do Caramona z miejsca, gdzie klęczała nad pozornie martwym ciałem maga. – Coś ty uczynił? – Drżącym z gniewu i wściekłości głosem domagała się odpowiedzi.

– Crysania? – szepnął ochryple Caramon.

Blask jej medalionu rzucał dziwne cienie na postać gigantycznego gladiatora. Z wciąż wyciągniętymi rękoma i drżącymi dłońmi, którymi chwycił powietrze, odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził jej głos. – Crysania? – powtórzył ze szlochem. Robiąc krok w jej stronę, potknął się o nogi swego brata i runął na ziemię jak długi. Niemal natychmiast podniósł się na kolana, wsparty na rękach dyszał szybko i rozglądał się szeroko rozwartymi oczyma. Wyciągnął dłoń.

– Crysania? – mówiąc to, rzucił się w stronę, skąd dochodził dźwięk jej głosu. – Twoje światło! Przynieś nam swe światło! Szybko!

– Mam światło, Caramonie! Och, dobry Paladine! – wyszeptała Crysania, przyjrzawszy mu się w słabej poświacie medalionu. – Jesteś ślepy!

Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dygoczące, starające się coś złapać palce. Poczawszy jej dotyk, Caramon znów zaszlochał, tym razem z ulgi. Jego natrętna ręka zacisnęła się na jej dłoni

z miażdżącą siłą i Crysania przygryzła wargi z bólu. Trzymała go jednak mocno jedną ręką, a medalion ścisnęła w drugiej.

Podnosząc się na nogi, pomogła wstać również Caramonowi. Wielki wojownik drżał cały i czepiał się jej w rozpaczliwym przerażeniu, wciąż patrząc wprost przed siebie oszalałymi, ślepyimi oczyma. Crysania wbiła wzrok w ciemność, usilnie starając się znaleźć krzesło, kanapę... cokolwiek.

I wtedy nagle uświadomiła sobie, że również ciemność jej się przygląda.

Pośpiesznie odwróciła wzrok i starannie unikając spoglądania poza zasięg światła jej medalionu, doprowadziła Caramona do jedyne go dużego mebla, jaki zobaczyła.

– Tutaj, usiądź – poleciła. – Oprzyj się o to. Usadziła Caramona na podłodze plecami do bogato zdobionego, drewnianego biurka, które wydało jej się znajome. Widok ten gwałtownie obudził w niej bolesne wspomnienia – gdzieś je już widziała. Była jednakże zbyt zatroskana i zajęta, by się nad tym zbytnio zastanawiać.

– Caramonie? – spytała drżącym głosem. – Czy Raistlin nie... Czy ty go żabi... – Jej głos się załamał.

– Raistlin? – Caramon zwrócił swe niewidzące oczy w stronę, z której dobiegał jej głos. Na jego twarzy odmalował się wyraz niepokoju. Próbował wstać. – Raist! Gdzie...

– Nie. Siadaj! – rozkazała Crysania zdjęta nagłym gniewem i lękiem. Położyła rękę na jego ramieniu i posadziła go pchnięciem.

Caramon zamknął oczy, a na jego twarzy wykwitł krzywy uśmiech. Przez chwilę był bardzo podobny do swego bliźniaczego brata.

– Nie. Ja go nie zabiłem! – rzekł z goryczą. – Jakżebym mógł? Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem, było twoje wołanie do Paladine'a, a potem wszystko zgasło. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa, miecz wypadł mi z ręki. Wtedy...

Crysania jednak go nie słuchała. Podbiegłszy do Raistlina, który leżał kilka metrów od nich, znów przyklękła przy czarodzieju. Trzymając medalion w pobliżu jego twarzy, wsunęła dłoń w głąb czarnego kaptura, by poszukać tętna na szyi. Potem opuściła powieki, odetchnęła z ulgą i wyszeptowała prawie bezgłośnie modlitwę do Paladine'a.

– On żyje! – szepnęła. – W takim razie co mu jest?

– A co mu jest? – spytał Caramon, w którego głosie wciąż dało się słyszeć gorycz i strach. – Ja nie widzę...

Czerwieniąc się i prawie czując się winną, Crysania opisała stan czarodzieja.

Caramon wzruszył ramionami. – Jest wyczerpany rzucaniem czarów – oświadczył beznamiętnym tonem. Pamiętaj też, że od samego początku był słaby, przynajmniej tak mi powiedział. Chory z powodu bliskości bogów czy coś w tym rodzaju. – Zamilkł nagle. – Widywałem go już w takim stanie. Za pierwszym razem, gdy użył smoczej kuli, ledwo się mógł

ruszać. Trzymałem go w ramionach...

Urwał, spoglądając w mrok. Jego twarz była teraz spokojna, spokojna i zawzięta. – Nie możemy nic dla niego zrobić – powiedział. – On musi odpocząć.

Po krótkiej przerwie Caramon spytał cicho: – Pani Crysania, czy możesz mnie uleczyć?

Crysania poczuła, że pali ją twarz. – Obawiam... obawiam się, że nie – odparła wielce zmartwiona. – Zapewne to moje zaklęcie musiało cię oślepić. – Znów w myślach zobaczyła ogromnego wojownika z okrwawionym mieczem w dłoni, zamierzającego zabić swego bliźniaka i ją, gdyby tylko stanęła mu na drodze. – Przykro mi – szepnęła, czując się tak zmęczona i zziębnięta, że nieomal przyprawiło ją to o mdłości. – Byłam zdesperowana i... przerażona. Nie martw się jednak – dodała. – To zaklęcie nie jest trwałe. Po jakimś czasie samo minie.

Caramon westchnął. – Rozumiem – rzekł. – Czy w tej komnacie jest jasno? Powiedziałaś, że masz jakieś światło.

– Tak – odparła. – Mam medalion...

– Rozejrzyj się. Powiedz mi, gdzie jesteśmy. Opisz mi to miejsce.

– Ale Rastlin...

– Jemu nic nie będzie! – warknął Caramon szorstkim i rozkazującym tonem. – Wróć tu do mnie. Rób, co ci każę! Nasze życie, jego także, może od tego zależeć! Powiedz mi, gdzie jesteśmy!

Kiedy Crysania spojrzała w ciemność, poczuła powracający strach. Niechętnie opuściła czarodzieja i wróciła, by się obok Caramona.

– Nie... nie wiem – zająknęła się, znów unosząc do góry swój świecący medalion. – Nie widzę wiele poza blaskiem medalionu. Wydaje mi się jednak, że kiedyś już tu byłam, tylko nie mogę sobie dokładnie tego przypomnieć. Wokół leżą meble, lecz wszystkie są połamane i popalone, jakby wybuchł tu pożar. Jest tu mnóstwo rozrzuconych książek. Jest także wielkie, drewniane biurko, o które właśnie się opierasz. Zdaje się, że jest to jedyny cały mebel. I mam wrażenie, że skądś je znam – dodała cicho, głowiąc się nad tym. – Jest piękne, są na nim wyrzeźbione wszelkiego rodzaju dziwne stworzenia.

Caramon pomacał podłogę jedną ręką. – Dywan oświadczył – przykrywa kamień.

– Tak, posadzka jest pokryta dywanem, a raczej była. Teraz kobierzec jest podarty i wygląda, jakby coś go nadgryzło...

Crysania wydała stłumiony dźwięk, ujrawszy jakiś ciemny kształt, który umknął nagle przed jej światłem.

– Co to? – spytał ostro Caramon.

– Najwyraźniej to, co nadgryzało dywan – odparła Crysania z nerwowym śmiechem. – Szczury. – Starła się kontynuować. – Jest tu też kominek, ale od lat nie używany. Cały zarośnięty pajęczynami. Prawdę mówiąc, tu wszędzie jest pełno pajęczyn...

I w tym momencie odebrało jej mowę. Nagła myśl o pajakach spadających z sufitu i szcurach przemykających obok jej stóp sprawiła, że kobieta wzdrygnęła się i zgarnęła bliżej fałdy swej podartej, białej szaty. Nagi i osmolony kominek uświadomił jej, jak jest jej zimno.

Wyczuwając drzenie jej ciała, Caramon uśmiechnął się ponuro i wyciągnął do niej rękę. Chwyciwszy ją mocno za dłoń, odezwał się głosem, który budził lęk swym opanowaniem. – Pani Crysanio, jeśli musimy stawić czoło tylko szcurom i pająkom, możemy uważać się za szczęściarzy.

Przypomniała sobie straszliwy krzyk przerażenia, który ją zbudził. Ale przecież Caramon był ślepy! Szybko rozejrzała się. – Co tam jest? Musiałeś coś usłyszeć albo wyczuć, a jednak...

– Wyczuć – powtórzył cicho Caramon. – Tak, wyczułem to. Tu coś jest, Crysanio. Jakieś straszne rzeczy. Czuję, że nas obserwują! Czuję ich nienawiść. Gdziekolwiek jesteśmy, jesteśmy dla nich intruzami. Czy ty to również czujesz?

Crysania spojrzała w głąb ciemności. A więc rzeczywiście mrok jej się przyglądał. Teraz, gdy Caramon wspomniał o tym, zaczęła tam wyczuwać jakąś rzecz czy raczej, jak powiedział Caramon, rzeczy!

Im dłużej przyglądała się i skupiała na nich swą uwagę, tym bardziej stawały się rzeczywiste. Chociaż nie widziała ich, wiedziała, że czają się tuż za kręgiem światła rzucanego przez medalion. Jak powiedział Caramon, ich nienawiść była potężna, a co gorsza, czuła, że emanujące z nich zło obmywa ją chłodem. To było jakby... jakby... Crysania wstrzymała oddech.

– Co się stało? – krzyknął Caramon zrywając się.

– Szs – syknęła, ściskając go mocno za rękę. – Nic. Po prostu już wiem, gdzie jesteśmy! – rzekła ściszonego głosem.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko odwrócił ku niej ślepe oczy.

– W Wieży Wielkiej Magii w Palanthas! – szepnęła.

– Tam, gdzie mieszka Raistlin? – Caramon sprawiał wrażenie, że mu ulżyło.

– Tak... nie. – Crysania bezradnie wzruszyła ramionami. – To ten sam pokój, w którym byłam, to jego gabinet, ale nie wygląda tak samo. Wygląda tak, jakby nikt w nim nie mieszkał może przez sto albo i więcej lat i... Caramonie! Właśnie! On powiedział, że zabiera mnie do „miejsca i czasu, gdzie nie ma kapłanów”! To musi być po Katakлизmie i przed wojną. Zanim...

– Zanim on wrócił, by objąć Wieżę w swe posiadanie – dokończył ponuro Caramon. – A to oznacza, pani Crysanio, że na Wieży wciąż ciąży przekleństwo. To oznacza, że jesteśmy w jedynym miejscu na Krynnie, gdzie niepodzielnie rządzi zło. W jedynym miejscu, które wzbudza więcej strachu niż którekolwiek inne na świecie, w jedynym miejscu, do którego nie ośmieli się wejść żaden śmiertelnik, jesteśmy w miejscu strzeżonym przez zagajnik Shoikan i bogowie jedni wiedzą, co jeszcze! On nas do niego sprowadził. Zmaterializowaliśmy się w samym jego sercu!

Nagle Crysania ujrzała blade oblicza, które zjawily się poza zasięgiem światła, jakby wezwane głosem Caramona. Odcięte głowy wpatrujące się w nią oczyma zamkniętymi przez mroczną i straszną śmierć unosiły się w chłodnym powietrzu, otwierając szeroko usta w oczekiwaniu na ciepłą, żywą krew.

– Caramonie, widzę je! – jęknęła Crysania, przywierając do wielkiego mężczyzny. – Widzę ich twarze!

– Ja czułem dotyk ich dłoni – rzekł Caramon. Dygocąc konwulsyjnie i czując, że ona również drży, objął ją ramieniem i przygarnął bliżej do siebie. – Zaatakowały mnie. Ich ręce zmroziły moją skórę. Wtedy właśnie usłyszałaś mój krzyk.

– Czemu jednak nie widziałam ich wcześniej? I co powstrzymuje je od napaści?

– Ty, pani Crysanio – odpowiedział cicho Caramon. Jesteś kapłanką Paladine’a, a te istoty są zrodzone ze zła, stworzone przez przekleństwo i nie mają dość mocy, by uczynić ci krzywdę.

Crysania spojrzała na medalion, który trzymała w dłoniach. Nadal sączył się z niego blask, lecz zdawał się gasnąć w oczach. Z poczuciem winy przypomniała sobie elfiego kapłana, Loralona. Przypomniała sobie, jak odmówiła towarzyszenia mu. Jego słowa wciąż rozbrzmiewały jej w głowie: Przejrzysz na oczy dopiero wtedy, gdy oślepi cię ciemność...

– To prawda, jestem kapłanką – rzekła cicho, starając się ukryć rozpacz w głosie – lecz moja wiara jest... niedoskonała. Te stwory wyczuwają moje wątpliwości, moją słabość. Może kapłan tak silny jak Elistan miałby dość mocy, by z nimi walczyć. Nie sądzę, abym ja ją miała. Blask przygasł jeszcze bardziej. – Moje światło słabnie, Caramonie – powiedziała po chwili. Kiedy podniosła wzrok, spostrzegła, że blade oblicza chciwie podpełnęły bliżej. Przywarła mocno do wojownika. – Co możemy zrobić?

– Co możemy zrobić! Ja nie mam broni! Jestem ślepy! – krzyknął w udręce Caramon, zaciskając przy tym pięść.

– Sza! – rozkazała Crysania, chwytając go mocno za ramię i przyglądając się migotliwym postaciom. – One zdają się rosnać w siłę, kiedy tak mówisz! Być może żywią się strachem. Te w zagajniku Shoikan tak czynią, jak powiedział mi Dalamar.

Caramon wziął głęboki oddech. Jego ciało błyszczało od potu i zaczęły nim wstrząsać gwałtowne dreszcze.

– Musimy spróbować obudzić Raistlina – stwierdziła Crysania.

– Nic z tego! – szepnął Caramon, dzwoniąc zębami. – Ja wiem...

– Musimy spróbować! – rzekła stanowczo Crysania, choć wzdrygnęła się na myśl o przejściu choćby kilku kroków pod uważnym spojrzeniem tych strasznych oczu.

– Bądź ostrożna, idź powoli – radził Caramon, wypuszczając ją.

Trzymając medalion wysoko i wpatrując się w oczy ciemności, Crysania podkradła się do Raistlina. Położyła dłoń na chudym, spowitym czarną tkaniną ramieniu maga. Raistlinie! –

powiedziała najgłośniej, jak tylko się odważyła, i potrząsnęła nim. – Raistlinie!

Nie było odpowiedzi. Równie dobrze mogłaby próbować zbudzić trupa. Kiedy pomyślała o tym, zerknęła na czekające postaci. Czy zabiłyby go?, zastanawiała się. W końcu on nie istniał w tych czasach. „Władca przeszłości i teraźniejszości” jeszcze nie wrócił, by odebrać swą własność – tę wieżę.

A może jednak?

Crysania znów zawołała maga, a czyniąc to, nie spuszczała z oczu żywych trupów, które zbliżały się, w miarę jak jej światło słabło.

– Fistantilusie! – powiedziała do Raistlina.

– Tak! – krzyknął Caramon, kiedy usłyszał ją i zrozumiał. – One rozpoznają to imię. Co się dzieje? Wyczuwam zmianę...

– Zatrzymały się! – powiedziała zadyszana Crysania. Teraz mu się przyglądają.

– Wracaj! – polecił Caramon, podnosząc się do półprzysiadu. – Trzymaj się od niego z dala. I zabierz od niego to światło! Niech zobaczą go takim, jakim jest w ich ciemności!

– Nie! – odparła gniewnie Crysania. – Oszalałeś! Kiedy światło zgaśnie, pożrą go...

– To nasza jedyna szansa!

Rzucając się na oślep na Crysanię, Caramon zaskoczył ją. Pochwycił ją w silne ramiona i odciągnął od Raistlina, rzucając ją na podłogę. Potem sam padł na nią z impetem, który zaparł jej dech w piersi.

– Caramonie! – Nie mogła złapać tchu. – One go zabiją! Nie... – Crysania zmagiała się rozpaczliwie z ogromnym wojownikiem, ale ten przygniatał ją ciężarem swego ciała.

Wciąż ścisnęła medalion w garści, lecz jego blask słabł z każdą chwilą. Wykręciwszy się, ujrzała Raistlina leżącego teraz w mroku poza zasięgiem jej światła.

– Raistlinie! – wrzasnęła. – Nie! Puść mnie, Caramonie! One idą po niego...

Jednakże Caramon trzymał ją mocno i przyciskał do zimnej posadzki. Jego twarz wyrażała udrękę, a zarazem pełna była zaciętości i determinacji. Ślepe oczy patrzyły z góry wprost na nią. Jego ciało było zimne w dotyku, a mięśnie napięte.

Rzuci na niego kolejny czar! Miała już na wargach słowa zaklęcia, gdy przenikliwy wrzask bólu przeszył mrok.

– Paladine, pomóż mi! – modliła się Crysania... Nic się jednak nie stało.

Jeszcze raz spróbowała wyrwać się Caramonowi, lecz nie miała szans i wiedziała o tym. A teraz najwyraźniej nawet bóg ją opuścił. Krzycząc z frustracji i przeklinając Caramona, mogła się tylko przyglądać.

Blade, migotliwe postaci otaczały teraz Raistlina. Widziała go jedynie w blasku ohydnej poświaty, jaką siały ich rozkładające się ciała. Bolało ją gardło, a z jej warg wydarł się zdławiony jęk, gdy ujrzała, jak jedna z upiornych istot unosi zimne ręce i kładzie je na ciele maga.

Raistlin zawył. Spazmy meczami wstrząsały jego ciałem okutanym w czarne szaty.

Caramon również usłyszał krzyk swego brata. Crysania zauważyła to na trupiobladej twarzy wojownika. – Pozwól mi wstać! – błagała. On jednakże potrząsnął zdecydowanie głową i trzymał ją mocno za ręce, choć pot perlił mu się na czole.

Raistlin znów wrzasnął. Caramon wzdrygnął się i Crysania poczuła, jak mięśnie mu wiotczeją. Wypuściwszy medalion, uwolniła ręce, by uderzyć go zaciśniętymi pięściami. Jednakże kiedy to uczyniła, światło zgasło, pogrążając ich oboje w całkowitej ciemności. Nagle coś ściągnęło z niej ciało Caramona. Jego ochrypty, pełen cierpienia krzyk zmieszał się z wrzaskami brata.

Oszołomiona Crysania, czując, jak jej serce łomocze z przerażenia, podniosła się z trudem, szukając rozpaczliwie po omacku medalionu, który powinien leżeć gdzieś na podłodze.

Jakaś twarz pojawiła się tuż przy jej licach. Szybko oderwała się od poszukiwań i podniosła wzrok, sądząc, że to Caramon...

To nie był on. Obok niej unosiła się w powietrzu głowa bez ciała.

– Nie! – szepnęła, nie mogąc się poruszyć i czując, jak martwieją jej po kolei dłonie, ciało, serce. Trupie ręce zacisnęły się na jej ramionach i ciągnęły bliżej; a sine wargi rozwarły się, chciwie wyczekując ciepła.

– Paladi... – Crysania chciała się pomodlić, lecz poczuła, jak zabójczy dotyk owej istoty wysysa z niej duszę.

Wtedy usłyszała słaby i odległy głos nucący magiczne słowa. Wokół niej wybuchła jasność. Głowa znajdująca się tak blisko jej własnej znikła z przeraźliwym wyciem, a kościste dłonie wypuściły ją z uścisku. W powietrzu rozszedł się gryzący zapach siarki.

– Shirak. – Oślepiające światło zgasło. Pomieszczenie rozjaśniała delikatna poświata.

Crysania podniosła się do pozycji siedzącej. – Raistlin! – szepnęła z wdzięcznością. Chwiejnie stanęła na czworakach i przeczołgała się po poczerniałej, spalonej podłodze do czarodzieja, który leżał na plecach, ciężko dysząc. Jedną dłoń spoczywała na lasce Magiusa. Światło promieniowało z kryształowej kuli umocowanej w łapie złotego smoka na główce laski.

– Raistlinie! Nic ci nie jest?

Klęknęła przy nim i spojrzała na jego chudą, bladą twarz w chwili, gdy otworzył oczy. Pokiwał głową ze znużeniem. Potem, wyciągnąwszy ramiona, przygarnął ją do siebie. Tulił ją i głaskał po miękkich, czarnych włosach. Czowała, jak mu wali serce. Dziwny żar jego ciała przegnał chłód.

– Nie bój się! – szepnął uspokajająco czarodziej, czując jej drżenie. – One nie skrzywdzą nas. Zobaczyły mnie i rozpoznały. Nie zrobiły ci krzywdy?

Nie była w stanie nic powiedzieć, więc potrząsnęła głową. On z kolei westchnął. Crysania leżała w jego objęciach z zamkniętymi oczyma, czując, jak wstępuje w nią otucha.

Gdy jego dłoń znów dotknęła jej włosów, wyczuła napięcie mięśni jego ciała. Po chwili niemal gniewnie chwycił ją za ramiona i odepchnął od siebie.

– Mów, co tu się stało – rozkazał słabym głosem.

– Ocknęłam się tutaj... – Crysania zająknęła się. Groza przeżyć i wspomnienie ciepłego dotyku Raistlina zbiło ją z tropu i odebrało odwagę. Widząc jednak chłód i niecierpliwość w jego oczach, zmusiła się do kontynuowania rozmowy śmiałym głosem. – Ustyszałam krzyk Caramona...

Raistlin otworzył szeroko oczy. – Mój brat? – rzekł zaskoczony. – Więc zakłęcie sprowadziło również jego. Dziwię się, że jeszcze żyję. Gdzie on jest? – Unosząc z wysiłkiem głowę, ujrzał swego brata leżącego bez przytomności na podłodze. – Co mu się stało?

– Ja... rzuciłam na niego czar. Jest ślepy – rzekła Crysania, czerwieniąc się. – Nie chciałam, to stało się wtedy, gdy próbował za-zabić cię... w Istar, tuż przed Katakлизmem...

– Oślepiłaś go! Paladine... oślepiłaś go! – Raistlin wybuchnął śmiechem. Dźwięk odbił się echem od zimnych kamieni i Crysania skuliła się, czując zimny dreszcz zgrozy. Śmiech jednak ugrzązał Raistlinowi w gardle. Mag zaczął się dławić i krztusić, rżąc przy tym.

Crysania przyglądała mu się bezradnie, aż spazm minął i Raistlin znów leżał spokojnie. – Mów dalej – szepnął poirytowany.

– Ustyszałam jego krzyk, lecz nic nie widziałam po ciemku. Medalion jednak dostarczył mi światła, znalazłam go i... wiedziałam już, że jest niewidomy. Znalazłam też ciebie. Byłeś nieprzytomny. Nie mogliśmy cię dobudzić. Caramon kazał mi opisać, gdzie się znajdujemy, i wtedy zobaczyłam – wzdrygnęła się – zobaczyłam te... te straszne...

– Kontynuuj – powiedział Raistlin.

Crysania zaczerpnęła głęboko tchu. – Wtedy blask medalionu zaczął przygasać... Raistlin pokiwał głową.

– ...i te... te rzeczy zbliżyły się do nas. Zawołałam cię imieniem Fistantilusa. Na ten dźwięk zawahały się. Potem – w głosie Crysanii nie było już słycać strachu, za to zaczął pobrzmiwać w nim gniew – twój brat złapał mnie i rzucił na posadzkę, wykrzykując coś jakby: „Niech zobaczą go takim, jaki jest w ich własnej ciemności!” Kiedy światło Paladine’a już cię nie dotykało, te stwory... Umilkła. Wzdrygnęła się i zasłoniła twarz dłońmi, wciąż słysząc okropny krzyk Raistlina dźwięczący echem w jej pamięci.

– Mój brat to powiedział? – spytał cicho Raistlin po chwili.

Crysania odsunęła dłonie, by mu się przyjrzeć, wprawiona w zdumienie jego tonem wyrażającym podziw i zdziwienie. – Tak – rzekła chłodno. – Czemu pytasz?

– Ocalił nam życie – oświadczył Raistlin tym swoim zgryźliwym tonem. – Ten gigantyczny bałwan miał rzeczywiście dobry pomysł. Może nie powinnaś przywracać mu wzroku. Pomaga mu to w myśleniu.

Raistlin próbował się roześmiać, lecz śmiech zmienił się w połowie w kaszel, który niemal go zadławił. Crysania rzuciła mu się z pomocą, lecz zatrzymał ją wściekłym spojrzeniem, mimo iż skręcał się z bólu. Przetoczywszy się na bok, zwymiotował.

Był wycieńczony, przewrócił się z powrotem na plecy z wargami splamionymi krwią i drżącymi rękoma. Oddychał płytko i zbyt szybko. Co jakiś czas jego ciałem wstrząsał spazmatyczny atak kaszlu.

Crysania przyglądała mu się bezradnie.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że bogowie nie mogą uleczyć tej choroby. Ty jednak konasz, Raistlinie! Czy niczego nie mogę zrobić? – spytała cicho, nie ośmielając się go dotknąć.

Pokiwał głową. Przez minutę nie był w stanie ani mówić, ani się poruszać. Wreszcie z wyraźnym wysiłkiem uniósł drżącą rękę znad zimnej posadzki i tym gestem wezwał Crysanię. Nachyliła się nad nim. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, przyciągając blisko jej twarz do swojej. Czują na skórze jego ciepły oddech.

– Wody! – szepnął bezdźwięcznie. Zrozumiała go tylko dzięki czytaniu z jego pokrytych zakrzepłą krwią ust.

– Napój... pomoże mi... – Osłabioną dłonią wskazał na kieszeń w swych szatach. – I... i ciepło, ogień! Nie mam... siły...

Crysania pokiwała głową na znak zrozumienia.

– A Caramon? – wyszeptał bezgłośnie.

– Te... te istoty go napadły – powiedziała, spoglądając na nieruchome ciało ogromnego wojownika. – Nie jestem pewna, czy jeszcze żyje...

– Jest nam potrzebny! Musisz... go... uzdrowić! Nie mógł mówić dalej, leżał więc z zamkniętymi oczami, chwytając z trudem powietrze.

Crysania drżąc, przełknęła ślinę. – Czy... czy jesteś pewien? – zapytała z wahaniem. – Próbował cię zabić...

Raistlin uśmiechnął się, po czym potrząsnął głową. Czarny kaptur zaszeleścił cicho przy tym ruchu. Otworzywszy oczy, spojrzał na Crysanię, a ona przeniknęła wzrokiem w ich brązową głębię. Płomień, który tlił się w magu, nadał jego oczom delikatne ciepło, tak różne od rozszalałego ognia, jaki widziała wcześniej.

– Crysanio... – wyszeptał – tracę... przytomność... Zostaniesz... sama... w tym ciemnym miejscu... Mój brat... może... pomóc... Ciepło... – Zamknął oczy i ścisnął jeszcze mocniej dłoń Crysanii, jakby zamierzał wykorzystać jej siłę życiową do utrzymywania kontaktu z rzeczywistością. Z wielkim wysiłkiem podniósł znów powieki, by spojrzeć jej prosto w oczy. – Nie opuszczaj tego pokoju! – szepnął, po czym oczy uciekły mu w głąb głowy.

Zostaniesz sama! Crysania rozejrzała się bojaźliwie czując, jak ogarnia ją strach. Woda! Ciepło! Jak ma sobie poradzić? Nie potrafi! Nie w tej komnacie pełnej zła!

– Raistlinie! – błagała, ściskając jego wątłą dłoń w obu rękach i przyciskając do niej policzek. – Raistlinie, proszę, nie opuszczaj mnie! – szepnęła, drżąc od zetknięcia z jego chłodnym ciałem. – Nie mogę zrobić tego, o co prosisz! Nie mam takiej mocy! Nie potrafię stworzyć wody z pyłu...

Raistlin otworzył oczy. Były prawie tak ciemne jak pokój, w którym spoczywał. Poruszając tą dłonią, którą trzymała, nakreślił linię wiodącą od jej oczu przez policzek. Potem dłoń zwiła bezwładnie, a głowa opadła mu na bok.

Zdezorientowana Crysania podniosła rękę do twarzy, zastanawiając się, co chciał wyrazić tym dziwnym gestem. Nie była to pieśczoła. Starł się jej coś powiedzieć – tyle można było bez trudu wyczytać z jego natarczywego spojrzenia. Ale co? Twarz ją paliła od jego dotyku... przypominając o czymś...

I wtedy już wiedziała.

Nie potrafią stworzyć wody z pyłu...

– Moje łzy! – szepnęła.

Rozdział II

Siedząc samotnie w wyziębionej komnacie, klęcząc przy nieruchomym ciele Raistlina i widząc leżącego obok bladego jak trup Caramona, Crysania nagle pozazdrościła im obu. Jak łatwo byłoby, pomyślała, pogрузić się w nieświadomości i pozwolić pochłonać się mrokowi! Zło czające się w tej komnacie – które pozornie uciekło na dźwięk głosu Raistlina – powracało. Czują je na karku niczym zimny powiew. Z głębi mroku wpatrywały się w nią oczy, które najwyraźniej odpędzało jedynie światło wciąż jarzącej się laski Magiusa. Nawet nieprzytomny, Raistlin nie wypuszczał jej z dłoni.

Crysania położyła łagodnie na piersi arcymaga jego drugą dłoń, tę, którą wciąż ścisnęła. Potem wyprostowała się i zacisnęła wargi, przetykając łzy.

– On polega na mnie – powiedziała to po to, by odpędzić szept, które słyszała wokół siebie. – W swej słabości polega na mej sile. Przez całe życie – ciągnęła, ocierając łzy z oczu i patrząc, jak w świetle laski woda błyszczy na jej palcach – byłam dumna ze swej siły. Niemniej jednak do tej pory nie wiedziałam, co znaczy prawdziwa siła.

– Jej wzrok padł na Raistlina. – Teraz widzę ją w nim! Nie zawiodę go!

– Ciepło – powiedziała po chwili, trzęsąc się tak, że ledwo mogła ustać na nogach. – On potrzebuje ciepła. Wszyscy potrzebujemy. – Westchnęła bezradnie. – Jak jednak mam to zrobić? Gdybyśmy byli w zamku na Lodowej Ścianie, same moje modły wystarczyłyby, by nas ogrzać. Paladine przyszedłby nam z pomocą. Ten jednakże chłód nie jest zimnem lodu ani śniegu. On sięga głębiej, przenika raczej w głąb duszy niżli do szpiku kości. Tu, w tej siedzibie zła, moja wiara może zdoła utrzymać mnie przy życiu i nigdy nas nie ogrzeje!

Kiedy Crysania pomyślała o tym i rozejrzała się po pokoju, który słabo było widać w poświacie laski, zauważyła niewyraźny zarys podartych zasłon wiszących w oknach. Zrobione były z ciężkiego aksamitu i dość duże, by przykryć ich wszystkich. Poczwała, jak wraca jej nadzieja, ale niemal natychmiast ją opuściła, gdy zdała sobie sprawę, że są daleko, po drugiej stronie pokoju. Ledwo widoczne w drgającej ciemności okna znajdowały się poza kręgiem jaskrawego blasku laski.

– Będę musiała tam podejść – powiedziała do siebie.

– Po ciemku! – Serce jej niemal stanęło i siły ją opuściły. – Poproszę Paladine'a o pomoc. – Kiedy jednak to rzekła, jej wzrok padł na zimny i ciemny medalion leżący na posadzce.

Kiedy schyliła się, by go podnieść, zawahała się przez moment. Obawiała się go dotknąć. Przypomniała sobie z żalem, jak jego jasność zgasła wraz z nadejściem zła.

Znów pomyślała o Loralonie, wielkim kapłanie elfów, który przyszedł zabrać ją tuż przed Kataklizmem. Odmówiła mu wtedy, postanawiając zaryzykować życie, by wysłuchać słów króla-kapłana – słów, które ściągnęły gniew bogów. Czy Paladine się gniewa? Czy porzucił ją

w gniewie, tak jak wielu wierzyło, iż opuścił cały Krynn po straszliwym zniszczeniu Istar? Czy po prostu jego boska pomoc nie była już w stanie przeniknąć lodowatych warstw zła, jakie spowijało tę przeklętą Wieżę Wielkiej Magii?

Speszona i wystraszona Crysania podniosła medalion. Nie świecił się. Nic nie czynił. Metal był zimny w dotyku. Stojąc pośrodku pokoju z wisiosem w ręku i dzwoniąc zębami, zmusiła się do ruszenia w stronę okna.

– Jeśli tego nie zrobię – szepnęła zdrętwiałymi wargami – umrę z zimna. Wszyscy umrzemy – dodała, oglądając się na braci. Raistlin miał na sobie swą czarną, aksamitną szatę, ale pamiętała, jak lodowato zimna była w dotyku jego dłoń. Caramon wciąż był ubrany jak na walke gladiatorów. Nie miał nic więcej prócz złotego pancerza i przepaski biodrowej.

Unosząc podbródek, Crysania posłała dumne, wyzywające spojrzenie niewidzialnym, szepczącym stworom, które czaiły się dookoła, po czym zdecydowanie opuściła krąg magicznej poświaty rzucanej przez łaskę Raistlina.

Niemal natychmiast ciemność ożyła! Szepty stały się głośniejsze i Crysania ze zgrozą uświadomiła sobie, że rozumie słowa!

*Jak głośny jest zew twego serca, najdroższa,
Jak bliska twej piersi jest ciemności toń,
Jak wzburzone są rzeki, najdroższa,
Płynące przez twą konającą dłoń.*

*O, najdroższa, jakież ciepło skrywa twa wątła skora,
Czyste niczym sól, słodkie jak śmierć we mchu,
A w ciemności rdzawego księżyca chmura
Mknie przez fosforescencję twego tchu.*

Zimne palce musnęły jej skórę. Crysania drgnęła z przerażenia i odskoczyła do tyłu, ale niczego nie dostrzegła! Niemal zemdlona ze strachu i zgrozy wywołanej upiorną pieśnią miłosną umarłych, nie mogła się ruszyć przez dłuższą chwilę.

– Nie! – rzekła z gniewem. – Pójdę dalej! Te złe istoty nie powstrzymają mnie! Jestem kapłanką Paladine’a! Nawet jeśli mój bóg mnie opuścił, ja nie porzucę swej wiary!

Unosząc głowę, Crysania wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała rozsunąć ciemność niczym zasłonę. Następnie ponownie ruszyła w stronę okna. Syk szmerów rozbrzmiewał wokół niej i słyszała niesamowity śmiech, lecz nic jej nie uczyniło krzywdy, nic jej nawet nie dotknęło. Wreszcie po zdającej się ciągnąć kilometrami podróży, dotarła do okien.

Uczepiła się zasłon, dygocząc i czując, jak nogi się pod nią uginają. Odsunęła kotary

i wyjrzała przez okno, łudząc się nadzieją, że ujrzy światła Palanthas, które dodałyby jej otuchy. Tam są inne żywe istoty, rzekła do siebie, przyciskając twarz do szyby. Zobaczą światła...

Jednak przepowiednia jeszcze się nie spełniła. Raistlin – jako władca przeszłości i teraźniejszości – nie wrócił w potęgde, by zająć Wieżę, jak stanie się to w przyszłości. Tak więc Wieża spowita była nieprzeniknioną ciemnością, jakby otaczała ją wieczna, czarna mgła. Jeśli światła pięknego miasta Palanthas płonęły, nie mogła ich zobaczyć.

Westchnąwszy posepnie, Crysania chwyciła tkaninę i szarpnęła. Zetlały materiał rozdarł się prawie natychmiast, niemal grzebiąc ją pod zwałami aksamitnego brokatu, kiedy spadła na nią zasłona. Z ulgą zarzuciła sobie ciężką tkaninę na ramiona niczym pelerynę i skuliła się z wdzięcznością w jej ciepłe.

Niezdarnie zerwała następną kotarę i zaciągnęła ją na drugi koniec ciemnej komnaty, słysząc, jak zgrzytają po posadzce zgarnięte przez nią fragmenty połamanych mebli.

Z laski biło magiczne światło, które prowadziło Crysanię w ciemności. Kiedy wreszcie dotarła do niej, padła na podłogę, drżąc z wycieńczenia i odreagowując przerażenie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Nie spała od wielu nocy, od chwili, gdy w Istar zaczęły się burze. Teraz, gdy ogrzała się trochę, myśl o otuleniu się w zasłone i zapadnięciu w niebyt kuszyła ją nieodparcie.

– Przestań! – rozkazała sobie. Zmusiła się do wstania, przyciągnęła kotarę do Caramona i uklękła obok niego. Nakryła go ciężkim materiałem, narzucając mu go na szerokie barki. Wciąż ledwo oddychał, jego klatka piersiowa prawie się nie poruszała. Przyłożyła zimną dłoń do jego szyi i poszukała tętna. Było słabe i nieregularne. Wtedy spostrzegła ślady na jego karku, śmiertelnie białe ślady – jakby trupich warg.

Crysania przypomniała sobie latającą głowę bez ciała. Wzdrygnęła się, przepędziła ten obraz z myśli i owinięta w zasłone przyłożyła dłonie do czoła Caramona.

– Paladine – modliła się cicho – jeśli nie odwróciłeś się od swej kapłanki w gniewie, jeśli tylko spróbujesz zrozumieć, że to, co robi, robi dla twej chwały, jeśli możesz rozwiązać ten straszliwy mrok na dość długo, by wysłuchać tej jednej modlitwy, ulecz tego mężczyznę! Jeśli jego przeznaczenie jeszcze się nie dopełniło, jeśli jeszcze musi czegoś dokonać, przywróć mu zdrowie. Jeśli nie, weź łagodnie jego duszę w swe objęcia, Paladine, aby żył wiecznie...

Crysania nie mogła ciągnąć dalej. Opadła z sił. Znużona, wyczerpana przerażeniem i wewnętrznymi zmaganiem, zagubiona i samotna w tej nie kończącej się ciemności, wsunęła głowę w dłonie i zaniosła się gorzkim płaczem kogoś, kto nie widzi już nadziei.

Wtedy poczuła, że ktoś dotyka jej dłoni. Drgnęła z przerażenia, lecz ta ręka była ciepła i mocna. – Już dobrze, Tiko – rzekł głęboki, zaspany głos. – Wszystko będzie dobrze. Nie płacz.

Unosząc zapłakaną twarz, Crysania zobaczyła, jak pierś Caramona unosi się i opada w rytm głębokich oddechów. Upiorna bladość jego lica ustąpiła, a białe znaki na szyi nie były już tak

widoczne. Poklepując ją pocieszająco po dłoni, uśmiechnął się.

– To tylko zły sen, Tiko – wymamrotał. – Do rana... wszystko zniknie...

Podciągając sobie zasłonę pod brodę i kuląc się w jej ciepłe, Caramon ziewnął szeroko, przewrócił się na bok i zapadł w głęboki, smaczny sen.

Zbyt zmęczona i odrętwiała, by wznieść dzięki, Crysania przez chwilę siedziała i przyglądała się zmorzonemu snem wielkiemu mężczyźnie. Wtedy jakiś dźwięk przyciągnął jej uwagę – odgłos kapiącej wody! Odwróciła się i zobaczyła dopiero teraz – szklaną karafkę znajdującą się na krawędzi biurka. Leżała na boku, a otwór stłuczonej długiej szyjki wystawał poza krawędź mebla. Naczynie było puste, zapewne od dawna, zawartość wylała się jakieś sto lat temu. Teraz jednakże skrzyło się przejrzystą cieczą, która delikatnie spływała na posadzkę, kropla po kropli, a każda kropelka migotała w blasku laski.

Crysania wyciągnęła rękę, schwytała kilka kropeł płynu w dłoń, a potem z wahaniem uniosła go do warg. – Woda! – wyszeptała.

W smaku była lekko gorzka, niemal słonawa, ale jej zdawała się najcudowniejszą wodą, jaką kiedykolwiek piła. Zmusiwszy swe obolałe ciało do ruchu, nalała więcej wody na dłoń i piła chciwie. Kiedy postawiła karafkę prosto na biurku, zobaczyła, że poziom wody podniósł się i odtworzył tę ilość, którą wypila.

Teraz mogła wznieść dzięki do Paladine'a słowami, które wypływały z samego serca, z takiej głębi, że nie umiała ich wymówić. Lęk przed ciemnością i jej istotami zniknął. Bóg jej nie opuścił, wciąż był przy niej, choć – być może go rozczarowała.

Wyzbywszy się obaw, spojrzała ostatni raz na Caramona. Kiedy zobaczyła, że śpi spokojnie, a bruzdy cierpienia na jego twarzy wygładziły się, odwróciła się i podeszła do jego brata, który kulił się w swych szatach z wargami sinymi z zimna.

Kładąc się obok maga ze świadomością, że ciepło ich ciał ogrzeje ich oboje, Crysania przykryła siebie i Raistlina kotarą, położyła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy, pozwalając ciemności, by ją otuliła.

Rozdział III

– *Mówiła do niego „Raistlin”!*

– *Ale potem „Fistandantilus”!*

– *Skąd możemy być pewni? Nie tak miało być! Nie przybył przez zagajnik, jak głosi przepowiednia. Nie przybył w potędze! A tamci? Miał przybyć sam!*

– *Poczuj tylko jego magię! Ja nie ośmielę się mu sprzeciwić...*

– *Nawet dla tak cennej nagrody?*

– *Zapach krwi doprowadził cię do szaleństwa! Jeśli to on, a odkryje, że pożywiłeś się jego wybranymi, odeśle cię z powrotem do nie kończącej się ciemności, gdzie wiecznie będziesz śnić o ciepłej krwi i nigdy jej nie zakosztujesz!*

– *A jeśli to nie on i zaniedbamy swe obowiązki strażników, wtedy Ona przyjdzie w gniewie i sprawi, że tamten los będzie się wydawał przyjemny!*

Cisza. Chwilę później: – Istnieje sposób, by się upewnić...

– *To niebezpieczne. Jest słaby, możemy go zabić.*

– *Musimy wiedzieć! Lepiej, żeby umarł, niżbyśmy mieli nie wykonać swych obowiązków wobec Jej Mrocznego Majestatu.*

– *Tak... Jego śmierć da się wyjaśnić. Jego życie... być może nie.*

Zimny, dotkliwy ból przeniknął warstwy nieświadomości niczym odłamki lodu wbijające się w jego mózg. Raistlin wrywał im się, walcząc przez mgłę choroby i wyczerpania, by wrócić choć na krótką chwilę do przytomności. Kiedy otworzył oczy, niemal zadusił go strach, ujrzał bowiem dwie widmowe głowy unoszące się w powietrzu nad nim i przyglądające mu się oczyma pełnymi niezmiernie ciemności. Ich dłonie spoczywały na jego piersi – to właśnie te lodowate palce rozszarpały jego duszę.

Spojrząwszy w te oczy, mag już wiedział, czego szukały, i ogarnęło go nagłe przerażenie. – Nie – wyszeptał bezdźwięcznie – nie przeżyję tego raz jeszcze!

– *Przeżyjesz. Musimy wiedzieć! – Tylko tyle powiedziały.*

To wprawiło Raistlina w gniew. Zmełł w ustach gorzkie przekleństwo i spróbował unieść ręce znad podłogi, by rozerwać ten morderczy uścisk widmowych dłoni. Nic jednak nie wskórał. Mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa i tylko jeden palec drgnął, nic więcej.

Mag zawył z wściekłości, męki i głębokiej frustracji, ale nikt nie usłyszał tego dźwięku – nawet on sam. Uścisk dłoni zacieśnił się jeszcze bardziej, czarodziej poczuł kłujący ból i zapadł się – nie w mrok – lecz we wspomnienia.

W sali nauczania, gdzie pracowało tego poranka siedmiu uczniów czarodzieja, nie było okien. Nie wpuszczano tam słońca, ani też światła dwóch księżyców – srebrnego i czerwonego.

Co do trzeciego księżycyca, tego czarnego, jego obecność dawało się wyczuć tu tak samo jak na reszcie Krynnu, choć nie był widoczny.

Pokój oświetlały grube, woskowe świece umieszczone w srebrnych lichtarzach na stołach. W ten sposób światło można było bez trudu przenosić w zależności od potrzeb uczniów, którzy zajmowali się swymi studiami.

Był to jedyny oświetlony świecami pokój w wielkim zamku Fistandantilusa. We wszystkich pozostałych unosiły się w powietrzu szklane kule, na które rzucono zaklęcie stałego światła. Z nich promieniowała magiczna jasność rozpraszająca ponury mrok, który stale zalegał w tej fortecy ciemności. Kul jednakże nie używano w sali nauczania z jednego bardzo istotnego powodu – gdyby wniesiono je tam, ich światło natychmiast by zgasło – w komnacie bowiem stale działał czar rozpraszania magii. Stąd zrodziła się potrzeba używania świec i odgradzania się od wszelkich wpływów słońca czy dwóch rozsiewających blask księżyców.

Sześciu uczniów siedziało blisko siebie przy jednym stole. Niektórzy rozmawiali ze sobą, kilku uczyło się po cichu. Siódmy siedział na uboczu, przy stole po drugiej stronie komnaty. Od czasu do czasu któryś z tych sześciu podnosił głowę i z lękiem spoglądał na siedzącego osobno, a potem szybko ją spuszczał, bez względu bowiem na to, kto patrzył i o jakiej porze, zawsze wydawało im się, że ten siódmy im się przypatruje.

Siódmego ucznia bawiło to i nawet pozwolił sobie na gorzki uśmiech. Raistlin nie znalazł wielu powodów do uśmiechu w ciągu tych miesięcy, jakie spędził w zamczysku Fistandantilusa. Nie był to dla niego łatwy okres. Jednak z łatwością przyszło mu podtrzymywać złudzenia co do swej osoby, a robił to po to, by Fistandantilus nie odkrył jego prawdziwej tożsamości i nie domyślił się jego prawdziwej mocy. Udawał więc, że jest po prostu jednym z grupy tych głupców, którzy starają się zaskarbić sobie względy wielkiego czarodzieja i w ten sposób chciał zostać jego uczniem.

Podstępność była duszą Raistlina. Nawet sprawiały mu przyjemność te toczone z innymi uczniami gierki o pierwszeństwo. Zawsze wykonywał wszystko odrobinę lepiej, zawsze działał im na nerwy i zbijał z pantafyku. Sprawiało mu przyjemność również granie w to samo z Fistandantilusem. Wyczuwał, że arcymag go obserwuje. Wiedział, o czym myśli wielki czarodziej: Kim jest ten uczeń? Skąd on bierze tę moc, której żar wyczuwał w młodym człowieku, choć nie potrafił zdefiniować?

Czasami Raistlin odnosił wrażenie, że czuje, jak Fistandantilus przygląda się jego twarzy, jakby wydawała mu się znajoma...

Nie, Raistlinowi ta gra sprawiała przyjemność. Jednak absolutnie nie spodziewał się, że napotka coś, co nie sprawi mu przyjemności. A było to nieproszone przypomnienie mu najmniej szczęśliwego okresu w jego życiu – szkolnych dni.

Chytrus – takie przezwisko nosił wśród uczniów w szkole swego starego mistrza. Nie

lubiany, nie darzony zaufaniem, budzący lęk nawet w swym własnym nauczycielu, Raistlin spędził w samotności gorzkie lata młodości. Jediną osobą, która kiedykolwiek troszczyła się o niego, był jego bliźniaczy brat, Caramon, którego miłość była tak protekcyjna i dławiąca, że Raistlinowi często łatwiej było godzić się z nienawiścią kolegów z ławy szkolnej niż z miłością brata.

A teraz, choć gardził tymi idiotami pragnącymi przypodobać się mistrzowi, który ostatecznie zamorduje swego wybranka, choć cieszyło Raistlina wodzenie ich za nos i dokuczanie im, czasami jednak kłuło go coś w sercu w samotności nocy, gdy słyszał, jak siedzą razem i śmieją się...

Gniewając się, przypominał sobie, że wszystko to jest niegodne jego uwagi. Miał do osiągnięcia wyższy cel. Musiał skupić się, oszczędzać siły, dzisiaj bowiem jest ten dzień, dzień, kiedy Fistantilus wybierze sobie ucznia.

Sześciu was wyjdzie, pomyślał sobie Raistlin. Wyjdziecie, nienawidząc mnie i gardząc mną, i żaden nie dowie się, że któryś z was zawdzięcza mi życie!

Drzwi do sali nauczania otworzyły się ze skrzypieniem, od którego sześć ubranych na czarno postaci przy stole podskoczyło ze strachu. Raistlin, który przyglądał im się z krzywym uśmiechem, spostrzegł odbicie tego drwiącego uśmiechu na pomarszczonej, szarej twarzy mężczyzny stojącego w progu.

Przenikliwe spojrzenie maga przesunęło się po kolei po każdym z sześciu uczniów, sprawiając, że każdy z nich bladł i spuszczał zakapturzoną głowę, obracając w dłoniach składniki potrzebne do zaklęć lub zaciskając pięści ze zdenerwowania.

Wreszcie Fistantilus skierował swe czarne oczy ku siódmemu z uczniów, który siedział na uboczu. Raistlin wytrzymał jego spojrzenie, nawet nie drgnął, a jego krzywy uśmiech poszerzył się do grymasu szyderstwa. Fistantilus ściągnął brwi. W nagłym przypływie gniewu zatrasnął drzwi z hukiem. Sześciu uczniów podskoczyło na ten dudniący dźwięk, który przerwał ciszę.

Czarodziej wyszedł na przód sali nauczania powolnym i niepewnym krokiem. Podpierał się laską, a jego stare kości zaskrzypiały, gdy siadł na krześle. Fistantilus raz jeszcze spojrzał na sześciu uczniów, którzy siedzieli przed nim, i kiedy tak im się przyglądał – ich młodym, zdrowym ciałom – sękatą dłonią pogładził pieszczotliwie wisior, który nosił na szyi na długim, ciężkim łańcuchu. Był to osobliwie wyglądający naszyjnik – pojedynczy, owalny krwawnik oprawiony w zwykłe srebro.

Uczniowie często rozmawiali w swym gronie o tym klejnocie i zastanawiali się, do czego mógł służyć. Była to jedyna ozdoba, jaką nosił Fistantilus, i wszyscy wiedzieli, że musi być niezmiernie cenna. Nawet najniższy stopniem uczeń potrafił wyczuć rzucone nań potężne zaklęcia strzeżenia i ochrony, które miały strzec go przed wszelkimi postaciami magii. Do czego

on służy?, szeptali, a wachlarz ich domysłów sięgał od ściągania istot z niebiańskich płaszczyzn do komunikowania się z samym Jej Mrocznym Majestatem.

Jeden spośród ich grona mógłby oczywiście im odpowiedzieć. Raistlin wiedział, do czego służy ten wisior. Zatrzymał jednakże tę wiedzę dla siebie.

Fistandantilus ścisnął chciwie krwawnik w sękatej, drżącej dłoni, łapczywym wzrokiem badając jednego ucznia po drugim. Raistlin mógłby przysiąc, że czarnoksiężnik oblizał się, i młody mag poczuł przez chwilę nagły strach. Co będzie, jeśli mi się nie uda?, zadał sobie pytanie i wzdrygnął się. On jest potężny! To najpotężniejszy czarodziej, jaki kiedykolwiek żył! Czy mam dość sił? A jeśli...

– Zaczniście test – rzekł łamiącym się głosem Fistandantilus i wbił wzrok w pierwszego z sześciu.

Raistlin stanowczo odpędził od siebie obawy. Pracował przez całe życie, aby tego dopiąć. Jeśli poniesie klęskę, zginie. Już przedtem stawiał czoło śmierci. Prawdę mówiąc, będzie to tak, jakby szedł na spotkanie starej przyjaciółki...

Młodzi magowie wstawali jeden po drugim, otwierali swe księgi czarów i recytowali zaklęcia. Gdyby czar rozproszania magii nie został rzucony na salę nauczania, wypełniłaby się cudownymi widokami. W jej ścianach wybuchwałyby ogniste kule, spopielać wszystkich w swym zasięgu; złudne smoki ziałyby iluzorycznym ogniem; ściągano by wrzeszczące, straszliwe istoty z innych płaszczyzn istnienia. A tak, w oświetlonej blaskiem świec komnacie nadal panował spokój i cisza, która zakłócana była jedynie przez magów wypowiadających zaklęcia i szelest kart magicznych ksiąg. Jeden po drugim, magowie kończyli egzamin, po czym wracali na swe miejsca. Wszyscy spisali się wyjątkowo dobrze. Nie należało spodziewać się niczego innego. Fistandantilus pozwalał uczyć się dalej u siebie jedynie siedmiu najzdolniejszym uczniom płci męskiej, którzy już mieli za sobą morderczą próbę w Wieży Wielkiej Magii. Spośród nich wybierze jednego na swego asystenta.

Takie były ich przypuszczenia.

Dłoń arcy maga dotknęła krwawnika. Jego wzrok padł na Raistlina. – Twoja kolej, magu – rzekł. Oczy starego czarodzieja zabłyśły. Bruzdy na czole pogłębiły się lekko, jakby starał się przypomnieć sobie twarz młodzieńca.

Raistlin wstał powoli, wciąż uśmiechając się gorzko i cynicznie, jakby wszystko to było poniżej jego godności. Potem nonszalanckim ruchem zatrasnął swą księgę czarów. Pozostałych sześciu uczniów wymieniło posępne spojrzenia. Fistandantillus zmarszczył znów czoło, a w jego ciemnych oczach paliła się wciąż iskierka.

Raistlin zaczął płynnie i szyderczo recytować z pamięci skomplikowane zaklęcie. Inni uczniowie drgnęli na widok tego popisu umiejętności, posyłając mu wściekłe spojrzenia pełne nienawiści i nie ukrywanej zazdrości. Zasepiona twarz przyglądającego się temu Fistandantilusa

wyrażała teraz tak przeogromny głód, że niemal rozproszył on uwagę Raistlina.

Stanowczo zmuszając się do nieodrywania uwagi od pracy, młody mag ukończył czar i nagle salę nauczania oświetlił oślepiający błysk wielobarwnego światła, a jej ciszę zakłócił odgłos eksplozji!

Fistandantilus drgnął i uśmiech znikł mu z warg. Pozostali uczniowie jęknęli.

– Jak złamałeś zakłęcie rozpraszania magii? – zapytał gniewnie Fistandantilus. – Cóż to za dziwna moc?

Raistlin w odpowiedzi otworzył dłonie. W rękach trzymał kulę niebieskiego i zielonego płomienia, która pałała taką jasnością, że nie sposób było na nią patrzeć. Potem, z tym samym drwiącym uśmiechem, klasnął w dłonie. Płomień znikł.

W sali nauczania ponownie zapadła cisza, tylko tym razem, gdy wstał Fistandantilus, była to cisza strachu. Wściekłość migotała wokół niego niczym płomienna aureola, gdy zbliżał się do siódmego z uczniów.

Raistlin nie przestraszył się tego gniewu. Stał spokojnie, chłodnym wzrokiem mierząc podchodzącego doń czarnoksiężnika.

– Jak to zrobisz? – zazgrzytał Fistandantilus. Wtedy jego wzrok padł na smukłe dłonie młodego czarodzieja. Z wściekłym warknięciem złapał Raistlina za nadgarstek.

Raistlin syknął przerażony, dotyk arcy maga był bowiem grobowo zimny. Niemniej jednak wysiłkiem woli utrzymał uśmiech, choć wiedział, że przez ten grymas jego oblicze musi przypominać trupa głowę.

– Proszek rozbłyskowy! – Fistandantilus szarpnął Raistlina ku sobie, podsuwając jego dłoń do światła świecy, by wszyscy widzieli. – Pospolity trik prestidigitatorski godny wyłącznie ulicznych iluzjonistów!

– W taki sposób zarabiałem na życie – wycedził przez zaciśnięte z bólu zęby Raistlin. – Uznałem, że jest to akurat godne użycia wśród zbiorowiska takich amatorów, jakie zgromadziłeś, o Wielki.

Fistandantilus zacisnął rękę. Raistlin dławił się, krzycząc z bólu, lecz nie szarpał się, ani też nie próbował wycofać. Nie spuścił też oczu. Choć uścisk czarodzieja sprawiał mu ból, na jego twarzy malowała się ciekawość.

– Więc uważasz się za lepszego od nich? – Fistandantilus spytał Raistlina cichym, niemal serdecznym głosem, ignorując gniewne pomruki uczniów.

Raistlin musiał odczekać chwilę, zanim zebrał dość siły, by odpowiedzieć przez mgłę cierpienia. – Wiesz, kim jestem!

Fistandantilus wbił w niego wzrok, wciąż ściskając go za przegub. Raistlin dostrzegł nagłą obawę w oczach starca, obawę szybko zastąpioną przez wyraz chciwej żarłoczności. Fistandantilus wypuścił rękę Raistlina z uścisku. Młody mag nie mógł powstrzymać westchnienia

niezmiernej ulgi, gdy usiadł na swym krześle i rozmasował nadgarstek. Znak po ręce arcymaga był wyraźny – uczynił jego skórę lodowato białą.

– Precz! – warknął Fistantilus. Sześciu magów wstało, szeleszcząc czarnymi szatami. Raistlin również wstał. Ty zostaniesz – rzekł chłodno arcymag.

Raistlin usiadł ponownie, wciąż rozcierając nadgarstek. Po urazie wracało do niego czucie i ciepło. Kiedy pozostali młodzi magowie wychodzili pojedynczo, Fistantilus poszedł za nimi do drzwi. Tam odwrócił się twarzą do swego nowego ucznia.

– Tamci wkrótce odejdą i będziemy mieli cały zamek dla siebie. Kiedy nadejdzie godzina Ciemnej Straży, przyjdź na spotkanie do tajnej komnaty w podziemiach. Przeprowadzam pewien eksperyment, który będzie wymagał twej... asysty.

Raistlin z pewnego rodzaju straszliwą fascynacją przyglądał się, jak stary czarodziej pogładził czule krwawnik. Przez chwilę Raistlin nie mógł nic odpowiedzieć. Potem zaśmiał się drwiąco – tym razem jednakże z siebie, ze swego strachu.

– Będę tam, mistrzu – powiedział.

Raistlin leżał na kamiennej płycie w laboratorium znajdującym się głęboko w podziemiach zamku arcymaga. Nawet grube szaty z czarnego aksamitu nie mogły ochronić go przed chłodem, toteż nie mógł opanować dreszczy. Nie potrafił jednak powiedzieć, czy trząśł się z zimna, strachu czy podniecenia.

Nie widział Fistantilusa, ale słyszał go – do jego uszu dochodził szmer szat, głuchy stuk laski o posadzkę, szelest odwracanych kart księgi czarów. Leżąc na płycie i udając, że wpływ czarodzieja odebrał mu siły, Raistlin spał się. Ta chwila zbliżała się szybko.

Jakby w odpowiedzi, w jego polu widzenia zjawił się Fistantilus i nachylił się nad młodym magiem z wyrazem nienasycenia. Wisior z krwawnikiem kołysał się na łańcuchu na jego szyi.

– Tak – rzekł czarodziej – jesteś zdolny. Zdolniejszy i potężniejszy od wszystkich młodych uczniów, jakich spotkałem w ciągu tych długich lat.

– Co ze mną zrobisz? – spytał ochryple Raistlin. Nuta rozpaczy w jego głosie nie była całkowicie udawana. Musi dowiedzieć się, jak działa ten klejnot.

– Jakież to ma znaczenie? – chłodno zadał pytanie Fistantilus, kładąc dłoń na piersi młodego maga.

– Moim... celem przybycia do ciebie była chęć nauki.

– Raistlin zacisnął zęby i starał się nie drgnąć od wstrętnego mu dotyku. – Chcę się uczyć, choćby do samego końca!

– Godne pochwały. – Fistantilus pokiwał głową, wpatrując się w ciemność i oddalając się myślami. Prawdopodobnie powtarza w pamięci zaklęcie, pomyślał Raistlin.

– Zamieszkanie w ciele i umyśle tak chciwym wiedzy, jak również obdarzonym wrodzonym

talentem do Sztuki, sprawi mi przyjemność. Cóż, mogę ci wyjaśnić. To moja ostatnia lekcja, uczniu. Naucz się jej dobrze.

Nie możesz sobie wyobrazić, młody człowieku, grozy starzenia się. Jakże dobrze pamiętam swe pierwsze życie i jak dobrze pamiętam to okropne uczucie gniewu i frustracji, które mnie ogarnęło, gdy zdałem sobie sprawę, że ja, najpotężniejszy z żyjących kiedykolwiek magów, skazany jestem na przebywanie w tej słabej i żalosnej powłoce cielesnej, którą niszczyła starość! Mój umysł – mój umysł był zdrowy! Prawdę powiedziawszy, byłem silniejszy umysłowo niż kiedykolwiek przedtem w swym życiu! Jednakże cała ta moc, cała ogromna wiedza zmarnuje się, obróci się w proch! Pożrą ją robaki!

Wtedy nosiłem czerwone szaty...

Drgnąłeś. Jesteś zaskoczony? Przystąpienie do Czerwonych Szat było świadomą decyzją podjętą z zimną krwią po upewnieniu się, w jaki sposób najwięcej skorzystam. W neutralności człowiek uczy się lepiej, mogąc czerpać z obu krańców skali i nie będąc przypisanym do żadnego z nich. Udałem się do Gileana, Boga Neutralności, z prośbą o udzielenie mi zezwolenia na pozostanie na tej płaszczyźnie w celu rozszerzenia swej wiedzy. W tym jednak Bóg Księgi nie mógł mi pomóc. Istoty ludzkie były jego dziełem i właśnie z powodu mej niecierplivej ludzkiej natury oraz świadomości tego, jak krótkie jest me życie, tak śpieszyłem się ze swymi studiami. Poradzono mi pogodzić się ze swym losem.

Fistandantilus wzruszył ramionami. – Widzę zrozumienie w twych oczach, uczniu. W pewnym sensie żał mi cię zabijać. Wydaje mi się, że mogła między nami nawiązać się nic nieczęsto spotykanego porozumienia. Aby jednak niepotrzebnie nie wydłużać opowieści, powiem krótko, wkroczyłem w ciemność. Przekląłem czerwony księżyc i poprosiłem, by pozwolono mi spojrzeć na czarny. Królowa Ciemności wysłuchała mych modłów i spełniła mą prośbę. Przywdziawszy czarne szaty, poświęciłem się służeniu jej, a w zamian zostałem zabrany na jej płaszczyznę istnienia. Widziałem przyszłość i żyłem w przeszłości. Ona dała mi ten klejnot, abym mógł wybrać sobie nową powłokę cielesną podczas pobytu w tych czasach. A kiedy zechcę przekroczyć granice czasu i wkroczyć do przyszłości, tam już będzie czekało na mnie ciało gotowe na przyjęcie mej duszy.

W tym momencie Raistlin nie mógł powstrzymać się od zadygotania. Wykrzywił wargi w nienawistnym grymasie. Czarnoksiężnik mówił o jego ciele! Czeka gotowe...

Fistandantilus jednak tego nie zauważył. Czarodziej uniósł wisior z krwawnikiem i przygotowywał się do rzucenia czaru.

Spoglądając na klejnot, który połyskiwał w bladym świetle rzucanym przez kulę znajdującą się pośrodku laboratorium, Raistlin poczuł, jak serce bije mu coraz szybciej. Zaciśnął dłoń.

Z wysiłkiem szepnął głosem drżącym z podniecenia, które, jak miał nadzieję, zostanie wzięte za przerażenie: – Powiedz mi, jak on działa! Powiedz, co się ze mną stanie!

Fistandantilus uśmiechnął się. Powoli obracał krwawnik nad klatką piersiową Raistlina. – Położę go na twojej piersi, tuż nad twoim sercem. Stopniowo będziesz czuł, jak siła życiowa opuszcza twoje ciało. Ponoć ból jest straszny. Nie potrwa jednak długo, uczniu, jeśli nie będziesz stawiał oporu. Poddaj się, a wkrótce stracisz przytomność. Z tego, co zauważyłem, zmaganie się tylko przedłuży mękę.

– Czy nie wypowiesz żadnych słów? – spytał drżący Raistlin.

– Oczywiście, że wypowiem – odparł chłodno Fistandantilus, nachylając się nisko nad Raistlinem, aż jego oczy znalazły się na tym samym poziomie, co oczy młodego maga. Ostrożnie ułożył krwawnik na klatce piersiowej Raistlina. – Za chwilę usłyszysz je... Będą to ostatnie dźwięki w twoim życiu...

Raistlin poczuł, jak od tego dotyku przechodzą go ciarki, i przez chwilę ledwo mógł się powstrzymać od zerwania się na równe nogi. Nie, rzekł sobie surowo, zaciskając dłonie i wbijając paznokcie w ciało, tak aby ból odwrócił jego uwagę od lęku, muszę usłyszeć te słowa!

Wstrząsany dreszczami zmuszał się do leżenia nieruchomo, lecz nie mógł powstrzymać się od zamknięcia oczu, by nie patrzeć na tę złą, pobrużdżoną twarz, która była tak blisko jego własnej, iż czuł woń zgniętego oddechu...

– Tak dobrze – odezwał się mag cichym głosem. Rozluźnij się... – Fistandantilus zaczął recytować.

Skupiwszy się na wypowiedzianym zaklęciu, czarnoksiężnik zamknął oczy i kołysał się w przód i tył, wciskając klejnot z krwawnikiem w ciało Raistlina. Toteż nie zauważył, że przyszła ofiara powtarza gorączkowym szeptem jego słowa. Zanim zorientował się, że coś jest nie w porządku, zakończył wymawianie zaklęcia i czekał na pierwszy przypływ nowego życia, które miało ogrzać jego sędziwe kości.

Nic się jednak nie stało.

Zaniepokojony tym Fistandantilus otworzył oczy. Ze zdumieniem spojrzął na ubranego w czarną szatę młodego maga, który leżał na zimnej, kamiennej płycie, a następnie wydał dziwny, nieartykułowany dźwięk i cofnął się chwiejnie w nagłym strachu, którego nie umiał ukryć.

– Widzę, że wreszcie mnie poznałeś – rzekł Raistlin i usiadł. Jedną ręką dotykał kamiennego stołu, a drugą trzymał w ukrytej w szatach kieszeni. – To tyle w kwestii ciała, jakie czeka na ciebie w przyszłości.

Fistandantilus nie odpowiedział. Jego wzrok padł na kieszeń Raistlina, jakby chciał przesyć materiał czarnymi oczyma.

Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą. – Czyż – by przysłał cię wielki Par-Salian, magiku? – spytał drwiąco. Nie spuszczał jednakże z oczu kieszeni czarodzieja.

Raistlin pokręcił przecząco głową i ześlizgnął się z kamiennej płyty. Trzymając jedną rękę

w kieszeni szat, drugą zrzucił czarny kaptur, by Fistantilus mógł wreszcie ujrzeć jego prawdziwe oblicze, a nie złudzenie, jakie podtrzymywał przez te długie miesiące. – Przybyłem sam. Ja teraz jestem mistrzem Wieży.

– To niemożliwe – warknął czarnoksiężnik. Raistlin uśmiechnął się, lecz uśmiech ten nie odbijał się w jego zimnych oczach, które cały czas śledziły Fistantilusa swym zwierciadlanym wzrokiem. – Tak ci się zdawało. Popełniłeś jednak błąd. Nie doceniłeś mnie. Zabrałeś mi część siły życiowej podczas Próby w zamian za ochronę przed elfem drow. Zmusiłeś mnie do pełnego nie kończących się cierpień życia w schorowanym ciele, skazałeś na uzależnienie od brata. Nauczyłeś mnie, jak używać smoczej kuli, i podtrzymałeś przy życiu, gdyż inaczej umarłbym w wielkiej bibliotece w Palanthis. W czasie wojny lancy pomogłeś mi przepędzić Królową Ciemności z powrotem do Otchłani, gdzie nie stanowiła już zagrożenia dla świata ani dla ciebie. Po zdobyciu mocy wystarczającej w tych czasach zamierzałeś wrócić do przyszłości i zająć moje ciało! Stałbyś się mną.

Raistlin zauważył, że Fistantilus mruży oczy. Młody mag spiął się, zaciskając dłoń na przedmiocie, który trzymał w zanadru. Czarnoksiężnik odezwał się łagodnie: – To wszystko prawda. Co masz zamiar zrobić w tej sprawie? Zamordować mnie?

– Nie – odparł cicho Raistlin. – Zamierzam stać się tobą!

– Głupiec! – Fistantilus wybuchnął przenikliwym śmiechem. Uniósł do góry trzymany w kościstej ręce wisior z krwawnikiem. – Jedyńm sposobem, w jaki mógłbyś tego dokonać, byłoby użycie tego przeciwko mnie! A ten klejnot jest chroniony przed wszelkimi rodzajami magii zaklęciami, których moc nawet nie mieści ci się w głowie, nędzny magu...

Jego głos przeszedł w szept zdławiony nagłym strachem i wstrząsem, gdy Raistlin wyjął dłoń zza pazuchy. W ręku miał wisior z krwawnikiem.

– Chroniony przed wszelkiego rodzaju magią – powiedział młody czarodziej z uśmiechem trupiej czaszki lecz nie przed kuglarską sztuczką. Nie przed zdolnościami pospolitego ulicznego iluzjonisty...

Raistlin zobaczył, że czarnoksiężnik zbladł jak ściana. Fistantilus rozpaczliwie spojrział na łańcuch, który nosił na szyi. Teraz, gdy złudzenie zostało ujawnione, spostrzegł, że w dłoni nie ma niczego.

Ciszę przerwał zgrzyt i trzask. Kamienna podłoga zakołysała się pod nogami Raistlina, powalając młodego maga na kolana. Posypały się kamienie, gdy fundamenty laboratorium rozpekły się pośrodku. W tym łoskocie słyhać było głos Fistantilusa wypowiadającego potężne zaklęcie przywoływania.

Rozpoznawszy je, Raistlin przystąpił do działania. Ścisnął w dłoni krwawnik i rzucił czar ochronny na siebie, by mieć czas na użycie swej magii. Przykucnąwszy na posadzce, odwrócił się i zobaczył, jak spod fundamentów wystrzela postać, której kształt i oblicze należało do tych, jakie

widuje się tylko w obłąkanych snach.

– Bierz go, łap go! – wrzasnął Fistantilus, wskazując Raistlina. Zjawa pomknęła po kruszącej się posadzce w stronę młodego czarodzieja i sięgnęła po niego wijącymi się mackami.

Strach ogarnął Raistlina, gdy potwór z innego wymiaru użył wobec niego swych własnych strasznych czarów. Zaklęcie ochronne rozpadło się pod jego atakiem. Zmora pożre jego duszę i nasyci się jego ciałem.

Panuj nad sobą! Dzięki długim godzinom nauki, ćwiczonej od dawna sile i surowej samodyscyplinie, pamięć podsunęła Raistlinowi słowa tak potrzebnego mu teraz zaklęcia.

Po chwili czar zadziałał. Kiedy młody czarodziej zaczął nucić słowa zaklęcia odesłania, poczuł przyptyw wywołanej magią ekstazy, która wyrwała go z objęć strachu.

Zjawa zawahała się.

Kipiący wściekłością Fistantilus nakazywał jej iść dalej.

Raistlin polecił jej zatrzymać się.

Potwór patrzył gniewnie na nich obu, zwijając się w kłębek. Jego postać zmieniała się i migotała w porywistym wietrze, jaki sam wytworzył. Obaj magowie trzymali go w szachu, uważnie śledząc się nawzajem, czekając choćby na mrugnięcie powieki, ruch wargi, kurczowe drgnienie palca, które okaże się zabójcze w skutkach.

Żaden jednak się nie poruszył, żaden nawet nie sprawiał wrażenia, że się poruszy. Raistlin był wytrzymalszy, ale magia Fistantilusa pochodziła z prastarego źródła i mógł on wezwać na pomoc niewidzialne moce.

Zmora nie mogła już dłużej tego znieść. Uwięziona pomiędzy dwiema równymi, zwaśnionymi siłami, szarpana w przeciwległe strony, nie mogła dłużej utrzymać swej zaczarowanej powłoki. Wybuchła z oślepiającym błyskiem.

Impet odrzucił obu magów wstecz, miotając nimi o ściany. Komnatę wypełnił straszny smród, a odłamki szkła posypały się jak deszcz. Ściany laboratorium zostały osmolone i nadpalone. Tu i tam płonęły małe ogniska jaskrawych, wielobarwnych płomieni, oświetlając scenę zniszczenia upiornym blaskiem.

Raistlin szybko zerwał się na nogi i wytarł krew, która wypływała mu z rozcięcia na czole. Jego wróg był nie mniej żwawy od niego, obaj bowiem wiedzieli, że słabość oznacza zgubę. Dwaj czarodzieje stanęli naprzeciw siebie w świetle pełgających płomyków.

– Więc doszliśmy do tego! – rzekł łamiącym się głosem starzec. – Mogłeś żyć dalej wygodnie. Oszczędziłbym ci dolegliwości i upokorzeń starości. Dlaczego przyspieszasz swą zgubę?

– Ty wiesz – powiedział cicho Raistlin, dysząc ciężko. Jego siły były już prawie na wyczerpaniu.

Fistantilus pokiwał powoli głową, przyglądając się Raistlinowi. – Jak już powiedziałem –

mruknął cicho szkoda, że tak musi się stać. Wiele moglibyśmy razem działać. Teraz...

– Życie dla jednego. Dla drugiego śmierć – oświadczył Raistlin. Wyciągnął przed siebie rękę i ostrożnie położył wisior z krwawnikiem na zimnym blacie. Wtedy usłyszał słowa zaklęcia i sam zaczął nucić magiczne słowa w odpowiedzi.

Walka trwała długo. Dwaj strażnicy Wieży przyglądający się widokowi wyczarowanemu ze wspomnień ubranego w czerń maga, który leżał w zasięgu ich rąk, stracili w tym zamęcie wątek. Do tego momentu obserwowali wszystko z punktu widzenia Raistlina, teraz jednakże dwaj czarodzieje byli tak blisko, że strażnicy Wieży widzieli bitwę oczyma obu przeciwników.

Błyskawice strzelały z czubków palców, postaci w czarnych szatach wiły się w męce, wrzaski bólu i wściekłości grzmiały echem wśród zgrzytu kamieni i drewnianych belek.

Magiczne ściany ognia roztopiały lodowe mury, a gorące wichry dęły z siłą huraganów. Burze płomieni szalały na korytarzach, zjawy wyskakiwały z Otchłani na rozkaz swych panów, ucieleśnione żywioły targały fundamentami zamku. Ogromna, mroczna forteca Fistantilusa zaczęła pękać, a z jej murów posypały się kamienie.

I wtedy jeden z magów w czarnych szatach upadł ze strasznym krzykiem wściekłości i udręki, brocząc krwią z ust.

Który był który? Kto padł? Strażnicy rozpaczliwie starali się to ustalić, lecz nie było to możliwe.

Drugi czarodziej, niemal wyczerpany do cna, odpoczął chwilę, a potem zdołał przeczołgać się po podłodze. Drżącą dłonią sięgnął do wierzchu kamiennej płyty, pomacał tam, znalazł wisior z krwawnikiem i ścisnął go mocno. Resztkami siły mag w czarnej szacie chwycił klejnot i podczołgał się do swej wciąż żyjącej ofiary i przy niej przyklęknął.

Czarodziej na podłodze nie był w stanie mówić, ale jego oczy, którymi przyglądał się mordercy, rzuciły przekleństwo tak strasznej natury, że dwaj strażnicy Wieży mieli wrażenie, iż nawet chłód ich udręczonego istnienia wydał się w porównaniu z tym ciepły.

Czarodziej, który trzymał krwawnik, zawahał się. Był tak bliski umysłu ofiary, że potrafił odczytać to milczące przesłanie jej oczu i jego dusza cofnęła się w lęku przed tym, co ujrziała. Potem jednak mężczyzna zacisnął wargi. Potrząsnąwszy zakapturzoną głową i uśmiechnąwszy się ponuro, aczkolwiek zwycięsko, uważnie i z wyrachowaniem przycisnął wisior do piersi ubranej na czarno ofiary.

Ciało na podłodze wiło się w mękach agonii, a pomiędzy pokrytych krwawą pianą warg wydobywał się przeraźliwy wrzask. Wtem nagle krzyki urwały się. Skóra maga pomarszczyła się i popękała niczym suchy pergamin, a oczy wpatrywały się ślepo w ciemność. Czarodziej powoli uwiądnął.

Westchnąwszy z drzeniem, drugi mag upadł na ciało swej ofiary. Sam był słaby, ranny, bliski śmierci. Ścisnął jednak w dłoni krwawnik, a w jego żyłach zaczęła krążyć nowa krew,

przynosząca mu życie, które – po pewnym czasie – przywróci go do pełni zdrowia. Jego umysł był wypełniony wiedzą, wspomnieniami setek lat potęgi, zaklęciami i wizjami cudów oraz rzeczy strasznych, które obejmowały całe pokolenia. Były tam jednak też wspomnienia o bliźniaczym bracie, wspomnienia o schorowanym ciele i przedłużonej, bolesnej egzystencji.

Gdy zmieszały się w nim dwa żywoty i spłynęły nań setki dziwnych, sprzecznych wspomnień, mag zachwiał się pod ich nawałem. Skuliwszy się obok zwłok swego rywala, czarodziej, który odniósł zwycięstwo, przyglądał się krwawnikowi leżącemu w jego dłoni. Potem szepnął ze zgrozą: – Kim ja jestem?

Rozdział IV

Strażnicy odsunęli się od Raistlina i spoglądali na niego pustymi oczyma. Czarodziej, który był zbyt słaby, by się ruszyć, również patrzył na nich, a w jego oczach odbijała się ciemność.

– Mówię wam – odezwał się do nich prawie bezgłośnie, ale został zrozumiany – dotknijcie mnie jeszcze raz, a obrócę was w proch, jak uczyniłem to z nim!

– Tak, panie – odszepnęły głosy i blade twarze rozplynęły się w mroku.

– Co to... – szepnęła sennie Crysania. – Powiedziałeś coś? – Kiedy zdała sobie sprawę, że spała z głową na jego ramieniu, zaczerwieniła się speszona i zażenowana, i szybko usiadła. – Czy... czy mogę coś ci podać? – spytała.

– Gorącą wodę – Raistlin bezwładnie opadł na posłanie – do... mojego napoju.

Crysania rozejrzała się, odsuwając ciemne włosy spadające jej na oczy. Przez okna sączyło się szare światło. Było wątle i blade niczym widmo, i nie przyniosło otuchy. Laska Magiusa wciąż rozsiewała blask, odpędzając mroczne istoty nocy. Nie dawała jednak ciepła. Crysania roztarta bółący kark. Czuła się sztywna i obolała, wiedziała, że musiała spać kilka godzin. W pokoju wciąż panował lodowaty chłód. Rzuciła posępne spojrzenie na zimną i osmoloną kratę w kominku.

– Jest drewno – rzekła niepewnie, patrząc na leżące wszędzie szczątki mebli – ale nie mam krzesiwa ani hubki. Nie potrafię...

– Obudź mego brata! – warknął Raistlin i natychmiast zaczął się dusić. Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz nie stać go było na nic prócz słabego gestu. Oczy pałały mu takim gniewem, a twarz wykrzywiała taka wściekłość, że Crysania spojrzała na niego z niepokojem, poczuwszy chłód zimniejszy od otaczającego ją powietrza.

Raistlin zamknął oczy. Był bardzo zmęczony. Przyłożył dłoń do klatki piersiowej. – Proszę – szepnął w męce ten ból...

– Oczywiście – powiedziała czule Crysania, której zrobiło się wstyd. Jakie to uczucie cierpieć takie katusze dzień po dniu? Nachyliwszy się ściągnęła zasłonę z własnych ramion i ostrożnie otuliła nią Raistlina. Mag z wdzięcznością pokiwał głową, nie mógł mówić. Potem drżąc Crysania podeszła do miejsca, gdzie leżał Caramon.

Kiedy kładła już dłoń na jego ramieniu, zawahała się. A jeśli on wciąż jest ślepy?, pomyślała, albo jeśli już widzi i postanowi... postanowi zabić Raistlina?

Jej niezdecydowanie trwało jednak tylko chwilę. Stanowczo chwyciła go za ramię i potrząsnęła nim. Jeśli tylko spróbuje, powiedziała do siebie zawzięcie, powstrzymam go. Raz już to zrobiłam, potrafię więc zrobić to jeszcze raz.

Kiedy dotykała go, zdała sobie sprawę z obecności bladych strażników, którzy czaili się w ciemności, obserwując każdy jej ruch.

– Caramonie – zawołała cicho. – Caramonie, obudź się. Proszę! Potrzebujemy...

– Czego? – Caramon szybko usiadł, odruchowo się – gając po miecz, którego jednakże nie było. Skupił wzrok na Crysanii, która z ulgą zabarwioną strachem spostrzegła, że ją widzi. Patrzył jednak na nią obojętnie, jakby jej nie rozpoznawał, a potem szybko rozejrzał się wokoło.

Wtedy Crysania zobaczyła, jak oczy mu ciemnieją i wypełniają się udręką. Zobaczyła w nich wspomnienia. Dostrzegła je także w napięciu mięśni jego szczęk i zimnym spojrzeniu, jakim ją zmierzył. Miała zamiar coś powiedzieć – przeprosić, wyjaśnić, skarcić go – gdy nagle w jego oczach odmalowała się czułość, a twarz złagodziło zatroskanie.

– Pani Crysanio – powiedział, siadając i zrzucając z siebie okrycie – przemarzaś do szpiku kości! Proszę, okryj się tym.

Zanim zdołała zaprotestować choć słowem, Caramon opatulił ją kotarą. Zauważyła, że gdy to czynił, jego spojrzenie padło na bliźniaczego brata. Szybko jednak minęło Raistlina, jakby nie istniał.

Crysania złapała wojownika za rękę. – Caramonie powiedziała – on ocalił nam życie. Rzucił zakłęcie. Te stwory w mroku zostawiły nas w spokoju tylko dlatego, że on im tak kazał!

– Ponieważ rozpoznały w nim jednego ze swoich! – rzekł szorstko Caramon, spuszcżając oczy i starając się wyrwać rękę z uścisku. Crysania jednak przytrzymała go mocno, bardziej wzrokiem niż zgrabiła dłoń.

– Możesz go teraz zabić – oświadczyła ze złością. Spójrz, jest bezradny i słaby. Oczywiście, jeśli to zrobisz, zginiemy wszyscy. Jednakże ty byłeś i tak gotów to uczynić, prawda?

– Nie mogę go zabić – powiedział Caramon. Jego brązowe oczy były bystre i zimne, i Crysania ponownie dostrzegła zaskakujące podobieństwo między bliźniakami. Postawmy sprawę jasno, wielebna córko, gdybym tylko spróbował, oślepiłabyś mnie znowu.

Caramon strącił jej dłoń ze swego ramienia.

– Przynajmniej jedno z nas musi widzieć wyraźnie stwierdził.

Crysania czuła, jak oblewa się rumieńcem ze wstydu i zagniewania, słysząc w sarkazmie wojownika echo słów Loralona. Odwracając się od niej, Caramon wstał szybko.

– Rozpalę ogień – powiedział chłodno i oschle jeśli ci tam – machnął ręką – przyjaciele mojego brata mi na to pozwolą.

– Myślę, że tak – odpowiedziała Crysania równie oziębłe i też wstała. – Nie uczynili niczego, by mi przeszkodzić, gdy... gdy zrywałam zasłony. – Nie mogła powstrzymać drżenia, które zakradło się do jej głosu na wspomnienie tego, jak została schwytana przez te cienie śmierci.

Caramon obejrzał się na nią i po raz pierwszy Crysania pomyślała o tym, jak musi wyglądać. Była zawinięta w zbutwiałą kotarę z czarnego aksamitu, ubrana w białe szaty, które były podarte, poplamione krwią i pokryte kurzem oraz popiołem z podłogi. Mimowolnie dotknęła swych włosów, niegdyś tak lśniących, starannie splecionych i upiętych. Teraz wisiały wokół jej twarzy

niczym strąki. Czują zaschnięte łzy na policzkach, brud i krew...

Nieśmiało przetarła twarz dłonią i postarała się przygładzić włosy. Potem, uświadomiwszy sobie, jakie to bezcelowe i jak głupio musi wyglądać, a do tego jeszcze bardziej rozżłoszczona pełnym politowania spojrzeniem Caramona, wyprostowała się z żalosną godnością.

– No więc, nie jestem już tą marmurową dziewczicą, którą spotkałeś na początku – rzekła wyniośle. – Tak jak ty nie jesteś już tym zapitym moczymordą. Wygląda na to, że oboje czegoś nauczyliśmy się podczas tej podróży.

– Ja na pewno – oświadczył z powagą Caramon.

– Czyżby? – odparła Crysania. – Ciekawe! Czy dowiedziałeś się, tak jak ja, że magowie wysłali mnie w przeszłość, wiedząc, że nie wrócę?

Caramon wbił w nią wzrok. Kobieta uśmiechnęła się ponuro.

– Nie. Ty byłeś nieświadomy tego drobnego faktu, tak przynajmniej powiedział twój brat. Tego urzędzenia do podróży w czasie może użyć tylko jedna osoba, ta, której zostało ono wręczone, czyli ty! Magowie wysłali mnie w minione czasy, żebym tam zginęła, ponieważ obawiali się mnie!

Caramon zmarszczył brwi. Otworzył usta, zamknął je, a potem potrząsnął głową. – Mogłaś opuścić Istar z tym elfem, który przyszedł po ciebie.

– A czy ty byś poszedł? – zapytała Crysania. – Czy ty zrezygnowałbyś ze swego życia w naszych czasach, gdybyś tylko mógł temu zapobiec? Nie! Czyż ja jestem tak odmienna?

Zmarszczki na czole Caramona pogłębiły się. Wojownik chciał już coś powiedzieć, lecz w tej chwili Raistlin zakaszłał. Crysania zerknęła na maga, westchnęła i powiedziała: – Zapal lepiej ogień, gdyż w przeciwnym razie wszyscy umrzemy. – Odwróciła się plecami do Caramona, który wciąż spoglądał na nią w milczeniu, i podeszła do jego brata.

Przyglądając się wątemu magowi, Crysania zastanawiała się, czy on usłyszał. Zastanawiała się, czy w ogóle jeszcze jest przytomny.

Raistlin był przytomny, ale jeśli nawet zdawał sobie sprawę z tego, co wydarzyło się między pozostałymi dwiema osobami, sprawiał wrażenie zbyt słabego, by miało to wzbudzić jego zainteresowanie. Crysania naląła trochę wody do pękniętej misy i uklękła przy nim. Oderwawszy strzęp z najczystszej części swej szaty, obmyła mu twarz, która płonęła gorączką nawet przy takim zimnie panującym w komnacie.

Słyszała, jak za jej plecami Caramon zbiera kawałki połamanych mebli i układa je na palenisku.

– Potrzebne mi coś na podpałkę – mamrotał pod nosem zwalisty mężczyzna. – O, te książki...

Na ten dźwięk Raistlin natychmiast podniósł powieki, poruszył głową i spróbował usiąść, choć brakło mu sił.

– Nie, Caramonie! – krzyknęła zaniepokojona Crysania. Caramon zatrzymał się z książką

w ręku.

– To niebezpieczne, mój bracie! – wysapał słabo Raistlin. – Księgi z zaklęciami! Nie dotykaj ich...

Odebrało mu mowę, lecz spojrzenie błyszczących oczu utkwionych w Caramonie wyrażało tak wyraźną troskę, że nawet Caramon sprawiał wrażenie zdumionego. Mamrocząc coś niezrozumiale, ogromny mężczyzna upuścił książkę i zaczął przeszukiwać okolice biurka. Crysania zobaczyła, że Raistlin z ulgą zamyka oczy.

– Mam coś. To wygląda na... listy – powiedział Caramon po chwili przetrząsania papierów na podłodze. Czy... czy to może być? – zapytał gderliwie.

Raistlin skinął głową bez słowa i po chwili Crysania usłyszała syk płomieni. Lakierowane drewno zniszczonych mebli szybko zajęło się ogniem, który wkrótce zaczął dawać jasne, wesołe światło. Zerknąwszy w mrok, Crysania zobaczyła, że widmowe twarze cofnęły się, ale nie znikły.

– Musimy przysunąć Raistlina bliżej ognia – powiedziała, wstając. – Powiedział też coś o napoju...

– Tak – odparł bezbarwnym głosem Caramon. Podeszedł do Crysanii i spojrzał na brata. Potem wzruszył ramionami. – Niech się przeniesie tam czarami, jeśli tego chce.

Oczy Crysanii błysnęły gniewem. Odwróciła się do Caramona z gniewnymi słowami na ustach, jednak na słaby gest Raistlina przygryzła dolną wargę i zamilkła.

– Wybrałeś niedogodny czas na to, by dorosnąć, mój bracie – szepnął mag.

– Może – powiedział powoli Caramon, na którego twarzy widniał nie dający się wyrazić smutek. Potrząsnął głową i podeszedł z powrotem do ognia. – Może to już nie ma znaczenia.

Crysania, która widziała, jak Raistlin śledzi oczyma swego brata, ze zdumieniem dostrzegła lekki, skrywany uśmiech na jego wargach i pełne satysfakcji skinienie głową. Potem, kiedy spojrzał na nią, szybko przestał się uśmiechać. Unosząc jedną rękę, wezwał ją gestem, by podeszła.

– Mogę wstać – szepnął – jeśli mi pomożesz.

– Proszę, będziesz potrzebował swej laski – powiedziała, sięgając po nią.

– Nie dotykaj jej! – rozkazał Raistlin, chwytając ją za rękę. – Nie – powtórzył łagodniej, zanosząc się od kaszlu, tak że prawie nie mógł oddychać. – Kiedy inne ręce... dotkną... światło zgaśnie...

Zadrżawszy mimowolnie, Crysania szybko omiotła spojrzeniem pokój. Kiedy Raistlin zauważył to oraz migotliwe kształty unoszące się tuż poza blaskiem laski, potrząsnął głową. – Nie, nie sądzę, by nas zaatakowały – powiedział cicho, gdy Crysania objęła go i pomogła mu wstać. – One wiedzą, kim jestem. – Wykrzywił wzdorliwie wargi i zakrztusił się. – Wiedzą, kim jestem – powtórzył bardziej stanowczo – i nie ośmielą mi się narazić. Jednak... Znów się zakrztusił i wsparł całym ciężarem na Crysanii, zarzuciwszy jedno ramię na jej bark, w drugiej

zaś ręce ściskając laskę. – Będzie bezpieczniej nie gasić światła laski.

Mówiąc to, mag zachwiał się i niemal upadł. Crysania przystanęła, by mógł złapać dech. Sama oddychała szybciej niż zwykle, co zdradzało, jak czuła się speszona i zdezorientowana swymi emocjami. Kiedy słyszała chrapliwe rżenie ciężkiego oddechu Raistlina, ogarniała ją wielka litość z powodu jego słabości. Czuła też palący żar ciała, do którego była przyciśnięta tak blisko. Wokół maga rozchodził się oszałamiający zapach składników zaklęć – płatków róży i korzennych przypraw – a jego czarne szaty były bardzo miękkie w dotyku, miększe od zasłony na jej ramionach. Kiedy tak stali, ich spojrzenia spotkały się. Na chwilę lustrzana powierzchnia jego oczu pękła i wtedy zobaczyła w ich głębi ciepło i namiętność. Otaczające ją ramię zacisnęło się odruchowo, przytulając ją mocniej, pozornie bez świadomego zamiaru uczynienia tego.

Crysania zaczerwieniła się, rozpaczliwie pragnąc jednocześnie uciec i na zawsze pozostać w tych ciepłych objęciach. Szybko spuściła oczy, lecz było już za późno. Poczowała, jak Raistlin tężeje. Cofnął w gniewie ramię. Odepchnąwszy ją na bok, oparł się na lasce.

Nadal jednak był zbyt słaby. Zachwiał się i zaczął padać zemdlony. Crysania ruszyła mu z pomocą, lecz nagle na drodze stanęła jej olbrzymia osoba. Potężne ramiona złapały Raistlina, jakby był zaledwie dzieckiem. Caramon zaniósł swego brata do postrzępionego i nadpalonego, miękko wyściełanego fotela, który przyciągnął w pobliże kominka.

Przez kilka chwil Crysania nie mogła ruszyć się z miejsca, w którym stała wsparta o biurko. Dopiero kiedy zdała sobie sprawę, że jest sama w ciemności, z dala od blasku zarówno ognia, jak i laski, pośpiesznie zbliżyła się do paleniska.

– Usiądź, pani Crysanio – powiedział Caramon, przysuwając następny fotel i rękoma strzepując z niego kurz i popiół. Uczynił to najlepiej jak potrafił.

– Dziękuję – szepnęła. Z jakiegoś powodu próbowała unikać wzroku wielkiego mężczyzny. Siadła w głębokim fotelu i skuliła się w pobliżu ognia, wbijając wzrok w płomienie, póki nie poczuła, że odzyskuje panowanie nad sobą.

Kiedy już była w stanie rozejrzeć się, zobaczyła, że Raistlin z zamkniętymi oczyma leży bezwładnie w fotelu i dyszy chrapliwie. Caramon podgrzewał wodę w poobijanym żelaznym garnku, który, sądząc po wyglądzie, został wyciągnięty z popiołu na palenisku. Stał przy nim i uważnie wpatrywał się w wodę. Ogień skrzył się na jego złotej zbroi i połyskiwał na gładkiej, opalanej skórze. Kiedy dla rozgrzewki pomachał potężnymi ramionami, muskuły zafalowały mu pod skórą.

On jest doprawdy przepięknie zbudowanym mężczyzną, pomyślała Crysania, a potem zadrżała. Znów zobaczyła go, jak wchodzi do tej komnaty w podziemiach skazanej na zagładę świątyni z okrwawionym mieczem w ręku i śmiercią w oczach...

– Woda gotowa – ogłosił Caramon i Crysania drgnęła, wracając świadomością do Wieży.

– Pozwól mi przyrządzić napój – rzekła pośpiesznie, wdzięczna, że może się czymś zająć.

Raistlin podniósł powieki, gdy podeszła do niego. Spojrzawszy mu w oczy, ujrzała tylko odbicie siebie samej bladej, wynędzniałej, potarganej. Bez słowa podał jej niewielki, aksamitny woreczek. Kiedy wzięła go do ręki, Raistlin wskazał na brata, po czym znów osunął się bezwładnie z wyczerpania.

Biorąc woreczek, Crysania obejrzała się i zobaczyła, że Caramon przygląda się jej z zakłopotaniem i smutkiem, co nadało jego twarzy wyraz nietypowej powagi. Niemniej jednak powiedział tylko: – Wsyp kilka listków do kubka, a potem zalej je wrzątkiem.

– Co to jest? – spytała z ciekawością Crysania. Otworzyła mieszek i zmarszczyła nos, czując dziwną, gorzką woń ziół. Caramon nalał wody do kubka, który trzymała w ręku.

– Nie wiem – oświadczył, wzruszając ramionami. Raist zawsze sam zbierał i mieszał te zioła. Par-Salian dał mu przepis po... po Próbie, kiedy tak się rozchorował. Wiem – uśmiechnął się do niej – strasznie śmierdzi, a smakować musi jeszcze gorzej. – Spojrzał na brata niemal czule.

– Ale to mu pomoże. – Jego głos zabrzmiał zgrzytliwie. Potem Caramon nagle się odwrócił.

Crysania zaniósła parujący napój Raistlinowi, który chwycił kubek drżącymi dłońmi i chciwie uniósł go do warg. Po wypiciu łyku westchnął z ulgą i znów opadł na poduszki fotela.

Zapadła niezręczna cisza. Caramon znów patrzył w ogień, a i Raistlin spoglądał na płomień i popijał swoją miksturę bez słowa komentarza. Crysania wróciła na swoje miejsce, by zająć się tym, czemu każdy z pozostałych musiał się właśnie oddawać – próbie ułożenia myśli, zrozumienia tego, co się stało.

Kilka godzin temu stała w skazanym na zagładę mieście, mieście, którego przeznaczeniem było zginąć z wyroku rozgniewanych bogów. Znajdowała się na skraju całkowitego psychicznego i fizycznego załamania. Teraz mogła już się do tego przyznać, choć wtedy nie potrafiła. Z jaką lubością wówczas wyobrażała sobie, że jej dusza opasana jest stalowymi murami wiary. Nie była to stal i teraz o tym wiedziała. Z zawstydzeniem i żalem przyznała, że nie była to stal, lecz lód. Lód stopił się w jaskrawym blasku prawdy, obnażając ją i czyniąc podatną na ciosy. Gdyby nie Raistlin, zginęłaby w Istar.

Raistlin... Zarumieniła się na twarzy. To była kolejna sprawa, z którą nigdy nie spodziewała się zmagać – miłość, namiętność. Wiele lat temu była zaręczona z pewnym młodzieńcem i nawet całkiem go lubiła, ale go nie kochała. Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyła w istnienie miłości takiej miłości, o jakiej mówiły bajki opowiadane dzieciom. Takie zaangażowanie w los drugiej osoby zdawało jej się przeszkodą, słabością, której należało unikać. Przypomniała sobie coś, co Tanis Półelf powiedział o swojej żonie, Lauranie. Jak to było? „Kiedy jej nie ma, to tak, jakby brakowało mi prawej ręki...” Cóż za romantyczne bzdury, pomyślała wtedy. Teraz jednak zadawała sobie pytanie, czy nie czuje tego wobec Raistlina? Myślami wróciła do tego ostatniego dnia w Istar, do tej straszliwej burzy z rozbłyskującymi piorunami i tego, jak niespodziewanie znalazła się w objęciach Raistlina. Serce ścisnęło jej się z krótkiego bólu pożądania, gdy znów

poczuła uścisk jego silnych ramion. Towarzyszył jednak temu również przenikliwy lęk i dziwna odraza. Mimowolnie przypomniała sobie gorączkowy błysk w jego oczach i uniesienie wywołane burzą, jakby to on sam ją ściągnął.

To było tak, jak z tym osobliwym zapachem składników zaklęć, który zawsze go otaczał – miła woń róż i korzennych przypraw, ale zmieszany z nią był mdlący odór rozkładających się stworzeń i gryzący zapach siarki. Mimo że jej ciało tęskniło za jego dotykiem, coś w jej duszy kuliło się w przerażeniu...

Caramonowi donośnie zaburczało w brzuchu. Odgłos ten był zaskakujący w śmiertelnej ciszy komnaty.

Kiedy wyrwana z zamyślenia Crysania uniosła głowę, zobaczyła, jak wielki mężczyzna oblewa się głębokim rumieńcem zażenowania. Nagle, przypomniawszy sobie o własnym głodzie – nie pamiętała już, kiedy ostatni raz zdołała zjeść choćby kęs – Crysania parsknęła śmiechem.

Caramon zerknął na nią podejrzliwie, być może sądząc, że wpadła w histerię. Na widok zdumionej miny zwalistego mężczyzny Crysania zaczęła się śmiać jeszcze głośniejsze. Prawdę powiedziawszy, śmiech sprawiał jej przyjemność. Wydawało się, że ciemność w pokoju odsunęła się, a mrok jej duszy został rozproszony. Crysania śmiała się radośnie, aż wreszcie zarażony jej wesołością Caramon również wybuchnął śmiechem, choć nadal, poczerwieniały na twarzy, kręcił głową.

– W taki oto sposób bogowie przypominają nam, że jesteśmy istotami ludzkimi – stwierdziła Crysania, kiedy już odzyskała zdolność mówienia i otarła łzy z oczu. – Oto jesteśmy w najokropniejszym z wyobraźalnych miejsc, otoczeni przez stworzenia nie mogące się doczekać, by nas pożreć w całości, a ja jestem w stanie myśleć tylko o tym, jaka jestem rozpaczliwie głodna!

– Potrzebujemy jedzenia – stwierdził trzeźwo Caramon, nagle odzyskawszy powagę. – I przyzwoitego ubrania, jeśli mamy przebywać tu dłużej. – Spojrzał na brata.

– Jak długo tu zostaniemy?

– Niedługo – odparł Raistlin. Skończył pić napój i miał już silniejszy głos. Jego blada twarz nabrała trochę koloru. – Potrzebny mi czas na odpoczynek, odzyskanie sił i dokończenie studiów. Ta pani – jego błyszczące spojrzenie padło na Crysanię, która zadrżała na dźwięk jego dziwnie bezosobowego tonu – musi nawiązać kontakt ze swym bogiem i odnowić swą wiarę. Wtedy będziemy gotowi przekroczyć próg portalu. Wtedy to, mój bracie, ty będziesz mógł udać się, gdzie tylko będziesz miał ochotę.

Crysania czuła na sobie pytające spojrzenie Caramona, lecz zachowała spokój gładkiego i niczego nie wyrażającego oblicza, choć zimna, jakby od niechcenia rzucona wzmianka o przekroczeniu budzącego grozę portalu, o zejściu do Otchłani i stawieniu czoła Królowej Ciemności zmroziła jej serce. Toteż unikała spojrzenia Caramonowi w oczy i patrzyła w ogień.

Ogromny mężczyzna westchnął, a potem chrząknął. Odeślesz mnie do domu? – spytał bliźniaka.

– Jeśli tam sobie życzysz się wybrać.

– Tak – rzekł Caramon głębokim i surowym tonem. – Chcę wrócić do Tiki i... porozmawiać z Tanisem. Głos mu się załamał. – Będę musiał... jakoś mu wyjaśnię, że Tas zginął... tam w Istar...

– Na bogów, Caramonie – wtrącił Raistlin, wykonując smukłą dłonią gest zniecierpliwienia – a już myślałem, że ujrzeliśmy w tym twoim zwalistym cielsku przebłysk utajonej dorosłości! Po powrocie bez wątpienia zastaniesz Tasslehoffa w swojej kuchni, gdzie siedzi i zasypuje Tikę jedną idiotyczną historyjką po drugiej, okradłszy cię wcześniej do ostatniego grosza!

– Co takiego? – Caramon zbladł i wybałuszył oczy.

– Posłuchaj mnie, mój bracie! – zasyczał Raistlin, celując palcem w Caramona. – Kender sam podpisał na siebie wyrok, kiedy zakłócił zakłęcie Par-Saliana. Istnieje jeden bardzo istotny powód, dla którego nie wolno podróżować w przeszłość przedstawicielom jego rasy oraz krasnoludom i gnomom. Ponieważ te ludy zostały stworzone przez przypadek, dzięki kaprysowi przeznaczenia i nieuwadze boga Reorea, nie znajdują się w nurcie czasu jak istoty ludzkie, elfowie i ogrowie – rasy stworzone na początku przez bogów.

Dlatego kender mógł zmienić bieg czasu, co szybko sobie uświadomił, gdy mimowolnie wymknęła mi się wzmianka o tym fakcie. Nie mogłem na to pozwolić! Gdyby zapobiegł Kataklizmowi, jak zamierzał, kto wie, co mogłoby się wydarzyć! Być może wrócilibyśmy do naszych czasów i zastali tam panującą niepodzielnie Królową Ciemności, Katakliizm bowiem został zesłany częściowo po to, by przygotować świat na jej przyjście i dać mu siłę na stawienie jej czoła...

– Więc zamordowałeś go! – przerwał ochryple Caramon.

– Powiedziałem mu, żeby przyniósł urządzenie Raistlin cedził słowa – nauczyłem go, jak je użyć, i odesłałem go do domu!

Caramon zmrużył oczy. – Naprawdę? – spytał podejrzliwie.

Raistlin westchnął i opuścił głowę na poduszki fotela. Naprawdę, ale nie spodziewam się, że mi uwierzysz, mój bracie. – Słabymi dłońmi podniósł fałd czarnej szaty, w którą był ubrany. – W końcu, czemu miałbyś?

– Wiesz – oznajmiła cicho Crysania – przypominam sobie, że w tej ostatniej, strasznej chwili przed trzęsieniem ziemi widziałam Tasslehoffa. Był... ze mną... w świętej komnacie...

Spostrzegła, że Raistlin uniósł nieznacznie powieki. Jego pałające spojrzenie przeszło jej serce i wytrąciło z równowagi, zakłócając na chwilę tok jej myśli.

– Mów dalej – zachęcał Caramon.

– Pamiętam... pamiętam, że miał ten magiczny przyrząd. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Coś o nim wspominał.

– Crysania przyłożyła dłoń do czoła. – Nie mogę sobie jednak przypomnieć, co to było. Wszystko to takie przerażające i zawile. Pewna jednak jestem, że powiedział, iż ma to urządzenie!

Raistlin uśmiechnął się blado. – Pani Crysanii chyba uwierzysz, mój bracie? – Wzruszył ramionami. – Kapłanka Paladine’a nie skłamałaby.

– Więc Tasslehoff jest w domu? Teraz? – wykrztusił Caramon, starając się przyswoić sobie zaskakujące wieści.

– I kiedy wrócę, zastanę go...

– Całego, zdrowego i obładowanego większością twego osobistego majątku – dokończył zgryźliwie Raistlin. A teraz musimy skupić uwagę na bardziej naglących sprawach. Masz rację, bracie. Potrzebujemy jedzenia i ciepłego ubrania, a tu raczej go nie znajdziemy. Czas, do którego się przenieśliśmy, to mniej więcej sto lat po Katakлизmie. Ta Wieża – machnął ręką – stała opuszczona przez te wszystkie lata. Strzegą jej teraz stwory ciemności przywołane przekleństwem czarodzieja, którego ciało wciąż tkwi nabite na kolce wieńczące bramę pod nami. Wokół Wieży wyrósł zagajnik Shoikan i nikt już na Krynnie nie ośmielił się tu wejść.

Nikt prócz mnie, oczywiście. Nie, do środka nikt nie wejdzie. Strażnicy jednak nie przeszkodzą jednemu z nas, na przykład tobie, mój bracie, wyjść na zewnątrz. Udasz się do Palanthas i kupisz prowiant i ubrania. Mógłbym je wyczarować, ale nie odważę się zużyć niepotrzebnie energii w czasie, jaki dzieli chwilę obecną od czasu, gdy przestąpię, to znaczy ja i Crysania przestąpimy, próg portalu.

Caramon otworzył szeroko oczy. Spojrzał na poczerńiałe od sadzy szyby i pomyślał o budzących grozę opowieściach o zagajniku Shoikan znajdującym się za oknem.

– Dam ci czar, który cię ochroni, mój bracie – dodał poirytowany Raistlin na widok wystraszonej miny Caramona. – Prawdę mówiąc, amulet będzie ci niezbędny, ale nie po to, by ułatwić ci przejście przez zagajnik. Znacznie niebezpieczniej jest tutaj. Strażnicy są mi posłuszni, lecz łakną twojej krwi. Nie wystawiaj nawet nosa poza ten pokój beze mnie. Pamiętaj o tym. Ty także, pani Crysanio.

– Gdzie jest... ten portal? – spytał niespodziewanie Caramon.

– W laboratorium nad nami, na szczycie wieży – odparł Raistlin. – Portale trzymane w najbezpieczniejszych miejscach, jakie czarodzieje umieli wymyślić, są bowiem, jak sobie możesz wyobrazić, nadzwyczaj groźne!

– To w stylu czarodziejów bawić się czymś, czego nie powinni byli w ogóle ruszać – burknął Caramon. – Na bogów, po co stwarzali bramę do Otchłani?

Składając razem czubki palców, Raistlin popatrzył w ogień, przemawiając do płomieni, jakby tylko one mogły go zrozumieć.

– Wiele rzeczy powstaje z żądzy wiedzy. Niektóre są dobre i przynoszą pożytek nam wszystkim. Miecz w twoim ręku, Caramonie, jest narzędziem broniącym sprawiedliwości, prawdy i niewinnych ludzi. Oręż ten jednakże w rękach kogoś takiego, jak powiedzmy nasza ukochana siostra Kitiara, rozplata głowy niewinnych, jeśli tylko przyjdzie jej na to ochota. Czy to wina twórcy miecza?

– N... – zaczął Caramon, lecz jego bliźniak zlekceważył go.

– Dawno temu, w Wieku Snów, kiedy czarodziejów szanowano, a magia kwitła na Krynnie, pięć Wież Najwyższej Magii wznosiło się niczym latarnie promieniujące blaskiem na czarnym morzu ignorancji, jakim był nasz świat. Tam odprawiano wielkie czary przynoszące pożytek wszystkim. Istniały plany jeszcze większych przedsięwzięć. Kto wie, może teraz latalibyśmy unoszeni przez wiatr, przemierzalibyśmy niebiosa niczym smoki. Może nawet opuścilibyśmy ten nędzny świat i zamieszkali inne... daleko... daleko...

Jego głos stał się łagodny i wyciszony. Caramon i Crysania stali całkiem nieruchomo, zauroczeni jego tonem i wizją jego czarów.

Mag westchnął. – Nie tak jednak miało się stać. W swej żądzy przyspieszenia finału wielkiego dzieła czarodzieje doszli do wniosku, że muszą mieć możliwość porozumiewania się bezpośrednio ze sobą od Wieży do Wieży bez konieczności użycia nieporęcznych zaklęć teleportacyjnych. Tak więc skonstruowano portale.

– I udało im się? – Oczy Crysanii zabłyśły ze zdumienia.

– Udało im się! – parsknął Raistlin. – I to lepiej niż sobie wyobrażali w najdzikszych snach – ściszył głos – i w najstraszniejszych koszmarach. Portale bowiem nie tylko uczyniły możliwym połączenie jednym krokiem z każdą oddaloną Wieżą i czarodziejską twierdzą – lecz także z królestwami bogów, co ku swej zgubie odkrył pewien niezdarny czarodziej mego własnego zakonu.

Raistlin zadrżał nagle, owinął się ściślej czarnymi szatami i przysunął bliżej do ognia.

– Kuszony przez Królową Ciemności, tak jak tylko ona potrafi wodzić na pokuszenie każdego śmiertelnika, kiedy zechce – Raistlin pobladł na twarzy – czarodziej ów użył portalu, by wejść do jej królestwa i zdobyć nagrodę, jaką mu co noc proponowała we śnie. – Raistlin zaśmiał się gorzko i szyderczo. – Głupiec! Co się z nim stało, nikt nie wie. On nigdy już nie przestąpił tych wrót. Natomiast Królowa tak. A wraz z nią nadeszły legiony smoków...

– Pierwsza smocza wojna! – jęknęła Crysania.

– Tak, ściągnięta na nasze głowy przez jednego z mych kolegów po fachu, człowieka pozbawionego dyscypliny i samokontroli. Takiego, który dał się uwieść... – Raistlin urwał i pośpiesznie utkwiał wzrok w płomieniach.

– Ale ja o tym nigdy nie słyszałem! – zaprotestował Caramon. – Zgodnie z legendami, smoki zebrały się...

– Twoja znajomość historii ogranicza się do bajek na dobranoc, mój bracie! – stwierdził niecierpliwie Raistlin.

– I tylko udowadnia, jak niewiele wiesz o smokach. To są niezależne stworzenia, dumne, samolubne i całkowicie niezdolne do zgromadzenia się choćby po to, by ugotować obiad, a co dopiero zgrać jakiegokolwiek działania wojenne. Nie, Królowa Ciemności zstąpiła wtedy na nasz świat całkowicie, nie tylko w postaci cienia, jakim była podczas naszych z nią zmagających. Wydała światu wojnę i dopiero wielkie poświęcenie Humy przegnało ją z powrotem.

Raistlin przerwał, przykładając dłonie do warg i zamyślając się. – Niektórzy powiadają, że Huma nie użył smoczey lancy, aby zniszczyć jej powłokę materialną, jak głosi legenda. Raczej lanca ta miała jakąś magiczną właściwość, która pozwoliła mu przegnać ją za portal i zamknąć go. Fakt, że udało mu się ją wypędzić, udowadnia, że na tym świecie można ją pokonać. – Raistlin zawzięcie spoglądał w płomienie. – Gdyby był wtedy przy portalu ktoś, ktoś obdarzony prawdziwą mocą, gdy Królowa przezeń przechodziła, ktoś zdolny zniszczyć ją całkowicie, zamiast tylko odpędzać, wtedy historia mogłaby zostać napisana od początku.

Nikt się nie odezwał. Crysania patrzyła w ogień, być może widząc tę samą wspaniałą wizję co arcymag. Caramon przyglądał się twarzy swego bliźniaczego brata.

Raistlin nagle oderwał wzrok od płomieni, a w jego oczach błysnęło czyste i zimne skupienie. – Kiedy jutro nabiorę sił, wejdę na górę do laboratorium. Sam – jego srogie spojrzenie padło zarówno na Crysanię, jak i Caramona – i zacznę przygotowania. Ty, pani, zacznij lepiej rozmawiać ze swym bogiem.

Crysania nerwowo przełknęła ślinę. Z drżeniem przysunęła swój fotel bliżej do ognia. Nagle Caramon zerwał się na nogi i stanął przed nią. Nachylił się, złapał ją za ramiona silnymi dłońmi i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

– To szaleństwo, pani – rzekł cicho i ze współczuciem. – Pozwól mi zabrać cię z tego mrocznego miejsca! Jesteś zalękniona i masz powód, by się bać! Może nie wszystko, co Par-Salian powiedział o Raistlinie, jest prawdą. Może również nie wszystko, co ja o nim myślałem, jest prawdą. Może źle go osądziłem. To jednak widzę jasno, pani. Jesteś przerażona i ja cię za to nie winię! Niech Raistlin uczyni to sam! Niech on rzuca wyzwanie bogom, skoro tego pragnie! Ty jednak nie musisz iść z nim! Wróć do domu! Pozwól, że zabiorę cię z powrotem do naszych czasów, z dala od tego miejsca.

Raistlin nic nie powiedział, ale jego myśli rozbrzmiewały w umyśle Crysanii tak wyraźnie, jakby mówił: Słyszałaś króla-kapłana! Powiedziałaś sama, że rozumiałaś jego błąd! Paladine patrzy na ciebie łaskawie. Nawet w tym mrocznym miejscu wysłuchuje twych modlitw. Jesteś jego wybranką! Ty odniesiesz zwycięstwo tam, gdzie królowi-kapłanowi się nie powiodło! Chodź ze mną, Crysanio. To nasze przeznaczenie!

– Boję się – powiedziała Crysania, łagodnie zdejmując ręce Caramona ze swych barków. –

I doprawdy wzruszona jestem twoją troską. Jednak ten mój lęk jest słabością, którą muszę w sobie zwalczyć. Przy pomocy Paladine'a pokonam go, zanim przekroczę próg portalu z twym bratem.

– Niech więc tak się stanie – oświadczył posepnie Caramon i odwrócił się.

Raistlin uśmiechnął się. Jednak ten mroczny, potajemny uśmiech nie znalazł odbicia ani w jego oczach, ani w głosie.

– A teraz, Caramonie – rzekł kąśliwie – skoro już skończyłeś wtrącać się do spraw, których nie jesteś w stanie całkowicie pojąć, przygotuj się lepiej do podróży. Jest już późny ranek. Właśnie otwierają rynki, takie, jakie istnieją w tych ponurych czasach. – Sięgnąwszy do kieszeni swych czarnych szat, Raistlin wyjął kilka monet i rzucił je bratu.

– To powinno wystarczyć na nasze potrzeby.

Caramon złapał je bez zastanowienia. Potem zawahał się i spojrzał na brata z tą samą miną, jaką Crysania widziała na jego twarzy w świątyni w Istar. Przypomniała sobie, że pomyślała wtedy: Cóż za straszliwa nienawiść... cóż za straszliwa miłość!

Wreszcie Caramon spuścił oczy i wsunął pieniądze za pas.

– Podejdź tu do mnie, Caramonie – rzekł cicho Raistlin.

– Po co? – wymamrotał wojownik, nabrawszy nagle podejrzeń.

– Cóż, istnieje kwestia tej żelaznej obroży na twojej szyi. Czy chciałbyś wciąż paradować po ulicach z oznaką niewolnictwa? Poza tym chodzi jeszcze o talizman. – Raistlin mówił to spokojnie. Widząc, że Caramon wciąż się waha, dodał: – Nie radziłbym ci opuszczać tego pokoju bez niego. Skoro jednak tak postanowiłeś...

Obejrawszy się na widmowe twarze, które wciąż obserwowały ich uważnie z cienia, Caramon stanął przed bratem z rękoma założonymi na piersi. – Co teraz? burknął.

– Uklęknij przede mną.

Oczy rozbłyły Caramonowi z gniewu. Zmełł w ustach palące przekleństwo, lecz kiedy ukradkiem obejrzał się na Crysanię, zdusił w sobie te słowa.

Błada twarz Raistlina sprawiała wrażenie zasmuconej. Czarodziej westchnął. – Jestem wycieńczony, Caramonie. Nie mam siły, by wstać. Proszę...

Zaciskając zęby, Caramon powoli schylił się i przykleknął na jedno kolano, tak że znalazł się na tym samym poziomie, co jego wątlę, ubrany na czarno bliźniaczy brat.

Raistlin cicho wymówił słowo. Żelazna obręcz pękła i spadła z karku Caramona, lądując z brzękiem na podłodze.

– Podejdź bliżej – rzekł Raistlin.

Przełykając ślinę i pocierając szyję, Caramon usłuchał, choć patrzył na brata z goryczą. – Robię to tylko dla Crysanii – powiedział głosem pełnym napięcia. – Gdyby chodziło tylko o ciebie i o mnie, pozwoliłbym ci zgnieć w tym parszywym miejscu!

Wyciągnawszy ręce, Raistlin wziął głowę bliźniaka w swe dłonie czułym, niemal pieszczotliwym gestem. – Zrobiłbyś to, mój bracie? – spytał mag tak cicho, że był to prawie szept. – Zostawiłbyś mnie? A tam, w Istar, naprawdę zabiłbyś mnie?

Caramon spojrział tylko na niego, nie był w stanie odpowiedzieć. Wtedy Raistlin nachylił się i ucałował brata w czoło. Caramon drgnął, jakby został dotknięty rozpalonym do czerwoności żelazem.

Raistlin wypuścił go z rąk.

Caramon patrzył na niego z udręką. – Nie wiem! – szepnął, załamany. – Niech mi bogowie pomogą, nie wiem!

Drżąc, zaszłochał i zasłonił twarz dłońmi. Spuścił głowę na kolana brata.

Raistlin pogładził bliźniaka po brązowych, kędzierzawych włosach. – Już dobrze, Caramonie – rzekł łagodnie. Obdarzyłem cię magicznym znakiem. Stwory ciemności nie mogą ci wyrządzić krzywdy dopóty, dopóki ja tu jestem.

Rozdział V

Caramon stał w drzwiach gabinetu, zaglądając w ciemność korytarza – ciemność, którą ożywiały szepty i oczy. Obok niego stał Raistlin i jedną rękę trzymał na ramieniu bliźniaka, a w drugiej ścisnął laskę Magiusa.

– Wszystko będzie dobrze, mój bracie – powiedział cicho Raistlin. – Zaufaj mi.

Caramon kątem oka zerknął na bliźniaczego brata. Kiedy Raistlin zauważył jego spojrzenie, uśmiechnął się sardonicznie. – Poślę z tobą jednego z nich – ciągnął mag, wykonując gest smukłą dłonią.

– Wolałbym nie! – wymamrotał Caramon, patrząc wrogo na znajdującą się najbliżej niego parę bezcielesnych oczu, które przysunęły się jeszcze bliżej.

– Zajmij się nim – rozkazał oczom Raistlin. – On znajduje się pod moją opieką. Widzisz mnie? Wiesz, kim jestem?

Oczy spuściły z czcią wzrok, po czym popatrzyły zimno i upiornie na Caramona. Ogromny wojownik zadrżał i obejrzał się po raz ostatni na Raistlina. Napotkał srogą i zaciętą minę brata.

– Ci strażnicy przeprowadzą cię bezpiecznie przez zagajnik. Możesz mieć jednakże więcej powodów do obaw, kiedy już stąd wyjdiesz. Strzeż się, mój bracie. To miasto nie jest tym cudnym, spokojnym zakątkiem, jakim się stanie za dwieście lat. Obecnie tłoczą się w nim uciekinierzy, którzy żyją w rynsztokach, na ulicach, gdzie tylko mogą. Każdego poranka stukoczą po bruku wozy zabierające zwłoki tych, którzy umarli w nocy. Napotkasz tam ludzi gotowych zamordować cię dla twych butów. Kup w pierwszym rzędzie miecz i noś go jawnie w rękę.

– Już ja się będę martwić o miasto – warknął Caramon. Odwrócił się raptownie i oddalił korytarzem, starając się bez większego skutku ignorować blade, pałające oczy, które unosiły się na wysokości jego ramienia.

Raistlin odprowadzał brata wzrokiem, dopóki wraz ze strażnikiem nie opuścili kręgu magicznego światła laski i nie zostali pochłonięci przez hałaśliwą ciemność. Zaczekawszy do chwili, gdy ucichły ciężkie kroki brata, Raistlin odwrócił się i ponownie wszedł do gabinetu.

Pani Crysania siedziała w swym fotelu i bezskutecznie usiłowała przeczesać palcami zmierzwione włosy. Raistlin podszedł bezgłośnie, by stanąć nie zauważony obok niej, sięgnął do jednej z kieszeni w swych czarnych szatach i wyjął stamtąd garść drobnego, białego piasku. Zaszedł kobietę od tyłu, uniósł rękę i wysypał piasek na jej ciemne włosy.

– Ast tasark simiralan krynawi – szepnął Raistlin. Prawie natychmiast głowa Crysanii opadła, powieki jej się zamknęły i kobieta pogrzyżyła się w głębokim, zaczarowanym śnie. Stając przed nią, Raistlin przyglądał jej się przez długą chwilę.

Choć zmyła plamy łez i krwi z twarzy, ślady podróży przez ciemność wciąż były widoczne

w postaci błękitnych cieni pod jej drugimi rzęsami, rozcięcia na wardze i bladości cery. Raistlin wyciągnął rękę i delikatnie odsunął włosy, które spadały jej na oczy ciemnymi pasmami.

Gdy w komnacie zrobiło się cieplej od ognia, Crysania zrzuciła aksamitną kotarę, której używała zamiast koca. Białe szaty, podarte i splamione krwią, rozsunęły jej się pod szyją. Raistlin widział przez białą tkaninę miękkie krągłości jej piersi wznoszących się i opadających w rytm głębokiego, równomiernego oddechu.

– Gdybym był jak inni mężczyźni, byłaby moja rzekł cicho.

Trzymał dłoń w pobliżu jej twarzy, owijając wokół palców pasemka jej ciemnych, sprężystych włosów.

– Nie jestem jednak taki, jak inni mężczyźni – szepnął Raistlin. Wypuścił z rąk jej włosy i narzucił aksamitną zasłonę na jej ramiona, przykrywając całą śpiącą postać. Crysania uśmiechnęła się, być może do jakiegoś słodkiego snu, i wtuliła się głębiej w fotel, wspierając policzek na dłoni i kładąc głowę na poręczy.

Dłoń Raistlina musnęła gładką skórę jej lic, co obudziło w nim żywe wspomnienia. Zadrżał. Wystarczyło, by odwrócił zakłęcie usypiające, objął ją i wziął w ramiona, jak wtedy, gdy rzucił czar, który ich tu sprowadził. Mogliby spędzić godzinę sami, zanim wróci Caramon...

– Ja nie jestem taki, jak inni mężczyźni! – warknął Raistlin.

Kiedy raptownie oddalił się, jego ponury wzrok napotkał czujne, obserwujące oczy strażników.

– Pilnujcie jej, póki nie wrócę – polecił kilku na wpół widocznym, unoszącym się w powietrzu widmom, które czyhały w mrokach zakamarków gabinetu. – Wy dwaj rozkazali tym, którzy byli przy nim, gdy się obudził – dotrzymacie mi towarzystwa.

– Tak, panie – odszepnęli. Gdy padła na nich poświata laski, dało się zauważyć niewyraźne kontury czarnych szat.

Po wyjściu na korytarz Raistlin starannie zamknął za sobą drzwi do gabinetu. Ścisnął w dłoni laskę, wymówił cicho słowo rozkazu i natychmiast przeniósł się do laboratorium na szczycie Wieży Wielkiej Magii.

Nawet nie zdążył zaczerpnąć tchu, kiedy po wyłonieniu się z mroku został zaatakowany.

Wokół niego rozległo się wściekłe wycie i wrzaski. Nie wiadomo skąd wyskoczyły ciemne kształty i ośmieliwszy się wkroczyć w zasięg światła laski, zacisnęły mu kościano-białe palce na „szyi i szarpały go za szaty. Tak szybka i niespodziewana była ta napaść i tak przerażające odczucie nienawiści, że mało brakowało, a Raistlin straciłby nad sobą panowanie.

Odzyskał je jednak natychmiast. Zataczając szeroki krąg laską i wykrzykując chrapliwie słowa magii, przepędził upiory.

– Porozmawiajcie z nimi – rozkazał dwom towarzyszącym mu strażnikom. – Powiedzcie im, kim jestem!

– To Fistantilus – usłyszał przez szum w uszach... choć jego czas jeszcze nie nadszedł, jak mówi przepowiednia... jakiś magiczny eksperyment...

Czując, jak z osłabienia kręci mu się w głowie, Raistlin dowlókł się do fotela i padł nań. Obrzucając siebie gorzkimi przekleństwami, że nie był przygotowany na tak zaciekły atak, i przeklinając swe wątłe ciało, które znów odmawiało mu posłuszeństwa, wytarł krew z poszarpanej rany na twarzy i starał się nie zemdleć.

To twoja sprawka, moja Królowo. Jego myśli przedzierały się przez mgłę cierpienia. Nie ośmielasz się otwarcie ze mną walczyć. Jestem dla ciebie zbyt potężny na tej mojej – płaszczyźnie egzystencji! Ty masz swój przyczółek na tym świecie. Już teraz Twa świątynia pojawiła się w swej wypaczonej postaci w Nerace. Obudziłaś złe smoki. Kradną właśnie jaja dobrych smoków. Mimo to wrota pozostają zamknięte, a kamień fundamentów unieruchomiła pełna poświęcenia miłość. I to był twój błąd. Teraz bowiem przez swe zstąpienie na naszą płaszczyznę umożliwiłaś nam wejście na swoją! Nie mogę jeszcze cię osiągnąć... ty nie możesz osiągnąć mnie... Nadejdzie jednak taka chwila... nadejdzie...

– Źle się czujesz, panie? – Rozległ się tuż przy nim bojaźliwy głos. – Przykro nam, że nie zdołaliśmy powstrzymać ich przed wyrządzeniem ci krzywdy, ale poruszasz się zbyt szybko! Proszę, wybacz nam. Pozwól pomóc...

– Nie możecie nic zrobić! – warknął Raistlin i zaniósł się kaszlem. Poczul, że ból w klatce piersiowej ustępuje. – Dajcie mi chwilę... pozwólcie mi odetchnąć. Wypędźcie stąd tamtych.

– Tak, panie.

Zamykając oczy i czekając, aż ustąpią straszliwe zawroty głowy i bóleści, Raistlin siedział w mroku przez godzinę i zastanawiał się nad swymi planami. Potrzebował dwóch tygodni nieprzerwanego wypoczynku i nauki, by się przygotować. Ten czas znajdzie tu z łatwością. Crysania należała do niego pójdzie za nim dobrowolnie, a nawet chętnie, przywołując moc Paladine'a, by pomóc mu w otworzeniu portalu i toczeniu bojów z przerażającymi strażnikami po drugiej stronie.

Dysponował wiedzą Fistantilusa, którą mag gromadził przez setki lat. Miał też swą własną wiedzę oraz siłę tego młodego ciała. Do czasu, gdy będzie gotów przestąpić próg portalu, osiągnie szczyt swej potęgi – stanie się największym arcymagiem, jaki kiedykolwiek żył na Krynnie!

Ta myśl pocieszyła go i dodała mu energii. Zawroty głowy wreszcie ustąpiły, ból zelżał. Czarodziej wstał i rozejrzał się szybko po laboratorium. Oczywiście poznawał je. Wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wszedł do niego w przeszłości, która teraz była odsunięta dwieście lat w przyszłość. Wtedy przybył w potędze – zgodnie z przepowiednią. Bramy się otworzyły, a złowrody strażnicy nie napadli na niego, lecz powitali go z czcią.

Spacerując po laboratorium i przyświecając sobie laską Magiusa, Raistlin rozglądał się

z zaciekawieniem. Zauważył osobliwe, zdumiewające zmiany. Wszystko powinno wyglądać dokładnie tak, jak wtedy, gdy przybędzie za dwieście lat. Mimo to stojąca teraz w całości karafka była rozbita, kiedy ją znalazł. Księgę czarów, która teraz spoczywała na kamiennym stole, zastał wtedy na posadzce.

– Czy strażnicy ruszają przedmioty? – zapytał parę, która mu towarzyszyła. Zaszleścił szatami, idąc na tyły olbrzymiej pracowni do Drzwi, Których Nigdy Nie Otwierano.

– Ależ nie, panie – odrzekł wstrząśnięty tym jeden z nich. – Nie wolno nam niczego dotykać.

Raistlin wzruszył ramionami. W ciągu dwustu lat może się wydarzyć wiele rzeczy odpowiedzialnych za taki stan. – Być może kolejne trzęsienie ziemi – powiedział do siebie, tracąc zainteresowanie sprawą, gdy zbliżył się do cienia, w którym krył się wielki portal.

Unosząc laskę Magiusa, poświecił nią przed sobą. Cienie umknęły z odległego kąta pracowni, gdzie znajdował się portal z platynowymi rzeźbami pięciu smoczycich głów i ogromnymi drzwiami ze srebra i stali, których nie mógł otworzyć żaden klucz na Krynnie.

Raistlin podniósł wysoko laskę... i jęknął.

Przez dłuższą chwilę był w stanie wyłącznie patrzeć. Oddech charczał mu w płucach, a myśli w głowie kłębiły się i płonęły. Potem przejmujący wrzask jego gniewu, wściekłości i furii przeszył żywą tkaninę ciemności Wieży.

Tak straszny był to krzyk niosący się echem po ciemnych korytarzach wieży, że złowrodzy strażnicy zaszyli się w swych cieniach sądząc, iż to ich straszliwa Królowa odwiedziła ich znienacka.

Caramon usłyszał krzyk, gdy mijał drzwi na dole wieży. Zadrzał zdjęty zgrozą, upuścił pakunki i dygocącymi dłońmi zapalił przyniesioną pochodnię. Potem obnażywszy klingę swego nowego miecza, zwalisty wojownik popędził po schodach po dwa stopnie na raz.

Wpadając do gabinetu, dostrzegł panią Crysanię, która rozglądała się w sennym zalęknieniu.

– Usłyszałam krzyk – powiedziała, przecierając oczy i stając na nogi.

– Nic ci nie jest? – wysapał Caramon, starając się złapać oddech.

– Nie, skądże – rzekła zaskoczona i uświadomiła sobie, o czym pomyślała. – To nie ja. Musiałam usnąć. Ten dźwięk zbudził mnie...

– Gdzie jest Raistlin? – zadał pytanie Caramon.

– Raistlin? – powtórzyła z zaniepokojeniem i chciała wyminąć Caramona, gdy ten ją przytrzymał.

– To dlatego spałaś – powiedział ponuro, otrzepując delikatny, biały piasek z jej włosów. – Zakłęcie usypiające.

Crysania zamrugła powiekami. – Po co...

– Dowiemy się.

– Wojownikowi – powiedział mu prawie do ucha jakiś głos.

Odwracając się raptownie, Caramon zasłonił sobą Crysanię i wznosił miecz, gdy nagle z mroku wyłoniła się widmowa postać w czarnej szacie. – Szukasz czarodzieja? Jest na górze, w laboratorium. Potrzebna mu jest pomoc, a nam rozkazano go nie dotykać.

– Ja pójdę – powiedział Caramon. – Sam.

– Idę z tobą – oświadczyła Crysania. – Idę z tobą – powtórzyła stanowczo w odpowiedzi na ponury grymas Caramona.

Caramon chciał się wykłócać, ale przypomniał sobie, że ona jest kapłanką Paladine'a i raz już użyła swych mocy przeciw tym istotom ciemności, wzruszył ramionami i ustąpił, choć bardzo niechętnie.

– Co mu się stało, jeśli zabroniono wam go dotykać? burknął Caramon do widma, za którym wraz z Crysania wyszedł z gabinetu na ciemny korytarz. – Trzymaj się blisko mnie – mruknął do Crysanii, choć nie trzeba było jej tego nakazywać.

Jeśli ciemność przedtem wydawała się ożywiona, teraz chichotała i bełkotała, drgała i pulsowała życiem, gdy przejęci krzykiem strażnicy wylegli na korytarze. Choć Caramon miał obecnie na sobie ciepłe ubranie, które nabył na rynku, trząsł się konwulsyjnie z zimna promieniującego z ciał żywych trupów. Obok niego Crysania dygotała tak mocno, że ledwo mogła iść.

– Daj mi potrzymać pochodnię – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Caramon podał jej żagiew, po czym objął ją w pasie prawym ramieniem i przyciągnął bliżej siebie. Ona zaś objęła jego i oboje czerpali otuchę z kontaktu z żywym ciałem podczas wspinania się po schodach śladami upiora.

– Co się stało? – spytał Caramon raz jeszcze, lecz widmo nie odpowiedziało. Pokazało jedynie na szczyt spiralnych schodów.

Trzymając miecz w lewej ręce, która dla niego była ręką do walki, Caramon szedł wraz z Crysania za widmem płynącym nad schodami w tańczącej i migotliwej poświacie, którą rzucała pochodnia.

Po zdającej się nie mieć końca wspinaczce dotarli na samą górę Wieży Najwyższej Magii. Oboje byli obolali, przestraszeni i zmarznięci do szpiku kości.

– Musimy odpocząć – wymamrotał Caramon wargami tak zziębniętymi, że prawie nie sposób było go zrozumieć. Crysania oparła się o niego z zamkniętymi oczyma i ciężko dyszała. Caramon nie sądził, że zdoła wejść na jeszcze jedno piętro, a był przecież we wspaniałej kondycji.

– Gdzie jest Raist – Fistantilus? – wyjąkała Crysania, gdy jej oddech się wyrównał.

– W środku. – Widmo znów pokazało, tym razem zamknięte drzwi, a gdy uniosło rękę, drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Z pomieszczenia po drugiej stronie buchnęło mroczną falą zimne powietrze, targając włosy

Caramona i łopocąc peleryną Crysanii. Przez chwilę Caramon nie mógł się ruszyć. Zło bijące z wnętrza tej komnaty porażało. Mimo to Crysania ścisnęła mocno w palcach medalion Paladine'a i ruszyła naprzód.

Caramon odciągnął ją do tyłu. – Pozwól mi najpierw wejść.

Crysania posłała mu zmęczony uśmiech. – W każdym innym przypadku, wojowniku – rzekła – udzieliłabym ci tego przywileju. Tutaj jednakże medalion, który trzymam, jest równie groźną bronią, co twój miecz.

– Nie potrzebujecie żadnego oręża – stwierdził chłodno upiór. – Mistrz polecił nam dopilnować, aby nie stała wam się krzywda. Wypełnimy jego rozkaz.

– A jeśli on nie żyje? – spytał oschle Caramon, czując, jak Crysania sztywnieje ze strachu.

– Gdyby on umarł – odrzekło widmo i oczy mu zabłyśły – wasza ciepła krew byłaby już na naszych wargach. Wejdźcie teraz.

Caramon z wahaniem wszedł do pracowni, Crysania stąpała tuż za nim. Kapłanka podniosła pochodnię i trzymała ją wysoko, gdy oboje zatrzymali się i rozejrzeli.

– Tam – szepnął Caramon. Nierozzerwalna więź istniejąca pomiędzy bliźniakami od urodzenia sprawiła, że od razu znalazł ciemny kształt, który ledwo było widać na posadzce w głębi laboratorium.

Zapomniawszy o swych obawach, Crysania zbliżyła się biegiem, a Caramon podążył za nią znacznie wolniej, uważnie badając wzrokiem ciemność.

Raistlin leżał na boku z kapturem naciągniętym na twarz. Laska Magiusa znajdowała się w pewnym oddaleniu od niego i nie świeciła się już, zupełnie jakby Raistlin – w przypływie rozgoryczenia i gniewu – odrzucił ją od siebie. Najwyraźniej laska stłukła w locie karafkę i strąciła księgę zaklęć na podłogę.

Podając Caramonowi łuczywo, Crysania uklękła obok maga i poszukała tętna na jego szyi. Puls był słaby i nierówny, ale mężczyzna żył. Kapłanka westchnęła z ulgą, po czym potrząsnęła głową. – Nic mu nie jest. Jednak nie rozumiem, co mu się stało?

– Nie został skrzywdzony na ciele – rzekł upiór, unosząc się w powietrzu w ich pobliżu. – Przyszedł do tej części laboratorium, jakby czegoś szukał. Potem zbliżył się tutaj, mamrocząc coś o portalu. Z wysoko wzniesioną laską stał tu, gdzie teraz leży, i patrzył wprost przed siebie. Wtedy wrzasnął, odrzucił laskę precz i upadł na podłogę, miotając przekleństwa z wściekłości tak długo, aż stracił przytomność.

Wprawiony w zdumienie Caramon uniósł pochodnię wyżej. – Ciekawe, co tu się mogło stać? – mruknął. Przecież tu niczego nie ma! Niczego poza pustą, gołą ścianą!

Rozdział VI

Jak on się miewa?

spytała cicho Crysania, wchodząc do pokoju. Zsunawszy biały kaptur z głowy, rozwiązała troczki peleryny, by Caramon mógł ją zdjąć z jej ramion.

– Jest niespokojny – odparł wojownik, zerkając w stronę ciemnego kąta. – Niecierpliwie czekał na twój powrót.

Crysania westchnęła i przygryzła wargę. – Żałuję, że nie mam lepszych wieści – szepnęła.

– A ja jestem z tego zadowolony – rzekł ponuro Caramon, wieszając płaszcz Crysanii na krześle. – Może w końcu da spokój temu obłąkańczemu pomysłowi i wróci do domu.

– Nie mogę... – zaczęła Crysania, lecz jej przerwano.

– Jeśli już całkiem skończyliście, cokolwiek tam robicie po ciemku, może zbliżyłabyś się do mnie, pani, i powiedziała, czego się dowiedziałaś.

Crysania zaczerwieniła się po uszy. Spojrzała na Caramona z irytacją i pośpieszyła do Raistlina, który leżał na pościeli blisko ognia.

Wybuch gniewu wiele kosztował maga. Caramon przeniósł go z pracowni, w której znalazł go leżącego przed pustą ścianą, do gabinetu. Crysania przygotowała pościel na podłodze, a potem bezradnie przyglądała się, jak Caramon zajmuje się bratem równie tklawie, jak matka chorym dzieckiem. Jednakże nawet ten olbrzym niewiele mógł zrobić dla swego wątłego bliźniaka. Raistlin leżał bez przytomności przez ponad dzień; mamrocząc dziwne słowa przez sen. Raz ocknął się i krzyknął ze strachu, ale natychmiast potem pograżył się ponownie w mroku, w którym wędrował.

Nawet Caramon nie ośmielił się dotknąć magicznej laski i zmuszony był ją zostawić w pracowni, toteż pozbawiony jej blasku, kulił się wraz z Crysania przy Raistlinie. Podsycali ogień, by płonął jasno, lecz oboje stale mieli świadomość, że strażnicy Wieży czyhają na nich w mroku.

Wreszcie Raistlin zbudził się. Pierwsze, co uczynił, to rozkazał Caramonowi przygotować swój napój, a po wypiciu go mógł już wysłać jednego ze strażników po swą laskę. Potem skinął na Crysanię. – Musisz pójść do Astinusa wyszeptał.

– Do Astinusa! – powtórzyła zdumiona. – Tego historyka? Ale po co? Nic nie rozumiem...

Raistlinowi błyszczały oczy, a na jego bladych policzkach pałały jaskrawo gorączkowe rumieńce. – Tu nie ma portalu! – warknął, zgrzytając zębami w bezsilnej furii. Zacisnął dłonie i niemal natychmiast zaczął kaszleć. Spojrzał wściekle na Crysanię. – Nie marnuj mojego czasu na głupie pytania! Idź już! – rozkazał z tak strasznym gniewem, że spłoszona kobieta odsunęła się. Raistlin padł na poduszki, sapiąc i dysząc.

Caramon zerknął na Crysanię z z troskaniem. Kapłanka zbliżyła się do biurka i spojrzała

nieprzytomnym wzrokiem na niektóre z podartych i nadpalonych ksiąg magicznych, jakie na nim leżały.

– Proszę, poczekaj chwilę, pani – rzekł cicho Caramon, wstając i podchodząc do niej. – Chyba nie zamierzasz pójść tam? Kim jest ten Astinus, jeśli o to chodzi? I jak chcesz przedostać się przez zagajnik bez amuletu?

– Mam go – szepnęła Crysania. – Dał mi go twój brat, kiedy... kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Co do Astinusa, jest on zarządcą wielkiej biblioteki w Palanthas, kronikarzem historii Krynnu.

– Może jest nim w naszych czasach, ale teraz tu go nie ma! – rzekł poirytowany Caramon. – Pomyśl tylko, pani!

– Ja myślę – warknęła Crysania, mierząc go gniewnym wzrokiem. – Astinus jest znany jako Ponadwieczny. Legendy mówią, że był pierwszym, który postawił stopę na Krynnie, i będzie ostatnim, który go opuści.

Caramon spojrzał na nią sceptycznie.

– On zapisuje mijające wydarzenia historii. Zna wszystko, co stało się w przeszłości i dzieje się w teraźniejszości. Mimo to... – Crysania obejrzała się na Raistlina z zaniepokojoną miną – nie może zajrzeć w przyszłość. Tak więc nie jestem pewna, jaką pomocą może nam służyć.

Caramon, wciąż pełen wątpliwości i najwyraźniej nie wierząc nawet w połowę tej niesamowitej opowieści, długo wytaczał argumenty przeciwko wyprawie kapłanki. Determinacja Crysanii jednak tylko wzrosła, aż wreszcie Caramon uświadomił sobie, że nie ma szans. Stan Raistlina pogarszał się, zamiast polepszać. Trawiła go gorączka, chwilami bredził, a gdy wracał do siebie, pytał ze złością, dlaczego Crysania jeszcze nie poszła do Astinusa.

Tak więc stawiała czoło okropnościom zagajnika i równie zastraszającej grozie ulic Palanthas. Teraz klęczała przy łóżku maga i z bólem serca przyglądała się, jak – przy pomocy brata – mężczyzna podnosi się z wysiłkiem i wbija w nią chciwie wzrok.

– Opowiadaj wszystko! – rozkazał ochryple. – Dokładnie tak, jak się działo. Niczego nie pomijaj.

Kiwając w milczeniu głową, wstrząśnięta wciąż budzącą lęk drogą przez wieżę, Crysania starała się opanować i pozbierać myśli.

– Udałam się do wielkiej biblioteki i... i poprosiłam o widzenie z Astinusem – zaczęła, nerwowo wygładzając fałdy prostej, białej sukni, którą przyniósł jej Caramon, by zastąpić poplamioną krwią szatę, jaką nosiła dotychczas. Estetycy nie chcieli mnie wpuścić, lecz wtedy pokazałam im medalion Paladine'a. Jego widok wprawił ich w konsternację, jak możesz sobie wyobrazić. – Uśmiechnęła się.

– Uplłynęło sto lat od chwili, gdy starzy bogowie zesłali jakiś znak, więc wreszcie jeden z mnichów pośpieszył donieść o tym Astinusowi.

Po pewnym czasie zaprowadzono mnie do jego komnaty, w której przesiaduje cały dzień i wielekroć długo w nocy, zapisując historię świata. – Crysania przerwała, przestraszona intensywnością świdrującego wzroku Raistlina. Zdawało się, że mag wyrwałby jej słowa z ust, gdyby tylko mógł.

Odwróciwszy oczy na chwilę, by się opanować, kapłanka kontynuowała, patrząc teraz w ogień. – Weszłam do pokoju, a on... on po prostu siedział i nie zwracał na mnie uwagi. Wtedy estetyk, który mi towarzyszył, przedstawił mnie: „Crysania z rodu Tariniusów”, tak jak kazałeś, bym mu powiedziała, i wtedy...

Przerwała i zmarszczyła lekko czoło.

Raistlin drgnął. – Co?

– Wtedy Astinus uniósł głowę – rzekła Crysania zdziwionym głosem, odwracając się ku Raistlinowi. Przerwał pisanie i odłożył pióro, i powiedział: „To ty!” Powiedział to tak grzmiącym głosem, że się przestraszyłam, a estetyk obok mnie prawie zemdłał. Zanim jednak zdołałam cokolwiek powiedzieć, czy też spytać, co miał na myśli i skąd w ogóle mnie zna, historyk znów wziął pióro i wróciwszy do słów, które przed chwilą napisał, przekreślił je!

– Przekreślił – powtórzył w zamyśleniu Raistlin. Jego oczy były posępne i pełne roztargnienia. – Przekreślił je – powtórzył, kładąc się znów na swym posłaniu.

Widząc, że Raistlin zatopiony jest w myślach, Crysania siedziała cicho, dopóki nie spojrzał znów na nią.

– I co wtedy zrobił? – spytał słabym głosem czarodziej.

– Napisał coś powyżej miejsca, w którym zrobił błąd, jeśli to był błąd. Potem znów spojrzał na mnie i myślałam, że będzie zły. Tak samo zapewne pomyślał estetyk, czułam bowiem, że się trzęsie. Astinus jednak był całkiem spokojny. Odprawił estetyka i polecił mi usiąść. Potem spytał, po co przyszłam.

Powiedziałam mu, że szukamy portalu. Dodałam, jak mi poleciłeś, że otrzymaliśmy informację, która kazała nam sądzić, że znajduje się on w Wieży Wielkiej Magii w Palanthas, lecz po sprawdzeniu okazało się, że informacja ta była błędna. Portalu tam nie było.

Kronikarz pokiwał głową, jakby go to nie zdziwiło, i powiedział: „Portal został przeniesiony, gdy król-kapłan usiłował przejąć wieżę. Oczywiście dla celów bezpieczeństwa. Kiedyś może wrócić do Wieży Najwyższej Magii w Palanthas, lecz teraz go tam nie ma”.

„W takim razie gdzie teraz jest?” – spytałam.

Długo mi nie odpowiadał. A potem... – Tu Crysania zająknęła się i spojrzała bojaźliwie na Caramona, jakby ostrzegając go, by wziął się w garść.

Zauważywszy jej minę, Raistlin podniósł się na posłaniu. – Powiedz mi! – szorstko zażądał odpowiedzi.

Crysania zaczerpnęła tchu. Uciekłaby wzrokiem, lecz Raistlin złapał ją za nadgarstek

i pomimo swej słabości przytrzymał ją tak mocno, że nie mogła się wyrwać z jego kurczowego uścisku.

– On... on powiedział, że ta informacja będzie cię kosztować. Każdy człowiek ma swoją cenę, nawet on.

– Kosztować mnie! – powtórzył bezgłośnie Raistlin, a oczy mu pały.

Crysanía bezskutecznie próbowała się uwolnić, gdy nagle jego chwyt zacieśnił się boleśnie.

– Jaki to koszt? – dopytywał się Raistlin.

– Powiedział, że będziesz wiedział! – jęknęła Crysanía. – Powiedział, że obiecałeś mi to dawno temu.

Raistlin puścił jej nadgarstek. Crysanía odsunęła się od niego, rozcierając rękę i uciekając przed pełnym litości spojrzeniem Caramona. Ogromny mężczyzna niespodziewanie wstał i odszedł długim krokiem. Nie zwracając uwagi ani na niego, ani na Crysaníę, Raistlin opadł znów na postrzępione poduszki. Twarz miał bladą i ściągniętą, oczy zasepione i ciemne.

Crysanía wstała i poszła nalać sobie wody. Jednak ręce tak jej się trzęsły, że rozlała większość na blat biurka i zmuszona była odstawić dzbanek. Caramon zaszedł ją od tyłu, nalał wody i podał jej szklankę z wyrazem powagi na twarzy.

Kiedy Crysanía uniosła szklankę do warg, poczuła nagle, że Caramon patrzy na jej nadgarstek. Spuściła wzrok i zobaczyła na swym ciele ślady dłoni Raistlina. Odstawiając naczynie na biurko, Crysanía szybko zasłoniła szatą zranioną rękę.

– On nie chciał zrobić mi krzywdy – powiedziała cicho w odpowiedzi na srogie, milczące spojrzenie Caramona.

– Cierpienie czyni go niecierpliwym. Cóż znaczy nasz ból w porównaniu z jego męką? Ze wszystkich ludzi ty z pewnością powinieneś to rozumieć najlepiej. On jest tak przejęty swą wielką wizją, że nie dostrzega, kiedy rani innych.

Odwróciła się i podeszła do Raistlina, który leżał, przyglądając się płomieniom nieprzytomnym wzrokiem.

– Och, on dobrze wie – mruknął pod nosem Caramon. – Właśnie zaczynam sobie to uświadamiać. On wiedział od samego początku!

Astinus z Palanthas, kronikarz Krynny, zajęty był pisaniem w swej komnacie. Było późno, bardzo późno, prawdę mówiąc, już po godzinie Mrocznej Straży. Estetycy dawno już zamknęli i zabarykadowali drzwi wielkiej biblioteki. Niewielu wpuszczano za dnia, w nocy nikogo. Zasuwy jednak i zamki nic nie znaczyły dla człowieka, który wszedł do biblioteki i stał teraz przed Astinusem niczym jego cień. Historyk nie podniósł oczu znad kroniki. – Zaczynałem się już zastanawiać, gdzie jesteś – rzekł, wciąż pisząc.

– Byłem niezdrów – odparła postać, szeleszcząc czarnymi szatami. Zakaszła delikatnie, jakby wskutek przypomnienia.

– Ufam, że czujesz się już lepiej? – Astinus wciąż nie podnosił głowy.

– Powoli wracam do zdrowia – odpowiedziała postać. – Wiele spraw nadwątlę me siły.

– Siądź więc – rzekł Astinus, wskazując końcem swego pióra na krzesło i nadal nie odrywając wzroku od swego dzieła.

Postać podeszła z krzywym uśmiechem na twarzy do krzesła i siadła na nim. Na długą chwilę w komnacie zaległa cisza przerywana jedynie skrzypieniem pióra Astinusa i od czasu do czasu kaszlnięciem odzianego na czarno intruza.

Wreszcie Astinus odłożył pióro i podniósł wzrok, by spojrzeć na gościa. Przybysz zsunął z głowy czarny kaptur. Po dłuższej chwili przyglądania mu się w milczeniu Astinus pokiwał głową do siebie.

– Nie znam tej twarzy, Fistandantilusie, ale znam twe oczy. Niemniej jednak jest w nich coś dziwnego. Widzę przyszłość w ich głębi. Więc stałeś się władcą czasu, a jednak nie wróciłeś w potęgę, jak przepowiedziano.

– Nie nazywam się Fistandantilus, o Nieśmiertelny. Jestem Raistlin i to wystarczająco wyjaśnia, co zaszło. Raistlin przestał się uśmiechać i zmrużył oczy. – Ale z pewnością ty już o tym wiesz? – Machnął ręką. – Na pewno ostateczna walka pomiędzy nami została zanotowana...

– Zapisałem imię, tak samo jak odnotowałem bitwę rzekł oziębło Astinus. – Czy zechciałbyś rzucić okiem na zapis... Fistandantilusie?

Raistlin zmarszczył brwi, a oczy mu niepokojąco zabłyśły. Na Astinusię nie wywarło to jednak wrażenia. Odchylając się do tyłu, mierzył arcymaga spokojnym wzrokiem.

– Czy przyniosłeś to, o co prosiłem?

– Owszem – odparł z goryczą Raistlin. – Wykonanie tego kosztowało mnie wiele dni bólu i nadszarpięło me siły, inaczej bowiem przyszedłbym wcześniej.

Dopiero teraz na zimnym i nie tkniętym przez upływ czasu obliczu Astinusa po raz pierwszy odmalował się cień emocji. Historyk pożądliwie nachylił się z błyskiem w oczach, gdy Raistlin powoli rozsunał fałdy swych czarnych szat, odsłaniając coś, co wyglądało jak pusta, kryształowa kula umieszczona w jego wydrążonej klatce piersiowej niczym przejrzyste, krystaliczne serce.

Nawet Astinus nie mógł się powstrzymać od drżenia na ten widok, ale najwyraźniej było to tylko złudzenie. Raistlin gestem nakazał kuli polecieć w przód. Drugą ręką ponownie zasłonił swą chudą pierś czarną tkaniną.

Kiedy kula podleciała do Astinusa, historyk położył na niej dłoń i pieścił ją czule. Pod jego dotykiem glob wypełnił się światłem księżyca – srebrnym, czerwonym, a nawet widać było w nim przedziwną aureolę czarnego księżyca. Poniżej księżyców kłębiła się jedna wizja za drugą.

– Widzisz czas, który upływa, gdy my tu siedzimy oświadczył Raistlin, w którego głosie przebijała nieświadomie duma. – Tak więc teraz, Astinusię, nie będziesz musiał polegać na

swych niewidzialnych posłańcach z innych płaszczyzn, by dowiedzieć się, co dzieje się na świecie wokół ciebie. Od tej pory twoje własne oczy będą ci posłańcami.

– Tak! Tak! – szepnął Astinus. Wpatrzone w kulę oczy zaszyły mu łzami, a ręce, w których ją trzymał, drżały.

– A teraz moja zapłata – chłodno ciągnął dalej Raistlin. – Gdzie jest portal?

Astinus podniósł wzrok znad globu. – Czy nie domyślasz się, Człowieku z Przyszłości i Przeszłości? Czytałeś zapisy historyczne...

Raistlin przyglądał się Astinusowi bez słowa. Jego oblicze stało się tak blade i chłodne, że zaczęło przypominać maskę pośmiertną.

– Masz rację. Czytałem. To dlatego Fistantilus udał się do Zhamanu – oświadczył w końcu arcymag.

Astinus skinął głową bez słowa.

– Zhaman, zaczarowana forteca na równinach Dergoth... w pobliżu Thorbardinu... ojczyzny górskich krasnoludów. Zhaman leży na ziemiach pod władzą górskich krasnoludów. – Raistlin kontynuował beznamiętnym tonem, jakby cytował podręcznik. – W tej chwili wędrują tam ich kuzyni, krasnoludowie podgórscy, zmuszeni przez zło, które zżera świat od czasów Kataklizmu, by domagać się schronienia w prastarej, górskiej ojczyźnie.

– Portal znajduje się...

– ...w głębi lochów Zhamanu – rzekł gorzko Raistlin. – Tam Fistantilus stoczył wielką wojnę krasnoludów...

– Stoczy... – poprawił Astinus.

– Stoczy – szepnął Raistlin – wojnę, która sprowadzi nań zagładę!

Mag umilkł. Potem nagle zerwał się na nogi i podszedł do biurka Astinusa. Położywszy dłonie na księdze, odwrócił ją do siebie. Astinus obserwował go z chłodnym, pełnym dystansu zaciekawieniem.

– Masz rację – rzekł Raistlin, pobieżnie przejrzawszy jeszcze mokry zapis na pergaminie. – Ja jestem z przyszłości. Czytałem Kroniki, które napisałeś. W każdym razie ich fragmenty. Pamiętam, że przeczytałem ten ustęp... ten, który napiszesz tutaj. – Wskazał na pustą przestrzeń, po czym wyrecytował z pamięci: Tego dnia, godziny Mrocznej Postrażniczkiej opadającej 30, Fistantilus przyniósł mi Kulę Mijającego Czasu Teraźniejszego.

Astinus nie odpowiedział. Raistlinowi zaczęła drżeć ręka. Napisziesz to? – nalegał, a w jego głosie dało się odczuć gniew.

Astinus zawahał się, po czym zgodził się, skwitowawszy to lekkim wzruszeniem ramion.

Raistlin westchnął. – A więc nie robię niczego, co już wcześniej nie zostało zrobione! – Nagle zacisnął dłoń, a kiedy odezwał się, głos mu drżał z napięcia. – Kilka dni temu była tu pani Crysania. Powiedziała, że pisałeś, kiedy weszła, i po ujrzeniu jej coś wykreśliłeś. Pokaż mi, co to

było.

Astinus zmarszczył brwi.

– Pokaż mi! – Raistlin nie wytrzymał i odezwał się, niemal krzyząc.

Umieściwszy kulę z boku stołu, gdzie wisiła w powietrzu w pobliżu niego, Astinus niechętnie oderwał dłonie od jej kryształowej powierzchni. Światelko zgasło, glob pociemniał i opustoszał. Historyk odwrócił się, wyciągnął wielki, oprawiony w skórę wolumin i bez wahania znalazł żądaną stronę.

Obrócił księgę, by Raistlin mógł zobaczyć.

Arcymag odczytał, co zostało uprzednio napisane, a potem przeczytał poprawkę. Kiedy wyprostował się, szeleszcząc czarną szatą, gdy chował dłonie w jej rękawach, twarz miał śmiertelnie bladą, lecz spokojną.

– To zmienia czas.

– To niczego nie zmienia – oświadczył chłodno Astinus. – Ona przyszła zamiast niego, to wszystko. Sprawiedliwa wymiana. Bieg czasu nie został zakłócony.

– I niesie mnie ze sobą?

– Chyba że masz moc zmieniania nurtu rzek przez wrzucenie weń kamyczka – zauważył kąśliwie Astinus.

Raistlin posłał mu spojrzenie i krótki, szybki uśmiech. Potem wskazał na kulę. – Patrz, Astinusie – szepnął i czekaj na kamyczek! Żegnaj, Nieśmiertelny.

Nagle pokój opustoszał. Nie było w nim nikogo, oprócz Astinusa. Historyk siedział w milczeniu i się zastanawiał. Potem odwrócił znów księgę i jeszcze raz przeczytał to, co pisał, gdy weszła Crysania.

Tego dnia, godziny Postrażniczej wznoszącej 15, przybył wysłany przez wielkiego arcymaga Fistantilusa kapłan Paladine'a Denubis, by dowiedzieć się o położenie portalu. W zamian za mą pomoc Fistantilus wykona to, co od dawna mi obiecywał – Kulę Mijającego Czasu Teraźniejszego...

Imię Denubisa zostało przekreślone, a wpisano imię Crysanii.

Rozdział VII

– Jestem nieżywy – powiedział Tasslehoff Burrfoot.

Odczekał chwilę pełen nadziei.

– Jestem nieżywy – powtórzył. – Ojej. To muszą być zaświaty.

Minęła kolejna chwila.

– Cóż – rzekł Tas – jedno mogę powiedzieć z całą pewnością, tu naprawdę jest ciemno.

Nadal nic się nie działo. Tas stwierdził, że jego zainteresowanie byciem zmarłym maleje. Odkrył, że leży na plecach na czymś niezwykle twardym, niewygodnym, zimnym i kamiennym.

– Może położono mnie na marmurowym sarkofagu, jak Humę – powiedział, starając się wzbudzić w sobie trochę entuzjazmu. – A może to krypta bohatera, jak ta, w której pochowaliśmy Sturma?

Ta myśl bawiła go przez chwilę, a potem rozległo się: – Auu! – Przycisnął dłoń do boku, czując ukłucie bólu w żebrach i w tym samym czasie zauważył, że boli go też głowa. Zdał sobie również sprawę, że cały się trzęsie, że w plecy uwiera go ostry kamień i zeszywniał mu kark.

– No, wiecie co, tego się nie spodziewałem – burknął i irytacją. – Sądząc z tego, co wszyscy mówią, po śmierci nie powinno się niczego czuć. – Powiedział to dość głośno, na wypadek gdyby ktoś go słuchał. – Powiedziałem, że nie powinno się niczego czuć! – powtórzył z naciskiem, kiedy ból nie ustępował.

– Kurczę! – mruknął Tas. – Może zaszła jakaś pomyłka. Może ja umarłem, a wieść o tym po prostu nie dotarła jeszcze do mojego ciała. Na pewno nie zeszywniałem cały, a jestem przekonany, że to powinno nastąpić. Poczekam więc trochę.

Wiercąc się, żeby umościć się wygodnie (wyjawszy wpierw kamień spod pleców), Tas złożył ręce na piersi i spoglądał w gęstą, nieprzeniknioną ciemność. Po kilku tak spędzonych minutach zmarszczył brwi.

– Jeśli na tym polega bycie nieboszczykiem, to mogę przysiąc, że nie przypomina to tego, o czym się tyle opowiada – zauważył z powagą. – Teraz nie tylko jestem nieżywy, ale też nudzi mi się. Cóż – stwierdził po kilku następnych chwilach patrzenia w mrok – sądzę, że niewiele da się poradzić na to, że nie żyję, ale można coś zrobić, żeby przestać się nudzić. Gdzieś musiała zajść pomyłka. Będę musiał pójść z kimś porozmawiać w tej sprawie.

Usiadł i zamierzał już spuścić nogi, by zeskoczyć z marmurowej płyty, gdy odkrył, że leży na kamiennej podłodze. – Cóż za nieuprzejmość! – skomentował to obrażonym tonem. – Dlaczego nie wrzucili mnie po prostu do czyjejś piwnicy na kartofle!

Wstając z trudem, zrobił krok naprzód i zderzył się z czymś twardym i solidnym. – Skała – rzekł ponuro, gładząc ją dłońmi. – Hmm! Flint umarł i dostał drzewo! Ja umieram i dostaję skałę. To jasne, że komuś wszystko się pomyliło.

– Hej! – krzyknął, macając rękoma po ciemku. – Czy ktoś tu... No wiecie co?– Wciąż mam swoje sakiewki! Pozwolili mi zabrać ze sobą wszystko, nawet to magiczne urządzenie. To uprzejme z ich strony, przynajmniej pod tym względem. Mimo to...: – Tas zacisnął mocno wargi lepiej niech ktoś coś zrobi w sprawie tego bólu. Ja sobie nie życzę czegoś takiego.

Badając wszystko dłońmi, ponieważ zupełnie nic nie widział, Tas z ciekawością pogłodził wielką skałę. Sprawiała wrażenie pokrytej wyrzeźbionymi wizerunkami – może runami? Wydały mu się znajome. Kształt ogromnego głazu również był szczególny.

– To wcale nie jest skała! Najwyraźniej to stół stwierdził ze zdumieniem. – Kamienny stół rzeźbiony w runy... – Wtedy wróciła mu pamięć. – Już wiem! – wykrzyknął triumfalnie. – To jest to wielkie, kamienne biurko w laboratorium, do którego wszedłem, by szukać Raistlina, Crysanii i Caramona, i stwierdziłem, że wszyscy zniknęli, a mnie zostawili. Stałem tam, gdy ognista góra spadła na mnie! W rzeczy samej to jest to miejsce, w którym umarłem!

Pomacał się po szyi. Tak, żelazna obroza wciąż tam była – obręcz, którą mu nałożono, kiedy sprzedano go jako niewolnika. Szukając dalej po omacku, Tas potknął się o coś. Nachylił się, by to wziąć, i skaleczył się czymś ostrym.

– Miecz Caramona! – stwierdził po wymacaniu rękojeści. – Pamiętam. Znalazłem go na podłodze. A to oznacza – rzekł Tas z narastającym oburzeniem – że nawet mnie nie pochowali! Zostawili tylko moje zwłoki tam, gdzie leżały! Znajduję się w piwnicy zrujnowanej świątyni. Ssał krwawiący palec w zasepieniu. Nagle przyszło mu coś do głowy. – I pewno jeszcze się spodziewają, że mam iść pieszo tam, dokąd powinienem trafić po śmierci. Nawet nie zapewnili mi transportu!

Podniósł głos, by krzyknąć. – Słuchajcie no tam! – odezwał się, wygrażając piąstką. – Chcę porozmawiać z tym, kto tu rządzi!

Nie było jednak żadnego odzewu.

– Nie ma światła – burczał Tas, potykając się o coś.

– Utknąłem nieżywy na dnie zrujnowanej świątyni! Pewno na dnie Krwawego Morza Istar... A może – rzekł i zatrzymał się, by pomyśleć – a może spotkam morskich elfów, tak jak w opowieści Tanisa. Ach, nie, zapomniałem – westchnął – umarłem, a o ile dobrze rozumiem, po śmierci nie spotyka się nikogo. Chyba że jest się żywym trupem, jak lord Soth. – Kender zdecydowanie poweselał. – Ciekawe, jak dostaje się taką pracę? Będę musiał popytać. Zawód upiornego rycerza musi być fascynujący. Najpierw jednak muszę dowiedzieć się, gdzie powinienem być i dlaczego mnie tam nie ma!

Tas pobierał się i zdołał dojść do miejsca, które jego zdaniem było najprawdopodobniej frontową częścią komnaty w podziemiach świątyni. Rozmyślał o Krwawym Morzu Istar i zastanawiał się, czemu tu nie ma więcej wody, kiedy nagle coś innego przyszło mu na myśl.

– Ojej! – mruknął. – Świątynia nie zapadła się w wody Krwawego Morza Istar! Przeniosła

się do Neraki! W samej rzeczy byłem tam, kiedy pokonałem Królową Ciemności.

Tas zbliżył się do drzwi – poznał, że to są drzwi, wymacał bowiem framugę – i wbił wzrok w ciemność, która była tak bardzo ciemna.

– Neraka – powiedział zastanawiając się, czy to lepsze, czy gorsze od znalezienia się na dnie oceanu.

Ostrożnie zrobił krok naprzód i poczuł coś pod stopą. Nachylił się i jego mała dłoń zacisnęła się na... – Pochodnia! To musiała być ta nad wejściem. Zaraz, gdzieś tu miałem krzesiwo... – Pogrzebał w kilku sakwach i znalazł je wreszcie.

– Dziwne – rzekł, rozglądając się po korytarzu, gdy żagiew zapłonęła. – Wygląda tak samo, jak wtedy, gdy stąd wychodziłem. Pełno gruzów i zniszczeń po trzęsieniu ziemi. Można by pomyśleć, że Królowa do tego czasu powinna już trochę posprzątać. Nie przypominam sobie, żeby panował tu taki bałagan podczas mojej obecności w Nerace. Ciekawe, którędy się stąd wychodzi.

Obejrzał się na schody, którymi zszedł w poszukiwaniu Crysanii i Raistlina. Przed oczami stanęły mu żywe wspomnienia pękających ścian i walących się kolumn. – Tędy na pewno nie – mruknął, potrząsając głową. – Auu, to boli. – Przyłożył dłoń do czoła. – O ile jednak sobie przypominam, to była jedyna droga. – Westchnął i przez chwilę czuł się nieco przygnębiony. Mimo to wkrótce odzyskał kenderską wesołość. – Ale za to w ścianach jest mnóstwo szczelin. Może któraś wiedzie na zewnątrz.

Idąc powoli ze względu na ból głowy i żeber, Tas wysunął się na korytarz. Ostrożnie badał każdą ścianę, lecz nie znalazł niczego obiecującego, póki nie dotarł do samego końca holu. Tam odkrył olbrzymie pęknięcie w marmurze, które w odróżnieniu od innych sięgało głębiej niż światło pochodni Tasa.

Nikt oprócz kendera nie zdołałby precyzyjnie się tamtędy, a i on ledwo się mieścił. Zmuszony był poprzekładać swoje torby i wślizgnąć się bokiem.

– Jedno mogę powiedzieć, bycie nieboszczykiem jest okropnie dokuczliwe! – mruknął, pełznąć przez szparę i rozdzierając sobie niebieskie nogawice.

Sytuacja nie polepszyła się. Jedna z jego sakiewek zaczepiła się o kamień, tak że musiał zatrzymać się i ciągnąć za nią, aż wreszcie się uwolniła. Potem szpara stała się tak wąska, że wcale nie był pewien, czy się przecisnie. Zdjął wszystkie swe torby, unióś je nad głowę razem z pochodnią i wstrzymując oddech oraz rozdzierając sobie przy tym koszulę, wykonał ostatnią ewolucję i zdołał przepchnąć się na drugą stronę. Był cały obolały, zgrzany, spocony i w złym humorze.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ludzie nie chcieli umierać – rzekł, wycierając twarz. – Teraz już wiem!

Kiedy kender zatrzymał się, by złapać oddech i pozawieszać ponownie sakiewki, ogromnie

ucieszył go widok światła na drugim końcu szczeliny. Poświecił dookoła swą pochodnią i stwierdził, że szpara się poszerza, więc po chwili ruszył dalej i wkrótce dotarł do końca – do źródła światła.

Po dotarciu do otworu Tas wyjrzał na zewnątrz, odetchnął głęboko i powiedział: – No, teraz to bardziej przypomina to, o co mi chodziło!

Krajobraz z pewnością nie przypominał niczego, co przedtem widział w swym życiu. Był płaski, nagi i ciągnął się bez końca aż do olbrzymiego, pustego nieba, które jarzyło się dziwną łuną, jakby przed chwilą zaszło słońce albo w oddali wybuchł pożar. Mimo to całe niebo było takiego osobliwego koloru, nawet nad jego głową. Jednakże mimo całej tej jasności wszystko wokół było bardzo ciemne. Ziemia wydawała się wycięta z czarnego papieru i przyklejona do tego niesamowicie wyglądającego nieba. A samo niebo było puste – żadnego słońca, księżyców ani gwiazd. Nic.

Tas ostrożnie zrobił krok czy dwa do przodu. Ziemia pod stopami nie różniła się od żadnego innego gruntu, choć idąc po niej, zauważył, że nabierała takiej samej barwy, co niebo. Kiedy podniósł głowę, spostrzegł, że w oddali znów czerniała. Po kilku krokach zatrzymał się, by popatrzeć za siebie na gruzy wielkiej świątyni.

– Na brodę wielkiego Reorxa! – sapnął Tas i niemal wypuścił żagiew z ręki.

Za jego plecami niczego nie było! Bez względu na to, skąd wyszedł, to miejsce już znikło! Kender obrócił się, zataczając pełny krąg. Nic przed nim, nic za nim, nic w każdym kierunku, w jakim patrzył.

Tasslehoffowi Burrfootowi serce uciekło w pięty i siedziało na samym dnie jego zielonych trzewików, nie dając się pocieszyć. Bez dwóch zdań było to najnudniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział w całym swym życiu!

– To nie mogą być zaświaty – powiedział żałośnie kender. – Tak być nie może! Ktoś musiał się pomylić. Hej, poczekajcie! Miałem tu spotkać się z Flintem! Fizban tak powiedział, a Fizban może był trochę pomyłony, jeśli chodzi o inne sprawy, ale nie sprawiał wrażenia zamroczonego, kiedy mówił o tym!

Zobaczmy – jak to miało być? Rośnie sobie ogromne, piękne drzewo, a pod nim siedzi marudny, stary krasnolud, rzeźbi sobie w drewnie i... Hej! Jest drzewo! A skąd ono się tu wzięło?

Kender zamrugał zdumiony. Tuż przed sobą, tam gdzie jeszcze przed chwilą niczego nie było, zobaczył teraz wielkie drzewo.

– Niezupełnie jest to moje wyobrażenie o pięknym drzewie – mruknął Tas i ruszył w jego stronę, po drodze zauważając, że grunt nabrał osobliwego zwyczaju prób uciekania mu spod nóg – ale w końcu Fizban miał dziwny gust, podobnie jak Flint, skoro już o tym mówimy.

Podszedł do drzewa, które było czarne, jak zresztą wszystko inne tutaj, skręcone i zgarbione jak wiedźma, którą kiedyś widział. Nie miało liści. – Ono jest martwe od co najmniej stu lat! –

Tas parsknął ze wzgardą. – Jeśli Flint sądzi, że spędzę swoje pośmiertne życie, siedząc z nim pod uschniętym drzewem, to niech się lepiej zastanowi. Hej, Flincie! – wykrzyknął kender, podchodząc do drzewa i zaglądając za nie.

– Flincie, gdzie jesteś? A, tutaj – rzekł, widząc niską, brodatą postać, która siedziała na ziemi po drugiej stronie drzewa.

– Fizban powiedział mi, że cię tu znajdę. Mogę się założyć, że jesteś zaskoczony, widząc mnie tutaj!

Kender obszedł drzewo dookoła, po czym nagle stanął.

– No, wiesz! – wykrzyknął gniewnie – ty nie jesteś Flintem! Kim... Arack!

Tas zatoczył się wstecz, gdy krasnolud będący niegdyś mistrzem igrzysk w Istar nagle odwrócił głowę i spojrzał na niego z tak złowieszczym uśmiechem na wykrzywionej twarzy, że kender poczuł, jak mu krew zastyga w żyłach. Było to niecodzienne wrażenie, nawet nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedyś przedtem go doświadczył. Zanim jednak miał czas nacieszyć się nim, krasnolud zerwał się jednym susem i z wściekłym rykiem rzucił się na kendera.

Pisnąwszy z zaskoczenia, Tas zamachnął się pochodnią, by odpędzić Aracka, a drugą po omacku szukał nożyka, który nosił za paskiem. Kiedy jednakże wyciągnął nóż, Arack znikł. Drzewo też znikło. Tas znów znalazł się pośrodku absolutnego pustkowiecia pod tym gorejącym niebem.

– W porządku – rzekł Tas głosem, do którego zakradło się słabe drżenie, choć starał się je ze wszystkich sił ukryć. – Uważam, że to wcale nie jest zabawne. Tu jest ponuro i strasznie i chociaż Fizban nie obiecywał dokładnie, że życie po śmierci będzie jednym wielkim bałem, jestem przekonany, że nie to miał na myśli! – Kender powoli odwracał się z obnażonym ostrzem i pochodnią w wyciągniętej przed siebie ręce.

– Wiem, że nie byłem zbyt religijny – dodał Tas, pociągając nosem, przyglądając się posępnemu pejzażowi i starając się nie stracić dziwnego gruntu pod nogami – ale myślałem, że prowadziłem dość dobre życie. No i pokonałem Królową Ciemności. Oczywiście przy pewnej pomocy – dodał, pomyślawszy, że to dobra pora na uczciwość i jestem osobistym przyjacielem Paladine’a i...

– W imię Jej Mrocznego Majestatu – rozległ się cichy głos za jego plecami – co ty tu robisz?

Tasslehoff podskoczył metr w górę – był to oczywisty znak tego, że kender był całkiem wyprowadzony z równowagi – i odwrócił się gwałtownie. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą niczego nie było, stała postać przypominająca mu bardzo kapłana Paladine’a, Elistana, z tym wyjątkiem, że ta osoba ubrana była w czarne szaty kapłańskie, a nie w białe, i na szyi zamiast medalionu Paladine’a miała medalion Pięciogłowego Smoka.

– Ee, proszę mi wybaczyć – wyjąkał Tas – ale zupełnie nie wiem, co tu robię. Prawdę mówiąc, nie mam też Pojęcia, gdzie jestem. A tak przy okazji, nazywam się Tasslehoff Burfoot.

– Wyciągnął uprzejmie małą rączkę. A. jak pan się nazywa?

Osoba ta, ignorując dłoń kendera, zsunęła czarny kaptur i zbliżyła się o krok. Tas był poważnie zaskoczony widokiem długich, szarych jak żelazo włosów, które wypłynęły spod tego kaptura. Prawdę powiedziawszy, włosy te były tak długie, że z łatwością sięgnęłyby ziemi, gdyby nie unosiły się wokół postaci w osobliwy sposób, tak samo jak długa, siwa broda, która zdała się nagle wyrosnąć z przypominającej czaszkę twarzy.

– T-to naprawdę... niezwykle – wyjąkał Tas. – Jak pan to zrobił? A przy okazji, wątpię, żeby pan mógł mi powiedzieć, ale... gdzie pan powiedział, że ja jestem? Bo widzi p-aan... – Postać zrobiła kolejny krok w jego stronę, i o ile Tas zupełnie nie bał się jej czy tego, cokolwiek to było, stwierdził jednak, że z jakiegoś powodu nie chciałby, aby ona czy to zbliżało się do niego. – Jestem martwy – ciągnął Tas, starając się wycofać i odkrywając, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu coś mu zagradza drogę. – A przy okazji – obraza wzięła górę nad lękiem – czy pan tu rządzi? Bo uważam, że cały ten interes ze śmiercią jest zupełnie źle prowadzony! Boli mnie! – uskarżał się Tas, patrząc ze złością na postać. – Boli mnie głowa i żebra. Do tego musiałem iść pieszo taki kawał drogi od podziemi świątyni...

– Podziemi świątyni? – Postać zatrzymała się kilka centymetrów przed Tasem. Siwe włosy unosiły się wokół niej, jakby rozwiewane gorącym wiatrem. Teraz Tas mógł zobaczyć, że oczy miała tego samego czerwonego koloru co niebo, a twarz szarą jak popiół.

– Tak! – Tas przełknął ślinę. Na dodatek postać ta strasznie śmierdziała. – Śledziłem panią Crysanię, a ona szła za Raistlinem i...

– Raistlin! – Postać wypowiedziała to imię głosem, od którego Tasowi włosy dosłownie zjeżyły się na głowie.

– Chodź ze mną!

Ręka postaci, nadzwyczaj osobliwa ręka, zacisnęła się na nadgarstku Tasslehoffa. – Au! – pisnął Tas, kiedy jego rękę przeszył ból. – Robisz mi krzywdę...

Jednak postać nie zważała na niego. Zamknawszy oczy, jakby była pogrążona w głębokim skupieniu, chwyciła mocno kendera. Nagle ziemia wokół Tasslehoffa zmieniła się i zakołysała. Kender jęknął ze zdumienia, gdy sam krajobraz zaczął się szybko i płynnie poruszać.

To nie my się ruszamy, Tas uświadomił to sobie z pełnym lęku podziwem, tylko grunt!

– Och – odezwał się wątlym głosem Tas – to gdzie pan powiedział, że jestem?

– Jesteś w Otchłani – oświadczyła postać grobowym tonem.

– Ojej – powiedział żałośnie Tas. – Nie sądziłem, że jestem aż tak zły. – Łza pociekła mu wzdłuż nosa. Więc to jest Otchłań. Mam nadzieję, że nie przeszkodzi panu, jeśli powiem, że jestem nią okropnie rozczarowany. Zawsze zakładałem, że Otchłań będzie fascynującym miejscem. A jak dotąd nie jest. Ani troszeczkę. Jest... jest strasznie nudna i... brzydka... i doprawdy nie chciałbym być nieuprzejmy, ale tu się unosi bardzo szczególny zapach. Zachlipał

i wytarł nos w rękaw, czując się zbyt nieszczęśliwy, by sięgnąć do kieszeni po chusteczkę. – To gdzie pan powiedział, że idziemy?

– Chciałeś się widzieć z osobą, która tu rządzi – odparła postać i zacisnęła w kościstej dłoni medalion, który nosiła na szyi.

Krajobraz uległ zmianie. Zdawało się, że było to każde miasto, jakie Tas kiedykolwiek widział, a jednocześnie żadne. Było mu znajome, lecz nie potrafił niczego rozpoznać. Było czarne, puste i martwe, a jednak tętniące życiem. Niczego nie widział i nie słyszał, niemniej jednak zewsząd otaczały go dźwięki i wrażenie ruchu.

Tasslehoff gapił się na postać stojącą u jego boku, na zmieniające się płaszczyzny w oddali, nad nim oraz pod nim, i z wrażenia odebrało mu mowę. Zaledwie po raz drugi w swym życiu (pierwszy był wtedy, gdy zastał Fizbana żywego, kiedy staruszek powinien być martwy, jak nakazywała Przyzwoitość), Tas nie potrafił wykrztusić słowa.

Gdyby każdego kendera na powierzchni Krynnu poproszono, żeby wymienił Miejsca, Które Najbardziej Chciałby Odwiedzić, ta płaszczyzna egzystencji, którą zamieszkiwała Królowa Ciemności, znalazłaby się co najmniej na trzecim miejscu na wielu z tych list.

Jednak oto teraz Tasslehoff Burrfoot stał w poczekalni wielkiej i straszliwej Królowej, w jednym z najciekawszych miejsc znanych człowiekowi czy kenderowi i nigdy w życiu nie czuł się bardziej nieszczęśliwy.

Po pierwsze, pomieszczenie, w którym siwowłosy kapłan kazał mu zostać, było kompletnie puste. Nie było w nim żadnych stołów z małymi, interesującymi przedmiotami ani żadnych krzeseł (dlatego stał). Nie było nawet ścian! Prawdę mówiąc, jedynym powodem, dla którego wiedział, że w ogóle znajduje się w jakimś pomieszczeniu, było polecenie kleryka, by „został w poczekalni”. Wtedy Tas poczuł, że znajduje się w jakiejś sali.

Niemniej jednak, z tego, co mówiły mu oczy, znajdował się pośrodku pustki. W tym momencie nie był już nawet pewien, gdzie jest góra, a gdzie dół. Oba kierunki wyglądały jednakowo – oba jarzyły się niesamowitym kolorem płomieni.

Kender starał się pocieszyć powtarzaniem sobie bez przerwy, że spotka Królową Ciemności. Przypomniawszy sobie, co Tanis mu opowiadał o swym spotkaniu z Królową w świątyni w Nerace.

„Otaczał mnie nieprzenikniony mrok” – powiedział Tanis i choć były to już miesiące po tym przeżyciu, głos wciąż mu drżał – „lecz wydawał się bardziej mrokiem mego umysłu niż rzeczywistą obecnością. Nie mogłem zaczerpnąć tchu. Wtedy ciemność rozwinęła się i Królowa przemówiła do mnie, choć nie wypowiedziała żadnego słowa. Słyszałem ją w swym umyśle. I ujrzałem ją we wszystkich jej postaciach – Pięciogłowego Smoka, Mrocznego Wojownika i Mrocznej Kusicielki – nie znajdowała się bowiem jeszcze całkowicie na naszym świecie. Jeszcze nie zdobyła władzy”.

Tas pamiętał, że Tanis pokręcił głową. „Mimo to jej majestat i jej potęga były ogromne.

W końcu jest boginią jednym ze stwórców świata. Jej ciemne oczy zajrzały w głąb mej duszy i nie mogłem się powstrzymać – padłem na kolana i czciłem ją...” A teraz on, Tasslehoff Burrfoot, ma spotkać Królową taką, jaka była na swej płaszczyźnie istnienia, silną i potężną. – Może objawi się w postaci Pięciogłowego Smoka rzekł Tas, aby poprawić sobie humor. Jednakże nawet ta wspaniała perspektywa mu nie pomogła, choć do tej pory nie widział jeszcze niczego, co miałyby pięć głów, a co dopiero smoka. Odnosiło się wrażenie, że cały duch awanturnictwa i wścibstwa opuszczał kendera niczym krew sącząca się z rany.

– Pośpiewam sobie – rzekł do siebie, jednak tylko po to, by usłyszeć dźwięk własnego głosu.
– Zazwyczaj to dodaje mi otuchy.

Zaczął nucić pierwszą piosenkę, jaka przyszła mu na myśl, Hymn do poranka, którego nauczyła go Goldmoon.

*Nawet noc musi odejść
Blask bowiem w oczach nie minie,
A mrok staje się mrokiem w mroku,
Dopóki ciemność nie zginie.*

*Wkrótce oko rozplącze
Zawile pata nocy
I wróci spokój, gdzie serce tonie
W baśniowej światła mocy.*

Tas właśnie zaczynał drugą linijkę, gdy ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, iż pieśń wraca do niego echem tyle że tym razem słowa były wypaczone i straszne...

*Nawet noc musi odejść
Kiedy blask w oczach minie,
Gdy mrok staje się mrokiem w mroku,
Dopóki w ciemności nie zginie.*

*Wkrótce oko się zaplącze
W zwodniczych pętach nocy,
Nie wróci spokój serca, co tonie.
Gdy baśnią jest blask mocy.*

– Przestań – krzyknął rozpaczliwie Tas w tę niesamowitą, gorejącą ciszę, która

rozbrzmiewała jego piosenką.

– Ja nie chciałem tego powiedzieć! Ja...

Ubrany na czarno kapłan zaskakująco niespodziewanie zmaterializował się przed Tasslehoffem, zupełnie jakby wykrystalizował się z ponurego otoczenia.

– Jej Mroczny Majestat przyjmie cię teraz – rzekł kapłan i w mgnieniu oka Tas znalazł się w innym miejscu.

Wiedział, że jest gdzie indziej, nie dlatego, że ruszył się choćby o krok, ani też nie dlatego, że to miejsce wyglądało inaczej niż poprzednie, ale dlatego, że wyczuł, iż jest gdzie indziej. Nadal otaczała go ta sama upiorna luna i ta sama pustka, tylko że teraz odnosił wrażenie, że nie jest sam.

W chwili, w której to sobie uświadomił, ujrzał pojawiające się gładkie krzesło z czarnego drewna – oparciem zwrócone do niego. Na nim siedziała jakaś postać w czerni, z kapturem naciągniętym na głowę.

Myśląc, że może zaszła jakaś pomyłka i kapłan zaprowadził go do niewłaściwego miejsca, Tasslehoff – miętosząc nerwowo swoje sakiewki w ręce – obszedł ostrożnie krzesło, by zobaczyć twarz siedzącej na nim osoby. A może to krzesło odwróciło się, by zobaczyć jego twarz. Tego kender nie był pewien.

Niemniej jednak, kiedy krzesło odwróciło się, ukazało się oblicze postaci.

Tasslehoff wiedział już, że nie było żadnej pomyłki.

To nie Pięciogłowego Smoka zobaczył. Nie olbrzymiego wojownika w czarnej, płonącej zbroi. Nawet nie Mroczną Kusicielkę, która nawiedzała Raistlina we snach. Była to kobieta ubrana cała na czarno, miała naciągnięty na włosy ściśle dopasowany kaptur, który otaczał jej twarz czarnym owalem. Cerę miała białą, gładką i nie zdradzającą wieku, a oczy wielkie i ciemne. Jej obciśnięte ciemną tkaniną ręce spoczywały na poręczach krzesła, a białe dłonie spokojnie obejmowały zakończenia poręczy.

Jej mina nie była straszna, groźna, złowieszcza czy budząca lęk, prawdę mówiąc, nie była to nawet w ogóle mina. Mimo to Tas miał wrażenie, że kobieta bada go uważnie wzrokiem, wnika do wnętrza jego duszy i ogląda takie zakamarki jego osoby, o których istnieniu nawet nie miał pojęcia.

– Wasza wysokość, j-jestem Tasslehoff Burrfoot powiedział kender i odruchowo wyciągnął rączkę. Za późno uświadomił sobie swój błąd, chciał już cofnąć rękę i ukłonić się, lecz wtedy poczuł dotyk pięciu palców na swej dłoni. Było to przelotne muśnięcie, ale Tasowi wydawało się, że złapał garść pokrzyw. Pięć kolących gałęzi bólu przeszło jego rękę i wbiło mu się w serce, aż jęknął.

Jednakże wrażenie minęło równie szybko, jak przyszło. Kender stwierdził, że stoi bardzo blisko prześlicznej, bladej kobiety o tak łagodnym wyrazie oczu, że Tas mógłby zwątpić, iż to

ona była przyczyną jego bólu, gdyby nie spojrzął na swą dłoń i nie zobaczył na niej śladu przypominającego pięcioramienną gwiazdę.

Opowiedz mi swą historię.

Tas drgnął. Kobieta nie poruszyła wargami, a mimo to usłyszał jej głos. Zdjęty nagłym przerażeniem, zdał sobie sprawę, że ona prawdopodobnie zna jego historię lepiej niż on sam.

Zlany potem i miętoszający nerwowo w dłoniach swe sakiewki, Tasslehoff Burrfoot tego dnia przeszedł do historii – przynajmniej jeśli chodzi o kenderskie gawędziarstwo. Opowiedział cały przebieg swej wyprawy do Istar w czasie krótszym od pięciu sekund. I każde słowo było prawdziwe.

– Par-Salian przypadkowo wysłał mnie w przeszłość z moim przyjacielem Caramonem. Zamierzaliśmy zabić Fistantilusa, ale odkryliśmy, że to Raistlin, więc nie zrobiliśmy tego. Chciałem powstrzymać Katakлизм za pomocą magicznego urządzenia, ale Raistlin sprawił, że je popsułem. Zszedłem za kapłanką imieniem Crysania do laboratorium znajdującego się w podziemiach świątyni w Istar, żeby znaleźć Raistlina i nakłonić go do naprawienia tego przyrządu. Sklepienie się zawaliło i pozbawiło mnie przytomności. Kiedy się ocknąłem, ich wszystkich już nie było i wydarzył się Katakлизм, a ja jestem teraz martwy i zostałem wysłany do Otchłani.

Tasslehoff dygocąc, wziął głęboki oddech i wytarł sobie twarz końcem swej długiej kitki włosów. Potem uświadomiwszy sobie, że jego ostatnia uwaga nie była zbyt uprzejma, pośpieszył dodać: – Ja się nie uskarżam, Wasza Wysokość. Jestem pewien, że ktokolwiek to zrobił, musiał mieć istotny powód. W końcu rzeczywiście potłukłem smoczą kulę i przypominam sobie, że kiedyś ktoś powiedział, iż wziąłem coś, co nie należało do mnie, i... i sądzę, że nie odnosiłem się do Flinta z takim szacunkiem, z jakim powinienem, a kiedyś dla kawału schowałem Caramonowi ubranie podczas kąpieli, tak że musiał wracać do Solące golusieńki. Jednak... – Tas nie mógł powstrzymać się od chlipnięcia – zawsze pomagałem Fizbanowi znajdować jego kapelusz!

Nie umarłeś – rzekł głos – ani nie zostałeś tu wysłany. Prawdą mówiąc, wcale nie powinno cię tu być.

Słyszając tę zaskakującą rewelację, Tasslehoff spojrzął Królowej prosto w ciemne i posepne oczy. – Nie? – zapiszczał i poczuł, że coś dziwnego dzieje się z jego głosem. – Nie jestem martwy? – Mimowolnie przyłożył dłoń do głowy, która wciąż go bolała. – Więc to dlatego! A ja myślałem, że ktoś spaprał robotę...

Kenderom nie wolno tu przebywać – ciągnął dalej głos.

– Nie czuję się tym zaskoczony – rzekł ze smutkiem Tas, który zdecydowanie zaczął wracać do siebie od chwili, gdy dowiedział się, że nie umarł. – Jest wiele miejsc na Krynnie, gdzie nie wolno przebywać kenderom.

Głos ciągnął dalej, tak jakby zupełnie go nie usłyszał: Od chwili, kiedy wszedłeś do

laboratorium Fistantilusa, chronił cię czar rzucony na to miejsce. Reszta Istar zapadła się głęboko pod ziemię w chwili, gdy nastąpił Kataklyzm. Zdołałam jednakże ocalić świątynię króla-kapłana. Kiedy będą gotowa, powróci ona do świata, tak samo jak ja.

– Ty jednak nie wygrasz – wypalił Tas bez zastanowienia. – J-ja w-wiem – wyjąkał, gdy przeszło go spojrzenie ciemnych oczu. – B-byłem tam.

Nie, nie byłeś tam, to bowiem jeszcze się nie wydarzyło. Widzisz, kenderze, zakłócając zakłęcie Par-Saliana, sprawiłeś, że można zmienić bieg czasu. Fistantilus, znany ci jako Raistlin, powiedział ci o tym. Dlatego posiał cię na śmierć, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie chciał zmieniać czasu. Potrzebował koniecznie Kataklyzmu, by moc przenieść swoją kapłankę Paladine'a w przyszłość do czasów, gdy będzie jedyną prawdziwą osobą duchowną na ziemi.

Tasslehoffowi wydało się, że po raz pierwszy zauważył błysk rozbawienia w zasępionych oczach kobiety i zadrżał, nie rozumiejąc tego przyczyny.

Jakże szybko pożałujesz tej decyzji, Fistantilusie, mój ambitny przyjacielu. Jednakże już jest za późno. Biedny, mizerny śmiertelniku. Uczyniłeś błąd, kosztowny błąd. Wpadłeś w swą własną pętlę czasu. Pędzisz na spotkanie swej zguby.

– Nie rozumiem – zawołał Tas.

O tak, rozumiesz – oświadczył spokojnie głos. – Dzięki twemu przybyciu ujrzałam przyszłość. Dałeś mi szansę na jej odmienienie. Gubiąc cię, Fistantilus zaprzepścił swą jedyną szansę na wyrwanie się na swobodę. Jego ciało znów zostanie unicestwione, tak jak stało się to dawno temu. Jednak tym razem, kiedy jego dusza poszuka następnej powłoki cielesnej do zamieszkania, ja go powstrzymam. W ten sposób młody mag Raistlin w przyszłości rozpocznie Próbę w Wieży Wielkiej Magii i tam umrze. Nie dożyje chwili, by obrócić wniwecz moje plany. Jeden po drugim, wszyscy zginą, bez pomocy bowiem Raistlina Goldmoon nie odnajdzie laski z błękitnego kryształu. Tak zacznie się początek końca świata.

– Nie! – załkał zdjęty grozą Tas. – To-to niemożliwe! J-ja nie chciałem tego zrobić. Tylko chciałem w-wyruszyć z Caramonem na wyprawę! O-on nie poradziłby sobie beze mnie! Potrzebował mnie!

Kender rozpaczliwie rozglądał się dookoła, szukając jakiejś drogi ucieczki. Jednak choć można było uciec w dowolną stronę, nigdzie nie można było się schować. Padając na kolana przed ubraną w czerń kobietą, Tas popatrzył w górę na nią. – Co ja takiego zrobiłem? Co ja zrobiłem? krzyknął rozpaczliwie.

Zrobiłeś coś takiego, że nawet Paladine'a mogłoby kusić, by odwrócić się od ciebie, kenderze.

– Co ze mną zrobisz? – Tas szlochał żałośnie. Gdzie ja się podzieję? – Podniósł umazaną łzami twarz.

– Nie sądzę, żebyś mogła odesłać mnie do Caramona? Albo z powrotem do moich czasów?

Twoje czasy już nie istnieją. A co do wysłania cię do Caramona, to zupełnie niemożliwe, co z pewnością rozumiesz. Nie, zostaniesz tutaj ze mną, abym mogła mieć pewność, że nic złego się nie stanie.

– Tutaj? – jęknął Tas. – Jak długo?

Kobieta zaczęła rozplýwać mu się przed oczyma, migocząc i wreszcie znikając w otaczającej go pustce. Sądzę, że niedługo, kenderze. Całkiem niedługo. A może na zawsze...

– Co masz... co ona miała na myśli? – Tas odwrócił się do siwowłosego kapłana, który wyrósł na pustym miejscu po Jej Mrocznym Majestacie. – Niedługo albo na zawsze?

– Choć jeszcze nie jesteś martwy, już teraz umierasz. Opuszczają cię siły życiowe, jak każdą żywą istotę, która omyłkowo tu zawędruje i nie ma dość mocy, by zwalczyć zło, które zżera ją od środka. Kiedy umrzesz, bogowie zadecydują o twym losie.

– Rozumiem – rzekł Tas, czując ucisk w gardle. Zwiesił głowę. – Przypuszczam, że zasłużyłem na to. Och, Tanisie, tak mi przykro! Naprawdę nie chciałem tego zrobić...

Kleryk złapał go boleśnie za ramię. Otoczenie zmieniło się i ziemia usunęła im się spod nóg. Tasslehoff jednak tego nie zauważył. Oczy zasły mu łzami, pograżył się w czarnej rozpacz i miał tylko nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko.

Rozdział VIII

Jesteśmy na miejscu – rzekł kapłan ciemności.

– Gdzie? – spytał otępiały Tas, bardziej z przyzwyczajenia niż dlatego, że go to obchodziło.

Kapłan zastanowił się, po czym wzruszył ramionami. Podejrzewam, że gdyby w Otchłani było więzienie, znajdowałbyś się w nim teraz.

Tas rozejrzał się dookoła. Jak zwykle, niczego nie zobaczył – tylko niezmierny, jałowy obszar niesamowitej pustki. Brak było murów, cel, zakratowanych okien, drzwi, zamków i strażnika więziennego. Mimo to kender wiedział z absolutną pewnością, że – tym razem – nie ma ucieczki.

– I mam tu tak po prostu stać, aż padnę? – spytał wątlym głosem Tas. – To znaczy, nie mógłbym przynajmniej dostać łóżka i s-stołka?... Och!

Kiedy to powiedział, przed jego oczyma zmaterializowało się łóżko, a także drewniany stołek na trzech nogach. Jednak nawet te znajome sprzęty wyglądały tak przerażająco pośrodku tej nicości, że Tas nie był w stanie długo na nie patrzeć.

– Dz-dziękuję – wyjąkał i siadł z westchnieniem na zydelku. – A co z jedzeniem i wodą?

Odczekał chwilę, by zobaczyć, czy i te się pojawią. Nie zjawiły się. Kapłan pokręcił głową, a jego siwe włosy utworzyły wokół niego skłębioną chmurę.

– Nie, potrzeby twego śmiertelnego ciała będą zaspokajane tak długo, jak długo tu zostaniesz. Nie będziesz odczuwał głodu ani pragnienia. Uleczyłem nawet twe rany.

Tas zauważył nagle, że żebra przestały go boleć i ustąpił ból głowy. Znikła też żelazna obroża na jego szyi.

– Nie ma potrzeby, byś nam dziękował – ciągnął kapłan, widząc, że Tas już otwiera usta. – Robimy to, abyś nie przeszkadzał nam w pracy. Tak więc, żegnaj...

Kapłan ciemności uniósł ręce, najwyraźniej przygotowując się do odejścia.

– Zaczekaj! – krzyknął Tas. Zeskoczył ze stołka i złapał kapłana za czarne, powiewne szaty. – Czy już się więcej nie zobaczymy? Nie zostawiaj mnie tu samego! Równie dobrze mógłby jednak chwytać dym. Łopoczące szaty wyslizgnęły mu się spomiędzy palców i kapłan mroku znikł.

– Kiedy umrzesz, odniesiemy twe zwłoki do wierzchniej krainy i dopilnujemy, by twa dusza wyruszyła w swą podróż... lub została tutaj, w zależności od tego, jak zostaniesz osądzony. Do tego czasu nie będziemy się z tobą kontaktować.

– Jestem osamotniony! – stwierdził Tas, rozglądając się w rozpacz po ponurym otoczeniu. – Prawdziwie osamotniony... samotny do chwili, gdy umrę... Co nie potrwa długo – dodał smutno. Wrócił do swego zydelka i usiadł na nim. – Lepiej będzie, jeśli umrę jak najszybciej i będę miał to za sobą. Przynajmniej udam się gdzie indziej, taką mam nadzieję. – Popatrzył w pusty bezmiar

nad głową.

– Fizbanie – powiedział cicho Tas – prawdopodobnie nie słyszysz mnie wyraźnie z tych głębin. Nie przypuszczam też, żebyś mógł cokolwiek dla mnie zrobić, ale zanim umrę, chciałem ci szczerze powiedzieć, że nie miałem zamiaru narobić tylu kłopotów przez zakłócenie czaru Parsaliana, wrócenie do przeszłości, kiedy nie powinienem był tego robić, i całą tę resztę.

Tas westchnął ciężko i złożył swe małe dłonie. Dolna warga mu drżała. – Może to niewiele znaczy... i przypuszczam, że... skoro muszę już być szczerzy... wybrałem się z Caramonem częściowo tylko dlatego... – przełknął łzy, które zaczęły mu spływać wzdłuż nosa – tylko dlatego, że wydawało mi się to doskonałą zabawą! Ale po części udałem się z nim, ponieważ nie powinien był cofać się w czasie sam! Widzisz, on był zamroczony krasnoludzką gorzałką. A ja obiecałem Tice, że będę się nim opiekował. Och, Fizbanie! Gdyby tylko istniało jakieś wyjście z tych tarapatów, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby to naprawić. Mówię szczerze...

– Cześć ci tam.

– Co? – Tas niemal spadł z zydelka. Odwrócił się gwałtownie, spodziewając się, że zobaczy Fizbana, lecz zamiast niego ujrzał niską osobę, niższą nawet od siebie, ubraną w brązowe spodenki, szarą koszulę i brązowy, skórzany fartuch.

– Powiedziałem, cześć ci tam – powtórzyła osoba raczej poirytowana.

– Oo, cze-eść – wyjąkał Tas, mierząc wzrokiem przybysza. Jedno było pewne, nie przypominał kapłana mroku, a przynajmniej Tas nie słyszał o żadnym, który nosiłby brązowy, skórzany fartuch. Przypuszczał jednak, że zawsze mogą istnieć wyjątki, szczególnie jeśli zważy się na fakt, iż fartuchy z brązowej skóry są tak użyteczne. Niemniej jednak owa osoba bardzo przypominała mu kogoś znajomego, gdyby tylko umiał sobie jeszcze przypomnieć...

– Gnosh! – wykrzyknął nagle Tas, strzelając palcami. – Jesteś gnomem! Och, przepraszam, że zadaję takie osobiste pytanie – kender zaczerwienił się, skrzepowany ale czy ty... jesteś... nieżywy?

– A ty jesteś? – spytał gnom, przyglądając się podejrzliwie kenderowi.

– Skądże znowu – odparł urażony Tas.

– Ja też nie! – burknął gnom.

– Czy mógłbyś mówić nieco wolniej? – zasugerował Tas. – Wiem, że wy mówicie bardzo prędko, ale przez to czasami trudno nam was zrozumieć...

– Powiedziałem, że ja też nie! – krzyknął na całe gardło gnom.

– Dziękuję – rzekł uprzejmie Tas. – Ale ja nie jestem głuchy. Możesz mówić normalnym tonem... ee, mówić powoli normalnym tonem – pośpiesznie dodał kender widząc, że gnom nabiera tchu.

– Jak... ci... na... imię? – spytał w ślimaczym tempie gnom.

– Tasslehoff... Burrfoot. – Kender wyciągnął rączkę, którą gnom uścisnął serdecznie. –

A jak... tobie? To znaczy... jak ci na imię? Och, nie! Nie chciałem...

Jednak było już za późno. Gnom wystartował.

– Gnimshmarigongalesefrahootspuhturandotsamanella...

– Skrócona wersja! – krzyknął Tas, kiedy gnom przerwał, by zaczerpnąć tchu.

– Och. – Gnom sprawiał wrażenie podupadłego na duchu. – Gnimsh.

– Dziękuję. Miło mi cię poznać... ee... Gnimshu powiedział Tas, wzdychając z ulgą. Całkiem zapomniał, że imię każdego gнома zaznaja mia nierozważnego słuchacza z pełną historią życia rodziny danego gнома, począwszy od najwcześniejszego znanego (lub wymyślanego) przodka.

– Miło mi cię poznać, Burrfoot – powiedział gnom i znów uścisnęli sobie dłonie.

– Zechcesz usiąść? – rzekł Tas, siadając na łóżku i uprzejmym gestem wskazując zydelek. Gnimsh jednakże obrzucił stołek wzgardliwym spojrzeniem i siadł w fotelu, który pojawił się tuż pod nim. Tas aż jęknął na ten widok. Był to doprawdy imponujący fotel, miał opuszczany podnóżek i bieguny, na których mógł się kołysać, a nawet mógł się zupełnie odchylić do tyłu, aby osoba siedząca w nim mogła się położyć, gdyby miała ochotę.

Na nieszczęście, kiedy Gnimsh usiadł na fotelu, mebel wychylił się zbyt daleko do tyłu, zrzucając biednego gнома na głowę. Gnom z mamrotaniem wdrapał się nań ponownie i nacisnął dźwignię. Tym razem podnóżek strzelił do góry i uderzył go w nos. W tym samym czasie oparcie poleciało w przód i wkrótce Tas musiał ratować Gnimsha przed fotelem, który wydawał się go pożerać.

– Do licha – rzekł gnom i machnięciem ręki odesłał fotel tam, skąd go sprowadził, po czym siadł niepocieszony na stołeczku Tasa.

Tasslehoff, który bywał już wcześniej u gnomów z wizytą i znał ich wynalazki, wymamrotał odpowiednią formułkę.

– Całkiem interesujące... prawdziwie zaawansowany model fotela...

– Wcale nie – warknął Gnimsh, ku wielkiemu zdumieniu Tasa. – Ten projekt jest nic niewart. Należał do bliskiego kuzyna mojej żony. Powinienem był się zastanowić, zanim o nim pomyślałem. Ale... – tu westchnął czasami tęskniąc za domem.

– Znam to uczucie – rzekł Tas, czując nagłe ściskanie w gardle. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym zapytał, co tu robisz, jeśli nie jesteś... hm... nieżywy?

– A ty powiesz mi, co ty tu robisz? – odparł Gnimsh.

– Oczywiście – powiedział Tas i wtedy coś mu przyszło do głowy. Rozejrzawszy się ostrożnie, nachylił się. Nikt tego nie ma nam za złe, prawda? – spytał szeptem.

– To znaczy, że rozmawiamy? Może nie powinniśmy...

– Och, ich to całkiem nie obchodzi – rzekł pogardliwie Gnimsh. – Dopóki zostawiamy ich w spokoju, wolno nam chodzić, gdzie tylko mamy ochotę. Oczywiście – dodał – wszędzie jest

prawie tak samo jak tu, więc to nie ma większego sensu.

– Rozumiem – stwierdził zaciekawiony Tas. – A jak tu się podróżuje?

– Za pomocą umysłu. Jeszcze się tego nie domyśliłeś? Nie, pewnie nie. – Gnom parsknął. –

Kenderzy nigdy nie słyneeli z intelektu.

– Gnomowie i kenderzy są spokrewnieni – zauważył Tas urażonym tonem.

– Tak słyshałem – odparł sceptycznie Gnimsh, najwyraźniej temu nie wierząc.

W celu zachowania spokoju Tas postanowił zmienić temat. – Więc gdybym chciał gdzieś się wybrać, po prostu mam pomyśleć o jakimś miejscu i już tam jestem?

– Oczywiście w pewnych granicach – powiedział Gnimsh. – Na przykład nie można wejść do żadnego ze świętych przybytków, gdzie chodzą kapłani ciemności...

– Och – westchnął Tas, albowiem to właśnie znajdowało się na samym szczycie jego listy atrakcji turystycznych. Potem znów poweselał. – Wyczarowałeś ten fotel z powietrza, a jeśli już o tym mówimy, ja zrobiłem to łóżko i zydel. Czy jeśli pomyśle o czymś, ta rzecz się zjawi?

– Spróbuj – zaproponował Gnimsh. I Tas pomyślał.

Gnimsh parsknął lekceważąco, gdy u wezłłowia łóżka pojawił się wieszak na kapelusze. – No, no rzeczywiście bardzo przydatne.

To tylko wprawka – oświadczył obrażonym tonem Tas.

– Lepiej uważaj – powiedział gnom, widząc, jak Tasowi zaświeciły się oczy. – Czasami przedmioty pojawiają się, ale niezupełnie takie, jakich się spodziewałeś.

– Aha. – Tas nagle przypomniał sobie drzewo i krasnoluda. Zatrzął się. – Chyba masz rację. Cóż, przynajmniej mamy siebie nawzajem. Mamy z kim porozmawiać.

Nie wyobrażasz sobie, jak się nudziłem. – Kender wyciągnął się na łóżku, najpierw wyobraziwszy sobie, bardzo ostrożnie, poduszkę. – Proszę, zaczynaj. Opowiedz mi swoją historię.

– Ty zacznij pierwszy. – Gnimsh zerknął kątem oka na Tasa.

– Nie, jesteś moim gościem.

– Nalegam.

– To ja nalegam.

– Ty pierwszy. W końcu ja tu jestem dłużej.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem... Zaczynaj.

– Jednak... – Tas zorientował się nagle, że to do niczego nie prowadzi, a choć mieli przed sobą całą wieczność, nie zamierzał jej spędzić na kłótni z gnomem. Poza tym nie istniał żaden konkretny powód, dla którego nie miałby opowiedzieć swojej historii. I tak uwielbiał gawędzić. Tak więc, ułożywszy się wygodnie, rozpoczął swą opowieść. Gnimsh przysłuchiwał się z ciekawością, choć stanowczo drażnił Tasa stałym przerywaniem mu i rozkazywaniem, by „się

streszczał” w najbardziej pasjonujących momentach.

Wreszcie Tas dotarł do końca. – W taki oto sposób znalazłem się tutaj. A teraz ty – powiedział, rad z przerwy na złapanie tchu.

– Cóż – zaczął ostrożnie Gnimsh i rozejrzał się czujnie dookoła, jakby bał się, że ktoś może go podsłuchać wszystko zaczęło się wiele lat temu od Życiowego Celu mojej rodziny. Czy ty wiesz – zmierzył Tasa niechętnym wzrokiem – co to jest Życiowy Cel?

– Jasne – odparł gładko Tas. – Mój przyjaciel Gnosh też miał Życiowy Cel, tylko jego dotyczył smoczych kul. Każdy gnom otrzymuje szczególne zadanie, które musi wykonać, bo inaczej nie dostanie się do zaświatów. – Tasowi przyszło nagle coś do głowy. – Ty chyba nie jesteś tu z tego powodu, co?

– Nie. – Gnom pokręcił głową porośniętą rzadkimi włosami. – Celem Życiowym mojej rodziny było opracowanie wynalazku, który mógłby nas przenieść z jednej płaszczyzny istnienia na drugą. No i... – Gnimsh westchnął głęboko – mój zadziałał.

– Zadziałał? – Tas aż usiadł ze zdumienia.

– Doskonale – odparł Gnimsh z coraz większym przygnębieniem.

Tasslehoff osłupiał. Nigdy jeszcze nie słyszał o czymś takim – gnomi wynalazek, który zadziałał... i to w dodatku doskonale!

Gnimsh zerknął na niego. – Wiem, o czym myślisz stwierdził. – Jestem nieudacznikiem. Nie znasz jednak jeszcze wszystkiego. Widzisz, wszystkie moje wynalazki działają. Każdy z nich.

Gnimsh ukrył twarz w dłoniach.

– Jednak... dlaczego czyni cię to nieudacznikiem? spytał zdezorientowany Tas.

Gnimsh uniósł głowę i popatrzył na niego. – Na cóż komu taki wynalazek, który działa? Gdzie wyzwanie? Potrzeba twórczości? Przyszłościowego myślenia? Co by się stało z postępem? Czy ty wiesz – rzekł z pogłębiającym się zasmuceniem – że gdybym nie znalazł się tutaj, oni już byli gotowi mnie wygnać? Powiedzieli, że stanowią poważne zagrożenie dla społeczeństwa. Cofnąłem badania naukowe o sto lat.

Gnimsh zwiesił głowę. – Dlatego nie mam nic przeciwko przebywaniu tutaj. Podobnie jak ty, zasłużyłem na to. I tak najprawdopodobniej trafię tu w końcu.

– Gdzie masz swoje urządzenie? – niespodziewanie spytał podekscytowany Tas.

– Och, oczywiście oni mi je zabrali – odparł Gnimsh, wymachując ręką.

– Cóż – zastanowił się kender – czy nie mógłbyś wyobrazić go sobie? Tak jak ten fotel?

– I widziałeś, co się stało! – odrzekł Gnimsh. Najprawdopodobniej zjawiłby się wynalazek mojego ojca.

O tak, ten niewątpliwie przeniósł go na inną płaszczyznę egzystencji. Prawdę powiedziawszy, wynalazkiem tym zajmuje się właśnie komisja do spraw badań nad urządzeniami eksplodującymi, a przynajmniej tym była zajęta, kiedy tu utknąłem. Co chcesz zrobić? Znaleźć

drogę ucieczki z Otchłani?

– Muszę – oświadczył zdecydowanie Tas. – Inaczej Królowa Ciemności wygra wojnę i to będzie moja wina. Oprócz tego mam przyjaciół, którzy są w straszliwym niebezpieczeństwie. Właściwie jeden z nich jest niezupełnie moim przyjacielem, ale za to interesującą osobą. Aczkolwiek rzeczywiście próbował mnie zabić przez skłonienie do popsucia magicznego przyrzędu, pewien jednak jestem, że do mnie nie miał nic osobiście. Z pewnością istniał inny powód...

Tas przerwał.

– Właśnie! – powiedział i zerwał się z łóżka. – Właśnie! – krzyknął tak podekscytowany, że ku wielkiemu zaniepokojeniu gnoma wokół łóżka wyrósł cały las wieszaków na kapelusze.

Gnimsh ześlizgnął się ze stołka i ostrożnie przyjrzał się Tasowi. – Co właśnie? – spytał, wpadając na wieszak.

– Spójrz! – rzekł Tas, grzebiąc w swych sakiewkach. Otworzył jedną, potem drugą. – Tu jest! – powiedział, podsuwając Gnimshowi otwarty woreczek. Jednakże w chwili, gdy gnom chciał do niego zajrzeć, Tas nagle zamknął woreczek. – Zaczekaj!

– Na co? – spytał spłoszony Gnimsh.

– Czy oni nas obserwują? – szepnął Tas. – Czy dowiedzą się?

– O czym?

– Powiedz tylko, czy dowiedzą się?

– Nie, nie sądzę – odrzekł z wahaniem Gnimsh. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, bo nie wiem, o czym mają się nie dowiedzieć. Wiem tylko, że z tego, co się zorientowałem, w tej chwili są poważnie zajęci. Budzą złe smoki i tak dalej. To wymaga mnóstwa pracy.

– Doskonale – rzekł poważnie Tas i siadł na łóżku. – Teraz przyjrzyj się temu. – Otworzył sakiewkę i wysypał jej zawartość. – Co ci to przypomina?

– Rok, w którym moja matka wynalazła maszynę do zmywania naczyń – stwierdził gnom. – Brodziliśmy w kuchni po kolana w potłuczonych talerzach. Musieliśmy...

– Nie! – wypalił z irytacją Tas. – Patrz, przyłóż ten fragment do tego i...

– Moje urządzenie do podróżowania przez wymiary!

– jęknął Gnimsh. – Masz rację! Istotnie było do tego podobne. Moje jednak nie miało tych wszystkich wymyślnych klejnotów, niemniej... Nie, popatrz. Źle to robisz. Sądzę, że to trzeba wstawić tu, nie tam. Tak. Widzisz? A teraz ten łańcuszek zaczepimy tu i owiniemy dookoła w ten sposób. Nie, to niezupełnie tak. Musi iść tędy... Zaczekaj, już mam. To trzeba najpierw dopasować tu. – Siedząc na łóżku, Gnimsh podniósł jeden z klejnotów i wcisnął go na miejsce.

– Teraz potrzebuję jeszcze jednego takiego czerwonego cudeńka. – Zaczął przetrząsać drogie kamienie. – A tak przy okazji, coś ty z tym zrobił? – wymamrotał gnom. Przepuściłeś je przez maszynkę do mielenia mięsa?

Jednakże zajęty swą pracą gnom zupełnie nie zwracał uwagi na odpowiedź Tasa. Tymczasem kender skorzystał z okazji, by powtórzyć swą historię. Przycupnąwszy na zydlu, Tas mógł już bez przeszkód trajkotać do upojenia, podczas gdy Gnimsh, całkowicie zapomniawszy o istnieniu kendera, układał niezliczone klejnoty, złote i srebrne drobiażdżki oraz łańcuszki w zgrabne stosiki.

Podczas snucia swej opowieści Tas cały czas obserwował Gnimsha z rosnącą w sercu nadzieją. Oczywiście, pomyślał z bolesnym kłuciem w sercu i pomodlił się do Fizbana, istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że jeśli Gnimsh uruchomi to urządzenie, wyśle ich ono na księżyc albo zmieni ich obu w kury czy coś podobnego. Doszedł jednak do wniosku, że musi podjąć to ryzyko. W końcu obiecał, że spróbuje wszystko naprawić, a chociaż napotkanie zakąły rodu gnomów nie było zupełnie tym, co miał na myśli, lepsze to niż siedzenie bezczynnie i czekanie na śmierć.

Tymczasem Gnimsh wyczarował siłą wyobraźni łupkową płytkę oraz kawałek kredy i rysował diagramy, mamrocząc: – Wsunąć klejnot A w złote urządzonko B...

Rozdział IX

Cóż za nikczemne miejsce, mój bracie – zauważył cichym głosem Raistlin, powoli i sztywno zsiadając z konia.

– Mieszkaliśmy już w gorszych – stwierdził Caramon, pomagając pani Crysanii zejść z wierzchowca. W środku jest ciepło i sucho, co czyni je stokroć miłszym od zostania na zewnątrz. Poza tym – burknął, zerkając na brata, który wspierał się bezwładnie o koński bok kaszląc i drżąc – żadne z nas nie pojedzie dalej bez odpoczynku. Zajmę się końmi. Wy wejdźcie do środka.

Crysania kulila się pod przemoczoną peleryną, stojąc zanurzona po kostki w błocie. Spojrzała bez zainteresowania na zajazd. Rzeczywiście, było to nikczemne miejsce, jak powiedział Raistlin.

Nikt nie wiedział, jaką mógł nosić nazwę, nad wejściem nie wisiał bowiem szyld. Prawdę mówiąc, jedyną rzeczą, po jakiej można było poznać, że w ogóle jest to karczma, była wetknięta w rozbite okno od frontu łupkowa płytką, na której ktoś wypisał kulfonami „WitaMy PoDrużnych”.

Sama kamienna budowla była stara i solidna. Dach jednakże walił się, choć zadano sobie nieco trudu, by tu i tam załatać go strzechą. Jedna szyba była rozbita. Dziurę zatkało starym, filcowym kapeluszem, pewnie po to, by deszcz nie lał się do środka. Na podwórzu nie było niczego prócz błota i kilku nędznych chwastów.

Raistlin poszedł pierwszy. Teraz stał w otwartych wrotach i oglądał się na panią Crysanię. Ze środka biło światło, a woń dymu zwiastowała ogień. Gdy na obliczu Raistlina odmalowało się zniecierpliwienie, podmuch wiatru zerwał Crysanii z głowy kaptur płaszcz i zaciął w twarz ostrym deszczem. Z westchnieniem zaczęła brnąć przez błoto w kierunku frontowych drzwi.

– Witajcie, wielmożny panie. Witajcie, jaśnie pani. Crysania drgnęła na dźwięk głosu dobiegającego gdzieś z pobliza, wchodząc bowiem, nie dostrzegła nikogo. Kiedy odwróciła się, zobaczyła mężczyznę o nieprzyjemnej powierzchowności, który garbił się w cieniu za drzwiami. Ujrzeni go lepiej dopiero wtedy, gdy drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

– Paskudny dziś dzień, wielmożny panie – rzekł mężczyzna, zacierając usłużnie dłonie. Po tym, jak również po zatłuszczonym fartuchu i ścierce przerzuconej przez ramię, można było poznać, że jest tu karczmarzem. Rozglądając się po brudnej, zaniedbanej gospodzie, Crysania pomyślała, że pasował do niej jak ulał. Mężczyzna podszedł do nich, wciąż zacierając ręce, aż znalazł się tak blisko, że Crysania poczuła smród jego zalatującego piwskim oddechu. Przysłoniwszy twarz fałdą płaszczu, odsunęła się od niego. Na ten widok oberżysta wyszczerzył zęby w pijackim grymasie, który mógłby sprawiać wrażenie głupawego, gdyby nie przebiegły wyraz jego zmrużonych oczu.

Po jednym spojrzeniu nań Crysania przez chwilę miała ochotę wyjść i zostać na deszczu. Jednakże Raistlin zmierzył tylko karczmarza ostrym, przenikliwym spojrzeniem i powiedział chłodno: – Stolik przy ogniu.

– Już się robi, wielmożny panie, już się robi. Stolik przy ogniu, już proszę. Dobry na taki okropny dzień jak dzisiaj. Tędy proszę wielmożnego pana i damę. – Gnąc się w służalczych lansadach, które znów kłóciły się z wyrazem jego oczu, mężczyzna człapał bokiem przez izbę, ani na chwilę nie spuszczać gości z oczu podczas zapędzania ich w stronę brudnego stołu.

– Jesteście czarodziejem, co, wielmożny panie? spytał karczmarz, wyciągając rękę, by dotknąć czarnych szat Raistlina, i natychmiast ją cofnął na widok świdrującego spojrzenia maga. – I to jednym z tych Czarnych. Dawno żeśmy już takiego nie widzieli – ciągnął dalej. Raistlin nie odpowiedział. W kolejnym napadzie kaszlu wsparł się całym ciężarem na lasce. Crysania pomogła mu dojść do krzesła stojącego blisko ognia. Siadł na nim i nachylił się z wdzięcznością w stronę żaru.

– Gorącej wody – zażądała Crysania, rozwiązując mokrą pelerynę.

– A jemu co tam? – spytał podejrzliwie karczmarz, odsuwając się. – To chyba nie trawiąca gorączka, co? Bo jeśli tak, to możecie się wynosić...

– Nie – rzekła gniewnie Crysania, zrzucając płaszcz. Jego choroba jest jego własną sprawą i nie wyrządzi nikomu krzywdy. – Nachylając się nad magiem, obejrzała się na gospodarza. – Prosiłam o gorącą wodę – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Już się robi. – Mężczyzna wykrzywił usta. Już nie zacierał rąk, lecz schował je pod wytłuszczonym fartuchem, po czym oddalił się, powłócząc nogami.

W trosce o Raistlina Crysania zapomniała o swym wstręcie, szybko przestała myśleć o karczmarzu i starała się zadbać o wygodę maga. Odpięła jego płaszcz podróżny i pomogła mu go zdjąć, po czym rozłożyła go przed kominkiem, żeby wysechł. Po przeszukaniu głównej izby karczemnej Crysania znalazła kilka nędznych poduszek na krzesła. Starając się nie zwracać uwagi na pokrywający je brud, przy – niosła je, by podścielić je Raistlinowi, żeby mógł odchylić się do tyłu i lżej oddychać.

Kiedy klękła przy nim, by pomóc mu zdjąć przemoczone buty, poczuła, że jej włosów dotyka czyjaś dłoń.

– Dziękuję ci – szepnęła Raistlin, kiedy uniosła głowę. Crysania zaczerwieniła się. Było jej przyjemnie. Jego brązowe oczy zdawały się cieplejsze niż ogień, a jego dłoń delikatnym gestem odsunęła jej z twarzy mokre włosy. Nie mogąc się ruszyć ani nic powiedzieć, klęczała jedynie u jego boku, zauroczona jego spojrzeniem.

– Pani jest jego kobita?

Szorstki głos karczmarza, który dobiegł z tyłu, sprawił, że Crysania drgnęła. Nie dostrzegła, jak się zbliża, ani nie usłyszała jego człapania. Wstała i nie mogąc patrzeć na Raistlina, odwróciła

oczy w stronę ognia i milczała.

– Ta pani pochodzi z jednego z królewskich rodów w Palanthas – dobiegł od strony progu głęboki głos. – I będę ci wdzięczny, karczmarzu, jeśli będziesz się zwracał do tej pani z szacunkiem.

– Tak jest, wielmożny panie – wymamrotał oberżysta, pozornie pokorniejac na widok masywnej sylwetki Caramona, który podczas wchodzenia wpuścił podmuch wiatru z deszczem. – Naprawdę nie miałem nic złego na myśli i mam nadzieję, że nikt sobie tego nie wzięł do serca.

Crysania nie odpowiedziała. Odwróciła się do połowy i powiedziała stłumionym głosem: – Przynieś tę wodę do stołu.

Kiedy Caramon zamknął drzwi i podszedł, by dołączyć do towarzyszy, Raistlin wyciągnął woreczek zawierający ziołową mieszanke, aby zaparzyć swój napój. Rzuciwszy go na blat stołu, gestem polecił Crysanii przyrządzić napar. Potem opadł na poduszki i wpatrywał się w płomień. Oddech świszczał mu w płucach.

Crysania zdawała sobie sprawę, że Caramon śledzi ją zaniepokojonym wzrokiem, toteż nie podnosiła głowy znad przygotowywanego naparu.

– Konie są nakarmione i napojone. Nie przemęczaliśmy ich, więc będą gotowe do dalszej drogi po godzinie odpoczynku. Chcę dotrzeć do Solanthus przed zmierzchem oświadczył Caramon po chwili niezręcznej ciszy. Rozwiesił swoją pelerynę przy ogniu. Para buchała z niej kłębami. Czy zamówiłaś już posiłek? – spytał znieacka Crysanię.

– Nie, tylko gorącą wodę – wyszeptła, podając Raistlinowi napój.

– Karczmarzu, wina dla tej damy i maga, wody dla mnie i cokolwiek tam masz do jedzenia – rzekł Caramon, siadając przy stole naprzeciwko brata. Po paru tygodniach podróży przez te jałowe ziemie w kierunku równiny Dergoth nauczyli się, że w przydrożnych zajazdach należy jeść to, co dają, jeśli w ogóle jest tam coś do jedzenia.

– To dopiero początek jesiennych burz – powiedział cicho Caramon do swego brata, gdy oberżysta znów począpał na zaplecze. – Im dalej pojedziemy na południe, tym będą gorsze. Czy jesteś przekonany o słuszności tej decyzji? Możesz ją przypłacić życiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wybuchnął Raistlin. Drgnął, wylewając nieco gorącego płynu z kubka.

– Nic, Raistlinie – powiedział Caramon, zaskoczony przenikliwym spojrzeniem swego brata. – Tylko... tylko... twój kaszel. Zawsze pogarsza się, kiedy ziemia zije wilgocią.

Patrząc ostro na bliźniaczego brata i widząc, że Caramon najwyraźniej nie miał na myśli nic ponad to, co powiedział, Raistlin znów wsparł się na poduszkach. – Tak, jestem przekonany. I ty też powinieneś być, mój bracie. To jedyny bowiem sposób, dzięki któremu znów ujrzysz swój ukochany dom.

– Dużo mi z tego przyjdzie, jeśli umrzesz po drodze – mruknął Caramon.

Zaszokowana Crysania obejrzała się na Caramona, lecz Raistlin tylko uśmiechnął się gorzko.

– Twa troska wzrusza mnie, bracie. Nie obawiaj się jednak o moje zdrowie.

Starczy mi sił, by dotrzeć tam i rzucić ostateczne zaklęcie, jeśli po drodze nie będę się zbytnio przemęczał.

– Wygląda na to, że już znalazłeś sobie kogoś, kto się o to zatroszczy – rzekł serio Caramon i jego spojrzenie padło na Crysanię.

Kobieta znów się zaczerwieniła i rzuciłaby jakąś uwagę, gdyby w tym momencie nie wrócił karczmarz. Stojąc obok nich z parującym garnkiem jakiejś substancji w jednej ręce i obtłuczonym dzbankiem w drugiej, przyglądał im się nieufnie.

– Wybaczcie, że pytam, panowie – zaskomlał – ale wpierw chcę zobaczyć kolor waszych pieniążków. Takie to czasy nastały...

– Masz – rzekł Caramon, wyjmując monetę z sakiewki i rzucając ją na stół. – Czy to ci odpowiada?

– Tak, jaśnie panie, tak. – Oczy błyszczały oberżysty prawie tak samo jasno jak sztuka srebra. Mężczyzna z rozmachem postawił garnek oraz dzbanek na stole, rozlewając przy tym potrawkę po blacie, po czym chciwie złapał monetę, cały czas obserwując maga, jakby obawiał się, że pieniążek może zniknąć.

Wrzuciwszy monetę do kieszeni, karczmarz powłókł się za brudny szynkwias i wrócił z trzema miskami, trzema rogowymi łyżkami i trzema kubkami. Te również postawił z hukiem na stole, po czym odsunął się do tyłu, znów zacierając ręce. Crysania wzięła miski i obejrzawszy je z odrazą, natychmiast zaczęła je myć resztką gorącej wody.

– Czy jaśnie państwo życzą sobie czegoś jeszcze? spytał oberżysta tak uniżenie, że Caramon aż się skrzywił.

– Czy masz chleb i ser?

– Tak, panie.

– W takim razie zapakuj nam trochę do kosza.

– Państwo... wybieracie się w dalszą podróż, tak? spytał karczmarz.

Stawiając miski na stole, Crysania podniosła głowę, wyczuwszy subtelny zmianę w głosie mężczyzny. Zerknęła na Caramona, by sprawdzić, czy on to też zauważył, lecz ogromny mężczyzna mieszał potrawkę, wachając ją łakomie. Raistlin zdawał się nie słyszeć tego i wpatrywał się w ogień, trzymając w słabych dłoniach pusty kubek.

– Z pewnością nie zatrzymamy się tu na noc – powiedział Caramon, nalewając potrawkę do misek.

– Nie znajdziecie lepszego noclegu w... dokąd to państwo powiedzieli, że się wybierają? – spytał karczmarz.

– To nie twoja sprawa – odparła chłodno Crysania. Wzięła pełną miskę i zaniósła ją

Raistlinowi. Mag jednakże po jednym spojrzeniu na gęstą, pokrytą tłuszczem zawieszinę odmówił gestem. Mimo głodu Crysania zdołała przełknąć tylko kilka łyżek strawy. Odepchnąwszy miszkę na bok, owinięła się wciąż jeszcze wilgotnym płaszczem i zwinęła w fotelu, zamykając oczy i starając się nie myśleć o tym, że za godzinę znów będzie jechać konno przez tę ponurą, zalaną deszczem krainę.

Raistlin już usnął. Jedyne odgłosy wydawał Caramon, który pochłaniał potrawkę z apetytem starego wiarusa, oraz oberżysta, który wrócił do kuchni, by wedle ich życzenia przygotować koszyk z prowiantem.

Po upływie godziny Caramon przyprowadził konie ze stajni – trzy wierzchowce i jednego ciężko obciążonego konia jucznego, którego brzemień nakryte było kocem i przymocowane mocnymi sznurami. Caramon pomógł bratu i pani Crysanii dosiąść koni, a kiedy już zobaczył, że obie znużone osoby znalazły się w siodłach, sam wsiadł na swego ogromnego wierzchowca. Karczmarz stał na deszczu z odkrytą głową, trzymając kosz. Podał go Caramonowi, szczerząc zęby i gnąc się w pokłonach, podczas gdy ubranie nasiąkało mu deszczem.

Rzuciwszy krótkie podziękowania i następną monetę, która wylądowała w błocie u stóp oberżysty, Caramon złapał za wodze jucznego konia i ruszył pierwszy. Crysania i Raistlin pojechali za nim, chroniąc się przed deszczem pod grubymi pelerynami.

Karczmarz, któremu najwyraźniej deszcz nie przeszkadzał, podniósł monetę i odprowadził ich wzrokiem. Ze stajni wychyły się dwie postaci i dołączyły do niego.

Podrzucając pieniążek w górę, oberżysta zerknął na nich. – Powiedzta mu, że jadą traktem do Solanthus.

Łatwo wpadli w zasadzkę.

Jechali o zmierzchu tego posępnego dnia pod gęstymi gałęziami drzew, z których monotonnie kapała woda. Opadłe liście tłumiły nawet stuk końskich kopyt, a każdy z jeźdźców pogrążony był w swych własnych, niewesołych myślach. Żadne z nich nie usłyszało tętentu galopujących koni ani brzęku błyszczącej stali, póki nie było już za późno.

Zanim zorientowali się, co się dzieje, ciemne kształty spadły z drzew niczym olbrzymie, przerażające ptaki, które zdusiły ich swymi skrzydłami czarnych peleryn. Wszystko odbyło się cicho i zręcznie.

Jeden znalazł się za plecami Raistlina i ogłuszył maga, zanim ten zdążył się odwrócić. Inny zeskoczył z gałęzi obok Crysanii, zasłaniając jej usta dłonią i przykładając ostrze sztyletu do gardła. Niemniej jednak trzeba było trzech napastników, by ściągnąć Caramona z konia i obalić go na ziemię, a kiedy walka wreszcie się skończyła, jeden z rabusiów już nie wstał. Wyglądało na to, że już nigdy się nie podniesie. Leżał całkiem nieruchomo w błocie z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem.

– Złamany kark – zameldował jeden z rozbójników osobie, która zbliżyła się, by po

zakończonych robocie przyjrzeć się dziełu.

– Zręczna robota – skomentował chłodno bandyta, oglądając Caramona, – którego trzymało czterech mężczyzn. Potężne ramiona wojownika spętano cięciami łuków. Głębokie skaleczenie na jego głowie krwawiło obficie, a deszcz rozmazywał mu krew po twarzy. Potrząsnąwszy głową, aby mu się w niej przejaśniło, Caramon nadal wyrywał się prześladowcom.

Zauważywszy, że napięte mięśnie jeńca naprężyły mokre, mocne cięciwy do takiego stopnia, iż kilku pilnujących spojrzało na nie z niepokojem, herszt pokręcił głową z podziwem.

Caramon wreszcie pozbył się szumu w głowie i po strząśnięciu krwi i deszczówki z oczu, rozejrzał się. Otaczało ich co najmniej dwudziestu albo trzydziestu ciężko uzbrojonych mężczyzn. Rzuciwszy spojrzenie na ich wodza, Caramon wymamrotał stłumione przekleństwo. Ten mężczyzna był chyba największym człowiekiem, jakiego Caramon widział na oczu!

Natychmiast przyszedł mu na myśl Raag i arena dla gladiatorów w Istar. – Częściowo ogr – mruknął pod nosem, wypluwając ząb, który mu wybito podczas bójki. Kiedy Caramon wyraźnie przypomniał sobie olbrzymiego ogra, który pomagał Arackowi trenować gladiatorów na igrzyska, zauważył, że choć ów mężczyzna był bez wątpienia człowiekiem, miał żółtawy odcień skóry jak ogrowie i taki sam płaski nos. Był również potężniejszy od większości istot ludzkich – wysoki Caramon sięgał mu poniżej ramienia a do tego miał ręce jak pnie drzew. Caramon dostrzegł jeszcze, że mężczyzna chodzi w osobliwy sposób i nosi długą pelerynę, która wlecze się po ziemi tak, iż przysłania mu stopy.

Nauczony na arenie oceniać przeciwnika i wyszukiwać wszystkie jego słabości, Caramon obserwował uważnie rabusia. Kiedy wiatr rozwiał grubą, futrzaną pelerynę, którą ten się przykrywał, zdumiony Caramon zobaczył, że mężczyzna ma tylko jedną nogę. Zamiast drugiej miał stalową kulę.

Kiedy półogr zauważył, że Caramon gapi się na jego stalową protezę, uśmiechnął się od ucha do ucha i zbliżył o krok do wielkiego mężczyzny. Wyciągnąwszy olbrzymią dłoń, czule poklepał Caramona po policzku.

– Podziwiam mężczyzn, którzy zawzięcie się bronią powiedział cicho. Potem, z zaskakującą szybkością, zacisnął dłoń w pięść, odciągnął ramię i uderzył Caramona w szczękę. Impet ciosu odrzucił ogromnego wojownika wstecz, nie – omal przewracając również tych, którzy go przytrzymywali. – Zapłacisz mi jednak za śmierć mojego człowieka.

Owinąwszy się swym długim futrem, półogr pokuśtykał do Crysanii trzymanej mocno w ramionach przez jednego z bandytów. Napastnik wciąż zatykał jej usta dłonią i choć Crysania miała bladą twarz, jej pociemniałe oczy płonęły gniewem.

– Czyż to nie miłe? – rzekł miękko półogr. – Prezent, a to nawet nie Zimowe Święto. – Jego śmiech zadudnił wśród drzew. Wódz złapał kobietę za płaszcz i szarpnięciem zdał go jej z szyi. Szybko przesunął spojrzeniem po jej pełnych kształtach, które były dobrze widoczne, deszcz

bowiem natychmiast przemoczył białe szaty kapłanki. Mężczyzna uśmiechnął się szerzej i oczy mu zabłyśły. Wyciągnął ogromną dłoń.

Crysania uchyliła się przed nim, lecz półogr złapał ją bez trudu, śmiejąc się.

– O, a cóż to za błyskotkę masz tam, moja słodka? spytał, kiedy jego wzrok padł na medalion Paladine'a, który wisiał na jej smukłej szyi. – Moim zdaniem... nie do twarzy ci w niej. Toż to czysta platyna! – Gwizdnął. – Lepiej ja to przechowam, kochanie. Obawiam się, że mogłaby się zgubić podczas rozkoszy naszej namiętności...

Caramon już na tyle oprzytomniał, by zobaczyć, jak półogr chwyta medalion. W oczach Crysanii błysnęło ponure rozbawienie, choć wyraźnie wzdrygnęła się od dotyku mężczyzny. W ulewnym deszczu błysnęło czyste, białe światło. Półogr złapał się za rękę. Cofając ją, zaskowyczał z bólu i wypuścił Crysanię.

Wśród przyglądających się temu ludzi przebiegł szmer. Mężczyzna, który przytrzymał Crysanię, nagle rozluźnił uścisk i kapłanka wyszarpnęła mu się z rąk, patrząc na niego wściekle i otulając się znów peleryną.

Z twarzą wykrzywioną gniewem półogr uniósł rękę. Caramon obawiał się, że uderzy Crysanię, lecz w tym momencie jeden ze zbójców zawołał: – Czarodziej wraca do siebie!

Półogr nadal nie spuszczał oczu z Crysanii, lecz opuścił rękę. Potem uśmiechnął się. – Cóż, więdmo, zdaje się, że wygrałaś pierwszą rundę. – Spojrzał na Caramona. Lubię zawody... zarówno w bitwie, jak i w miłości. Zapowiada się noc niezwykle obfitująca w uciechy.

Gestem rozkazał zbójowi, który trzymał Crysanię, znów ją pochwycić. Ten zrobił to, choć z niezmierną niechęcią, jak zauważył Caramon. Półogr podszedł do miejsca, gdzie Raistlin leżał na ziemi i jęczał z bólu.

– Z nich wszystkich czarodziej jest najgroźniejszy. Zwiążcie mu ręce na plecach i zakneblujcie go – rozkazał zgrzytliwym głosem rozbójnik. – Jeśli choćby piśnie, odetnijcie mu język. To zakończy na dobre jego czarodziejską karierę.

– Dlaczego po prostu nie zabijemy go od razu? warknął jeden z ludzi.

– Proszę bardzo, Brack – rzekł uprzejmie półogr, szybko odwracając się w kierunku mężczyzny, który się odezwał. – Wyjmij nóż i poderżnij mu gardło.

– Nie moimi rękoma – wymamrotał mężczyzna, cofając się o krok.

– Nie? Wolałbyś, żebym to ja został przeklęty za zabicie czarodzieja Czarnych Szat? – kontynuował herszt, wciąż tym samym, miłym tonem. – Chciałbyś zobaczyć, jak to mnie usycha i odpada ręka?

– Ja... ja oczywiście nie to miałem na myśli, Stalowy Paluchu. Ja... tylko nie pomyślałem, nic innego.

– To zacznij myśleć. On nas teraz nie może skrzywdzić. Spójrz na niego. – Stalowy Paluch wskazał na Raistlina. Mag leżał na plecach z rękoma skrepowanymi z przodu. Siłą rozwarło mu

szczęki i zakneblowano usta. Mimo to oczy pały mu z głębin kaptura złowieszczym gniewem, a dłonie zaciskały się w takiej bezsilnej furii, że niejeden ze stojących obok niego silnych mężczyzn zaniepokoił się, czy podjęte środki wystarczą.

Być może sam myśląc podobnie, Stalowy Paluch pokuśtykał do leżącego Raistlina, który gromił go nienawistnym wzrokiem. Kiedy półogr zatrzymał się przy magu, jego żółtawą twarz zmarszczył uśmiech. Nagle uderzył Raistlina w skroń stalowym zakończeniem swej kuli. Czarodziej padł bezwładnie. Crysania krzyknęła zaniepokojona, lecz rabuś trzymał ją mocno. Nawet Caramon poczuł ze zdumieniem, jak przez moment ostry ból ścisnął mu serce na widok skulonej w błocie sylwetki brata.

– To powinno uciszyć go na jakiś czas. Kiedy dotrzemy do obozowiska, zawiążemy mu oczy i każemy przespacerować się po Skalce. Jeśli poślizgnie się i spadnie z urwiska, cóż, tak już bywa, prawda, chłopcy? Jego krew nie spadnie na nas.

Tu i ówdzie rozległ się śmiech, lecz Caramon spostrzegł, że całkiem sporo zbójców spojrzęło na siebie nawzajem z niepokojem i potrząsnęło głowami.

Stalowy Paluch odwrócił się od Raistlina, by błyszczącym wzrokiem zbadać ciężko obciążonego jucznego konia. – Nieźle się dziś obłowiliśmy, chłopcy – stwierdził z satysfakcją. Pokuśtykał z powrotem do miejsca, gdzie Crysania stała unieruchomiona w objęciach nieco zdenerwowanego bandyty.

– Rzeczywiście nieźle się obłowiliśmy – szepnął. Ogromną dłonią złapał obsesowo Crysanię za podbródek. Schylił się i przycisnął wargi do jej ust w brutalnym pocałunku. Uwięziona w ramionach rabusia Crysania nic nie mogła zrobić. Nie szarpała się, być może jakiś wewnętrzny zmysł podpowiedział jej, że właśnie tego oczekuje ten mężczyzna. Stała wyprostowana i zeszywniała. Niemniej jednak Caramon dostrzegł, jak kobieta zaciska dłonie, a kiedy Stalowy Paluch wypuścił ją, nie mogła powstrzymać się od odwrócenia twarzy. Ciemne włosy spadły jej na policzek.

– Znacie moją politykę, chłopcy – rzekł Stalowy Paluch, grubiańsko pieszcząc jej włosy. – Podzielimy się łupami... oczywiście po tym, jak wezmę swoją część.

Przywitano to jeszcze głośniejszym śmiechem, a tu i tam odezwały się nieliczne wiwaty. Caramon nie miał wątpliwości co do znaczenia słów mężczyzny i z kilku podsłuchanych komentarzy domyślił się, że nie będzie to pierwszy raz, gdy „dzielili się łupami”.

Jednakże na kilku młodych twarzach pojawił się grymas dezaprobaty. Zbójcy zerkali na siebie z niepokojem i potrząsali głowami. Tu i tam dało się nawet słyszeć mamrotane komentarze typu: „Nie chcę mieć nic wspólnego z tą wiedźmą!” i „Prędzej już wychędożyłbym tego czarodzieja!” Wiedźma! Znowu padło to określenie. Obudziło ono w umyśle Caramona niejasne wspomnienia dni, gdy razem z Raistlinem podróżowali z krasnoludzkim kowalem Flintem, dni sprzed powrotu prawdziwych bogów. Caramon zadrżał, wyraźnie przypominając sobie chwilę,

kiedy przybyli do miasteczka, w którym zamierzano spalić na stosie staruszkę oskarżoną o czary. Przed oczami stanęła mu scena, gdy jego brat i Sturm, zawsze szlachetny rycerz, ryzykowali swe życie, by ocalić staruchę, która okazała się tylko drugorzędną iluzjonistką.

Caramon jednakże dopiero teraz przypomniał sobie, jak ludzie w tamtych czasach odnosili się do wszelkiego rodzaju sił magicznych, a kapłańska moc Crysanii – w czasach, gdy nie istnieli prawdziwi kapłani – była jeszcze bardziej podejrzana. Wzdrygnął się, a potem zmusił do pomyślenia chłodno i logicznie. Spalenie to okrutna śmierć, ale i tak o wiele szybsza niż...

– Przeprowadźcie do mnie wiedźmę. – Stalowy Paluch pokuśtykał ścieżką do swego konia, którego trzymał jeden z jego ludzi. Dosiadł wierzchowca i dał znak ręką. – Potem pozostali.

Rozbójnik, który więził Crysanię, powlókł ją naprzód. Stalowy Paluch schylił się, złapał ją pod pachy i posadził przed sobą na koniu. Chwyciwszy wodze, objął ją grubymi ramionami, tak że niemal znikła w jego objęciach. Crysania siedziała wpatrzona prosto przed siebie z twarzą zimną i niewzruszoną.

Czy ona wie?, zastanawiał się Caramon, patrząc bezradnie, jak Stalowy Paluch przejeżdża obok niego. Żółtawą twarz mężczyzny wykrzywił lubieżny uśmiech. Crysania zawsze żyła pod kloszem, była chroniona przed takimi sprawami. Może nie zdaje sobie sprawy, do jakich strasznych rzeczy są zdolni ci mężczyźni.

Wtedy Crysania obejrzała się na Caramona. Jej oblicze było spokojne i poblądłe, lecz oczy miały tak przerażony i błagalny wyraz, że z bólem serca zwiesił głowę.

Ona wie... Niech ją bogowie mają w swej opiece. Ona wie...

Ktoś pchnął Caramona w plecy. Kilku ludzi pochwyciło go i przerzuciło głową w dół przez siodło jego własnego konia. Mając ręce związane cięciwami, które wrzynały mu się w ciało, i wisząc do góry nogami, Caramon dostrzegł, jak ludzie podnoszą bezwładne ciało jego brata i rzucają je na siodło należące do maga konia. Potem bandyci sami dosiedli swych wierzchowców i poprowadzili jeńców głębiej w las.

Deszcz spływał Caramonowi po obnażonej głowie, a koń człapał po błocie, trzęsąc nim niemiłosiernie. Łęk siodła gniótł go w bok, a od napływu krwi do głowy czuł się oszołomiony. Mimo to oczyma duszy widział wyłącznie te ciemne, pełne zgrozy oczy, które błagały go o pomoc.

A Caramon z przyprawiającą o mdłości pewnością wiedział, że żadna pomoc nie nadejdzie.

Rozdział X

Raistlin szedł przez rozprażoną pustynię. Przed nim ciągnęły się ślady stop, a on wędrował tym tropem. Prowadziły go bez końca przed siebie, w górę i w dół po olśniewająco białych, płonących w słońcu wydmach. Był zgrzany, zmęczony i straszliwie spragniony. Bolała go głowa, bolało go w piersi i pragnął jedynie położyć się i odpocząć. W oddali widniała sadzawka chłodzona cieniem drzew. Jednakże bez względu na swe starania nie mógł do niej dotrzeć. Ślady nie prowadziły tam, a on nie mógł zwrócić stóp w innym kierunku.

Brnął bez końca przed siebie obciążony wiszącymi, czarnymi szatami. Wreszcie, będąc niemal u kresu sił, uniósł głowę i jęknął ze zgrozy. Siady stóp wiodły na szafot! Postać w czarnym kapturze klęczała z głową na katowskim pieńku. Choć nie widział jej oblicza, wiedział z przerażającą pewnością, że to on sam klęczy tam i czeka na śmierć. Nad nim stał kat z zakrwawionym toporem w ręku. Kat również miał czarny kaptur, który zasłaniał mu twarz. Uniósł topór i trzymał go nad karkiem Raistlina. Kiedy topór zaczął spadać, w ostatnim momencie Raistlinowi mignęła w oczach twarz kata...

– Raist! – szepnął ktoś.

Mag potrząsnął obolałą głową. Posłyszawszy głos, z ulgą zdał sobie sprawę, że śnił. Z wysiłkiem budził się i otrząsał z koszmaru.

– Raist! – syknął głos z większym naciskiem. Poczucie prawdziwego zagrożenia, nie tylko wyśnionego, ostatecznie otrzeźwiło maga. Ocknąwszy się całkiem, Raistlin leżał przez chwilę nieruchomo z zamkniętymi oczyma, póki lepiej nie zorientował się w sytuacji.

Leżał na mokrej ziemi z rękoma związanymi z przodu i zakneblowanymi ustami. W głowie pulsował mu łupiący ból, a w uszach dźwięczał szept Caramona.

Wszędzie dookoła słyszał głosy oraz śmiechy i czuł zapach dymu obozowych ognisk. Jednakże z wyjątkiem głosu jego brata żaden z tych dźwięków nie dochodził z bliska. Wtedy mag wszystko sobie przypomniał. Przed oczami stanął mu atak, mężczyzna ze stalową nogą... Raistlin ostrożnie rozwarł powieki.

Caramon leżał na brzuchu obok niego w błocie. Ręce miał ciasno skrupowane cięciwami łuków. W brązowych oczach bliźniaka iskrzył się znajomy błysk, który przywodził na myśl dawno minione czasy, gdy walczyli wspólnie, łącząc stal i czary.

Pomimo cierpienia i otaczającej ich ciemności Raistlina ogarnęło radosne uniesienie, jakiego nie doświadczał już od dawna.

Zjednani przez zagrożenie, odczuwali teraz silną więź, która pozwalała im porozumiewać się zarówno słowem, jak i myślą. Widząc, że brat jest w pełni świadom ich sytuacji, Caramon podpełził tak blisko, na ile pozwoliła mu odwaga, i szepnął ledwo słyszalnie: – Czy w jakiś

sposób możesz uwolnić ręce? Masz nadal ten srebrny sztylet?

Raistlin skinął raz krótko głową. U zarania dziejów bogowie zabronili magom noszenia wszelkiej broni i każdego rodzaju zbroi. Rzekomym tego powodem był fakt, iż magowie potrzebowali na naukę czasu, którego nie można było poświęcić na nabranie wprawy w posługiwaniu się orężem. Po tym jednakże, gdy dzięki stworzeniu magicznych smoczyc kula czarodziej pomogli Humie pokonać Królową Ciemności, bogowie przyznali im prawo noszenia przy sobie sztyletów – na pamiątkę lancy Humy.

Przywiązany do nadgarstka przemyślnie wykonanym rzemieniem, który pozwalał broni wsunąć się do ręki w razie potrzeby, srebrny sztylet był ostatnią obroną Raistlina, do wykorzystania jedynie wtedy, gdy mag zużyje wszystkie zaklęcia... lub w takiej właśnie chwili.

– Czy masz dość siły, by użyć swych czarów? – szepnął Caramon.

Raistlin zamknął na chwilę oczy w geście znużenia. Tak, ma dość siły. To jednakże oznaczało dalsze osłabienie, oznaczało, że będzie potrzebował więcej czasu na odzyskanie mocy potrzebnej do zmierzenia się ze strażnikami portalu. Niemniej jednak, jeśli nie dożyje tej chwili...

Oczywiście, że dożyje!, pomyślał z goryczą. Fistantilus dożył! On idzie jedynie śladami zostawionymi na piasku.

Raistlin ze złością oderwał się od tej myśli. Otworzywszy oczy, skinął głową. Jestem dość silny, rzekł do brata w myślach i Caramon odetchnął z ulgą.

– Raist – szepnął ogromny mężczyzna, nagle pochmurniejąc na twarzy – ty... się chyba domyślasz... co oni zamierzają zrobić Crysanii.

Raistlinowi stanął nagle przed oczami obraz tego zwalistego, podobnego do ogra mężczyzny, który szorstkimi rękoma obmacuje Crysanię, i ogarnęło go zaskakujące uczucie – taka wściekłość i gniew, jakich rzadko doświadczał. Serce ścisnęło mu się boleśnie i przez chwilę krwawa mgła zaćmiła mu oczy.

Widząc zdumiony wzrok Caramona, Raistlin zdał sobie sprawę, że musi mieć te uczucia wypisane na twarzy. Kiedy mag ponuro zmarszczył brwi, Caramon pośpiesznie podjął wypowiedź. – Mam plan.

Raistlin pokiwał głową z irytacją, domyślając się już, co jego bratu chodzi po głowie.

Caramon szepnął: – Jeśli nie uda mi się...

– ...sam ją wprawdzie zabiję, a potem siebie – dokończył Raistlin. Ale oczywiście nie będzie takiej potrzeby. Był bezpieczny... chroniony...

Usłyszawszy nagle nadchodzących ludzi, mag zamknął oczy i z ulgą wrócił do udawania nieprzytomnego. Dało mu to czas na rozwikłanie splątanych ze sobą uczuć i wzięcie się w garść. Czuł w ręku chłód srebrnego sztyletu. Czarodziej naprężył mięśnie, które poluzują rzemień. Jednocześnie przez cały czas zastanawiał się nad tym dziwnym uczuciem, jakiego doznał w stosunku do kobiety, która zupełnie go nie obchodziła... oczywiście, pominał fakt jej

przydatności dla niego jako kapłanki.

Dwóch mężczyzn szarpnięciem postawiło Caramona na nogi i pchnęło go przed siebie. Caramon zauważył z ulgą, że poza przelotnym spojrzeniem w celu upewnienia się, czy mag wciąż jest nieprzytomny, żaden z nich nie zwracał uwagi na jego bliźniaczego brata. Brnąc po nierównym gruncie i zaciskając zęby z bólu zdrętwiałych, zziębniętych mięśni nóg, Caramon zaczął rozmyślać o tej osobliwej minie, jaką zobaczył na twarzy brata, kiedy wspomniał o pani Crysanii. Caramon gotów byłby nazwać ją wyrazem twarzy oburzonego kochanka, gdyby ujrzał ją na obliczu kogokolwiek innego... ale jego brata? Czy Raistlin był w ogóle zdolny do takich uczuć? Caramon doszedł w Istar do wniosku, że Raistlin nie był do tego zdolny, że zło pochłonęło go całkowicie.

Teraz jednak jego bliźniak wydawał się inny, dużo podobniejszy do starego Raistlina, brata, u którego boku walczył tyle razy, powierzwszy mu swe życie, tak jak i on jemu swoje. To, co Raistlin powiedział Caramonowi na te – mat Tasa, miało sens. A więc mimo wszystko nie zabił kendera. Poza tym, choć Raistlin czasami wpadał w irytację, zawsze odnosił się do Crysanii z delikatnością. Być może...

Jeden ze strażników szturchnął go boleśnie w zębra, przypominając mu o rozpaczliwym położeniu, w jakim się znajdowali. Być może! Prychnął. Być może wszystko znajdzie swój kres tu i teraz. Być może okupi swoim życiem zaledwie prędką śmierć dla dwojga pozostałych.

Idąc przez obozowisko i rozmyślając nad tym, co zobaczył i usłyszał od czasu, gdy wpadli w zasadzkę, Caramon powtórzył sobie w myślach plan.

Bandyckie leże przypominało bardziej małą osadę niż kryjówkę złodziei. Zbójce mieszkali w prymitywnie zbudowanych chatkach z bali, a zwierzęta trzymali w dużej grocie. Widać było, że żyją tu już od jakiegoś czasu i najwyraźniej nie obawiają się prawa – co stanowiło nieme świadectwo siły i zdolności przywódczych półogra Stalowego Palucha.

Jednakże Caramon, który w swoim czasie nieraz miał do czynienia ze złodziejami, zauważył, że wielu z tych ludzi nie było nieokrzesanymi drabami. Widział, jak kilku spoglądało na Crysanię i potrząsało głowami z wyraźnym niesmakiem na myśl o tym, co się wydarzy. Choć odziani byli niemalże w łachmany, wielu nosiło broń pięknej roboty stalowe miecze z rodzaju tych, jakie przechodzą z ojca na syna, i dbało o nie z troską należną rodzinnemu dziedzictwu, a nie łupowi. Choć w gasnącym świetle pochmurnego dnia Caramona mogły zawieść oczy, wydawało mu się, że na wielu mieczach dostrzeżę różę i zimorodka – prastare symbole rycerzy solamnijskich.

Mężczyźni ci jednak byli gładko ogoleni i nie nosili drugich wąsów, które charakteryzowały takich rycerzy, ale Caramon odnajdywał w ich surowych, młodych obliczach pewne podobieństwo do swego przyjaciela, rycerza Sturma Brightblade'a. Wraz ze wspomnieniem o Sturmie Caramon przypomniał sobie również to, co wiedział o historii tego zakonu rycerskiego po Kataklizmie.

Obwinieni przez większość sąsiadów za ściągnięcie tej strasznej katastrofy, rycerze zostali wypędzeni ze swych domostw przez rozjuszony motłoch. Wielu zamordowano, a ich rodziny zabito na ich oczach. Niedobitkowie ukryli się i przemierzali krainę samotnie bądź przyłączyli się do band zbójckich – takich, jak ta właśnie.

Po przyjrzeniu się ludziom, którzy stali w różnych miejscach obozu, czyszcząc oręż lub rozmawiając przyciszonymi głosami, Caramon zauważył na wielu twarzach piętno złych uczynków, lecz dostrzegł również rezygnację i beznadziejność. Sam zaznał ubóstwa. Wiedział, do czego może ono doprowadzić człowieka.

Wszystko to pozwoliło mu mieć nadzieję, że jego plan może się udać.

Pośrodku obozu, niedaleko miejsca, gdzie rzucono ich razem z Raistlinem na ziemię, paliło się ognisko. Caramon obejrzał się za siebie i zobaczył, że brat wciąż udaje nieprzytomnego. Ponieważ jednak wiedział, na co zwracać uwagę, zauważył również, że mag zdołał przyjąć pozycję, z której widział i słyszał wyraźnie.

Kiedy Caramon podszedł do ognia, większość ludzi przerwała swe zajęcia i zbliżyła się, tworząc półokrąg za jego plecami. Stalowy Paluch siedział na wielkim, drewnianym tronie w pobliżu ogniska i ścisnął w garści flaszkę. U jego boku stało kilku roześmianych i żartujących mężczyzn, w których Caramon natychmiast poznał typowych pochlebców płaszczących się przed wodzem. Nie zdziwił go też widok paskudnej gęby karczmarza, który szczyrzył zęby na obrzeżu tłumu.

Obok Stalowego Palucha na krześle siedziała Crysania. Zabrano jej pelerynę. Miała podarty gorset sukni. Caramon potrafił sobie wyobrazić, czyje ręce to zrobiły. Z rosnącym gniewem zauważył również siniec na jej policzku. Jeden kącik ust miała spuchnięty.

Trzymała się jednak dzielnie, z godnością patrząc przed siebie i starając się ignorować niesmaczne żarty oraz okropne opowieści, w jakich prześcigali się zbójcy. Caramon uśmiechnął się pośepnie z podziwem. Przypominając sobie jej bliski obłędu stan paniki, w który popadła podczas ostatnich dni Istar, oraz biorąc pod uwagę jej uprzednie wygodne i bezpieczne życie, był zadowolony, aczkolwiek i zdumiony widokiem tego, jak Crysania zachowuje w tej groźnej sytuacji zimną krew, której mogłaby jej pozazdrościć Tika.

Tika... Caramon skrzywił się. Nie zamierzał myśleć o Tice – zwłaszcza w związku z panią Crysania! Zdecydowanie wrócił myślami do terażniejszości i chłodno odwrócił wzrok od kobiety, skupiając się na wrogu.

Kiedy Stalowy Paluch zobaczył Caramona, przerwał konwersację i zamaszystym gestem polecił wojownikowi zbliżyć się.

– Czas umrzeć, wojowniku – rzekł do niego Stalowy Paluch, wciąż tym samym, miłym tonem. Obejrzał się leniwie na Crysanię. – Jestem pewien, pani, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli odłożymy naszą schadzke na kilka chwil, póki nie załatwię tej sprawy. Pomyśl o tym jako

o niewielkiej rozrywce przed pójściem do łoża, moja droga. – Pogłaskał Crysanię po policzku. Kiedy odsunęła się od niego z błyskiem w ciemnych oczach, zmienił pieszczotę w uderzenie w twarz.

Crysania nie krzyknęła. Uniosła głowę i spojrzała z hardą zawziętością na swego oprawcę.

Wiedząc, że nie może pozwolić sobie na to, by troska o kobietę rozproszyła jego uwagę, Caramon nie spuszczał oczu z herszta i spokojnie się mu przyglądał. Ten mężczyzna rządzi strachem i brutalną siłą, pomyślał sobie. Wielu z tych, którzy są mu posłuszni, czyni to niechętnie. Wszyscy się go obawiają. W tym kraju zapomnianym przez bogów on zapewne stanowi jedyne prawo. Faktem jest jednak, że dobrze ich karmił i utrzymał przy życiu, podczas gdy w innych okolicznościach przepadliby. Są więc mu wierni, ale jak daleko sięga ich wierność?

Utrzymując spokojny ton głosu, Caramon wyprostował się i zmierzył półogra pogardliwym spojrzeniem. – Czy tak okazujesz swoją odwagę? Bijąc kobiety? – Caramon parsknął szyderczo. – Rozwiąż mnie i oddaj mi miecz, a wtedy zobaczymy, jaki z ciebie mężczyzna!

Stalowy Paluch spojrzał na niego z zainteresowaniem i zaniepokojony Caramon spostrzegł przebłysk inteligencji na jego bydlęcej twarzy.

– Spodziewałem się po tobie czegoś oryginalniejszego, wojowniku – rzekł Stalowy Paluch z westchnieniem, które częściowo należało do przedstawienia, a częściowo nie. Wstał. – Chyba nie będziesz stanowił dla mnie takiego wyzwania, jak początkowo sądziłem. Mimo to nie mam nic lepszego do roboty dziś wieczorem. To znaczy, wczesnym wieczorem – poprawił się z lubieżnym grymasem na twarzy i zawadiacko uklonił się w stronę Crysanii, która go zlekceważyła.

Półogr odrzucił wielką, futrzaną pelerynę, którą miał na sobie i obróciwszy się, rozkazał jednemu ze swych ludzi przynieść swój miecz. Pachołkowie rozbiegli się spełnić jego rozkaz, a tymczasem pozostali ludzie otoczyli ubity plac wokół ogniska. Najwyraźniej była to zabawa, w której już wcześniej brali udział. Podczas tego zamieszania Caramonowi udało się przyciągnąć uwagę Crysanii.

Nachylając głowę, obejrzał się znacząco w kierunku leżącego Raistlina. Crysania natychmiast go zrozumiała. Spojrzała na maga, uśmiechnęła się żałośnie i skinęła głową. Zacisnąwszy dłoń na medalionie Paladine'a, poruszała opuchniętymi wargami.

Strażnicy Caramona wepchnęli go do wnętrza kręgu i wtedy stracił ją z oczu. – Potrzeba będzie czegoś więcej niż modłów do Paladine'a, żeby nas stąd wydostać, pani szepnęła, zastanawiając się z pewną dozą rozbawienia, czy w tym momencie jego brat również modli się o pomoc do Królowej Ciemności.

Cóż, on nie miał do kogo się pomodlić. Jemu mogły pomóc tylko własne muskuły, kości i ściegna.

Przecięto mu więzy na rękach. Caramon skrzywił się z bólu, gdy krew znów napłynęła mu do kończyn, rozruszał sztywne mięśnie, rozcierając je, by przywrócić krążenie i rozgrzać się. Potem zdjął przemoczoną do suchej nitki koszulę i spodnie, zamierzając walczyć nago. Odzież daje wrogowi szansę zaczepienia ręki, tak go nauczył stary instruktor, krasnolud Arack w koszarach gladiatorów w Istar.

Stojący w kręgu ludzie mruknęli z podziwu na widok wspaniałej postury Caramona. Deszcz spływał po jego opalonym, atletycznym ciele, a ogień rzucał blask na mocarną klatkę piersiową i barki, połyskując na licznych, zdobytych na wojnie bliznach. Ktoś podał Caramonowi miecz i wojownik zamachnął się nim z wyćwiczoną lekkością i widoczną sprawnością. Nawet Stalowy Paluch, który wszedł do kręgu, sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego widokiem byłego gladiatora.

Jeśli nawet Stalowy Paluch stracił na chwilę rezon na widok przeciwnika, Caramona nie mniej zaskoczył wygląd Stalowego Palucha. Będąc pół ogrem i pół człowiekiem, mężczyzna ten odziedziczył najlepsze cechy obu ras. Miał masywną sylwetkę i muskulaturę ogra, lecz był szybki i zwinny, podczas gdy w jego oczach czaiła się niebezpieczna inteligencja człowieka. On również walczył prawie obnażony, ubrany jedynie w skórzaną przepaskę biodrową. Jednakże tym, co sprawiło, że Caramon gwizdnął przez zęby, była broń, którą trzymał półogr – był to chyba najcudowniejszy miecz, jaki wojownik widział w swym życiu.

Ten gigantyczny oręż przeznaczony był do używania oburącz. Prawdę powiedziawszy, pomyślał Caramon, przyglądając mu się okiem znawcy, nie znał wielu ludzi, którzy zdołaliby go nawet podnieść, a co dopiero nim władać. A Stalowy Paluch nie tylko machał tym mieczem bez wysiłku, lecz także używał go jako broni jednoręcznej! I to dobrze go używał, co Caramon poznał po wyćwiczonych, zgrabnych wymachach. Stalowe ostrze błysnęło w ogniu, gdy ogr przeciął powietrze. Klinga świszczwała, rozcinając mrok i zostawiając za sobą gorejący szlak jasności.

Kiedy przeciwnik wkuśtykał do wnętrza kręgu z błyskiem stalowej protezy, Caramon zobaczył z rozpaczą, że ma do czynienia nie z brutalnym, tępym wrogiem, jakiego się spodziewał, lecz ze zręcznym szermierzem i inteligentnym człowiekiem, który pokonał swe kalectwo, by walczyć ze sprawnością, której mogli mu pozazdrościć dwunodzy ludzie.

Po pierwszej wymianie ciosów Caramon odkrył, że półogr nie tylko zwyciężył swe kalectwo, ale też wykorzystał je w nadzwyczaj groźny sposób.

Dwaj wojownicy obchodzili się czujnie, wykonując zwody i szukając słabości w obronie przeciwnika. Wtem niespodziewanie Stalowy Paluch, balansując bez trudu na zdrowej nodze, użył metalowej jako drugiego oręża. Odwracając się gwałtownie, uderzył Caramona stalową protezą tak silnie, że obalił wielkiego mężczyznę na ziemię, wytrącając mu miecz z ręki.

Szybko odzyskawszy równowagę, Stalowy Paluch zbliżył się ze swym olbrzymim mieczem,

najwyraźniej zamierzając zakończyć walkę i przejść do innych uciech. Niemniej jednak Caramon, choć zaskoczony, widywał już ten manewr na arenie. Leżąc na ziemi, sapiąc i udając, że nie może złapać tchu, Caramon poczekał, aż wróg podejdzie bliżej. Wtedy złapał Stalowego Palucha za zdrową nogę i szarpnął za nią, aż ten się przewrócił.

Zgromadzeni ludzie wiwatowali i klaskali. Ów dźwięk ożywił wspomnienia z areny w Istar i Caramon poczuł, jak krew zaczyna w nim żywiej krążyć. Poszły w niepamięć troski dotyczące braci w czarnych szatach i biało odzianych kapłanek, podobnie jak myśli o domu. Przestał wątpić w swe siły. Emocja walki, upajający narkotyk niebezpieczeństwa, krążyła w jego żyłach, przepelniając go ekstazą zbliżoną do tej, jaką odczuwał jego bliźniaczy brat podczas rzucania czarów.

Zrywając się na nogi i widząc, że przeciwnik czyni to samo, Caramon nagle i rozpaczliwie rzucił się w stronę miecza, który leżał kilka metrów od niego. Jednakże Stalowy Paluch był szybszy. Pierwszy dopadł oręża Caramona i odrzucił go kopniakiem.

Starając się nie spuszczać wroga z oczu, Caramon rozejrzał się za jakąś inną bronią i spostrzegł ognisko palące się po drugiej stronie kręgu.

Stalowy Paluch zauważył jednak wzrok Caramona. Natychmiast domyśliwszy się jego zamiarów, półogr ruszył, by zagrozić mu drogę.

Caramon pobiegł co sił w nogach. Wymach klingi półogra rozciął mu skórę na brzuchu i zostawił po sobie lśniąca smugę krwi. Ogromny wojownik skoczył, przeturlał się w pobliże kłód, chwycił jedną za koniec i był już na nogach, gdy Stalowy Paluch wbił ostrze miecza w miejsce, gdzie jeszcze przed kilkoma sekundami znajdowała się głowa Caramona.

Miecz znów wzniosł się hakiem. Caramon usłyszał jego świst i ledwo zdołał na czas sparować cios polanem. Posypały się drzazg: i iskry, gdy miecz wbił się w drewno, Caramon bowiem złapał belkę, która żarzyła się na jednym końcu. Impet ciosu Stalowego Palucha był tak potworny, że Caramonowi zadygotały ręce, a ostre krawędzie polana wbiły mu się boleśnie w ciało. Nie wypuścił jednak kłody z ręki i dzięki swej ogromnej sile odepchnął półogra, gdy ten starał się odzyskać równowagę.

Półogr trzymał się mocno. Wreszcie wbił swą protezę w grunt i odepchnął Caramona. Dwaj mężczyźni powoli ponownie zajęli swe pozycje i zaczęli się okrażać. Potem powietrze wypełniło się błyskami stali i płonącymi węglami.

Caramon nie miał pojęcia, od jak dawna walczą. Czas utonął w mgle szczypiącego bólu, strachu i wycieńczenia. Wojownik dyszał chrapliwie. Płuca mu płonęły niczym koniec polana, a dłonie miał otarte do krwi. Wciąż jednak nie zdobył przewagi. Nigdy do tej pory jeszcze nie walczył z takim przeciwnikiem. Stalowy Paluch, który wkroczył do walki z pogardliwym uśmiechem, w tej chwili również patrzył swemu wrogowi w twarz z ponurą zaciekłością. Wokół nich ludzie stali teraz w milczeniu, zahipnotyzowani śmiertelnym pojedynkiem.

Prawdę powiedziawszy, słychać było jedynie trzask ognia i ciężkie sapanie przeciwników lub chlupot towarzyszący upadkowi ciała w błoto albo sieknięcie z bólu po trafnym ciosie.

Krąg ludzi i blask ognia zaczął się Caramonowi rozmywać w oczach. W jego zbolałych rękach polano wydawało się teraz cięższe od całego drzewa. Oddychanie sprawiało niewysłowiony ból. Caramon wiedział, że jego wróg jest w równym stopniu wyczerpany, Stalowy Paluch bowiem nie wykorzystał dogodnego ciosu, będąc zmuszony po prostu stanąć i złapać oddech. Półogr miał paskudną, purpurową opuchliznę wzdłuż boku, gdzie trafiło go polano Caramona. Wszyscy w kręgu usłyszeli trzask pękających żeber i zobaczyli grymas żółtawej twarzy wykrzywionej bólem.

Niemniej jednak odpowiedzią na to był wymach mieczem, od którego Caramon zatoczył się do tyłu, wywijając kłodą w rozpaczliwej próbie sparowania ciosu. Teraz dwaj mężczyźni okrążali się ostrożnie, nie słysząc niczego ani też nie dbając o nic oprócz wroga, którego widzieli naprzeciw siebie. Obaj mieli świadomość, że następny błąd może okazać się śmiertelny.

I wtedy Stalowy Paluch poślizgnął się w błocie. Był to drobny poślizg, od którego zwałił się na zdrowe kolano, balansując na kuli. Na początku starcia stanąłby na nogi w ciągu kilku sekund. Teraz jednak siły go opuściły i podniesienie się trwało trochę dłużej.

Na tę właśnie chwilę czekał Caramon. Rzuciwszy się w przód resztkami sił, Caramon podniósł belkę i uderzył nią najmocniej jak potrafił w kolano, do którego przymocowana była proteza. Cios Caramona wbił kulę głęboko w rozmiękłą ziemię niczym młot uderzający w gwóźdź.

Z rykiem wściekłości i bólu półogr kręcił się i wił w rozpaczliwych próbach uwolnienia nogi, zarazem wciąż próbując odpędzać Caramona cięciami miecza. Tak niewiary – godnie był silny, że nieomal mu się udało. Nawet teraz, kiedy Caramon widział, że przeciwnik jest uwięziony, musiał oprzeć się pokusie dania chwili odpoczynku swemu zbolałemu ciału i pozostawienia wroga w spokoju.

Jednakże ten pojedynek mógł zakończyć się tylko w jeden sposób. Obaj mężczyźni wiedzieli o tym od samego początku. Brnąc chwiejnie naprzód i zawzięcie wymachując swym polanem, Caramon wytrącił półogrowi miecz z rąk. Mimo iż Stalowy Paluch widział swą śmierć w oczach przeciwnika, wciąż zaciekle starał się uwolnić. Nawet w ostatniej chwili, gdy kłoda w garści masywnego mężczyzny już zaświszcziała w powietrzu, półogr wyciągał olbrzymie łapska, by chwycić Caramona za rękę...

Cios belki zmiażdżył półogrowi głowę z głuchym mlaskiem. Chrupnęły kości. Przewrócone na plecy ciało zadygotało, a potem znieruchomiało. Stalowy Paluch leżał w błocie, wciąż przyszpilony do ziemi swą stalową kulą, a deszcz splukiwał krew i mózg, który wyciekał ze strzaskanej czaszki.

Słaniający się na nogach ze zmęczenia i bólu Caramon osunął się na kolana i wsparł na

mokrej od deszczu i krwi kłodzie, próbując złapać oddech. W głowie huczały mu gniewne krzyki ludzi nadbiegających, by go zabić. Jednak jego to nie obchodziło. To nie miało znaczenia. Niech przychodzą...

Nikt nie zaatakował.

Zdezorientowany Caramon podniósł zamglony wzrok na klęczącą przy nim postać w czarnej szacie. Poczuł, jak smukłe ramię brata obejmuje go opiekuńczo, i zauważył, że z palców brata strzelają ostrzegawczo migotliwe smugi błyskawic. Caramon zamknął oczy, wsparł głowę na wątej piersi brata i odetchnął głęboko, drżąc przy tym.

Wtedy poczuł dotyk chłodnych dłoni i posłyszał cicho wyszeptaną modlitwę do Paladine'a. Caramon raptownie otworzył oczy. Odepchnął zaskoczoną Crysanię, lecz było już za późno. Jej uzdrowicielska moc już rozeszła się po jego ciele. Usłyszał jęk zgromadzonych wokół niego ludzi, którzy zobaczyli, jak zamykają się krwawiące rany, znikają sińce i wracają rumieńce na jego śmiertelnie bladą twarz. Nawet fajerwerki arcymaga nie wywołały takiego nagłego niepokoju i krzyków oburzenia, jakie wzbudziło uzdrowienie.

– Czarnoksiężstwo! Ona go uleczyła! Spalić czarownicę!

– Spalić ich oboje, wiedźmę i czarodzieja!

– Opętali tego wojownika. Pojmamy ich i wyzwolimy jego duszę!

Kiedy Caramon obejrzał się na brata, poznał po jego ponurej minie, że również w pamięci maga odżyły dawne wspomnienia. On też zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Zaczekajcie! – wysapał Caramon, stając na nogi, gdy szemrzący tłum zbliżył się. Tylko obawa przed czarami Raistlina powstrzymywała ludzi przed rzucając się na nich, a kiedy Caramon usłyszał nagły, urywany kaszel brata, zląkł się, że Raistlina mogą wkrótce opuścić siły.

Pochwyciwszy zdezorientowaną Crysanię, Caramon zasłonił ją opiekuńczo swym ciałem i stanął naprzeciwko bandy przestraszonych, rozjuszonych mężczyzn.

– Tknijcie tylko tę kobietę, a zginiecie tak samo, jak wasz wódz – krzyknął donośnie i głośno, by jego głos przedarł się przez szum ulewnego deszczu.

– Dlaczego mielibyśmy pozwolić żyć takiej, która oddaje się czarom? – warknął jeden z mężczyzn, a pozostali przytaknęli mu zgodnie.

– Bo to moja czarownica! – oświadczył srogo Caramon, rozglądając się wyzywająco. Usłyszał, jak Crysania za jego plecami raptownie zaczerpuje tchu, lecz Raistlin zmierzył ją ostrzegawczym spojrzeniem i jeśli miała zamiar się odezwać, rozsądnie zachowała milczenie. – Nie opętała mnie, jest posłuszna rozkazom moim i czarodzieja. Przysięgam, że nie uczyni wam krzywdy.

Wśród ludzi rozległy się szmery, ale spojrzenia, które posyłali Caramonowi, nie wyrażały już groźby. Już wcześniej był w nich podziw – teraz zauważył wstrzemięźliwy szacunek i chęć wysłuchania.

– Ruszajmy w drogę – zaczął cichym głosem Raistlin – będziemy...

– Zaczekaj – wychrypiał Caramon. Ścisnąwszy brata za ramię, przyciągnął go do siebie i szepnął: – Mam pomysł. Pilnuj Crysanii!

Skinąwszy głową, Raistlin podszedł do kapłanki, która stała spokojnie, przyglądając się milczącej obecnie grupie opryszków. Caramon zbliżył się do zwłok półogra, które leżały w czerwieniącym błocie. Nachylił się, wyrwał olbrzymi miecz z zaciśniętej kurczowo dłoni Stalowego Palucha i wzniosł go wysoko nad głowę. Potężny wojownik stanowił wspaniały widok – jego opalone ciało połyskiwało w blasku ognia, a muskuły ramion falowały pod skórą, gdy stał triumfalnie nad trupem pokonanego wroga.

– Zabiłem waszego wodza. Teraz sam zajmę jego miejsce! – krzyknął Caramon, a jego głos zadudnił echem wśród drzew. – Żądam tylko jednego, żebyście porzucili to życie pełne przemocy, rozboju i gwałtu. Udajemy się na południe...

Wywołało to niespodziewaną reakcję. – Na południe! Oni udają się na południe! – zawołało kilka osób, a tu i tam rozległy się wiwaty. Caramon przyglądał się temu w osłupieniu, niczego nie rozumiejąc. Raistlin, który wysunął się naprzód, chwycił go za ramię.

– Co robisz? – spytał z naciskiem poblady mag. Caramon wzruszył ramionami i zdumiony obserwował w zakłopotaniu entuzjazm, którego stał się przyczyną. Sądziłem tylko, że dobrze byłoby mieć uzbrojoną eskortę – powiedział. – Wedle wszelkich informacji okolice na południe stąd są jeszcze dziksze od tych, które mineliśmy. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zabrać ze sobą kilku z tych ludzi, to wszystko. Nie rozumiem...

Młody mężczyzna o szlachetnej powierzchowności, który przywodził Caramonowi na myśl Sturma, wystąpił naprzód. Nakazując gestem uciszyć się, spytał: – Udajecie się na południe? Czy przez przypadek nie szukacie osławionego skarbu krasnoludów z Thorbardinu?

Raistlin zrobił wściekłą minę. – Teraz rozumiesz? warknął. Zaczął nim targać atak męczącego kaszlu, który osłabił go i pozbawił tchu. Gdyby nie Crysania, która podbiegła natychmiast, by go podtrzymać, upadłby.

– Rozumiem, że potrzebny ci wypoczynek – odparł posepnie Caramon. – Wszystkim nam jest potrzebny. A jeśli nie zdobędziemy jakiejś zbrojnej obstawy, nigdy spokojnie nie prześpimy nocy. Co mają z tym wspólnego krasnoludowie z Thorbardinu? Co tu się dzieje?

Raistlin wbił wzrok w ziemię, a cień kaptura zasłonił mu twarz. Wreszcie westchnął i powiedział chłodno: – Powiedz im, że tak, udajemy się na południe. Zamierzamy napaść na krasnoludów.

Caramon wytrzeszczył oczy. – Napaść na Thorbardin?

– Wyjaśnię później – warknął po cichu Raistlin. Rób, co ci każę.

Caramon zawahał się.

Wzruszywszy chudymi ramionami, Raistlin uśmiechnął się nieprzyjemnie. – To twoja jedyna

droga powrotu do domu, mój bracie! I być może nasz jedyny sposób, by ujść stąd z życiem.

Caramon rozejrzał się dookoła. Podczas ich krótkiej wymiany zdań mężczyźni znów zaczęli szemrać, najwyraźniej powątpiewając w ich intencje. Uświadomiwszy sobie, że musi szybko podjąć decyzję albo straci ich na dobre i być może narazi się na kolejny atak – odwrócił się, starając się zyskać na czasie, który potrzebny był mu na dokładniejsze przemyślenie wszystkiego.

– To prawda – rzekł – idziemy na południe. Mamy jednak własne powody. Co mówiliście o bogactwie Thorbardinu?

– Powiadają, że krasnoludowie zgromadzili ogromny majątek w królestwie pod górą – odparł skwapliwie młodzieniec. Inni zgromadzeni wokół niego pokiwali głowami.

– Majątek skradziony ludziom – dodał jeden.

– Mowa! Nie tylko pieniądze – wykrzyknął trzeci ale też zboże i owce. Tej zimy będą jeść jak królowie, podczas gdy my chodzimy z pustymi brzuchami!

– Już wcześniej mówiliśmy o wybraniu się na południe po swoją część – kontynuował młody mężczyzna – lecz Stalowy Paluch twierdził, że tu jest wystarczająco dobrze. Niektórzy są jednak innego zdania.

Caramon zamyślił się żałując, że nie zna lepiej historii. Słyszał oczywiście o wielkiej wojnie o Bramę Krasnoludów. Jego stary przyjaciel, krasnolud Flint rzadko mówił o czym innym. Flint był krasnoludem podgórskim. Nabił głowę Caramonowi opowieściami o okrucieństwie górskich krasnoludów z Thorbardinu i mówił mniej więcej o tym samym, co ci ludzie. Jednakże z tego, co Flint opowiadał, bogactwo, jakie zrabowali górcy krasnoludowie, zostało odebrane ich pobratymcom, krasnoludom podgórskim.

Gdyby to była prawda, Caramon mógłby czuć się usprawiedliwiony, podejmując tę decyzję. Mógł oczywiście postąpić tak, jak nakazywał mu brat. W Istar jednakże coś pękło w duszy Caramona. Choć zaczynał sądzić, że źle ocenił brata, znał go wystarczająco dobrze, by nadal mu nie wierzyć. Nigdy więcej już nie zaufa ślepo Raistlinowi.

Wtedy to wyczuł spojrzenie błyszczących oczu Raistlina i usłyszał w głowie echo głosu brata: Twoja jedyna droga powrotu do domu!

Caramon zacisnął pięść w nagłym przyływie gniewu, lecz wiedział, że Raistlin ma go w rękę. – Udajemy się na południe do Thorbardinu – oświadczył szorstko, spuszczać z troskany wzrok na miecz, który trzymał w dłoni. Potem uniósł głowę, by spojrzeć na ludzi zgromadzonych wkoło. – Czy pójdziecie z nami?

Chwila wahania. Kilku mężczyzn wysunęło się naprzód, by porozmawiać z młodym szlachcicem, który najwyraźniej był teraz ich rzecznikiem. Wysłuchał ich, pokiwał głową, po czym znów zwrócił się do Caramona.

– Za tobą pójdziemy bez wahania, wielki wojowniku – oświadczył młodzieniec – lecz co cię łączy z tym czarodziejem w czarnej szacie? Kimże on jest, że mielibyśmy iść za jego

przewodnictwem?

– Nazywam się Raistlin – odparł mag. – Ten mężczyzna ochrania mnie.

Nie było odpowiedzi, jedynie podejrzliwe miny i pełne powątpiewania spojrzenia.

– To prawda, stanowią jego ochronę – rzekł spokojnie Caramon – lecz prawdziwe imię tego czarodzieja brzmi Fistandantilus.

Na tę wieść rozległy się odgłosy gwałtownych wdechów. Niechętne miny ustąpiły miejsca wyrazom szacunku, a nawet strachu i bojaźliwego podziwu.

– Nazywam się Garic – rzekł młodzieniec, kłaniając się arcymagowi ze staroświecką uprzejmością rycerzy solamijskich. – Słyszeliśmy o tobie, Wielki. Choć twoje sprawy są równie ciemne co te szaty, wygląda na to, że przyszło nam żyć w czasach ciemnych spraw. Pójdziemy za przewodnictwem twoim i tego wielkiego wojownika, który ci towarzyszy.

Garic wystąpił krok naprzód i złożył swój miecz u stóp Caramona. Pozostali poszli w jego ślady, jedni chętnie, inni ostrożniej. Niektórzy rozplynęli się w mroku. Rozpoznając w nich tchórzliwych łotrów, Caramon pozwolił im odejść.

Pozostało mu około trzydziestu ludzi. Kilku było równie szlachetnych w obejściu co Garic, lecz w większości byli to obszarpani, brudni złodzieje i obwiesie.

– Moje wojsko – rzekł tej nocy do siebie z ponurym uśmiechem Caramon, ścieląc sobie posłanie w chacie, którą Stalowy Paluch wybudował dla własnego użytku. Słyszał, jak za drzwiami Garic rozmawia z drugim mężczyzną, którego Caramon uznał za wystarczająco godnego zaufania, by postawić go na warcie.

Słaniający się ze zmęczenia Caramon przypuszczał, że szybko zapadnie w sen. Mimo to leżał w ciemności całkiem rozbudzony, rozmyślał i układał plany.

Jak większość młodych żołnierzy, Caramon często marzył o zostaniu oficerem. Teraz niespodziewanie miał szansę. Może nie było to wysokie stanowisko, ale zawsze początek. Po raz pierwszy od chwili przybycia do tych zapomnianych przez bogów czasów poczuł zadowolenie.

W głowie kłębiły mu się plany. Szkolenie, najlepsze szlaki na południe, wyżywienie, zaopatrzenie... Były to nowe i odmienne problemy dla byłego najemnika. Nawet podczas wojny lancy zazwyczaj był posłuszny rozkazom Tanisa. Jego brat zupełnie nie znał się na tych sprawach, Raistlin chłodno poinformował Caramona, że w tej sprawie musi liczyć wyłącznie na siebie samego. Caramon uznał to za śmiały i co dziwne – pokrzepiający na duchu plan. Miał oto teraz swoje przyziemne problemy, dzięki którym mógł zapomnieć o mrocznych i złowieszczych kłopotach z bratem.

Kiedy Caramon pomyślał o swym bliźniaku, zerknął na Raistlina, który leżał skulony przy ogniu płonącym w wielkim, kamiennym palenisku. Pomimo upału mag owinięty był w swą pelerynę i wszystkie derki, jakie Crysanii udało się znaleźć. Caramon słyszał, jak bratu rzeźi w płucach i jak czasami kaszle przez sen.

Crysania spała po drugiej stronie ognia. Mimo iż była wyczerpana, spała snem niespokojnym i przerywanym. Nieraz krzyczała i zrywała się nagle blada i drżąca. Caramon westchnął. Chciałby ją pocieszyć – wziąć ją w ramiona i utulić do snu. Właściwie po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo miał na to ochotę. Być może to dlatego, że powiedział zbójcom, że ona należy do niego. Być może dlatego, że zobaczył macającego ją półogra i poczuł tę samą wściekłość, której odbicie zauważył na twarzy brata.

Bez względu na przyczynę Caramon stwierdził, że tej nocy przygląda się Crysanii zupełnie inaczej niż przedtem i przychodzą mu do głowy myśli, od których nawet teraz paliła go twarz i serce biło szybciej.

Zamknawszy oczy, przywołał na myśl obraz Tiki, swojej żony. Tak dawno jednakże rozstał się z tymi wspomnieniami – mi, że już go nie zadowalały. Tika była zamglonym, niewyraźnym wizerunkiem, a Crysania była istotą z krwi i kości, i była tutaj! Nie mógł nie słyszeć jej cichego, miarowego odechu...

Do licha! Kobiety! Caramon przewrócił się na brzuch, stanowczo postanawiając zmieść wszelkie myśli o kobietach pod dywan swych innych kłopotów. Podziałało. Wreszcie ogarnęło go znużenie.

Kiedy już pogrążał się we śnie, pozostała jeszcze tylko jedna nie dająca mu spokoju sprawa, która przewijała się w tle wszystkich myśli. Nie dotyczyła logistyki ani rudowłosych wojowniczek, ani nawet ślicznych kapłanek w białych szatach.

Było to tylko spojrzenie – dziwne spojrzenie, jakie posłał Caramonowi Raistlin, gdy wojownik wypowiedział imię „Fistandantilus”.

Nie był to gniewny czy poirytowany wzrok, jakiego mógłby się spodziewać Caramon. Ostatnią rzeczą, jaką Caramon ujrzał, zanim sen nie zatarł wspomnienia, był obraz Raistlina, który patrzył na niego z absolutnym przerażeniem.

Księga druga

Armia Fistandantilusa

W miarę jak gromada ludzi pod dowództwem Caramona wędrowała na południe w kierunku wielkiego krasnoludzkiego królestwa Thorbardinu, jej sława rosła – tak samo, jak jej liczebność. Baśniowe „bogactwo pod górą” od dawna obrosło legendą wśród wynędzniałej, na wpół zamorzonej głodem ludności Solamnii. Tego lata ludzie widzieli, jak większość ich pól usycha i ginie na polach. Grasowały przerażające choroby, groźniejsze i budzące większy lęk niż dzikie bandy goblinów i ogrów wypędzonych przez głód ze swych prastarych ojczyzn.

Choć wciąż jeszcze panowała jesień, nocą w powietrzu wyczuwało się chłód zbliżającej się zimy. Mając przed sobą jedynie ponurą perspektywę przyglądania się, jak ich dzieci giną z głodu, zimna lub chorób, jakich nie umieli wyleczyć kapłani nowych bogów, mężczyźni i kobiety z Solamnii byli przekonani, że nie mają nic do stracenia. Porzuciwszy swe domostwa, spakowali swe rodziny i nędzny dobytek, by przyłączyć się do armii, która maszerowała na południe.

Od martwienia się o wyżywienie trzydziestu mężczyzn Caramon niespodziewanie przeszedł do odpowiedzialności za kilka ich setek, nie licząc kobiet i dzieci. A z każdym dniem przybywało ich do obozu coraz więcej. Niektórzy byli rycerzami wyszkolonymi we władaniu mieczem i włócznią, a ich szlachectwo przeświecało nawet przez łachmany. Inni byli chłopami, którzy trzymali miecze, włożone im do rąk przez Caramona, jakby to były motyki. W nich również jednak można było dostrzec zawziętość i godność. Po latach bezradnego zmagania się z głodem i nędzą, myśl o przygotowywaniu się do walki z wrogiem, którego można zabić i zwyciężyć, dodawała im skrzydeł.

Nie zdając sobie sprawy, jak do tego doszło, Caramon został generałem wojska, które teraz nazywano „Armią Fistandantilusa”.

Z początku ledwo mógł sobie poradzić ze zdobyciem pożywienia dla tak ogromnej liczby mężczyzn i ich rodzin. Potem jednakże ożyły wspomnienia chudych dni, przypomniał sobie swoje życie najemnika. Caramon zorientował się, którzy z jego podwładnych są zdolnymi myśliwymi i rozesłał ich daleko w poszukiwaniu zwierzyny. Kobiety wędziły mięso lub je suszyły, aby to, czego od razu się nie zużyło, można było przechować.

Wielu z przybywających przynosiło ze sobą zboże i owoce, jakie zdołali jeszcze zebrać. Te Caramon polecił zgromadzić, a zboże zmielić na kaszę lub mąkę, z której wypieczono twarde jak kamień, ale pożywny chleb podróżny, którym wędrujące wojsko mogło się żywić miesiącami. Nawet dzieci zostały obciążone obowiązkami – zastawianiem sideł lub polowaniem na drobną zwierzynę, łowieniem ryb, czerpaniem wody i rąbaniem drewna.

Potem Caramon musiał zająć się szkoleniem swoich surowych rekrutów – nauczaniem ich, jak się posługiwać włócznią, łukiem, mieczem i tarczą.

Wreszcie musiał znaleźć te włócznie i łuki, miecze i tarcze.

A w miarę bezlitosnego marszu wojska na południe rozprzestrzeniała się wieść o jego nadejściu...

Rozdział I

Pax Tharkas – pomnik pokoju. Obecnie stanowił symbol wojny.

Historia ogromnej, kamiennej fortecy Pax Tharkas ma swe korzenie w mało wiarygodnej legendzie, opowieści o zaginionej rasie krasnoludów znanych jako Kal-thax.

Tak jak ludzie kochają stal – wykuwanie błyszczącego oręża, jasny błysk monet, jak elfowie kochają swe lasy sianie i pielęgnowanie życia, tak krasnoludowie kochają kamień – kształtowanie kości świata.

Wiek Snów był poprzedzony przez Wiek Półmroku, gdzie historię świata spowijają mgły zarania dziejów. Wielkie pałace Thorbardinu zamieszkiwała rasa krasnoludów, których robota kamieniarska była tak doskonała i przepiękna, że bóg Reorx, Kowal Świata, przyjrzał jej się z podziwem. Wiedząc w swej mądrości, że kiedy śmiertelnicy osiągną taką doskonałość, nie będą już mieli w życiu żadnego celu, Reorx zabrał całą rasę Kal-thaxów, aby zamieszkała z nim w pobliżu kuźni niebios.

Pozostało niewiele przykładów starożytnego rękodziela Kal-thaxów. Znajdują się one wewnątrz krasnoludzkiego królestwa Thorbardinu i są cenione ponad wszystko inne. Po czasach Kal-thaxów życiową ambicją każdego krasnoluda stało się osiągnięcie takiej doskonałości w rzemiośle kamieniarskim, by również wstąpić do niebios i zamieszkać z Reoncem.

Jednakże wraz z upływem czasu ten chwalebny cel uległ wypaczeniu i zmienił się w obsesję. Życie krasnoludów, którzy myśleli i śnili jedynie o kamieniu, stało się równie sztywne i niezmienne, co materiał ich rzemiosła. Lud ten zarył się głęboko w swych prastarych komnatach pod górą, odcinając się od świata zewnętrznego. A świat na zewnątrz odciął się od niego.

Czas płynął i przyniósł tragiczne wojny między ludźmi i elfami. Zakończyły się one podpisaniem paktu mieczowego oraz dobrowolnym wygnaniem Kith-Kanana i jego zwolenników ze starej ojczyzny elfów w Silvanesti. Na mocy paktu mieczowego elfowie Qualinesti (co oznacza „wyzwolony naród”) otrzymali ziemie na zachód od Thorbardinu, aby tam założyć swą nową siedzibę.

Było to dogodne zarówno dla ludzi, jak i elfów. Na nieszczęście nikt nie zadał sobie trudu, by zapytać o zdanie krasnoludów. Uznawszy napływ elfów za zagrożenie dla swego sposobu życia pod górą, krasnoludowie ruszyli do natarcia. Ku swemu zmartwieniu Kith-Kanan odkrył, że wycofał się z jednej wojny tylko po to, by uwikłać się w następną.

Po wielu długich latach mądry król elfów zdołał przekonać upartych krasnoludów, że elfowie nie są zainteresowani ich kamieniami. Pragną jedynie zachwycać się pięknem puszczy. Choć miłość do czegoś tak zmiennego i dzikiego była kompletnie niezrozumiała dla krasnoludów, wreszcie pogodzili się z tą myślą i ją zaakceptowali. Elfowie nie byli już uznawani za zagrożenie.

Dwie rasy nareszcie mogły się stać przyjaciółmi.

Aby uczcić to porozumienie, zbudowano Pax Tharkas.

Tę strzegącą górskiej przełęczy pomiędzy Qualinesti i Thorbardinem fortecę uznano za pomnik odmienności – symbol jedności i różnorodności.

Za tamtych czasów, przed Kataklyzmem, elfowie i krasnoludowie wspólnie czuwali na murach tej potężnej twierdzy. Teraz jednakże wyłącznie krasnoludowie trzymali straż na jej dwóch wysokich wieżach. Zły czas znów zwaśnił obie rasy.

Elfowie opuścili Pax Tharkas i zaszyli się w swej leśnej ojczyźnie Qualinesti, by lizać rany, które skłoniły ich do szukania samotności. Bezpieczni już w leśnych ostępach, zamknęli swe granice przed wszystkimi. Intruzów – bez względu na to, czy byli ludźmi, goblinami, krasnoludami czy ogrami – zabijano natychmiast i bez pytania.

To właśnie zaprzętało myśli Duncana, króla Thorbardinu, który przyglądał się chowającemu się za górami słońcu, które spadało z nieba na Qualinesti. Niespodziewanie przemknęła mu przez głowę żartobliwa myśl o tym, jak elfowie atakują słońce za to, że ośmiela się wkroczyć do ich krainy. Parsknął pogardliwie. Cóż, elfowie mają skłonność do paranoi, mruknął pod nosem. Mają też powód, by zamykać się przed światem. Cóż świat dla nich uczynił?

Wkroczył na ich ziemie, zgwałcił ich kobiety, zamordował ich dzieci, spalił im domy, skradł pożywienie. I czy były to gobliny albo ogrowie, pomiot zła? Nie! Duncan zawarczał pod nosem z wściekłości. Byli to ci, którym ufali, których witali jak przyjaciół – byli to ludzie.

A teraz kolej na nas, pomyślał Duncan, krocząc po murach i wpatrując się w zachód słońca, który skapał nieboskłon we krwi. Nasza kolej zamknąć wrota i powiedzieć światu, by poszedł precz! Idźcie do Otchłani na swój sposób i pozwólcie nam pójść na swój!

Pogrążony w rozmyślaniach Duncan stopniowo uświadomił sobie, że ktoś jeszcze towarzyszy mu podczas tego spaceru. Podkute żelazem buty stukały w rytm jego kroków. Nowy krasnolud był wyższy od swego króla o głowę, a przy swych długich nogach mógłby robić dwa kroki na jeden królewski. Niemniej jednak z szacunku zwolnił tempo, by nie wyprzedzać monarchy.

Duncan zmarszczył brwi, czując się nieswojo. O każdej innej porze mile powitałby towarzystwo tej osoby. Teraz jednakże wydało mu się złym omenem, rzucało cień na jego rozmyślania, podobnie jak zachodzące słońce sprawiało, że chłodny cień górskich szczytów wydłużał się i wyciągał ku Pax Tharkas.

– Będą dobrze strzec naszych zachodnich rubieży rzekł Duncan w celu rozpoczęcia rozmowy, spoglądając na granice Qualinesti.

– Tak, thanie – odrzekł drugi krasnolud i Duncan zerknął na niego przenikliwie spod krzaczastych, siwych brwi. Choć wyższy krasnolud przytaknął swemu królowi, w jego głosie dało się wyczuć rezerwę, pewną oziębłość wskazującą na dezaprobatę.

Parsknąwszy z irytacją, Duncan zawrócił gwałtownie w marszu i ruszył w przeciwnym kierunku, zaskakując tym swego towarzysza. Rozbawiło go to. Jednakże wyższy krasnolud zamiast zawrócić w popłochu, by dogonić swego króla, po prostu stanął i spoglądał smutno z murów Pax Tharkas na pogrążoną już w mroku krainę elfów.

Poirytowany Duncan w pierwszym momencie zamierzał po prostu iść dalej bez towarzystwa, lecz potem zatrzymał się, dając wysokiemu krasnoludowi czas na dogonienie go. Niemniej jednak wysoki krasnolud nie ruszył się z miejsca, więc Duncan zawrócił wreszcie z rozszłoszczoną miną i poczłapał z powrotem.

– Na brodę Reorxa, Kharasie – burknął – co tam znowu?

– Wydaje mi się, że powinienes pójść na spotkanie z Fireforgem – rzekł powoli Kharas, wpatrując się w ciemniejące niebo, które przybierało barwę fioletu. Wysoko nad ich głowami w ciemności migotała pojedyncza, jasna gwiazda.

– Nie mam mu nic do powiedzenia – stwierdził krótko Duncan.

– Than jest mądry – Kharas wypowiedział rytualne słowa i skłonił się, westchnął przy tym ciężko i złożył ręce na plecach.

Duncan wybuchnął. – Chciałeś powiedzieć „than jest głupim osłem”! – Król szturchnął Kharasa w ramię. Czyż to nie jest bliższe prawdy?

Kharas odwrócił głowę i uśmiechnął się, głaszcząc jedwabiste, wijące się pasma swej długiej brody, która lśniła w świetle pochodni zapalanych właśnie na murach. Miał zamiar odpowiedzieć, lecz nagle przeszkodził mu zgiełek łoskot butów, tupanie, okrzyki, brzęk toporów uderzających w stal. Odbywała się zmiana warty. Dowódcy wykrzykiwali rozkazy, żołnierze opuszczali swe posterunki, a inni je obejmowali. Kharas, który obserwował w milczeniu zmianę warty, wykorzystał ją jako znaczące tło dla swego stwierdzenia, kiedy wreszcie odezwał się.

– Sądzę, że powinienes posłuchać, co ma ci do powiedzenia, thanie Duncanie – oświadczył po prostu Kharas.

– Powiadają, że podjudzasz naszych kuzynów do wojny...

– Ja! – ryknął z wściekłością Duncan. – Ja podjudzam ich do wojny! To oni maszerują na nas, wyległszy ze swych wzgórz niczym szczury! To oni porzucili górę. My nigdy nie nakazywaliśmy im opuszczać ojczyzny przodków! Ale nie, w swej przeklętej dumie... – brnął dalej, wyliczając długą historię krzywd, zarówno usprawiedliwionych, jak i wymyślonych. Kharas pozwolił mu mówić i czekał cierpliwie, aż większość gniewu Duncana wyparuje.

Wtedy wysoki krasnolud rzekł: – Wysłuchanie ich nic cię nie będzie kosztowało, thanie, a może przynieść nam wielką korzyść w dalszej perspektywie. Możesz być pewien, że obserwują nas oczy nie tylko naszych pobratymców.

Duncan odburknął coś pod nosem, lecz w tej drażliwej kwestii zachował milczenie. Zastanawiał się. Wbrew mniemaniu król Duncan nie był głupim krasnoludem, ani też Kharas nie

uważał go za takiego. Wręcz odwrotnie. Będąc jednym z siedmiu thanów władających siedmioma klanami królestwa krasnoludów, Duncan zdołał zjednoczyć pozostałe domeny thanów pod swymi rządami, przez co krasnoludowie z Thorbardinu zyskali króla po raz pierwszy od stuleci. Nawet Dewarowie uznali przywództwo Duncana, choć uczynili to niechętnie.

Dewarowie, albo tak zwani czarni krasnoludowie, żyją głęboko pod ziemią w słabo oświetlonych, cuchnących jaskiniach, do których wahał się wejść nawet górscy krasnoludowie z Thorbardinu, którzy większość swego życia spędzają w podziemiach. Dawno temu w owym klanie pojawiła się skłonność do szaleństwa, przez co pozostałe rody go odtrąciły. Teraz, po stuleciach wymuszonego przez izolację zawierania małżeństw wśród bliskich krewnych, obłęd był jeszcze wyraźniej zauważalny, a ci uznani za zdrowych na umyśle byli zgorzkniali i ponurzy.

Mimo to i oni byli pożyteczni. Szybko wpadający w gniew, zaciekli mordercy czerpiący przyjemność z zabijania stanowili cenioną część wojsk thana. Z tego powodu Duncan dobrze ich traktował, także dlatego, że w głębi serca był dobrym i sprawiedliwym krasnoludem i miał dość rozumu, by nie odwracać się do nich plecami.

Duncan był też wystarczająco rozsądny, by rozważyć mądrość słów Kharasa: „Będą nas obserwować inne oczy”. Nie mylił się. Król spojrział na zachód, ale tym razem czujnie. Elfowie nie pragnęli kłopotów, tego był pewien. Niemniej jednak, gdyby byli przekonani, że krasnoludowie są gotowi wywołać wojnę, stanęliby szybko w obronie swej ojczyzny. Odwrócił się i popatrzył na północ. Wieść niosła, że wojownicze plemiona mieszkańców równin z Abanasinii brały pod uwagę możliwość sprzymierzenia się z podgóorskimi krasnoludami, którym pozwolili obozować na swej ziemi. Prawdę mówiąc, z tego, co Duncan wiedział, przymierze mogło być już zawarte. Przynajmniej gdyby porozmawiał z tym krasnoludem podgóorskim Fireforsem, mógłby się tego dowiedzieć.

Oprócz tego dochodziły do niego jeszcze bardziej złowieszcze pogłoski... wieści o armii maszerującej ze spustoszonych ziem Solamnii, armii prowadzonej przez potężnego czarodzieja w czarnych szatach...

– Zgoda! – warknął król Duncan z niechęcią. – Znów postawiłeś na swoim, Kharasie. Powiedz temu krasnoludowi podgóorskiemu, że spotkam się z nim w Sali Thanów przy następnej zmianie warty. Zobacz, czy uda ci się ściągnąć przedstawicieli innych thanów. Wszystko odbędzie się jawnie, albowiem tak właśnie mi doradzałeś.

Kharas skłonił się z uśmiechem, niemal muskając czubki butów swą długą brodą. Ponuro skinąwszy głową, Duncan odwrócił się i poczłapał na dół, dźwięcznym stukiem butów obwieszczając rozmiary swego niezadowolenia. Pozostali krasnoludowie stojący na blankach kłaniali się mijającemu go królowi, lecz prawie natychmiast wracali do swych obowiązków wartowniczych. Krasnoludowie są bardzo niezależni, wierni wprawdzie swemu klanowi, a później wszystkim pozostałym. Choć wszyscy szanowali Duncana, nie darzono go czcią i król o tym

wiedział. Codziennie walczył o utrzymanie się na stanowisku.

Przerwane na krótko przejściem monarchy rozmowy zostały podjęte niemal natychmiast. Ci krasnoludowie wiedzieli, że nadciąga wojna, i prawdę mówiąc, cieszyli się na myśl o tym. Słyszając ich tubalne głosy, wsłuchując się w ich rozmowę o bitwach i potyczkach, Kharas znów westchnął.

Odwróciwszy się w przeciwnym kierunku, ruszył na poszukiwanie delegacji krasnoludów podgórskich z sercem niemal tak ciężkim, jak noszony przezeń gigantyczny młot bojowy – młot, którego niewielu innych krasnoludów zdołałoby choćby unieść. Kharas również wiedział, że wojna wisi w powietrzu. Czuł się tak, jak kiedyś, gdy będąc dzieckiem, odwiedził Tarsis i stanął na plaży, by przyrzeć się z podziwem falom bijącym o brzeg. Nadejście wojny zdawało się równie nieuniknione i niepowstrzymane, jak morskie fale. Mimo to zdecydowany był uczynić wszystko, co w jego mocy, by spróbować jej zapobiec.

Kharas nie ukrywał swej nienawiści do wojny i stanowczo opowiadał się po stronie pokoju. Wielu spośród krasnoludów uważało to za dziwactwo, Kharas bowiem był uznanym bohaterem swego narodu. Jako młody krasnolud, jeszcze przed Katakлизmem, walczył z legionami goblinów i ogrów w wielkich goblinich wojnach, do których podzegał król-kapłan I star.

W tych czasach istniało jeszcze zaufanie między rasami. Jako sprzymierzeńcy rycerzy krasnoludowie przyszli im z pomocą, gdy gobliny najechały Solamnię. Krasnoludowie i rycerze walczyli ramię w ramię, a rycerski kodeks i reguła wywarły ogromne wrażenie na młodym Kharasie. Rycerzom z kolei zaimponowały bojowe zdolności młodego krasnoluda.

Wyższy i silniejszy od większości swych pobratymców Kharas władał olbrzymim młotem bojowym, który sam wykuł – legenda mówi, że przy pomocy boga Reonca – i niezliczoną ilość razy bronił pozycji sam, zanim jego towarzysze broni zdołali zgromadzić się, by przegnać najeźdźców.

Za odwagę rycerze nadali mu przydomek „Kharas”, co w ich języku oznacza „rycerz”. Nie ma większego zaszczytu, jaki mogliby przyznać cudzoziemcowi.

Po powrocie do ojczyzny Kharas stwierdził, że sława go wyprzedziła. Mógłby zostać wojennym wodzem krasnoludów, prawdę mówiąc, mógłby zostać samym królem, lecz nie miał takich ambicji. Był jednym z najsilniejszych zwolenników Duncana i wielu uważało, że Duncan zawdzięczał Kharasowi dojście do władzy w klanie. Jeśli nawet tak było, nie zatruło to ich przyjaźni. Starszy krasnolud i młody bohater zostali bliskimi przyjaciółmi, a twardy jak skała pragmatyzm Duncana sprowadzał idealistę Kharasa na ziemię.

Wtedy nastąpił Katakлизm. W tych pierwszych, straszliwych latach po katastrofie, dzielność Kharasa była przykładem godnym naśladowania dla jego uciemionego narodu. To jego przemowa nakłoniła thanów, by złączyli siły i ogłosili Duncana królem. Dewarowie ufali Kharasowi, choć nie wierzyli nikomu innemu. Dzięki temu zjednoczeniu krasnoludowie przeżyli

i nawet dobrze prosperowali.

Teraz Kharas był w kwiecie wieku. Był raz żonaty, lecz jego ukochana żona zginęła podczas Kataklyzmu, a krasnoludowie kiedy już zawierają małżeństwo, czynią to raz w życiu. Nie będzie synów noszących jego imię, za co Kharas, zastanawiając się nad ponurą przyszłością, jaką widział przed światem, był nieomal wdzięczny.

– Reghar Fireforge z krasnoludów podgórskich z towarzyszami.

Herold wygłosił imię i stuknął tyłcem ceremonialnej włóczni o twardą, granitową posadzkę. Krasnoludowie podgórscy weszli do Sali Thanów mieszczącej się w fortecy Pax Tharkas i dumnie zbliżyli się do tronu, na którym siedział Duncan. Za nim, na niższych krzesłach, które pośpiesznie wyciągnięto na tę okazję, zasiadało w imieniu swoich thanów sześciu przedstawicieli pozostałych klanów. Byli oni jedynie świadkami, których zadaniem było donieść swoim thanom, co zostało powiedziane i uczynione. Ponieważ był to czas wojny, cała władza spoczywała w rękach Duncana (przynajmniej w takim stopniu, w jakim potrafił wzbudzić posłuch).

Prawdę powiedziawszy, świadkowie byli niczym więcej jak dowódcami poszczególnych pułków. Chociaż wojsko pozornie stanowiło pojedynczą jednostkę składającą się ze wszystkich krasnoludów z każdego klanu, w rzeczywistości był to tylko zbiór klanów zgromadzonych razem. Każdy klan przydzielał swym oddziałom własnych dowódców, każdy klan żył oddzielnie i z dala od pozostałych. Utarczki między nimi nie należały do rzadkości – niektóre krwawe wendety ciągnęły się od pokoleń. Duncan robił wszystko, co mógł, by nakryć mocno te wrzące kotły, lecz co jakiś czas ciśnienie wzrastało zbytnio i pokrywka raptownie podskakiwała.

Teraz jednakże w obliczu wspólnego wroga klany się zjednoczyły. Nawet przedstawiciel Dewarów, obszarpany, brudny na twarzy kapitan imieniem Argat, który nosił brodę splecioną w węzły na barbarzyńską modę i zabawiał się zręcznym podrzucaniem noża oraz chwytaniem go w powietrzu, przysłuchiwał się obradom z mniej widocznym niż zwykle wyrazem szyderczej pogardy.

Dodatkowo był także obecny dowódca szwadronu krasnoludów źlebowych. Krasnolud znany jako Najwyższy Gug zawdzięczał swą obecność wyłącznie uprzejmości Duncana. Ponieważ słowo „gug” oznaczało w języku krasnoludów źlebowych „szeregowca”, krasnolud ten był zaledwie „najwyższym szeregowcem”, który to stopień reszta armii kwitowała śmiechem. Jednakże dla krasnoludów źlebowych był to wybitny zaszczyt, a Najwyższy Gug budził podziw i respekt większości swych wojsk. Będąc zręcznym politykiem, Duncan zawsze odnosił się uprzejmie do Najwyższego Guga, czym zasłużył sobie na jego dozągonną wierność. Choć wielu było zdania, że krasnoludowie ci mogą prędzej przysporzyć kłopotów niż pomóc, Duncan odparł, że nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś taki może się przydać.

Tak więc Najwyższy Gug był też obecny, choć niewielu go widziało. Dano mu krzesło w najciemniejszym kącie i polecono nie ruszać się i siedzieć cicho, które to polecenie wypełnił

co do joty. Prawdę powiedziawszy, dwa dni później trzeba było wrócić, żeby go wynieść.

– Krasnoludowie są krasnoludami – głosiło wspólne mieszkańcom reszty Krynnu stare porzekadło dotyczące różnic pomiędzy górskimi a podgóorskimi krasnoludami.

Istniały jednak różnice – zdaniem krasnoludów olbrzymie różnice, choć nie aż tak oczywiste dla obserwatorów z zewnątrz. Co dziwne, ani elfowie, ani krasnoludowie nie chcą tego przyznać, krasnoludowie podgóorscy opuścili starożytną ojczyznę w Thorbardinie z tych samych powodów, dla których elfowie Qualinesti odeszli ze swej tradycyjnej ojczyzny w Silvanesti.

Krasnoludowie z Thorbardinu prowadzą rygorystyczny, wysoce uporządkowany tryb życia. Każdy zna swoje miejsce w swej grupie rodowej. Małżeństwa krasnoludów wywodzących się z różnych klanów są czymś niesłychanym, a lojalność wobec własnego rodu stanowi siłę spajającą żywot każdego krasnoluda. Unikano kontaktów ze światem zewnętrznym – najgorszą karą, jaką można było wymierzyć krasnoludowi, było wygnanie go, nawet karę śmierci uważano za litościwszą. Krasnoludzkim wyobrażeniem o idylli życiowej było urodzić się, dorosnąć i umrzeć bez wysuwania kiedykolwiek nosa poza bramy Thorbardinu.

Na nieszczęście było to – przynajmniej w przeszłości – jedynie marzeniem. Stale wzywani na wojnę w obronie swych terytoriów krasnoludowie musieli zadawać się z istotami ze świata zewnętrznego. A jeśli nie było akurat wojny, zawsze ktoś szukał krasnoludzkich mistrzów budownictwa i gotów był zapłacić wielkie sumy za ich usługi. Piękne Palanthas zostało pieczołowicie zbudowane przez istną armię krasnoludów, podobnie jak wiele innych miast na Krynnie. W taki sposób powstała rasa bywałych w świecie, nieskrępowanych, niezależnych krasnoludów. Wspominali oni o małżeństwach między klanami, mówili rzeczowo o handlu z ludźmi i elfami. Nawet wyrazili chęć życia na otwartej przestrzeni. A co było największym bluźnierstwem, twierdzili, że w życiu mogą być rzeczy ważniejsze od ciosania kamienia.

Krasnoludowie o sztywniej szych zasadach oczywiście uznali to przekonanie za bezpośrednie zagrożenie dla swego społeczeństwa, toteż rozłam był nieunikniony. Niezależni krasnoludowie opuścili swą ojczyznę pod górą w Thorbardinie. Rozstanie nie odbyło się w pokoju. Po obu stronach padły ostre słowa. Zaczęły się wtedy krwawe zatargi, które będą się ciągnęły przez setki lat. Ci, którzy odeszli, osiedlili się na wzgórzach, gdzie życie może nie było takie, jakie sobie wymarzyli, ale przynajmniej byli wolni – mogli brać ślub, z kim chcieli, wędrować, jak im się podobało, i zarabiać własne pieniądze. Krasnoludowie, którzy zostali, po prostu zacieśnili szeregi i przestrzegali swych obyczajów jeszcze rygorystyczniej, jeśli to było możliwe.

Dwaj krasnoludowie stojący naprzeciwko siebie rozmyślali o tym, mierząc się nawzajem wzrokiem. Być może my – sieli również o tym, że jest to historyczny moment – pierwszy to raz po tylu stuleciach spotkały się obie strony.

Reghar Fireforge był z tych dwóch starszym. Był wysoko postawionym członkiem

najsilniejszego klanu krasnoludów podgórskich. Choć zbliżał się do dwusetnej rocznicy swego Dnia Daru Życia, stary krasnolud wciąż cieszył się dobrym zdrowiem i krzepą. Pochodził z długowiecznego klanu. Jednakże nie można było tego samego powiedzieć o jego synach. Ich matka umarła z powodu słabego serca i zdawało się, że ta sama choroba pojawia się w rodzinie. Reghar pochował swego najstarszego syna i już dostrzegał te same objawy u swego następnego pod względem wieku syna siedemdziesięcioletniego młodzieńca będącego świeżo po ślubie.

Ubrany w futra i zwierzęce skóry, wyglądający równie barbarzyńsko (nawet jeśli czyściej) jak Dewar, Reghar stał w szerokim rozkroku i wbijał wzrok w Duncana. Jego oczy błyszczały niczym twarde kamienie spod brwi tak krzaczastych, że wielu zastanawiało się, jak stary krasnolud cokolwiek widzi. Miał stalowosiwe włosy i taką samą brodę, którą nosił splecioną w warkocze, zaczesaną i wciśniętą za pas na modłę krasnoludów podgórskich. Otoczony z boków przez eskortę bardzo podobnie odzianych pobratymców, stary krasnolud stanowił imponujący widok.

Król Duncan wytrzymał wzrok Reghara, nawet nie drgnęła mu powieka – te zawody we wpatrywaniu się w siebie nawzajem należały do starodawnych zwyczajów krasnoludzkich. Jeśli przeciwnicy byli wyjątkowo uparci, potrafiły doprowadzić do tego, że obaj krasnoludowie padali z wyczerpania, jeśli zawodów nie przerwała naturalnie trzecia osoba. Duncan, spoglądając na Reghara posępnym wzrokiem, zaczął głaskać się po jedwabistej i ułożonej w loki brodzie, która spływała swobodnie po jego wydatnym brzuchu. Była to oznaka pogardy i Reghar, który to zauważył bez przyznawania się do tego, poczerwieniał z gniewu.

Członkowie sześciu klanów ze stoickim spokojem zajmowali swe miejsca, przygotowani na dłuższe posiedzenie. Eskorta Reghara stanęła w rozkroku i wbiła wzrok w przestrzeń. Dewar nadal podrzucał nóż w powietrzu – ku rozdrażnieniu wszystkich. Najwyższy Gug siedział w swym kącie i nikt by o nim nie pamiętał, gdyby nie przenikliwy odór krasnoluda żlebowego, którym przesycone było zimne pomieszczenie. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że prędzej Pax Tharkas rozsypie się ze starości i zwali im się na głowy, niż ktoś się odezwie. Wreszcie Kharas z westchnieniem stanął pomiędzy Regharem i Duncanem. Po zerwaniu kontaktu wzrokowego każda ze stron mogła odwrócić oczy bez utraty godności.

Skłoniwszy się królowi, Kharas odwrócił się i z wielkim szacunkiem ukłonił Regharowi. Potem się wycofał. Obie strony mogły teraz swobodnie rozmawiać na równej stopie, choć każda ze stron miała własne zdanie na temat tego, jaka to jest równość.

– Regharze Fireforge – oświadczył Duncan, rozpoczynając dyskusję z oficjalną uprzejmością, która wśród krasnoludów nigdy nie trwała długo – udzieliłem ci audiencji, by wysłuchać, co skłania naszych kuzynów do wyruszenia w podróż do królestwa, które postanowili opuścić tak dawno temu.

– Dobry był to dzień dla nas, gdy otrząsnęliśmy ze stóp kurz tego starego, zapleśniałego grobowca – burknął Reghar – aby zamieszkać na otwartej przestrzeni jak ludzie, zamiast chować się pod kamieniami niczym jaszczurki.

Reghar poklepał się po splecionej w warkocze brodzie, a Duncan pogłaskał się po swojej. Obaj piorunowali się wzrokiem. Towarzysze Reghara pokiwali głowami w przekonaniu, iż ich wódz zwyciężył w pierwszej słownej utarczce.

– Dlaczego więc ci uczciwi ludzie wracają do tego zapleśniałego, starego grobowca, jeśli nie są hienami cmentarnymi? – odparł Duncan, prostując się z miną wyrażającą samozadowolenie.

Rozległ się szmer aprobaty wśród sześciu górskich krasnoludów, którzy wyraźnie sądzili, że ich than zdobył punkt.

Reghar zaczerwienił się. – Czy człowiek, który odbiera to, co mu wpieryw skradziono, jest złodziejem? – zapytał.

– Nie pojmuję sensu tego pytania – rzekł płynnie Duncan – nie posiadacie bowiem niczego cennego, co warto byłoby skraść. Powiadają, że nawet kenderzy omijają wasz kraj.

Górscy krasnoludowie wybuchnęli pochwalnym śmiechem, podczas gdy krasnoludowie podgórscy dosłownie zatrzęśli się z gniewu – była to bowiem śmiertelna zniewaga. Kharas westchnął.

– Powiem wam o kradzieży! – warknął Reghar, a broda mu drżała z wściekłości. – Kontrakty! To nam właśnie skradliście! Zanizaliście ceny usług, ponosząc nawet straty, żeby tylko odebrać nam ostatni kawałek chleba! A te najazdy na nasze ziemie! A te kradzieże zboża i bydła! Słyszeliśmy o bogactwie, jakie zgromadziliście, i przybyliśmy zażądać tego, co nam się należy zgodnie z prawem! Niczego więcej, niczego mniej!

– Kłamstwa! – ryknął z furią Duncan, zrywając się na równe nogi. – Wszystko kłamstwa! Majątek, jaki spoczywa pod górą, wypracowaliśmy uczciwie w pocie czoła! A wy wracacie jak marnotrawni synowie, skomląc, że macie pusto w brzuchu, po tym, jak zmarnowaliście czas na zabawę, zamiast uczciwie pracować! – Uczynił obraźliwy gest. – Nawet wyglądacie na żebraków!

– Żebracy, tak? – ryknął z kolei Reghar, purpurowiejąc na twarzy. – Nie, na brodę Reorxa! Gdybym umierał z głodu, a ty podałyś mi skórkę od chleba, splunąłbym ci na buty! Zaprzecz, że umocniłeś tę twierdzą na naszej granicy! Zaprzecz, że podburzyłeś elfów przeciwko nam, skutkiem czego zerwali z nami kontakty handlowe! Żebracy! Nie! Na brodę Reorxa, jego młot i kuźnię, wrócimy tu jeszcze, ale jako zdobywcy! Zabierzemy, co nam się należy wedle prawa i na dokładkę nauczymy was jeszcze moresu!

– Przyjdziecie, wy parszywe tchórze – szydził Duncan – ale schowani za spódnicą czarodzieja w czarnej szacie i błyszczącymi tarczami ludzkich wojowników złaknionych łupów! Wbiją wam nóż w plecy, a później obrabują wasze trupy!

– Kto się zna lepiej na okradaniu trupów! – krzyknął Reghar. – Wy okradacie nasze od lat!

Sześciu członków klanów zerwało się z krzesel, a eskorta Reghara skoczyła do przodu. Piskliwy śmiech Dewara wzniósł się ponad grzmiące okrzyki i groźby. Najwyższy Gug wtulił głowę w ramiona i siedział w swym kącie z otwartymi ustami.

Wojna mogłaby wybuchnąć tu i teraz, gdyby Kharas nie wbiegł pomiędzy zwaśnione strony, górując nad wszystkimi swą znaczną posturą. Pchnięciami i szarpaniem rozdzielił krasnoludów. Niemniej jednak nawet po rozpędzeniu zwaśnionych dało się słyszeć pogardliwe okrzyki i rzucane od czasu do czasu obelgi. Surowe spojrzenie Kharasa szybko jednakże uciszyło je i zapadła ponura cisza.

Kharas przemówił głębokim, grubym głosem, w którym pobrzmiwał żal. – Dawno temu modliłem się do boga, by obdarzył mnie siłą do zwalczania niesprawiedliwości i zła na świecie. Reorx odpowiedział na mą modlitwę, pozwalając mi użyć narzędzi ze swej kuźni, i tam, na kowadle samego boga, wykułem ów młot. Od tamtej pory lśnił on w boju, tępiąc złe stwory tego świata i broniąc mojej ojczyzny, ojczyzny mego ludu. A teraz ty, mój królu, żądasz ode mnie, żebym ruszył na wojnę przeciwko moim pobratymcom? A wy, moi rodacy, grozicie, że wypowiedzie wojnę naszej ojczyźnie? Czy do tego prowadzą wasze słowa? Do tego, bym podniósł swój młot na mych własnych krewniaków?

Żadna ze stron się nie odezwała. Obie patrzyły na siebie ponuro spod gęstych brwi, obie zdawały się zawstydzone. Płynąca z serca przemowa Kharasa wzruszyła wielu. Tylko dwóch wysłuchało jej beznamietnie. Obaj byli starcami, obaj dawno stracili wszelkie złudzenia wobec świata, obaj wiedzieli, że przepaść stała się zbyt wielka, by słowa mogły przerzucić przez nią most. Gest jednakże trzeba było uczynić.

– Oto moja propozycja, Duncanie, królu Thorbardinu – rzekł Reghar, ciężko sapiąc. – Wycofaj swe wojska z tej fortecy. Przekaż Pax Tharkas i otaczające ją ziemie nam i naszym ludzkim sprzymierzeńcom. Daj nam połowę skarbu spod góry, połowę należną nam z mocy prawa, i zezwól tym z nas, którzy tego zechcą, wrócić do bezpiecznego schronienia pod górą, jeśli zło rozpanoszy się w tej krainie. Przekonaj elfów, żeby znieśli zapory handlowe, i podziel się z nami po połowie kontraktami na robotę kamieniarską. W zamian będziemy uprawiać ziemię wokół Thorbardinu i sprzedawać płody rolne za cenę mniejszą, niż kosztuje was wyhodowanie ich samodzielnie pod ziemią. Pomożemy wam strzec granic i samej góry, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Kharas posłał królowi błagalne spojrzenie, prosząc go, by się zastanowił – a przynajmniej negocjował. Wydawało się jednakże, że do Duncana nie docierały już rozsądne argumenty.

– Idź precz! – warknął. – Wracaj do swego czarnoksiężnika! Wracaj do swych ludzkich przyjaciół! Zobaczymy, czy wasz czarodziej jest dość potężny, by zburzyć mury tej twierdzy albo wyrwać z korzeniami głazy naszej góry. Zobaczymy, jak długo wasi ludzie przyjaciele

pozostaną przyjaciółmi, kiedy zimowe wichry zaświszczą wokół obozowych ognisk, a na śniegu poleje się ich krew!

Reghar spojrział na Duncana wzrokiem tak pełnym wrogości i nienawiści, że równie dobrze mógłby wymierzyć mu policzek. Potem odwrócił się na pięcie i dał znak swej świcie. Razem opuścili Salę Thanów i Pax Tharkas.

Wieść szybko się rozniosła. Do czasu, gdy krasnoludowie podgórscy byli gotowi do odejścia, mury twierdzy usiane były krasnoludami górskimi, którzy krzyczeli i gwizdali obraźliwie. Reghar i jego drużyna odjechali z ponurymi i zaciętymi minami, nie oglądając się ani razu za siebie.

Kharas tymczasem stał w Sali Thanów sam ze swym królem (i zapomnianym Najwyższym Cugiem). Sześciu świadków powróciło do swych klanów z wieściami. Tej nocy świętowano, odbijając beczki piwa i mocnego trunku znanego jako krasnoludzka gorzałka. Już teraz słysząc było śpiewy i ochryply śmiech rozbrzmiewający echem w tym olbrzymim, kamiennym pomniku pokoju.

– Cóż by to szkodziło ponegociować, thanie? – spytał Kharas głosem ciężkim od smutku.

Duncan, którego nagły gniew najwyraźniej ustąpił, spojrział na wyższego krasnoluda i potrząsnął głową. Jego siwiejąca broda musnęła urzędowe szaty. Miał w pełni prawo odmówić udzielenia odpowiedzi na tak impertynenckie pytanie. Prawdę powiedziawszy, nikt poza Kharasem nie odważyłby się kwestionować decyzji Duncana.

– Kharasie – rzekł Duncan, kładąc serdecznie dłoń na ramieniu swego przyjaciela – powiedz mi, czy istnieje skarb pod górą? Czy obrabowaliśmy naszych krewniaków? Czy najeżdżamy ich ziemie, albo też ziemie ludzi, jeśli już o tym mowa? Czy ich oskarżenia są uzasadnione?

– Nie – odparł Kharas, patrząc zdecydowanie w oczy swemu władcy.

Duncan westchnął. – Widziałeś tegoroczne plony. Wiesz, że te niewielkie sumy, jakie mamy w skarbcu, przeznaczymy na zgromadzenie zapasów na tę zimę.

– Powiedz im to! – rzekł z przejęciem Kharas. Powiedz im prawdę! Oni nie są potworami! To nasi pobratymcy, oni zrozumieją...

Duncan posłał mu smutny, zmęczony uśmiech. – Nie, oni nie są potworami. Jednakże, co gorsze, są jak dzieci. Wzruszył ramionami. – Och, moglibyśmy powiedzieć im prawdę, pokazać im nawet skarbiec. Mimo to nie uwierzyliby nam. Nie uwierzyliby własnym oczom. Dlaczego? Bo chcą wierzyć, że jest inaczej!

Kharas zmarszczył brwi, lecz Duncan ciągnął cierpliwie. – Chcą wierzyć, mój przyjacielu. Co więcej, muszą wierzyć. To ich jedyna szansa przeżycia. Nie mają niczego, ni – czego, prócz tej nadziei. Tak więc skłonni są o nią walczyć. Rozumiem ich. – Oczy starego króla zaszyły na chwilę mgłą i Kharas, który przyglądał mu się w osłupieniu, spostrzegł, że than tylko udawał wzburzenie, że cały ten gniew był na pokaz.

– Teraz mogą wrócić do swych żon i głodnych dzieci i powiedzieć im: „Będziemy walczyć z uzurpatorami! Kiedy zwyciężymy, znów będziecie mieli pełne brzuchy”. I to im pomoże na jakiś czas zapomnieć o głodzie.

Twarz Kharasa wykrzywił grymas cierpienia. – Jednak żeby posunąć się aż tak daleko! Chyba możemy podzielić się...

– Mój przyjacielu – powiedział cicho Duncan przysięgam ci na młot Reorxa, że gdybym przystał na ich warunki, zginęlibyśmy wszyscy. Nasza rasa przestałaby istnieć.

Kharas wbił w niego wzrok. – Jest aż tak źle? – spytał.

Duncan skinął głową. – Tak, aż tak źle. Tylko nieliczni wiedzą o tym, wodzowie klanów i teraz ty. Żądam od ciebie dochowania tajemnicy. Zbiory w tym roku były katastrofalnie niskie. Nasz skarbiec niemal świeci pustkami, a teraz musimy oszczędzać na opłacenie tej wojny. Tej zimy będziemy zmuszeni racjonować żywność nawet wśród naszego własnego ludu. Obliczamy, że tego, co mamy, starczy nam zaledwie na przetrwanie. Dodaj setki następnych gąb... Pokręcił głową.

Kharas stał w zamyśleniu, a potem uniósł głowę. Jego ciemne oczy zabłyśły. – Jeśli to prawda, niech i tak będzie! – rzekł surowo. – Lepiej żebyśmy wszyscy pomarli z głodu, niż zginęli, walcząc ze sobą nawzajem!

– Szlachetne słowa, mój przyjacielu – odrzekł Duncan. W komnacie dudniły werble i słychać było głębokie głosy, które intonowały entuzjastyczne pieśni wojenne, starsze niż Pax Tharkas, być może nawet starsze niż kości samego świata. – Jednak nie można się najeść szlachetnymi słowami, Kharasie. Nie można się nimi napoić ani otulić nimi nóg czy napalić w piecu, ani ich dać dzieciom, które płaczą z głodu.

– A co z dziećmi, które będą płakać, gdy ich ojciec wyruszy na wojnę i nigdy nie wróci? – spytał srogo Kharas.

Duncan uniósł brew. – Będą płakać przez miesiąc oświadczył zwyczajnie – a potem zjedzą jego część stawy. A czyż on nie pragnąłby tego?

Z tymi słowami odwrócił się i opuścił Salę Thanów, znów udając się na mury.

W czasie, gdy Duncan naradzał się z Kharasem w Sali Thanów, Reghar Fireforge ze swą drużyną wyprowadzali niskie, kosmate kuce z twierdzy Pax Tharkas. Gwizdy i śmiech rodaków dźwięczały im w uszach.

Reghar milczał długie godziny, dopóki nie zniknęły im z oczu olbrzymie, podwójne wieże fortecy. Później, gdy dotarli do rozstajnych dróg, stary krasnolud ściągnął wodze swego wierzchowca.

Odwracając się do najmłodszego członka swej grupy, rzekł zawziętym, nie wyrażającym uczuć tonem: – Jedź dalej na północ, Darrenie Ironfist. – Następnie krasnolud wydobył wytarty, skórzany trzos. Sięgnął do środka i wyjął zeń ostatnią sztukę złota. Przez długą chwilę przyglądał

się jej, po czym wcisnął ją w dłoń krasnoluda. – Masz. Zapłać za przeprawę przez Nowe Morze. Znajdź tego Fistantilusa i powiedz mu... powiedz mu...

Reghar umilkł, uświadomiwszy sobie wagę swego czynu. Nie miał jednakże innego wyboru. O tym zdecydowano, zanim jeszcze wyjechał. Marszcząc brwi, warknął: – Powiedz mu, że kiedy tu dotrze, będzie nań czekała armia gotowa walczyć dla niego.

Rozdział II

Ta noc nad Solamnią była zimna i ciemna. Gwiazdy na niebie skrzyły się migotliwym, wątlwym blaskiem. Konstelacje Platynowego Smoka, Paladme'a i Takhisis, Królowej Ciemności, goniły się bez końca wokół Szal Równowagi Gileana. Upłynie jeszcze dwieście lat lub więcej, zanim te same gwiazdozbiory znikną z nieboskłonu, a bogowie i ludzie będą toczyć wojnę na Krynnie.

Tymczasem każda ze stron zadowalała się przyglądaniem tej drugiej.

Gdyby któreś z tych dwóch bóstw zerknęło w dół, pewno rozbawiłby ich widok tego, co sprawiało wrażenie żalosnych wysiłków ludzkości, by naśladować ich niebiańską chwałę. Na równinach Solamnii pod murami górskiej fortecy Gamet rozległe stopy usiane były ogniskami, które rozpraszały noc w dole tak samo, jak gwiazdy rozjaśniały noc nad głowami.

Armia Fistantilususa.

Płomienie ognisk odbijały się w tarczach i napierśnikach, tańczyły na klingach mieczy i błyszczały na grotach włóczni.

Blask ognisk padał na twarze jaśniejące nadzieją i nowo odkrytą dumą, ogień płonął w ciemnych oczach markietanek i strzelał w górę, by oświetlić beztroską zabawę dzieci.

Przy ogniskach stały bądź siedziały grupki mężczyzn, którzy rozmawiali i śmiali się, jedli, pili i zajmowali się swym ekwipunkiem. Noc rozbrzmiewała żartami, przekleństwami i wyszanymi z palca opowieściami. Tu i ówdzie słyhać było jęki, gdy mężczyźni rozcierali barki i ramiona zbolące od ćwiczeń, do których nie byli przyzwyczajeni. Dłonie stwardniałe od machania motyką pokryły się pęcherzami od władania włóczniami. Przyjmowano to jednak z dobrodusznym wzruszeniem ramion. Mężczyźni mogli przyglądać się, jak ich dzieci bawią się przy ogniskach, i wiedzieli, że tego wieczora spożyły wystarczający, jeśli nie obfity posiłek. Mogli z dumą spojrzeć w twarz swym żonom. Po raz pierwszy od lat ci ludzie mieli jakiś cel w życiu.

Niektórzy byli świadomi, że tym celem może okazać się śmierć, lecz ci, którzy wiedzieli o tym, przyjęli to do wiadomości, zrozumieli i mimo wszystko postanowili zostać. – W końcu śmierć przychodzi po wszystkich – powiedział do siebie Garic, gdy zmiennik przyszedł go zastąpić na warcie. – Lepiej spotkać ją w słonecznym blasku z błyszczącym mieczem w dłoni, niż żeby miała zakraść się w nocy z nienacka albo złapać wstrętnymi dłońmi choroby.

Będąc już po służbie, młodzieniec wrócił do swego ogniska i zabrał z posłania grubą pelerynę. Pośpiesznie przełknął miszkę potrawy z królika, a potem ruszył przez obozowisko między ogniskami.

Szedł w stronę obrzeży biwaku stanowczym krokiem, nie zważając na liczne zaproszenia, by przysiąść się do przyjaciół odpoczywających przy ogniu. Odmawiał im serdecznym machnięciem

dłoni i szedł dalej. Mało kto zwracał na to uwagę. Wielu umykało nocami od światła ognisk. Mrok był ciepły od cichych westchnień, szeptów i słodkiego śmiechu.

Garic rzeczywiście miał spotkanie w ciemności, lecz nie z kochanką, choć niejedna młoda kobieta w obozie byłaby uszczęśliwiona, mogąc spędzić noc z tym przystojnym, młodym szlachcicem. Dotarłszy do wielkiego głazu, daleko od biwaku i z dala od innych, Garic owinał się płaszczem i zasiadł, by czekać. Nie czekał długo.

– Garic? – odezwał się niepewny głos.

– Michael! – zawołał serdecznie Garic, zrywając się na nogi. Dwaj mężczyźni podali sobie dłonie, a po chwili, nie wytrzymawszy emocji, uściskali się gorąco.

– Nie wierzyłem własnym oczom, kuzynie, kiedy zobaczyłem cię dziś wjeżdżającego do obozowiska! – ciągnął Garic, ściskając dłoń młodego człowieka, jakby obawiał się go wypuścić, jakby bał się, że ten może rozpuścić się w mroku.

– Ani ja moim – rzekł Michael, obejmując mocno krewniaka i starając się pozbyć tego drapania w gardle, które nagle zaczęło mu dokuczać. Kaszlnąwszy, przysiadł na głazie, a Garic obok niego. Obaj milczeli przez kilka chwil, chrząkając tylko i udając, że są srogimi wojakami.

– Myślałem, że zobaczyłem ducha – stwierdził Michael, nieudolnie próbując się zaśmiać. – Słyszeliśmy, że zginąłeś... – Umilkł i ponownie zakaszłał. – Przekłęta wilgoć – wymamrotał – idzie człowiekowi w płuca.

– Uszedłem z życiem – powiedział cicho Garic ale mój ojciec, matka i siostra nie mieli takiego szczęścia.

– Annę? – szepnął z bólem w głosie Michael.

– Zginęła szybko – rzekł spokojnie Garic – tak samo moja matka. Ojciec dopilnował tego, zanim motloch go zarąbał. Doprowadziło ich to do szału. Okaleczyli jego ciało...

Słowa utknęły Garicowi w gardle. Michael współczująco ścisnął go za ramię. – Twój ojciec był szlachetnym człowiekiem. Zginął jak prawdziwy rycerz, broniąc swego domu. Lepsza taka śmierć niż ta, która czeka niektórych – dodał posępnie, na co Garic podniósł głowę i spojrzał nań ostro i przenikliwie. – A co tam u ciebie? Jak tobie udało się wymknąć tłumowi? Gdzie byłeś przez ostatni rok?

– Nie uciekłem im – rzekł z goryczą Garic. – Kiedy przyjechałem, było już po wszystkim. Nie ma znaczenia, gdzie byłem... – młody człowiek zaczerwienił się – ale powinienem był być z nimi i zginąć z nimi!

– Nie, twój ojciec nie chciałby tego. – Michael potrząsnął głową. – Żyjesz. Przekażesz nazwisko rodowe.

Garic zmarszczył brwi, a oczy błysnęły mu ponuro. Być może. Choć nie spałem z kobietą od chwili, gdy... Potrząsnął głową. – W każdym razie zrobiłem dla nich tyle, ile mogłem zrobić. Podpaliłem zamek...

Michael jęknął, a Garic kontynuował, jakby tego nie słysząc.

– ...aby nie zajął go motłoch. Popioły mojej rodziny spoczywają tam wśród osmalonych kamieni rodowej siedziby, którą wybudował mój praprapradziadek. Potem przez jakiś czas jechałem przed siebie bez celu, nie dbając zbytnio o to, co się ze mną stanie. Wreszcie spotkałem grupę ludzi, z których wielu było podobnych do mnie, ludzi wypędzonych z domu z rozmaitych powodów. Nie zadawali pytań. Nie obchodziło ich nic poza tym, czy umiem zręcznie włączyć mieczem. Przyłączyłem się do nich i utrzymywaliśmy się ze swego sprytu.

– Bandyci? – spytał Michael, starając się ukryć zaskoczenie w głosie i najwyraźniej ponosząc klęskę, Garic bowiem spojrzał na niego spode łba.

– Tak, bandyci – odparł chłodno młodzieniec. Czy to wstrząsnęło tobą? Że rycerz solamnijski tak dalece zapomniał o rycerskim kodeksie i regule, że wstępuje do bandy rozbójników? Zadam ci pytanie, Michaelu: Gdzie był kodeks i reguła, kiedy zamordowano mojego ojca, twojego wuja? Gdzie one są w tym przeklętym kraju?

– Być może nigdzie – odparł spokojnie Michael chyba że w naszych sercach.

Garic milczał. Potem wybuchnął gwałtownym szlochem, który targał jego ciałem. Kuzyn objął go i przycisnął do piersi. Garic westchnął z drzeniem i wytarł oczy wierzchem dłoni.

– Nie płakałem od chwili, gdy ich znalazłem – rzekł stłumionym głosem. – Masz rację, kuzynie. Żyjąc ze zbójcami, upadłem tak nisko, że nie podniósłbym się, gdyby nie generał...

– Ten Caramon?

Garic skinął głową. – Pewnej nocy urządziliśmy zasadzkę na niego i jego towarzyszy. To mi otworzyło oczy. Przedtem napadałem na ludzi bez większego zastanowienia, a nawet sprawiało mi to przyjemność. Mówiłem sobie, że to im podobne psy zamordowały mojego ojca. W tej grupie jednakże była kobieta i czarodziej. Mag był chory. Uderzyłem go, a on osunął się jak popsuta lalka powalony moim ciosem. A ta kobieta... wiedziałem, co jej zrobią, i ta myśl przyprawiała mnie o mdłości. Bałem się jednak herszta, nazywali go Stalowym Paluchem. To było zwierzę! Półogr.

Generał jednak wyzwał go na pojedynek. Tej nocy zobaczyłem prawdziwą szlachetność... mężczyznę gotowego poświęcić swe życie w obronie słabszych od siebie. On zwyciężył. – Garic uspokoił się. Kiedy opowiadał, oczy błyszczały mu z podziwu. – Wtedy zobaczyłem, czym stało się moje życie. Kiedy Caramon spytał mnie, czy pójdę z nim, zgodziłem się, podobnie jak większość pozostałych. Poszedłbym jednak za nim wszędzie bez oglądania się na innych.

– A teraz należysz do jego osobistej straży? – spytał z uśmiechem Michael.

Garic skinął głową, oblewając się rumieńcem zadowolenia. – Powiedziałem mu, że nie jestem lepszy od innych, że jestem bandytą, złodziejem. On jednakże tylko spojrzał na mnie, jakby potrafił zajrzeć do wnętrza mej duszy, uśmiechnął się i powiedział, że każdy człowiek musi przejść przez ciemną, bezgwiezdną noc, a kiedy nastanie poranek, będzie dzięki temu lepszy.

– Dziwne – stwierdził Michael. – Ciekawe, co miał na myśli?

– Wydaje mi się, że rozumiem – powiedział Garic.

Jego spojrzenie powędrowało na obrzeże biwaku, gdzie rozbito ogromny namiot Caramona. Pasma dymu z ognisk wiły się wokół łopocącego jedwabnego proporca, który tworzył czarną smugę na tle gwiazd. – Czasami zastanawiam się, czy on sam nie idzie przez swoją „bezwieżdną noc”. Czasami patrzy z takim... – Garic potrząsnął głową. – Wiesz – rzekł nagle – on i ten czarodziej są bliźniakami.

Michael wytrzeszczył oczy. Garic potwierdził to skinieniem głowy. – To dziwny związek. Nie darzą się zbytnią sympatią.

– To jeden z nich należy do Czarnych Szat? – parsknął Michael. – Nic w tym dziwnego! Ciekaw jestem, dlaczego ten mag podróżuje z nami. Z tego, co słyszałem, czarodzieje potrafią latać na skrzydłach nocnego wichru i wzywać moce zza grobu, by za nich walczyły.

– Nie wątpię, że ten umiałby tego dokonać – odparł Garic, zerkając ponuro na mniejszy namiot rozbity w pobliżu schronienia generała. – Chociaż widziałem tylko raz, jak rzucał czary, wtedy jeszcze w obozie rozbójników... Wiem, że jest potężny. Jedno jego spojrzenie i kurczy się we mnie żołądek, a krew zmienia się w wodę, ale jak już mówiłem, był niezdrów, kiedy go spotkaliśmy. Noc w noc, kiedy jeszcze spał w pawilonie swego brata, słyszałem, jak kaszle tak długo, że aż myślałem, iż już więcej nie zacerpnie tchu. Nieraz zadawałem sobie pytanie, jak człowiek może żyć z takim cierpieniem.

– Kiedy jednak widziałem go wczoraj, wydawał się zdrowy.

– Jego zdrowie polepszyło się znacznie. Niemniej jednak mag nie robi niczego, co mogłoby je nadwerężyć. Cały dzień spędza w namiocie, czytając magiczne księgi, które wozi ze sobą w tych olbrzymich skrzyniach. On również wędruje wśród swej „mrocznej nocy” – dodał Garic. – Otacza go posępna atmosfera, która pogłębia się w miarę podróżowania na południe. Dręczą go nocne koszmary. Słyszałem, jak krzyczy przez sen. Te okropne krzyki zbudziłyby umarłych.

Michael wzдрыgnął się, po czym westchnąwszy, spojrzął na namiot Caramona. – Miałem wątpliwości co do przyłączenia się do armii, której, jak powiadali, przewodzi czarodziej Czarnych Szat. A z wszystkich czarodziejów, którzy kiedykolwiek żyli, ten Fistantilus jest ponoć najpotężniejszy. Kiedy przyjechałem dzisiaj, nie byłem jeszcze w pełni zdecydowany się przyłączyć. Pomyślałem, że przyjrę się wszystkiemu, dowiem się, czy to prawda, że wybierają się na południe, by pomóc uciemienionym ludom Abanasinii w walce z górskimi krasnoludami.

Znów westchnął i uczynił gest, jakby chciał pogłodzić się po długich wąsach, lecz powstrzymał dłoń. Był gładko ogolony, pozbył się bowiem prastarej oznaki rycerzy – oznaki, której noszenie w tych czasach groziło śmiercią.

– Choć mój ojciec wciąż żyje, Garicu – ciągnął Michael – wydaje mi się, że chętnie zamieniłby swe życie na śmierć twego ojca. Władca twierdzy Yingaard dał nam wybór:

możliśmy zostać w mieście i zginąć albo odejść i przeżyć. Ojciec wolałby umrzeć. Ja też, gdybyśmy tylko pomyśleli o sobie. Nie mogliśmy jednakże pozwolić sobie na luksus honoru. Gorzki to był dzień, gdy spakowaliśmy to, co się dało, na nędzny wóz i opuściliśmy dwór. Umieściłem rodzinę w ubogiej chatce w Throytl. Nic im nie będzie, przynajmniej przez zimę. Matka jest silna i wykonuje pracę mężczyzny. Moi młodszy bracia są dobrymi myśliwymi...

– A twój ojciec? – spytał delikatnie Garic, kiedy Michael umilkł.

– Tego dnia pękło mu serce – rzekł Michael. – Siedzi cały czas z mieczem na kolanach i wygląda przez okno. Nie odezwał się do nikogo ani słowem, od chwili gdy opuściliśmy rodzinny dwór.

Michael zacisnął nagle pięść. – Dlaczego cię okłamuję, Garicu? Nic mnie nie obchodzą uciśnione narody Abanasinii! Przybyłem zdobyć skarb! Skarb spod góry! I chwałę! Chwałę, by znów rozniecić blask w jego oczach! Jeśli zwyciężymy, rycerstwo znów będzie mogło podnieść głowy!

On również obejrzał się na mały namiot w pobliżu ogromnego pawilonu – namiot, na którym zawieszono znak rezydencji czarodzieja, namiot, który wszyscy w obozie omijali, jeśli to było możliwe. – Żeby jednak zdobyć tę chwałę, trzeba służyć człowiekowi zwanemu Mrocznym. Za dawnych czasów rycerze nie postąpiliby tak. Paladine...

– Paladine zapomniał o nas – rzekł z goryczą Garic. – Jesteśmy zdani na własne siły. Ja się nie znam na czarodziejach w czarnych szatach i mało mnie ten obchodzi. Zostanę tutaj z powodu jednego człowieka, generała, i będę mu posłuszny. Jeśli dzięki niemu zdobędę fortunę, to świetnie. Jeśli nie... – Garic westchnął głęboko – przynajmniej dzięki niemu odnalazłem spokój ducha. Mógłbym życzyć mu tego samego – mruknął pod nosem. Potem wstał i otrząsnął się z ponurych rozmyślań.

Michael również wstał.

– Muszę wrócić do obozu i trochę się przespać. Jutro pobudka wcześniej rano – powiedział Garic. – Słyszałem, że przygotowujemy się do wymarszu za jakiś tydzień. No i cóż, kuzynie, zostaniesz?

Michael spojrzał na Garica. Obejrzał się na namiot Caramona, na którym łopotał na zimnym wietrze barwny proporzec z dziewięcioramienną gwiazdą. Spojrzał na namiot czarodzieja. Potem pokiwał głową. Garic uśmiechnął się szeroko. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wrócili do obozu, obejmując się nawzajem ramionami.

– Powiedz mi tylko jedno – rzekł Michael ścisłym głosem, gdy tak szli – czy to prawda, że ten Caramon trzyma wiedźmę?

Rozdział III

Dokąd idziesz? – spytał szorstko Caramon. Wchodząc do namiotu, zamrugał szybko, by przyzwyczaić oczy do głębokiego cienia po zimnym blasku jesiennego słońca, – Wyprowadzam się – oświadczyła Crysania, pieczołowicie składając swe białe, kapłańskie szaty i umieszczając je w kufrze, który zwykle znajdował się pod jej pryczą. Teraz stał otwarty na podłodze obok niej.

– Już o tym mówiliśmy – rzekł opryskliwie Caramon ściszoneg głosem. Obejrzawszy się na wartowników stojących na zewnątrz, starannie opuścił klapę wejściową namiotu.

Namiot Caramona był jego dumą i radością. Pierwotnie należał do bogatego rycerza solamnijskiego, teraz został przyniesiony Caramonowi w prezencie przez dwóch młodzieńców o surowych obliczach, którzy – choć twierdzili, że „znaleźli” ten pawilon – obchodzili się z nim z taką zręcznością i czułą troską, że było oczywiste, iż tak samo nie „znaleźli” go, jak nie znaleźli własnych rąk i nóg.

Namiot wykonany był z jakiejś tkaniny, której nikt w dzisiejszych czasach nie potrafiłby rozpoznać i tak przemyślnie utkanej, że podmuch wiatru nie przeciskał się nawet przez szwy. Deszcz spływał z niej natychmiast. Raistlin twierdził, że materiał został zaimpregnowany jakimś olejem. Namiot był wystarczająco duży, by zmieściła się w nim prycza Caramona, kilka ogromnych skrzyń zawierających mapy, pieniądze i klejnoty przyniesione z Wieży Wielkiej Magii, ubrania i zbroja, plus prycza dla Crysanii i kufer na jej stroje, ale nawet mimo to pawilon nie sprawiał wrażenia zatłoczonego, gdy Caramon przyjmował gości.

Raistlin sypiał i studiował w mniejszym namiocie z tego samego materiału i tej samej budowy, który rozbito w pobliżu siedziby jego brata. Choć Caramon zaproponował, że podzieli się z nim większym namiotem, mag upierał się, chcąc mieć choć odrobinę prywatności. Wiedząc, że brat potrzebuje samotności i spokoju, a poza tym nie przepadając za towarzystwem swego bliźniaka, Caramon się nie sprzeciwiał. Crysania jednakże otwarcie zbuntowała się, kiedy jej powiedziano, że musi zostać w namiocie Caramona.

Na próżno Caramon przekonywał ją, że tu będzie bezpieczniejsza. Opowieści o jej „sztukach czarnoksiężskich”, dziwnym medalionie znienawidzonego boga, jaki nosiła, i uleczeniu ogromnego wojownika szybko rozniosły się po obozie. Skwapliwie szeptano o nich każdemu nowemu przybyszowi. Kapłanka nie mogła wyjść z namiotu, żeby nie śledziły jej niechętne spojrzenia. Kobiety przyciskały niemowlęta do piersi, kiedy się zbliżała. Małe dzieci uciekały przed nią w strachu, który był w połowie udawany, a w połowie prawdziwy.

– Znam twe argumenty – zauważyła Crysania, nie przestając składać ubrań i chować ich bez podnoszenia wzroku na potężnego mężczyznę. – I nie zgadzam się z nimi. Och... – przerwała mu, gdy nabrał tchu, by coś powiedzieć – słyszałam twoje opowieści o paleniu czarownic i to niejednym razem! Nie wątpię w ich prawdziwość, lecz działa się to wieki temu.

– W takim razie do czyjzego namiotu się przeprowadzasz? – spytał Caramon, czerwieniąc się na twarzy. Do mojego brata?

Crysania zaprzestała składania strojów i trzymała je długo przerzucone przez ramię, patrząc prosto przed siebie. Jej twarz nie zmieniła koloru, tylko jej lica stały się o odcień bledsze. Zaciśnęła mocno wargi. Kiedy odezwała się, jej głos promieniował spokojem i chłodem zimowego dnia. – Jest jeszcze jeden niewielki namiot, podobny do tego, w którym on mieszka. Wprowadzę się do tego. Możesz postawić przed nim straż, jeśli uznasz to za konieczne.

– Crysanio, tak mi przykro – rzekł Caramon, podchodząc do niej. Kobieta wciąż nie patrzyła na niego. Wojownik chwycił ją delikatnie za ramiona i odwrócił, zmuszając ją do spojrzenia mu w twarz. – Ja nie... nie miałem tego na myśli. Proszę, wybacz mi. Poza tym uważam postawienie straży za konieczne! Nikomu nie mogę zaufać, Crysanio, chyba że samemu sobie. A nawet wtedy... – Jego oddech był przyspieszony, a dłonie na jej ramionach zacisnęły się niemal niedostrzegalnie.

– Kocham cię, Crysanio – powiedział cicho. – Nie przypominasz żadnej innej kobiety, jaką znałem! Nie miałem takiego zamiaru. Nie wiem, jak to się stało. Nawet... nawet za bardzo cię nie lubiłem przy naszym pierwszym spotkaniu. Sądziłem, że jesteś oziębła i nieczuła, dbająca jedynie o tę swoją religię. Kiedy jednakże ujrzałem cię w szponach tego półogra, dostrzegłem twoją odwagę i kiedy pomyślałem o tym, co oni mogą ci zrobić...

Wyczuł, jak wzdrygnęła się mimowolnie. Wciąż miała koszmary dotyczące tej nocy. Zamierzała coś powiedzieć, lecz Caramon skorzystał ze sposobności, jaką dała mu jej reakcja, i pośpiesznie ciągnął dalej.

– Widziałem cię z mym bratem. Przypomina mi się to, jaki sam byłem w dawnych czasach – głos mu posmutniał – tak czule, tak cierpliwie się nim opiekujesz. Crysania nie wyrwała się mu z rąk. Po prostu stała, przyglądając mu się jasnymi, szarymi oczyma i przyciskając do piersi złożoną, białą szatę. – To również jest powód, Caramonie – powiedziała ze smutkiem. – Wyczułam twoje narastające... – teraz z kolei ona się lekko zaczerwieniła – uczucie do mnie i o ile znam cię zbyt dobrze, by przypuszczać, że mógłbyś narzucać mi się w sposób, który uznałabym za niemiły, nie czuję się pewnie, spijając sama w jednym namiocie z tobą.

– Crysanio! – zaczął Caramon z wyrazem cierpienia na twarzy. Ręce mu drżały, kiedy ją trzymał.

– To, co czujesz do mnie, to nie miłość, Caramonie powiedziała cicho Crysania. – Jesteś samotny, tęsknisz za żoną. To ją kochasz. Ja wiem, widziałam tklivość w twoich oczach, kiedy mówisz o Tice.

Jego oblicze spochmurniało na dźwięk imienia Tiki.

– Co ty możesz wiedzieć o miłości? – spytał nagle Caramon, rozluźniając chwyt i odwracając wzrok. – Oczywiście, kocham Tikę. Kochałem mnóstwo kobiet. Mogę się założyć, że Tika też

miała swoją porcję mężczyzn. Gniewnie zaczerpnął tchu. To nie była prawda i wiedział o tym. Niemniej jednak łagodziło to jego poczucie winy, z którą walczył od miesięcy. – Tika jest istotą ludzką! – ciągnął naburmuszony. – Ona jest z krwi i kości, a nie jakimś lodowym słupem!

– Co ja wiem o miłości? – powtórzyła Crysania. Jej spokój znikł, a szare oczy pociemniały z gniewu. – Powiem ci, co wiem o miłości. Ja...

– Nie mów tego! – krzyknął ściszym tonem Caramon, całkowicie tracąc panowanie nad sobą i porywając ją w objęcia. – Nie mów, że kochasz Raistlina! On nie zasługuje na twoją miłość! On cię wykorzystuje, tak jak wykorzystywał mnie! A potem, kiedy już mu nie będziesz potrzebna, odtrąci cię!

– Puść mnie! – rozkazała Crysania. Jej policzki zaróżowiły się, a oczy przybrały kolor ciemnej szarości.

– Nie widzisz? – zawołał Caramon, niemal potrząsując nią, gdyż był w stanie głębokiej frustracji. – Jesteś ślepa?

– Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam – rozległ się cichy głos. – Nadeszły jednakże ważne wieści.

Na dźwięk tego cichego głosu Crysania zbieleła na twarzy, a później oblała się szkarłatnym rumieńcem. Caramon również drgnął i rozluźnił uścisk. Crysania odsunęła się od niego i w pośpiechu potknęła się o skrzynię, padając na kolana. Z twarzą dobrze zasłoniętą długimi, czarnymi, rozpuszczonymi włosami została na klęczkach przy kufrze, udając, że zbiera swe drobiazgi drżącymi dłońmi.

Skrzywiony ponuro Caramon odwrócił się do swego bliźniaka z potwornie zaczerwienioną twarzą.

Raistlin mierzył brata chłodnym wzrokiem swych lustrzanych oczu. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, podobnie jak pozbawiony był uczuć jego głos w chwili wejścia. Caramon jednak widział przez ułamek sekundy pęknięcie w tych oczach. Przebłysk mrocznej i płonącej zazdrości w ich wnętrzu zdjął go grozą, uderzył go prawie jak rzeczywisty cios. Wyraz ten jednak znikł natychmiast, sprawiając, że Caramon zaczął wątpić, czy w ogóle go widział. Jedynie dotkliwe ściskanie w dołku i nagła gorycz w ustach była dowodem na jego istnienie.

– Jakie wieści? – burknął, odchrząknawszy.

– Przybyli posłańcy z południa – rzekł Raistlin.

– Tak? – zachęcił Caramon, kiedy brat umilkł. Zrzuciwszy kaptur, Raistlin wystąpił naprzód, patrząc bratu w oczy, wiążąc ich spojrzeniami i wzmacniając podobieństwo między nimi. Na chwilę maska spadła z twarzy maga.

– Krasnoludowie z Thorbardinu szykują się do wojny! – zasyczał Raistlin, zaciskając smukłą dłoń w pięść. Mówił z taką pasją, że osłupiały Caramon zamrugał powiekami, a Crysania uniosła głowę, by spojrzeć na niego z zatroskaniem.

Speszony i skępowany Caramon wyrwał się spod palącego wzroku brata i odwrócił się, udając, że przekłada mapy na stole. Wojownik wzruszył ramionami. – Nie wiem, czego innego się spodziewałeś – rzekł chłodno. – W końcu to był twój pomysł. Mówiłeś o ukrytych skarbach. Nie robiliśmy tajemnicy z tego, dokąd się wybieramy. Prawdę mówiąc, stało się to naszym hasłem do zaciągu: „Przyłączcie się do Fistandantylusa i splądrujcie górę!” Caramon rzucił to bezmyślnie, jednakże skutek tego stwierdzenia był zaskakujący. Raistlin posiniał. Zdawał się próbować mówić, lecz z jego warg nie wydobywały się żadne zrozumiałe dźwięki, a jedynie krwawa piana. Jego zapadnięte oczy rozjarzyły się niczym księżyc na skutym lodem jeziorze. Zbliżył się o krok do brata z wciąż zacisniętą pięścią.

Crysanía zerwała się na nogi. Caramon – prawdziwie zaniepokojony – cofnął się o krok, zamykając w dłoni rękojeść miecza. Jednakże Raistlin, powoli i z wyraźnym wysiłkiem, odzyskał panowanie nad sobą. Odwrócił się z wściekłym warknięciem i wymaszerował z namiotu. Mimo to jego kipiący gniew tak jeszcze rzucał się w oczy, że wartownicy zadrżeli, kiedy ich wyminął.

Caramon wciąż stał przerażony i skonsternowany, nie mogąc pojąć przyczyn zachowania swego brata. Crysanía również odprowadzała Raistlina zakłopotanym wzrokiem, dopóki jakieś krzyki na zewnątrz namiotu nie wyrwały ich obojga z zamyślenia. Potrząsając głową, Caramon zbliżył się do wyjścia. Kiedy już stanął przy nim, odwrócił się do połowy, lecz mówiąc, nie patrzył na Crysanię.

– Jeśli rzeczywiście szykujemy się do wojny – powiedział chłodno – nie będę miał czasu, żeby troszczyć się o ciebie. Jak mówiłem wcześniej, sama w namiocie nie będziesz bezpieczna. Tak więc nadal będziesz spać tutaj. Nie tknę cię, tego możesz być pewna. Masz na to moje słowo honoru.

Powiedziawszy to, wyszedł na zewnątrz porozmawiać ze strażnikami.

Zaczerwieniona ze wstydu, a jednak rozzłoszczona do tego stopnia, że nie mogła mówić, Crysanía została w namiocie jeszcze przez chwilę, żeby odzyskać równowagę. Później również i ona opuściła pawilon. Jedno zerknięcie na twarze wartowników wystarczyło, żeby uświadomiła sobie, iż choć ona i Caramon nie podnosili głosu, strażnicy usłyszeli część ich rozmowy.

Ignorując ich zaciekawione, rozbawione spojrzenia, szybko rozejrzała się i dostrzegła łopoczące, czarne szaty znikające w lesie. Wróciła do namiotu, chwyciła swój płaszcz i zarzuciwszy go spiesznie na ramiona, pobiegła w tym samym kierunku.

Caramon zauważył Crysanię wchodzącą do lasu na skraju obozowiska. Choć nie widział Raistlina, dość dobrze orientował się, dlaczego Crysanía udaje się w tym kierunku. Chciał ją zawołać. Chociaż nie znał żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa, jakie mogłoby się czaić w tym mizernym, sosnowym lasku u stóp gór Garnet, w tych niespokojnych czasach lepiej byłoby nie kusić losu.

Niemniej jednak jej imię zastygło mu na wargach, gdy zauważył, jak dwaj mężczyźni

wymieniają znaczące spojrzenia. Caramon uprzytomnił sobie wtedy, że woła kapłankę niczym jakiś zakochany do nieprzytomności młodzieniaszek i zamknął gwałtownie usta. Poza tym właśnie nadchodził Garic, a za nim krasnolud wyglądający na znużonego oraz wysoki, śniady, młody mężczyzna przystrojony w futra i pióra barbarzyńcy.

Posłańcy, uświadomił sobie Caramon. Będzie musiał spotkać się z nimi. Jednakże... Jego wzrok znów powędrował ku zaroślom. Crysania znikła. Caramona ogarnęło przecucie niebezpieczeństwa. Było tak silne, że o mało co natychmiast nie pobiegł za nią między drzewa, jak nakazywał mu to instynkt wojownika. Nie potrafił nazwać swego lęku, niemniej jednak on istniał i był prawdziwy.

Mimo to nie mógł przecież pobiec za dziewczyną i zostawić posłańców. Jego ludzie straciliby dla niego szacunek.

Mógł wysłać strażnika, lecz przez to wyszedłby prawie na takiego samego durnia. Nic nie mógł na to poradzić. Niech Paladine czuwa nad nią, jeśli ona tego pragnie. Zaciskając zęby, Caramon odwrócił się, by powitać posłów i zaprowadzić ich do namiotu.

Po wejściu, kiedy przybysze już rozgościli się, po wymianie oficjalnych i pozbawionych znaczenia uprzejmości, kiedy podano jedzenie i rozlano napoje, Caramon przeprosił gości i wymknął się tyłem...

Ślady na piasku, prowadzące mnie przed siebie...

Kiedy podnoszę głowę, widzę szafot, zakapturzoną postać z głową na pieńku, zakapturzoną sylwetkę kata, ostry brzeszczot topora połyskujący w palącym słońcu.

Topór spada, odcięta głowa ofiary toczy się po drewnianym podwyższeniu, kaptur się zsuwa...

– Moja głowa! – szepcze gorączkowo Raistlin, załamując w męce chude dłonie.

Kat ze śmiechem zdejmuje kaptur, odsłaniając...

– Moją twarz! – mamrocze Raistlin zdjęty strachem, który rozprzestrzenia się po jego ciele niczym złośliwy rak, sprawiając, że na zmianę oblewa się potem i trzęsie z zimna. Łapiąc się za głowę, próbuje przegnać te złowieszcze wizje, które nawiedzają stale jego sny, noc po nocy, i pozostają, by zakłócać mu spokój również na jawie. Sprawiają, że wszystko, co je i pije, ma smak popiołu.

Nie chcą jednak odejść. – Władca przeszłości i teraźniejszości! – Raistlin zaśmiał się głucho gorzkim, drwiącym śmiechem. – Jestem władcą niczego! Cała ta moc... Jestem w potrzasku! W potrzasku! Podążam jego śladami wiedząc, że każda upływająca sekunda już kiedyś minęła! Widzę ludzi, których nigdy przedtem nie widziałem, a jednak ich znam! Słyszę echo mych własnych słów, zanim jeszcze je wypowiem! Ta twarz! – Przycisnął dłonie do policzków. – Ta twarz! Jego twarz! Nie moja! Nie moja! Kim ja jestem? Jestem swoim własnym katem!

Jego głos przeszedł w krzyk. Ogarnięty szalem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni,

Raistlin darł paznokciami skórę, jakby jego twarz była maską, którą mógł zedrzeć z kości.

– Przestań! Raistlinie, co robisz? Przestań, proszę! Ledwo słyszał ten głos. Stanowcze, lecz delikatne dłonie chwyciły go za przeguby, a on walczył z nimi, szarpiąc się. Potem jednakże obłęd minął. Czarna i przerażająca kipiela, w której tonął, odstała, pozostawiając po sobie spokój i wyczerpanie. Znow widział, czuł i słyszał. Szczypała go twarz. Spuścił oczy i zobaczył krew na swych paznokciach.

– Raistlinie! – To był głos Crysanii. Podniósł głowę i zobaczył, że kobieta stoi nad nim, trzymając jego ręce z dala od jego twarzy. Oczy miała rozszerzone i pełne troski.

– Nic mi nie jest – powiedział oziębłe Raistlin. Zostaw mnie w spokoju! – Jednakże jeszcze to mówiąc, westchnął i spuścił znow głowę, drząc ogarnięty zgrozą, jaką pozostawiły po sobie majaki. Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i zaczął osuszać rany na twarzy.

– To nieprawda – szepnęła Crysania, wyjmując mu szmatkę z drżącej dłoni i delikatnie dotykając krwawiących szram. – Proszę, pozwól mi – powiedziała, kiedy warknął coś niezrozumiałe. – Wiem, że nie pozwolisz mi się uleczyć, ale w pobliżu jest czysty strumień. Chodź, napij się wody, odpocznij i pozwól mi obmyć te skaleczenia.

Raistlin miał już na ustach kąśliwe, gorzkie słowa. Podniósł rękę, by ją odepchnąć. Wtedy jednakże uświadomił sobie, że nie chce, by ona odeszła. Ciemność koszmaru rozproszyła się, gdy ona była przy nim. Dotyk ciepłego ciała dodawał otuchy po zimnym muśnięciu śmierci.

Tak więc skinął głową i westchnął ze znużeniem.

Pobladała z cierpienia i troski Crysania objęła go ramieniem, by podtrzymać staniającego się na nogach maga. Raistlin pozwolił się prowadzić przez las, nadzwyczaj silnie odbierając ciepło i ruch jej ciała, które było tak blisko niego.

Po przybyciu na brzeg strumienia arcyomag usiadł na dużym, płaskim głazie ogrzonym przez jesienne słońce. Crysania zamoczyła szmatkę w wodzie i przyklękając przy nim, zaczęła obmywać mu rany na twarzy. Zeschnięte liście sypały się wokół nich ze stłumionym szelestem i wpadały do potoku, by zostać porwane przez jego nurt.

Raistlin milczał. Śledził drogę liści i obserwował, jak każdy z nich ostatkami mizernych sił trzyma się gałęzi. Patrzył, jak bezlitosny wiatr zrywa je stamtąd, jak wirują w powietrzu i spadają do wody. Przyglądał się, jak odpływają w nicość, porwane szybkim nurtem strumienia. Spojrzawszy na taflę wody obok liści, dostrzegł w niej drżące odbicie swojej twarzy. Zobaczył dwie długie, broczące krwią szramy na każdym policzku, zobaczył oczy – już nie lustrzane, lecz ciemne i zaszczute. Ujrzał strach i parsknął szyderczym śmiechem, śmiał się z samego siebie.

– Powiedz mi – rzekła z wahaniem Crysania, przerywając zabiegi i kładąc swoją dłoń na jego ręce – powiedz mi, co się stało. Nie rozumiem. Jesteś zasepiony, od chwili gdy opuściliśmy Wieżę. Czy to ma coś wspólnego ze zniknięciem portalu? Z tym, co Astinus powiedział ci w Palanthas?

Raistlin nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrział. Słońce ogrzewało jego czarne szaty, a jej dotyk był cieplejszy od słońca. Jednakże gdzieś we wnętrzu jakaś część jego umysłu zimno bilansowała i kalkulowała: Powiedzieć jej? Co na tym zyskam? Czy więcej, niż gdybym zachował milczenie?

Tak... przyciągnij ją bliżej, owiń ją, omotaj, przyzwyczaj do ciemności...

– Wiem – rzekł wreszcie, jakby się ociągając, a jednak z jakiejś przyczyny wciąż na nią nie patrząc, lecz spoglądając w wodę – że portal znajduje się w pobliżu Thorbardinu, w magicznej twierdzy zwanej Zhaman. Tego dowiedziałem się od Astinusa.

Legenda powiada, że Fistantilus rozpetał konflikt, zwany przez niektórych wojną Bramy Krasnoludów, aby zająć górskie królestwo Thorbardinu dla siebie. Astinus mówi prawie to samo w swych Kronikach – w głosie Raistlina pobrzmiwała gorycz – prawie to samo! Jednak jeśli czyta się między wierszami, czyta się dokładnie, jak ja powinienem był to zrobić, lecz w swej pysze nie uczyniłem tego, wyczyta się prawdę!

Zacisnął pięści. Crysania siedziała przed nim, ściskając w dłoni wilgotną, okrwawioną chusteczkę, o której zapomniała, zafascynowana opowieścią.

– Fistantilus przybył tu, by dokonać dokładnie tego samego, co ja zamierzam! – W słowach Raistlina zasyczała dziwna, złowróźbna nuta. – On w ogóle nie dbał o Thorbardin! To wszystko było oszustwo, podstęp! Zależało mu tylko na jednym, na dotarciu do portalu! Krasnoludowie stali na jego drodze, tak jak stoją na mojej. Władali wtedy fortecą i kilometrami obszaru wokół. Jedynym sposobem na dotarcie do twierdzy było rozpoczęcie wojny, aby podejść wystarczająco blisko, by się do niej dostać! Tak oto historia się powtarza, muszę bowiem zrobić to samo, co on... ja robię to samo, co on zrobił!

Z goryczą wpatrywał się w milczeniu w wodę.

– Z tego, co wyczytałam z Kronik Astinusa – zaczęła niepewnie Crysania – wojna i tak musiała wybuchnąć. Zatargi między krasnoludami podgóorskimi i ich kuzynami istniały od dawna. Nie możesz obwiniać siebie...

Raistlin warknął zniecierpliwiony: – A co mnie obchodzą krasnoludowie! Jeśli chodzi o mnie, mogą się utopić w Sirrionie. – Spojrzął teraz na nią zimno i uważnie. – Powiadasz, że czytałaś, co dzieło Astinusa mówi na ten temat. Jeśli tak, zastanów się! Co spowodowało koniec wojny Bramy Krasnoludów?

Oczy Crysanii zaszyły mgłą, gdy sięgnęła do pamięci w poszukiwaniu faktów. Potem zbladła. – Wybuch powiedziała cicho. – Wybuch, który spustoszył równiny Dergoth. Były tysiące ofiar, a wśród nich...

– A wśród nich Fistantilus! – rzekł ponuro Raistlin.

Przez dłuższą chwilę Crysania patrzyła na niego w osłupieniu. Potem dotarło do niej w pełni, co miał na myśli. – Och, ależ z pewnością nie! – krzyknęła, upuszczając zakrwawioną szmatkę

i chwytając Raistlina za dłonie. Ty nie jesteś tą samą osobą! Okoliczności są odmienne. Muszą być! Popełniłeś błąd!

Raistlin potrząsnął głową, uśmiechając się przy tym cynicznie. Łagodnie wysunął dłonie z jej uścisku, wyciągnął rękę i wziął ją pod brodę, podnosząc jej głowę tak, by spojrzała mu prosto w oczy. – Nie, okoliczności nie są inne. Ja nie popełniłem błędu. Ugrzązłem w czasie i pędzę na spotkanie swej zguby.

– Skąd wiesz? Skąd możesz być tego pewien?

– Wiem, ponieważ... tego dnia ktoś jeszcze zginął z Fistantilusem.

– Kto? – spytała Crysania, ale zanim jeszcze usłyszała odpowiedź, poczuła, jak ciemny płaszcz obawy spada jej na ramiona z cichym szelestem niczym szmer usychających liści.

– Twój stary przyjaciel. – Uśmiech Raistlina wykrzywił się. – Denubis.

– Denubis! – powtórzyła bezgłośnie.

– Tak – odparł Raistlin, nieświadomie gładząc palcami zarys jej mocnej szczęki i obejmując jej podbródek. Tyle się dowiedziałem od Astinusa. Jeśli sobie przypominasz, twój przyjaciel był bliski Fistantilusowi, choć nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą. Miał wątpliwości dotyczące kościoła, bardzo podobne do tych, które dręczyły ciebie. Mogę tylko zakładać, że podczas tych ostatnich, przerażających dni w Istar Fistantilus przekonał go do pójścia...

– Ty mnie nie przekonałeś – przerwała stanowczo Crysania. – Ja sama tego chciałam! To było moje postanowienie.

– Oczywiście – rzekł gładko Raistlin, wypuszczając ją. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni, gdy pieścił jej miękką skórę. Teraz poczuł ogarniające go z nagłą podniecenie. Stwierdził, że jego wzrok wędruje ku jej pełnym wargom i białej szyi. Nagle wyobrażenia podsunęła mu żywy obraz Crysanii w objęciach jego brata. Przypomniał sobie przyływ dzikiej zazdrości, jaka wtedy go ogarnęła.

To się nie może wydarzyć!, strofował się. To przeszkodzi w moich planach... Chciał już wstać, lecz Crysania złapała go za rękę i przycisnęła policzek do wnętrza jego dłoni. – Nie – rzekła cicho, spoglądając na niego szarymi oczyma, które błyszczały w jasnym słońcu przeświecającym przez liście. Jej spojrzenie było stanowcze i niezłomne. Zmienimy czas, ty i ja! Ty jesteś potężniejszy od Fistantilusa. Ja jestem silniejsza w mej wierze niż Denubis! Słyszałam, czego żądał od bogów król-kapłan. Znam jego błąd! Paladine wysłucha moich modlitw, tak jak czynił to w przeszłości. Razem zmienimy zakończenie... ty i ja...

Oczy opętanej pasją swych słów Crysanii przybrały barwę ciemnego błękitu, a jej skóra, chłodna pod dotykiem dłoni Raistlina, zaróżowiła się delikatnie. Mag wyczuwał pod palcami, jak krew pulsuje jej w szyi. Czuł jej czułość, jej miękkość, jej gładkość... i nagle znalazł się na kolanach obok niej. Kobieta znalazła się w jego ramionach. Jego usta szukały jej warg, jego

wargi musnęły jej oczy, jej kark. Jego palce wplątały się w jej włosy. Jej zapach wypełnił mu nozdrza, a słodkie cierpienie rozlało się po jego ciele.

Ulegała jego żarowi, tak samo jak niegdyś uległa jego magii, i całowała go ochoczo. Raistlin osunął się na miękkim dywan uschłych liści. Leżąc na plecach, pociągnął Crysanię za sobą, trzymając ją w objęciach. Blask słońca na błękitnym, jesiennym niebie był olśniewający i oślepił go. Słońce paliło jego czarne szaty nieznośnym żarem, niemal równie nieznośnym, co ból odczuwany przez jego ciało.

Skóra Crysanii była chłodna pod jego rozgorączkowanymi dłońmi, jej wargi były niczym słodka woda dla człowieka umierającego z pragnienia. Poddał się słońcu, zamknąwszy przed nim powieki. Wtedy zobaczył w umyśle cień twarzy: bogini – ciemnowłosa, ciemnooka, pełna uniesienia, zwycięska, roześmiana...

– Nie! – wykrzyknął Raistlin. – Nie! – krzyknął na wpół zduszonym głosem i zrzucił z siebie Crysanię. Wstawał z trudem, był rozdygotany i czuł zawroty głowy.

Słońce raziło go w oczy. Żar przenikający czarne szaty sprawił, że zrobiło mu się duszno i nie mógł złapać tchu. Naciągnął czarny kaptur na głowę i stał roztrzęsiony, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Raistlinie! – krzyknęła Crysania, uczepiwszy się jego dłoni. Jej głos był ciepły z namiętności. Jej dotyk pogorszył jeszcze jego cierpienie, mimo iż obiecywał jego złagodzenie. Mag zaczął tracić zdecydowanie, targał nim ból...

Raistlin wyszarpnął z wściekłością dłoń. Potem z zawziętą miną wyciągnął rękę i chwycił delikatną tkaninę jej białej szaty. Jednym szarpnięciem zerwał ją z jej ramion, a jednocześnie drugą ręką pchnął jej póżnogie ciało na liście.

– Czy tego pragniesz? – spytał głosem pełnym złości. – Jeśli tak, zaczekaj tu na mego brata. On z pewnością wkrótce się tu zjawi! – Przerwał, ciężko dysząc.

Leżąc na liściach i widząc swą nagość odbijającą się jaskrawo w jego lustrzanych oczach, Crysania przycisnęła podartą tkaninę do piersi i spoglądała na niego bez słowa.

– Czy po to przybyliśmy? – ciągnął bezlitośnie Raistlin. – Sądziłem, że dążysz do wyższego celu, wielebna córko! Przechwalasz się Paladine'em, przechwalasz się swymi mocami. Czyżbyś sądziła, że to może być odpowiedź na twe modły? Że padnę ofiarą twych uroków?

Trafił w samo sedno! Spostrzegł, jak drgnęła i spuściła oczy. Zamknąwszy powieki, przetoczyła się na bok i szlochała rozpaczliwie, przyciskając do ciała podartą suknię. Jej czarne włosy rozsypały się po obnażonych ramionach, skóra na jej plecach była biała, miękka i gładka...

Raistlin odwrócił się raptownie i oddalił. Szedł pośpiesznie i podczas marszu poczuł wracający spokój. Ból namiętności ustępował, pozwalając mu znów trzeźwo myśleć.

Kątem oka zauważył ruch i błysk zbroi. Jego uśmiech zmienił się w drwiący grymas. Tak jak przewidział, oto Caramon szedł jej szukać. Cóż, jak im na sobie zależy, to proszę bardzo. Co go

to obchodzi?

Po powrocie do namiotu Raistlin zanurzył się w jego ciemnym, chłodnym wnętrzu. Szyderczy uśmiezek wciąż wykrzywił mu wargi, lecz kiedy mag przypomniał sobie swą słabość i to, jak bliski był klęski, przypomniał też sobie mimo woli – miękkie, ciepłe wargi Crysanii, wtedy grymas znikł. Rozdygotany Raistlin osunął się na krzesło i spuścił głowę w dłoń.

Ten szyderczy śmiech jednakże wrócił pół godziny później, gdy do jego namiotu wpadł Caramon. Zwalisty mężczyzna miał zaczerwienioną twarz i rozszerzone oczy, a w ręku ścisnął miecz.

– Powinienem cię zabić, ty przeklęty draniu! – rzekł zduszonym głosem.

– Za co tym razem, mój bracie? – spytał poirytowany Raistlin, nie przerywając czytania książki zaklęć, którą studiował. – Czyżbym zamordował następnego z twych ulubionych kenderów?

– Do diabła, dobrze wiesz, za co! – Caramon zmełł w ustach przekleństwo. Skoczył naprzód, chwycił księgę czarów i zamknął ją z hukiem. Poparzył sobie palce przy dotykaniu niebieskiej jak noc okładki, lecz nawet nie poczuł bólu. – Znalazłem panią Crysanię w lesie. Miała podarte ubranie i wyplakiwała sobie oczy! Te ślady na twojej twarzy...

– Uczyliły me własne ręce. Czy ona powiedziała ci, co się stało? – przerwał mu Raistlin.

– Tak, ale...

– Czy ci powiedziała, że to ona chciała mi się oddać?

– Nie wierzę...

– I że to ja ją odtrąciłem – ciągnął chłodno Raistlin, bez wahania patrząc bratu w oczy.

– Ty arogancki sukiny...

– Teraz prawdopodobnie szłocha w swym namiocie i dziękuje swym bogom, że kocham ją wystarczająco mocno, by cenić jej cnotę. – Raistlin zaśmiał się. Ten gorzki, drwiący śmiech przeszył Caramona niczym zatruty sztylet.

– Nie wierzę ci! – powiedział cicho Caramon. Złapał brata za szatę i szarpnięciem podniósł go z krzesła. – Nie wierzę jej! Ona gotowa jest wszystko powiedzieć, żeby ochronić twą nędzną...

– Zabierz ręce, bracie! – szepnął cicho i beznamyślnie Raistlin.

– Zobaczą cię w Otchłani!

– Powiedziałem, zabierz ręce! – Buchnęło niebieskie światło, trzasnęło, zaskwierczało i Caramon wrzasnął z bólu, rozluźniając uścisk, gdy przez jego ciało przebiegł ostry, paralizujący wstrząs.

– Ostrzegałem cię. – Raistlin wyglądził swą szatę i ponownie usiadł.

– Na bogów, tym razem cię zabiję! – wycedził Caramon przez zaciśnięte zęby i drżącą ręką wyciągnął miecz.

– To zrób to – warknął Raistlin, podnosząc wzrok znad ponownie otworzonej książki – i przestań mi zawracać głowę. To stałe wygrażanie staje się nudne!

W oczach maga pojawił się dziwny błysk, błysk niemal figlarny – błysk zachęty.

– Spróbuj! – szepnął, mierząc brata wzrokiem. Spróbuj mnie zabić! Nigdy już nie wrócisz do domu...

– To nie ma znaczenia! – Opętany żądzą krwi, owładnięty zazdrością i nienawiścią Caramon zrobił krok w stronę swego brata, który siedział i czekał z tą osobliwą, ochoczą miną.

– Spróbuj! – rozkazał ponownie Raistlin. Caramon uniósł miecz.

– Generale Caramonie! – Z zewnątrz dobiegały zaniepokojone okrzyki, słychać było tupot biegnących ludzi. Z przekleństwem na ustach Caramon powstrzymał rękę i za – wahał się. Na wpół oślepiiony łzami wściekłości, spoglądał ponuro na brata.

– Generale! Gdzie pan jest? – Głosy dochodziły coraz bliżej, a potem odpowiedział im głos jego wartownika, który skierował ludzi do namiotu Raistlina.

– Tutaj! – zawołał wreszcie Caramon. Odwróciwszy się od brata, wsunął miecz do pochwy i gwałtownym ruchem odsłonił klapę wejściową namiotu. – Co się dzieje?

– Generale, melduję... panie generale, pańskie dłonie! Są poparzone. Jak...?

– Nieważne. Co się stało?

– Ta czarownica, panie generale. Uciekła!

– Uciekła? – powtórzył zatrwożony Caramon. Posławszy bratu zjadliwe spojrzenie, ogromny mężczyzna pośpiesznie wybiegł z namiotu. Raistlin usłyszał jego dudniący głos domagający się wyjaśnień i ludzi, którzy mu ich udzielali.

Raistlin nie słuchał. Zamknął oczy i westchnął. Nie dopuszczono do tego, by Caramon go zabił.

Przed sobą widział prostą, wąską linię śladów stóp, które wiodły go nieubłaganie naprzód.

Rozdział IV

Caramon niegdyś po – chwalił jej umiejętności jeździeckie. Do czasu wyjazdu z Palanthis z Tanisem Półelfem, gdy udawała się na południe w poszukiwaniu magicznego lasu Wayreft, Crysania miała najbliższy kontakt z koniem wtedy, gdy siedziała w jednym z eleganckich powozów jej ojca. Kobiety z Palanthis nigdy nie jeździły wierzchem, nawet dla przyjemności jak inne Solamniczki.

Było to jednakże w jej innym życiu.

W jej innym życiu. Crysania uśmiechnęła się posepnie do siebie i nachyliła się nad karkiem swego wierzchowca. Wbiła pięty w jego boki, by ruszył kłusem.

Opanowała chęć westchnienia i schyliła głowę, by uniknąć nisko wiszących gałęzi. Nie oglądała się za siebie. Miała nadzieję, że pościg nie wyruszy szybko. Przybyli posłańcy. Caramon będzie musiał najpierw zająć się nimi – a nie odważy się posłać za nią swych strażników samych. Nie za czarownicą!

Crysania nagle wybuchnęła śmiechem. Jeśli ktokolwiek wyglądał jak czarownica, to z pewnością ona! Nie zadała sobie trudu, by zmienić podartą suknię. Kiedy Caramon znalazł ją w lesie, spiął jej strój agrafami od swej peleryny. Szata dawno temu przestała być śnieżnobiała, a od podróży, noszenia i prania w strumieniu nabrała gołębioszarej barwy. Teraz podarte i ubłocone strzępy stroju łopotały wokół niej niczym przemoczone pióra. Peleryna powiewała za nią podczas jazdy. Czarne włosy miała potargane i splątane. Spadały jej na oczy, że ledwo cokolwiek przez nie widziała.

Crysania wyjechała z lasu. Przed nią rozciągały się trawiaste równiny. Zatrzymała konia, by przyjrzeć się krainie położonej przed nią. Niespodziewany wysięk podniecił zwierzę przyzwyczajone do człapania w szeregach powoli idącej armii. Koń potrząsnął głową i tanecznym ruchem zrobił kilka kroków w bok. Spoglądał tęsknie na gładką przestrzeń stepu, błagając o galop. Crysania poklepała wierzchowca po karku.

– No, maleńki – zachęciła go i popuściła wodze.

Koń rozdał nozdrza, położył uszy po sobie i ruszył z kopyta galopem po rozległym stepie, rozkoszując się niedawno odzyskaną wolnością. Uczępiona karku rumaka Crysania syciła się radością własnej dopiero co uzyskanej swobody. Ciepłe popołudniowe słońce stanowiło miły kontrast z ostrym, szczypiącym wiatrem, który bił ją w twarz. Rytm galopu zwierzęcia, podniecenie przejażdżką i delikatny posmak strachu, który zawsze odczuwała na końskim grzbiecie, wprawił jej umysł w odrętwienie i przytępił ból serca.

W trakcie jazdy plany w jej myślach nabrały kształtów, stały się jaśniejsze i wyraźniejsze. Przed nią na horyzoncie czerniał sosnowy las, a nad nią z prawej strony błyszczały w jaskrawym słońcu ośnieżone szczyty gór Garnet. Ściągnąwszy wodze, by przypomnieć wierzchowcowi, kto

tu rządzi, Crysania wyhamowała szalony galop konia i skierowała go ku odległej puszczy.

Crysanii nie było już w obozie od prawie godziny, gdy Caramon zdołał na tyle uporządkować sprawy, by wyruszyć w pościg. Zgodnie z jej przewidywaniami, przed wyjazdem musiał wyjaśnić nagłe wydarzenie posłańcom i upewnić się, że nie poczują się obrażeni. Zajęło mu to sporo czasu, ponieważ mieszkaniec równin bardzo słabo znał wspólną mowę, a języka krasnoludów nie znał wcale, natomiast krasnolud władał wspólną mową całkiem dobrze (była to jedna z przyczyn, dla których powierzono mu misję), ale mylił go trochę obcy akcent Caramona, więc zmuszał bez przerwy ogromnego mężczyznę do powtarzania zdań.

Caramon zaczął od prób wyjaśnienia, kim jest Crysania i jakie stosunki ich łączą, ale okazało się, że ani mieszkaniec równin, ani krasnolud nie są w stanie tego pojąć. Wreszcie Caramon zrezygnował i powiedział im bez ogródek to, co i tak z pewnością usłyszeli by w obozowisku – że Crysania jest jego kobietą i że mu uciekła.

Mieszkaniec równin pokiwał głową ze zrozumieniem. Słyszycym z dzikości kobietom jego plemienia czasami przychodziło do głowy, by zrobić to samo. Zaproponował Caramonowi, by kiedy już ją złapie, obciął jej zupełnie włosy na znak, że jest nieposłuszną żoną. Krasnolud był nieco zdumiony – niewiasta krasnoludzka prędzej pomyślałaby o zgoleniu sobie zarostu na podbródku niż o ucieczce z domu i od męża. Jednakże przypomniał sobie z przekąsem, że znajduje się wśród ludzi, więc czego mógłby się spodziewać?

Obaj życzyli Caramonowi udanej podróży i szybkiego powrotu, po czym zabrali się do raczenia się obozowymi zapasami mocnego piwa. Kiedy z westchnieniem ulgi Caramon wyszedł pośpiesznie z namiotu, zobaczył, że Garic osiodłał mu już konia i trzymał go w pogotowiu.

– Znaleźliśmy jej ślad, panie generale – powiedział młodzieniec, wskazując ręką. – Pojechała ścieżką drobnej zwierzyny na północ w stronę lasu. Ma szybkiego konia.

– Garic potrząsnął głową z podziwem. – Skradła jedno – go z najlepszych, trzeba jej to przyznać. Nie sądzę jednak, by ujechała daleko.

Caramon dosiadł wierzchowca. – Dziękuję, Garicu zaczął i urwał, zobaczywszy podprowadzanego kolejnego konia. – A to co? – warknął. – Powiedziałem, że jadę sam...

– Ja również jadę, mój bracie – dobiegł głos z cienia. Caramon obejrzał się. Arcymag wyszedł ze swego namiotu odziany w czarny płaszcz podróżny i wysokie buty. Caramon zmarszczył czoło, lecz Garic z szacunkiem pomagał już Raistlinowi dosiadać nerwowego, chudego karosza, który był ulubieńcem arcymaga. Caramon nie śmiał niczego powiedzieć przy swoich ludziach – i jego brat dobrze o tym wiedział. Dostrzegł iskrę rozbawienia w oczach Raistlina, gdy mag uniósł głowę i słońce zabłysło w ich lustrzanej powierzchni.

– W takim razie ruszajmy – mruknął Caramon, starając się ukryć gniew. – Garic, ty obejmiesz dowodzenie na czas mojej nieobecności. Nie spodziewam się, by to długo trwało. Dopilnuj, by nasi goście zostali nakarmieni, i pogoń tych wieśniaków z powrotem na pole. Po

powrocie chcę zobaczyć, jak przebijają dzidami słomiane kukły, a nie siebie nawzajem!

– Tak jest, panie generale – powiedział z powagą Garic, oddając Caramonowi rycerskie honory.

Caramonowi żywo przyszedł na myśl Sturm Brightblade, a wraz z nim wspomnienie dni jego młodości, czasów, gdy wraz z bratem podróżował z przyjaciółmi – Tanisem, krasnoludzkim kowalem Flintem, Sturmem... Potrząsnął głową, starając się zapomnieć o tym, i wyprowadził konia z obozowiska.

Wspomnienia napadły go jednakże ze zdwojoną siłą, gdy dotarł do ścieżki w głąb lasu i kątem oka dostrzegł brata jadącego obok. Mag jak zwykle trzymał swego konia odrobinę z tyłu za wojownikiem. Choć Raistlin nie przepadał za jazdą konną, jeździł dobrze, ale on wszystko robił dobrze, jeśli oczywiście tylko się do tego przyłożył. Nie odzywał się, ani nawet nie patrzył na brata, trzymając kaptur naciągnięty na głowę, pogrążył się w rozmyślaniach. Nie było w tym nic nadzwyczajnego – bliźniacy czasami podróżowali całymi dniami, prawie nie odzywając się do siebie.

Mimo to istniała między nimi pewna więź krwi, kości i ducha. Caramon czuł, że wślizguje się w starą rolę niefrasobliwego kompana. Stopniowo przestawał się złościć i tak częściowo ten gniew był na niego samego.

Odwróciwszy się do połowy, odezwał się przez ramię.

– Przepraszam... za to... tam w lesie, Raist – mruknął, gdy idąc wyraźnym śladem Crysanii, wjechali głębiej w las. – Mówiłeś prawdę... ona rzeczywiście powiedziała mi, że... że to ona... – Caramon zająknął się i zaczerwienił. Obrócił się w siodle. – Że ona... Do licha, Raist! Dlaczego musiałeś być dla niej taki brutalny?

Raistlin uniósł zakapturzoną głowę, ukazując bratu oblicze. – Musiałem być brutalny – rzekł swym cichym głosem. – Musiałem zmusić ją, by zobaczyła przepaść rozwierającą się pod jej stopami, czeluść, która zgubiłaby nas wszystkich, gdybyśmy w nią wpadli!

Zdumiony Caramon spojrzał na swego bliźniaka. Jesteś nieludzki!

Ku jego zdziwieniu Raistlin westchnął. Srogie, błyszczące spojrzenie maga złagodniało na chwilę. – Jestem bardziej ludzki, niż ci się wydaje, mój bracie – rzekł smutnym tonem, który chwycił Caramona za serce.

– W takim razie kochaj ją, człowieku! – powiedział Caramon, zostając w tyle, by zrównać się z bratem. – Zapomnij o tych bzdurnych przepaściach, czeluściach i tak dalej! Możesz być sobie potężnym czarodziejem, a ona świętą kapłanką, jednak pod tymi szatami oboje jesteście z krwi i kości! Weź ją w ramiona i... i...

Caramona tak poniosło, że zatrzymał konia na środku drogi, a twarz mu pokraśniała z podniecenia i entuzjazmu. Raistlin również ściągnął wodze swego konia. Nachyliwszy się w przód, położył dłoń na ramieniu brata, a dotyk jego rozpalonych palców sparzył Caramona.

Jego oblicze było nieubłagane, oczy znów twarde i zimne jak szkło.

– Posłuchaj mnie, Caramonie, i spróbuj zrozumieć rzekł Raistlin głosem wyzutym z wszelkich uczuć, aż jego bliźniaczy brat się wzdrygnął. – Jestem niezdolny do miłości. Czyżbyś jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy? O, tak, nie mylisz się. Pod tymi szatami jestem istotą z krwi i kości. Tym gorzej. Jak każdemu mężczyźnie, pożądanie nie jest mi obce. Nie ma jednak w tym nic więcej... tylko pożądanie.

Wzruszył ramionami. – Gdybym uległ tej pokusie, najprawdopodobniej nie wywarłoby to na mnie wielkiego wpływu, może tylko chwilowo osłabiłoby mnie, nic więcej. Z pewnością nie odbiłoby się to na mojej magii. Jednakże Crysania – jego spojrzenie przeszło Caramona niczym okrusz lodu – przyplącałaby to życiem, gdyby się dowiedziała. A dowiedziałyby się o tym!

– Ty skończony draniu! – wycedził Caramon przez zaciśnięte zęby.

Raistlin uniósł brew. – Czyżby? – spytał po prostu. – Gdybym nim był, czyż nie dbałbym jedynie o swą rozkosz? Potrafię zrozumieć siebie i opanować się... w odróżnieniu od niektórych.

Caramon przymrużył oczy. Ukłął konia ostrogami i popędził przed siebie, speszony i zagubiony. Jakimś sposobem jego bratu znów udało się wywrócić wszystko do góry nogami. Nagle to on, Caramon, poczuł się winny – nie był bowiem na tyle mężczyzną, by opanować swe zwierzęce odruchy, których w rezultacie padł ofiarą, podczas gdy jego brat – poprzez przyznanie się, że nie jest zdolny do miłości – sprawiał wrażenie szlachetnego i pełnego poświęcenia. Caramon pokręcił głową.

We dwóch wjechali po śladach Crysanii głębiej w las. Droga była łatwa, Crysania bowiem nie opuszczała ścieżki, nie skręcała i nigdy nawet nie zadała sobie trudu, by zatrzeć swe tropy.

– Kobiety! – mruknął Caramon po jakimś czasie. Jeśli musiała już stroić fochy, dlaczego nie mogła zrobić tego w prostszy sposób i po prostu pójść pieszo! Dlaczego musiała wybrać się na tę przeklętą przejażdżkę na pustkowie, bóg wie gdzie?

– Ty jej nie rozumiesz, mój bracie – stwierdził Raistlin, nie odrywając oczu od śladów. – Nie to jest jej zamiarem. Wierz mi, ona ma jakiś cel w tym wyjeździe.

– Też coś! – parsknął Caramon. – Znalazł się znawca kobiet! To ja jestem żonaty! Ja wiem! Odjechała ciężko obrażona wiedząc, że za nią pojedziemy. Znajdziemy ją gdzieś po drodze. Jej koń będzie zajeżdżony niemal na śmierć, pewnie okulawiony. Ona będzie oziębła i wyniosła. Przeprosimy ją i... pozwolę jej na ten przeklęty, osobny namiot, jeśli tego chce i... Popatrz tam! No i co, nie mówiłem? – Zatrzymawszy wierzchowca, machnął ręką w kierunku płaskiego stepu. – Tam jest ślad, który mógłby znaleźć nawet ślepy krasnolud źlebowy! Jedziemy.

Raistlin nie odpowiedział. Kiedy pogalopował za bratem, na jego chudej twarzy malował się wyraz zamyślenia. We dwóch jechali śladem Crysanii przez łąki. Znaleźli miejsce, w którym ponownie weszła do lasu, dotarli do strumienia i przebyli go. Jednakże tam, na brzegu potoku Caramon zatrzymał konia.

– Co jest... – Spojrzał w lewo i w prawo, zataczając krąg na swym wierzchowcu. Raistlin zatrzymał się, westchnął i nachylił się nad łękiem swego siodła.

– Mówiłem ci – powiedział zawzięcie. – Ona ma jakiś cel. Ona jest bystra, mój bracie. Wystarczająco bystra, by znać twój umysł i sposób jego działania... jeśli on w ogóle działa!

Caramon spojrzął spode łba na swego bliźniaka, lecz nic nie powiedział.

Ślad Crysanii urwał się.

Tak jak powiedział Raistlin, Crysania miała cel. Obdarzona bystrością umysłu i inteligencją, zgadła, o czym pomyśli Caramon, i celowo go zwiodła. Choć z pewnością sama nie znała się na tropieniu, od miesięcy przebywała w towarzystwie osób, które na tym się znały. Często osamotniona, niewielu bowiem chciało rozmawiać z „wiedźmą”, i nierzadko pozostawiana samej sobie przez Caramona, który musiał radzić sobie z problemami dowodzenia, oraz przez wiecznie zajętego nauką Raistlina, Crysania nie miała nic innego do roboty, jak wybierać się na samotne przejażdżki konne, by przysłuchiwać się opowieściom otaczających ją ludzi i z nich się uczyć.

Tak więc łatwo jej przyszło wrócić po własnych śladach, jadąc konno środkiem strumienia, by nie zostawiać za sobą żadnych znaków. Kiedy dojechała do kamienistego odcinka brzegu, gdzie jej wierzchowiec znów nie zostawiłby odcisków, wyjechała z wody. Po zagłębieniu się w las unikała głównego duktu, szukając którejś z licznych, drobniejszych, wydeptanych przez zwierzynę ścieżek, które wiodły do potoku. Kiedy już ją znalazła, zatarła za sobą ślady, najlepiej jak umiała. Choć zrobiła to nieporadnie, była niemal przekonana, że Caramon nie spodziewa się po niej nawet tego, więc nie obawiała się, że ją wyśledzi.

Gdyby Crysania chociaż pomyślała o tym, że Raistlin może towarzyszyć swemu bratu, może miałyby jakieś złe przecucia, mag bowiem zdawał się lepiej ją rozumieć niż ona sama. Nie wiedziała jednakże o tym, toteż jechała przed siebie niespiesznym tempem – aby dać wypocząć koniowi i zyskać czas na przemyślenie planów.

W torbie przy siodle wiozła mapę skradzioną z namiotu Caramona. Na mapie była zaznaczona niewielka, wtulona między góry wioska. Była tak mała, że nie miała nawet nazwy – przynajmniej nie zaznaczono jej na mapie. Niemniej jednak ta właśnie osada była celem jej podróży. Tam zamierzała zrealizować podwójny cel: zmieni czas i udowodni – Caramonowi, jego bratu i samej sobie – że jest czymś więcej niż bezużytecznym czy kłopotliwym bagażem. Udowodni swą wartość.

Tam, w owej wiosce, Crysania zamierzała przywrócić kult dawnych bogów.

Nie była to dla niej nowa myśl. Wielokrotnie już zastanawiała się nad tym, lecz nie odważyła się zrealizować swych planów z różnorodnych powodów. Pierwszym był fakt, że zarówno Caramon, jak i Raistlin absolutnie zakazali jej używania mocy kapłańskich w obozie. Obaj obawiali się o jej życie, albowiem za swych młodszych dni sami widywali palenie czarownic na stosie. (Prawdę mówiąc, Raistlin sam nieomal padłby tego ofiarą, gdyby nie uratował go Sturm

z Caramonem.) Crysania miała dość rozsądku, by wiedzieć, że żaden z mężczyzn ani ich rodziny maszerujące z wojskiem nie posłuchają jej, wszyscy bowiem byli święcie przekonani, że jest czarownicą. Przyszło jej więc na myśl, że gdyby mogła dotrzeć do ludzi, którzy nic o niej nie wiedzą, opowiedzieć im swą historię i przekazać nowinę, że bogowie nie opuścili ludzkości, lecz że to człowiek porzucił bogów, wtedy posłuchają jej tak, jak posłuchają Goldmoon dwieście lat później.

Jednakże dopiero gdy ukłuły ją ostre słowa Raistlina, zebrała się na odwagę, by to uczynić. Nawet teraz, gdy jechała stępą przez cichy las o zmierzchu, wciąż słyszała jego głos i widziała błysk jego oczu, gdy ją karmił.

Zasługiwałam na to, przyznała się przed sobą. Zaniedbałam swą wiarę. Użyłam swych „uroków”, by go przyciągnąć do siebie, zamiast swego przykładu, by przyprowadzić go do Paladine’a. Westchnęła i z roztargnieniem przeczesła palcami zmierzwiłone włosy. Gdyby nie jego siła woli, upadłabym.

Jej podziw dla młodego arcymaga, już teraz silny, pogłębił się jeszcze bardziej – zgodnie z przewidywaniami Raistlina. Kapłanka była zdecydowana odbudować jego wiarę w nią i znów okazać się godną jego zaufania i szacunku.

Lękała się bowiem rumieniąc się, że teraz miał bardzo złą o niej opinię. Przez powrót do obozu z pułkiem zwolenników, wyznawców prawdziwej wiary, zamierzała nie tylko udowodnić mu, że się mylił – że czas może zostać zmieniony dzięki sprowadzeniu kapłanów do świata, w którym przedtem ich nie było – lecz także żywić nadzieję rozszerzenia swej nauki na samą armię.

Podczas rozmyślania o tym i układania planów Crysania stwierdziła, że po raz pierwszy od miesięcy, jakie upłynęły od chwili ich przybycia do tych czasów, czuła taki spokój duszy. Znowu robiła coś samodzielnie. Nie snuła się za Raistlinem ani nie słuchała potulnie poleceń Caramona. Serce w niej rosnęło. Według swych obliczeń powinna dotrzeć do wioski tuż przed zmierzchem.

Dróżka, którą jechała, stale pięła się po górskim zboczach. Teraz doszła do grani i wiodła w dół, ku małej kotlinie. Crysania zatrzymała konia. Wreszcie mogła zobaczyć wtuloną w dolinę osadę, która była celem jej podróży.

Uderzyło ją coś dziwnego w tej wiosce, lecz nie była jeszcze wystarczająco doświadczonym podróżnikiem, by nauczyć się ufać swemu instynktowi w takich sprawach. Wiedząc jedynie, że pragnie znaleźć się we wsi przed zapadnięciem zmroku i paląc się do natychmiastowego wprowadzenia w czyn swoich zamiarów, Crysania dosiadła znowu swego rumaka i zjechała w dół, zaciskając w dłoni medalion Paladine’a, który nosiła na szyi.

– No i co teraz robimy? – spytał Caramon, spoglądając z grzbietu konia w górę i w dół strumienia.

– Ty jesteś znawcą kobiet – odparł Raistlin.

– W porządku, myliłem się – mruknął Caramon. To nam nie pomoże. Wkrótce zrobi się ciemno, a wtedy nie znajdziemy już drogi. Nie słyszałem, żebyś ty wyszedł z jakimiś interesującymi propozycjami – burknął, zerkając na brata nieprzyjaźnie. – Nie możesz czegoś wyczarować?

– Gdybym mógł, dawno już „wyczarowałbym” dla ciebie rozum – wypalił rozdrażniony Raistlin. – Co według ciebie mam zrobić? Stworzyć ją z powietrza albo poszukać jej w swojej kryształowej kuli? Nie będę marnował sił. Poza tym to nie jest konieczne. Masz mapę czy może nie sięgnąłeś myślą tak daleko?

– Mam mapę – powiedział pośpiesznie Caramon. Wyciągnął ją zza paska i podał bratu.

– Mógłbyś przy okazji napoić konie i dać im wypocząć rzekł Raistlin, zsuwając się z grzbietu swego rumaka.

Caramon również zsiadł ze swego i zaprowadził konie do strumienia, podczas gdy Raistlin przyglądał się mapie.

Zanim Caramon przywiązał konie do krzaka i wrócił do brata, słońce schyliło się już ku zachodowi. Raistlin prawie wodził nosem po mapie, próbując coś przeczytać w półmroku. Caramon usłyszał jego kaszel i zobaczył, jak czarodziej garbi się pod podróżnym płaszczem.

– Nie powinieneś przebywać na powietrzu w nocy ofuknął go Caramon.

Zakaszawszy jeszcze raz, Raistlin zerknął na niego z goryczą. – Nic mi nie będzie.

Caramon wzruszył ramionami i zająrzył bratu przez ramię, by popatrzeć na mapę. Raistlin pokazał smukłym palcem małą kropkę w połowie górskiego zbocza.

– Tam – oświadczył.

– Dlaczego? Po co miałyby jechać do tak odległego miejsca? – spytał Caramon i zmarszczył brwi z zakłopotania. – To nie ma sensu.

– Bo ty wciąż nie rozumiesz jej celu! – odparł Raistlin. Zwinął mapę w zamyśleniu, spoglądając w gasnący blask słońca. Jego brwi ściągnęły się w jedną czarną kreskę.

– No i co? – dopytywał się sceptycznie Caramon. – Cóż to za wielki cel, o którym stale wspominasz? O co chodzi?

– Naraziła się na ogromne niebezpieczeństwo – stwierdził nagle Raistlin, a w jego chłodnym głosie pobrzmiwał gniew. Caramon spojrział na niego z niepokojem.

– Co? Skąd wiesz? Czy widziałeś...

– Jasne, że nie widzę, ty wielki idioto! – Raistlin warknął przez ramię, podchodząc szybko do swego konia.

– Ja myślę! Używam swego rozumu! Ona jedzie do wioski odnowić dawną religię. Zamierza opowiedzieć im o prawdziwych bogach!

– Na Otchłań! – zaklął Caramon, rozwierając szeroko oczy. – Masz rację, Raist – rzekł po chwili namysłu.

– Gdyby o tym pomyśleć, rzeczywiście przypominam sobie, jak wspominała, że chce tego spróbować. Nigdy jednak nie wierzyłem, że mówi serio.

Potem, kiedy zobaczył, że brat odwiązuje konia i przygotowuje się do wskoczenia na siodło, podszedł szybko i chwycił wodze jego wierzchowca. – Poczekaj chwilę, Raist! Teraz nic nie możemy zrobić. Będziemy musieli poczekać do rana. – Machnął ręką w stronę gór. – Wiesz równie dobrze jak i ja, że lepiej nie jechać tymi kiepskimi szlakami po zmroku. Ryzykowalibyśmy to, że nasze konie potkną się na jakimś zagłębieniu i złamią nogę. Nie wspominając już w ogóle o tym, co żyje w tych zapomnianych przez boga lasach.

– Będę przyświecał sobie laską – oświadczył Raistlin, wskazując na laskę Magiusa, zgrabnie wsuniętą w pokrowiec u boku siodła. Zaczął już wspinać się na siodło, gdy nagle atak kaszlu zmusił go do przerwania tej czynności. Mag stał uczepiony siodła i ciężko dyszał. Caramon zaczekał, aż spazm zelżeje. – Posłuchaj, Raist – rzekł łagodniejszym tonem. – Martwię się o nią tak samo jak ty, ale uważam, że przesadzasz. Bądźmy rozsądni. Przecież nie pojechała do legowiska goblinów! Magiczne światło przyciągnie do nas wszystko, co tam się czai w puszczy, jak ćmy do ognia. Konie są zmęczone. Ty zupełnie nie jesteś w stanie jechać dalej, nie wspominając już o walce, gdybyśmy byli do tego zmuszeni. Zatrzymamy się tu na noc. Odsapniesz trochę, a rano wyruszymy wypoczęci.

Raistlin stał wsparty rękoma o siodło i przyglądał się bratu. Wydawało się, że będzie się sprzeciwiał, ale wtedy znów napadł go atak kaszlu. Czarodziej opuścił luźno ręce i przycisnął czoło do końskiego boku, jakby był zbyt znudzony, by się ruszać.

– Masz rację, mój bracie – powiedział, kiedy już odzyskał zdolność mówienia.

Zaskoczony tym niecodziennym przejawem słabości, Caramon już prawie ruszył bliźniakowi z pomocą, lecz w samą porę powstrzymał się – okazana mu troska spotkałaby się jedynie z gorzką wymówką. Zachowując się, jakby nic się nie stało, zaczął odwiązywać derkę brata i mówił, co mu ślina na język przyniosła, nie myśląc nawet o tym, co plecie.

– Rozściele ci to i położysz się. Chyba możemy odważyć się na małe ognisko, więc będziesz mógł podgrzać sobie ten napój na złagodzenie kaszlu. Mam tu trochę mięsa i jarzyn, które wrzucił mi Garic. – Caramon klepał trzy po trzy, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, o czym mówi.

– Ugoruję nam potrawkę. Będzie zupełnie jak za dawnych czasów.

– Na bogów! – przerwał na chwilę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W tamtych czasach nie wiedzieliśmy, skąd wziąć następną sztukę stali, a mimo to dobrze jadaliśmy! Pamiętasz? Miałeś takie ziółko przyprawowe. Dodawałeś je do jedzenia. Co to było? – Spojrzał w dal, jakby wzrokiem chciał rozwiać mgłę czasu. – Pamiętasz, o czym mówię? Używasz tego przy rzucaniu czarów. Świetnie też jednak nadawało się do duszenia mięsa! Nazywało się... trochę tak jak my... majeran, majerynek? Ha ha! – zaśmiał się Caramon. – Nigdy tego nie zapomnę, jak twój stary

mistrz przyłapał nas na używaniu do gotowania jego składników zaklęć! Myślałem wtedy, że go skreśli ze złości!

Westchnąwszy, wrócił do pracy i zaczął szarpać za węzły.

– Wiesz co, Raist – rzekł cicho po chwili – od tamtych czasów jadłem wspaniałe potrawy we wspaniałych miejscach: pałacach, elfich lasach i gdzie tam jeszcze. Nic jednak nie mogło się równać z tamtym żarciem. Chciałbym znów spróbować, zobaczyć, czy będzie tak, jak sobie zapamiętałem. Będzie jak za dawnych czasów...

Rozległ się cichy szelest tkaniny. Caramon znieruchomiał, świadom, że jego brat odwrócił do niego głowę w czarnym kapturze i przygląda mu się uważnie. Przełknąwszy ślinę, Caramon zawzięcie wpatrywał się w supełki, które próbował rozwiązać. Nie zamierzał tak bardzo się odsłonić i teraz ponuro czekał na przytyk Raistlina, na jakąś sarkastyczną uwagę.

Znów dał się słyszeć szmer tkaniny i wtedy Caramon poczuł wciskany mu w dłoń miękki przedmiot – mały woreczek.

– Majeranek – szepnął cicho Raistlin. – To ziele nazywa się majeranek...

Rozdział V

Dopiero kiedy Crysania dojechała do obrzeży wioski, uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku.

Caramon oczywiście zauważyłby to po pierwszym spojrzeniu na osadę ze szczytu wzgórza. Spozstrzegłby brak dymu z palenisk. Zwróciłby uwagę na nienaturalną ciszę nie słychać było matek wołających dzieci, głuchego stapania bydła wracającego z pastwisk, ani też głosów sąsiadów, którzy pozdrawiają się serdecznie po całodziennym trudzie. Zobaczyłby, że nad kuźnią nie unosi się dym, zaniepokoiłby się brakiem blasku świec w oknach. Podnosząc głowę, ogarnęłaby go trwoga na widok licznych ścierwojadów zataczających na niebie koła.

Wszystko to zauważyłby Caramon, Tanis Półelf czy Raistlin i gdyby był zmuszony iść dalej, zbliżyłby się do osady z mieczem w ręku lub ochronnym zaklęciem na ustach.

Jednakże Crysanię ogarnął niepokój dopiero wtedy, gdy wjechałszy do osady galopem, rozejrzała się i zastanowiła, gdzie wszyscy są. Wtedy spostrzegła ptaki. Ich ochryple wrzaski i okrzyki irytacji wywołanej pojawieniem się intruza zakłóciły tok jej myśli. Ścierwniki odleciały z łopotem skrzydeł w zapadający zmrok albo naburmuszone zasiadły na drzewach, wtapiając się w cienie.

Crysania zsiadła z konia przed budynkiem, na którym wisiał szyld oznajmiający, że jest to gospoda. Przywiązała konia do słupka i podeszła do frontowych drzwi. Jeśli był to zajazd, to niewielki, ale za to solidnie zbudowany i schludny. W oknach miał marszczone zasłonki i promieniował ogólną atmosferą przytulności, która jakimś sposobem w tej niesamowitej ciszy sprawiała złowieszcze wrażenie. Z okna nie padało światło. Osada szybko tonęła w zapadającym zmroku. Kiedy Crysania pchnęła na pół otwarte drzwi, prawie nic nie zobaczyła w środku.

– Halo! – zawołała niepewnie. Na dźwięk jej głosu ptaki na zewnątrz zakrakały ochryple, wywołując w niej dreszcze. – Czy jest tu ktoś? Chciałabym pokój...

Umilkła. Wiedziała bez wątpienia, że zajazd jest pusty i opuszczony. Może wszyscy odeszli z osady, by wstąpić do armii? Widywała całe wsie, które tak czyniły. Kiedy jednakże rozejrzała się, zdała sobie sprawę, że tak się nie stało. Nie zostałyby nic oprócz mebli; ludzie zabraliby ze sobą całe mienie.

Tutaj stół stał nakryty do kolacji...

Kiedy jej oczy oswoiły się z ciemnością, weszła dalej do środka i zobaczyła kieliszki wypełnione winem i otwarte butelki stojące na środku stołu. Nie było jedzenia. Niektóre talerze zostały strącone, a ich skorupy leżały na podłodze obok obgryzionych gnatów. Kiedy Crysania spostrzegła czające się po kątach dwa psy i wyglądającego na zamorzonego głodem kota, zrozumiała, jak to się stało.

Na drugie piętro prowadziły schody. Crysania pomyślała o pójściu na górę, lecz zabrakło jej

odwagi. Najpierw rozejrzy się po osadzie. Ktoś tam musi być, ktoś, kto zdoła jej powiedzieć, co tu się dzieje.

Wzięła lampę, którą zapaliła krzesiwem wydobywym ze swych juków, po czym wyszła na ulicę, na której było już zupełnie ciemno. Co tu się wydarzyło? Gdzie są wszyscy? Nie wyglądało na to, żeby ktoś napadł na miasteczko. Nie było śladów walki – żadnych połamanych mebli, krwi, porzuconej broni. Żadnych trupów.

Kiedy wyszła z zajazdu, ogarnął ją jeszcze większy niepokój. Koń zarżał na jej widok. Crysania opanowała dziką chęć wskoczenia na siodło i oddalenia się z tego miejsca najszybciej, jak mogła. Zwierzę jednak było zmęczone i nie mogło iść dalej bez wytchnienia. Trzeba było je nakarmić. Kiedy Crysania pomyślała o tym, odwiązała wierzchowca i zaprowadziła go do stajni za gospodą. Stajnia stała pusta. Nic nadzwyczajnego – konie były w tych czasach luksusem. Niemniej jednak znalazła w niej słomę i wodę, przynajmniej zajazd był gotów na przyjęcie gości. Postawiwszy lampę na półce, Crysania rozsiodła swego zmęczonego konia i go wytarła. Wiedziała, że czyni to niezdarnie, nie robiła bowiem tego nigdy przedtem.

Koń jednakże sprawiał wrażenie dość zadowolonego i kiedy Crysania wychodziła, żuł owies, który znalazł w żłobie.

Crysania zabrała lampę i wróciła na pustą, cichą ulicę. Zerknęła do ciemnych domów, zaglądała w ciemne wystawy sklepów. Nic. Nikogo nie ma. Po drodze usłyszała nagle jakiś dźwięk. Serce zamarło jej na chwilę, a lampa zadrżała w jej ręku. Zatrzymała się, by posłuchać, powtarzając sobie, że to jakiś ptak albo zwierzę.

Nie, znów to samo. I znów. Był to dziwny dźwięk, coś jakby świst, a potem pacnięcie. Potem znów świst, po którym nastąpiło pacnięcie. Z pewnością nie było w tym niczego złowieszczonego ani groźnego, niemniej jednak Crysania stała wciąż na środku ulicy. Była zbyt wystraszona, by pójść w stronę, z której dochodził dźwięk, i zbadać jego przyczynę.

– Co za bzdury! – powiedziała do siebie surowo. Zła na siebie, rozczarowana wyraźnym fiaskiem swych planów i zdecydowana przekonać się, co się dzieje, Crysania śmiało ruszyła naprzód. Mimo to zauważyła z irytacją, że jej dłoń zdawała się z własnej woli sięgnąć do medalionu boga.

Dźwięk był coraz głośniejszy. Rząd domów i sklepików dobiegł końca. Kiedy idąca po cichu Crysania skręciła za róg, uświadomiła sobie nagle, że powinna była zgasić lampę. Ta myśl przyszła jej do głowy zbyt późno. Na widok światła postać będąca źródłem tych dziwnych odgłosów odwróciła się raptownie, podniosła ramię, by osłonić oczy, i spojrzała na nią.

– Kim jesteś? – odezwał się męski głos. – Czego chcesz? – Mężczyzna nie sprawiał wrażenia przestraszonego, a jedynie rozpaczliwie zmęczonego, jakby jej obecność była dodatkowym, ogromnym ciężarem.

Jednakże zamiast odpowiedzieć, Crysania podeszła bliżej. Teraz bowiem domyśliła się, co to

był za dźwięk. On kopał ziemię! Trzymał w ręku łopatę. Nie miał światła. Najwyraźniej pracował tak ciężko, że nawet nie zauważył zapadającego zmroku.

Podnosząc lampę, by światło padło na ich oboje, Crysania przyjrzała się mężczyźnie z ciekawością. Był młody, młodszy od niej – prawdopodobnie około dwudziestu, może dwudziestu dwóch lat. Był to człowiek o bladej, poważnej twarzy, odziany w szatę, którą Crysania wzięłaby za strój kapłański, gdyby nie dziwny, nierozpoznawalny symbol. Kiedy Crysania zbliżyła się, spostrzegła, że młody człowiek siania się na nogach. Gdyby jego łopata nie była wbita w ziemię, przewróciłby się. Wspierał się na niej, jakby był skrajnie wycieńczony.

Zapominając o własnym lęku, Crysania podbiegła szybko, by mu pomóc. Jednakże ku jej zdumieniu mężczyzna powstrzymał ją gestem.

– Nie zbliżaj się! – krzyknął.

– Co takiego? – spytała zaskoczona Crysania.

– Nie zbliżaj się! – powtórzył z większym naciskiem. Szpadel jednakże nie utrzymał już jego ciężaru. Młody człowiek upadł na kolana, łapiąc się za brzuch, jakby cierpiał bóleści.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – oświadczyła stanowczo Crysania, poznając, że młodzieniec jest chory albo ranny. Podbiegła i chciała objąć go ramieniem, by pomóc mu wstać, gdy nagle jej wzrok padł na to, czym mężczyzna się zajmował.

Zatrzymała się i stanęła osłupiała ze zgrozy.

Mężczyzna zasypywał grób – masowy grób.

Kiedy spojrzała w głąb olbrzymiej jamy, ujrzała trupy – mężczyzn, kobiet, dzieci. Nie było na nich żadnego znaku, żadnego śladu krwi. Mimo to wszyscy nie żyli. Zapadła na chwilę w odrętwienie, gdy uświadomiła sobie, że to całe miasteczko.

Kiedy się obejrzała za siebie, zobaczyła twarz młodego mężczyzny. Spostrzegła spływający po niej pot i zeszlone, pałające gorączką oczy. Wtedy już wiedziała.

– Staralem się cię ostrzec – powiedział znużonym, zdławionym głosem mężczyzna. – To trawiąca gorączka!

– Chodź ze mną – powiedziała Crysania głosem drżącym z żalu. Odwróciwszy się plecami od tego upiornego widoku, objęła młodzieńca. Opierał się, lecz był słaby.

– Nie rób tego! – błagał. – Zarazisz się! Umrzesz... w przeciągu kilku godzin...

– Jesteś chory. Musisz wypocząć – powiedziała. Nie zważając na jego protesty, odprowadziła go na bok.

– A grób... – szepnął, wznosząc pełen zgrozy wzrok w ciemne niebo, po którym krążyło padlinożerne ptactwo.

– Nie możemy zostawić zwłok...

– Ich dusze są z Paladinem – rzekła Crysania, walcząc z mdłościami na myśl o makabrycznej uczcie, jaka wkrótce się rozpocznie. Już słyszała triumfalne krakanie. Tu leżą tylko ich ziemskie

powłoki. Oni rozumieją, że żywi są ważniejsi.

Zbyt zmęczony, by się sprzeciwiać, młodzieniec spuścił głowę z westchnieniem i objął Crysanię za szyję. Zauważyła, że był niewiarygodnie chudy – prawie wcale nie czuła jego ciężaru, gdy się o nią oparł. Zastanawiała się, kiedy ostatni raz zjadł dobry posiłek.

Oddalali się od grobu powolnym krokiem. – Tam jest mój dom – powiedział mężczyzna, słabym gestem wskazując chatę położoną na skraju wioski.

Crysania pokiwała głową. – Powiedz mi, co się stało – rzekła, by odciągnąć jego i własne myśli od łopotu skrzydeł za ich plecami.

– Nie ma wiele do opowiadania – odrzekł wstrząsany dreszczami młodzieniec. – Gorączka atakuje szybko, bez ostrzeżenia. Wczoraj jeszcze dzieci bawiły się na podwórkach. Zeszłej nocy umierały w ramionach swoich matek. Stoły zastawiono do kolacji, której nikt nie był w stanie zjeść. Dziś rano ci, którzy mogli się jeszcze ruszać, wykopali ten grób. Wszyscy wtedy już wiedzieliśmy, że kopia swój własny...

Słowa ugrzęzły mu w gardle i wstrząsnął nim skurcz bólu.

– Wszystko już będzie dobrze – powiedziała Crysania.

– Położę cię do łóżka. Zimna woda i sen. Pomodłę się...

– Modlitwy! – Młody człowiek zaśmiał się gorzko.

– Ja jestem ich kapłanem! – Machnął ręką w stronę grobu. – Widzisz, ile dobrego przyszło z modlitw!

– Sza, oszczędzaj siły – powiedziała Crysania, gdy doszli do małego domu. Pomogła młodzieńcowi położyć się na łóżku, po czym zamknęła drzwi i widząc drewno w kominku, podpaliła je płomykiem swojej lampy. Wkrótce ogień płonął jasno. Zapaliła świece i wróciła do swego pacjenta. Jego rozgorączkowane oczy śledziły każdy jej ruch.

Przysunawszy sobie krzesło do jego łóżka, nalała wody do miski i zamoczyła w niej gałganek, po czym usiadła przy mężczyźnie, by położyć chłodną szmatkę na jego rozpalonym czole.

– Ja też jestem kapłanką – powiedziała, lekko dotykając medalionu, który wisiał na jej szyi – i pomodłę się do mojego boga, by cię uzdrowił.

Postawiwszy miskę z wodą na stoliku obok łóżka, Crysania nachyliła się nad młodym mężczyzną i położyła dłonie na jego ramionach. Potem zaczęła się modlić. – Paladine...

– Co? – przerwał, chwytając ją gorącą dłonią. Co robisz?

– Zamierzam cię uleczyć – stwierdziła Crysania, posyłając mu uśmiech pełen łagodnej cierpliwości. – Jestem kapłanką Paladine'a.

– Paladine! – Młody człowiek skrzywił się z bólu, a potem, wstrzymując oddech, popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Tak myślałem, że powiedziałaś. Jak możesz być jedną z jego kapłanek? Oni wszyscy zniknęli, jak powiadają, tuż przed Kataklizmem.

– To długa historia – odparła Crysania, okrywając drżącego młodzieńca – którą opowiem ci później. Teraz jednak uwierz, że jestem prawdziwą kapłanką tego wielkiego boga i że on cię uzdrowi!

– Nie! – krzyknął młody człowiek, tak mocno ściskając ją za dłoń, że aż ją zabolalo. – Ja też jestem duchownym, kapłanem bogów Poszukiwaczy. Próbowalem uzdrowić mój lud – głos mu się załamał – lecz nic nie mogłem poradzić. Oni umarli! – Zamknął oczy w udręce. – Modliłem się! Bogowie... nie wysłuchali mnie.

– To dlatego, że modlisz się do fałszywych bogów stwierdziła z przejęciem Crysania i odgarnęła młodzieńcowi przesiąknięte potem włosy z czoła. Podniósł powieki i zmierzył ją uważnym wzrokiem. Crysania stwierdziła, że jest przystojny i że odznacza się powagą i urodą uczonego. Miał niebieskie oczy i złote włosy.

– Wody – wyszeptał spierzchniętymi wargami. Pomogła mu usiąść. Łapczywie napił się z miski, a potem znów położyła go na posłaniu. Mężczyzna pokręcił głową, wciąż śledząc ją wzrokiem, a potem zamknął oczy ze zmęczenia.

– Znasz Paladine'a i starożytnych bogów? – spytała cicho Crysania.

Młody mężczyzna podniósł powieki, a w jego oczach zabłysło światło. – Tak – rzekł z goryczą. – Znam ich. Wiem, że zdruzgotali ziemię. Wiem, że sprowadzili na nas burze i zarazę. Wiem, że na tę ziemię wydostały się złe stwory.

A potem bogowie odeszli. Opuścili nas w godzinie potrzeby!

Teraz Crysania spojrzała na niego. Spodziewała się zaprzeczenia, niewiary, a nawet całkowitej nieświadomości istnienia bogów. Wiedziała, że z tym umiałaby sobie poradzić. Jednakże jak dać sobie radę z tym gorzkim gniewem? Na tę konfrontację nie była przygotowana. Spodziewała się zabobonnego motłochu, a zamiast tego zastała masowy grób i konającego młodego kleryka.

– Bogowie nie porzucili nas – rzekła głosem drżącym z przejęcia. – Oni tam są i czekają tylko na dźwięk modlitwy. Zło, które pustoszy Krynn, ludzkość sama sprowadziła na siebie przez pychę, nieposłuszeństwo i ignorancję.

Crysanii żywo stanęła w pamięci historia Goldmoon, która uleczyła Elistana i tym sposobem nawróciła go na starą wiarę. Ogarnęło ją uniesienie. Uleczy tego młodego kapłana i nawróci go...

– Zamierzam cię uzdrowić – rzekła. – Potem będzie czas na rozmowy, czas, byś zrozumiał.

Uklękawszy znów przy łóżku, ścisnęła w dłoni medalion wiszący na jej szyi i znów zaczęła się modlić: – Paladine...

Jakaś ręka chwyciła ją obcesowo, sprawiając jej ból i zmuszając do wypuszczenia medalionu. Zaskoczona kobieta podniosła głowę. Był to ten młody kapłan. Podniósł się prawie do pozycji siedzącej i słaby, drżący z gorączki, wciąż mierzył ją przenikliwym, lecz spokojnym wzrokiem.

– Nie – rzekł stanowczo – to ty musisz zrozumieć. Nie musisz mnie nawracać. Wierzę ci! – Spojrzał w mrok nad głową z posepnym i gorzkim uśmiechem. – Tak, Paladine jest z tobą. Wyczuwam jego obecność. Być może me oczy otworzyły się teraz, gdy jestem bliski śmierci.

– To cudowne! – krzyknęła w ekstazie Crysania. Mogę...

– Zaczekaj! – Kapłan z trudem łapał oddech, wciąż trzymając ją za rękę. – Posłuchaj! Dlatego właśnie, że wierzę, zabraniam ci... uleczyć mnie.

– Co takiego? – Crysania wbiła w niego wzrok z niedowierzaniem. Potem stwierdziła stanowczo: – Jesteś chory, majaczysz. Nie wiesz, co mówisz.

– Wiem – odparł. – Spójrz na mnie. Jestem przytomny? Tak?

Crysania po przyjrzeniu się jemu musiała skinąć twierdząco głową.

– Tak, musisz to przyznać. Nie... bredzę. Jestem w pełni przytomny i świadomy swoich czynów.

– Więc dlaczego?

– Jeśli bowiem – rzekł cicho, a każdy oddech sprawiał mu widoczny ból – Paladine jest tutaj, a wierzę, że jest, dlaczego on... pozwala na to! Dlaczego pozwolił moim ludziom umrzeć? Dlaczego pozwala na to cierpienie? Dlaczego je spowodował? Odpowiedz mi! – Złapał ją gniewnie. – Odpowiedz mi!

To jej własne pytania! Pytania Raistlina! Crysania miała wrażenie, że jej umysł błądzi w nieprzejranej ciemności. Jak mogła mu odpowiedzieć, gdy sama rozpaczliwie szukała na nie odpowiedzi?

Zmartwiałyimi wargami wyszeptwała słowa Elistana: „Musimy ufać. Niezbadane są wyroki boskie, nie potrafimy zobaczyć...” Młody człowiek położył się i potrząsnął głową w geście znużenia. Crysania umilkła, czując się bezradna w obliczu tak gwałtownego, zaciekłego gniewu. I tak go wyleczę, postanowiła. On jest chory i osłabiony na ciele i umyśle. Nie można wymagać, żeby zrozumiał...

Potem westchnęła. Nie. W innych okolicznościach Paladine mógłby na to pozwolić. Crysania z rozpaczą rozumiała, że bóg nie wysłucha jej modłów. W swej boskiej mądrości przygarnie tego młodzieńca do siebie, a wtedy wszystko się wyjaśni.

Jednakże nie teraz.

Nagle do Crysanii dotarła niewesoła myśl, że czasu nie można zmienić, przynajmniej nie w ten sposób i nie przez jej działanie. Goldmoon przywróciła człowiekowi wiarę w starych bogów, gdy taki straszliwy gniew jak ten wygasł już, kiedy człowiek ten był gotów posłuchać, zaakceptować jej słowa i uwierzyć. Nie wcześniej.

Owładnęło ją poczucie klęski. Wciąż klęcząc przy postaniu, spuściła głowę w dłonie i prosiła o wybaczenie za to, że nie chciała się z tym pogodzić ani tego zrozumieć.

Kiedy poczuła dłoń dotykającą jej włosów, podniosła głowę. Młody człowiek uśmiechał się

do niej blado.

– Przykro mi – powiedział łagodnie. Jego spierzchnięte wargi drżały. – Przykro mi... że cię zawiodłem.

– Rozumiem – rzekła cicho Crysania – i uszanuję twoje życzenie.

– Dziękuję – odpowiedział. Milczał. Przez dłuższy czas słyhać było jedynie odgłos jego ciężkiego oddechu. Crysania chciała już wstać, lecz poczuła jego rozpaloną dłoń, która zacisnęła się na jej ręce. – Zrób coś dla mnie szepnął.

– Cokolwiek chcesz – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu, choć ledwo widziała go przez łzy.

– Zostań ze mną dziś w nocy... dopóki nie umrę...

Rozdział VI

Wspinam się po stopniach na szafot. Głowę mam spuszczoną. Ręce związane na plecach. Szarpię się i staram się uwolnić podczas wchodzenia po schodach, choć wiem, że to bezcelowe – od wielu dni, tygodni, miesięcy szarpię się bez skutku.

Potykam się o czarne szaty. Przewracam się. Ktoś łapie mnie i nie pozwala mi upaść, ciągnie mnie naprzód. Dotarłem na szczyt. Przede mną znajduje się zabarwiony na ciemno pieńek katowski. Teraz rozpaczliwie usiłuję uwolnić ręce! Gdybym tylko zdołał poluzować więzy! Mógłbym użyć czarów! Uciec! Uciec!

– Nie ma ucieczki! – śmieje się mój kat i wiem, że to ja sam mówię! To mój śmiech! Mój głos! – Kłęknij, żałosny czarodzieju! Złóż głowę na tej zimnej i okrwawionej poduszce!

Nie! Wrzeszczę z przerażenia i wściekłości i wrywam się rozpaczliwie, lecz czyjeś ręce łapią mnie od tyłu. Brutalnie rzucają mnie na kolana. Zdjęty odrazą dotykam ciałem chłodnego i oślizgłego pieńka! Wciąż wydzieram się, szarpię i wrzeszczę, a oni wciąż mnie naginają.

Naciągają mi na głowę czarny kaptur... mimo to słyszą zbliżającego się kata, słyszą, jak czarne szaty szeleszczą wokół jego kostek, słyszą, jak olbrzymie żeleźce wznosi się... wznosi się...

– Raist! Raistlin! Obudź się!

Raistlin otworzył oczy. Patrząc prosto w górę, ogłuszony, oszołomiony i przerażony, przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje ani kto go zbudził.

– Raistlin, co ci jest? – powtórzył głos.

Silne ręce trzymają go mocno, znajomy głos pełen serdecznej troski zagłusza świst spadającego ostrza katowskiego topora...

– Caramonie! – krzyknął Raistlin, uczepliwszy się brata. – Pomóż mi! Powstrzymaj ich! Nie pozwól im zamordować mnie! Powstrzymaj ich! Powstrzymaj!

– Szs, nie pozwolę im nic ci zrobić, Raist – szepnął Caramon, tuląc brata i głaszcząc go po miękkich, brązowych włosach. – Szs, już wszystko dobrze. Jestem przy tobie... jestem tu.

Położywszy głowę na piersi Caramona i słysząc miarowe, powolne bicie serca brata, Raistlin zadrżał i westchnął głęboko. Potem znów zamknął oczy, by odgrodzić się od mroku, i rozpłakał się jak dziecko.

– To ironia losu, nieprawdaż? – mruknął gorzko Raistlin jakiś czas później, gdy jego brat rozdmuchał ogień i zawiesił nad nim kociołek z wodą do zagotowania. – Jestem najpotężniejszym z żyjących kiedykolwiek magów, a sen zredukował mnie do poziomu kwilącego dziecięcia!

– Więc jesteś istotą ludzką – mruknął grubym głosem Caramon, nachyliwszy się nad garnkiem. Obserwował kociołek z bliska z tą niesłychaną uwagą, jaką wszyscy przykładają do

nakłonienia wody do szybszego zawrzenia. Wzruszył ramionami. – Sam to powiedziałaś.

– Tak... istotą ludzką! – powtórzył ze złością Raistlin i zadrżał, kuląc się pod swymi czarnymi szatami i podróżną peleryną.

Na te słowa Caramon zerknął na niego z niepokojem, przypominając sobie, co mu powiedział Par-Salian i inni magowie na konklawe odbywającej się w Wieży Wielkiej Magii. Twój brat zamierza rzucić wyzwanie bogom! Chce sam zostać bogiem!

Kiedy jednakże Caramon przyglądał się bratu, Raistlin podciągnął kolana pod brodę, wsparł dłonie na kolanach i zmęczonym gestem położył na nich głowę. Czując dziwny ucisk w gardle i żywo przypominając sobie to ciepłe, cudowne uczucie, jakiego doznawał, gdy brat szukał u niego oparcia, Caramon ponownie skupił uwagę na wodzie.

Niespodziewanie Raistlin podniósł głowę raptownym ruchem.

– Co to było? – spytał w tej samej chwili, gdy Caramon wstał, usłyszawszy również ten dźwięk.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział cicho Caramon, wyężając słuch. Zwalisty mężczyzna zakradł się do swego posłania z zaskakującą zwinnością, chwycił miecz i wyciągnął go z pochwy.

W tym samym czasie Raistlin zacisnął dłoń na lasce Magiusa, która leżała obok niego. Wstał gibkim, kocim ruchem i zgasił ognisko, wylewając nań zawartość kociołka. Ciemność spowiła ich z cichym sykiem, gdy węgielki zamigotały i zgasły.

Obaj bracia stali nieruchomo, by dać oczom czas na przyzwyczajenie się do ciemności, i skupili uwagę na wsłuchaniu się w te dziwne odgłosy.

Potok, nad którym nocowali, bulgotał i pluskał wśród skałek, a gdy zerwał się ostry podmuch wiatru dmącego w tę jesienną noc, zaskrzypiały gałęzie i zaszeleściły liście. Jednakże to, co usłyszeli, nie było odgłosem wiatru, szumem drzew ani wody.

– Tam jest – szepnął Raistlin, gdy podszedł do niego brat. – W lesie po drugiej stronie strumienia.

Był to szmer, jakby ktoś nieudolnie próbował czołgać się, poruszać się po nieznanym mu terenie. Trwał on jakiś czas, potem urwał się, a potem znów wznowił. Był to albo ktoś nie zaznajomiony z okolicą, albo coś – niezgrabnego, ciężko obutego.

– Gobliny! – syknął Caramon.

Ściskając broń w rękę, zamienił z bratem spojrzenia. Lata mroku, dzielącej ich obcości, zazdrość, nienawiść – wszystko to znikło w ułamku sekundy. W obliczu zagrożenia stali się jednością, tak jak w łonie matki.

Poruszając się ostrożnie, Caramon zanurzył stopę w strumieniu. Czerwony księżyc, Lunitari, przeświecał przez drzewa. Tej nocy był jednak w pierwszej kwadrze. Przypominał knot zgaszonej świecy i dawał niewiele światła. Z obawy przed skręceniem sobie nogi na kamieniu

Caramon ostrożnie badał grunt przed przeniesieniem nań całego swego ciężaru. Raistlin szedł jego śladem, w jednej ręce trzymając zgaszoną laskę, a drugą lekko kładąc na ramieniu brata dla zachowania równowagi.

Przebyli potok równie cicho co wiatr szepczący nad wodą i stanęli na przeciwległym brzegu. Nadal słyszeli hałas. Tym razem jednak nie mieli wątpliwości, że jego źródłem jest jakaś żywa istota. Nawet gdy wiatr przycichł, słyszeli szmer.

– Tylna straż. Banda rabusiów! – wyszeptał Caramon, odwróciwszy się przez ramię, by brat go usłyszał.

Raistlin pokiwał głową. Bandy rabujących goblinów zwyczajowo posyłały zwiadowców do pilnowania szlaków, gdy wybierały się plądrować wsie. Ponieważ było to nudne zajęcie i oznaczało, że wybrane gobliny nie brały udziału w mordowaniu i łupieniu, przypadało ono zazwyczaj najniższemu rangą – najmniej uzdolnionym, najmniej potrzebnym członkom bandy.

Nagle Raistlin chwycił Caramona za ramię, zatrzymując go na chwilę.

– Crysania! – szepnął mag. – Osada! Musimy wiedzieć, gdzie są rabusie!

Caramon zrobił groźną minę. – Złapię go żywcem! Pokazał to ruchem wielkiej dłoni, która zacisnęła się na wyimaginowanej szyi goblina.

Raistlin uśmiechnął się ponuro ze zrozumieniem. – A ja go przesłucham! – zasyczał, czyniąc przy tym ten sam gest.

Bliźniacy zakradali się ścieżką, uważnie trzymając się cieni, by nawet najmniejszy skrawek księżycowego światła nie odbił się od kłamy czy miecza. Wciąż słyszeli ten dźwięk. Chociaż czasami cichł, zawsze odzywał się ponownie. Stale dochodził z tego samego miejsca. Ktokolwiek czy cokolwiek to było, nie miało pojęcia o ich nadejściu. Zbliżali się doń brzegiem ścieżki, aż znaleźli się – wedle własnych obliczeń – praktycznie naprzeciwko niego.

Teraz już potrafili określić, że dźwięk dobiegał z lasu, jakieś sześć metrów od szlaku. Kiedy Raistlin rozejrzał się szybko, jego bystre oczy wykryły wąską ścieżkę. Ledwo widoczna w bladej poświacie księżycy i gwiazd dróżka skręcała w bok od głównego szlaku – była to ścieżka zwierzyny, prawdopodobnie wiodąca do strumienia. Dobre miejsce dla zwiadowców do zaczajenia się. Zapewniało im szybki dostęp do głównej drogi, gdyby postanowili zaatakować, i łatwą drogę ucieczki, gdyby przeciwnik okazał się zbyt groźny. – Zaczekaj tutaj! – Dał znak Caramon.

Szelest czarnego kaptura był odpowiedzią Raistlina. Odsunawszy na bok nisko wiszącą gałąź, Caramon wszedł do lasu. Kroczył powoli i ostrożnie jakieś pół metra od słabo widocznej ścieżynki prowadzącej w głąb zarośli.

Raistlin stał przy drzewie, smukłymi palcami sięgając do jednej ze swych rozlicznych, tajnych kieszeni i pośpiesznie wgniatając szczyptę siarki w małą kulkę z guana nietoperza. W pamięci miał słowa zaklęcia. Powtórzył je sobie. Kiedy jednak to czynił, wciąż bardzo

wyraźnie słyszał ruchy swego brata.

Mimo iż Caramon starał się zachowywać cicho, Raistlin słyszał skrzypienie skórzanej zbroi, podzwanianie metalowych sprzączek i trzask gałązek pod jego stopami, gdy muskularny mężczyzna oddalał się od czekającego bliźniaka. Na szczęście ich ofiara wciąż robiła tyle hałasu, że wojownik prawdopodobnie podejdzie niedosłyszalnie...

Noc została rozdarta przez przeraźliwy wrzask, po którym rozległo się okropne wycie i odgłosy szamotania się, jakby ze stu ludzi przedzierało się przez gąszcz.

Raistlin drgnął.

Wtedy ktoś zawołał: – Raist! Na pomoc! Auuu!

Znów szamotanie, odgłos pękających konarów drzew, łomot...

Zebrawszy w garść fałdy swej szaty, Raistlin pobiegł szybko ścieżką, nie czas bowiem był już na ukrywanie się i tajemnice. Wciąż słyszał wołanie brata. Dźwięk był stłumiony, lecz wyraźny, a nie zdławiony czy znamionujący cierpienie.

Podczas biegu przez las arcymag nie zważał na gałęzie, które chłostały go po twarzy, i kolczaste pnącza łapiące go za szaty. Nagle i niespodziewanie wypadłszy na polanę, zatrzymał się i zgarbił przy drzewie. Zobaczył przed sobą coś poruszającego się – jakiś gigantyczny, czarny cień, który zdawał się unosić w powietrzu tuż nad ziemią. Sądząc po głosie – z tą widmową istotą przy akompaniamencie wrzasków i okropnych przekleństw zmagał się – Caramon!

– Ast kiranann Soth-aran Suh kali Jalaran – Raistlin zanucił te słowa i rzucił kulkę z siarki wysoko w górę, między liście drzewa. Natychmiastowemu błyskowi światła w gałęziach towarzyszyła głucha, dudniąca eksplozja. Korony drzew stanęły w ogniu i oświetliły scenę poniżej.

Raistlin rzucił się naprzód ze słowami zaklęcia na ustach i magicznym ogniem trzaskającym z palców.

Zatrzymał się i wybałuszył oczy ze zdumienia.

Przed nim wisiał Caramon powieszony za nogę na sznurze przerzuconym przez gałąź drzewa. Obok niego szamotał się przerażony płomieniami królik.

Raistlin patrzył na brata ze zdziwieniem. Wołający pomocy Caramon obracał się powoli na wietrze, a wokół niego sypały się płonące liście.

– Raist! – krzyczał ciągle. – Zdejmij mnie – Och... Przy następnym obrocie zauważył swego osłupiałego bliźniaka. Zaczerwieniony od krwi, która mu uderzyła do głowy, Caramon wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu. – Sidła na wilki – wyjaśnił.

Las pałał jaskrawopomarańczową łuną. Ogień migotał na mieczu leżącym na ziemi tam, gdzie go upuścił ogromny mężczyzna. Iskrzył się na lśniącej zbroi Caramona, który powoli znów się obrócił. Błyszczał w oszalałych ze strachu oczach królika.

Raistlin parsknął szyderczo.

Teraz Caramon z kolei popatrzył na brata z konsternacją i urazą. Kiedy znów obrócił się twarzą do Raistlina, wykręcił głowę, by spróbować zobaczyć go właściwą stroną do góry. Posłał mu żalosne, błagające spojrzenie.

– Daj spokój, Raist! Zdejmij mnie!

Raistlin zaczął się śmiać bezgłośnie, aż mu się trzęsły barki.

– Do licha, Raist! To nie jest śmieszne! – wypalił Caramon, wymachując rękoma. Ten gest oczywiście spowodował, że schwytany w sidła wojownik przestał się obracać, a zaczął kołysać z boku na bok. Królik na drugim końcu wnyków również zaczął się huścić i jeszcze rozpaczliwiej przebierać łapkami w powietrzu. Wkrótce obaj wirowali w przeciwnych kierunkach, okrążając się nawzajem i splatając linki, na których wisieli.

– Zdejmij mnie! – ryczał Caramon. Królik piszczał z przerażenia.

Tego było już za wiele. Wspomnienia młodych lat wyraźnie stanęły arcymagowi w oczach, odpędzając ciemność i grozę, która władała jego duszą od, zdawałoby się, nic kończących się lat. Znów był młody i miał mnóstwo marzeń. Znów był z bratem, który był mu bliższy niż ktokolwiek. Jego nieporadny, przygłupi, kochany brat... Raistlin zgiął się wpół. Upadł na trawę bez tchu i wybuchnął dzikim śmiechem, aż łzy mu pociekły po policzkach.

Caramon zmierzył go wściekłym wzrokiem – lecz to złowrogie spojrzenie mężczyzny powieszonoego głową w dół za jedną nogę tylko zwiększyło wesołość brata. Raistlin śmiał się tak długo, aż wydawało mu się, że coś mógł sobie w środku uszkodzić. Śmiech był przyjemny. Na jakiś czas przegonił ciemność. Leżąc na wilgotnej ziemi polanki oświetlonej blaskiem płonących drzew, Raistlin zaśmiał się jeszcze mocniej i miał wrażenie, że wesołość musuje w nim niczym przednie wino. Wtedy przyłączył się również Caramon, którego tubalny rechot rozniósł się echem po lesie.

Dopiero kiedy na ziemię obok Raistlina spadły płonące kawałki drzewa, mag wrócił do siebie. Wytarł zapłakane oczy i wstał, a był tak osłabiony, że ledwo mógł utrzymać się na nogach. Jednym gestem wy dobył srebrny sztylecik, który nosił schowany na nadgarstku.

Wyprostowawszy się mag wyciągnął ręce i przeciął sznur, który oplątywał kostki jego brata. Caramon zwałił się na ziemię z donośnym łomotem, klnąc przy tym.

Wciąż chichocząc pod nosem, czarodziej poszedł dalej, przeciął sznurek, którym myśliwy obwiązał tylną łapę królika, i złapał zwierzę w ramiona. Stworzenie było na wpół oszalałe ze strachu, lecz Raistlin delikatnie głaskał je po łebku i szeptał cicho. Zwierzątko stopniowo uspokajało się, sprawiało wrażenie oszołomionego.

– Cóż, wzięliśmy go żywcem – rzekł Raistlin, a wargi mu przy tym drżały. Podniósł królika.

– Aczkolwiek nie sądzę, żebyśmy wydobyli z niego wiele informacji.

Caramon był tak czerwony na twarzy, że wyglądał, jakby wpadł do kadzi z farbą. Usiadł i zaczął rozcierać stłuczony bark.

– Bardzo śmieszne – mruknął, spoglądając na zwierzę z grymasem zawstydzenia. Płomienie w koronach drzew dogasały, choć w powietrzu było pełno dymu, a tu i tam paliła się trawa. Na szczęście jesień była wilgotna i deszczowa, więc owe niewielkie pożary szybko zgasły.

– Ładne zakłęcie – stwierdził Caramon i spojrzawszy w górę na płonące resztki okolicznych drzew, podźwignął się na nogi, klnąc i jęcząc.

– Zawsze mi się podobało – odparł zgryźliwie Raistlin. – Nauczył mnie tego Fizban. Pamiętasz? – Podniósł wzrok na dopalające się drzewa i uśmiechnął się. Sądzę, że staruszek doceniłby to.

Tuląc królika w ramionach i z roztargnieniem pieszcząc jego miękkie, jedwabiste uszy, Raistlin wyszedł z zadymionego lasu. Ukojony łagodnym dotykiem palców maga i hipnotyzującymi słowami, królik zamknął oczy. Caramon wy dobył swój miecz z zarośli, w które go upuścił, i poszedł za magiem, utykając lekko.

– Przekłęte wnyki odcięły mi krążenie. – Potrząsnął stopą, by przyspieszyć przepływ krwi.

Ciężkie chmury zasłoniły gwiazdy i zdusiły zupełnie blask Lunitari. Gdy zgasły płomienie, las pograżył się w mroku tak gęstym, że żaden z braci nie widział przed sobą ścieżki.

– Sądzę, że nie ma już potrzeby skrywać się – mruknął Raistlin. – Shirak. – Kryształ na czubku laski Magiusa zapłonął jaskrawym, magicznym blaskiem.

Bliźniacy wrócili do obozowiska w milczeniu, w towarzyskiej, miłej ciszy, której nie dzielili od lat. Jedynymi dźwiękami słyszalnymi w nocy było niespokojne tupanie koni, skrzypienie i pobrzękiwanie zbroi Caramona oraz cichy szelest czarnych szat idącego pieszo maga. Raz usłyszeli za swymi plecami łoskot – upadek zwęglonej gałęzi.

Po powrocie do obozu Caramon żałośnie rozgrzebał resztki ogniska, a potem zerknął na królika znajdującego się w objęciach Raistlina.

– Nie przypuszczam, byś uznał go za śniadanie.

– Nie jadam gobliniego mięsa – – odparł Raistlin z uśmiechem, stawiając zwierzątko na ścieżce. Kiedy królik poczuł zimny grunt pod łapkami, drgnął i otworzył oczy. Rozglądał się przez chwilę, by się zorientować, gdzie jest, po czym dał nagle susa w bezpieczny gąszcz lasu.

Caramon westchnął głęboko, a potem, chichocząc pod nosem, siadł ciężko na ziemi obok swego posłania. Zdjął but i rozmasował posiniaczoną kostkę.

– Dulak – szepnął Raistlin i laska zgasła. Położył ją obok swej derki, po czym wyciągnął się na posłaniu i okrył kocami.

Wraz z powrotem ciemności wrócił sen. Czekał na niego.

Raistlin zadygotał wstrząsany dreszczami. Pot wystąpił mu na czoło. Nie potrafił, nie miał śmiałości zamknąć oczu! Mimo to był tak zmęczony... tak wycieńczony. Od ilu nocy już nie spał?

– Caramonie – rzekł cicho.

– Aha – odrzekł z ciemności Caramon.

– Caramonie – powiedział Raistlin po chwili przerwy – czy... czy pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i miałem te...

straszne sny? – Na chwilę głos mu odmówił posłuszeństwa. Kaszlnął.

Bliźniak nie odzywał się.

Raistlin chrząknął i ciągnął dalej: – A ty strzegłeś mego snu, mój bracie. Odpędzałeś je...

– Pamiętam – rozległ się stłumiony, schrypnięty głos.

– Caramonie – zaczął Raistlin, lecz nie mógł dokończyć. Ból i zmęczenie wzięły górę. Ciemność zdawała się zakradać zewsząd, a koszmar wypełził ze swej kryjówki.

Wtedy zabręczczała zbroja. Wielki, zwalisty cień pojawił się przy nim. Ze skrzypieniem skórzanego odzienia Caramon usiadł przy bracie, opierając się szerokimi plecami o pień drzewa i kładąc obnażony miecz na kolanach.

– Idź spać, Raist – powiedział łagodnie Caramon. Mag poczuł, jak szorstka, niezdarna dłoń poklepuje go po ramieniu. – Ja będę czuwał...

Otuliwszy się kocami, Raistlin zamknął oczy. Zapadł w słodki, spokojny sen. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było ulotne złudzenie, że sen zbliża się i już wyciąga po niego swe kościste ręce, lecz przepędza go blask miecza Caramona.

Rozdział VII

Koń Caramona niespokojnie przebierał nogami pod muskularnym mężczyzną, który nachylił się w siodle, by spojrzeć w dół na osadę leżącą w dolinie. Wojownik zerknął na brata z ponurą miną. Twarz Raistlina zasłaniał czarny kaptur. O brzasku zaczął padać jednostajny deszcz i kapał teraz wokół nich głucho i monotonicznie. Na niebie wisiały ciężkie, szare chmury pozornie wsparte na ciemnych, olbrzymich drzewach. Słysząc było tylko kapanie wody z liści.

Raistlin pokręcił głową. Potem powiedział coś łagodnie do swego wierzchowca i wysunął się naprzód. Caramon spieszenie ruszył jego śladem, by go dogonić. Rozległ się brzęk stali wysuwanej z pochwy.

– Nie będzie ci potrzebny miecz, mój bracie – powiedział Raistlin bez odwracania się.

Końskie kopyta chlupotały w błocie, a ich głuchy stukot rozbrzmiewał zbyt głośno w zgęstniałym, przesiąkniętym deszczem powietrzu. Pomimo słów Raistlina Caramon nie wypuszczał miecza z dłoni, dopóki nie dojechali do obrzeży niewielkiej wioski. Zeskoczywszy z konia, podał wodze swemu bratu, a potem ostrożnie zbliżył się do tej samej małej gospody, którą wpierw zobaczyła Crysania.

Kiedy zajrzał do środka, zobaczył stół zastawiony do kolacji i potłuczone naczynia. Pies podbiegł do niego z nadzieją, liżąc go po ręce i skomlać. Koty wpełzły pod krzesła i ukradkiem znikły w cieniach, jakby czemuś były winne. Poklepując psa z roztargnieniem, Caramon miał zamiar wejść do wnętrza, gdy zawołał go Raistlin.

– Usłyszałem konia. Tam.

Z obnażonym mieczem Caramon wyszedł za róg budynku. Po kilku chwilach wrócił ze schowaną bronią i zmarszczonym czołem.

– To jej koń – oświadczył. – Rozsiodłany, nakarmiony i napojony.

Kiwając zakapturzoną głową, jakby spodziewał się tej informacji, Raistlin otulił się ściślejszą peleryną.

Caramon rozglądał się po wiosce niespokojnym wzrokiem. Woda kapała z dachu, a drzwi zajazdu kołysały się na zardzewiałych zawiasach, zgrzytając przenikliwie. W żadnym z domów nie paliło się światło, nie słychać było śmiechu dzieci ani nawołujących się kobiet, ani uskarżających się na pogodę mężczyzn, którzy idą do roboty. – Co to jest, Raist?

– Zaraza – odparł Raistlin.

Caramon wydał zdławiony dźwięk i natychmiast zasłonił usta i nos połą płaszcza. Raistlin uśmiechnął się ironicznie w cieniu kaptura.

– Nie obawiaj się, mój bracie – rzekł, zsiadając z konia. Caramon wziął od niego wodze, przywiązał oba wierzchowce do słupka, po czym podszedł do bliźniaka. Mamy ze sobą prawdziwą kapłankę, czyżbyś zapomniał?

– Więc gdzie ona jest? – burknął stłumionym głosem Caramon, wciąż zasłaniając twarz.

Mag odwrócił głowę i spojrzął na rząd cichych, pustych domów. – Myślę, że tam – stwierdził wreszcie. Caramon poszedł za jego wzrokiem i spostrzegł pojedyncze światełko pełgające w oknie niedużej chaty na drugim końcu wioski.

– Wolałbym raczej wejść do obozu ogrów – mruknął Caramon, brnąc wraz z bratem po zabłoconych, opustoszałych ulicach. Głos mu pogrubiał ze strachu, którego nie potrafił ukryć. Ze spokojem ducha potrafił pogodzić się z perspektywą śmierci z piętnastoma centymetrami stali w brzuchu. Jednakże myśl o tym, że mógłby skonać bezradnie, uśmiercony przez coś, z czym nie można walczyć i co unosi się niewidzialnie w powietrzu, przepełniała potężnego mężczyznę strachem.

Raistlin nie odpowiedział. Twarz miał nadal zasłoniętą. Jego brat nie umiał zgadnąć, o czym myśli. Dwaj mężczyźni doszli do końca ciągu domów w głośnym plusku kapiącego wokół nich deszczu. Zbliżali się do światła, gdy Caramon przypadkiem zerknął w lewo.

– Na bogów! – szepnął, zatrzymując się raptownie i łapiąc brata za rękę.

Wskazał masowy grób.

Obaj milczeli. Rozgniewane ich zbliżaniem się padlinożerne ptaki wzbiły się w powietrze z krakaniem i łopotem czarnych skrzydeł. Caramon zakrztusił się. Poblądł na twarzy i odwrócił się szybko. Raistlin jeszcze przez chwilę przyglądał się temu widokowi, zaciskając wąskie wargi.

– Chodź, mój bracie – rzekł chłodno, znów idąc w stronę domku.

Zajrzawszy przez okno do chaty, trzymając wciąż w dłoni miecz, Caramon odetchnął i pokiwał głową, dając bratu znak. Raistlin pchnął lekko drzwi, które otworzyły się pod jego naporem.

Na zgniecionym posłaniu leżał młody mężczyzna. Miał zamknięte oczy i ręce złożone na piersi. Na nieruchomej, trupio bladej twarzy malował się wyraz spokoju, choć zamknięte oczy zapadły się w głąb oczodołów, wychudzone policzki zakłęśły się, a wargi posiniały od chłodu śmierci. Na podłodze przy nim klęczała kapłanka ubrana w szary, które niegdyś mogły być białe. Spuściła głowę i wsparła ją na złożonych rękach. Caramon chciał coś powiedzieć, lecz Raistlin powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu, i potrząsnął zakapturzoną głową, nie chcąc jej przerywać.

Bliźniacy stali na progu w milczeniu, a deszcz padał wokół nich.

Crysanja była przy swym bogu. Pogrążona w żarliwych modłach, nie zauważyła wejścia braci, dopiero pobrząkiwanie i skrzypienie zbroi Caramona sprowadziło ją znów na ziemię. Unosząc głowę, tak że potargane, ciemne włosy spłynęły jej na ramiona, spojrzała na nich bez zdziwienia.

Jej oblicze, choć blade ze zmęczenia i smutku, było spokojne. Nie modliła się do Paladine'a o sprowadzenie ich, wiedziała jednak, że oprócz jawnie wypowiedzianych modłów bóg wysłucha

również modlitwy jej serca. Skłoniwszy głowę raz jeszcze gestem podziękowania, westchnęła, po czym wstała i odwróciła się do nich.

Jej wzrok napotkał oczy Raistlina, które dzięki blaskowi przygasającego ognia pałały nawet w głębiach jego kaptura. Kiedy odezwała się, wydawało się, że jej głos zlał się z dźwiękiem padających kropli deszczu.

– Poniosłam klęskę – stwierdziła.

Raistlin sprawiał wrażenie niewzruszonego. Zerknął na zwłoki młodego mężczyzny. – Nie chciałam uwierzyć?

– Och, uwierzył. – Ona również spojrzała na ciało. – Zabronił mi jednak uleczyć się. Jego gniew był... bardzo wielki. – Nachyliła się i nakryła nieruchomą postać prześcieradłem. – Paladine zabrał go do siebie. Jestem pewna, że ten młodzieniec teraz rozumiał.

– On tak – zauważył Raistlin. – A ty? Crysania spuściła głowę i znów ciemne włosy spadły jej na twarz. Stała bez ruchu tak długo, aż wreszcie Caramon, który nic z tego nie rozumiał, chrząknął i poruszył się niespokojnie.

– No, Raist... – zaczął cicho.

– Szszsz! – szepnął Raistlin.

Crysania uniosła głowę. Nawet nie usłyszała Caramona. Jej oczy były teraz ciemnoszare, tak ciemne, że zdawały się odzwierciedlać czerń szat arcymaga. – Rozumiem – rzekła stanowczo. – Po raz pierwszy rozumiem i wiem, co muszę zrobić. W Istar widziałam upadek wiary w bogów. Paladine wysłuchał mej prośby i pokazał mi tragiczną słabość króla-kapłana, pychę. Bóg objawił mi, jak mogę uniknąć tego błędu. Dał mi znać, że jeśli poproszę go, on odpowie. Jednakże Paladine pokazał mi również w Istar, jak jestem słaba. Kiedy opuściłam to nieszczęsne miasto i przybyłam tu z tobą, byłam kimś niewiele więcej niż przerażonym dzieckiem, które tuliło się do ciebie w straszliwej nocy. Teraz odzyskałam siły. Ten tragiczny widok utrwalił się ogniem w mej duszy.

Mówiąc to, Crysania przysunęła się do Raistlina. On świdrował ją wzrokiem nieruchomych oczu. Widziała swe odbicie w ich gładkiej powierzchni. Medalion Paladine'a, który nosiła na szyi, pałał zimnym, białym światłem. Przemawiała coraz żarliwszym tonem i złożyła mocniej dłonie.

– Będę miała ten widok w oczach – powiedziała cicho, zbliżając się do arcymaga – kiedy wejdę z tobą do portalu uzbrojona w swą wiarę i silna przeświadczeniem, że ty i ja razem przegnamy na zawsze ciemność z tego świata!

Raistlin wyciągnął do niej ręce i wziął ją za dłonie. Były zdrętwiałe z zimna. Zamknął je we własnych, smukłych dłoniach, ogrzewając je swym palącym dotykiem.

– Nie mamy potrzeby zmieniać czasu! – powiedziała Crysania. – Fistantilus był złym człowiekiem. To, co zrobił, zrobił dla własnej chwały. Jednakże nam, tobie i mnie, nie zależy na

osobistych korzyściach. I to wystarczy, by zmienić zakończenie. Ja to wiem, gdyż mój bóg przemówił do mnie!

Powoli, ale z uśmiechem, Raistlin uniósł dłonie Crysanii do ust i ucałował je, nie odrywając od niej wzroku.

Crysania poczuła, że palą ją policzki, i wstrzymała oddech. Caramon wydał zdławiony, na wpół zduszony dźwięk, po czym odwrócił się raptownie i wyszedł drzwiami.

Stojący w przygnębiającej ciszy i deszczu, który lał mu się na głowę, Caramon słyszał głos dudniący mu w głowie tym samym monotonnym, głuchym tonem, co krople, które rozpryskiwały się wokół niego.

On chce zostać bogiem. On chce zostać bogiem!

Zdjęty dojmującym strachem, Caramon pokręcił głową w udęce. Zainteresowanie wojskiem, fascynacja tym, że jest „generałem”, pociąg do Crysanii i tysiące innych zmartwień wyparły z jego myśli prawdziwą przyczynę, dla której cofnął się w czasie. Teraz – wraz ze słowami Crysanii – powróciła i uderzyła go niczym fala zimnej, morskiej wody.

Mimo to nie potrafił myśleć o innym Raistlinie niż o tym, jakim był zeszłej nocy. Kiedy po raz ostatni słyszał brata śmiejącego się w ten sposób? Kiedy po raz ostatni łączyło ich to ciepło, ta bliskość? Wyraźnie stanęła mu przed oczyma twarz bliźniaka, której przyglądał się podczas strzeżenia jego snu. Zobaczył, jak surowe bruzdy przebiegłości wygładzają się i nikną zmarszczki goryczy wokół ust. Arcymag znów wyglądał młodo i Caramon przypomniał sobie dzieciństwo oraz spędzone razem młodzieńcze dni – okres, który był najszczęśliwszy w jego życiu.

Wtedy jednakże nasunęło mu się koszmarne wspomnienie, jakby jego dusza czerpała przewrotną przyjemność z dręczenia go i mącenia mu w głowie. Znów zobaczył siebie w ciemnej celi w Istar, kiedy po raz pierwszy wyraźnie uświadomił sobie, jak ogromna jest zdolność jego brata do czynienia zła. Przypomniał sobie swe głębokie postanowienie, że jego bliźniak musi umrzeć. Pomyślał o Tasslehoffie...

Jednak Raistlin wyjaśnił to wszystko! Wyjaśnił sytuację w Istar. I znów Caramon miał wrażenie, że traci grunt pod nogami.

A co, jeśli Par-Salian mylił się, jeśli oni wszyscy się mylą? Może rzeczywiście Raist i Crysania mogliby ocalić świat przed taką grozą i cierpieniem, jak te?

– Jestem tylko zazdrosnym, głupim safandulą – wymamrotał Caramon, ocierając drżącą dłonią deszczówkę z twarzy. – Może ci wszyscy starzy czarodzieje są podobni do mnie, może wszyscy mu zazdroszczą.

Zapadał coraz głębszy mrok, a warstwa chmur pogrubiała się, przechodząc z barwy szarej w czarną. Deszcz lał jeszcze silniej.

Raistlin wyszedł z domu z towarzyszącą mu Crysanią, która trzymała go pod rękę. Była

otulona w grubą pelerynę, a szarobiały kaptur naciągnęła na głowę. Caramon chrząknął.

– Pójdę zanieść go do pozostałych – mruknął, ruszając w stronę drzwi. – Potem zasypię grób...

– Nie, mój bracie – rzekł Raistlin. – Nie. Tego widoku nie przystąpi ziemia. – Zrzucił kaptur, pozwalając, by deszcz spływał mu po twarzy obróconej ku chmurom. – Ten widok rozgorzeje w oczach bogów! Dym ich zagłady wzbije się w niebiosa! Odgłos będzie dźwięczał im w uszach!

Caramon, zaskoczony tym niecodziennym wybuchem, odwrócił się do bliźniaka. Szczupła twarz Raistlina była niemal równie wychudzona i blada, co tego nieboszczyka we wnętrzu domu, a w jego głosie słychać było gniew.

– Chodź ze mną – powiedział, raptownie wyrwijając się z uścisku Crysanii i zmierzając długim krokiem w stronę środka małej wioski. Crysania poszła za nim, trzymając kaptur, by nie zerwał go jej zacinający wiatr z deszczem. Caramon ruszył za nimi trochę wolniej.

Zatrzymawszy się pośrodku błotnistej, zalanej deszczem ulicy, Raistlin odwrócił się do Crysanii i brata, którzy właśnie podchodzili.

– Caramonie, zabierz wierzchowce, nasze i Crysanii. Zaprowadź je do tego lasu za osadą – mag pokazał ręką – zawiąż im oczy, a potem wróć do mnie. Caramon gapił się na niego.

– Rób, co ci każe! – rozkazał ochrypłym głosem Raistlin.

Caramon posłusznie wykonał polecenie i odprowadził konie.

– Teraz stań tutaj – ciągnął Raistlin, kiedy bliźniak wrócił. – Nie ruszaj się z tego miejsca. Nie podchodź do mnie, mój bracie, bez względu na to, co się stanie. – Jego spojrzenie powędrowało ku Crysanii, która stała obok niego, a później znów ku bratu. – Zrozumiałeś, Caramonie?

Caramon pokiwał głową bez słowa, wyciągnął rękę do Crysanii i delikatnie wziął ją za dłoń.

– Co to? – spytała, cofając się.

– Jego czary – odparł Caramon.

Umilkł na widok ostrego, władczego spojrzenia, jakie posłał mu Raistlin. Zaniepokojona dziwnym, szalonym i zapalczywym wyrazem twarzy czarodzieja, Crysania nagle zdrząła i przybliżyła się do Caramona. Muskularny mężczyzna otoczył ją ramieniem, nie spuszczać wątego bliźniaka z oczu. Stali tak razem w ulewnym deszczu i obserwowali jego poczynania, bojąc się nawet oddychać, by nie przeszkodzić magowi.

Raistlin zamknął oczy. Obrócił twarz ku niebiosom i wznosił ręce dłońmi na zewnątrz ku pochmurnemu niebu. Poruszał wargami, jednak przez chwilę go nie słyszeli. Potem, choć wydawało się, że nie podniósł głosu, każde z nich zaczęło rozpoznawać słowa w zawitym języku czarów. Powtarzał bez przerwy te same wyrazy, a jego cichy głos podnosił się i opadał w trakcie nucenia zaklęcia. Słowa nigdy się nie zmieniały, jednakże sposób ich wymawiania i akcent każdego z nich były odmienne za każdym razem, gdy powtarzał zwrot.

W dolinie zaległa cisza. Nawet odgłos padającego deszczu nie docierał do uszu Caramona. Słyszeli jedynie ciche nucenie, osobliwą i niesamowitą muzykę głosu jego brata. Crysania otworzyła szeroko ciemne oczy i przyłgnęła do wojownika jeszcze bliżej, a Caramon poklepał ją pocieszająco.

W miarę trwania zaklęcia Caramona zaczęło ogarniać Uczucie lęku zmieszanego z podziwem. Miał wrażenie, że coś go ciągnie nieubłaganie w stronę Raistlina, że cały świat dąży ku magowi, choć po zaleknionym rozejrzeniu się dookoła Caramon stwierdził, że nie ruszył się z miejsca. Kiedy jednakże znów popatrzył na brata, wrażenie wróciło ze zdwojoną siłą.

Raistlin stał pośrodku świata z wyciągniętymi rękoma, a cały dźwięk, całe światło, nawet samo powietrze, zdawało się pędzić prosto w jego objęcia. Ziemia pod stopami Caramona zaczęła pulsować falami, które płynęły w kierunku maga.

Raistlin uniósł ręce wyżej i nieznacznie wzniósł głos. Zamilkł, a następnie wypowiedział każde słowo zaklęcia powoli i stanowczo. Zerwał się wiatr i zadrżała ziemia. Caramonowi przemknęło przez myśl, że cały świat mknie ku jego bratu i zaparł się stopami w obawie, że i on zostanie wessany w głąb mrocznego wiru Raistlina.

Raistlin dźgnął palcami niebo, na którym kłębiły się szare chmury. Energia, którą zaczerpnął z ziemi i powietrza, przepłynęła przez niego. Srebrna błyskawica strzeliła z jego palców i trafiła w obłoki. W odpowiedzi z nieba trysnęło oślepiające, rozwidlone światło i dotknęło małego domku, w którym spoczywały zwłoki młodego kapłana. Rozległ się wstrząsający huk eksplozji i kula białobłkitnego ognia pochłonęła budynek.

Raistlin znów przemówił i znów z jego palców strzeliła srebrna błyskawica. I znów odpowiedziała smuga światła, trafiając maga! Tym razem to Raistlin stanął w czerwonozielonych płomieniach.

Crysania krzyknęła. Szamotała się w objęciach Caramona, pragnąc się wyrwać. Caramon jednakże pomny słów brata, trzymał ją z całych sił, nie pozwalając, by podbiegła do Raistlina.

– Spójrz! – wyszeptał ochryple, ściskając ją mocno. – Płomienie go nie dotykają!

Stojący pośrodku łuny Raistlin uniósł wysoko chude ręce, a czarne szaty łopotały wokół niego, jakby znajdował się pośrodku gwałtownego huraganu. Znów coś powiedział. Ogniste języki płomieni rozprzestrzeniły się na wszystkie strony, rozjaśniając mrok, mknąc po mokrej trawie i tańcząc na powierzchni wody, jakby była pokryta olejem. Raistlin stał w środku, w piaście olbrzymiego koła z płomieni.

Crysania nie mogła się ruszyć. Paraliżował ją lęk i przerażenie, jakiego do tej pory nie zaznała. Przyłgnęła do Caramona, lecz nie zaznała od niego pociechy. Objęli się nawzajem niczym przestraszone dzieci, gdy strzeliły wokół nich płomienie. Pędzący ulicami ogień dotarł do domów i podpałał je jednym gwałtownym wybuchem po drugim.

Fioletowy, czerwony, niebieski i zielony magiczny ogień strzelał w niebiosa, oświetlając

nieboskłon i zajmując miejsce przysłoniętego przez chmury słońca. Wystraszone padlinożerne ptaki zataczały kręgi na niebie, drzewo bowiem, na którym siedziały, zmieniło się w żywą pochodnię.

Raistlin odezwał się raz jeszcze, ostatni raz. Z błyskiem czystobiałego światła z niebios trysnął ogień i spopielił zwłoki w masowym grobie.

Wiatr buchający od płomieni szalał wokół Crysanii, zrywając jej kaptur z głowy. Niemiłosierny upał bił w twarz. Dusiła się od dymu i nie mogła złapać tchu. Spadł na nią deszcz iskier, a wokół stóp pełzały płomyki, aż wydało jej się, że i ona musi stanąć w ogniu. Nic jednakże jej nie tknęło. Wraz z Caramonem stała bezpieczna pośrodku pożogi. I wtedy uświadomiła sobie, że Raistlin jej się przygląda.

Mag gestem wezwał ją z wnętrza ognistej piekła, w którym się znajdował.

Crysania jęknęła i przywarła mocniej do Caramona.

Raistlin znów ją wezwał. Czarne szaty powiewały wokół jego sylwetki, łopocząc na wietrze, który zerwał się od stworzonej przez niego ognistej burzy. Stojąc pośrodku płomieni, wyciągał do Crysanii rękę.

– Nie! – krzyknął Caramon, trzymając ją mocno. Jednakże Crysania bez odrywania oczu od Raistlina łagodnie rozsunęła objęcia wielkiego mężczyzny i ruszyła naprzód.

– Chodź do mnie, wielbna córko! – Cichy głos Raistlina dobiegał do niej wśród chaosu i wiedziała, że słyszy go swym sercem. – Chodź do mnie przez ogień. Chodź zasmakować mocy bogów...

Żar pożogi spowijającej arcymaga parzył i palił jej duszę. Wydawało jej się, że skóra zaraz jej się zwęgli i złuszczy. Słyszała, jak jej trzeszczą włosy. Powietrze uciekało jej z boleśnie sparzonych płuc. Mimo to blask ognia urzekał ją, płomienie kusiły swym tańcem, a cichy głos Raistlina wabił ją do siebie.

– Nie! – Słyszała za swymi plecami krzyk Caramona, lecz on dla niej był niczym, czymś mniej ważnym od bicia jej własnego serca. Dotarła do zasłony z płomieni. Raistlin wyciągnął rękę, lecz wtedy zawahała się.

Jego ręka paliła się! Widziała, jak kurczy się poczerńiałe i zwęglone ciało.

– Chodź do mnie, Crysanio... – szeptał głos. Wyciągnęła drżącą dłoń i wsunęła ją w ogień. Przez chwilę czuła palący ból, od którego zatrzymało się jej serce. Krzyknęła z przerażenia i męki, a wtedy Raistlin złapał ją za rękę i wciągnął przez rozpaloną kurtynę. Mimowolnie zamknęła oczy.

Chłodny wiatr ją orzeźwił. Oddychała słodkim powietrzem. Jedynym żarem, jaki czuła, było miłe, znajome ciepło bijące od ciała maga. Otworzywszy oczy, spostrzegła, że stoi blisko niego. Kiedy podniosła głowę, spojrzała mu w twarz... i jej serce przeszły krótki, ostry ból.

Chude oblicze Raistlina błyszczało od potu, w oczach odbijał się czysty, biały ogień, który

trawił zwłoki, a oddech był przyspieszony i płytki. Mag wydawał się zagubiony, nieświadomy tego, co go otacza. A na jego twarzy widniała ekstaza, wyraz uniesienia i zwycięstwa.

– Rozumiem – powiedziała do siebie Crysania, trzymając go za ręce. – Rozumiem. To dlatego on nie może mnie pokochać. Kocha tylko jedną rzecz w życiu, swoją magię. Tej miłości odda wszystko, dla tej miłości wszystko zaryzykuje!

Myśl ta sprawiła jej ból, lecz był to miły rodzaj melancholijnego bólu.

– I znów jest dla mnie przykładem – powiedziała do siebie i oczy zaszyły jej łzami. – Zbyt długo pozwalałam sobie na przyziemne myśli o tym świecie i o sobie. On ma rację – Teraz posmakowałam mocy bogów. Muszę okazać się godna, ich i niego!

Raistlin zamknął oczy. Trzymająca go wciąż Crysania czuła, jak magia go opuszcza, zupełnie jakby z jakiejś rany wypływała mu krew. Czarodziej opuścił bezwładnie ręce. Otaczająca ich kula płomieni zamigotała i zgasła.

Z westchnieniem niewiele głośniejszym od szeptu Raistlin osunął się na kolana na spaloną ziemię. Znów zaczęła się ulewa. Crysania słyszała syk kropeł deszczu padających na zwęglone resztki wciąż żarzącej się wioski. Para wzbijała się w powietrze, unosząc się wśród szkieletów budynków i snując się po ulicach niczym duchy byłych mieszkańców.

Crysania uklękła przy arcymagu i przyglądała dłonią jego brązowe włosy. Raistlin otworzył oczy i spojrzał na nią, nie poznając jej. Dostrzegła w jego oczach głęboki, niegasnący nigdy smutek – spojrzenie kogoś, komu pozwolono wkroczyć do królestwa śmiertelnie groźnego piękna i który teraz znalazł się ponownie zepchnięty do szarego, zalanego deszczem świata.

Mag pochylił się w przód ze spuszczoną głową i wiszącymi luźno rękoma. Crysania obejrzała się na Caramona, który szybko do nich podszedł.

– Dobrze się czujesz? – spytał ją.

– Nic mi nie jest – szepnęła. – Co z nim? Razem pomogli Raistlinowi wstać. Wydawało się, że kompletnie nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Słaniał się na nogach z wyczerpania i opierał się całym ciężarem o brata.

– Nic mu nie będzie. Tak jest zawsze. – Caramon umilkł, a potem wymamrotał: – Tak jest zawsze! Co ja mówię? Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem! Na bogów... – Spojrzał na bliźniaka z podziwem zmieszany z lękiem. – Nigdy nie widziałem takiej potęgi! Nie wiedziałem! Nie wiedziałem...

Podtrzymywany przez silnego Caramona Raistlin wspierał się na ramieniu bliźniaka. Zaczął kaszleć i ciężko dyszeć. Charczał tak długo, że ledwo mógł utrzymać się na nogach. Caramon trzymał go mocno. Mgła i dym wiły im się wokół nóg, deszcz lał się na nich z nieba. Gdzieś słychać było trzaski płonącego drewna i syk wody w płomieniach. Kiedy minął atak kaszlu, Raistlin podniósł głowę, a w jego oczach znów błysnęło życie. Wróciła też zdolność rozpoznawania.

– Crysanio – rzekł cicho – poprosiłem cię o to, musisz bowiem bezwzględnie ufać mnie i mojej mocy. Jeśli nasze plany powiodą się, wielebna córko, wejdziemy do portalu i z otwartymi oczyma wkroczymy do Otchłani, miejsca niewyobrażalnej zgrozy.

Crysania zaczęła drżeć w nie kontrolowany sposób, stojąc przed nim urzeczona jego błyszczącymi oczyma.

– Musisz być silna, wielebna córko – ciągnął z naciskiem. – I to jest powód, dla którego zabrałem cię w tę podróż. Ja przeszedłem swe próby. Ty musiałaś przejść swoje. W Istar stawiałaś czoło próbie wiatru i wody. Przebyłaś próbę ciemności w Wieży, a teraz przetrzymałaś próbę ognia. Jednakże czeka cię jeszcze jedna próba, Crysanio! Musisz się do niej przygotować, tak jak i my wszyscy.

Zamknął oczy, padał ze znużenia i zachwiał się na nogach. Caramon z ponurą i nagle zawziętą miną złapał bliźniaka, wziął go na ręce i zaniósł go do czekających już koni.

Crysania pośpieszyła za nimi, nie spuszczać Raistlina z zatroskanych oczu. Pomimo słabości z twarzy czarodzieja promieniował niezmierny spokój i uniesienie.

– Co się stało? – spytała.

– Usnął – powiedział Caramon grubym, mrukliwym głosem, skrywając jakieś uczucie, którego Crysania nie umiała odgadnąć.

Po dojściu do koni Crysania zatrzymała się na chwilę i obejrzała za siebie.

Znad zgliszcz wsi unosił się dym. Szkielety budynków zawaliły się i utworzyły sterty czystobiałego popiołu, a drzewa były zaledwie rozgałęzionymi pasmami dymu wznoszącymi się ku niebiosom. Widziała, jak deszcz pada na popiół, zmieniając w błoto i splukuje. Mgła rozwinęła się, a porywisty wiatr rozgonił dym.

Wioska znikła, jakby nigdy nie istniała.

Crysania drżąc, zawięła się w pelerynę i odwróciła się ku Caramonowi, który sadzał Raistlina na siodle, potrząsając nim i usilnie budząc na tyle, by mag mógł jechać konno.

– Caramonie – rzekła Crysania, gdy wojownik zbliżył się, by jej pomóc. – Co Raistlin miał na myśli, mówiąc Jeszcze jedna próba”? Zauważyłam twoją minę, kiedy to powiedział. Ty wiesz, prawda? Ty rozumiesz?

Caramon nie odpowiedział natychmiast. Obok nich Raistlin chwiał się nieprzytomnie w siodle. Wreszcie czarodziej spuścił głowę i ponownie zapadł w sen. Po udzieleniu Crysanii pomocy Caramon wrócił do swojego konia i wsiadł na niego. Potem schylił się i zabrał wodze z bezwładnych rąk śpiącego brata. Ruszyli znów pod górę w ulewnym deszczu, a Caramon ani razu nie obejrzał się na osadę.

W milczeniu prowadził wierzchowce ścieżką. Jadący obok niego Raistlin zgarbił się nad końskim karkiem. Caramon wyprostował brata zdecydowanym, łagodnym gestem.

– Caramonie? – spytała cicho Crysania, kiedy dotarli do szczytu wzniesienia.

Wojownik odwrócił się do Crysanii. Potem westchnął i jego spojrzenie powędrowało ku południu, gdzie leżał Thorbardin. Nad odległym horyzontem gromadziły się kłęby ciemnych, sztormowych chmur.

– Stara legenda mówi, że zanim Huma stawiał czoło Królowej Ciemności, bogowie poddali go próbom. Przeszedł próbę wiatru, próbę ognia i próbę wody. A jego ostatnią próbą – powiedział cicho Caramon – była próba krwi.

Pieśń o Humie **(powtórzenie)**

*Przez zgliszcza i krew, pokłosie smoków.
Wędrował Huma, otulony snem o Srebrnym Smoku,
A wieczny jeleń jak znak przed nim.
Wreszcie przed nim przystań, świątynia tak daleko
na wschodzie,
Ze leżała tam, gdzie kończy się wschód.
Tam objawił się Paladine
W sadzawce gwiazd i chwały, ogłaszając,
Iż ze wszystkich wyborów najstraszliwszy przypadek Humie.
Paladine bowiem wiedział, że serce to gniazdo tęsknoty,
Że potrafimy wiecznie wędrować ku światłu,
stając się Tym, czym nigdy być nie możemy.*

Księga trzecia

Ślady na piasku

Armia Fistantilusa posuwała się na południe niczym fala, docierając do Caergoth w chwili, gdy ostatnie liście spadały z konarów drzew, a zima mocno ścisnęła kraj swą mroźną ręką.

Wojsko zatrzymały brzegi Nowego Morza. Jednak Caramon, który wiedział, że będzie musiał je przebyć, dawno kazał rozpocząć przygotowania. Przekazawszy dowodzenie nad główną częścią armii swemu bratu oraz najbardziej zaufanym ze swych podkomendnych, Caramon poprowadził grupę najlepiej wyszkolonych ludzi na brzeg Nowego Morza. Wraz z nim podążyli również wszyscy kowale, cieśle i snycerze, którzy wstąpili do armii.

Caramon założył swą kwaterę dowodzenia w Caergoth. Słyszał o tym słynnym porcie przez całe życie – swoje uprzednie życie. Trzysta lat po Kataklizmie będzie to kipiące życiem, dostatnie miasto portowe. Teraz jednak, sto lat po tym, jak ognista góra spadła na Krynn, Caergoth było zagubionym miastem. Będące niegdyś małą, rolniczą osadą pośrodku Równiny Solamnijskiej Caergoth nadal nie umiało poradzić sobie z nagłym pojawieniem się morza na swym progu.

Kiedy Caramon wyjrzał przez okno swej kwatery mieszczącej się w miejscu, gdzie miejskie drogi kończyły się – raptownie – gwałtowną stromizną urwiska, u stóp którego rozciągała się plaża, ni stąd, ni zowąd przyszło mu na myśl Tarsis. Katakliizm skradł temu miastu morze, porzucając statki na piasku niczym konające morskie ptaki, podczas gdy tu, w Caergoth, Nowe Morze wylało swe wody na niegdyś orne pola.

Caramon pomyślał z tęsknotą o tych osiadłych na mieliźnie statkach w Tarsis. W Caergoth było kilka łódek, lecz dla jego potrzeb była to niewystarczająca liczba. Wysłał więc swych ludzi setki kilometrów w górę i w dół wybrzeża z rozkazami kupienia lub zarekwirowania wszelkiego rodzaju statków nadających się do wypłynięcia w morze, wraz z załogami, jeśli to możliwe. Przypływali nimi do Caergoth, gdzie kowale i rzemieślnicy przerabiali je tak, by mogły unieść jak największy ładunek podczas krótkiej przeprawy przez cieśninę Schallsea do Abanasinii.

Każdego dnia Caramon otrzymywał raporty o rozbudowie wojsk krasnoludzkich – o tym, jak umacnia się Pax Tharkas, jak krasnoludowie przywieźli niewolniczą siłę roboczą (krasnoludów żlebowych), by pracowali dniem i nocą w kopalniach i kuźniach przy wyrobie broni oraz zbroi, tudzież o tym, jak wszystko to wozi się do Thorbardinu i zabiera do wnętrza góry.

Otrzymywał również doniesienia od posłańców krasnoludów podgórskich oraz mieszkańców równin. Słyszał o wielkim zgromadzeniu plemion Abanasinii, które odłożyły krwawe waśnie, by

walczyć wspólnie o przetrwanie. Dowiedział się o przygotowaniach trwających wśród krasnoludów podgórskich, którzy również wykuwali broń, wykorzystując tę samą niewolniczą siłę roboczą, krasnoludów źlebowych, co ich kuzyni, krasnoludowie górscy.

Dyskretnie wyciągnął nawet rękę do elfów z Qualinesti w celu porozumienia. Wzbudziło to w Caramonie bardzo dziwne uczucie, osobą, do której wysłał orędzie, był bowiem nikt inny, jak Solostaran, Mówca Słońce, który dopiero co – kilka tygodni temu – zmarł w czasach Caramona. Usłyszawszy o tej próbie zaangażowania elfów w wojnę, Raistlin parsknął pogardliwie, wiedząc aż za dobrze, jaka nadejdzie odpowiedź. Mimo to w najciemniejszych godzinach nocy arcymag pielęgnował w skrytości ducha nadzieję, że tym razem może stać się inaczej...

Nie stało się.

Ludzie Caramona nawet nie mieli okazji porozmawiać z Solostaranem. Jeszcze nim zsiadli z koni, w powietrzu zaświszczały strzały i z głuchym stukiem wbiły się w ziemię, tworząc morderczy krąg wokół każdego z nich. Kiedy spojrzeli w osiczyne, ujrzeli dosłownie setki łuczników, z których każdy trzymał napięty łuk. Nie padły żadne słowa. Posłańcy odjechali, wioząc Caramonowi jako odpowiedź elfią strzałę.

Prawdę powiedziawszy, sama wojna zaczęła wywierać na Caramonie niesamowite wrażenie. Kiedy poskładał wszystko to, czego dowiedział się z rozmów Raistlina i Crysanii, nagle zdał sobie sprawę, że wszystko, co robi, zostało już kiedyś zrobione. Myśl o tym była dla niego niemal równie ponura, co dla jego brata, choć z absolutnie innych powodów.

– Czuję się tak, jakby znów mi zakuto na szyi tę żelazną obrozę, którą nosiłem w Istar – mruknął do siebie Caramon, siedząc pewnej nocy w gospodzie w Caergoth, którą zajął na swą kwaterę dowodzenia. – Znów jestem niewolnikiem jak wówczas. Tylko tym razem jest gorzej, bo nawet kiedy byłem niewolnikiem, przynajmniej mogłem swobodnie decydować o tym, czy zaczerpnę tchu tego dnia, czy nie. To znaczy, że gdybym chciał wówczas zginąć, mogłem rzucić się na swój miecz i umrzeć! Teraz wygląda na to, że nie dano mi nawet takiego wyboru.

Caramon nie mógł tego pojąć. Było to dziwne i przerażające. Zastanawiał się nad tym głęboko przez wiele nocy i wiedział, że nigdy tego nie zrozumie. Chciałby porozmawiać o tym ze swym bratem, lecz Raistlin został wraz z armią w głębi ładu w obozie, a nawet gdyby byli razem, Caramon był pewien, że jego bliźniak nie zgodziłby się na rozmowę o tym.

Tymczasem Raistlin z każdym dniem odzyskiwał siły. Po rzuceniu czarów, które strawiły wymarłą wioskę niczym buchający płomieniami stos pogrzebowy, arcymag przez dwa dni leżał martwy dla świata. Po zbudzeniu się z gorączkowego snu oświadczył, że jest głodny. W ciągu następnych kilku dni zjadł więcej stałego pokarmu, niż był w stanie przyjąć od miesięcy. Kaszel ustąpił. Czarodziej szybko odzyskał siły i nabrał ciała.

Nadal jednak dręczyły go koszmary, których nie mogły przepędzić nawet najsilniejsze mikstury usypiające.

Dniem i nocą Raistlin głowił się nad swym problemem. Gdyby tylko poznał fatalny błąd Fistantilusa, byłby w stanie go poprawić!

Przychodziły mu do głowy szalone plany. Arcymag nawet przemyślał nad wybraniem się w przyszłość do swych własnych czasów, by dokonać badań, ale niemal natychmiast porzucił ten pomysł. Jeśli spopalenie osady rzuciło go w otchłań wycieńczenia na dwa dni, zakłęcie podróży w czasie okaże się jeszcze bardziej męczące. A choć w teraźniejszości może minąć dzień lub dwa, w czasie których będzie wracał do zdrowia, w przeszłości przemkną wieki. Na koniec, jeśli nawet uda mu się wrócić do przeszłości, nie będzie miał siły potrzebnej mu do walki z Królową Ciemności.

I wtedy właśnie, gdy już prawie poddał się w rozpacz, znalazł odpowiedź...

Rozdział I

Raistlin uniósł klapę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Wartownik pełniący służbę drgnął i przestąpił z nogi na nogę, czując się nieswojo. Pojawienie się arcymaga zawsze wzbudzało lęk nawet wśród jego osobistej straży. Nikt nigdy nie słyszał jego zbliżania się. Zawsze wydawał się pojawiać znikąd. Pierwszą oznaką jego obecności był palący dotyk palców na nagim ramieniu, cichy szept lub szelest czarnych szat.

Na namiot czarodzieja spoglądano z podziwem i obawą, choć nikt nigdy nie widział, żeby cokolwiek osobliwego z niego emanowało. Oczywiście wielu go obserwowało szczególnie dzieci, które potajemnie żywiły nadzieję zobaczenia, jak jakiś okropny potwór wyrzywa się spod kontroli arcymaga i szaleje po obozowisku, pożerając wszystkich znajdujących się w zasięgu oka, póki to one nie zdołają obłaskawić go kawałkiem piernika.

Nigdy jednakże nic podobnego się nie stało. Arcymag starannie dbał o swe siły i oszczędzał je. Dzisiejsza noc będzie inna, pomyślał Raistlin. Nic jednakże nie można na to poradzić. Westchnął, a na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– Straż – szepnął.

– T-tak, panie? – wyjąkał zakłopotany wartownik. Arcymag rzadko odzywał się do kogokolwiek, a co dopiero do pospolitego strażnika.

– Gdzie jest pani Crysania?

Wartownik nie mógł powstrzymać się od pogardliwego skrzywienia warg, gdy odpowiadał, że „czarownica” jest zapewne w namiocie generała Caramona, dokąd udała się na spoczynek.

– Czy mam kogoś po nią posłać, panie? – spytał Raistlina z taką wyraźną niechęcią, że mag nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, choć ukrył go w cieniu czarnego kaptura.

– Nie – odparł Raistlin, kiwając głową, jakby był zadowolony z tej informacji. – A mój brat, mieliście od niego jakieś wieści? Kiedy spodziewany jest jego powrót?

– Generał Caramon przysłał wiadomość, że przybędzie jutro, panie – ciągnął wartownik zdumionym tonem, pewny, że mag już o tym wiedział. – Mamy tu oczekiwać na jego przybycie i jednocześnie wyglądać taboru z prowiantem, który ma nas dogonić. Pierwsze wozy przyjechały dziś po południu, panie. – Nagle wartownikowi przyszło coś na myśl. – Jeśli... jeśli nosi się pan z zamiarem zmiany tych rozkazów, powinienem zawołać kapitana straży...

– Nie, nic podobnego – odparł uspokajająco Raistlin. – Chciałem jedynie upewnić się, że nikt mi tej nocy nie przeszkodzi, żadna sprawa ani żadna osoba. Czy to rozumiałe, ee... jak ci na imię?

– M-Michael, panie – odpowiedział strażnik. – Oczywiście, panie. Jeśli takie są twe rozkazy, będę im posłuszny.

– Dobrze – rzekł Raistlin. Arcymag milczał przez chwilę, spoglądając w głąb nocy, która

była chłodna, lecz jasna od światła Lunitari i gwiazd. Malejący Solinari był zaledwie srebrnym skrawkiem na niebie. Ważniejszy dla oczu Raistlina był księżyc widoczny tylko dla niego. Nuitari, czarny księżyc, był w pełni niczym mroczna dziura wśród gwiazd.

Raistlin zbliżył się o krok do strażnika. Odsunawszy lekko kaptur z twarzy, pozwolił, by blask czerwonego księżyca padł na jego oczy. Zaskoczony wartownik mimowolnie cofnął się, lecz surowe szkolenie rycerza solamnijskiego kazało mu pozostać w tej pozycji.

Raistlin wyczuł, jak mężczyzna sztywnieje. Odnotował tę reakcję i znów się uśmiechnął. Uniósł smukłą dłoń i położył ją na opancerzonej piersi strażnika.

– Pod żadnym pozorem nikomu nie wolno wejść do mojego namiotu – powtórzył arcymag cichym, syczącym szeptem, którego potrafił używać tak skutecznie. – Bez względu na to, co się stanie! Nikomu! Ani pani Crysanii, ani mojemu bratu, ani tobie... nikomu!

– Ro-rozumiem, panie – wyjąkał Michael.

– Możesz dzisiejszej nocy usłyszeć albo zobaczyć dziwne rzeczy – kontynuował Raistlin, wpijając się w wartownika swymi hipnotyzującymi oczyma. – Nie zważaj na to. Każdy, kto wejdzie do tego namiotu, narazi na niebezpieczeństwo swoje życie... i moje!

– T-tak, panie! – rzekł Michael i przełknął ślinę. Strużka potu pociekła mu po twarzy, choć noc była wyjątkowo zimna jak na jesień.

– Jesteś, albo raczej byłeś, rycerzem solamnijskim? spytał nagle Raistlin.

Michael wyglądał, jakby poczuł się nieswojo i uciekł oczami. Otworzył usta, lecz Raistlin potrząsnął głową. – Nieważne. Nie musisz mi mówić. Chociaż zgoliłeś wąsy, zgaduję to po twój twarzy. Widzisz, znałem kiedyś rycerza. Przeto przysięgnij mi na kodeks i regułę, że zrobisz to, co ci każe.

– Przysięgam na kodeks i... regułę... – wyszeptał Michael.

Mag pokiwał głową, najwyraźniej był usatysfakcjonowany, po czym odwrócił się, by wejść do namiotu. Michael uwolniony od spojrzenia oczu, w których widział jedynie swoje odbicie, wrócił na swój posterunek, dygocząc pod ciężką, wełnianą peleryną. W ostatniej jednakże chwili Raistlin zatrzymał się z cichym szelestem szat.

– Panie rycerzu – szepnął. Michael odwrócił się.

– Jeśli ktokolwiek wejdzie do tego namiotu – oświadczył mag łagodnym, miłym głosem – i zakłóci moje czary, i jeśli ja to przeżyję, spodziewam się znaleźć jedynie twoje zwłoki leżące na ziemi. To jedyne wytłumaczenie niepowodzenia, jakie przyjmę.

– Tak, panie – rzekł bardziej stanowczo Michael, choć nie podnosił głosu. – Est Sularas oth Mithas. Mój Honor to Moje Życie.

– Tak. – Raistlin wzruszył ramionami. – Tak to się z reguły kończy.

Arcymag wszedł do namiotu, zostawiając Michaela, który stał w ciemności i oczekiwał na nowi-bogowie-wiedzą-co mającego się wydarzyć w namiocie za jego plecami. Żałował, że jego

kuzyn Garic nie dzieli z nim tego dziwnego i odstręczającego obowiązku. Garic był jednakże z Caramonem. Michael zgarbił się, otulił mocniej peleryną i z tęsknotą spojrzął na obóz. Tam były ogniska, grzane wino z korzeniami, dobrzy kompani, stamtąd też dochodziły odgłosy śmiechu. Tu wszystko spowijała gęsta, usiana gwiazdami ciemność o czerwonym zabarwieniu. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał Michael, było pobrzękiwanie jego własnej zbroi, gdy chwyciły go gwałtowne dreszcze.

Przebywszy długość namiotu, Raistlin podszedł do dużej, drewnianej skrzyni, która stała na podłodze obok jego łóżka. Rzeźbiony w magiczne runy kufer był jedyną – obok laski Magiusa – własnością Raistlina, której mag nie pozwalał nikomu dotykać. Nikt zresztą nawet tego nie próbował. Z pewnością nie po wypowiedzi jednego z wartowników, który przez pomyłkę spróbował go podnieść.

Raistlin nie rzekł ani słowa, jedynie przyglądał się, jak strażnik wypuścił go z jękiem.

Skrzynia była przeraźliwie zimna w dotyku, opowiadał drżącym głosem żołnierz swym przyjaciółom tego wieczoru przy ognisku. Jakby tego było mało, ogarnęła go tak straszna zgroza, że to cud, iż nie postradał zmysłów.

Od tego czasu wyłącznie Raistlin przenosił ową skrzynię, choć w jaki sposób, nikt nie umiał powiedzieć. Zawsze znajdowała się w jego namiocie, aczkolwiek nikt nie przypominał sobie, żeby ją widział na którymś z juczych koni.

Po uniesieniu wieka Raistlin bez pośpiechu przyjrzał się zawartości – księgom zaklęć w niebieskich jak noc okładkach, słojom, butelkom i woreczkom ze składnikami zaklęć, swym własnym, oprawionym na czarno księgom czarów, kilku zwojom i paru czarnym szatom złożonym na dnie kufra. Nie było tam żadnych magicznych pierścieni ani wisiorków, jakie można znaleźć u pomniejszych magów. Raistlin gardził takimi drobiazgami, uważając je za odpowiednie jedynie dla mięczaków.

Pośpiesznie omiótł spojrzeniem wszystkie przedmioty, łącznie zjedną cienką, zaczytaną książką, która mogłaby kazać przypadkowemu obserwatorowi zatrzymać się i zastanowić, dlaczego tak pospolitą rzecz trzyma się razem z przedmiotami o czarnoksięskim znaczeniu. Tytuł – wypisany krzykliwymi literami w celu przyciągnięcia uwagi kupca – brzmiał: Techniki iluzjonistyczne mające na celu zdumiewać i budzić zachwyty! Poniżej napisano: Zadziw swych przyjaciół! Oszukaj łatwowiernych! Może było więcej, lecz resztę wytarły dawno temu pełne zapału i czułości młodzieńcze dłonie.

Minąwszy tę książkę, która nawet teraz przywołała blady uśmiech wspomnienia na wąskie wargi maga, Raistlin sięgnął między ubrania, znalazł pudełeczko i wydobył je ze skrzyni. Jego również strzegły runy wyrzeźbione na powierzchni. Wymamrotawszy magiczne słowa, by zniweczyć ich działanie, czarodziej z czcią otworzył pudełeczko. Wewnątrz znajdowała się tylko jedna rzecz – ozdobny stojak ze srebra. Raistlin ostrożnie wydobył go, po czym wstał i zaniósł

przedmiot na stół, który umieścił pośrodku namiotu.

Siadając na krześle, mag sięgnął do jednej z tajnych kieszeni w swych szatach i wyjął niewielki, kryształowy przedmiot. Iskrzył się on barwami i na pierwszy rzut oka nie wyglądał bardziej złowieszczo niż dziecinna kulka służąca do zabawy. Gdyby jednak przyjrzeć mu się z bliska, można było zobaczyć, że uwięzione w nim kolory są żywe. Bez przerwy poruszały się i wirowały, jakby chciały uciec.

Raistlin położył kulkę na stojaku. Pozostawiona tam wyglądała śmiesznie, była bowiem o wiele za mała. Wtem niespodziewanie, jak zawsze, zaczęła idealnie pasować. Kulka urosła, stojak się skurczył... być może sam Raistlin się zmniejszył, teraz bowiem mag odnosił wrażenie, że to on jest śmieszny.

Było to normalne uczucie, do którego już się przyzwyczaił, świadom, że smocza kula – tym była bowiem owa roziskrzona, wirująca kolorami, kryształowa sfera – zawsze starała się postawić swego użytkownika w niekorzystnym położeniu. Jednakże dawno temu (nie – w przyszłości!) Raistlin opanował smoczą kulę. Nauczył się władać esencją smoków, która w niej zamieszkiwała.

Rozluźniwszy ciało, Raistlin zamknął oczy i poddał się swej magii. Wyciągnął ręce, położył palce na zimnym kryształ smoczey kuli i wypowiedział prastare słowa: – Ast bilak moiparalanf Suh akvlar tantangusar. Chłód kuli zaczął rozchodzić się poprzez jego palce, przeszywając go bólem aż do samych kości. Zaciskając zęby, Raistlin powtórzył słowa: – Ast bilak moiparalanf Suh akvlar tantangusar. Obracające się kolory wewnątrz kuli zaprzestały leniwego krążenia i zaczęły wirować jak szalone. Raistlin spoglądał w głąb tego oślepiającego wiru, walcząc z napadem zawrotów głowy i trzymając palce mocno przyciśnięte do sfery.

Powoli wyszeptał znów te same słowa.

Barwy przestały krążyć i w środku zapaliło się światło. Raistlin mrugnął oczami, a potem zmarszczył czoło. Blask nie powinien być ani czarny, ani biały, powinien mieć wszystkie kolory, a zarazem żadnego, co symbolizowało mieszaninę dobra, zła i neutralności, jaka uwięziła esencję smoków we wnętrzu kuli. Tak było zawsze, od pierwszej chwili, gdy zajrzał do jej wnętrza i stoczył bój o panowanie nad nią.

Jednakże światło, które teraz zobaczył, choć było bardzo podobne do widzianego wcześniej, wydawało się otoczone pierścieniami głębokich cieni. Przyjrzał mu się uważnie i trzeźwo, przeganiając wszelkie wytwory wyobraźni. Jego grymas pogłębił się. Na krawędziach rzeczywiście czały się cienie... cienie... skrzydeł!

Z jasności wyłoniły się dwie dłonie. Raistlin złapał je i jęknął.

Ręce pociągnęły go z taką siłą, że zupełnie nie przygotowany na to Raistlin prawie stracił panowanie. Dopiero kiedy poczuł, że dłonie w przyćmionym blasku wciągają go do wnętrza kuli, wyteżył swą siłę woli i szarpnął ręce z powrotem ku sobie.

– Co to ma znaczyć? – spytał srogo Raistlin. – Dlaczego sprzeciwiasz mi się? Dawno temu zostałem twoim panem.

Ona woła... Wota i musimy być posłuszne!

– Któż to woła, kto jest ważniejszy od mnie? – zapytał szyderczo Raistlin. Nagle krew zastygła mu żyłach. Zdjął go chłód większy od zimna kuli.

Nasza Królowa! Słyszemy jej głos, który wędruje wśród naszych marzeń i zakłóca nasz sen. Chodź, panie, zabierzemy cię! Chodź szybko!

Królowa! Raistlin wzdrygnął się mimowolnie, nie będąc w stanie się opanować. Dłonie wyczuły jego osłabienie i ponownie zaczęły go ciągnąć. Raistlin ze złością ścisnął je mocniej i przerwał na chwilę wysiłki, by spróbować poskładać myśli, które kłębiły mu się w głowie równie obłąkańczo, co kolory wewnątrz sfery.

Królowa! Oczywiście, powinien był to przewidzieć. Wkroczyła do tego świata – częściowo – i teraz krąży wśród złych smoków. Wypędzone dawno temu z Krynnu dzięki poświęceniu solamnijskiego rycerza Humy smoki, zarówno dobre, jak i te złe, spały w tajemnych czeluściach.

Nie przerywając snu dobrych smoków, Królowa Ciemności, Takhisis, Pięciogłowy Smok, budziła te złe i gromadziła wokół siebie podczas walki o zdobycie władzy nad światem.

Smocza kula, choć złożona z esencji wszystkich smoków – dobrych, złych i neutralnych – oczywiście musiała zareagować silnie na rozkazy Królowej, szczególnie że w chwili obecnej – górą była strona zła, wzmocniona jeszcze przez charakter jej właściciela.

Czy te cienie, które widzę, są skrzydłami smoków czy cieniami mej własnej duszy?, zastanawiał się Raistlin, spoglądając w kulę.

Nie miał jednakże czasu na rozważania. Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę tak szybko, że pomiędzy zaczerpnięciem jednego oddechu a wypuszczeniem go arcymag dostrzegł grożące mu wielkie niebezpieczeństwo. Niech tylko straci kontrolę na moment, a Takhisis upomni się o niego.

– Nie, moja Królowo – szepnął, mocno trzymając dłonie wewnątrz kuli. – Nie, nie pójdzie ci tak łatwo.

Do sfery zwrócił się cicho, lecz stanowczo: – Wciąż jestem twym władcą. To ja cię uratowałem przed Silvanesti i Loracem, obłąkanym królem elfów. To ja cię wyniosłem bezpiecznie z Krwawego Morza Istar. Jestem Rai... – Zawahał się, przełknął nagłą gorycz w ustach, po czym wycedził przez zaciśnięte zęby: – Jestem... Fistantilus, Władca Przeszłości i Teraźniejszości, i rozkazuję ci być mi posłuszną!

Blask kuli przygasł. Raistlin poczuł, że trzymające go dłonie zdrząły i zaczęły mu się wymykać. Ogarnęła go trwoga i złość. Natychmiast jednak stłumił te uczucia, nie Wypuszczając rąk z silnego uścisku. Drzenie ustąpiło, dłonie rozluźniły się.

Będziemy ci posłuszne, panie.

Raistlin nie ośmielił się nawet westchnąć z ulgą.

– Dobrze – rzekł surowo niczym ojciec przemawiający do karconego dziecka (Jakże jednak niebezpiecznego dziecka!, pomyślał). Chłodno ciągnął dalej – Muszę skontaktować się z moim uczniem w Wieży Wielkiej Magii w Palanthas. Słuchaj mego rozkazu. Zanieś mój głos przez eter czasu. Zanieś me słowa Dalamarowi.

Wypowiedz słowa, panie. On usłyszy je tak, jak słyszy bicie własnego serca, i tak samo ty usłyszysz jego odpowiedź.

Raistlin skinął głową...

Rozdział II

Dalamar zatrzasnął księgę czarów i zacisnął pięść z frustracji. Był pewien, że wszystko czyni prawidłowo, wymawia słowa z właściwym akcentem i powtarza zaklęcie przepisową liczbę razy. Składniki były takie, jakich wymagano. Widział, jak Raistlin rzuca ten czar setki razy. Niemniej jednak on tego nie potrafił.

Znużonym gestem skrył twarz w dłoniach, zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz shalafiego. Słyszał cichy głos Raistlina i starał się przypomnieć sobie jego dokładny ton i rytm, starał się zgadnąć, w czym może tkwić błąd.

Nie pomogło. Wszystko wydawało się takie same! Cóż, pomyślał Dalamar i westchnął znużony, po prostu muszę poczekać do jego powrotu.

Wstając, czarny elf wypowiedział magiczne słowo i czarodziejskie stałe światło, które rzucił na kryształową kulę stojącą na biurku w laboratorium Raistlina, zgasło. W kominku nie palił się ogień. Późnowiosenna noc w Palanthas była ciepła i piękna. Dalamar odważył się nawet otworzyć trochę okno.

Raistlin zawsze był delikatnego zdrowia. Nie cierpiał świeżego powietrza, wolał siedzieć w swym gabinecie otulony ciepłem i wonią róż, korzeni oraz rozkładu. Zazwyczaj Dalamarowi to nie przeszkadzało. Bywały jednakże takie chwile, szczególnie na wiosnę, gdy jego elfia dusza tęskniła za leśnym domem, który opuścił na zawsze.

Stojąc w oknie i wdychając zapach odradzającego się życia, którego nawet groza zagajnika Shoikan nie potrafiła powstrzymać przed dotarciem do Wieży, Dalamar pozwolił sobie wrócić myślą, tylko na chwilę, do Silvanesti.

Czarny elf – taki, który został wyrzucony poza obręb światła. Takim był Dalamar dla swego ludu. Kiedy przyłapano go na noszeniu czarnych szat czarodzieja, na które żaden elf nie mógł spojrzeć bez dreszczu odrazy, tudzież praktykowaniu sztuk czarnoksięskich zakazanych osobie tak niskiego stanu i rangi, elfi panowie związali Dalamarowi ręce i nogi, zakneblowali usta i zasłonili oczy. Potem wrzucono go na wóz i zawieziono do granic królestwa.

Dla pozbawionego wzroku Dalamara ostatnimi wspomnieniami Silvanesti był zapach osiczyny, kwitnących kwiatów i żyznej gleby. Wtedy też była wiosna, przypomniał sobie.

Czy wróciłby, gdyby mógł? Czy rzuciłby to, żeby powrócić do elfiego królestwa? Czy czuł jakiś smutek, żal? Ręka Dalamara nieświadomie powędrowała ku jego piersi. Przez czarne szaty czuł rany na klatce piersiowej. Choć upłynął tydzień od chwili, gdy Raistlin dotknął go, wypalając mu pięć dziur w ciele, rany się nie zagoiły. Dalamar wiedział też z całą pewnością, że nigdy się już nie zagoją.

Zawsze, do końca swego życia, będzie czuł ten ból. Kiedykolwiek stanie nagi, ujrzy te ropiejące skazy, które nigdy nie zarosną skórą. Taką poniósł karę za zdradzenie swego shalafi.

Tak jak powiedział wielkiemu Par-Salianowi, głowie zakonu, mistrzowi Wieży Wielkiej Magii w Wayreth – i poniekąd jednocześnie mistrzowi również Dalamara, czarny elf był bowiem w rzeczywistości szpiegiem zakonu czarodziejów, którzy nie ufali Raistlinowi i obawiali się go bardziej niż jakiegokolwiek śmiertelnika w swej historii – „Nie zasłużyłem na nic więcej”.

Czy opuściłby to niebezpieczne miejsce? Wrócił do domu, do Silvanesti?

Dalamar wyglądał przez okno z zawziętym, krzywym uśmiechem, który przywodził na myśl Raistlina, jego shalafi. Niemal z ociąganiem Dalamar oderwał wzrok od spokojnego, rozgwieżdżonego nieba i przeniósł go na rzędy oprawionych na kolor nocy ksiąg zaklęć, które stały na półkach pod ścianami biblioteki. We wspomnieniach ujrzał cudowne, okropne i przepiękne, i odrażające widoki, których miał zaszczyt być świadkiem w czasie swych nauk u Raistlina. Poczł budzącą się w duszy moc, rozkosz przeważającą cierpienie.

Nie, nigdy nie wróci. Nigdy nie odejdzie...

Z zamyślenia wyrwał Dalamara dźwięk srebrnego dzwoneczka. Zadzwoił tylko raz, wydając słodki, cichy dźwięk. Jednakże na żywych (i umarłych) w Wieży wywarł on taki skutek, jak przeraźliwy głos gongu. Ktoś próbował wejść! Ktoś przebył straszny zagajnik Shoikan i stał u samych wrót Wieży!

Po przywołaniu na myśl wspomnienia o Par-Salianie Dalamarowi nagle stanął w oczach niemiły obraz potężnego, odzianego na biało czarodzieja, który staje na jego progu. Słyszał też w myślach to, co rzekł radzie zaledwie kilka dni wcześniej: „Gdyby którykolwiek z was próbował wejść do wieży podczas jego nieobecności, zabiłbym go”.

Dalamar znikł z biblioteki na skrzydłach czaru, by pojawić się przy wejściu do wieży w czasie krótszym od zaczerpnienia tchu.

Jednakże to nie konklawe ciskających pioruny z oczu czarodziejów zastał na progu. Była to osoba odziana w niebieską zbroję ze smoczych łusek i ohydną, rogatą maskę smoczego władcy. W okrytej rękawicą dłoni trzymała czarny kamień – Dalamar zobaczył, że był to klejnot nocy a za plecami postaci wyczuwał, choć nie mógł zobaczyć, obecność straszliwej siły – upiornego rycerza.

Smoczy władca użył klejnotu, by odpędzić kilku strażników wieży. Ich blade, złaknione żywej krwi oblicza były widoczne w ciemnej poświacie klejnotu. Choć Dalamar nie widział pod hełmem twarzy smoczego władcy, wyczuwał żar jej gniewu.

– Pani Kitiaro – rzekł z powagą Dalamar i skłonił się.

– Wybacz to nieuprzejme powitanie. Gdybyś tylko dała nam znać, że przybywasz...

Zrywając z głowy hełm, Kitiara posłała Dalamarowi piorunujące spojrzenie zimnych, brązowych oczu, które gwałtownie przypomniały uczniowi o jej pokrewieństwie z shalafi.

– ...zapewne zgotowałbyś mi jeszcze ciekawsze przyjęcie! – warknęła, gniewnie potrząsając ciemnymi kędziorami. – Chodzę tam, gdzie mam ochotę, a szczególnie dotyczy to wizyt

u mojego brata! – Jej głos dosłownie trząsł się od gniewu. – Przeszłam między tymi twoimi przeklętymi drzewami, a potem zostaję napadnięta u jego frontowych drzwi! – Sięgnęła po miecz. Zrobiła krok naprzód.

– Na bogów, powinnam dać ci nauczkę, ty elfia szmato...

– Przepraszam raz jeszcze – rzekł spokojnie Dalamar, lecz w jego skośnych oczach pojawił się błysk, który nakazał Kitiarze powstrzymać swe nieroztropne zapędy.

Jak większość wojowników, Kitiara miała skłonność to traktowania czarodziejów jak słabeuszy, którzy spędzali czas na czytaniu książek, zamiast wykorzystać go na szermierkę zimną stalą. Och, niewątpliwie potrafili uzyskać pewne efektowne rezultaty, lecz w razie potrzeby wolałyby zaufać swemu mieczowi i swym umiejętnościom niż osobliwym słowom i nietoperzowemu guano.

Tak widziała w myślach Raistlina, swego przyrodniego brata, i tak wyobrażała sobie jego ucznia – dodając przeciwko Dalamarowi jeszcze i ten fakt, że był tylko elfem, a ta rasa znana była ze słabości.

Pod jednym względem Kitiara różniła się jednakże od większości wojowników – i dlatego też przeżyła wszystkich swych przeciwników. Umiała ocenić wroga. Jedno spojrzenie na zimne oczy Dalamara i jego spokojną postawę w obliczu jej gniewu wystarczyło, by Kitiara zastanowiła się, czy nie spotkała nieprzyjaciela godnego siebie.

Nie rozumiała go, jeszcze nie – w żadnym wypadku. Zauważyła jednakże i rozpoznała zagrożenie, jakie stanowił ten mężczyzna. W tym samym czasie, gdy zapamiętywała sobie, by strzec się tego niebezpieczeństwa oraz jeśli to możliwe wykorzystać je, poczuła, że coś ją w tym mężczyźnie pociąga. Fakt, że groźbie towarzyszyły tak przystojne rysy twarzy (kiedy się nad tym zastanowiła, wcale nie wyglądał na elfa) i silne, muskularne ciało (którego kształty godne podziwu podkreślały czarne szaty) sprawił, że nagle uświadomiła sobie, iż może więcej zdziałać przyjaznym zachowaniem niż zastraszaniem. Z pewnością może się to okazać dużo zabawniejsze, pomyślała, zatrzymując wzrok na klatce piersiowej elfa, gdzie czarne szaty rozsunęły się trochę, odsłaniając opaloną skórę.

Wsunąwszy ponownie miecz do pochwy, Kitiara zrobiła kolejny krok naprzód. Teraz błysk oręża zastąpił błysk jej oczu.

– Wybacz mi, Dalamarze. Tak masz na imię, nieprawdaż? – Jej groźny grymas przeszedł w ten krzywy, uroczy uśmiech, który podbił tak wiele serc. – Ten przekłety zagajnik wytrącił mnie z równowagi. Masz rację. Powinnam była zawiadomić brata o swym przybyciu, lecz zadziałałam pod wpływem impulsu. – Stała teraz blisko Dalamara, bardzo blisko. Spoglądając mu w twarz ukrytą w cieniu kaptura, dodała: – Ja... często działałam pod wpływem impulsu.

Dalamar gestem odprawił strażników. Potem młody elf przyjrzał się stojącej przed nim kobiecie z uśmiechem, którego urok mógł iść w zawody z jej własnym.

Widząc jego uśmiech, Kitiara wyciągnęła dłoń w rękawicy. – Wybaczasz mi?

Dalamar uśmiechnął się jeszcze szerzej, lecz rzekł tylko: – Zdejm rękawicę, pani.

Kitiara drgnęła i na chwilę jej oczy rozszerzyły się groźnie. Dalamar wciąż się uśmiechał. Wzruszywszy ramionami, Kitiara szarpnęła za każdy z palców rękawicy po kolei i obnażyła dłoń.

– Proszę – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała pogarda. – Widzisz, że nie ukrywam broni.

– Och, o tym już wiem – odparł Dalamar, biorąc ją za rękę. Nie spuszczać z niej oczu, czarny elf podniósł jej dłoń do warg i złożył na niej przedłużający się pocałunek. – Czyżbyś chciała, bym odmówił sobie tej przyjemności?

Jego wargi były ciepłe, a dłonie mocne i Kitiara poczuła, jak od jego dotyku krew zaczyna w niej żywiej krążyć. Poznała jednakże po jego oczach, że odgadł jej grę, ale i jemu również nie była ona obca. Jej szacunek dla niego wzrósł, podobnie jak i ostrożność. Prawdziwie wróg godny jej uwagi – jej niepodzielnej uwagi.

Wysunąwszy dłoń z jego uścisku, Kitiara schowała ją za plecami żartobliwym, kobiecym gestem, który dziwnie nie pasował do tej zbroi i męskiej postury wojownika. Był to gest, który w zamierzeniu miał zarazem pociągać i zbijać z tropu i po lekko zaczerwienionej twarzy elfa Kitiara poznała, że przyniósł zamierzony efekt.

– Być może pod zbroją ukryłam jakąś broń, której kiedyś powinieneś poszukać – rzekła z drwiącym uśmiechem.

– Wręcz przeciwnie – odparł Dalamar, chowając dłonie w swych czarnych szatach – twój oręż widoczny jest gołym okiem. Gdybym miał cię zrewidować, pani, poszukałbym tego, czego broni twoja zbroja, i tego, co choć wielu mężczyzn przeniknęło, żaden do tej pory nie dotknął. Elfie oczy śmiały się.

Kitiara wstrzymała oddech. Kuszona tymi słowami i pamiętająca wciąż dotyk tych ciepłych warg na swej skórze, zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, podsuwając mężczyźnie twarz.

Spokojnie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, Dalamar wykonał zgrabny ruch w bok, lekko odsuwając się od Kitiary. Kit spodziewała się, że zostanie pochwycona w objęcia mężczyzny, a zamiast tego straciła równowagę. Zachwiała się niezdarnie.

Odzyskawszy z kocią zwinnością równowagę, odwróciła się gwałtownie ku niemu z twarzą zaczerwienioną z zażenowania i wściekłości. Kitiara zabijała mężczyzn z bardziej błahego powodu niż takie zakpienie sobie z niej. Z zakłopotaniem jednakże spostrzegła, że on najwyraźniej zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co uczynił. A może jednak? Jego oblicze przezornie nie wyrażało żadnych uczuć. Mówił o jej bracie. Nie, zrobił to celowo. Zapłaci za to...

Kit знаła teraz swego przeciwnika, pochwałała jego umiejętności. Jak zwykle nie traciła czasu na czynienie sobie wyrzutów z powodu popełnienia błędu. Odśloniła się, odniosła ranę. Teraz była przygotowana.

– ...głęboko żałuję, że shalafi jest nieobecny – mówił Dalamar. – Jestem pewien, że twój brat bardzo się zmartwi, słysząc, że się z tobą rozminął.

– Nie ma go tu? – spytała natarczywie Kit, natychmiast nadstawiając ucha. – A cóż to, gdzie on jest? Gdzie miałby pójść?

– Jestem pewien, że ci powiedział – rzekł Dalamar, udając zaskoczonego. – Cofnął się w przeszłość, by szukać mądrości Fistantilusa, a stamtąd, by odkryć portal, przez który...

– Chcesz powiedzieć, że mimo wszystko wybrał się! Bez kapłanki? – Nagle Kit przypomniała sobie, że nikt nie miał wiedzieć o tym, że wysłała lorda Sotha, by uśmiercił Crysanię w celu wybicia bratu z głowy tego obłąkańczego pomysłu prowokowania Królowej Ciemności. Przygryzając wargę, obejrzała się za siebie na upiornego rycerza.

Dalamar śledził jej wzrok, uśmiechając się i widząc każdą myśl ukrytą pod tymi pięknymi, kędzierzawymi włosami. – Och, więc wiesz o napaści na panią Crysanię? – spytał niewinnie.

Kit spojrzała na niego wściekle. – Do licha, doskonale wiesz, że wiem o napaści! Tak samo jak mój brat. Nawet jeśli jest głupcem, nie jest idiotą.

Odwróciła się na pięcie. – Powiedziałeś mi, że ta kobieta nie żyje!

– Bo tak było – odezwał się upiorny rycerz, lord Soth, który wyłonił się z mroku i stanął przy niej. Pomarańczowe oczy zabłysły w jego niewidzialnych oczodołach. – Żaden człowiek nie może przeżyć mego ataku. – Spojrzenie pomarańczowych oczu przeniosło się na czarnego elfa. – I twój mistrz nie mógł jej ocalić.

– Nie – przyznał Dalamar – lecz jej mistrz mógł i to uczynił. Paladine rzucił przeciwzakęcie na swą kapłankę, zabierając jej duszę do siebie, choć zostawił jej cielesną powłokę. Bliźniaczy brat shalafiego, twój przyrodni brat, Caramon, o pani – tu Dalamar skłonił się rozjuszony Kitiarze – zabrał tę kobietę do Wieży Najwyższej Magii, gdzie czarodzieje odesłali ją w przeszłość do jedyne go kapłana wystarczająco potężnego, by ją ocalić, do króla-kapłana Istar.

– Imbecyle! – warknęła Kitiara, purpurowiejąc na twarzy. – Wystali ją w przeszłość do niego! Właśnie tego pragnął Raistlin!

– Oni wiedzieli o tym – rzekł cicho Dalamar. – Powiedziałem im...

– Ty im powiedziałeś? – Kitiarze aż zapało dech.

– Są pewne kwestie, które powinienem ci wyjaśnić oświadczył Dalamar. – To może trochę potrwać, więc przynajmniej rozgościmy się. Czy zechcesz udać się do moich komnat?

Podał jej ramię. Kitiara zawahała się, a potem położyła dłoń na jego przedramieniu. Elf chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zaskoczona Kitiara chciała się odsunąć, lecz nie próbowała zbyt mocno. Dalamar trzymał ją w silnym i stanowczym uścisku.

– Ażeby zakęcie przetransportowało nas – rzekł chłodno – musisz stać jak najbliżej mnie.

– Jestem w stanie iść pieszo – odparła Kit. – Nie przepadam za czarami!

Jednakże kiedy mówiła to, spojrzała mu w oczy i przylgnęła do jego twardego, muskularnego

ciała ze zmysłowym brakiem zahamowań.

– Proszę bardzo. – Dalamar wzruszył ramionami i nagle znikł.

Kiedy zaskoczona Kit rozejrzała się, usłyszała jego głos: – W górę po schodach, pani. Po pięćset trzydziestym dziewiątym stopniu skręć w lewo.

– Jak widzisz więc – rzekł Dalamar – mnie zależy na tym w takim samym stopniu, co tobie. Zostałem wysłany przez konklawe wszystkich trzech zakonów: Czarnych, Białych i Czerwonych, żeby zapobiec temu zatrważającemu wydarzeniu.

Oboje wypoczywali w urządzonych z przepychem prywatnych pokojach czarnego elfa w Wieży. Resztki eleganckiego posiłku zostały zgarnięte wdzięcznym gestem dłoni elfa. Teraz oboje siedzieli przy ogniu, który tej wiosennej nocy został zapalony raczej dla światła niż ciepła. Tańczące płomienie zdawały się bardziej sprzyjać konwersacji...

– Więc dlaczego nie powstrzymałeś go? – zapytała ze złością Kit, odstawiając z przenikliwym brzękiem złoty puchar. – Co było w tym trudnego? – Wykonała ruch dłonią i do tego gestu dodała słowa: – Nóż w plecy. Szybko, prosto. – Spojrzawszy z pogardą na Dalamara, szdyziła: – A może wy, magowie, jesteście ponad to?

– Nie ponad to – rzekł Dalamar, przyglądając się uważnie Kitiarze. – Istnieją subtelniejsze metody, jakich my, Czarne Szaty, zwykle używamy, by pozbyć się swych wrogów. Jednakże nie jego, pani. Nie twojego brata.

Dalamar zdrzął lekko i z nieoczekiwanym pośpiechem wypił wino.

– Akurat! – parsknęła Kitiara.

– Nie, posłuchaj mnie i zrozum, Kitiaro – powiedział cicho Dalamar. – Ty nie znasz swojego brata. Nie znasz go, i co gorsze, nie obawiasz się go! To doprowadzi cię do zguby.

– Obawiać się go? Tego zachudzonego, kaszłającego mizeraka? Chyba nie mówisz serio... – zaczęła ze śmiechem Kitiara. Jednakże jej śmiech wkrótce ucichł. Nachyliła się do przodu. – Ty mówisz serio. Widzę to w twoich oczach!

Dalamar uśmiechnął się posepnie. – Obawiam się go tak, jak nie lękam się niczego na tym świecie, nawet śmierci. – Czarny elf złapał za szew czarnej szaty i rozdarł go, odsłaniając rany na klatce piersiowej.

Wprawiona w zdumienie Kitiara spojrzała na obrażenia, a potem na bladą twarz czarnego elfa. – Jaka broń je uczyniła? Nie pozna...

– Jego dłoń – oświadczył beznamiętnie Dalamar. To znak jego pięciu palców. Takie było jego posłanie dla Par-Saliana i konklawe, gdy polecił mi przekazać im swe pozdrowienia.

Kit widziała wiele strasznych widoków – ludzi, którym wypruwano wnętrzności na jej oczach, odcięte głowy, tortury w lochach pod górami znanymi jako Władcy Przeznaczenia. Jednakże kiedy ujrzała te jąttrzące się rany i wyobraziła sobie smukłe palce swego brata wżerające się w ciało czarnego elfa, nie mogła powstrzymać drżenia.

Siadając ponownie na swym krześle, Kit uważnie przemyślała wszystko, co usłyszała od Dalamara, i zaczęła sądzić, że być może jednak rzeczywiście nie doceniła Raistlina. Sączyła wino z pochmurną miną.

– Tak więc zamierza wejść do portalu – powiedziała do Dalamara powoli, starając się przedstawić sposób myślenia na te nowe i zaskakujące tory. – Przekroczy próg portalu z kapłanką. Znajdzie się w Otchłani. I co wtedy? Chyba wie, że nie może walczyć z Królową Ciemności na jej własnej płaszczyźnie!

– Oczywiście, że wie – oświadczył Dalamar. – Jest silny, ale tam ona jest silniejsza. Tak więc chce ją wywabić i zmusić ją do wejścia do naszego świata. Jest przekonany, że tu zdoła ją zniszczyć.

– Oszalał! – szepnęła Kitiara. Miała zaledwie tyle siły, by wymówić to słowo. – On oszalał! – Czym prędzej odstawiła kieliszek z winem, widząc, jak płyn cieknie jej po rozedrganej dłoni. – Widział ją na tej płaszczyźnie, gdy była zaledwie cieniem, kiedy zagrodzono jej drogę i nie mogła całkowicie się zjawić. Nie potrafi sobie wyobrazić, jaka będzie...!

Kitiara wstała i nerwowo przeszła po miękkim dywanie w stonowanych kolorach. Wzory przedstawiały drzewa i kwiaty tak ukochane przez elfów. Była zziębnięta, stanęła więc przy ogniu. Dalamar podszedł i szeleszcząc czarnymi szatami, stanął przy niej. Kiedy Kit, pogrążona we własnych myślach i obawach, odezwała się, wyczuła ciepło ciała stojącego obok niej elfa.

– Co zdaniem twoich magów się stanie? – spytała niespodziewanie. – Kto zwycięży, jeśli ten jego szalony plan się powiedzie? Czy on ma jakieś szansę?

Dalamar wzruszył ramionami i zbliżywszy się o krok, położył dłonie na smukłym karku Kitiary. Jego palce delikatnie pieściły jej gładką skórę. Wrażenie było rozkoszne. Kitiara zamknęła oczy i drżąc westchnęła głęboko.

– Magowie nie wiedzą – rzekł cicho Dalamar, nachylając się, by pocałować Kitiarę tuż poniżej ucha. Przeciągając się jak kotka, odgięła się do tyłu ku niemu.

– Tu byłby w swoim żywiole – ciągnął Dalamar – a Królowa byłaby osłabiona. Jednak z pewnością nie dałaby się łatwo pokonać. Niektórzy uważają, że czarnoksięska bitwa pomiędzy nimi może unicestwić świat.

Kitiara uniosła dłoń i przeczesała nią gęste, jedwabiste włosy elfa, przyciągając jego chętne wargi do swej szyi. – Ale... czy on ma jakieś szansę? – dopytywała się gardłowym szeptem.

Dalamar zatrzymał się, a potem odsunął od niej. Trzymając wciąż dłonie na jej ramionach, odwrócił Kitiarę twarzą do siebie. Kiedy spojrzał jej w oczy, zgadł, o czym myślała. – Oczywiście. Zawsze są szansę.

– A co ty zrobisz, jeśli jemu uda się wejść do portalu? – Dłonie Kitiary dotykały lekko piersi Dalamara, gdzie jej przyrodni brat zostawił swój straszliwy ślad. Jej oczy utkwione w oczach elfa pałały namiętnością, która prawie, choć niezupełnie, przysłaniała jej wyrachowany umysł.

– Mam nie dopuścić, by wrócił do tego świata – powiedział Dalamar. – Mam zablokować portal tak, by nie mógł przezeń przejść. – Jego dłoń muskała jej skrzywione, wygięte wargi.

– Jaką otrzymasz nagrodę za tak niebezpieczne zadanie? – Przywarła bliżej, swawolnie gryząc jego opuszki palców.

– Wtedy zostanę Mistrzem Wieży – odparł. – I następną głową zakonu Czarnych Szat. Dlaczego?

– Mogłabym ci pomóc – powiedziała z westchnieniem Kitiara, gładząc pierś Dalamara i jego barki, ugniatając jego ciało dłońmi jak kot łapkami. Uścisk Dalamara zacieśnił się, przyciągając ją jeszcze bliżej.

– Mogłabym pomóc – powtórzyła dzikim szeptem Kitiara. – Nie możesz walczyć z nim sam.

– Ach, moja droga – Dalamar przyjrzał jej się z wymuszonym, szyderczym uśmiechem – komu pomogłabyś... mnie czy jemu?

– A to – stwierdziła Kitiara, wsuwając dłonie przez rozdarcie w materiale czarnych szat elfa – będzie już całkowicie zależało od tego, kto jest górą!

Dalamar uśmiechnął się szerzej, a jego wargi musnęły jej podbródek. Szepnął jej do ucha: – Żebyśmy się dobrze rozumieli, o pani.

– Och, rozumiemy się – rzekła Kitiara, wzdychając z rozkoszy. – A teraz, dość o moim bracie. Chciałabym cię o coś zapytać. Od dawna mnie to prześladowało. Co czarodzieje noszą pod swymi szatami, czarny elfie?

– Bardzo niewiele – zamruczał Dalamar. – A co noszą wojowniczkę pod swymi zbrojami?

– Nic.

Kitiary już nie było.

Dalamar leżał w swym łóżu. Znajdował się na pograniczu jawy i snu. Na poduszce czuł jeszcze zapach jej włosów – perfumy i stal – osobliwa, oszałamiająca mieszanina, podobna do samej Kitiary.

Czarny elf przeciągnął się rozkosznie, szczerząc zęby w uśmiechu. Ona go zdradzi, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. A ona wiedziała, że on zabije ją bez wahania, jeśli okaże się to niezbędne do zrealizowania jego zamierzeń. Żadne z nich nie uznało tego faktu za gorzki. Prawdę powiedziawszy, dodał on ich miłosnym igraszkom szczególnej pikanterii.

Zamknawszy oczy i tonąc w półśnie, Dalamar usłyszał przez otwarte okno łopot smoczych skrzydeł rozpościerających się do odlotu. Wyobrażał sobie, jak ona siedzi na swym niebieskim smoku, w smoczym hełmie połyskującym w blasku księżyca...

Dalamarze!

Czarny elf zerwał się z łóżka. Był już zupełnie przebudzony. Strach krążył w jego żyłach. Dygocąc na dźwięk tego znajomego głosu, rozejrzał się po komnacie.

– Shalafi? – przemówił z wahaniem. Nikogo nie było. Dalamar przyłożył dłoń do głowy. –

Przyśniło mi się – szepnął. Dalamarze!

Znów ten głos. Tym razem nie mogło być pomyłki. Dalamar rozejrzał się bezradnie dookoła, zdjęty coraz większym lękiem. Takie zabawy nie były w stylu Raistlina. Arcymag rzucił czar podróży w czasie. Wrócił do przeszłości. Nie było go od tygodnia i nie spodziewano się jego powrotu jeszcze przez wiele następnych. Jednak Dalamar znał ten głos i to tak, jak znał dźwięk własnego bijącego serca! – Shalafi, słyszę cię – powiedział Dalamar, starając się zachować stanowczy głos. – Nie widzę cię jednak. Gdzie...

Jestem, jak podejrzewasz, w przyszłości, uczniu. Mówię do ciebie poprzez smoczą kulę. Mam dla ciebie zadanie. Słuchaj mnie uważnie i dokładnie wypełnij moje polecenia. Działaj natychmiast. Nie wolno ci marnować czasu. Każda sekunda jest bezcenna...

Kiedy Dalamar zamknął oczy, by się skupić, słyszał wyraźny głos, jednak równocześnie z nim docierał do niego śmiech wpadający przez otwarte okno. Zaczynało się jakieś święto, którego celem było uczczenie wiosny. Za murami Starego Miasta paliły się ogniska, a młodzi ludzie wymieniali w świetle kwiaty i pocałunki po ciemku. Powietrze przesyciła radość, miłość i zapach kwitnących na wiosnę róż.

Wtedy jednakże Raistlin zaczął mówić i Dalamar przestał już zwracać na tamto uwagę. Zapomniał o Kitiarze. Zapomniał o miłości. Zapomniał o wiosnie. Słuchał, zadawał pytania, rozumiał, a całe jego ciało mrowiło się na dźwięk głosu shalafi.

Rozdział III

Bertrem dreptał cicho po salach wielkiej biblioteki w Palanthas. Strój estetyka szeleścił wokół jego kostek w rytm melodii, jaką Bertrem nucił sobie podczas wędrówki. Mnich obserwował święto wiosny z okien wielkiej biblioteki i teraz, kiedy wracał do pracy pośród niezliczonych tysięcy ksiąg i zwojów, jakie mieściła biblioteka, w głowie utkwiała mu melodia jednej z piosenek.

– Tra-la, trala-la – śpiewał Bertrem wątłym, fałszywym głosem pół tonu niżej, by nie przeszkadzać echu w ogromnych, wysklepionych pomieszczeniach wielkiej biblioteki.

Śpiew Bertrema mógł zakłócić jedynie spokój echa, sama biblioteka bowiem była nieczynna i zamknięta na noc. Większość estetyków – członków zakonu, którzy poświęcali swe życie studiowaniu i opiekowaniu się zbiorami wiedzy, które gromadzono w wielkiej bibliotece od zarania dziejów Krynnu – albo spała, albo zajęta była własną pracą.

– Tra-la, trala-la. Oczy mej kochanej są jak oczy łani. Tra-la, trala-la. A ja jestem myśliwym, co się zbliża... – Bertrem pozwolił sobie nawet na zaimprovizowany krok taneczny.

– Tra-la, trala-la. Wznoszę mój łuk i napinam go... Bertrem w podskokach minął zakręt. – Wypuszczam strzałę. Ta mknie do serca mej ukochanej i... Hej, ty tam! Kim jesteś?

Bertremowi serce stanęło w gardle i niemal udusiło go, gdy estetyk niespodziewanie zastał wysoką, odzianą w czarną szatę i kaptur postać stojącą pośrodku słabo oświetlonej marmurowej sali.

Postać nie odpowiedziała. Przyglądała mu się w milczeniu.

Zebrawszy się na odwagę i wzięwszy się w garść oraz swe szaty, Bertrem spiorunował wzrokiem intruza.

– Co tu masz do roboty? Biblioteka jest zamknięta! Tak, nawet dla członków zakonu Czarnych Szat. – Estetyk zmarszczył brwi i machnął pulchną dłońią. – Idź precz. Wróć rano i wejdź frontowymi drzwiami jak każdy inny.

– Ach, ale ja nie jestem każdy inny – stwierdziła postać i Bertrem drgnął, wyczuł bowiem elfi akcent, choć słowa były solamijskie. – A co do drzwi, one są dla tych, którzy nie mają mocy przechodzenia przez ściany. Ja mam taką moc, jak również moc robienia innych rzeczy, z których wiele nie należy do przyjemnych.

Bertrem zadrżał. Ten płynny, chłodny, elfi głos nie czynił czczych pogroźek.

– Jesteś czarnym elfem – stwierdził oskarżycielsko Bertrem, wysilając rozum i starając się pomyśleć, co ma zrobić. Czy powinien podnieść alarm? Wołać pomocy?

– Tak. – Postać zdjęła czarny kaptur, tak że czarodziejskie światło uwiecznione w kulach zwisających z sufitu (prezent od magów dla Astinusa ofiarowany w Wieku Snów) padło na jego elfie oblicze. – Nazywam się Dalamar. Służę...

– Raistlinowi Majere! – jęknął Bertrem. Rozejrzał się niespokojnie, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może wyskoczyć skądś arcyomag w czarnej szacie.

Dalamar uśmiechnął się. Jego elfia twarz była delikatna i urodziwa. Jednakże malowała się na niej taka chłodna, nieugięta zawziętość, że Bertremowi zrobiło się zimno. Estetyk zaniechał wszelkich myśli o wzywaniu pomocy.

– Cze-czego sobie życzysz? – wyjąkał.

– Czego życzy sobie mój mistrz – poprawił Dalamar. – Nie bój się. Przyszedłem tu szukać wiedzy, niczego więcej. Jeśli pomożesz mi, zniknę równie szybko i cicho, jak się zjawiłem.

Jeśli mu nie pomogę... Bertrema przeszedł dreszcz od stóp do głów. – Zrobię, co będę mógł, magu – wyjąkał estetyk – ale powinieneś naprawdę porozmawiać z...

– Ze mną – dobiegł głos z mroku. Bertrem omal nie zemdlał z ulgi.

– Astinusie! – wybełkotał, wskazując na Dalamara. – Ten... on... ja nie pozwoliłem mu... pojawił się... Raistlin Majere...

– Tak, Bertremie – rzekł uspokajająco Astinus. Zbliżywszy się poklepał estetyka po ramieniu. – Wiem o wszystkim, co tu zaszło. – Dalamar nie ruszył się z miejsca i nawet nie dał po sobie poznać, że zauważył obecność Astinusa. – Wracaj do swych studiów, Bertremie – ciągnął Astinus, którego głęboki baryton zadźwięczał echem w cichych salach. – Ja zajmę się tą sprawą.

– Tak, mistrzu! – Bertrem z wdzięcznością wycofał się w głąb korytarza, szeleszcząc szatami i nie odrywając wzroku od czarnego elfa, który ani się nie poruszył, ani nie odezwał. Po dojściu do rogu Bertrem pośpiesznie zniknął za zakrętem, a po stukocie sandałów Astinus zgadł, że estetyk oddalał się biegiem.

Przełożony wielkiej biblioteki w Palanthas uśmiechnął się, ale tylko w duchu. Dla przyglądającego mu się czarnego elfa spokojna, nie starzejąca się twarz mężczyzny nie wyrażała więcej uczuć niż marmurowe ściany wokół nich.

– Chodź tędy, młody magu – powiedział Astinus, odwracając się niespodziewanie i ruszając w głąb korytarza żwawym, stanowczym krokiem, który kłócił się z jego wyglądem mężczyzny w średnim wieku.

Zaskoczony Dalamar zawahał się, a potem – widząc, że zostaje z tyłu – pośpieszył, by dotrzymać historykowi kroku.

– Skąd wiesz, czego szukam? – spytał natarczywie czarny elf.

– Jestem kronikarzem historii – odparł niewzruszony Astinus. – W chwili gdy rozmawiamy i spacerujemy, wokół nas dzieją się różne rzeczy, a ja jestem ich świadom. Słyszę każde wypowiedziane słowo i widzę każdy dokonany czyn, bez względu na to, jak jest przyziemny, jak dobry czy zły. Tak oto przyglądałem się przez wieki. Jak byłem pierwszy, tak będę ostatni. Tędy, proszę.

Astinus skrzył ostro w lewo. Czyniąc to, zdjął świecą kule ze stojaka i niósł ją teraz w rękę. W jej świetle Dalamar widział długie rzędy książek stojących na drewnianych półkach. Po ich gładkich, skórzanych okładkach poznawał, że były stare. Niemniej jednak były w doskonałym stanie. Estetycy odkurzali je, a jeśli zachodziła potrzeba, oprawiali na nowo te, które były szczególnie wytarte.

– Tu znajduje się to, czego pragniesz. – Astinus machnął ręką. – Wojna Bramy Krasnoludów.

Dalamar wytrzeszczył oczy. – Te wszystkie? – Popatrzył na pozornie nie kończący się rząd książek i poczuł, że powoli ogarnia go rozpacz.

– Tak – odrzekł zimno Astinus – następny rząd książek również.

– Ja... ja... – Dalamar zupełnie stracił rezon. Raistlin chyba nie zdawał sobie sprawy z ogromu tego zadania. Chyba nie spodziewa się po nim, że pochłonie zawartość tych setek woluminów w przewidzianym czasie. Dalamar nigdy przedtem nie czuł się tak bezradny i bezsilny. Zacerwienił się gniewnie, czując utkwiony w nim lodowaty wzrok Astinusa.

– Może mógłbym pomóc – rzekł spokojnie historyk. Astinus zdjął jedną z książek z półki bez przeczytania nawet napisu na jej grzbiecie. Otworzył ją i szybko przewracał cienkie, kruche strony, przebiegając wzrokiem rząd za rzędem zgrabnych liter precyzyjnie wypisanych czarnym tuszem.

– O, tu jest. – Wydobywszy z kieszeni swej szaty zakładkę zrobioną z kości słoniowej, Astinus położył ją na tej stronie książki, zamknął ją ostrożnie i podał Dalamarowi. – Zabierz ją ze sobą. Przekaż mu informacje, jakich poszukuje. I powiedz mu to: „Wieje wiatr. Ślady na piasku zostaną zatarte, ale dopiero wtedy, gdy po nich przejdzie”.

Historyk skłonił się z powagą czarnemu elfowi, po czym wyminął go i poszedł wzdłuż półek z książkami w stronę korytarza. Kiedy już do niego dotarł, zatrzymał się i odwrócił do Dalamara, który stał i gapił się, ściskając książkę, którą Astinus wsunął mu w rękę.

– Och, młody czarodzieju. Nie musisz już tu wracać. Książka wróci sama, kiedy skończycie. Nie mogę pozwolić, żebyś straszył estetyków. Biedny Bertrem bez wątpienia udał się już na spoczynek. Przekaż swojemu shalafi moje pozdrowienia.

Astinus ponownie skłonił się i zniknął w mroku. Dalamar nadal stał i zastanawiał się, słuchając, jak powolne, aczkolwiek zdecydowane kroki historyka cichną w korytarzu. Wzruszywszy ramionami, czarny elf wypowiedział magiczne słowo i wrócił do Wieży Wielkiej Magii.

– Astinus dał mi swój własny komentarz dotyczący wojny Bramy Krasnoludów, shalafi. Został zaczerpnięty ze starożytnych tekstów, jakie napisał...

Astinus wiedział, czego mi potrzeba. Mów dalej.

– Tak, shalafi. Tak zaczyna się zaznaczony ustęp: „I znamienity arcymag Fistandantilus użył smoczniej kuli, aby skomunikować się ze swym uczniem w przyszłych czasach, i polecił mu udać

się do wielkiej biblioteki w Palanthis, by tam z ksiąg historycznych wyczytać, czy uda mu się zrealizować swe wielkie przedsięwzięcie”. W trakcie czytania tego Dalamarowi zadrzął głos, aż wreszcie całkowicie odmówił mu posłuszeństwa, gdy elf przeczytał raz jeszcze to zdumiewające zdanie.

Kontynuuj!, rozległ się głos jego shalafi i choć dźwięczał bardziej w jego duszy niż w uszach, uwadze Dalamara nie uszła nuta zacieklego gniewu. Pośpiesznie oderwawszy oczy od ustępu napisanego setki lat wcześniej, a jednak dokładnie oddającego misję, którą dopiero co wypełnił, Dalamar ciągnął dalej: „Ważne jest, aby w tym miejscu zaznaczyć: Kroniki takie, jakie istniały w tym momencie, wskazują, iż...

– Ta część została podkreślona, shalafi. – Dalamar przerwał sam sobie.

Jaka część?

– „...w tym momencie” zostało podkreślone. Raistlin nie odpowiedział i Dalamar, który na chwilę zgubił się w tekście, odnalazł miejsce i pośpiesznie czytał dalej: – „...wskazują, iż przedsięwzięcie zakończyłoby się sukcesem. Sądząc z tego, co przewidział wielki arcyomag, Fistantantilus powinien był zdołać wejść bezpiecznie do portalu z kapłanem Denubisem. Oczywiście nie wiadomo, co mogłoby się stać w Otchłani, w rzeczywistości bowiem historia potoczyła się inaczej.

Tak więc, utwierdzony w przekonaniu, że jego ostateczny cel, jakim było wejście do portalu i rzucenie wyzwania Królowej Ciemności, znajduje się w zasięgu jego ręki, Fistantantilus wrócił do prowadzenia wojny Bramy Krasnoludów ze zdwojonym zapałem. Pax Tharkas padło pod naporem wojsk krasnoludów podgórskich i mieszkańców równin (patrz Kroniki, tom 126, księga 6, s. 589-700). Pod dowództwem wielkiego generała Fistantantilusa, Pheragasa byłego niewolnika z Północnego Ergothu, którego czarnoksiężnik kupił i wyszkolił na gladiatora w igrzyskach w Istar – armia Fistantantilusa odparła wojska króla Duncana, zmuszając krasnoludów do wycofania się do górskiej twierdzy w Thorbardinie.

Fistantantilus niewiele dbał o tę wojnę. Służyła wyłącznie zaspokojeniu jego własnych potrzeb. Po znalezieniu portalu w podziemiach ogromnej górskiej fortecy zwanej Zhaman, ustanowił tam swą kwaterę główną i zaczął ostateczne przygotowania, które miały umożliwić mu przekroczenie progu zakazanej bramy, powierzając prowadzenie wojny swemu generałowi.

Co się wtedy wydarzyło, nawet ja nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie, ponieważ działające tam magiczne siły były tak potężne, iż przyćmiły mój wzrok.

Generał Pheragas został zabity w walce z Dewarami, czarnymi krasnoludami z Thorbardinu. Po jego śmierci armia Fistantantilusa rozpieczętała się. Górscy krasnoludowie wylegli z Thorbardinu i ruszyli na twierdzę Zhaman.

W trakcie walk Fistantantilus wraz z Denubisem, świadomi, iż bitwa została przegrana i że mają niewiele czasu, pośpieszyli do portalu. Tam wielki czarodziej zaczął rzucać zaklęcie.

W tym samym czasie gnom, który był więźniem krasnoludów z Thorbardinu, uruchomił urządzenie do podróży w czasie, które skonstruował, aby spróbować uciec z niewoli. Wbrew wszelkim odnotowanym przypadkom w historii Krynnu, to gnomowe urządzenie zadziałało. Prawdę mówiąc, zadziałało całkiem dobrze.

Od tego momentu mogę jedynie podejrzewać, co wydaje się całkiem prawdopodobne, że działanie maszyny gнома w jakiś sposób splotło się z delikatnymi i potężnymi zaklęciami, które rzucał Fistandantilus. Skutki znamy aż za dobrze.

Nastąpił wybuch o takiej sile, że równiny Dergoth zostały całkowicie spustoszone. Obie armie zostały prawie całkowicie unicestwione. Ogromna twierdza Zhaman rozsypała się w gruzy i zvaliła, tworząc wzniesienie nazywane obecnie Czaszką.

Nieszczęsny Denubis poniósł śmierć na skutek wybuchu. Fistandantilus powinien był również zginąć, lecz jego magia była tak potężna, że zdołał w pewnym stopniu utrzymać się przy życiu, aczkolwiek jego duch zmuszony był istnieć na innej płaszczyźnie, póki nie znalazł sobie ciała młodego czarodzieja imieniem Raistlin Majere...” Dość!

– Tak, shalafi – szepnął Dalamar. Wtedy głos Raistlina ucichł.

Siedzący w swym gabinecie Dalamar wiedział, że został sam. Zadygotał gwałtownie. Czuł się kompletnie przytłoczony i zdumiony tym, co przed chwilą przeczytał. Pragnąc coś z tego zrozumieć, czarny elf siedział w fotelu za biurkiem – biurkiem Raistlina – pogrążony w rozmyślaniach, aż mroki nocy ustąpiły i szary brzask rozjaśnił niebo.

Chude ciało Raistlina drżało wstrząsane dreszczem podniecenia. Czarodziej miał mętlik w głowie, będzie potrzebował dużo czasu na spokojne studiowanie i zastanowienie się, aby upewnić się całkowicie co do faktów, które odkrył. Jedno zdanie jaśniało oślepiającym blaskiem w jego umyśle: Przedsięwzięcie zakończyłoby się sukcesem!

Przedsięwzięcie zakończyłoby się sukcesem!

Raistlin wciągnął z sapnięciem powietrze, uświadomiwszy sobie dopiero w tym momencie, że przestał oddychać. Jego dłonie, spoczywające na zimnej powierzchni smoczyczej kuli, drżały. Ogarnęło go uniesienie. Zaśmiał się tym swoim dziwnym, nieczęstym śmiechem, ślady bowiem, jakie widział we śnie, nie prowadziły już na szafot, lecz do platynowych wrót ozdobionych symbolami Pięciogłowego Smoka. Na jego rozkaz otworzą się. Musi tylko po prostu znaleźć i zgładzić tego gнома...

Raistlin poczuł mocne szarpnięcie za dłonie.

– Przestań! – rozkazał, przeklinając swą utratę kontroli. Kula jednakże nie usłuchała jego polecenia. Za późno Raistlin zdał sobie sprawę, że jest wciągany do wnętrza...

W miarę jak ręce przyciągały go coraz bliżej, spostrzegł, że uległy zmianie. Przedtem były nierozpoznawalne – ani ludzkie, ani elfie, niemłode, ani niestare. Teraz były to dłonie kobiety, miękkie, gibkie, o gładkiej, białej skórze i śmiertelnym uścisku.

Zlany potem i zmagający się z gorącym przypiływem paniki, która groziła mu zagładą, Raistlin zebrał wszelkie siły – zarówno fizyczne, jak i psychiczne – i zmagał się z wolą, jaka kryła się za tymi dłońmi.

Ręce przyciągały go coraz bliżej i bliżej. Widział już twarz – oblicze kobiety pięknej i ciemnookiej, szepczącej uwodzicielskie słowa, na które jego ciało zareagowało namiętnością, mimo iż jego dusza skręcała się z obrzydzenia...

Coraz bliżej...

Raistlin szarpał się rozpaczliwie i starał się wyrwać z uścisku, który zdawał się tak łagodny, a jednak silniejszy od więzów jego siły życiowej. Sięgnął głęboko do wnętrza swej duszy, szukając jakiejś ukrytej części – lecz czego, sam nie bardzo wiedział. Gdzieś istnieje w nim jakaś część jego jaźni, która go ocali...

Wtedy wyłonił się obraz ślicznej kapłanki w bieli z medalionem Paladine'a na szyi. Jaśniała w ciemności i przez chwilę uścisk zelżał – ale tylko na chwilę. Raistlin usłyszał gwałtowny, kobiecy śmiech. Wizja rozwiała się.

– Mój bracie! – zawołał spierzchniętymi wargami Raistlin. I oto pojawił się wizerunek Caramona. Odziany w złotą zbroję, z błyszczącym mieczem w rękach stanął przed swym bliźniaczym bratem, chroniąc go. Jednakże wojownik nie uczynił nawet kroku, gdyż został powalony ciosem w plecy.

Coraz bliżej i bliżej...

Raistlin spuścił głowę, szybko tracąc siły i przytomność. Wtedy, całkiem spontanicznie, z największych otchłani jego duszy wyłoniła się samotna figurka. Nie była odziana w biel, nie trzymała lśniącego miecza. Była mała, umorusana i miała twarz poznaczoną smużkami łez.

W ręczce trzymała tylko zdechłego... zdechłego... szczura.

Caramon wrócił do obozu, gdy pierwsze promienie jutrzeńki przecinały niebo. Jechał przez całą noc. Był zeszywniały, zmęczony i niewiarygodnie głodny.

Przez ostatnią godzinę pocieszały go błogie myśli o śniadaniu i łóżku, toteż na widok obozowiska wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miał właśnie zamiar dać ostrogę znużonemu koniowi, gdy spojrzawszy na obóz, masywny mężczyzna ściągnął wodze i podniesieniem ręki zatrzymał eskortę.

– Co tam się dzieje? – spytał z niepokojem i wszelkie myśli o jedzeniu poszły w niepamięć.

Garic, który podjechał do niego, potrząsnął głową w zdumieniu.

Caramon spodziewał się smużek dymu wznoszących się znad porannych palenisk i niezadowolonych pomruków ludzi budzonych ze snu, a zamiast tego zastał obóz w stanie przypominającym ul po uczcie niedźwiedzia. Nie zapalono ognia pod kociołkami, a ludzie biegali w pozornym beładzie lub stali zbici w grupki, które aż huczały z podniecenia.

Wtedy ktoś dostrzegł Caramona i krzyknął. Tłum zebrał się i ruszył ławą przed siebie. Garic

natychmiast coś zawołał i po chwili wraz ze swymi ludźmi zbliżyli się galopem, by utworzyć ochronny krąg zbrojnych w pancerze ciał wokół swego generała.

Caramon po raz pierwszy zobaczył taki przejaw wierności oraz serdeczności swych ludzi i przez chwilę poczuł się tak wzruszony, że głos mu uwiązł w gardle. Potem, chrapliwie odchrząknąwszy, rozkazał im odsunąć się na bok.

– To nie jest bunt – burknął, wyjeżdżając naprzód, gdy ludzie niechętnie go przepuścili. – Patrzcie! Nikt nie jest uzbrojony. Połowa z nich to kobiety i dzieci. Mimo to – wyszczerzył do nich zęby w uśmiechu – dzięki za troskę.

Jego spojrzenie padło szczególnie na młodego rycerza, Garica, który oblał się rumieńcem zadowolenia, nie wypuszczając jednakże z dłoni gardy miecza.

Do tego czasu pierwsze szeregi tłumu dopadły już Caramona. Ktoś złapał za wodze, płosząc konia, który – myśląc, że to bitwa – groźnie zastrzygł uszami, gotów wymierzać kopniaki kopytami tak, jak go nauczono.

– Cofnijcie się! – ryknął Caramon, ledwo pohamowując zwierzę. – Cofnijcie się! Czyście wszyscy poszaleli? Wyglądacie na tych, kim jesteście! Na bandę wieśniaków! Mówiłem: cofnąć się! Czyście pogubili wszystkie klepki? Co to ma znaczyć? Gdzie są moi oficerowie?

– Tu, panie generale – rozległ się głos jednego z jego kapitanów. Czerwony na twarzy, zażenowany i rozgniewany mężczyzna przepchnął się przez motłoch. Zawstydzeni reprimendą dowódcy ludzie uspokoili się, a okrzyki ustąpiły miejsca nielicznym pomrukom, gdy grupka gwardzistów, która przybyła wraz z kapitanem, zaczęła rozganiać tłum.

– Panie generale, proszę o wybaczenie mi tego wszystkiego – powiedział kapitan, gdy Caramon zsiadł z konia i uspokajająco poklepał wierzchowca po karku. Zwierzę uspokoilo się, czując dotyk Caramona, choć przewracało nadal oczami i wciąż strzygło uszami.

Kapitan był starszym mężczyzną, nie rycerzem, lecz najemnikiem z trzydziestoletnim doświadczeniem. Miał twarz pooraną bliznami, część lewej dłoni stracił od cięcia mieczem i wyraźnie utykał w czasie chodzenia. Tego poranka jego pocięte szramami oblicze było zaczerwienione ze wstydu, gdy napotkał surowe spojrzenie swego młodego generała.

– Zwiadowcy przysłali wiadomość, że wracacie, panie, ale zanim zem zdołał do was dotrzeć, ta banda dzikich psów – spojrział wściekle na odsuwających się mężczyzn rzuciła się na was, jakbyście byli grzejącą się suką. Za przeproszeniem pana generała – znów wymamrotał – i bez obrazy.

Caramon z trudem zachował spokój oblicza. – Co się stało? – spytał, prowadząc zmęczonego konia stępą przez obóz. Kapitan nie odpowiedział natychmiast, lecz rzucił znaczące spojrzenie na eskortę Caramona.

Caramon zrozumiał. – Idźcie dalej sami, żołnierze powiedział, machając ręką. – Garic, zajmij się moją kwaterą.

Kiedy został sam na sam z kapitanem – przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe w zatłoczonym obozowisku, gdzie wszyscy wlepiali w nich wzrok z zachłanną ciekawością – Caramon odwrócił się, by spojrzeniem zadać mężczyźnie pytanie.

Stary najemnik powiedział tylko jedno słowo: – Czarodziej.

Po dojściu do namiotu Raistlina Caramon z zamierającym sercem zobaczył otaczający go pierścień zbrojnych, którzy nie dopuszczali gapiów. Na widok Caramona dało się słyszeć głośne westchnienia ulgi i liczne uwagi w rodzaju: „Już jest generał. Teraz on się wszystkim zajmie”. Było też wiele kiwania głowami oraz trochę oklasków.

Przerażony kilkoma przekleństwami kapitana tłum rozstał się i przepuścił Caramona. Uzbrojeni wartownicy odsunęli się na bok, po czym znów szybko zwarli szeregi po jego przejściu. Gawiedz przepychała się łokciami i napierała na strażników, chcąc coś zobaczyć ponad ich ramionami. Ponieważ kapitan odmówił udzielenia odpowiedzi na pytanie, co się dzieje, Caramona nie zaskoczyłyby żaden widok, od smoka siedzącego na czubku namiotu jego brata po zielone i purpurowe płomienie okalające całą siedzibę maga.

Zamiast tego zobaczył jednego młodzieńca trzymającego wartę i panią Crysanię krążącą w tę i z powrotem przed zamkniętą klapą namiotu. Caramon spojrział z zaciekawieniem na młodego mężczyznę, sądząc, że skądś go zna.

– Kuzyn Garica – powiedział z wahaniem, starając się przypomnieć sobie imię. – Michael, nieprawdaż?

– Tak, panie generale – odpowiedział młody rycerz. Wyprostował się i spróbował zasalutować. Była to jednakże kiepska próba. Młodzieniec miał bladą, wynędzniałą twarz i czerwone obwódki wokół oczu. Widać było, że za chwilę padnie ze zmęczenia, lecz włócznię trzymał przed sobą i zawzięcie zagradzał drogę do namiotu.

Na dźwięk głosu Caramona Crysania podniosła głowę.

– Dzięki Paladine'owi! – powiedziała żarliwie.

Jedno spojrzenie na jej pobladłą twarz i wpadnięte, szare oczy, wystarczyło, by w jasnym słońcu poranka Caramona przeszedł dreszcz.

– Pozbądź się ich! – rozkazał kapitanowi, który natychmiast zaczął wydawać polecenia swym ludziom. Wkrótce przy akompaniamencie licznych przekleństw i pomruków niezadowolenia tłum zaczął się rozchodzić. Większość gapiów i tak doszła do wniosku, że to już koniec zabawy.

– Caramonie, posłuchaj mnie! – Crysania położyła rękę na jego ramieniu. To...

Caramon jednakże strącił dłoń Crysanii. Nie zwracając uwagi na to, co kobieta próbuje powiedzieć, chciał precyzyjnie się obok Michaela. Młody rycerz wznosił włócznię i zastąpił mu drogę.

– Z drogi! – rozkazał zaskoczony Caramon.

– Bardzo mi przykro, panie generale – oświadczył Michael zdecydowanym tonem, choć wargi mu drżały ale Fistandantilus kazał mi nikogo nie wpuszczać.

– Widzisz – powiedziała zrozpaczona Crysania, gdy Caramon cofnął się o krok i spojrzał na Michaela zdumionym wzrokiem, pełnym gniewu. – Próbowałam ci powiedzieć, gdybyś tylko chciał mnie posłuchać! Tak było przez całą noc, a ja wiem, że tam w środku stało się coś strasznego! Raistlin kazał mu jednak złożyć przysięgę na kodeks i zasadę, czy coś podobnego...

– Regułę – mruknął Caramon, potrząsając głową. Kodeks i regułę. – Zmarszczył czoło, myśląc o Sturmie.

– Kodeks, którego zasad żaden rycerz nie złamie pod karą śmierci.

– Ależ to obłąd! – krzyknęła Crysania. Głos jej się załamał. Zasłoniła na chwilę dłonią twarz. Caramon z wahaniem objął ją ramieniem, obawiając się reprimendy, lecz ona wsparła się na nim z wdzięcznością.

– Och, Caramonie, tak się bałam – szepnęła. – To było okropne. Zbudziłam się z głębokiego snu słysząc, jak Raistlin wykrzykuje moje imię. Pobiegłam tam... Wewnątrz jego namiotu rozbłyskiwało światło. Raistlin wykrzykiwał niezrozumiałe słowa, potem usłyszałam, jak woła cię po imieniu... a później zaczął jęczeć z rozpacz. Chciałam wejść, ale... – Uczyniła słaby gest w stronę Michaela, który stał, patrząc prosto przed siebie. – Wtedy jego głos zaczął... przycichać! To było straszne, zupełnie jakby coś gdzieś go wsysało!

– Co się potem stało?

Crysania zamilkła. Potem powiedziała z wahaniem: Powiedział... powiedział coś jeszcze. Ledwo to usłyszałam. Światło zgasło. Rozległ się ostry trzask i... zapadła cisza, przerażająca cisza. – Zamknęła oczy i zadrżała.

– Co powiedział? Zrozumiałaś?

– To było najdziwniejsze. – Crysania uniosła głowę i spojrzała na niego z konsternacją. – Zabrzmiało jakby... Bupu.

– Bupu! – powtórzył osłupiały Caramon. – Jesteś pewna?

Kobieta pokiwała głową.

– Po co miałby wykrzykiwać imię krasnoludki żlebowej? – dopytywał się Caramon.

– Nie mam pojęcia. – Crysania wydała znużone westchnienie i odgarnęła z oczu włosy. – Zastanawiałam się nad tym samym. Chyba że... czy to nie ta krasnoludka żlebowa powiedziała Par-Salianowi, jaki dobry był dla niej Raistlin?

Caramon potrząsnął głową. Później będzie się martwił o krasnoludki żlebowe. W chwili obecnej jego największym problemem był Michael. Wyraźnie przyszedł mu na myśl Sturm. Ile razy widywał tę minę na twarzy rycerza? Przysięga na kodeks i regułę...

Do licha z Raistlinem!

Michael będzie stać na posterunku, dopóki nie padnie, a potem, kiedy ocknie się i stwierdzi,

że nie dotrzymał słowa, zabije się. Musi istnieć jakiś sposób obejścia tego – obejścia jego! Caramon zerknął na Crysanię. Mogłaby użyć swych kapłańskich mocy, by zaczarować tego młodzieńca...

Caramon potrząsnął głową. Wtedy cały obóz gotów byłby spalić ją na stosie! Do licha z Raistlinem! Do licha z kapłankami! Do licha z rycerzami solamnijskimi wraz z ich kodeksem i regułą!

Westchnął i podszedł do Michaela. Młody mężczyzna wznosił groźnie włócznię, ale Caramon tylko podniósł ręce w górę, by pokazać mu, że są puste.

Chrząknął wiedząc, co chce powiedzieć, lecz nie był pewny, od czego ma zacząć. Wtedy pomyślał o Sturmie i nagle znów ujrzał twarz rycerza tak wyraźnie, że aż wprawiło go to w zdumienie. Nie było to jednakże oblicze, które widywał za jego życia – surowe, szlachetne i zimne. Wtedy Caramon zrozumiał – widział twarz Sturma po śmierci! Ślady straszliwego cierpienia i bólu wygładziły surowe bruzdy dumy i nieugiętości. W jego ciemnych, udręczonych oczach malowało się współczucie i zrozumienie i Caramonowi wydało się, że rycerz uśmiechnął się do niego smutno.

Przez chwilę Caramon był tak zaskoczony tą wizją, że nie mógł wykrztusić ani słowa i tylko stał z wytrzeszczonymi oczyma. Obraz jednakże rozpląnął się, zostawiając po sobie jedynie twarz młodego rycerza, posępną, przestraszoną, wyczerpaną – i zawziętą...

– Michaelu – powiedział Caramon, trzymając ręce w górze. – Miałem kiedyś przyjaciela, rycerza solamnijskiego. On... on już nie żyje. Zginął na wojnie daleko stąd, kiedy... Ale to nie jest ważne. Sturm, mój przyjaciel, przypominał cię. Wierzył w kodeks i... i w regułę. Gotów był oddać za nie życie. W końcu jednakże odkrył, że istnieje coś ważniejszego od kodeksu i reguły, coś, o czym kodeks i reguła zapomniały.

Oblicze Michaela nadal było uparcie nieprzejednane. Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął włócznię.

– Samo życie – rzekł cicho Caramon.

Dostrzegł błysk w zaczerwienionych oczach rycerza, iskierkę, która utonęła w migocie łez. Michael gniewnie otarł je mrugnięciem powiek i ponownie przybrał zawziętą i zdecydowaną minę, choć Caramonowi wydało się, że teraz towarzyszył jej wyraz rozpacz.

Caramon uczeplił się tej desperacji i dźgnął słowami jak ostrzem miecza, który szuka serca nieprzyjaciela. – Życie, Michaelu. Nie istnieje nic więcej. Tylko tyle mamy. Nie tylko nasze życie, lecz także życie wszystkich innych na tym świecie. Kodeks i reguła miały w założeniu tego właśnie strzec, ale gdzieś po drodze coś się poplątało i kodeks wraz z regułą stały się ważniejsze od życia.

Powoli, wciąż trzymając ręce w górze, zrobił krok w stronę młodego mężczyzny.

– Nie proszę cię, byś opuścił swój posterunek z jakiegoś zdradzieckiego powodu. Obaj też

wiemy, że nie opuszczasz go z tchórzostwa. – Caramon pokręcił głową. – Bogowie jedni wiedzą, co musiałeś widzieć i słyszeć tej nocy. Proszę cię, byś opuścił go z litości. Mój brat jest w środku, może umiera, a może już umarł. Kiedy kazał ci złożyć tę przysięgę, nie mógł przewidzieć, że tak się stanie. Muszę pójść do niego. Pozwól mi przejść, Michaelu. Nie ma w tym niczego niegodnego.

Michael stał sztywno, wpatrując się wprost przed siebie. A potem jego twarz rozluźniła się. Zgarbił się i włócznia wypadła mu z bezwładnych dłoni. Caramon wyciągnął ręce, złapał młodego mężczyznę w swe wielkie ramiona i przycisnął do piersi. Ciałem młodzieńca targał szloch. Caramon poklepał go niezgrabnie po ramieniu.

– Niech któryś z was – rozejrzał się dookoła – pójdzie poszukać Garica. Ach, tu jesteś – rzekł z ulgą na widok podbiegającego młodego rycerza. – Zaprowadź swego kuzyna do ogniska. Każ mu zjeść coś ciepłego i dopilnuj, by się przespał. Ty tam – wskazał na innego strażnika zajmij jego miejsce.

Kiedy Garic odprowadził kuzyna, Crysania chciała wejść do namiotu, lecz Caramon ją zatrzymał. – Lepiej ja wejdę pierwszy, pani – powiedział.

Spodziewał się kłótni. Zaskoczyło go, że odsunęła się potulnie. Caramon trzymał już w ręku klapę wejściową namiotu, gdy poczuł, że Crysania dotyka jego ramienia.

Odwrócił się zdziwiony.

– Jesteś mądry jak Elistan, Caramonie – powiedziała, przyglądając mu się uważnie. – Ja też mogłam to samo powiedzieć temu młodzieńcowi. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Caramon zaczerwienił się. – Ja... ja po prostu rozumiałem go, to wszystko – wymamrotał.

– Ja nie chciałam go rozumieć. – Pobladła Crysania przygryzła wargę. – Chciałam tylko, żeby był mi posłuszny.

– Posłuchaj mnie, pani – rzekł zawzięcie Caramon – później możesz robić rachunek sumienia. W tej chwili potrzebuję twojej pomocy!

– Tak, oczywiście. – Wyraz stanowczej pewności siebie znów wrócił na twarz Crysanii. Kapłanka bez wahania weszła za Caramonem do namiotu.

Pamiętając o wartowniku na zewnątrz i oczach wszystkich wścibskich, Caramon szybko spuścił klapę namiotu. Wewnątrz było ciemno i cicho, tak ciemno, że żadne z nich początkowo nie umiało niczego dostrzec w mroku. Stojąca przy wejściu Crysania, która czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności, chwyciła nagle Caramona.

– Słyszę jego oddech! – powiedziała z ulgą. Caramon skinął głową i powoli ruszył do przodu. Wstający dzień przepędzał noc z namiotu i z każdym krokiem wojownik widział coraz więcej.

– Tutaj – powiedział. Pośpiesznie odtrącił kopnięciem na bok zagradzający mu drogę stołek polowy. – Ra – zawołał cicho i przykląkł.

Arcymag leżał na podłodze. Twarz miał szarą jak popiół, a wargi sine. Jego oddech był płytki i nieregularny, niemniej jednak czarodziej oddychał. Caramon ostrożnie wziął swego bliźniaka na ręce i zaniósł do łóżka. W bladym świetle dostrzegł słaby uśmiech na wargach Raistlina, jakby mag był pogrążony w miłym śnie.

– Wydaje mi się, że on teraz śpi – powiedział zdumiony Caramon do Crysanii, gdy ta nakrywała Raistlina kocem. – Coś jednakże się stało. To oczywiste. – Rozejrzył się w narastającym świetle po namiocie. – Ciekawe... Na bogów!

Crysania podniosła głowę i obejrzała się przez ramię.

Paliki namiotu były osmolone i zwęglone, a sama tkanina nadpalona i w niektórych miejscach sprawiała wrażenie stopionej. Wyglądało to tak, jakby w namiocie wybuchł pożar, a jednak, w jakiś absurdalny sposób, pawilon nadal stał i nie sprawiał wrażenia poważnie uszkodzonego. Jednakże to przedmiot na stole stał się przyczyną krzyku Caramona.

– Smocza kula! – szepnął zdjęty lękiem. Wykonana dawno temu przez magów wszystkich trzech Szat, wypełniona esencją dobrych, złych i neutralnych smoków, wystarczająco potężna, by przerzucić most przez rzekę czasu kryształowa sfera wciąż stała na stole na srebrnym stojaku, który zrobił dla niej Raistlin.

Niegdyś był to przedmiot pełen magicznego, urzekającego światła. Teraz była to mroczna, martwa rzecz z pęknięciem biegnącym przez jej środek.

Teraz...

– Jest rozbita – rzekł Caramon ściszym głosem.

Rozdział IV

Armia Fistantilusa przepłynęła cieśninę Schallsea flotą wysłużonych statków, wśród których znalazły się liczne kutry rybackie, łodzie wiosłowe, toporne tratwy i krzykliwie zdobione barki. Choć odległość nie była wielka, przewiezienie ludzi, zwierząt i zaopatrzenia potrwało tydzień.

Do czasu gdy Caramon był gotowy do przeprawy, armia rozrosła się do takich rozmiarów, że nie starczyło łodzi, by przewieźć wszystkich naraz. Wiele statków musiało odbywać liczne rejsy w jedną i drugą stronę. Największymi barkami przewożono zwierzęta. Przerobiono je na pływające obory, w których znajdowały się boksy dla koni i chudego bydła oraz zagrody dla świń.

Przez większość czasu wszystko szło gładko, choć Caramon przesypiał jedynie trzy godziny każdej nocy, tak był zajęty trudnościami, które zdaniem wszystkich tylko on umiał rozwiązać. Mogło to być cokolwiek – od chorych na morską chorobę krów po skrzynię z mieczami, którą przypadkowo upuszczono za burtę i którą trzeba było wyłowić.

Później, gdy przedsięwzięcie było już bliskie zakończenia i prawie wszyscy znajdowali się na drugim brzegu, zerwał się sztorm. Huragan spienił morze, roztrzaskał dwie łodzie, które zerwały się z cum, i uniemożliwił przeprawę na dwa dni. Wreszcie jednak każdy przedostał się na drugą stronę w stosunkowo dobrym stanie, nie licząc kilku przypadków morskiej choroby, jednego dziecka, które wypadło za burtę (zostało ocalone), i jednego konia, który złamał sobie nogę, wierzgając w panice w swym boksie (został zabity i poćwiartowany).

Po przybiciu do brzegów Abanasinii przybył na spotkanie wojska wódz mieszkańców Równin – plemion barbarzyńców zamieszkujących północne stepy Abanasinii, którzy mieli wielką chętkę na osławione złoto Thorbardinu. Przybył także przedstawiciel krasnoludów podgórszych. Podczas spotkania z nim Caramon doznał potwornego wstrząsu, który wytrącił go z równowagi na kilka dni.

– Reghar Fireforge z towarzyszami – zapowiedział Garic stojący w wejściu do namiotu. Odsunawszy się na bok, rycerz pozwolił wejść grupie trzech krasnoludów.

Słyszając to imię dźwięczące mu w uszach, Caramon z niedowierzaniem wlepił wzrok w pierwszego krasnoluda. Chude palce Raistlina zacisnęły się boleśnie na jego ramieniu.

– Ani mru-mru! – szepnął arcymag.

– Ale on... on wygląda... i to imię! – wymamrotał Caramon ściszonego głosem.

– Oczywiście – rzucił od niechcienia Raistlin – to dziadek Flinta.

Dziadek Flinta! Flint Fireforge – jego stary przyjaciel. Sędziwy krasnolud, który zmarł w ramionach Tanisa w Domu Bogów, ten wiekowy krasnolud – tak gderliwy i łatwo irytujący się, a jednocześnie obdarzony czułym sercem, ten krasnolud, który Caramonowi wydawał się tak

leciwy. Nawet jeszcze się nie urodził! To był jego dziadek.

Nagle Caramon w pełni pojął, gdzie jest i co robi. Uderzyło go to jak porażający cios. Do tej pory równie dobrze mógł szukać przygód w swoich własnych czasach. Tak naprawdę żadnego z tych wydarzeń nie traktował poważnie. Nawet „odesłanie go do domu” przez Raistlina wydawało się tak proste, jakby arcyomag miał wsadzić go do łódki i pożegnać się z nim. Świadomie przegonił z pamięci myśli o „zmianie czasu”. Wprawiały go w zakłopotanie, wydając się wirować bez końca po zamkniętym, nieskończonym kręgu – Caramonowi zrobiło się najpierw gorąco, a potem zimno.

Flint jeszcze się nie narodził. Tanis nie istniał, nie istniała też Tika. Jego samego też jeszcze nie było! Nie! To było zbyt niewiarygodne! To niemożliwe!

Namiot zakreślił się Caramonowi w oczach. Wojownik bardzo bał się, że może zemdleć. Na szczęście Raistlin spostrzegł jego bladość. Intuicyjnie wiedząc, co próbuje sobie przyswoić umysł jego bliźniaka, mag wstał i wdzięcznie zasłoniwszy sobą chwilowo otepiałego brata, powitał krasnoludów właściwymi słowami. Czyniąc to jednakże, Raistlin zgromił Caramona przenikliwym, ponurym wzrokiem, surowo przypominając mu o obowiązkach.

Wziąwszy się w garść, Caramon zdołał odsunąć niepokojące i dezorientujące myśli. Powtarzał sobie, że wróci do nich później w ciszy i spokoju. Ostatnio często tak robił. Na nieszczęście zdawało się, że nigdy nie będzie miał ciszy i spokoju...

Caramon wstał i nawet był w stanie spokojnie uściskać dłoń krępemu, siwowłosemu krasnoludowi.

– Nigdy bym nie pomyślał – oświadczył bez ogródek Reghar, zasiadając na podsuniętym mu krześle i przyjmując kufel piwa, które wypił jednym haustem – że będę kumał się z ludźmi i czarodziejami przeciwko bliskim z mej własnej krwi i kości. – Skrzywił się, zaglądając do pustego kufła. Caramon gestem polecił usługującemu mu chłopcu ponownie go napełnić.

Reghar wciąż z tą samą ponurą miną czekał, aż piana osiadzie. Potem westchnął i wzniosł kufel do Caramona, który wrócił na swoje miejsce. – Durth Zamish och Dunh Tabor. Dziwne czasy czynią dziwnych braci.

– Szczera prawda – mruknął Caramon, zerkając na Raistlina. Generał uniósł swą szklanekę wody i ją wypił. Raistlin z uprzejmości umoczył usta w kieliszku wina, po czym go odstawił.

– Spotkamy się rano, by omówić nasze plany – rzekł Caramon. – Wtedy będzie również obecny wódz mieszkańców Równin. – Reghar skrzywił się jeszcze mocniej i Caramon westchnął w duchu, przewidując kłopoty. Kontynuował jednakże serdecznie i wesoło: – Zjedzmy razem kolację dziś wieczorem, by przypieczętować nasze przymierze.

Na te słowa Reghar wstał. – Mogę być zmuszony walczyć wraz z barbarzyńcami – warknął – ale, na brodzie Reorxa, nie muszę z nimi jeść, z tobą również!

Caramon znów wstał. Odziany w swą najlepszą ceremonialną zbroję (kolejny podarunek od

rycerzy) wyglądał imponująco. Krasnolud zmrużył oczy, spoglądając w górę na wojownika.

– Duży to ty jesteś, nie? – stwierdził. Parsknął szyderczo i pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Podejrzewam, że w tym łbie masz mniej oleju, niż znajduje się w tej lampie.

Caramon nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, choć serce mu się ścisnęło. Tak bardzo przywodziło mu to na myśl sposób mówienia Flinta!

Raistlin jednakże nie uśmiechał się.

– Mój brat ma doskonałą głowę do spraw wojskowych – stwierdził chłodno i niespodziewanie mag. – Kiedy opuszczaliśmy Palanthis, było nas tylko troje. To zdolnościom i szybkiemu myśleniu generała Caramona zawdzięczamy sprowadzenie tej potężnej armii na wasze brzegi. Sądzę, że dobrze zrobiłbyś, akceptując jego dowództwo.

Reghar ponownie parsknął, przyglądając się Raistlinowi uważnie spod krzaczastych, siwych, zwisających na oczy i. Z brzękiem i grzechotem ciężkiej zbroi krasnolud odwrócił się z zamiarem wymaszerowania z namiotu, lecz potem zatrzymał się.

– Was troje z Palanthis? A teraz to? – Spojrzenie jej ciemnych, przenikliwych oczu padło na Caramona, a ręka zatoczyła szeroki krąg ogarniający namiot, rycerzy w błyszczących zbrojach, którzy stali na straży na zewnątrz, setki ludzi, których widział przy wspólnej pracy nad wyładunkiem prowiantu ze statków, mężczyzn ćwiczących techniki walki, rząd za rzędem obozowych ognisk...

Oszołomiony i zdumiony niespotykaną pochwałą brata, Caramon nie umiał odpowiedzieć. Zdołał jednak skinąć głową.

Krasnolud znów prychnął, ale gdy z grzechotem i pobrzękiwaniem opuszczał namiot, w jego oczach błysnęła niechętny podziw.

Nagle Reghar ponownie wsunął głowę do namiotu. Będę na waszej kolacji – warknął niewdzięcznie, po czym odszedł człapiącym krokiem.

– Ja również muszę się oddalić, mój bracie – powiedział z roztargnieniem Raistlin, wstając i kierując się do wyjścia z namiotu. Wsunąwszy dłonie w rękawy czarnej szaty, pogrążył się w rozmyślaniach, gdy nagle poczuł dłoń na ramieniu. Poirytowany tym zakłócaniem mu spokoju, obejrzał się na brata.

– Co tam?

– Ja... tylko chciałem... ci podziękować. – Caramon przełknął ślinę i ciągnął dalej schrypniętym głosem: – Za to, co powiedziałaś. Do tej pory... nigdy... nigdy nie mówiłaś... o mnie czegoś takiego.

Raistlin uśmiechnął się. Ten uśmiech cienkich warg nie rozjaśnił jego oczu, lecz Caramon był zbyt przejęty i zadowolony, by to zauważyć.

– To jedynie szczerza prawda, mój bracie – odparł Raistlin, wzruszając ramionami. – Pomogła też dopiąć naszego celu, ci krasnoludowie są nam bowiem potrzebni jako sprzymierzeńcy. Często

ci mówiłem, że masz ukryte talenty, gdybyś tylko zechciał poświęcić trochę czasu i zadać sobie trudu, by je rozwinąć. W końcu jesteście bliźniakami dodał zgryźliwie mag. – Nie sądzę, abyśmy byli tak odmienni, jak to sobie wmówiłeś.

Mag znów chciał wyjść, lecz ponownie poczuł dłoń na swym ramieniu. Powstrzymując zniecierpliwione westchnienie, Raistlin odwrócił się.

– Raistlinie, tam w Istar chciałem cię zabić... – Caramon przerwał, oblizując wargi – i... i wydaje mi się, że miałem powód. Przynajmniej sądząc po tym, co wtedy wiedziałem. Teraz już nie jestem tego tak pewien. – Westchnął, spuszczać wzrok na swe stopy, a potem znów podniósł zaczerwioną twarz. – Chciałbym... chciałbym myśleć, że zrobiłeś to... że postawiłeś magów w sytuacji, w której musieli odesłać mnie w przeszłość, żeby pomóc mi przyswoić sobie tę lekcję. Może nie to było przyczyną – dodał pośpiesznie Caramon, widząc, jak brat zaciska wargi, a jego chłodne oczy stają się jeszcze zimniejsze i jestem pewien, że nie było, przynajmniej niecałkowicie. Wiem, że robisz to dla siebie samego. Jednak wydaje mi się, że jakaś część twojej osoby nie jest całkowicie bez serca. Jakaś część twojej duszy spostrzegła, że mam kłopoty, i chciała mi pomóc.

Raistlin przyglądał się bratu z rozbawieniem. Potem znów wzruszył ramionami. – Cóż, Caramonie. Jeśli to romantyczne mniemanie pomoże ci lepiej walczyć, jeśli pomoże ci lepiej zaplanować strategię, jeśli pomoże ci w myśleniu i przede wszystkim jeśli pozwoli mi wyjść z tego namiotu i wrócić do pracy, w takim razie, proszę bardzo, pielęgnuj je czule! Mnie to mało obchodzi.

Wysunąwszy ramię z uścisku brata, mag zbliżył się do wyjścia z namiotu. Tam się zawahał. Odwrócił do połowy zakapturzoną głowę i odezwał się cicho. Jego słowa były pełne rozdrażnienia, a jednocześnie zabarwione smutkiem.

– Nigdy mnie nie rozumiałaś, Caramonie.

Potem wyszedł ze szmerem czarnych szat, które szeleściły mu wokół kostek.

Tego wieczoru bankiet urządzono na świeżym powietrzu. Początki raczej nie były pomyślne.

Jedzenie ustawiono na długich, drewnianych ławach zbudowanych pośpiesznie z tratw, którymi przeprawiano się przez cieśninę. Reghar przybył z dużą eskortą, było w niej około czterdziestu krasnoludów. Darknight, wódz mieszkańców Równin, który swym surowym obliczem i dumną postawą ogromnie przypominał Caramonowi Riverwinda, przywiódł ze sobą czterdziestu wojowników. Z kolei Caramon wybrał czterdziestu swoich ludzi, którym mógł zaufać (a przynajmniej taką żywił nadzieję) i którzy mieli mocne głowy.

Kiedy grupy zaczęły wchodzić, Caramon domyślił się, że krasnoludowie będą siedzieć osobno, mieszkańcy Równin osobno i tak dalej. Żadne namowy nie skłonią ich do przemieszania się. Zgodnie z przewidywaniami, po przybyciu obu grup wszyscy obserwowali się nawzajem w ponurym milczeniu. Krasnoludowie zgromadzili się wokół swego przywódcy, mieszkańcy

Równin wokół swego, a ludzie Caramona spoglądali na to niepewnie.

Caramon stanął przed nimi. Przyodział się starannie, nakładając złotą zbroję i hełm z czasów igrzysk gladiatorских, i do tych to części odzieży kazał dorobić pozostałe fragmenty, tak aby całość do siebie pasowała. Ze swą opaloną na brąz skórą, niezrównaną budową muskularnego ciała i silną, urodziwą twarzą prezentował się imponująco. Nawet ponurzy krasnoludowie popatrzyli po sobie z podziwem, aczkolwiek z ociąganiem.

Caramon uniósł ręce.

– Witajcie, goście! – zawołał donośnym, tubalnym barytonem. – Bądźcie pozdrowieni. Jest to uczta przyjaźni dla zaznaczenia przymierza i nowo nawiązanej przyjaźni między naszymi rasami...

Przywitanie to spotkało się z lekceważącymi pomrukami i pogardliwymi parsknięciami. Jeden z krasnoludów nawet splunął na ziemię, na co kilku mieszkańców Równin złapało za łuki i zrobiło krok naprzód – taki bowiem gest uchodził wśród ludów Równin za śmiertelną obrazę. Wódz powstrzymał ich i Caramon ciągnął dalej, spokojnie ignorując zajście.

– Będziemy razem walczyć, być może razem umierać. Zaczniemy więc to nasze pierwsze spotkanie, siadając razem i dzieląc się chlebem oraz napojem jak bracia. Wiem, że niechętnie rozstaliście się ze swymi bliskimi i przyjaciółmi, lecz pragnę, byście nawiązali nowe przyjaźnie. Tak więc, aby pomóc nam zaprzyjaźnić się, postanowiłem urządzić wspólną zabawę.

Kiedy krasnoludowie usłyszeli te słowa, oczy stanęły im w ślup, a brody zaczęły drżeć. Dało się słyszeć cichy pomruk, który przypominał grzmot. Żaden dorosły krasnolud nie bawił się! Niektóre rozrywki jak „ciskanie kamieniem” i „rzut młotem” były uważane za sporty. Jednakże Darknight i jego ludzie poweseleli. Mieszkańcy Równin uwielbiali gry i zawody, które były uważane za niemal równie świetną zabawę, co wojowanie z sąsiednimi plemionami.

Caramon wskazał nowy, olbrzymi namiot w kształcie stożka, który wybudowano za stołami. Przyciągnął on niejedno podejrzliwe i zaciekawione spojrzenie zarówno krasnoludów, jak i mieszkańców Równin. Namiot wznosił się na sześć metrów, a na jego szczycie umieszczono proporczyk Caramona. Jedwabna flaga z dziewięcioramienną gwiazdą łopotała na wieczornym wietrze w blasku wielkiego ogniska, które płonęło w pobliżu.

Kiedy wszyscy gapili się na pawilon, Caramon chwycił za linę i mocno szarpnął. Płótno ze ścian namiotu spadło natychmiast na ziemię i na znak Caramona zostało odciągnięte na bok przez kilku małych, roześmianych chłopców.

– Co to za bzdury? – burknął Reghar, gładząc swój topór.

Pośrodku czarnego, grząskiego muru stał wielki, ciężki ślup – Jego wygładzona powierzchnia lśniła w świetle płomieni. Prawie u samego czubka znajdowała się okrągła platforma z litego drewna, w której wycięto kilka nieregularnych otworów.

Jednak to nie widok słupa ani platformy czy też błota był przyczyną nagłych okrzyków

zdumienia i podniecenia zarówno krasnoludów, jak i ludzi. Raczej widok tego, co było utkwione niemal na samym szczycie słupa. W blasku ognia lśnił miecz i topór, których skrzyżowane rękojeści rzucały iskry. Nie był to jednakże prymitywny, żelazny oręż, jaki wielu nosiło. Ten wykonano z najprzedniejszej stali, a wspinał robotę mógł dostrzec gołym okiem każdy, kto stał te sześć metrów w dole i mu się przyglądał.

– Na brodę Reorxa! – Reghar z drżeniem wziął głęboki oddech. – Toż ten topór wart jest całej naszej osady! Oddałbym pięćdziesiąt lat swego życia za taką broń!

Darknight, który wlepił wzrok w miecz, szybko zamrugał powiekami, gdyż gwałtowne łyż tęsknoty sprawiły, że broń rozmyła mu się w oczach.

Caramon uśmiechnął się. – Ten oręż należy do was! – ogłosił.

Darknight i Reghar spojrzeli na niego z osłupieniem.

– Jeśli... – ciągnął Caramon – zdołacie go stamtąd zdjąć!

Zarówno wśród krasnoludów, jak i ludzi podniósł się wielki harmider. Wszyscy natychmiast rzucili się do jamy, zmuszając Caramona do podniesienia głosu wśród tej ogólnej wrzawy.

– Regharze i Darknightcie, każdy z was może wybrać dziewięciu wojowników, którzy wam pomogą! Kto pierwszy dotrze do nagrody, może ją sobie wziąć!

Darknight nie potrzebował zachęty. Nie facygując się wzywaniem pomocy, wskoczył do błota i zaczął brodzić w nim w kierunku słupa. Jednakże z każdym krokiem w miarę zbliżania się do celu zapadał się coraz głębiej. Kiedy dotarł do pala, zapadł się po kolana w lepkiej mazi.

Reghar – ostrożniejszy – poświęcił chwilę na obserwowanie przeciwnika. Zawoławszy dziewięciu ze swych najmocniejszych ludzi do pomocy, wódz krasnoludów wszedł wraz z nimi w błoto. Cały oddział szybko zniknął, prawie natychmiast bowiem zatopiły ich ciężkie zbroje. Kompani pomogli im się wydostać. Ostatni wypełził Reghar.

Klnąc na każdego boga, który przychodził mu na myśl, krasnolud wyjął błoto z brody, a następnie zaczął zdejmować pancerz. Trzymając topór wysoko nad głową, zanurzył się ponownie w błocie, nawet nie czekając na eskortę.

Darknight stał już przy palu. Tuż przy podstawie muł nie był tak głęboki – pod nim znajdował się stały grunt. Wódz chwycił słupek rękoma, wyciągnął się z błota i oplótł pal nogami. Przesunął się w górę jakiś metr, uśmiechając się szeroko do swych współplemieńców, którzy dopingowali go okrzykami. Potem niespodziewanie zaczął się ześlizgiwać. Zacisnął zęby i rozpaczliwie starał się utrzymać, jednakże nadaremnie. Wreszcie wielki wódz ześlizgnął się na sam dół. Rozległy się szydercze ryki krasnoludów. Siedząc w błocie, zaciekle przyglądał się palowi. Słupek wysmarowano zwierzęcym tłuszczem.

Bardziej płynąc niż idąc, Reghar wreszcie dotarł do podstawy słupa. Do tego czasu znajdował się po pas w błocie, lecz wielka siła krasnoluda pchała go dalej naprzód.

– Odsuń się – warknął do rozgoryczonego mieszkańca Równin. – Użyj rozumu! Jeśli nie

możemy wejść, sprowadzimy sobie nagrodę na dół!

Z triumfalnym uśmiechem na upačkanej błotem, brodatej twarzy Reghar zamachnął się toporem i wymierzył potężny cios w słup.

Uśmiechając się pod nosem, Caramon skrzywił się z wyprzedzeniem.

Rozległ się donośny brzęk. Topór krasnoluda odskoczył od pala, jakby uderzył w górskie zbocze – słup wyciosano z grubego pnia drzewa żelaznego. Kiedy odbita siekiera wyskoczyła ze zdrętwiałych dłoni krasnoluda, impet ciosu prze – wrócił Reghara na plecy w błoto. Teraz była kolej, by roześmiali się mieszkańcy Równin – a nikt nie chichotał tak głośno, jak ich umazany błotem wódz.

Krasnolud i człowiek stali spięci, wbijając w siebie nawzajem ponury wzrok. Śmiech ucichł zastąpiony przez gniewne pomruki. Caramon wstrzymał oddech. Wtedy wzrok Reghara padł na wyszczerbioną siekierę, która powoli tonęła w mazi. Spojrzał na przepiękny topór, którego stal lśniła w blasku ognia i burknął coś do swych ludzi.

Towarzysze Reghara, rozebrani już ze zbroi, do tego czasu dotarli już do niego. Krzykiem i wymachiwaniem rękoma Reghar nakazał im ustawić się u podstawy śliskiego słupa. Następnie krasnoludowie zaczęli tworzyć piramidę. Trzech stanęło na dole, dwóch stanęło im na plecach, a potem jeszcze jeden. Dolny rząd zapadł się w błocie powyżej pasa, lecz stał mocno, znalazłszy wreszcie twardy grunt pod nogami.

Darknight przyglądał się temu przez chwilę w ponurym milczeniu, a potem zawołał dziewięciu swoich wojowników. Po chwili ludzie ustawili się tak samo. Ponieważ krasnoludowie byli niżsi, zmuszeni byli uczynić swą piramidę mniejszą u podstawy i przedłużyć ją po jednym krasnoludzie, by dotrzeć do szczytu. Reghar wspiął się na samym końcu. Stojąc na palcach na czubku piramidy kołyszących się i pojękujących krasnoludów, wyciągnął ręce z całej siły, by sięgnąć platformy – lecz nie był dość wysoki.

Darknight, który wspinał się po plecach swych własnych ludzi, z łatwością doszedł do spodu platformy. Potem śmiejąc się z ponurej miny ubłoconego Reghara, wódz chciał przejść przez jeden z otworów o dziwnym kształcie.

Nie mieścił się.

Przeciskanie się, przeklinanie i wstrzymywanie oddechu nic nie dało. Człowiek nie był w stanie przepchnąć swego żylastego ciała przez tę małą dziurę. W tym momencie Reghar skoczył w stronę platformy...

I nie trafił.

Krasnolud poszybował w powietrzu i wylądował z pluskiem w błocie na dole, a tymczasem impet jego skoku przewrócił całą piramidę krasnoludów, którzy posypali się na wszystkie strony.

Tym razem jednakże ludzie nie wybuchnęli śmiechem. Spojrzawszy w dół na Reghara, Darknight nagle sam zeskoczył. Wylądował obok krasnoluda, złapał go i wyciągnął na

powierzchnię mazi.

Do tego czasu obaj wyglądali jak nieboskie stworzenia, od stóp do głów umazani byli czarnym mułem. Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Wiesz – stwierdził Reghar, wycierając błoto z oczu że tylko ja zmieszczę się w tym otworze.

– A ty wiesz – wycedził Darknight przez zaciśnięte zęby – że tylko ja mogę cię tam podsadzić.

Krasnolud uściskał dłoń mieszkańca Równin. We dwóch szybko podeszli do ludzkiej piramidy. Darknight wspiął się pierwszy, stanowiąc ostatnie ogniwo w drodze na górę. Gdy Reghar wdrapał się na szczyt po ramionach ludzi i bez trudu przecisnął przez dziurę, wszyscy powitali to radosnymi okrzykami.

Po wgramoleniu się na platformę krasnolud chwycił rękojeść miecza i stylisko topora, unosząc je zwycięskim gestem nad głowę. Tłum zamilkł. I znów krasnolud i człowiek spojrzeli na siebie podejrzliwie.

Teraz nadeszła owa chwila!, pomyślał Caramon. Ile z Flinta widziałem w tobie, Regharze? Ile z Riverwinda w tobie, Darknighcie? Tyle od tego zależy!

Reghar spojrzał przez dziurę na surową twarz mieszkańca Równin. – Ten topór, który musiał wykuć sam Reorx, zawdzięczam tobie, mieszkańcu Równin. Będę zaszczycony, walcząc u twego boku. A jeśli masz walczyć ze mną, potrzebujesz przyzwoitego oręża!

Wśród radosnych okrzyków całego obozu podał Darknightowi przez otwór olbrzymi, błyszczący miecz.

Rozdział V

Bankiet przeciągnął się do późna w nocy. Polana huczała od śmiechu, okrzyków i dobrodusznych przekleństw wypowiedzianych w krasnoludzkich i plemiennych językach, jak również w mowie wspólnej i po solamnijsku.

Raistlinowi nietrudno było się wymknąć. Podczas hulanki nikt nie tęsknił za milczącym, cynicznym magiem.

Podczas powrotu do swego namiotu, który Caramon kazał mu odnowić, Raistlin nie wychylał się z cienia. W swych czarnych szatach był ledwo mignięciem ruchu widzianym kątem oka.

Unikał namiotu Crysanii. Stała w progu, przyglądając się z żalem na twarzy zabawie. Nie miała odwagi przyłączyć się. Wiedziała, iż obecność „czarownicy” mogłaby wyrządzić Caramonowi wielką szkodę.

Cóż za ironia, pomyślał Raistlin, że w tych czasach toleruje się czarodzieja w czarnych szatach, podczas gdy kapłankę Paladine’a lekceważy się i szykanuje.

Stąpając cicho w swych skórzanych, wysokich butach po polu, na którym obozowało wojsko, ledwie zostawiając odciski stóp na mokrej trawie, Raistlin dostrzegał w tym ponury rodzaj humoru. Spojrzawszy na konstelacje na niebie, przyjrzał się z lekką drwiną zarówno Platynowemu Smokowi, jak i Pięciogłowemu Smokowi, który znajdował się naprzeciwko niego.

Świadomość, że Fistantilusowi mogło się udać, gdyby nie nieprzewidziana interwencja jakiegoś nędznego gнома, przesyciła Raistlina mroczną radością. Według wszelkich jego obliczeń, najistotniejszym czynnikiem był ów gnom. Najwyraźniej zmienił czas, chociaż było niejasne, jak tego dokonał. Mimo to Raistlin doszedł do wniosku, iż wystarczy dostać się do górskiej twierdzy Zhaman, a stamtąd już łatwo będzie dostać się do Thorbardinu, odkryć owego gнома i go unieszkodliwić.

Czas – uprzednio zmieniony – wróci do swego prawidłowego nurtu. Tam, gdzie Fistantilus poniósł klęskę, jemu się uda.

Toteż tak samo, jak to uczynił przed nim Fistantilus, Raistlin poświęcił całą swą uwagę wojnie, aby upewnić się, że zdoła dotrzeć do Zhamanu. Razem z Caramonem ślęczeli długie godziny nad starymi mapami, studiując fortyfikacje, porównując to, co zapamiętali ze swych podróży po owych okolicach w mających dopiero nadejść czasach, i próbując zgadnąć, jakie zmiany mogły zajść.

Kluczem do zwycięstwa w bitwie było zdobycie Pax Tharkas.

A to, powtarzał często Caramon, ciężko przy tym wzdychając, wydawało się prawie niemożliwe.

– Jestem pewien, że Duncan ma tam mocną obstawę – twierdził Caramon, dotykając palcem

punktu na mapie, który oznaczał wielki fort. – Pamiętasz, jak wygląda ta forteca, Raist. Pamiętasz, jak jest zbudowana pomiędzy tymi niebotycznymi szczytami gór! Ci przekłeci krasnoludowie mogą się w niej bronić latami! Zamkną wrota, zrzucą skały z mechanizmu i utknęliśmy. O ile sobie przypominam, trze – ba było srebrnych smoków, by unieść te głazy – dodał ponuro wielki mężczyzna.

– Obejdźmy go – zasugerował Raistlin.

Carmon potrząsnął głową. – Którędy? – Przesunął palec na zachód. – Po jednej stronie jest Qualinesti. Elfowie przerobią nas na mięso i powieszą do wyschnięcia. – Przesunął się na wschód. – Tu są albo góry, albo morze. Nie mamy dość statków, żeby przepłynąć przez morze, i spojrz – przesunął palec w dół – jeśli wylądujemy tu, na południu, na tej pustyni, utknemy dokładnie w środku, z obydwoma flankami odsłoniętymi, pomiędzy Pax Tharkas na północy a Thorbardinem na południu.

Zwalisty mężczyzna krążył po pokoju, co jakiś czas zatrzymując się, by spojrzeć z irytacją na mapę.

Raistlin ziewnął, po czym wstał, kładąc lekko dłoń na ramieniu Caramona. – Pamiętaj o jednym, mój bracie podsumował cicho – Pax Tharkas padło!

Caramon spochmurniał na twarzy. – Aha – mruknął, rozgniewany przypomnieniem mu, że to tylko jakaś kolosalna gra, w której zdaje się brać udział. – Nie przypuszczam, żebyś pamiętał, w jaki sposób?

– Nie. – Raistlin pokręcił głową. – Ale na pewno padnie...

Przerwał, a potem powtórzył cicho: – Na pewno padnie!

Trzy przysadziste, ciemne postaci wypełzły z lasu, wystrzegając się świateł domku, ognisk obozowych, a nawet księżycy i gwiazd. Zawahały się na obrzeżach biwaku, jakby nie były pewne, dokąd się udać. Wreszcie jedna wyciągnęła rękę i coś wymamrotała. Dwie pozostałe pokiwały głowami teraz już szybkim krokiem wszystkie podążyły przez mrok.

Szły szybko, jednakże nie bezszelestnie. Żaden krasnolud nie umiał poruszać się po cichu, a ci sprawiali wrażenie hałaśliwszych niż przeciętni. Następowali na każdą kruchą gałązkę ze zgrzytem i grzechotem, mamrocząc przekleństwa podczas tego marszu na oślep.

Raistlin, który oczekiwał w ciemności namiotu, usłyszał z daleka ich zbliżanie się i pokręcił głową. Wziął to jednak pod uwagę w swych planach i umówił się na spotkanie o takiej porze, by radosna wrzawa przyjęcia zapewniła wystarczającą osłonę.

– Wejdźcie – rzucił krótko, gdy stukanie i tupanie podkutych żelazem buciorów ucichło tuż przed klapą wejściową namiotu.

Na chwilę zapadła cisza, której towarzyszyły ciężkie oddechy i stłumiony okrzyk, jako że nikt nie chciał być pierwszym, który dotknie namiotu. W odpowiedzi na to ktoś warknął przeklinając. Kłapa namiotu została gwałtownie odsunięta z taką siłą, że mocny materiał niemal

się rozerwał. Do środka wszedł krasnolud, najwyraźniej przywódca, zbliżał się bowiem śmiało, gdy tymczasem pozostali dwaj idący za nim denerwowali się i kulili.

Wódz krasnoludów pomimo nieprzeniknionej ciemności podszedł szybkim krokiem do stołu stojącego pośrodku namiotu. Po latach życia pod ziemią Dewarowie wykształcili zdolność doskonałego widzenia w mroku. Wieść niesła, że niektórzy z nich mieli nawet dar elfiego wzroku, który umożliwiał im widzenie blasku żywych istot w ciemnościach.

Jednakże bez względu na to, jak świetny był wzrok krasnoluda, nie pozwalał mu on dostrzec żadnych szczegółów ubranej na czarno postaci, która siedziała naprzeciw niego za biurkiem. Było to tak, jakby spoglądając w mrok najciemniejszej nocy, zobaczył coś jeszcze czarniejszego jakby niezmierną przepaść, która zniecka rozwierała się u jego stóp. Ten Dewar był silny i nieustraszony, a nawet obłąkańczo śmiały; jego ojciec zmarł jako wściekły szaleniec. Mimo to czarny krasnolud nie mógł opanować lekkich ciarek, które przeszły mu po karku i kręgosłupie.

Usiadł. – Wy dwaj – powiedział w języku krasnoludów do swych towarzyszy – pilnujcie wejścia.

Krasnoludowie skinęli głowami i szybko się odsunęli, uradowani możliwością oddalenia się od postaci w czarnej szacie i przykucnięcia przy wejściu, by wyglądać w mrok na zewnątrz. Niemniej jednak nagły błysk sprawił, że zerwali się zaniepokojeni. Ich wódz uniósł rękę, by osłonić oczy, klnąc przy tym – w żywy kamień.

– Zgaś światło... zgaś światło! – krzyknął w łamanej mowie powszechnej. Potem język stanął mu kołkiem i krasnolud był w stanie wydawać jedynie bełkotliwe dźwięki. Światło bowiem rzucała nie pochodnia czy świeca, lecz płomyk palący się w dłoni czarodzieja.

Wszyscy krasnoludowie są z natury podejrzliwi wobec magii i jej nie ufają. Niewykształceni, zabobonni Dewarowie bali się jej panicznie, tak więc nawet ta prosta sztuczka, którą umiał wykonać prawie każdy uliczny kuglarz, sprawiła, że krasnolud sapnął z przerażenia.

– Widzę tych, z którymi zawieram umowę – odezwał się Raistlin cichym szeptem. – Nie bój się, tego światła nikt nie dostrzeże z zewnątrz, a jeśli nawet, wszyscy będą przypuszczali, że studiuje.

Dewar powoli opuścił rękę, mrużąc boleśnie oczy w jasności. Jego dwaj kompani znów usiedli, tym razem jednakże jeszcze bliżej wyjścia z namiotu. Wódz Dewarów był tym, który gościł na zebraniu rady Duncana. Choć na jego twarzy widniało owo na poły szaleńcze, na poły wyrachowane okrucieństwo, jakie cechowało większość jego rasy, jego ciemne oczy błyszczały rozsądkiem i inteligencją, która czyniła go szczególnie niebezpiecznym.

Te oczy badały teraz siedzącego naprzeciwko maga z równą uwagą, z jaką mag przyglądał się jemu. Dewar był pod wrażeniem. Nie dbał o ludzi tak samo jak większość krasnoludów. Człowiek-czarodziej był podwójnie podejrzany. Dewar potrafił jednakże dobrze oceniać charaktery i z wąskich warg maga, wychudzonego oblicza i zimnych oczu wyczytał bezlitosną

żądze władzy, której mógł zaufać i którą mógł zrozumieć.

– Ty... Fistantilus? – burknął obcesowo Dewar.

– To ja. – Mag zamknął dłoń i płomyk zgasł, pogrążając ich ponownie w ciemności, za co przynajmniej krasnolud był niezmiernie wdzięczny. – Znam mowę krasnoludów, więc możemy rozmawiać w twoim języku. Prawdę powiedziawszy, nawet wolę tak, żeby nie było mowy o nieporozumieniu.

– Doskonale. – Dewar nachylił się w przód. – Jestem Argat, wódz mego klanu. Otrzymałem twoją wiadomość. Jesteśmy zainteresowani. Musimy jednak wiedzieć coś więcej.

– Chcesz powiedzieć „co z tego będziemy mieli”? rzekł drwiąco Raistlin. Wyciągnął smukłą rękę i wskazał na kąt swego namiotu.

Kiedy Argat spojrział we wskazanym kierunku, niczego nie zobaczył. Potem przedmiot w kącie zaczął jarzyć się, wpięrw słabo, a później z coraz większą siłą. Argat znów sapnął, lecz tym razem raczej ze zdumienia i niedowierzania niż obawy.

Nagle posłał Raistlinowi przenikliwe i podejrzliwe spojrzenie.

– Ależ proszę bardzo, idź sam, obejrzyj – powiedział Raistlin, wzruszając ramionami. – Prawdę powiedziawszy, możesz zabrać je ze sobą już dziś... jeśli dojdziemy do porozumienia.

Argat zerwał się ze swego krzesła i popędził w róg namiotu. Padł na kolana i zanurzył dłonie w skrzyni pełnej stalowych monet, które promieniały jasnym, magicznym blaskiem. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w bogactwo błyszczącymi oczyma, przesypując monety przez palce. Potem westchnął z drzeniem, wstał i wrócił na swoje miejsce.

– Masz plan?

Raistlin skinął głową. Czarodziejski blask monet przygasł, lecz słaba poświata stale przyciągała wzrok krasnoluda.

– Szpiedzy nam donieśli – powiedział Raistlin że Duncan planuje wyjść na spotkanie naszej armii na równinie przed Pax Tharkas, zamierzając nas tam pobić, a jeśli okaże się to niemożliwe, przynajmniej zadać nam ciężkie straty. Jeśli będziemy wygrywać, wycofa swe siły do fortecy, zatrzaśnie wrota i uruchomi mechanizm, który spuści tysiące ton skał i zablokuje bramy.

Z takimi zapasami żywności i broni, jakie tam zgromadził, może zaczekać, aż albo poddamy się i wycofamy, albo nadejdą posiłki z Thorbardinu i zamkną nas w dolinie. Czy mam rację?

Argat przeczeszał palcami czarną brodę. Wyciągnął nóż, podrzucił go w górę i zręcznie złapał. Zerknąwszy na maga, przerwał nagle i rozłożył szeroko ręce.

– Przepraszam. To gest zdenerwowania – oświadczył, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu. – Mam nadzieję, że cię nie zaniepokoiłem. Jeśli to cię denerwuje, mogę...

– Jeśli denerwuję się, potrafię sobie z tym poradzić zauważył łagodnie Raistlin. – Nie przerywaj sobie. Uczynił gest dłonią. – Spróbuj.

Krasnolud wzruszył ramionami i czując się nieswojo pod bacznym wzrokiem tych dziwnych

oczu, które wyczuwał, ale których nie potrafił dostrzec w cieniu czarnego kaptura, podrzucił nóż w powietrze...

Smukła, biała dłoń wyłoniła się z ciemności węzowym ruchem, chwyciła sztylet za rękojeść i zwinnie wbiła ostrą klingę w stół znajdujący się pomiędzy nimi.

Oczy Argata błysnęły. – Czary – warknął.

– Zręczność – rzekł chłodno Raistlin. – A teraz, czy będziemy kontynuować dyskusję, czy też bawić się w gry, w których celowałem w dzieciństwie?

– Twoje informacje są dokładne – mruknął Argat, chowając nóż. – Taki jest plan Duncana.

– Dobrze. Mój plan jest całkiem prosty. Duncan będzie w środku samej fortecy. Nie wyjdzie na pole walki. Wyda rozkaz zatrzaśnięcia bram.

Raistlin rozparł się w fotelu i złożył czubki długich palców. – Kiedy nadejdzie ten rozkaz, wrota nie zostaną zamknięte.

– Tak po prostu? – zadrwił Argat.

– Tak po prostu. – Raistlin rozłożył ręce. – Ci, którzy mieli je zatrzasnąć, zginą. Wystarczy tylko, żebyście przytrzymali bramę otwartą tylko przez kilka minut, póki nie uderzymy na nią. Pax Tharkas padnie. Wasi ludzie oddadzą broń i złożą propozycję przyłączenia się do nas.

– Proste, gdyby niejedna przeszkoda – stwierdził Argat, chytrze przyglądając się Raistlinowi. – Nasze domy, rodziny w Thorbardinie. Co się z nimi stanie, jeśli zdradzimy?

– Nic – rzekł Raistlin. Sięgnąwszy do sakwy u pasa, mag wydobyl zwinęty rulon z czarną wstążką. – Zaniesiesz to Duncanowi. – Podając go Argatowi, machnął ręką.

– Przeczytaj to.

Marszcząc brwi i wciąż spoglądając podejrzliwie na Raistlina, krasnolud wziął zwój, rozwiązał go i – zaniósłszy do skrzyni z monetami – przeczytał go przy ich wąłym, magicznym blasku.

Podniósł głowę i w osłupieniu spojrział na Raistlina. To... to w języku mojego ludu!

Raistlin pokiwał głową, nieco zniecierpliwiony. Oczywiście, a czego innego się spodziewałeś? Inaczej Duncan nie uwierzyłby.

– Ale – Argat wybałuszył oczy – ten język jest tajemnicą znaną tylko Dewarom i nielicznym innym, na przykład Duncanowi, królowi...

– Czytaj! – Poirytowany Raistlin machnął ręką. Nie mam całej nocy.

Klnąc pod nosem na Reonca, krasnolud przeczytał pergamin. Zajął mu to długą chwilę, choć słów było niewiele. Zamyślił się, gładząc swą gęstą, zmierzwioną brodę. Następnie wstał, zwinął ponownie pergamin i trzymał go w ręku, stukając nim powoli o dłoń.

– Masz rację. To wszystko rozwiązuje. – Znów usiadł i przyjrzał się magowi zmrużonymi, ciemnymi oczyma. – Chcę jednakże dać coś jeszcze Duncanowi. Nie tylko ten zwój. Coś... imponującego.

– A co twoja rasa uważa za „imponujące”? – spytał wykrzywiając wargi. – Kilka tuzinów porąbanych trupów...

Argat wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Głowę twojego generała.

Zapadła długa cisza. Żaden szmer, nawet szelest tkaniny nie zdradzał myśli Raistlina. Mag zdawał się nawet przestać oddychać. Cisza ciągnęła się tak długo, że Argatowi wydała się ona żywą istotą, tak bowiem była potężna.

Krasnolud zadrżał, a potem zrobił groźną minę. Nie, nie zrezygnuje ze swego żądania. Duncan będzie zmuszony ogłosić go bohaterem jak tego sukinsyna Kharasa.

– Zgoda. – Głos Raistlina był spokojny i nie zdradzał żadnych emocji. Mówiąc to, nachylił się nad stołem. Wyczuwając, że arcymag przysunął się bliżej, Argat cofnął się. Teraz już widział te błyszczące oczy, a ich niezgłębione, czarne, zimne czeluście przeniknęły go na wylot.

– Zgadzam się – powtórzył mag. – Dopilnuj tylko swojej części umowy.

Argat przełknął ślinę i uśmiechnął się blado. – Nie bez powodu nazywają cię Mrocznym, nieprawdaż, przyjacielu? – rzekł, próbując się zaśmiać. Wstał, wsuwając pergamin za pasek.

Raistlin nie odpowiedział, jedynie szelestem kaptura dał znać, że usłyszał. Argat wzruszył ramionami i dał znak swym kompanom, machając rozkazująco w stronę skrzyni w rogu. Podbiegłszy do niej, krasnoludowie spuścili wieko i zamknęli ją na klucz, który Raistlin wydobyl z fałd swej szaty i w milczeniu im podał. Chociaż krasnoludowie są przyzwyczajeni do dźwigania ciężarów bez trudu, ci dwaj stęknęli cicho podczas podnoszenia skrzyni. Argatowi oczy błyszczały z zadowolenia.

Dwaj krasnoludowie wyszli z namiotu przed swym wodzem. Niosąc ładunek, spieszenie podążyli ku bezpiecznemu mrokowi lasu. Argat odprowadzał ich wzrokiem, a następnie odwrócił się do czarodzieja, który znów był plamą czerni wewnątrz czerni.

– Nie martw się, przyjacielu. Nie zawiedziemy cię.

– Nie, przyjacielu – rzekł cicho Raistlin. – Nie zawiedziecie.

Argat drgnął, nie spodobał mu się bowiem ton maga.

– Widzisz, Argacie, te pieniądze są przeklęte. Jeśli mnie zdradzisz, ty i każdy, kto dotknął tych pieniędzy, zobaczycie, jak skóra na dłoniach wam czernieje, gnije i zaczyna odpadać. A kiedy twoje dłonie zmieniają się w krwawiącą masę cuchnącego ciała, zacnie ci czernieć skóra na rękach i nogach. Kiedy już nie będziesz mógł się utrzymać na gnijących stopach, padniesz trupem.

Argat wydał zdławiony, nieartykułowany dźwięk. Ty... ty kłamiesz! – zdołał wycharczeć.

Raistlin nic nie powiedział. Z tego, co Argat wiedział, równie dobrze mógł zniknąć z namiotu. Krasnolud nie widział maga, ani nawet nie potrafił wyczuć jego obecności. Usłyszał natomiast dochodzące z chaty wybuchy śmiechu, w chwili gdy drzwi otworzyły się na oścież, padła struga światła i krasnoludowie i ludzie wytoczyli się z wnętrza na świeże, nocne powietrze.

Klnąc pod nosem, Argat oddalił się pośpiesznie.

Jednakże podczas biegu gorączkowo wycierał dłonie w spodnie.

Rozdział VI

Brzask. Słońce Krynnu powoli wypełzało zza gór, prawie jakby wiedziało, jakie koszarne widoki dziś oświetli. Czasu jednakże nie można było zatrzymać. Kiedy wreszcie słońce pojawiło się nad górskimi szczytami, zostało powitane radosnymi okrzykami i uderzaniem mieczami w tarcze przez tych, którzy być może widzieli świt ostatni raz w swym życiu.

Wśród wiwatujących był Duncan, król górskich krasnoludów. Stojąc na blankach wielkiej twierdzy Pax Tharkas otoczony przez swych generałów, słyszał, jak wokół coraz potężniej rozbrzmiewają ochryple, głębokie głosy jego ludzi i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Tylko jeden krasnolud się nie cieszył. Duncan nawet nie musiał na niego patrzeć, żeby uświadomić sobie tę ciszę, która grzmiała w jego sercu równie głośno, jak okrzyki grzmiały mu w uszach.

Z dala od innych stał Kharas, bohater krasnoludów. Wysoki, wspaniały w swej lśniącej zbroi, z młotem zaciśniętym w ogromnych dłoniach, spoglądał na wschód słońca, i gdyby ktoś popatrzył na niego, zobaczyłby łzy spływające mu po twarzy.

Jednakże nikt nie patrzył. Wszyscy starannie unikali wzrokiem Kharasa. Nie dlatego, że płakał, choć krasnoludowie uważają łzy za dziecinną słabość. Nie, nie dlatego wszyscy odwracali od niego oczy, że Kharas płakał. To dlatego, że kiedy łzy ciekły, spływały bez przeszkód po jego nagiej twarzy.

Kharas zgolił brodę.

Nawet kiedy Duncan badał wzrokiem równiny przed Pax Tharkas i ogarniał umysłem rozmieszczenie wojsk przeciwnika, który zajmował pozycje na jałowej równinie, migocząc w słońcu grotami swych włóczni, wciąż czuł ten olbrzymi szok, jaki wstrząsnął jego duszą owego poranka na widok Kharasa wychodzącego na blanki z gołą twarzą. Krasnolud trzymał w dłoniach długie, wijące się warkocze swej zadbanej brody i na oczach zdjętych zgrozą towarzyszy wyrzucił je za mury.

Broda jest dziedzictwem krasnoluda, dumą jego samego i dumą jego rodu. Na czas żałoby krasnolud może nie czesać brody z wielkiego żalu, lecz tylko jedno skłoni go do zgolenia zarostu. To hańba. Brak brody jest znakiem pohańbienia – karą za morderstwo, karą za kradzież, karą za tchórzostwo, karą za dezercję.

– Dlaczego? – Tylko o tym potrafił pomyśleć ogłuszony Duncan.

Nie odrywając wzroku od gór, Kharas odparł szorstkim i łamiącym się jak skała głosem. – Biorę udział w tym boju tylko dlatego, że mi rozkażałeś, thanie. Złożyłem ci przysięgę wierności i honorem jestem zobowiązany jej dotrzymać. Niemniej jednak, mimo iż walczę, chcę, by wszyscy wiedzieli, że nie znajduję honoru w zabijaniu mych rodaków, ani nawet ludzi, którzy niejedną raz walczyli u mego boku. Niechaj wszyscy wiedzą, że od tego dnia Kharas żyje

w hańbie.

– Pięknie będziesz wyglądał w oczach swych podkomendnych! – odparł z goryczą Duncan.

Kbaras jednakże zamknął usta i nie chciał nic więcej powiedzieć.

– Thanie! – zawołało kilku żołnierzy naraz, przyciągając uwagę Duncana z powrotem ku nizinie. On jednakże również zauważył z tej odległości cztery maleńkie jak zabawki postaci, które oderwały się od armii i jechały w stronę Pax Tharkas. Trzy z nich niosły łopoczące sztandary. Czwarta miała w ręku jedynie laskę, z której biło jasne, czyste światło widoczne w narastającym blasku dnia nawet z tak daleka.

Dwa z nich Duncan oczywiście rozpoznał natychmiast. Proporzec krasnoludów podgórskich ze swym aż zbyt znajomym znakiem młota i kowadła powtarzała w innych kolorach własna chorągiew Duncana. Flagi mieszkańców Równin nie widział wcześniej, ale poznał ją od razu. Pasowała do nich – umieszczono na niej symbol wiatru świszczącego nad stepową trawą. Krasnolud przypuszczał, że trzeci sztandar musi należeć do tego nowobogackiego generała, który pojawił się nie wiadomo skąd.

– Ha! – parsknął Duncan, przyglądając się pogardliwie fladze z dziewięcioramienną gwiazdą.

– Z tego, co wszyscy słyszeliśmy, powinien nieść chorągiew ze znakiem cechu złodziejskiego połączonym z ryczącą krową!

Generałowie wybuchnęli śmiechem.

– Albo ze zwiędłymi różami – zasugerował któryś. – Słyszałem, że wśród jego złodziei i chłopów jedzie wielu rycerzy solamnijskich.

Cztery postaci z furkoczącymi chorągiewami galopowały przez równinę w kłębach kurzu wzbijanego przez kopyta ich koni.

– Ten czwarty, w czarnych szatach, to będzie ten czarnoksiężnik, Fistantilus? – spytał burkliwym tonem Duncan, tak marszcząc grube brwi, że niemal zasłoniły mu. Krasnoludowie nie mają talentu do magii, toteż gardzą i nie ufają jej jak niczemu innemu.

– Tak, thanie – odparł generał.

– Z nich wszystkich jego lękam się najbardziej – mruknął posepnie Duncan.

– Też coś! – Stary generał pogładził się z samozadowoleniem po długiej brodzie. – Nie musisz obawiać się tego czarodzieja. Nasi szpiedzy twierdzą, że z jego zdrowiem krucho. Rzadko używa czarów, jeśli w ogóle, większość czasu przesiaduje w swym namiocie. Poza tym trzeba byłoby całej armii równie potężnych jak on czarodziejów, żeby zdobyć tę fortecę magią.

– Chyba masz rację – rzekł Duncan, podnosząc rękę, by pogłaskać się po brodzie. Zauważywszy Kharasa kątem oka, zatrzymał dłoń i nagle poczuwszy zakłopotanie, raptownie schował ręce za plecami. – Mimo to nie spuszczaście go z oka. – Podniósł głos. – Strzelcy wyborowi! Mieszek złota dla każdego, czyja strzała utkwi między żebrami tego czarnoksiężnika.

Rozległ się donośny i radosny okrzyk, który natychmiast ucichł, gdy czwórka osób

zatrzymała się przed twierdzą. Przywódca, którym był generał, uniósł rękę z otwartą dłonią w prastarym geście pertraktacji. Duncan przemaszerował po murach, wdrapał się na kamienny blok, który umieszczono tam właśnie w tym celu, wziął się pod boki, rozstawił nogi i spojrzał w dół z zaciętą miną.

– Chcemy rozmawiać! – krzyknął z dołu generał Caramon. Jego głos zagrzemiał i odbił się echem od zboczy stromych gór, które okalały fortecę.

– Wszystko już zostało powiedziane! – odparł Duncan, którego głos zabrzmiał prawie tak samo potężnie, choć krasnolud był mniej więcej jednej czwartej rozmiarów ogromnego człowieka.

– Dajemy wam ostatnią szansę! Zwróćcie swym pobratymcom to, co im się należy! Oddajcie tym ludziom, co im zabraliście. Podzielcie się swym niezmiernym bogactwem. W końcu martwi nie mogą go wydawać!

– Nie, ale wy, żywi, znaleźlibyście na to sposób, prawda? – zahuczał w odpowiedzi szydery głos Duncana.

To, co mamy, zarobiliśmy ciężką pracą w swych domach pod górami, a nie włóczęgami po pustkowiach w towarzystwie dzikich barbarzyńców. Oto nasza odpowiedź!

Duncan podniósł rękę. Strzelcy wyborowi, którzy już czekali w pogotowiu, napięli swe haki. Duncan spuścił rękę i setki strzał świsnęły w powietrzu. Krasnoludowie na murach zaczęli się śmiać, mając nadzieję ujrzeć, jak cztery osoby zawracają konie i uciekają w popłochu w obawie o swe życie.

Śmiech im jednakże zamarł na ustach. Postaci nie poruszyły się na widok strzał lecących do nich łukiem w dół. Czarodziej w czarnej szacie wznosił rękę. W tym samym czasie grot każdej ze strzał stanął w płomieniach, drzewce zmieniły się w dym i po chwili nic po nich nie zostało w jaskrawym świetle poranka.

– A oto nasza odpowiedź! – Srogi, zimny głos generała powędrował w górę. Mężczyzna zawrócił konia i pogalopował do swojego wojska, osłaniany z obu stron przez ubranego na czarno czarodzieja, krasnoluda podgórskiego i mieszkańca Równin.

Kiedy Duncan usłyszał ponure szepty wśród swych ludzi i dostrzegł wymieniane między nimi posępne, niepewne spojrzenia, stanowczo zdusił własne chwilowe zwątpienie i odwrócił się ku nim z brodą drżącą z gniewu.

– Co to ma znaczyć? – zapytał wściekle. – Przestraszyły was sztuczki jakiegoś ulicznego kuglarza? Kim ja dowodzę, armią mężczyzn czy może dzieci?

Widząc, jak żołnierze pospuszczali głowy i zaczerwienili się, Duncan zszedł ze swego podwyższenia. Pomaszerował na drugą stronę muru obronnego i spojrzał w dół na ogromny dziedziniec potężnej fortecy, który tworzyły nie wykonane ręką człowieka mury, lecz naturalne ściany samych gór. Zbocza były usiane grotami. Zazwyczaj z ich ziejących otworów buchał dym

i dochodziły odgłosy wydobywania Detalu i przetapiania go na stal. Kopalnie jednakże były tego dnia zamknięte, podobnie jak huty.

Tego poranka na dziedzińcu roilo się od krasnoludów.

Zakuci w ciężkie zbroje dźwigali tarcze, topory i młoty, ulubioną broń piechoty. Wszyscy wzniesli głowy, gdy Duncan pojawił się i znów dało się słyszeć radosne wiwaty, które uprzednio przycichły na chwilę.

– Wojna! – krzyknął Duncan ponad wrzawą, unosząc ręce.

Okrzyki nasiliły się, a potem ustały. Po chwili ciszy głębokie głosy krasnoludów zaintonowały pieśń:

*Pod wzgórzami serce topora
Powstaje z popiołów nieruchomego jądra ognia,
Rozpalane i bite miotem stylisko dodane po namyśle,
Wzgórza bowiem wykuwają pierwsze tchnienie wojny.
Serce żołnierza jest ojcem i bratem
Pola bitwy.
Wróć w chwale
Lub na tarczy.*

*Przybywszy z gór pośrodku przestworzy,
Topory snują sen, snują sen o skale,
O metalu żyjącym przez wieki rudy,
Kamień na metalu, metal na kamieniu.
Serce żołnierza zawiera i wyśni sobie
Pole bitwy.
Wróć w chwale
Lub na tarczy.*

*Czerwień żelaza wyobrazonego z żyły.
Zieleń mosiądzu, zieleń miedzi
Zaiskrzyła się w ogniu kuźni świata,
I spaliła w swym śnie, zagłębiając w kości.
Serce żołnierza pada, uzupełnia
Pole bitwy.
Wróć w chwale
Lub na tarczy.*

Czując, jak dzięki pieśni serce mu bije żywiej, Duncan stwierdził, że jego wątpliwości znikają niczym strzały, które rozplynęły się w nieruchomym powietrzu. Generałowie już zstępowali z murów, spieszenie zajmując swe stanowiska. Tylko jeden został – Argat, generał Dewarów. Został również Kharas. Duncan obejrzał się na Kharasa i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć.

Jednakże bohater krasnoludów posłał tylko swemu królowi posępne, pełne cierpienia spojrzenie, a następnie skłoniwszy się swemu thanowi, odwrócił się i odszedł wraz z innymi, by stanąć na czele jednego z pułków piechoty.

Duncan posłał mu wściekłe spojrzenie. – Niech mu Reonc podpali brodę! – mruknął, idąc za nim. Chciał być obecny przy otwieraniu wielkich wrót i wymarszu swych wojsk na równiny. – Co on sobie wyobraża? Moi własni synowie nie śmieliby zachować się tak wobec mnie! Nie można na to dłużej pozwalać. Po bitwie zobaczy, gdzie jest jego miejsce.

Burcząc pod nosem, Duncan prawie doszedł już do schodów wiodących w dół, gdy poczuł, że ktoś go chwyta za ramię. Podniósł głowę i zobaczył Argata.

– Proszę cię, królu – rzekł krasnolud w swej prymitywnej mowie – żebyś jeszcze raz pomyślał. Nasz plan jest dobry. Porzuć ten nic niewart kawał skały. Niech go sobie wezmą. – Wskazał wojsko na równinie. – Oni jej nie umocnią. Kiedy wycofamy się w głąb Thorbardinu, oni pobiegną za nami na nizinę. Wtedy my odbijemy Pax Tharkas i... bam – czarny krasnolud klasnął w dłonie – mamy ich! Schwytny ich pomiędzy Pax Tharkas na północy i Thorbardinem na południu.

Duncan przyglądał się Dewarowi chłodnym wzrokiem. Argat przedstawił tę strategię na naradzie wojennej i Duncan wtedy zastanawiał się, jakim sposobem on to wymyślił. Dewarowie zazwyczaj mało interesowali się sprawami militarnymi, troszcząc się tylko o jedno – swoją część łupów.

Czyżby to sprawka Kharasa, który znów próbował wykręcić się od walki?

Duncan gniewnie odtrącił rękę Dewara. – Pax Tharkas nigdy nie padnie! – rzekł. – Twoja strategia jest strategią tchórze. Niczego nie odstąpię temu motłochowi, ani miedziaka, ani grudki ziemi! Prędzej tutaj skonam!

Duncan oddalił się człapiącym krokiem i zszedł z grzechotem po schodach, z najeżoną gniewnie brodą.

Odprawiający go wzrokiem Argat skrzywił szyderczo wargi. – Może ty zginiesz na tej nędznej skale, królu Duncanie, ale nie Argat. – Odwróciwszy się ku dwóm Dewarom, którzy stali w cieniu głębokiego narożnika, czarny krasnolud dwukrotnie skinął głową. Krasnoludowie pokiwali głowami w odpowiedzi, po czym szybko się oddalili.

Stojąc na murach, Argat przyglądał się słońcu, które coraz wyżej wspinało się po niebie.

Zatroskany krasnolud zaczął w roztargnieniu trzeć dłońmi o swą skórzaną zbroję, jakby próbował je wyczyścić.

Najwyższy Gug nie był pewny, ale miał wrażenie, że dzieje się coś złego.

Choć Najwyższy Gug nie był wybitnie spostrzegawczy i niewiele rozumiał ze skomplikowanych taktyk i strategii wojennych, niemniej jednak przyszło mu do głowy, że krasnoludowie wracający zwycięsko z pola walki nie wchodzą do fortecy chwiejnym krokiem, brocząc krwią, i nie padają martwi u jego stóp.

Jednego czy dwóch mógłby uznać za ofiary wojny, lecz liczba zachowujących się podobnie krasnoludów wydawała się rosnąć w prawdziwie zastraszającym tempie. Najwyższy Gug postanowił sprawdzić, czy uda mu się zobaczyć, co się dzieje.

Zrobił dwa kroki naprzód, a potem, słysząc piekielny rumor za swymi plecami, zatrzymał się. Westchnął ciężko i odwrócił się. Zapomniał o swych kompanach.

– Nie, nie, nie! – krzyknął ze złością Najwyższy Gug, wymachując rękoma w powietrzu. – Ile razy ja wam mówiłem? Siedz Tu! Siedz Tu! Król powiedziec Najwyższemu gugowi „Wy gugowie Siedzic Tu!” to znaczy Siedzic Tu! Zrozumieliście?

Najwyższy Gug zmierzył swą kompanię surowym spojrzeniem sprawiając, że ci, którzy jeszcze trzymali się na nogach i byli w stanie spojrzeć mu w oko (drugiego mu brakowało), zatrzęśli się ze wstydu. Ci krasnoludowie źlebowi, którzy potknęli się o własne piki, ci, którzy je wypuścili z rąk, ci, którzy w zamęcie przypadkowo dźgnęli sąsiada piką, ci, którzy leżeli plackiem na ziemi, i ci, którzy zupełnie zawrócili i dzielnie spoglądali na tyły, usłyszeli głos swego dowódcy i zadrżeli z trwogi.

– Słuchajcie, wy gulfungerowe szumowiny – warknął Najwyższy Gug, sapiąc głośno – ja iść zobaczyć, co tam się dzieć. Nie wygląda dobrze, wszyscy tak wracają do fortu. Nie śpiewają, tylko krwawią. Król nie tak powiedział Najwyższemu Gugowi. Więc Ja Idę. Wy Siedzic Tu. Zrozumieliście? Powtórzyć.

– Ja Idę – powtórzyło posłusznie jego wojsko. Wy Siedzic Tu.

Najwyższy Gug wydierał sobie brodę. – Nie! Ja Idę! Wy... Och, nieważne! Kiedy odmaszerował rozwścieczony, znowu usłyszał za swymi plecami odgłos pik padających na ziemię.

Być może na szczęście Najwyższy Gug nie musiał daleko iść. Gdyby było inaczej, po powrocie zastałby mniej więcej połowę swego oddziału nieżywą, nadzianą na groty swych własnych pik. A tak, zdołał odkryć wszystko, co mu było potrzebne, i powrócić do swych żołnierzy, zanim niechcący zabili więcej niż może pół tuzina.

Najwyższy Gug zrobił zaledwie około dwudziestu kroków, gdy wyszedł za róg i niemal wpadł na Duncana, swego Króla. Duncan nie zauważył go, stał bowiem do niego plecami. Król był pochłonięty rozmową z Kharasem i kilkoma oficerami dowodzącymi. Zrobiwszy spieszny

krok do tyłu, Najwyższy Gug przyglądał się i słuchał z niepokojem.

W odróżnieniu od wielu krasnoludów wracających z pola walki, których ciężkie zbroje płytowe były tak powgniatane że wyglądały, jakby ich właściciele sturlali się z kamienistego zbocza góry, pancerz Kharasa był poobijany tylko w niektórych miejscach. Ręce bohater miał unurzane we krwi po łokcie, lecz była to krew wroga, a nie jego własna. Niewielu było takich, którzy potrafili obronić się przed mocarnymi ciosami młota, którym władał. Nie sposób było zliczyć zabitych, którzy padli z ręki Kharasa, choć wielu zastanawiało się w ostatniej chwili swego życia, dlaczego wysoki krasnolud szlochał tak gorzko, gdy wymierzał śmiertelny cios.

Jednakże teraz Kharas nie płakał. Zabrakło mu zupełnie łez. Sprzeczał się ze swym królem.

– Zostaliśmy pokonani na polu, thanie – rzekł surowo. – Generał Ironhand miał rację, nakazując odwrót. Jeśli chcesz utrzymać Pax Tharkas, musimy wycofać się i zatrzaskać wrota zgodnie z planem. Pamiętaj, że nie była to chwila, jakiej nie przewidzieliśmy, thanie.

– Niemniej jednak chwila hańby – warknął Duncan, klnąc siarczyście. – Pobici przez bandę złodziei i wieśniaków!

– Ta banda złodziei i wieśniaków została dobrze wyszkolona, thanie – stwierdził z powagą Kharas, a generałowie z ociąganiem przyznali mu rację skinięciami głowy.

– Mieszkańcy Równin czerpią chwałę z bitwy, a nasi rodacy walczą z wrodzoną sobie odwagą. A potem ze wzgórz ruszyła na nas nawałnica rycerzy solamnijskich na koniach.

– Musisz wydać rozkaz, thanie! – powiedział jeden z generałów. – Albo przygotujmy się na śmierć, tak jak stoimy.

– Zamknijcie więc te przeklęte wrota! – krzyknął ze złością Duncan. – Nie zwalnijcie jednak mechanizmów. Powstrzymajcie się z tym do ostatniej chwili. Może nie będzie takiej potrzeby. Drogo będzie ich kosztowała próba wyważenia bramy, a ja chcę móc się stąd wydostać bez konieczności usuwania ton skały.

– Zamknąć wrota! – krzyknęło wiele głosów.

Wszyscy na dziedzińcu, żywi, ranni, a nawet konający, Zwrócili głowy, by zobaczyć, jak masywne odrzwia zatrząskują się – Wśród patrzących był Najwyższy Gug, który wytrzeszczał zatrwożone oczy, pełne jednak podziwu. Słyszał tych wielkich wrotach – jak bezgłośnie poruszały się na gigantycznych, naoliwionych zawiasach, które działały tak sprawnie, że wystarczyło po dwóch krasnoludów z każdej strony, by je zamknąć. Najwyższy Gug był trochę rozczarowany, kiedy usłyszał, że mechanizm nie zostanie uruchomiony. Żałował, że go ominie widok ton spadających kamieni, które blokują bramę.

Niemniej jednak i to powinno być dość zabawne...

Przy następnym spojrzeniu Najwyższy Gug wstrzymał oddech i omal się nie udusił. Kiedy popatrzył na bramę, zobaczył, co jest za nią, i ten widok go sparaliżował.

W jego stronę pędziła wielka armia. I to nie była jego armia!

Co oznaczało, że musiał być to nieprzyjaciel, jak stwierdził po chwili dłuższego zamyślenia, w tym konflikcie bowiem – o ile wiedział – brały udział tylko dwie strony – jego i ich.

Zbroje rycerzy solamnijskich błyszcząły jasno w słońcu południa, ich tarcze rzucały odbłyśki, a obnażone miecze iskrzyły się. Za nimi zbliżała się piechota. Armia Fistantilusa mknęła ku twierdzy, mając nadzieję dotrzeć tam, zanim brama zostanie zatrzaśnięta i zablokowana. Nieliczni krasnoludowie górscy, którzy mieli dość odwagi, by stanąć im na drodze, zostali zmieceni przez lśniąca stal i stratowani Przez końskie kopyta.

Wróg był coraz bliżej. Najwyższy Gug nerwowo przełknął ślinę. Nie znał się za bardzo na wojskowych manewrach, ale wydawało mu się, że byłby to doskonały moment na zamknięcie bramy. Wyglądało na to, że generałowie myśleli tak samo, wszyscy bowiem biegli właśnie w tym kierunku krzycząc i wrzeszcząc.

– W imię Reorxa, czemu trwa to tak... – zaczął Duncan Nagle Kharas zbladł.

– Duncanie – rzekł cicho – zostaliśmy zdradzeni. Musisz natychmiast uciekać.

– C-co takiego? – wyjąkał oszołomiony Duncan. Stając na palcach, nadaremnie próbował zobaczyć cokolwiek ponad głowami kłębiącego się na dziedzińcu tłumu. Zdradzeni? Jak...?

– Dewarowie, thanie – rzekł Kharas, który przy swym nadzwyczajnym wzroście widział, co się działo. Najwyraźniej zamordowali stróżów przy wrotach i teraz walczą, by nie zamknięto bramy.

– Zabić ich! – Duncan spienił się ze złości, aż ślina mu pociekła po brodzie. – Zabić ich wszystkich! – Król krasnoludów wyciągnął swój miecz i rzucił się naprzód. Osobiście...

– Nie, thanie! – Kharas złapał go i odciągnął do tyłu. – Za późno! Chodźmy, musimy dotrzeć do gryfów! Musisz wracać do Thorbardinu, mój królu!

Duncan jednakże był głuchy na głos rozsądku. Wyrwał się Kharasowi jak opętany. Wreszcie młodszy krasnolud z ponurą miną zacisnął wielką pięść i uderzył króla prosto w szczękę. Duncan zatoczył się od tego ciosu do tyłu, lecz nie upadł.

– Zapłacisz za to głową! – zaklął król, ściskając w osłabionej dłoni rękojeść miecza. Kolejny cios Kharasa dokończył jednakże robotę. Duncan zwałił się na ziemię i leżał spokojnie.

Z pełną żalu miną Kharas nachylił się, uniósł króla w płytowej zbroi, stęknął i przerzucił go sobie przez ramię. Zawoławszy kilku z tych, którzy jeszcze byli w stanie walczyć, aby go osłaniali, Kharas pośpieszył z nieprzytomnym królem do czekających gryfów.

Najwyższy Gug gapił się na zbliżające się wojsko z pełną trwogi fascynacją. W jego głowie bez przerwy rozbrzmiewał ostatni rozkaz, jaki wydał mu Duncan: „Siedzieć Tu”.

Odwrócić się i pobiec z powrotem do swoich żołnierzy, to właśnie zamierzał uczynić Najwyższy Gug.

Choć krasnoludowie zlebowi cieszą się zasłużoną reputacją najtchórzliwszej rasy żyjącej na Krynnie, potrafią zapędzeni w kąt – bić się z zaciekłością, która zazwyczaj zdumiewa wroga.

Większość armii jednakże wykorzystuje krasnoludów żlebowych jedynie na stanowiskach pomocniczych, trzymając ich z tyłu najdalej jak to możliwe, ponieważ istnieją niemal równe szansę, że regiment krasnoludów żlebowych wyrządzi tyle samo szkód swojej stronie, co zdoła zadać wrogowi.

Tak więc Duncan wystawił jedyny oddział krasnoludów żlebowych obecnie stacjonujący w Pax Tharkas – byli to dawniejsi robotnicy z kopalni – na środku dziedzińca i kazał im siedzieć tam, sądząc, że będzie to najlepszy sposób, by nie nawarzyli nikomu piwa. Na wszelki wypadek dał im piki, gdyby szarża kawalerii wroga wdarła się przez bramy twierdzy.

Właśnie tak się działo. Widząc pędzącą na nich armię Fistantilusa i wiedząc, że są uwięzieni i pokonani, wszyscy krasnoludowie w Pax Tharkas wpadli w panikę.

Nieliczni zachowali trzeźwy umysł. Strzelcy wyborowi stojący na murach zasypywali nadchodzącego wroga deszczem strzał, nieco zwalniając ich tempo. Kilku dowódców gromadziło swe pułki i gotowało się do walki podczas odwrotu w góry. Większość jednakże po prostu pierzchła w obawie o swe życie, szukając schronienia wśród okolicznych wzgórz.

Wkrótce tylko jedna grupa stała na drodze nadchodzącego wojska – krasnoludowie żlebowi.

– Teraz – spieszenie zawołał Najwyższy Gug do swych żołnierzy, kiedy wrócił strasznie zasapany. Jego twarz pod warstwą brudu była blada, lecz krasnolud był spokojny i opanowany. Polecono mu Siedzieć Tu i, na brodę Reorxa, będzie Tu Siedzieć.

Widząc jednak, że większość jego ludzi zaczyna się odsuwać, wytrzeszczając oczy na widok galopujących z dudnieniem koni, które widać było przez otwartą bramę, Najwyższy Gug postanowił, że czas na małe pokrzepienie ducha.

Szkoląc swych żołnierzy na taką okazję, Najwyższy Gug nauczył ich również pieśni wojennej, z której był całkiem dumny. Na nieszczęście krasnoludowie nigdy jeszcze nie zaśpiewali jej prawidłowo.

– A teraz – krzyknął – co mi dajecie?

– Śmierć! – wszyscy jego żołnierze krzyknęli jak jeden mąż.

Najwyższy Gug wcisnął głowę w ramiona. – Nie, nie, nie! – wrzasnął poirytowany i tupnął nogą. Jego ludzie popatrzyli na siebie zasmuceni.

– Powtarzam wam, wy gulfluddery, ma być...

– Wierność do śmierci! – krzyknął nagle triumfalnie jeden z nich.

Pozostali zmierzylili go wrogimi spojrzzeniami, mamrocząc „brązowy nos”. Jeden zazdrosny sąsiad nawet szturchnął go piką w plecy. Na szczęście był to rylec oreża (krasnolud trzymał broń do góry nogami), bo inaczej mógłby mu wyrządzić poważną krzywdę.

– Teraz – rzekł Najwyższy Gug, starając się nie zwracać uwagi na tętent kopyt, który coraz głośniejsz rozbrzmiewał za jego plecami. – Spróbujemy jeszcze raz. Co mi dajecie?

– Wie-wier... ność do... śmier... śmier... ci. – Zabrzmiało to raczej mizernie, wielu

krasróludów bowiem potykało się na trudnych słowach. Temu okrzykowi z pewnością brakowało donośności (albo entuzjazmu) pierwszej wersji.

Ktoś z tyłu podniósł rękę.

– No, co tam, gugu Snug? – warknął Najwyższy Gug.

– My musimy dać... wier... ność do śmierci po śmierci? Najwyższy Gug spojrział na niego wściekle swym jedynym zdrowym okiem.

– Nie, ty fungerłopie – warknął, zgrzytając zębami. – Śmierć albo wierność do śmierci. Zależy, co będzie pierwsze.

Krasróludowie żlebowi wyszczerzyli zęby w uśmiechu, niezmiernie tym pocieszeni.

Najwyższy Gug potrząsnął głową i mamrocząc, odwrócił się do nacierającego wroga. – Nastawić piki! – krzyknął.

To był błąd, zrozumiał to natychmiast po wypowiedzeniu tych słów, gdy usłyszał za swymi plecami straszny rumor, tumult i przekleństwa (oraz kilka jęków bólu).

Jednak wtedy to już było nieważne.

Słońce zaszło w krwawych oparach, zanurzając się w milczące lasy Qualinesti.

W Pax Tharkas panowała cisza, albowiem potężna forteca padła tuż po południu. Popołudnie spędzono na utarczkach z grupkami krasróludów, którzy wycofywali się w góry, nie zaprzestając walki. Wielu uciekło, jako że szarża konnicy została powstrzymana skutecznie przez mały oddział pikinierów, którzy po wdarciu się wroga do wnętrza nie ustąpili pola i zaciekle nie chcieli ruszyć się z miejsca ani o włos.

Kharas z nieprzytomnym królem w ramionach odleciał na grzbiecie gryfa z powrotem do Thorbardinu w towarzystwie tych oficerów Duncana, którzy jeszcze żyli.

Resztką armii górskich krasróludów, która wśród jaskiń i skał ośnieżonych przełęczy czuła się jak u siebie w domu, wracała do Thorbardinu pieszo. Dewarowie, którzy zdradzili swych rodaków, pili zdobywcze piwo Duncana i przechwalali się swymi czynami, podczas gdy większość wojsk Caramona patrzyła na nich z odrazą.

Tego wieczoru po zachodzie słońca dziedziniec pełen był krasróludów i ludzi świętujących zwycięstwo, i oficerów, którzy nadaremnie starali się powstrzymać grożącą zalaniem wszystkich falę pijaństwa. Krzykami, groźbami i rozbiciem kilku łbów zdołali oderwać wystarczającą liczbę żołnierzy, by wystawić wartę i utworzyć oddziały do grzebania poległych.

Crysania przeszła swą próbę krwi. Choć czujny Caramon trzymał ją z dala od bitwy, po wejściu do fortu zdołała mu się wymknąć. Zawinięta w pelerynę z kapturem krążyła teraz wśród rannych i potajemnie uzdrawiała tam, gdzie było to możliwe bez ściągania na siebie zbytnej uwagi. W późniejszych czasach ci, którzy przeżyli, opowiadali swym prawnukom, że widzieli noszącą na szyi jasne światło kobietę w białej szacie, która dotykała ich łagodnymi dłońmi i uwalniała od bólu.

Caramon tymczasem był na spotkaniu ze swymi oficerami w komnacie w Pax Tharkas. Potężny mężczyzna układał plany wojenne, choć był tak zmęczony, że ledwo mógł trzeźwo myśleć.

Tak więc niewielu zobaczyło samotną, ubraną na czarno postać, która wjechała przez otwarte wrota Pax Tharkas. Dosiadała ognistego, czarnego rumaka, który spłoszył się, poczuwszy zapach krwi. Postać zatrzymała się i powiedziała kilka słów do swego wierzchowca, zdając się uspokajać zwierzę. Ci, którzy jednak ujrzeli tę osobę, na chwilę zastygli z przerażenia, wielu bowiem odniosło w rozgorączkowaniu (bądź w pijanym widzie) wrażenie, że to sama Śmierć przyjechała zebrać nie pogrzebane trupy.

Wtedy ktoś wymamrotał: „Czarodziej” i ludzie odwrócili się z niepewnym śmiechem lub westchnieniem ulgi.

Raistlin jechał przed siebie z oczyma tonącymi w cieniu czarnego kaptura, aż dotarł do najbardziej zdumiewającego widoku na całym polu bitwy – ciał stu, a może więcej krasnoludów żlebowych, którzy (w większości) leżeli w równych szeregach, rządkiem za rządkiem. Większość nadal ścisnęła kurczowo swe piki (wiele do góry nogami) w martwych dłoniach. Między nimi leżało jednakże również kilka koni zranionych (przeważnie przypadkowo) przez dzikie wymachy i dźgnięcia zdesperowanych krasnoludów żlebowych. W czasie odciągania na bok końskich trupów odkryto, że niejedno zwierzę nosiło ślady zębów na przednich nogach. Pod koniec krasnoludowie żlebowi cisnęli bezużyteczne piki i walczyli w najlepiej im znany sposób – zębami i pazurami.

– Tego nie było w tekstach historycznych – szepnął do siebie Raistlin, spoglądając z góry na nędzne trupy i marszcząc czoło. Oczy mu rozbłyły. – Może – szepnął to oznacza, że czas już został zmieniony?

Przez dłuższą chwilę siedział, pograżony w rozmyślaniach. Potem nagle zrozumiał.

Nikt nie widział ukrytej w cieniu kaptura twarzy Raistlina, inaczej bowiem dostrzegłby, jak przebiega po niej gwałtowny, nagły skurcz gniewu i żalu.

– Nie – powiedział do siebie z goryczą – to żalosne poświęcenie tych biednych istot pominięto w kronikach nie dlatego, że się nie wydarzyło. Pominięto je po prostu dlatego...

Przerwał, spoglądając posepnie z góry na małe, zmasakrowane ciała. – Że nikogo to nie obchodziło...

Rozdział VII

– Musze się widzieć z generałem!

Głos przebił się przez miękki, ciepły obłok snu, który spowijał Caramona niczym puchowa pierzyna na łóżku pierwszym prawdziwym łóżku, w którym spał od miesiący.

– Idź precz – wymamrotał Caramon i usłyszał, że Garic powtarza to samo albo prawie to samo...

– To niemożliwe. Generał śpi. Nie wolno mu przeszkadzać.

– Muszę się z nim widzieć. To bardzo pilne!

– On nie spał od czterdziestu ośmiu godzin...

– Wiem! Jednak...

Głosy przycichły. Dobrze, pomyślał Caramon, teraz mogę wracać do spania. Na nieszczęście stwierdził, że przyciszone głosy wytrącają go ze snu jeszcze bardziej. Działo się coś złego i wiedział o tym. Z jękiem przewrócił się na bok i naciągnął poduszkę na głowę. Bolał go każdy mięsień ciała, prawie osiemnaście godzin spędził w siodle bez odpoczynku. Z pewnością Garic sam sobie z tym poradzi...

Drzwi do jego komnaty otworzyły się cicho.

Caramon zacisnął powieki, wkopując się głębiej w piernaty. Kiedy to zrobił, przyszło mu na myśl, że za kilkaset lat Yerminaard, zły smoczy władca będzie spał w tym samym łóżu. Czy ktoś też tak go zbudził tego poranka, gdy bohaterowie Lancy wyzwolili niewolników w Pax Tharkas?

– Panie generale – rozległ się cichy głos Garica. Caramonie.

Spod poduszki dobiegło wymamrotane przekleństwo.

Może kiedy będę wyjeżdżać, włożę mu żabę do łóżka, pomyślał złośliwie Caramon. Będzie śliczna i sztywna po tych dwustu latach...

– Generale – nalegał Garic – przykro mi pana budzić, ale musi pan natychmiast zejść na dziedziniec.

– Po co? – burknął Caramon, zrzucając koce. Siadł, krzywiąc się z bólu ud i pleców. Potarł oczy i spojrzał wrogo na Garica.

– Armia, panie generale. Odchodzi.

Caramon wbił w niego wzrok. – Co takiego? Ty chyba oszalałeś?

– Nie, p-panie generale – rzekł młody żołnierz, który wślizgnął się za Garicem i stał za jego plecami, wybałuszając zalęknione oczy z podziwu, że znalazł się w obecności swego dowódcy, nawet jeśli ów dowódca był nagi i tylko w połowie przebudzony. – Oni... oni gromadzą się teraz na dziedzińcu, panie generale... Krasnoludowie i mieszkańcy Równin i... trochę naszych.

– Nie rycerze – dodał szybko Garic.

– Cóż... cóż... – zająknął się Caramon, a potem machnął ręką. – Każ im się rozejść, do

wszystkich diabłów! To jakiś nonsens. – Zaklął. – Na bogów, jeszcze zeszłej nocy trzy czwarte było pijane do nieprzytomności!

– Dziś rano są wystarczająco trzeźwi, panie generale. Też uważam, że powinien pan zejść – powiedział cicho Garic. – Twój brat jest ich przywódcą.

– Co to ma znaczyć? – dopytywał się Caramon. Na mrozie buchały mu z ust kłęby białej pary. Był to najchłodniejszy poranek jesieni. Cienka warstwa szronu pokrywała kamienie Pax Tharkas, litościwie przysłaniając czerwone plamy po bitwie. Owinięty w grubą pelerynę i ubrany tylko w skórzane spodnie i buty, które pośpiesznie naciągnął, Caramon rozejrzał się po podwórzu. Pełno na nim było krasnoludów i ludzi, którzy stali cicho i ponuro w szeregach, czekając na rozkaz wymarszu.

Srogie spojrzenie Caramona natrafiło na Reghara Fireforge, a potem przesunęło się na Darknighta, wodza ludu Równin.

– Wczoraj już to omawialiśmy – rzekł Caramon głosem ledwo skrywającym gniew. Stał przed Regharem. Tabor z prowiantem dogoni nas dopiero za dwa dni. Sam powiedziałeś mi zeszłego wieczoru, że nie zostało tu dość jedzenia na dalszy marsz. A na równinie Dergoth nie znajdziecie nawet królika...

– My możemy się obejść bez kilku posiłków – burknął Reghar, a jego nacisk na „my” nie pozostawiał niczego domysłom. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Caramon lubi sobie podjeść.

Nie poprawiło to humoru generałowi. Caramon poczerwieniał na twarzy. – A co z bronią, długobrody głupcze! – wypalił. – A świeża woda, schronienie, pasza dla koni?

– Nie będziemy na równinie tak długo – odparł Reghar z błyskiem w oczach. – Krasnoludowie górcy, oby Reorx przeklął ich kamienne serca, są w rozsypce. Musimy natychmiast uderzyć, zanim znów zdołają zgromadzić swe wojska.

– Mówiliśmy już o tym wczoraj wieczorem! – krzyknął zdesperowany Caramon. – Tu zetknęliśmy się tylko z częścią ich sił. Pod górą Duncan czeka na was z kolejną całą przekłętą armią!

– Może tak. Może nie – warknął naburmuszony Reghar, patrząc na południe i zakładając ręce na piersi. – W każdym razie zmieniliśmy zdanie. Wymaszerujemy dzisiaj. Z tobą lub bez ciebie.

Caramon zerknął na Darknighta, który milczał przez cały czas rozmowy. Wódz mieszkańców Równin tylko raz skinął głową. Jego ludzie stojący za nim byli poważni i spokojni, choć – tu i ówdzie – Caramon dostrzegł zielonkawe twarze i domyślił się, że wielu jeszcze w pełni nie wróciło do siebie po nocnej hulance.

Wreszcie wzrok Caramona padł na ubraną na czarno postać, która dosiadała czarnego konia. Choć oczy postaci przysłaniał czarny kaptur, Caramon czuł ich skupione, rozbawione spojrzenie od chwili, gdy tylko wyszedł za drzwi gigantycznej fortecy.

Odwróciwszy się gwałtownie od krasnoluda, Caramon podszedł długim krokiem do

Raistlina. Nie zaskoczył go widok zawiniętej w grubą pelerynę pani Crysanii, która siedziała na swym koniu. Kiedy zbliżył się, spostrzegł, że spód płaszcza kapłanki był splamiony ciemną krwią. Jej oblicze, ledwo widoczne nad szalem, którym owinęła szyję i podbródek, było blade, lecz opanowane. Caramon zastanawiał się przez chwilę, gdzie była i co robiła przez tę długą noc. Niemniej jednak jego myśli skupiały się głównie wokół jego bliźniaka.

– To twoja sprawka – powiedział ściszym głosem, zbliżając się do Raistlina i kładąc dłoń na karku konia.

Raistlin z samozadowoleniem skinął głową, nachylając się nad łękiem siodła, by porozmawiać z bratem. Caramon zobaczył jego twarz, która była zimna i biała jak szron na bruku pod ich stopami.

– Co zamierzasz? – dopytywał się Caramon, wciąż tym samym tonem. – O co tu chodzi? Wiesz, że nie możemy wymaszerować bez zaopatrzenia!

– Zbyt dbasz o bezpieczeństwo, mój bracie stwierdził Raistlin. Wzruszył ramionami i dodał: – Tabor z prowiantem dogoni nas. A co do oręża, ludzie uzupełnili swoje uzbrojenie tym, co znaleźli na pobojowisku. Reghar ma rację, musimy uderzyć szybko, zanim Duncan przegrupuje swe wojska.

– Powinieneś być to ze mną przedyskutować! – ryknął Caramon, zaciskając pięść. – Ja tu dowodzę!

Raistlin odwrócił wzrok, przesuając się lekko w siodle. Caramon, który stał blisko niego, wyczuł, że brat drży pod czarnymi szatami. – Nie było czasu – powiedział po chwili arcymag. – Zeszłej nocy miałem sen, mój bracie. Nawiedziła mnie ona, moja Królowa... Takhisis... Koniecznie muszę dotrzeć do Zhamanu najszybciej, jak to możliwe.

Caramon w milczeniu przyglądał się bratu. Po chwili wszystko zrozumiał. – Oni nic dla ciebie nie znaczą! – powiedział cicho, wskazując na stojących za nim ludzi i krasnoludów. – Interesuje cię tylko jedno, dotarcie do twego ukochanego portalu! – Jego pełne goryczy spojrzenie padło na Crysanię, która przyglądała mu się spokojnie, choć jej szare oczy były ciemne i podkrążone z powodu bezsennej, pełnej okropności nocy spędzonej wśród rannych i konających. – Ty też? Popierasz go?

– Próba krwi, Caramonie – rzekła cicho. – Trzeba temu położyć kres, na zawsze. Widziałam najstraszliwsze zło, jakie ludzkość może wyrządzić sobie samej.

– Ciekawe! – mruknął Caramon, zerkając na brata. Unosząc smukłe dłonie, Raistlin powoli zsunął fałdy kaptura, tak że odsłonił oczy. Caramon wzdrygnął się, widząc w ich nieruchomej powierzchni swoje odbicie, swoją twarz – nieprzytomną, zarośniętą i okoloną rozczochranymi włosami, które powiewały na wietrze. Potem, gdy Raistlin wpatrywał się w niego, urzekając go swym wzrokiem jak wąż hipnotyzujący ptaka, w umyśle Caramona zabrzmiały te słowa: Znasz mnie dobrze, mój bracie. Krew, która płynie w naszych żyłach, czasami przemawia głośniejszym niż

słowa. Tak, nie mylisz się. Mnie ta wojna nic nie obchodzi. Stoczyłem ją wyłącznie dla jednego celu, mianowicie po to, by dostać się do portalu. Ci głupcy zaprowadzą mnie tam. A potem, cóż mnie obchodzi, czy wygramy, czy przegramy?

Pozwoliłem ci bawić się w generała, Caramonie, wydawało mi się bowiem, że ta drobna gra sprawia ci przyjemność. Prawdę powiedziawszy, zdumiewająco świetnie sobie z tym radzisz. Spisałeś się wystarczająco dobrze. Nie przeszkadzałeś mi w osiągnięciu celu. Nadal będziesz mi służył. Poprowadzisz armię do Zhamanu. Kiedy pani Crysania i ja znajdziemy się tam bezpieczni, odeślę cię do domu. Pamiętaj, mój bracie – bitwa na równinie Dergoth została przegrana! Nie możesz tego zmienić!

– Nie wierzę ci! – rzekł ochryple Caramon, wlepiając oszalały wzrok w Raistlina. – Nie pojechałbyś na spotkanie własnej śmierci! Musisz o czymś wiedzieć! Ty...

Caramon zakrztusił się. Raistlin przysunął się bliżej do niego, wydając się wysysać mu słowa z gardła.

Nie dzielę się z nikim własnymi opiniami! To nie twoja sprawa, czy wiem coś, czy nie, więc nie przemęczaj sobie mózgu fałszywymi domysłami.

– Ja im powiem! – rzekł Caramon, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Powiem im prawdę!

Co im powiesz? Że widziałeś przyszłość? Że są skazani na klęskę? Widząc zmaganie na udreżonej twarzy Caramona, Raistlin uśmiechnął się. Chyba nie, mój bracie. A teraz, jeśli chcesz wrócić znów do domu, sugeruję, żebyś poszedł na górę, założył zbroję i stanął na czele swego wojska.

Arcymag uniósł ręce i znów ściągnął kaptur nisko na oczy. Caramon z jękiem wciągnął powietrze, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą. Przez chwilę stał tylko, spoglądając na swego bliźniaka i dygocząc z wściekłości, którą ledwo potrafił opanować.

W tym momencie przychodził mu na myśl jedynie Raistlin... śmiejący się z nim przy drzewie... Raistlin trzymający królika... Ta serdeczna więź między nimi była prawdziwa. Mógłby to przysiąc! A jednak to również było prawdziwe. Prawdziwe, zimne i ostre niczym klinga noża połyskującego w jasnym słońcu poranka.

Powoli blask tego noża zaczął przenikać chmury dezorientacji w umyśle Caramona, rozcinając kolejne więzy które łączyły go z bratem.

Nóż poruszał się powoli. Było wiele więzów do przecięcia.

Caramon uświadomił sobie, że pierwsze pękły na zbroczonej krwią arenie w Istar. I czuł, że kolejne zerwały się, gdy spoglądał na brata na oszronionym dziedzińcu Pax Tharkas.

– Wydaje się, że nie mam wyboru – rzekł, ledwo widząc bliźniaka przez łyzy gniewu i cierpienia.

– Żadnego – odparł Raistlin. Chwycił za wodze i zamierzał już odjechać. – Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć. Pani Crysania oczywiście będzie jechać z tobą na przedzie. Nie czekaj

na mnie. Przez jakiś czas zostanę z tyłu.

I tak oto odprawił mnie, powiedział do siebie Caramon. Przyglądając się odjeżdżającemu bratu, nie czuł już gniewu, jedynie tępy, dręczący ból. Słyszał kiedyś, że amputowana kończyna zostawia po sobie taki złudny ból...

Odwrócił się na pięcie i bardziej czując niżli słysząc ciężką ciszę, jaka zapadła na dziedzińcu, generał poszedł sam do swej kwatery i zaczął powoli wkładać zbroję.

Kiedy Caramon wrócił ubrany w znajomy złoty pancerz i pelerynę powiewającą na wietrze, krasnoludowie, mieszkańcy Równin i ludzie z jego armii powitali go donośnym okrzykiem.

Nie tylko szczerze podziwiali i szanowali zwalistego mężczyznę, lecz wszyscy przypisywali mu błyskotliwą strategię, dzięki której poprzedniego dnia odnieśli zwycięstwo. Generał Caramon ma szczęście, powiadano, pobłogosławił go jakiś bóg. W końcu, czyż to nie szczęśliwy traf nie pozwolił krasnoludom zamknąć wrót?

Niejeden poczuł się nieswojo, usłyszawszy pogłoskę, że mogą odjechać bez niego. Wielu nieprzychylnym okiem spoglądało na czarodzieja w czarnej szacie, ale któż by ośmielił się wyrazić dezaprobatę?

Radosne okrzyki niezmiernie pocieszyły Caramona, który przez chwilę nie potrafił nic powiedzieć. Potem, odzyskawszy zdolność mówienia, warknięciem wydał rozkaz wymarszu.

Caramon wezwał gestem jednego z młodych rycerzy.

– Michaelu, powierzam ci dowództwo Pax Tharkas – oświadczył, naciągając rękawice. Młody rycerz oblał się rumieńcem zadowolenia z powodu tego niespodziewanego zaszczytu, choć jednocześnie obejrzał się na wyrwę, którą spowodowało jego odejście z szeregu.

– Panie generale, nie jestem nikim ważnym... Z pewnością znalazłby się ktoś o lepszych kwalifikacjach...

Caramon potrząsnął głową, uśmiechając się smutno. Ja znam twoje kwalifikacje, Michaelu. Pamiętasz? Gotów byłeś umrzeć, wypełniając rozkaz, a jednak znalazłeś dość współczucia, by okazać nieposłuszeństwo. Nie będzie ci łatwo, ale rób wszystko, co w twoich siłach. Kobiety i dzieci oczywiście zostaną tutaj. Odeślę też każdego rannego. Kiedy przybędą wozy z zaopatrzeniem, przypilnuj, by jak najszybciej wysłano je w dalszą drogę. – Pokręcił głową. – Nie sądzę jednak, by i tak doszły na czas – mruknął. Westchnął i dodał: – Prawdopodobnie zdołasz przetrzymać tu zimę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Bez względu na to, co się z nami stanie...

Zauważywszy spojrzenia rycerzy, którzy popatrzyli na siebie z zatroskanymi i zaniepokojonymi minami, Caramon uciął nagle zdanie. Nie, nie wolno mu przekazać tej gorzkiej wiedzy o tym, co nadejdzie. Toteż udając wesołość, klepnął Michaela po ramieniu, dodał jakieś dzielne i bezsensowne stwierdzenie, a następnie wśród dzikiego i radosnego gwaru dosiadł konia.

Wrzawa jeszcze się wzmogła, gdy chorąży uniósł sztandar armii. Proporzec Caramona z dziewięcioramienną gwiazdą błyszczał jasno w słońcu. Rycerze utworzyli szeregi za swym dowódcą. Crysania zbliżyła się, by jechać z nimi, a rycerze rozstąpili się z typową szarmancją, by pozwolić jej zająć miejsce w szeregu. Choć rycerze nie lubili czarownicy bardziej niż kto inny w obozie, była jednakże kobietą, a kodeks nakazywał im ochraniać ją i bronić jej swym życiem.

– Otworzyć wrota! – krzyknął Caramon. Pchnięta energicznie brama rozwarła się. Kiedy Caramon rozejrzał się po raz ostatni, by sprawdzić, czy wszystko gotowe, niespodziewanie natknął się na wzrok swego bliźniaczego brata.

Raistlin siedział na karym koniu w cieniu wielkiej bramy. Nie poruszał się i nie odzywał. Po prostu siedział, obserwując i czekając.

Przez czas potrzebny do zaczerpnięcia wspólnego, jednoczesnego tchu bliźniacy przyglądali się sobie uważnie, a potem Caramon odwrócił twarz.

Schylił się i wziął od chorążego sztandar. Wzniósł go wysoko nad głowę i wykrzyknął jedno słowo – Thorbardin! – Pancierz Caramona lśnił niczym złoto w blasku porannego słońca, które właśnie wyłoniło się zza szczytów gór. Złotem iskrzyły się nici, którymi wyszyto na sztandarze gwiazdę, złotem migotały groty włóczyń długich szeregów ciągnących się za Caramonem.

– Thorbardin! – krzyknął raz jeszcze wojownik i popędziwszy konia ostrogami, wyjechał galopem za bramę.

– Thorbardin! – Odpowiedzią na jego zawołanie były gromkie okrzyki i bicie mieczami w tarcze. Krasnoludowie zaintonowali swą znajomą, niesamowitą, gardłową pieśń: „Kamień i metal, metal i kamień, kamień i metal, metal i kamień”, tupiąc podkutymi żelazem butami w jej zwawym rytmie podczas wymarszu z twierdzy w równych szeregach.

Za nimi podążyli mieszkańcy Równin, którzy szli mniejszą ławą. Opatuleni z powodu zimna futrzanymi pelerynami, szli niespiesznie, ostrząc broń, wplatając sobie we włosy pióra albo malując dziwne znaki na twarzach. Wkrótce znudziwszy się surowym szykiem, rozproszą się i zejdą z drogi, by podróżować w typowych dla nich grupach łowieckich. Za barbarzyńcami szedł oddział Caramona składający się z chłopów; złodziei. Niejeden z nich chwiał się na nogach z powodu skutków wczorajszego świętowania zwycięstwa. I wreszcie pochód zamykali ich nowi sprzymierzeńcy, Dewarowie.

Podczas wymarszu ze swymi ludźmi Argat próbował przyciągnąć wzrok Raistlina, lecz czarodziej spowity w czerń siedział na swym karym koniu z twarzą ukrytą w cieniu. Jediną widoczną częścią jego ciała były smukłe, białe dłonie trzymające wodze wierzchowca.

Oczy Raistlina nie śledziły Argata, ani też mijającej go armii. Mag przyglądał się błyszczącej złotem postaci, która jechała na czele wojska. Trzeba by też było bystrzejszych oczu od dewarowych, żeby dostrzec, że czarodziej ścisnął wodze nienaturalnie mocno czy że czarne szaty zadrżały przez chwilę, jakby od cichego westchnienia.

Dewarowie wymaszerowali i na dziedzińcu zostały tylko markietanki. Kobiety otarły łzy i wśród gwaru rozmów wróciły do swojej pracy. Dzieci wspięły się na mury, by odprowadzać wojsko radosnym wołaniem, dopóki będzie je widać. Wreszcie wrota Pax Tharkas zatrzasnęły się, obróciwszy się bezszelestnie na swych naoliwionych zawiasach.

Stojący samotnie na blankach Michael przyglądał się wielkiej armii sunącej na południe. Groty dzid połyskiwały w porannym słońcu, z ust ludzi buchały kłęby pary, śpiew krasnoludów rozbrzmiewał echem wśród gór.

Za nimi jechała samotna postać w czerni. Kiedy Michael spojrział na nią, poweselał. Wydała mu się dobrym znakiem. Śmierć podążała teraz za armią, nie na jej przedzie.

Słońce oświetlało otwieranie bram Pax Tharkas, a zachodziło przy zamykaniu wrót wielkiej górskiej twierdzy Thorbardin. Gdy sterowany wodą mechanizm otwierający bramę jęknął i zazgrzytał, wydało się, że to część góry przesunęła się na rozkaz. Prawdę mówiąc, po zamknięciu bramy nie sposób było jej odróżnić od samego skalnego zbocza, tak Przemysłne było dzieło krasnoludów, którzy spędzili całe te na jego konstruowaniu.

Zatrzaśnięcie wrót oznaczało wojnę. Dotarły już wieści o wymarszu armii Fistantilusa, przyniesione przez szpiegów na szybkich skrzydłach gryfów. W górskiej twierdzy obecnie wrzało. Iskry sypały się w warsztatach płatnerzy. Zbrojmistrze zasypiali z młotami w dłoniach. Karczmy podwoiły obroty w ciągu jednej nocy, gdy wszyscy przyszli chwalić się wielkimi czynami, jakich dokonają na polu walki.

Tylko jedna część olbrzymiego królestwa pod ziemią była cicha i tam właśnie bohater krasnoludów skierował swe kroki w dwa dni po tym, jak wojsko Caramona opuściło Pax Tharkas.

Wchodząc do wielkiej sali audiencyjnej króla krasnoludów górskich, Kharas usłyszał głuchy stuk swoich butów w komnacie wykutej na kształt misy w litej skale góry. Poza kilkoma krasnoludami siedzącymi na kamiennym podwyższeniu sala świeciła pustkami.

Kharas minął długie rzędy kamiennych ław, gdzie zeszłego wieczoru tysiące krasnoludów radosnym rykiem pochwaliło decyzję swego króla, który wydał wojnę ich pobratymcom.

Dziś był dzień wojennego zgromadzenia rady thanów. Ze względu na swój charakter nie wymagało ono obecności obywateli, toteż Kharas poczuł się nieco zaskoczony zaproszeniem. Bohater był w niełasce – i wszyscy o tym wiedzieli. Podejrzewano nawet, że Duncan może rozkazać wygnać Kharasa.

Podchodząc bliżej, Kharas zauważył, że Duncan mierzył go nieprzychylnym wzrokiem, lecz może miało to coś wspólnego z faktem, iż królewskie oko oraz lewy policzek nad zarostem były zapuchnięte i posiniaczone – co było rezultatem ciosu wymierzonego przez Kharasa.

– Och, wstań, Kharasie – wypalił Duncan, gdy wysoki krasnolud bez brody skłonił się przed nim w pas.

– Dopiero gdy mi wybaczysz, thanie – rzekł Kharas, nie zmieniając pozycji.

– Co mam ci wybaczyć? Że wbiłeś trochę rozumu do głowy staremu, głupiemu krasnoludowi? – Duncan uśmiechnął się kwaśno. – Nie, nie wybaczam ci tego. Dziękuję ci za to.

– Król roztarł szczękę. – „Obowiązek jest bolesny”, powiada przysłowie. Teraz rozumiem. Dość już jednak tego.

Ujrawszy, że Kharas się wyprostował, Duncan podał mu zwój pergaminu. – Poprosiłem cię tu z innej przyczyny. Przeczytaj.

Zdumiony Kharas zbadał zwój. Był on związany czarną wstążką, lecz nie opieczętowany. Kharas zerknął na pozostałych thanów, którzy zgromadzili się i zasiadali na kamiennych krzesłach trochę niżej niż ich król. W szczególności jego spojrzenie powędrowało ku jednemu miejscu – pustemu siedzisku, które należało do Argata, thana Dewarów. Kharas zmarszczył czoło, rozwinął pergamin i przeczytał go na głos, potykając się na słowach prymitywnego języka Dewarów.

Do Duncana z krasnoludów Thorbardinu, Króla.

Pozdrowienia od tych, których teraz zwiesz zdrajcami.

Ten zwój dostarczony jest ci od nas, którzy wiemy, że ukarzesz Dewarów pod górą za to, cośmy uczynili w Pax Tharkas. Jeśli w ogóle dostarczony ci on będzie, oznacza to, że udało nam się utrzymać wrota otwarte.

Pogardziłeś naszym planem na radzie. Może teraz rozumiesz jego mądrość. Teraz wrogiem jest czarodziej. Czarodziej jest naszym przyjacielem. Kazał armii maszerować na równiny Dergoth. My maszerujemy z nimi, przyjaźnimy się z nimi. Kiedy nadejdzie godzina, ci, których zwiesz zdrajcami, uderzą. Zaatakujemy wroga od środka i wpędzimy ich pod ostrza waszych toporów.

Jeśli powątpiewasz w naszą wierność, trzymaj nasz lud pod górą jako zakładników do czasu, gdy wrócimy. Na dowód wierności obiecujemy ci przysiąc wielki dar.

Argat z Dewarów, than

Kharas przeczytał zwój dwukrotnie i nie rozchmurzył się. Wręcz przeciwnie, zasępił się jeszcze bardziej.

– I cóż? – spytał Duncan.

– Nie chcę mieć nic wspólnego ze zdrajcami – oświadczył Kharas, zwijając ponownie pergamin i podając go królowi z odrazą.

– Jednak jeśli mówią szczerze – ciągnął Duncan może nam to przynieść wielkie zwycięstwo!

Kharas podniósł głowę, by spojrzeć w oczy swemu królowi, który siedział na podwyższeniu przed nim. – Gdybym w tej chwili, thanie, mógł porozmawiać z tym nieprzyjacielskim generałem, Caramonem Majere, który wedle powszechnej opinii jest człowiekiem sprawiedliwym i uczciwym, powiadomiłbym go dokładnie o grożącym mu niebezpieczeństwie, choćby miało to oznaczać, że sami poniesiemy klęskę.

Pozostali thanowie parsknęli lub mruknęli.

– Powinieneś być rycerzem solamnijskim! – burknął któryś, a nie był to w jego zamierzeniu komplement.

Duncan zmierzył ich wszystkich srogim spojrzeniem, po którym zapadło głucho milczenie.

– Kharasie – rzekł cierpliwie Duncan – wiemy, ile dla ciebie znaczy honor, i szanujemy cię za to. Honorem jednakże nie nakarmisz dzieci tych, którzy mogą polec w bitwie, ani też nie powstrzymasz naszych rodaków od oskubania nas do gołych kości, jeśli sami przegramy. Nie ma czasu – ciągnął Duncan surowym i głębokim głosem na honor, kiedy trzeba robić to, co jest konieczne. – Znów podrapał się po szczęce. – Sam mi to pokazałeś.

Kharas zasepił się. Z roztargnieniem unosząc rękę, by pogłodzić się po bujnej brodzie, której tam już nie było, opuścił ją spieszony, po czym zaczerwienił się i wbił wzrok w ziemię.

– Nasi zwiadowcy potwierdzili to doniesienie – kontynuował Duncan. – Armia wyruszyła.

Kharas podniósł głowę, patrząc wrogo. – Nie wierzę w to! – powiedział. – Nie wierzyłem w to, kiedy o tym usłyszałem! Opuścili Pax Tharkas? Przed przybyciem taboru Dopatrzeniem? Musi być prawdą, że dowodzi ten czarodziej – Żaden generał nie popełniłby takiego błędu...

– W ciągu dwóch następnych dni znajdą się na równinie Dergoth. Według naszych szpiegów ich celem jest forteca Zhaman, gdzie zamierzają założyć swą kwaterę główną. Mamy tam niewielki garnizon, który będzie czynić pozory obrony, a następnie wycofa się w nadziei wywabienia ich na otwartą przestrzeń.

– Zhaman – mruknął Kharas, drapiąc się po podbródku, jako że nie mógł już pociągnąć się za brodę. – Thanie, jeśli zdołam przedstawić plan, który zakończy tę wojnę przy minimalnym przelewie krwi, czy zechcesz go wysłuchać i pozwolisz mi spróbować?

– Posłucham – powiedział z powątpiewaniem Duncan, którego twarz zastygła w hardym grymasie.

– Daj mi oddział doborowych żołnierzy, thanie, a ja podejmę się zabić tego czarnoksiężnika, Fistantilusa. Po jego śmierci pokażę ten pergamin jego generałowi i naszym rodakom. Zobaczą, że zostali zdradzeni. Zobaczą potęgę naszej armii wystawionej przeciwko nim. Z pewnością się poddadzą!

– A co my z nimi zrobimy, jeśli rzeczywiście się poddadzą? – warknął poirytowany Duncan, choć jeszcze to mówiąc, rozważał ów plan w myślach. Reszta thanów przestała mruzczyć do swych bród i spoglądała na siebie nawzajem spod nasuniętych na oczy krzaczastych brwi.

– Dasz im Pax Tharkas, thanie – rzekł z coraz większym zapalem Kharas. – Oczywiście tym, którzy będą chcieli tam zamieszkać. Nasi pobratymcy bez wątpienia zechcą wrócić do swych domów. Poczynimy pewne ustępstwa wobec nich... bardzo niewielkie – dodał spieszenie, widząc marsową minę Duncana. – To się uzgodni wraz z warunkami poddania. Będzie to jednak znacząco dach nad głową i ochronę dla ludzi i naszych rodaków na czas zimy... mogą pracować w kopalniach...

– Ten plan ma widoki – mruknął w zamyśleniu Duncan. – Kiedy już znajdziecie się na pustyni, możecie ukryć się we Wzgórkach...

Umilkł, pogrążając się w myślach. Potem powoli pokręcił głową. – To niebezpieczny pomysł, Kharasie. Może okazać się też trudny do zrealizowania. Nawet jeśli uda ci się zabić Mrocznego, a przypominam ci, że ponoć jest on niezwykle potężnym czarnoksiężnikiem, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że zginiesz, zanim zdołasz porozmawiać z tym generałem Majere. Podobno to bliźniaczy brat czarodzieja.

Kharas uśmiechnął się blado, wciąż dotykając gładko ogolonego podbródka. – Poniosę to ryzyko z radością, thanie, jeśli będzie oznaczało, że już żaden mój rodak nie zginie z mej ręki.

Duncan spojrział na niego niechętnie, a potem, trąc spuchniętą szczękę, westchnął głęboko. – Zgoda – rzekł. Masz nasze pozwolenie. Dobierz sobie starannie ludzi. Kiedy się wybierasz?

– Dziś w nocy, thanie, za twym przyzwoleniem.

– Wrota w górze otworzą się dla ciebie, a potem zamkną. Od ciebie będzie zależało, Kharasie, czy rozewrą się po to, by wpuścić cię jako zwycięzcę, czy po to, by wypłuć zbrojne oddziały krasnoludów górskich. Niech płomień Reorxa lśni na twym młocie.

Skłoniwszy się, Kharas odwrócił się i wyszedł z sali szybszym i żwawszym krokiem niż podczas wejścia.

– Oto oddała się osoba, na której stratę nie możemy sobie pozwolić – stwierdził jeden z thanów, odprowadzając wzrokiem wysokiego krasnoluda bez brody.

– On był dla nas stracony od samego początku warknął opryskliwie Duncan. Niemniej jednak jego oblicze było ściągnięte i wyżłobione bruzdami żalu, gdy mruknął: – A teraz musimy przygotować plany wojenne.

Rozdział VIII

Znów nie ma wody rzekł cicho Caramon.

Reghar popatrzył na niego z furją. Choć głos generała był starannie wyprany z wszelkich emocji, krasnolud wiedział, że to on ponosi za to odpowiedzialność. Uświadomienie sobie, że w dużej mierze to jego wina, nie pomagało wiele. Jedynym uczuciem okropniejszym i trudniejszym do zniesienia od poczucia winy jest poczucie zasłużonej winy. – W odległości pół dnia marszu będzie jeszcze jedna sadzawka – mruknął Reghar. Jego twarz była jak z kamienia. – Za dawnych czasów było ich tu pełno jak śladów PO ośnie.

Krasnolud machnął ręką. Caramon rozejrzał się. Jak okiem sięgnąć, niczego nie było widać – ani drzewa, ani Ptaka, ani nawet karłowatego krzaczka. Niczego prócz nie kończących się kilometrów piachu usianego tu i ówdzie Piwnymi, kopulastymi pagórkami. Daleko na horyzoncie czarne cienie gór Thorbardinu majaczyły mu przed oczami Jak ciągnące się wspomnienie złego snu.

Armia Fistantilusa przegrywała, jeszcze zanim zaczęła się bitwa.

Po wielu dniach przyspieszonego marszu wreszcie wyszli z przełęczy górskiej za Pax Tharkas i teraz znaleźli się na równinie Dergoth. Zaopatrzenie nie dogoniło ich, a teraz z powodu szybkiego tempa, z jakim się poruszali, wyglądało na to, że może upłynąć ponad tydzień, zanim dotrą do nich ociężałe wozy.

Raistlin tłumaczył dowódcom armii konieczność pośpiechu i choć Caramon otwarcie sprzeciwiał się swemu bratu, Reghar popierał arcymaga i zdołał przeciągnąć na ich stronę również mieszkańców Równin. Znów Caramon nie miał innego wyboru, jak się z tym pogodzić. Tak więc wojsko wstawało przed świtem, maszerowało, robiło sobie krótką przerwę w południe, a potem znów szło aż do zmierzchu. Wtedy żołnierze zatrzymywali się, by rozbić obóz, póki jeszcze było wystarczająco jasno.

Nie przypominali armii zwycięzców. Znikło koleżeństwo, żarty, śmiech, wieczorne zabawy. Ucichły śpiewy za dnia; nawet krasnoludowie zaprzestali nucenia swej rzeźkiej pieśni, woląc oszczędzać tchu na ciągnący się kilometr za kilometrem męczący marsz. Pod wieczór ludzie praktycznie padali z nóg, zjadali skąpe porcje pożywienia i pogrążali się natychmiast w głębokim śnie aż do czasu, gdy sierżanci budzili ich kopniakami i szturchańcami następnego dnia.

Nastroje były niewesołe. Zaczęły się narzekania i skargi, szczególnie gdy zaczęło brakować jedzenia. W górach nie stanowiło to problemu. Zwierzyny było pod dostatkiem. Kiedy jednakże znaleźli się już na nizinie, zgodnie z przewidywaniami Caramona jedynymi żywymi istotami, jakie widzieli, byli oni sami. Żywili się praśnymi sucharami i paskami suszonego mięsa, które wydzielano dwa razy dziennie rano i wieczorem. Caramon wiedział, że jeśli wozy z prowiantem nie dogonią ich wkrótce, nawet ta mała ilość zostanie zmniejszona o połowę.

Generał miał poza jedzeniem również inne problemy, z których dwa były palące. Jednym był brak wody. Choć Reghar zapewniał go, że na równinie są wodopoje, pierwsze dwa, na jakie się natknęli, były wyschnięte. Wtedy – i dopiero wtedy – stary krasnolud niechętnie przyznał, że ostatni raz widział tę równinę w czasach przed Kataklizmem. Drugim kłopotem Caramona były gwałtownie pogarszające się stosunki między sojusznikami.

Naciągane przymierze rozłaziło się w szwach. Ludzie z północy zrzucali odpowiedzialność za swe obecne trudności na krasnoludów i mieszkańców Równin, jako że ci popierali czarodzieja.

Mieszkańcy Równin z kolei nigdy przedtem nie byli w górach. Odkryli, że na terenie górskim żyje się i wojuje w zimnie oraz śniegu, i jak ich wódz bez ogródek wyłożył Caramonowi „albo jest za bardzo w górę, albo za bardzo w dół!” Teraz, kiedy lud Równin ujrzał majaczące na południowym horyzoncie gigantyczne pasmo Thorbardinu, zaczął sądzić, że żadne złoto i stal na świecie nie dorównuje urodą złotym, płaskim stepom ich ojczyzny. Nieraz Caramon dostrzegał ich ciemne oczy zwrócone ku północy i wiedział, że pewnego poranka obudzi się i ich nie zastanie.

Krasnoludowie natomiast uważali ludzi za tchórzliwych mięczaków, którzy z płaczem biegają do mamusi, kiedy tylko sytuacja trochę się pogorszy. Tak więc brak pożywienia i wody traktowali jako drobną niedogodność. Na każdego krasnoluda, który choćby ośmielił się napomknąć, że jest spragniony, natychmiast naskakiwali jego koledzy.

Caramon przemyślał o tym i o innych problemach, kiedy tak stał owego wieczoru pośrodku pustyni i czubkiem buta kopał piach.

Potem podniósł wzrok i popatrzył na Reghara. Przekonany, że Caramon go nie widzi, stary krasnolud wyzbył się swej kamiennej srogości – przygarbił się i westchnął ze znużeniem. Jego podobieństwo do Flinta było boleśnie uderzające. Caramon poczuł się zawstydzony swym gniewem wiedząc, że zły był bardziej na siebie samego niż na kogokolwiek innego. Robił, co mógł, żeby krasnoludowi to wynagrodzić.

– Nie martw się. Mamy dość wody, by przetrzymać noc. Jutro z pewnością znajdziemy sadzawkę, prawda? powiedział, klepiąc niezdarnie Reghara po plecach. Sędziwy krasnolud z zaskoczeniem popatrzył na Caramona, nagle nabierając podejrzeń, że może padł ofiarą jakiegoś dowcipu.

Kiedy jednakie ujrzał zmęczone oblicze Caramona, który uśmiechał się do niego wesoło, Reghar odprężył się, – Jasne – rzekł w odpowiedzi krasnolud, uśmiechając się z ociąganiem. – Jutro na pewno.

Zawróciwszy znad wyschniętej sadzawki, wrócili razem do obozu.

Noc zapadała wcześniej na równinach Dergoth. Słońce prędko chowało się za górami, jakby nie mogąc już znieść widoku rozległej, nagiej i jałowej pustyni. Paliło się niewiele ognisk; większość ludzi była zbyt zmęczona, by je rozpalać, a poza tym i tak nie było czego przy nich

gotować.

Przycupnięci obok siebie w oddzielnych grupkach krasnoludowie podgórscy, ludzie z pomocy i mieszkańcy Równin spoglądali na siebie podejrzliwie. Oczywiście wszyscy unikali Dewarów.

Kiedy Caramon uniósł głowę, zauważył, że jego namiot stoi z dala od wszystkich innych, jakby po prostu spisał ich na straty.

Stara kryńska legenda mówiła o pewnym człowieku, który popełnił niegdyś tak straszliwy występki, że sami bogowie zebrali się, by mu wymierzyć karę. Kiedy orzekli, że od tej pory mężczyzna ten będzie miał dar widzenia przyszłości, zbrodniarz zaśmiał się, sądząc, że przechytrzył bogów. Człowiek ten jednakże skonał w mękach – czego Caramon nigdy nie mógł pojąć.

Teraz jednak rozumiał to z bólem serca. Zaprawdę większej kary nie można było wymierzyć śmiertelnikowi. Przez zdolność zajrzenia w przyszłość i zobaczenia wyników zostaje bowiem odebrany ludzkości największy dar – nadzieja.

Do chwili obecnej Caramon karmił się nadzieją. Wierzył, że Raistlin wymyśli jakiś plan. Wierzył, że brat nie zezwoli na to. Raistlin nie mógł pozwolić, aby tak się stało. Teraz jednak dowiedziawszy się, że Raistlin naprawdę nie dba o tych ludzi, krasnoludów i rodziny, które zostawili, Caramon stracił nadzieję. Byli zgubieni. Nie mógł zrobić niczego, aby to, co raz już się stało, nie wydarzyło się ponownie.

Wiedząc o tym oraz o bólu, jakim nieuchronnie przyjdzie mu za to zapłacić, Caramon zaczął nieświadomie odsuwać się od tych, którzy stali mu się bliscy. Zaczął myśleć o domu.

Dom! Prawie zapomniane, celowo zepchnięte na dno umysłu wspomnienia o domu ogarniały go z taką siłą – kiedy im na to pozwolił – że czasami, kiedy w te długie, samotne wieczory wpatrywał się w ogień, nie widział go przez łyzy.

Była to jedyna myśl, która nakazywała Caramonowi iść dalej. W miarę jak prowadził swą armię coraz bliżej ku klęsce, każdy krok zbliżał go do Tiki, do domu...

– Patrz! – Reghar złapał go i potrząśnięciem wyrwał z zamyślenia. Caramon zamrugał powiekami i podniósł wzrok w samą porę, by nie zderzyć się z jednym z osobliwych kopczyków, jakimi usiane były równiny.

– Co to za przekłete górki? – burknął Caramon, przyglądając mu się wrogo. – Jakies siedlisko zwierząt? Słyszałem opowieści o wiewiórkach bez ogona, które żyją w podobnych kopcach na wielkich nizinach Estwilde. – Kręcąc głową, popatrzył na pagórek, który miał prawie metr wysokości i tyle samo szerokości. – Nie chciałbym spotkać się z wiewiórką, która to zbudowała!

– A juźci, wiewiórki! – parsknął Reghar. – To zbudowali krasnoludowie! Nie widzisz? Spójrz na robotę. Poglądził czule gładką kopułę. – Od kiedy to przyroda tworzy tak doskonałe

działa?

Caramon prychnął. – Krasnoludowie! Ale dlaczego? Nawet krasnoludowie nie kochają pracy aż tak bardzo, by robić to dla zdrowia! Po co marnować czas na budowanie kopców na pustyni?

– Punkty obserwacyjne – oświadczył zwięźle Reghar – Obserwacyjne? – zaśmiał się Caramon. – A co oni tu obserwują? Węże?

– Ziemię, niebo, armie takie jak nasza. – Reghar tupnął nogą, wzbijając obłok kurzu. – Słyszałeś?

– Co słyszałem?

– To. – Reghar tupnął raz jeszcze. – Pustka. Czoło Caramona wygładziło się. – Tunele! – Otworzył szeroko oczy. Kiedy rozejrzał się po pustyni i ujrzał niezliczone kopce wyrastające z płaskiego terenu, gwizdnął cicho.

– Ciągną się kilometrami! – rzekł Reghar, kiwając głową. – Zbudowano je tak dawno temu, że były stare dla mojego pradziada. Oczywiście – westchnął krasnolud – większości z nich nie używano od równie dawna. Legenda mówi, że niegdyś pomiędzy tym miejscem a Pax Tharkas istniały fortece łączące się z górami Kharolis. Jeśli prawdą jest to, co głoszą stare opowieści, krasnolud mógł przejść z Pax Tharkas do Thorbardinu, ani razu nie widząc słońca.

Tych fortec już nie ma. Najprawdopodobniej również wielu tuneli. Kataklyzm zniszczył większość z nich. Niemniej jednak – kontynuował pogodnie Reghar, ponownie idąc w towarzystwie Caramona – nie byłbym zaskoczony, gdyby Duncan miał tam pod ziemią kilku swoich szpiegów czających się niczym szczury.

– Nad ziemią czy pod nią zauważą nasze zbliżanie się z daleka – mruknął Caramon, badając wzrokiem płaski, jałowy krajobraz.

– Prawda – przytaknął mu Reghar – i dużo z tego będą mieli.

Caramon nic nie odpowiedział i obaj poszli dalej ogromny mężczyzna wrócił sam do swego namiotu, a krasnolud do biwaku swych pobratymców.

Z jednego z pagórków niedaleko namiotu Caramona czyjeś oczy obserwowały armię, obserwowały każdy jej ruch.

Oczy te jednakże nie interesowały się samym wojskiem. Ciekawiły je trzy osoby, tylko trzy osoby...

– Już wkrótce – rzekł Kharas. Wyglądał przez szpary tak sprytnie wycięte w skale, że umożliwiały osobie siedzącej w pagórku wyjrzenie na zewnątrz, lecz nie pozwalały nikomu patrzącemu na kopiec zajrzeć do środka. – Jaka twoim zdaniem jest odległość?

Pytanie skierowane było do sędziwego krasnoluda o niechlujnym wyglądzie, który ze znudzeniem zerknął raz przez szczelinę, a potem spojrzął w głąb tunelu. – Dwieście pięćdziesiąt trzy kroki. Znajdziecie się w samym środku stwierdził bez wahania.

Kharas ponownie wyjrzał na równinę, gdzie ogromny pawilon generała stał z dala od ognisk

jego ludzi. Kharas nie mógł wyjść z podziwu, że stary krasnolud potrafił tak dokładnie określić odległość. Bohater może wyraziłby powątpiewania, gdyby był to ktoś inny niż Łupacz. Jednakże leciwy złodziej, którego sprowadzono z emerytury specjalnie dla celów tej misji, zbytnio słynął z niewiarygodnych wyczynów – a była to reputacja niemal dorównująca sławie Kharasa.

– Słońce zachodzi – zauważył Kharas, raczej niepotrzebnie, ponieważ widać było długie cienie padające na kamienne ściany tunelu znajdującego się tuż za nim. – Generał wraca. Wchodzi do namiotu. – Kharas zmarszczył brwi. – Na brodę Reonca, mam nadzieję, że nie postanowi dziś zmienić zwyczajów.

– Nie zmieni – powiedział Łupacz. Kucając wygodnie w kącie, mówił ze spokojną pewnością osoby, która w przeszłości zarabiała na życie obserwowaniem, jak bliźni przychodzą, a w szczególności jak wychodzą. – Pierwsze dwie rzeczy, jakich się uczysz w karierze włamywacza: każdy ma swoje przyzwyczajenia i nikt nie lubi zmian. Pogoda jest ładna, nie było żadnych niespodzianek, dookoła tylko piach i jeszcze raz piach. Nie, niczego nie zmieni.

Kharas zmarszczył czoło, nie spodobało mu się bowiem to przypomnienie o złodziejskiej przeszłości krasnoluda. Dobrze wiedząc o swoich ograniczeniach, Kharas wybrał Łupacza do tej misji, ponieważ potrzebny im był ktoś wprawny w skradaniu się, ktoś, kto umiał poruszać się szybko i bezszelestnie, ktoś, kto potrafiłby zaatakować w nocy i zbiec w ciemność.

Jednakże Kharasa, którego rycerze solamnijscy cenili za honor, mimo to dręczyły wyrzuty sumienia. Uspokajał je, przypominając sobie, że Łupacz dawno temu zapłacił za swe złe uczynki i nawet kilkakrotnie wyświadczył przysługę królowi, co uczyniło z niego nawet jeśli nie zupełnie porządną osobę, to przynajmniej pomniejszego bohatera.

Poza tym, powiedział sobie Kharas, pomyśl, ilu osobom ocalimy życie.

Na myśl o tym odetchnął z ulgą. – Masz rację, Łupaczu. Czarodziej właśnie wychodzi ze swego namiotu, a wiedźma ze swego.

Chwytnąjąc jedną ręką za rękojeść młota bezpiecznie umocowanego przy pasie, drugą ręką Kharas przesunął w wygodniejsze miejsce krótki miecz, który wsunął sobie za pasek. Na koniec wyciągnął z sakwy kawałek zwiniętego pergaminu i z zamyśloną, poważną miną na огоłonej twarzy wsunął go w bezpieczne miejsce za pazuchę swej skórzanej zbroi.

Zwrócił się do dwóch krasnoludów, którzy stali za nim: – Pamiętajcie, nie krzywdźcie kobiety i generała bardziej, niż będzie to konieczne, by ich obezwładnić. Czarodziej musi jednak zginąć, i to szybko, jest bowiem najgroźniejszy.

Łupacz wyszczerzył zęby w uśmiechu i usadowił się wygodniej. On nie pójdzie. Jest za stary. Kiedyś czułby się obrażony, teraz jednakże był w takim wieku, w którym przyjmuje się to za komplement. Poza tym jego kolana skrzypiały niepokojąco.

– Niech się rozgoszczą – doradził sędziwy złodziej.

– Niech rozpoczną wieczorny posiłek, odprężą się. Wtedy – przeciągnął dłonią po gardle

i zarechotał – dwieście pięćdziesiąt trzy stopnie...

Garic, który stał na warcie przed namiotem generała, słuchał ciszy w środku. Była bardziej niepokojąca i zdawała się głośniejsz rozbrzmiewać niż odgłosy najzacieklejszej kłótni.

Kiedy zajrzał przez klapę wejściową do namiotu, ujrzał wszystkich troje siedzących przy stole jak co wieczór. Milczeli, czasami tylko coś mruknęli, każde z nich najwyraźniej pochłonięte było własnymi sprawami.

Czarodziej był całkowicie pogrążony w swych studiach. Wieść niesła, że szykuje jakieś wielkie, potężne zaklęcia, którymi wyważy bramy Thorbardinu. A co do wiedźmy, kto wie, o czym ona myśli? Garic był wdzięczny, że przynajmniej Caramon ma ją na oku.

Wśród ludzi krążyły dziwne pogłoski na temat czarownicy. Pogłoski o cudach, które działy się w Pax Tharkas, o zmarłych, którzy ożywali pod jej dotknięciem, i kończynach odrastających z broczących krwią kikutów. Garic oczywiście w to nie wierzył. Mimo to było w niej coś takiego, co sprawiło, że młodzieniec zaczął się zastanawiać, czy nie pomylił się co do niej na początku.

Garic zadrżał niespokojnie na zimnym wietrze, który zerwał się nad pustynią. Z trzech osób w namiocie najbardziej obawiał się o generała. W przeciągu ostatnich miesięcy młody rycerz zaczął podziwiać i uwielbiać Caramona. Obserwując go uważnie i starając się jak najdokładniej go naśladować, Garic dostrzegł jego wyraźne przygnębienie, choć zwalisty mężczyzna sądził, że dobrze potrafi ukrywać swe zmartwienie. W oczach Garica Caramon zajął miejsce utraconej rodziny i teraz młody rycerz czuł się zasmucony żalem Caramona, tak jak zasmuciłby go żal starszego brata.

– To przez tych przeklętych czarnych krasnoludów mruknął na głos Garic, tupiąc stopami, aby mu nie zdrętwiały. – Ja za nic nie zaufałbym im. Wysłałbym ich gdzie pieprz rośnie i założyłbym się, że generał zrobiłby to samo, gdyby nie jego bra...

Garic urwał, wstrzymując oddech i nasłuchując.

Nic. Jednak mógłby przysiąc...

Z dłonią na rękojeści miecza młody rycerz spojrział na pustynię. Choć za dnia na pustkowiu było upalnie, w nocy stawało się zimnym i nieprzyjaznym miejscem. W oddali widział ogniska. Tu i tam dostrzegał cienie przechodzących ludzi.

Wtedy znów coś usłyszał. Jakiś dźwięk za swoimi plecami. Tuż za nimi. Dźwięk ciężkich, podkutych żelazem butów...

– Co to było? – spytał Caramon, unosząc głowę.

– Wiatr – mruknęła Crysania. Obejrzała się na namiot i zadygotała, patrząc, jak tkanina faluje i nadyma się niczym żywe stworzenie. – W tym okropnym miejscu bez przerwy wieje.

Caramon uniósł się do połowy, sięgając po miecz. To nie był wiatr.

Raistlin podniósł wzrok na brata. – Och, siadłbyś wreszcie! – warknął cicho z irytacją. – I dokończ kolację, żebyśmy mogli z tym skończyć. Muszę wracać do nauki.

Arcymag powtarzał właśnie w myślach szczególnie trudny tekst zaklęcia. Zmagał się z nim od kilku dni, starając się natrafić na właściwą intonację i wymowę niezbędną do odkrycia tajemnicy słów. Do tej pory wymykały mu się i sprawiały wrażenie bezsensownych.

Odsunąwszy wciąż pełny talerz, Raistlin chciał wstać, gdy nagle świat dosłownie usunął mu się spod stóp.

Piaszczysty grunt uciekł mu spod nóg, jakby czarodziej znajdował się na pokładzie statku zsuwającego się ze stromej fali. Kiedy arcymag ze zdumieniem spojrział w dół, dostrzegł rozwierającą się przed nim ogromną jamę. Jeden ze słupów podtrzymujących namiot zsunął się i zwałił, przez co pawilon się zapadł. Latarnia zwisająca z uchwyty zakołysała się dziko, aż cienie zaczęły tańczyć i skakać wokół niej jak demony.

Raistlin instynktownie chwycił się stołu i zdołał się uratować przed wpadnięciem do szybko pogłębiającego się?

otworu. Jednakże czyniąc to, zauważył jakieś postaci wypełzające z dziury – przysadziste, brodate istoty. Przez chwilę szaleńczo tańczące światło zabłysło na stalowych klingach i zapłonęło w ciemnych, zawziętych oczach. Potem postaci pogrążyły się w cieniu.

– Caramonie! – krzyknął Raistlin, lecz zgał po odgłosach dobiegających z tyłu, soczystym przekleństwie i brzęku stalowego miecza wyciąganego z pochwy, że Caramon doskonale zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Raistlin usłyszał również silny, kobiecy głos wzywający imię Paladine'a i ujrzał jaśniejącą otoczkę czysto białego światła, lecz nie miał czasu martwić się o Crysanię. W blasku latarni błysnął ogromny, krasnoludzki młot bojowy, którym, jak się zdawało, sama ciemność wymierzała cios prosto w głowę maga.

Wypowiedziawszy pierwsze zaklęcie, jakie mu przyszło na myśl, Raistlin z zadowoleniem zobaczył, jak niewidzialna siła wyrwała krasnoludowi młot z dłoni. Na jego rozkaz magiczna siła zaniósła młot w głąb mroku i upuściła go z łomotem w kącie namiotu.

Początkowo oszołomiony niespodziewanym atakiem umysł Raistlina działał teraz szybko i sprawnie. Po ustąpieniu początkowego wstrząsu mag uznał ten wypadek za kolejną, irytującą przeszkodę w nauce. Mając zamiar szybko z tym skończyć, arcymag skupił uwagę na wrogu, który stał przed nim i mierzył go wzrokiem, w którym nie było lęku.

Sam pozbawiony strachu i uspokojony świadomością, że nic nie może go zabić, chroni go bowiem czas, Raistlin bez paniki i pośpiechu wezwał swą magię.

Czuł, jak magia wzbiera i spręża się w jego wnętrzu, jak ekstaza przenika jego ciało, budząc zmysłową rozkosz. Doszedł do wniosku, że będzie to miła odmiana po studiach. Interesujące ćwiczenie... Wyciągnął ręce i zaczął wymawiać słowa, po których błękitne, trzaskające błyskawice przeszły wijące się ciało wroga. Wtedy coś mu przeszkodziło.

Z raptownością huku gromu pojawiły się przed nim dwie postaci, które wyskoczyły

z ciemności, jakby spadły z księżyca.

Przewróciwszy się u stóp maga, jedna z postaci popatrzyła na niego z dzikim podnieceniem.

– Och, spójrz! To Raistlin! Udało nam się, Gnimsh! Udało się! Hej, Raistlinie! Założę się, że jesteś zaskoczony moim widokiem, prawda? Ojej, ale mam ci do opowiedzenia wspaniałą historię! Widzisz, byłem nieżywy. To znaczy, nie tak całkiem, ale...

– Tasslehoff! – jęknął Raistlin.

Przez głowę Raistlina myśli przemknęły jak błyskawice, które miały wystrzelić z jego palców.

Pierwsza – kender! Czas można zmienić!

Druga – Czas można zmienić...

Trzecia – Mogę umrzeć!

Te trzy myśli wstrząsnęły Raistlinem, przepędzając spokój i opanowanie niezbędne czarodziejowi do rzucenia zawiłych zaklęć.

Kiedy zarówno niespodziewane rozwiązanie problemu, jak i przerażające uświadomienie sobie, ile może go to kosztować, dotarło do jego umysłu, Raistlin stracił nad sobą panowanie. Słowa czaru wyleciały mu z głowy. Nieprzyjaciel jednakże wciąż się zbliżał.

Raistlin odruchowo szarpnął nadgarstkiem i w jego drżącej dłoni znalazł się srebrny sztylecik, który nosił przy sobie.

Było już jednak za późno...

Rozdział IX

Kharas całkowicie skupił swą uwagę na człowieku, którego poprzysiągł zabić. Z wyuczoną zawziętością wojaka zlekceważył zaskakujące pojawienie się dwóch zjaw, być może biorąc je jedynie za jakieś stwory wyczarowane przez arcymaga.

W tej samej chwili Kharas spostrzegł, że błyszczące oczy czarodzieja stały się puste. Usta Raistlina – rozwarte, by wyrecytować zabójcze zaklęcie – znieruchomiały. Krasnolud wiedział, że przynajmniej przez kilka sekund wróg jest zdany na jego łaskę.

Skoczywszy naprzód, Kharas dźgnął krótkim mieczem w luźne, czarne szaty i z satysfakcją poczuł, że trafił w cel.

Zbliżając się do rannego maga, wbijał klingę coraz głębiej w jego smukłe ciało. Dziwny, palący żar mężczyzny spowił go podmuchem piekielnego ognia. Nienawiść i straszliwy gniew uderzyły Kharasa z taką siłą, że aż zatoczył się do tyłu i upadł na ziemię.

Jednakże czarodziej był ranny – i to śmiertelnie. Tego Kharas był pewien. Patrząc z podłogi w te rozjarzone, złowrogie oczy, Kharas zobaczył w nich płonąca furie, ale także cierpienie. Zobaczył też – w skaczącym, kołyszącym się świetle latami – rękojeść swego krótkiego miecza sterczącą z brzucha czarodzieja. Ujrzał, jak mag zaciska na niej szczupłe dłonie, i słyszał, jak krzyczy z okropnego bólu. Wiedział, że nie ma więcej powodów do obaw. Czarnoksiężnik nie mógł mu już wyrządzić krzywdy.

Niezgrabnie podnosząc się na nogi, Kharas wyszarpnął swój miecz z rany. Czarodziej krzyknął przeraźliwie z bólu, padł na twarz z rękoma zalanymi swą własną krwią i znieruchomiał.

Kharas miał czas, żeby się rozejrzeć. Jego ludzie walczyli zaciekle z generałem, który usłyszawszy wrzask brata, posiniał na twarzy z wściekłości i trwogi. Wiedźmy nigdzie nie było widać, a niesamowite, białe światło bijące od niej znikło i zgasło gdzieś w mroku.

Kiedy Kharas usłyszał z lewej strony jakiś zduszony odgłos, odwrócił się i ujrzał dwie zjawy sprowadzone przez arcymaga, które osłupiałe ze zgrozy patrzyły na ciało czarodzieja. Po chwili lepszego przyjrzenia się zaskoczony Kharas stwierdził, że owe demony wywołane z niższych płaszczyzn nie były niczym okropniejszym niż kenderem w jaskrawoniebieskich nogawicach i łysejącym gnomem w skórzanym fartuchu.

Kharas nie miał czasu na zastanawianie się nad tym fenomenem. Wykonał to, po co tu przybył, w każdym razie częściowo. Wiedział, że nie zdoła już teraz porozmawiać z generałem. W tej chwili najważniejszą sprawą było wydostać stąd bezpiecznie swoich ludzi. Biegąc przez namiot, Kharas podniósł swój młot bojowy i krzycząc po krasnoludzką do swych towarzyszy, by zeszli mu z drogi, cisnął nim prosto w Caramona.

Młot trafił mężczyznę lekko w głowę, pozbawiając go przytomności, lecz nie zabijając.

Caramon padł jak ogłuszony wół i w namiocie nagle zapanowała śmiertelna cisza.

Wszystko to trwało zaledwie kilka minut.

Wyjrawszy przez drzwi namiotu, Kharas zobaczył, że młody rycerz na warcie leży nieprzytomny na ziemi. Nie było widać, żeby ktoś spośród siedzących przy odległych ogniskach usłyszał czy też zobaczył coś niezwykłego.

Podnosząc rękę, krasnolud zatrzymał kołyszącą się lampę i rozejrzał się. Czarodziej leżał w kałuży własnej krwi. Generał spoczywał koło niego z ręką wyciągniętą w stronę brata, jakby to było jego ostatnią myślą, zanim stracił przytomność. Wiedźma leżała na wznak z zamkniętymi oczyma w kacie.

Widząc krew na jej szatach, Kharas zmierzył swych ludzi srogim wzrokiem. Jeden z nich pokręcił głową.

– Przykro mi, Kharasie – rzekł krasnolud, oglądając się na nią i drżąc. – Jej... jej światło było takie jasne! Pękała mi od niego głowa! Myślałem tylko o tym, jak je zgasić. Nie udało mi się, ale wtedy czarodziej wrzasnął, ona krzyknęła i światło przygasło. Uderzyłem ją wtedy, ale niezbyt mocno. Nie jest poważnie ranna.

– W porządku. – Kharas skinął głową. – Chodźmy. – Krasnolud podniósł młot i spojrzał na generała leżącego u jego stóp. – Przykro mi – rzekł, wyjmując niewielki kawałek pergaminu i wtykając go w otwartą dłoń mężczyzny. – Może kiedyś będę mógł ci to wyjaśnić. – Wstał i rozejrzał się. – Aż wami wszystko w porządku? W takim razie wynosimy się stąd.

Jego ludzie pośpieszyli do otworu tunelu.

– A co z tymi dwoma? – spytał jeden, zatrzymując się przy kenderze i gnomie.

– Zabierzcie ich – powiedział krótko Kharas. – Nie możemy ich tu zostawić, bo podniosą zaraz alarm.

Po raz pierwszy kender wydał się ożyć.

– Nie! – wykrzyknął, kierując na Kharasa przerażone, błagające oczy. – Nie możesz nas zabrać! Dopiero co w przyszliśmy! Znaleźliśmy Caramona i możemy teraz wrócić do domu! Nie, proszę!

– Brać ich! – rozkazał srogo Kharas.

– Nie! – wył kender, szarpiąc się w ramionach prześladowcy. – Nie, proszę, nie rozumiecie. Byliśmy w Otchłani i uciekliśmy...

– Zakneblujcie go – warknął Kharas, zaglądając w głąb tunelu znajdującego się pod namiotem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Gestem kazał swym kompanom pośpieszyć się i przykłęknął obok dziury w ziemi.

Jego ludzie zeszli do tunelu, wlokąc zakneblowanego kendera, który wciąż tak walczył – kopał i drapał ich że zmuszeni byli w końcu zatrzymać się i związać go jak kurczaka, zanim zdolali go odciągnąć. Nie musieli się jednakże obawiać o drugiego jeńca. Biedny gnom był tak

przerażony, że znajdował się w stanie szoku. Gapiąc się bezradnie i rozdziawiając szeroko usta, potulnie robił to, co mu kazano.

Kharas wyszedł ostatni. Przed wskoczeniem do tunelu jeszcze raz rozejrzał się po namiocie.

Lampa wisiała już całkiem nieruchomo, rzucając przyćmione, ciepłe światło na scenę rodem z koszmaru. Rozbite stoły, przewrócone krzesła, wszędzie rozrzucone jedzenie. Cienka strużka krwi wypływała spod ciała maga w czarnych szatach. Utworzywszy kałużę na krawędzi dziury, krew zaczęła skapywać powoli do tunelu.

Kharas wskoczył do otworu, biegiem oddalił się na bezpieczną odległość, a następnie zatrzymał. Chwycił koniec sznura leżący na podłodze tunelu i mocno zań pociągnął. Przeciwny koniec liny był przywiązany do jednej z belek stropowych tuż pod namiotem generała. Szarpnięcie spowodowało zawalenie się belki. Rozległ się głuchy rumor. Potem Kharas zobaczył w oddali sypiące się kamienie i gęsty obłok kurzu, który zasłonił mu pole widzenia.

Kiedy tunel za nim był już bezpiecznie zasypany, Kharas odwrócił się i ruszył szybko za swymi ludźmi.

– Panie generale...

Caramon stał i z grymasem na twarzy chwycił wroga za gardło wielkimi dłońmi.

Spłoszony Garic cofnął się o krok.

– Panie generale! – krzyknął. – Caramonie! To ja!

Nagły, kłujący ból i dźwięk znajomego głosu Garica dotarły do Caramona. Chwycił się z jękiem za głowę i zachwiał się na nogach. Garic zdążył go złapać, zanim upadł, i posadził bezpiecznie na krześle.

– Mój brat? – spytał stłumionym głosem Caramon.

– Caramonie... ja... – Garic przełknął ślinę.

– Mój brat! – wychrypiał Caramon, zaciskając pięść.

– Zabraliśmy go do jego namiotu – odrzekł cicho Garic. – Rana jest...

– Co? Jaka jest rana? – warknął niecierpliwie Caramon, podnosząc głowę i patrząc na Garica przekrwionymi, pełnymi cierpienia oczami.

Garic otworzył usta, a potem zamknął je i pokręcił głową. M-mój ojciec opowiadał mi o takich ranach – wymamrotał. – Ludzie przez wiele dni konali w potwornych męczarniach...

– Chcesz powiedzieć, że to rana w brzuch – rzekł Caramon.

Garic pokiwał głową, a potem zasłonił twarz dłonią. Kiedy Caramon przyjrzał mu się uważniej, zobaczył, że młody człowiek jest blady jak płótno. Wzdychając i zamykając oczy, Caramon przygotował się na zawroty głowy i mdłości, które napadną go, gdy znów wstanie. Potem podniósł się stanowczo. Ciemność zawirowała i zatańczyła mu się przed oczami. Siłą woli utrzymał się na nogach, a kiedy wszystko si? uspokoiło, otworzył oczy.

– Jak się czujesz? – spytał Garica, przyglądając się uważnie młodemu rycerzowi.

– Nic mi nie jest – odparł Garic, zaczerwieniony ze wstydu. – Zaskoczyli mnie... od tyłu.

– Tak. – Caramon zauważył zakrzepłą krew na włosach młodzieńca. – Zdarza się. Nie przejmuj się tym. Ogromny wojownik uśmiechnął się niewesoło. – Mnie zaskoczyli z przodu.

Garic znów skinął głową, lecz po jego minie można było łatwo zgadnąć, że gryzł się bardzo tym niepowodzeniem.

Przejdzie mu to, pomyślał znużony Caramon. Wszyscy musimy to przejść prędzej czy później.

– Chcę się teraz zobaczyć z bratem – powiedział, wychodząc z namiotu na niepewnych nogach. Potem zatrzymał się. – Pani Crysania?

– Śpi. Nóż ześlizgnął się po jej... hm... żebrach. Ja... my opatrzyliśmy ją... tak, jak umieliśmy. Musieliśmy... rozerwać jej suknię. – Garic jeszcze mocniej się zaczerwienił. – Daliśmy jej trochę brandy do wypicia...

– Czy ona wie o Raist... Fistantilusie?

– Czarodziej zabronił o tym mówić.

Caramon uniósł brwi, a potem je ściągnął. Rozejrzawszy się po zdemolowanym namiocie, zauważył strużkę krwi na zdeptanym klepisku. Zaczerpnął głęboko tchu, odsunął klapę namiotu i niepewnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Garic podążył za nim.

– A wojsko?

– Już wiedzą. Wieść się rozniosła. – Garic rozłożył bezradnie ręce. – Tyle było do zrobienia. Próbowaliśmy ścigać krasnoludów...

– Też pomysł! – Caramon parsknął, krzywiąc się z bólu, który przeszył jego głowę. – Zasypali przecież za sobą tunel.

– Tak. Chcieliśmy go odkopać, ale równie dobrze można by przekopać całą tę przeklętą pustynię – stwierdził z goryczą Garic.

– A co z armią? – dopytywał się Caramon, zatrzymawszy się przed namiotem Raistlina. Słyszał dochodzący ze środka niski jęk.

– Ludzie są podenerwowani – rzekł Garic z westchnieniem. – Rozmawiają, są zdezorientowani. Nie wiem.

Caramon rozumiał. Zajrzał w mrok namiotu brata. Sam wejść. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś, Garicu dodał serdecznie. – Idź teraz trochę odpocząć, zanim zemdlejesz. Będziesz mi potrzebny później, a nie zdasz mi się na nic chory.

– Tak jest, panie generale – powiedział Garic. Słaniając się na nogach, chciał już odejść, gdy zatrzymał się i odwrócił. Sięgnął pod napierśnik swej zbroi i wyciągnął okrwawiony skrawek pergaminu. – Znaleźliśmy... to w pańskiej dłoni, generale. Pismo jest krasnoludów...

Caramon popatrzył na list, otworzył go, przeczytał, a następnie zwinął ponownie bez komentarza i wsunął za pas.

Namioty były teraz otoczone przez strażę. Caramon wezwał gestem jednego z wartowników i zaczął czekać, aż ktoś odprowadzi Garica do łóżka. Potem wziął się w garść i wszedł do namiotu Raistlina.

Na stole paliła się świeca. Stała obok księgi czarów, którą zostawiono otwartą – najwyraźniej arcyomag zamierzał wrócić do nauki wkrótce po kolacji. Poznaczony bliznami krasnolud w średnim wieku – Caramon poznał w nim jednego z drużyny Reghara – siedział skulony w cieniu obok łóżka. Wartownik przy wejściu zaszalutował na widok wchodzącego Caramona.

– Zaczekaj na zewnątrz – rozkazał Caramon i strażnik wyszedł.

– Nie pozwala nam się dotknąć – stwierdził lakonicznie krasnolud, wskazując głową Raistlina. – Ranę trzeba opatrzyć. Wiele to oczywiście nie pomoże. Może jednak jakiś czas nie wypadłyby mu bebechy.

– Zaopiekuję się nim – powiedział szorstko Caramon. Krasnolud podniósł się, wsparłszy się dłońmi o kolana.

Chrząknął, jakby wahał się, czy ma się odezwać, czy nie. Podjąwszy decyzję, popatrzył na Caramona przymrużonymi, bystrymi oczyma.

– Reghar powiedział, że mam to przekazać. Gdyby chciał pan, żebym to zrobił... no, wie pan... skończyć to szybko. Robiłem już to wcześniej. Mam do tego jakby smykałkę. No bo widzi pan, jestem z zawodu rzeźnikiem...

– Wyjdź.

Krasnolud wzruszył ramionami. – Jak pan chce. Pańska decyzja. Gdyby to jednak był mój brat...

– Wyjdź! – powtórzył cicho Caramon. Nie patrzył na wychodzącego krasnoluda ani nie słyszał stuku jego ciężkich butów. Wszystkie zmysły skupił na swym bliźniaku.

Raistlin leżał na łóżku, wciąż ubrany, z dłońmi przyciśniętymi do strasznej rany. Czarne od krwi szaty maga skleiły się z ciałem w jedną makabryczną masę. Czarodziej cierpiał straszliwe katusze. Mimowolnie wił się na pościeli, a każdy wydech był cichym, niezrozumiałym jękiem bólu. Każdy wdech był bulgocącą torturą.

Dla Caramona jednakże najokropniejszym widokiem były błyszczące oczy brata, które przyglądały mu się i śledziły go, gdy zbliżał się do łóżka. Raistlin był przytomny.

Przyklękawszy przy pościeli, Caramon położył dłoń na rozpalonym od gorączki czole brata. – Dlaczego nie pozwolił im wezwać Crysanii? – spytał cicho.

Raistlin skrzywił się. Zaciskając zęby, wycedził przez pokryte krwią wargi – Paladine... nie... uleczy... mnie! Ostatnie słowo zmieniło się w jęk zakończony zdławionym krzykiem.

Caramon spoglądał na niego z zakłopotaniem. – Ale... ty umierasz! Nie możesz umrzeć! Sam mówiłeś...

Raistlin wywrócił oczy i potrząsnął głową. Krew ciekła mu z ust. – Czas... zmieniony...

Wszystko... zmienione!

– Jednak...

– Zostaw mnie! Pozwól mi umrzeć! – wrzasnął rozwścieczony Raistlin, zwijając się z bólu.

Caramon wzdygnął się. Próbował patrzeć na brata z litością, lecz to oblicze, wychudzone i wykrzywione grymasem cierpienia, nie było obliczem, jakie znał.

Maska mądrości i inteligencji spadła, odsłaniając pod spodem spękane bruzdy pychy, ambicji, skąpstwa i nieczułego okrucieństwa. Caramon odnosił wrażenie, że widząc twarz, którą znał od zawsze, widzi swego bliźniaka po raz pierwszy.

Być może, pomyślał Caramon, Dalamar ujrzał to właśnie oblicze w Wieży Najwyższej Magii, gdy Raistlin wypalał mu gołymi rękoma dziury w ciele. Być może również Fistantilus widział tę twarz, gdy umierał...

Zdjęty wstrętem i zgrozą do głębi duszy, wstrząśnięty Caramon oderwał oczy od tej makabrycznej, podobnej do czaszki twarzy i sam przybrawszy stanowczą minę, wyciągnął rękę. – Przynajmniej pozwól mi opatrzyć ranę.

Raistlin zawzięcie pokręcił głową. Oderwał swą zakrwawioną dłoń przytrzymującą życie i chwycił Caramona za rękę. – Nie! Skończ to! Poniosłem klęskę. Bogowie się śmieją. Nie mogę... znieść...

Caramon popatrzył na niego. Niespodziewanie, bez przyznania mu racji zwalisty mężczyzna wpadł w gniew, który zrodził się z lat zgryźliwych przytyków i niewdzięcznej służby. Gniew, który widział przyjaciół ginących z powodu tego człowieka. Gniew, który nieomal był świadkiem jego własnej zguby. Gniew, który widział miłość pożartą, miłość zaprzeczoną. Wyciągnąwszy rękę, Caramon złapał za czarne szaty i poderwał głowę brata znad poduszki. – Nie, na bogów – krzyknął Caramon głosem dosłownie trzęsącym się ze złości. – Nie, ty nie umrzesz! Słyszysz mnie? – Zwęził oczy. – Nie umrzesz, mój bracie! Całe swoje życie żyłeś tylko dla siebie. Teraz, nawet w godzinie śmierci szukasz łatwego wyjścia. Dla siebie samego! Zostawiłbyś mnie tu w pułapce bez chwili zastanowienia. Porzuciłbyś Crysanię! Nie, bracie! Będziesz żył, do diabła! Przeżyjesz, żeby odesłać mnie do domu. Co zrobisz ze sobą Potem, to już twoja sprawa.

Raistlin spojrział na Caramona i pomimo bólu na jego wargach wykwitł grymas będący upiorną parodią uśmiechu. Brawie wydawało się, że się zaśmieje, lecz zamiast tego w ustach pękła mu bańka krwi. Caramon wypuścił z rąk szatę – tę brata, prawie, choć niezupełnie, rzucając go z powrotem na łóżko. Raistlin padł na poduszkę. Płonącymi oczyma pożerał Caramona. W tym momencie były w nich tylko zaciekle nienawiść i wściekłość.

– Powiem Crysanii – rzekł ponuro Caramon, wstając i ignorując pałające gniewem spojrzenie Raistlina. – Przynajmniej musi mieć szansę uzdrowienia cię. Tak, gdyby spojrzenie mogło zabić, wiem, że byłbym już trupem. Posłuchaj mnie jednak, Raistlinie, Fistantilusie czy kim tam

jesteś. Jeśli jest wolą Paladine'a, abys umarł, zanim zdołasz wyrządzić więcej zła na tym świecie, niech tak się stanie. Pogodzę się z tym losem i tak samo uczyni Crysania. Jeśli jednakże jego wolą będzie, abys żył, z tym też się pogodzę. I ty również!

Raistlin prawie już opadłszy z sił, nadal nie wypuszczał ręki Caramona z okrwawionego uścisku, trzymając go palcami, które wydawały się stygnąć w śmiertelnym geście.

Caramon zaciskając wargi, zdecydowanie odczepił dłoń brata. Wstał i odszedł od posłania, słysząc za sobą urywany jęk strasznych boleści. Caramon zawahał się, ten jęk trafił go bowiem prosto w serce. Potem pomyślał o Tice, o domu...

Caramon nie zatrzymał się. Wychodząc w mrok nocy i szybko kierując się w stronę namiotu Crysanii, ogromny wojownik zerknął w bok i ujrzał krasnoluda, który stał nonszalancko w cieniu i strugał ostrym nożem kawałek drewna.

Sięgnąwszy pod pancerz, Caramon wyjął skrawek pergaminu. Nie musiał go czytać ponownie. Słowa były nieliczne i proste.

Czarnoksiężnik zdradził ciebie i armię. Wyślij posłańca do Thorbardinu, żeby dowiedzieć się prawdy.

Caramon cisnął pergamin na ziemię.

Cóż za okrutny żart!

Cóż za okrutny i perfidny żart!

Przez piekielne cierpienia docierał do Raistlina śmiech bogów. Jedną ręką podsunąć mu zbawienie, aby drugą mu wyrwać! Jakże muszą rozkoszować się jego klęską!

Udręczone ciało Raistlina skręcało się w spazmach, podobnie jak jego dusza, która wiła się w bezsilnej wściekłości, trawiona świadomością, że przegrał.

Słaba i wątła ludzka istoto!, słyszał krzyczących bogów. Tak oto przypominamy ci o twej śmiertelności!

Nie chciał stawić czoła triumfującemu Paladine'owi. Ujrzyć boga szydzącego z niego, upajającego się jego upadkiem – nie! Lepiej umrzeć szybko, aby jego dusza poszukała takiego mrocznego schronienia, jakie uda jej się znaleźć. Jednakże ten jego przeklęty brat, ta druga połowa niego samego, połówka, której zazdrościł i którą gardził, połówka, która powinna mu się należeć – według prawa. Żeby odmówił mu tego... tego ostatniego, błogiego ukojenia...

Skurcz bólu przeszył jego ciało. – Caramonie! – osamotniony Raistlin krzyknął w mrok. – Caramonie, potrzebuję cię! Caramonie, nie zostawiaj mnie! – Zaszlochał, trzymając się za brzuch i zwijając w ciasny kłębek. – Nie zostawiaj mnie... samego... bym stawił temu czoło!

Wtedy jego umysłowi wymknęła się nić świadomości. Wizje nawiedzały maga w miarę, jak życie przeciekało mu przez palce. Ciemne skrzydła smoków, rozbita smocza kula... Tasslehoff... gnom...

Moje zbawienie...

Moja śmierć...

Jaskrawe, białe światło, czyste, zimne i ostre niczym miecz przeszło umysł czarodzieja. Kulił się i starał się uciec, starał się zanurzyć w ciepłej i kojącej ciemności. Słyszał swój głos błagający Caramona, aby go zabił i położył „W tej męce, zgasił to olśniewające i kłujące światło.

Raistlin słyszał siebie wymawiającego te słowa, lecz nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi. Wiedział, że odezwał się tylko dlatego, że w odblasku tego jaskrawego, czystego światła ujrzał swego brata, który się od niego odwraca.

Blask był coraz silniejszy i stał się obliczem, przepiękną, spokojną, czystą twarzą o ciemnych, chłodnych, szarych oczach. Zimne dłonie dotknęły jego rozpalonej skóry.

– Pozwól mi cię uleczyć.

Światło sprawiało większy ból niż rana zadana stalą. Wrzeszcząc i wijąc się, Raistlin próbował wyrwać się, lecz ręce trzymały go mocno.

– Pozwól mi cię uleczyć.

– Idź... precz!...

– Pozwól mi cię uleczyć!

Raistlina ogarnęło zmęczenie, straszliwe zmęczenie. Był znużony walką – walką z bólem, walką z szyderstwem, walką z cierpieniem, z jakim żył przez całe swe życie.

Dobrze. Niech bóg się śmieje. Zasłużyłem w końcu na to, pomyślał Raistlin z goryczą. Niech odmówi uleczenia mnie. Wtedy odpocznę w ciemności... w kojącej ciemności...

Zaciskając powieki, zaciskając je mocno z powodu blasku, Raistlin czekał na śmiech...

Nagle ujrzał twarz boga...

Caramon stał na zewnątrz w cieniu namiotu brata, objawszy obolałą głowę dłońmi. Przejmujące błaganie Raistlina o śmierć raniły go do żywego. Nie mógł już dłużej tego znieść. Kapłance najwyraźniej się nie udało. Chwyciwszy za rękojeść swego miecza, Caramon wszedł do namiotu i zbliżył się do łóżka.

W tym momencie krzyki Raistlina ucichły.

Pani Crysania leżała bezwładnie na jego ciele z głową wspartą na piersi maga.

On nie żyje!, pomyślał Caramon. Raistlin nie żyje.

Spoglądając na twarz brata, nie czuł żalu. Zamiast tego ogarnęła go na ten widok zgroza i pomyślał wtedy: Cóż za groteskowa maska dla śmierci!

Oblicze Raistlina było sztywne jak u trupa, a usta szeroko rozwarłe, choć nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Jego skóra była sina. Ślepe oczy w zapadniętych oczodołach zastygły nieruchomo, utkwione w pustce.

Zbliżywszy się jeszcze o krok, odrętwiały, nie czujący żalu ani smutku czy ulgi Caramon przyjrzał się uważniej Dziwnemu wyrazowi twarzy nieboszczyka i wtedy coś nim wstrząsnęło. Zobaczył, że Raistlin nie jest martwy! Wytrzeszczone, nieruchome oczy patrzyły na ten świat

ślepo, ale tylko dlatego, że widziały inny.

Skomlący okrzyk wstrząsnął magiem i był to odgłos straszliwszy dla ucha niż wrzaski bólu. Czarodziej poruszył lekko głowę i gardło mu drgnęło, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Potem Raistlin zamknął oczy. Głowa opadła mu na bok, drgające muskuły się rozluźniły. Wyraz udręki ustąpił z twarzy, która była teraz ściągnięta i blada. Czarodziej zrobił głęboki wdech, wypuścił powietrze z westchnieniem, znów zaczerpnął tchu...

Wstrząśnięty tym, co zobaczył, i nie będąc pewny, czy powinien czuć się wdzięczny, czy jeszcze bardziej zasmucony widokiem żyjącego brata, Caramon patrzył, jak życie wraca do poranionego i brojącego krwią ciała jego bliźniaka.

Powoli otrząsając się z tego wrażenia paraliżu, jakie czasami ogarnia kogoś nagle wyrwanego z głębokiego snu, Caramon ukląkł przy Crysanii i chwycił ją delikatnie, pomógł jej wstać. Patrzyła na niego, mrugając oczami, i nie poznawała go. Potem natychmiast przeniosła spojrzenie na Raistlina. Przez jej twarz przemknął uśmiech. Zamknawszy oczy, wyszeptła modlitwę dziękczynną. Potem przycisnęła dłoń do boku i oparła się o Caramona. Na jej białych szatach widać było świeżą krew.

– Powinnaś siebie uzdrowić – rzekł Caramon, pomagając jej wyjść z namiotu. Podtrzymywał ją silnym ramieniem, słaniała się bowiem na nogach.

Popatrzyła na niego i choć była osłabiona, z jej twarzy Promieniowała radość ze zwycięstwa.

– Być może jutro – odrzekła cicho. – Tej nocy odniosłam większe zwycięstwo. Nie pojmujesz? To odpowiedź na moje modlitwy.

Spoglądając na jej promieniującą spokojem urodę, Caramon poczuł łzy w oczach.

– Więc to jest twoja odpowiedź? – warknął, oglądając się na obóz. Ogniska wypaliły się, zostały po nich tylko sterty popiołu i węgielków. Kątem oka Caramon dostrzegł kogoś oddalającego się biegiem i wiedział, że wkrótce rozejdzie się wieść, iż jakimś sposobem czarnoksiężnik z wiedźmą wspólnie zdołali ożywić zmarłego.

Caramon poczuł żółć podchodzącą mu do gardła. Wyobraził sobie podniecenie, pytania, domysły, ponure spojrzenia oraz potrząsania głowami i na samą myśl o tym zrobiło mu się nieprzyjemnie. Pragnął tylko położyć się do łóżka, usnąć i zapomnieć o wszystkim.

Crysania jednakże przemawiała. – To również odpowiedź dla ciebie, Caramonie – rzekła z przejęciem. – To znak od bogów, na który oboje czekaliśmy. – Przerwała i zwróciła ku niemu pełne zapału oczy. – Czyżbyś nadal był tak samo ślepy jak wtedy w Wieży? Wciąż nie wierzysz? Oddaliśmy sprawę w ręce Paladine'a i bóg przemówił. Raistlin miał żyć. Jego przeznaczeniem jest dokonać tego wielkiego czynu. On, ja i ty, jeśli przyłączysz się do nas, będziemy razem walczyć i pokonamy zło, tak jak walczyliśmy i pokonaliśmy śmierć dzisiejszej nocy!

Caramon popatrzył na nią. Potem spuścił głowę i zgarbił się. Nie chce wojować ze złem, pomyślał zmęczony. Chce tylko wrócić do domu. Czy proszę o zbyt wiele?

Uniósł rękę i zaczął masować pulsującą skroń. Przerwał, kiedy w powoli narastającym blasku poranka zobaczył krwawe ślady palców brata na swym ramieniu. – Postawię strażnika wewnątrz twego namiotu – rzekł szorstko. – Prześpij się trochę...

Odwrócił się.

– Caramonie – zawołała Crysania.

– Co? – Zatrzymał się z westchnieniem.

– Rano poczujesz się lepiej. Pomodłę się za ciebie dziś wieczorem. Dobranoc, mój przyjacielu. Pamiętaj po – dziękować Paladine’owi, że był łaskaw darować twemu bratu życie.

– Tak, jasne – mruknął Caramon. Czuł się speszony i coraz bardziej bolała go głowa. Wiedząc, że za chwilę się rozchoruje, opuścił Crysanię i chwiejnym krokiem poszedł do swego namiotu.

Kiedy już znalazł się w nim sam w ciemności, rzeczywiście złożyła go choroba. Wymiotował w kącie tak długo, aż nie zostało mu w żołądku nic, co mógłby zwrócić. Potem padł na łóżko i wreszcie przestał walczyć z bólem i wyczerpaniem.

Jednakże kiedy ciemność zamykała się litościwie nad nim, przypomniał sobie słowa Crysanii: „Podziękuj Paladine’owi za życie twego brata”.

Wspomnienie wstrząsającej twarzy Raistlina majaczyło Caramonowi przed oczyma, a modlitwa ugrzęzła mu w gardle.

Rozdział X

Kharas zastukał lekko w gościnny kamień, który stał przed domem Duncana, i czekał nerwowo na odpowiedź. Ta wkrótce nadeszła. Drzwi otworzyły się i stanął w nich król.

– Wejdz i bądź pozdrowiony, Kharasie – rzekł Duncan, wciągając krasnoluda do środka.

Zaczerwieniony z zażenowania Kharas wszedł do siedziby króla. Uśmiechając się serdecznie, by go uspokoić, Duncan poprowadził go przez mieszkanie do swego gabinetu.

Wybudowany głęboko pod ziemią w sercu górskiego królestwa dom Duncana składał się ze skomplikowanego labiryntu korytarzy i tuneli wypełnionych ciężkimi, ciemnymi meblami z solidnego drewna, tak podziwianymi przez krasnoludów. Choć domostwo Duncana było większe i przestronniejsze od większości domów w Thorbardinie, pod innymi względami było prawie dokładnie takie samo, jak siedziba każdego innego krasnoluda. Gdyby było inaczej, uznano by to za przejaw wyjątkowo złego gustu. Fakt, że Duncan był królem, nie dawał mu jeszcze prawa, żeby si?

wywyższać. Tak więc, choć utrzymywał służbę, sam otwierał gościom drzwi i własnymi rękoma podawał do stołu. Będąc wdowcem, mieszkał w domu sam ze swymi dwoma synami, którzy byli jeszcze nieżonaci z powodu swego młodego wieku (mieli obaj zaledwie około osiemdziesiątki).

Gabinet, do którego wszedł Kharas, był ulubionym pokojem Duncana. Ściany ozdabiały topory bojowe i tarcze oraz piękna kolekcja zdobycznych hobgoblińskich mieczy o krzywych klingach, trójzab minotaura zdobyty przez jakiegoś odległego przodka oraz, oczywiście, młotki, dłuta i inne narzędzia kamieniarskie.

Duncan podejmował odwiedzającego z prawdziwą krasnoludzką gościnnością, podsuwając mu najlepszy fotel, nalewając piwa i rozpalając ogień. Kharas był tu przedtem, i to nawet wiele razy, ale teraz czuł się nieswojo, jakby wszedł do domu obcej osoby. Być może dlatego, że Duncan, choć traktował swego gościa ze zwykłą uprzejmością, czasami mierzył ogolonego krasnoluda dziwnym, przenikliwym wzrokiem.

Widząc ten dziwny wyraz oczu Duncana, Kharas nie mógł się odprężyć. Wiercił się na krześle, nerwowo ocierając pianę z ust wierzchem dłoni i niespokojnie czekając na zakończenie formalności.

Ta chwila nadeszła szybko. Napełniwszy swój kufel piwem, Duncan wypił go jednym haustem. Potem odstawił kubek na stole z boku i pogładził się po brodzie, patrząc na Kharasa z niewesołą miną.

– Kharasie – rzekł wreszcie – powiedziałeś nam, że czarnoksiężnik nie żyje.

– Tak – odparł zaskoczony Kharas. – Zadałem mu śmiertelny cios. Żaden człowiek nie mógłby przeżyć...

– On tak – odparł krótko Duncan.

Kharas popatrzył gniewnie. – Oskarżasz mnie...

Teraz Duncan oblał się rumieńcem. – Nie, mój przyjacielu! Jestem od tego daleki. Pewien jestem, że bez względu na to, co się stało, byłeś przekonany o jego śmierci. – Duncan westchnął ciężko. – Nasi zwiadowcy jednakże donieśli, że widzieli go w obozie. Najwyraźniej był ranny. Przynajmniej nie mógł jechać konno. Mimo to armia wyruszyła do Zhamanu, wioząc ze sobą czarnoksiężnika na wozie.

– Thanie! – zaprotestował gniewnie Kharas. – Przysięgam ci! Jego krew chlusnęła mi na rękę! Wyszarpnąłem miecz z jego ciała. Na Reonca! – Krasnolud wzdrygnął się. – Widziałem agonię w jego oczach!

– Nie wątpię w twe słowa, synu! – rzekł szczerze Duncan nachylając się, by poklepać młodego bohatera po ramieniu. – Nie słyszałem nigdy, by ktoś przeżył ranę, jaką mi opisałeś, oczywiście z wyjątkiem dawnych czasów, kiedy kapłani jeszcze stąpali po tej ziemi.

Kapłani krasnoludów, jak wszyscy inni duchowni, również zniknęli tuż przed Katakлизmem. Jednakże w odróżnieniu od innych ras Krynnu, krasnoludowie nigdy nie porzucili wiary w swego prastarego boga, Reorxa, Kowala Świata. Choć krasnoludowie byli źli na Reorxa, że spowodował Katakлизm, wiara w niego była wpojona im zbyt głęboko i stanowiła zbyt ważną część ich kultury, by ją po prostu odrzucić po jednym drobnym wybryku ze strony boga. Niemniej jednak poczuli się na tyle obrażeni, że nie czcili go już jawnie. – Czy masz jakieś pojęcie, jak mogło do tego dojść? – spytał Duncan, marszcząc czoło.

– Nie, thanie – rzekł ciężko Kharas. – Zastanawiam się jednak, dlaczego nie otrzymaliśmy odpowiedzi od generała Caramona. – Pomyślał chwilę. – Czy ktoś już przesłuchiwał tych dwóch jeńców, których przyprowadziliśmy ze sobą? Mogą coś wiedzieć.

– Kendera i gнома? – Duncan parsknął. – Też coś! A cóż któryś z nich mógłby wiedzieć? Poza tym nie ma powodu, żeby ich przesłuchiwać. I tak nie jestem zbyt zainteresowany czarodziejem. Prawdę mówiąc, ściągnąłem cię tu po to, by podzielić się tą nowiną, nalegam bowiem, abyś zapomniał wreszcie o rozmowach pokojowych i skupił się na wojnie.

– Tu chodzi o coś więcej niż dwie brody, thanie – mruknął Kharas, cytując stare powiedzenie. Było oczywiste, że nie słyszał ani słowa. – Sądzę, że powinienes...

– Wiem, o czym myślisz – rzekł ponuro Duncan. – Zjawy wyczarowane przez maga. A ja ci mówię, że to śmieszne. Jaki szanujący się czarnoksiężnik wyczarowałby kendera? Nie, to są najprawdopodobniej jacyś służący. Było ciemno, panował zamęt. Sam mi to mówiłeś.

– Nie jestem pewien – odparł cicho Kharas. – Gdybyś widział minę tego maga, kiedy ich zobaczył! Była to twarz kogoś, kto idzie po równinie i nagle widzi skrzynię złota albo klejnotów leżącą u jego stóp. Daj mi zezwolenie, thanie rzekł zapalczywie Kharas. – Pozwól, że ich sprowadzę przed twe oblicze. Porozmawiaj z nimi, tylko o tyle cię proszę!

Duncan westchnął głęboko, mierząc Kharasa ponurym wzrokiem.

– Zgoda – warknął. – Nie sądzę, aby to mogło zaszkodzić. Jednak... – przyjrzał się Kharasowi przebiegle – jeśli to się okaże nieważne, obiecasz mi zrezygnować z tego szalonego pomysłu i skoncentrować się na wojnie? To będzie ciężki bój, synu – dodał łagodniej Duncan, widząc prawdziwy smutek na ogolonej twarzy młodego bohatera. – Jesteś nam potrzebny, Kharasie.

– Tak, thanie – odparł zdecydowanie Kharas. – Zgodzę się. Jeśli to się okaże nieważne.

Skinąwszy głowę, Duncan zawołał strażników i wymaszerował z domu. Za nim wolniej podążył zamyślony Kharas.

Przebywając rozległe królestwo krasnoludów, idąc krętymi drogami raz w górę, raz w dół i przepływając łodzią morze Urkhan, dotarli wreszcie do pierwszego poziomu lochów. Tu przetrzymywano więźniów, którzy popełnili drobniejsze przestępstwa i wykroczenia – wśród nich byli dłużnicy, młody krasnolud, który niegrzecznie odezwał się do starszego, kłusownicy i kilku pijaków odsypiających całonocną hulankę. Tutaj również znajdował się kender i gnom.

Przynajmniej poprzedniego wieczora.

– A to wszystko z braku mapy – stwierdził Tasslehoff Burfoot, gdy krasnoludzki strażnik popędzał go szturchańcami – Wydawało mi się, iż mówiłeś, że już tu byłeś przedtem – wymamrotał urażony Gnimsh.

– Nie przedtem – poprawił Tas. – Potem. Chociaż może później byłoby lepszym określeniem. Mniej więcej dwieście lat później, o ile się orientuję. Prawdę mówiąc, to dość fascynująca historia. Przybyłem z kilkoma przyjaciółmi. Zobaczmy... to było tuż po ślubie Goldmoon i Riverwinda, nim wybraliśmy się do Tarsis. A może już po wyprawie do Tarsis? – zastanawiał się Tas. – Nie, to niemożliwe, bo w Tarsis zawałił się na mnie budynek i...

– Już to słyszałem! – przerwał mu Gnimsh.

– Co takiego? – Tas zamrugnął oczami.

– Już... to... słyszałem! – krzyknął na całe gardło Gnimsh. Jego cienki, gnomi głos zadźwięczał echem w podziemnej komnacie, aż kilku przechodniów obejrzało się na niego z oburzeniem. Krasnoludscy strażnicy czym prędzej popędzili swych powtórnie pojmanyh więźniów.

– Och – rzekł niepokieszony Tas. Potem kender poweselał. – Ale król jeszcze nie słyszał, a zabierają nas do niego. Pewnie będzie bardzo tym zadowolony...

– Powiedziałeś, że mieliśmy nic nie mówić o naszym pochodzeniu z przyszłości – bąknął na głos Gnimsh. Długi, skórzany fartuch plątał mu się pod nogami. – Mieliśmy zachowywać się, jakbyśmy byli tutejsi, pamiętasz?

– To było wtedy, kiedy myślałem, że wszystko pójdzie dobrze – stwierdził Tas i westchnął. – I wszystko szło dobrze. Urządzenie zadziałało, uciekliśmy z Otchłani...

– Pozwolono nam uciec... – zauważył Gnimsh.

– Co za różnica – zachnął się Tas, ześlony przypomnieniem. – W każdym razie wydostaliśmy się, a tylko to się liczy. A magiczne urządzenie zadziało, tak jak powiedziałeś – Gnimsh uśmiechnął się z zadowoleniem – i znaleźliśmy Caramona. Było tak, jak mówiłeś. Urządzenie było wyska-wyskalo – coś tam, żeby wrócić do niego...

– Wyskalowane – wtrącił Gnimsh.

– ...ale potem... – Tas nerwowo żuł koniec swej kitki włosów – wszystko się jakoś popsuło. Raistlin został dźgnięty, może już nie żyje. Krasnoludowie zaciągnęli nas gdzieś, nie dając mi nawet szansy powiedzieć, że robią poważny błąd.

Kender dreptał, pogrążony w głębokich rozmyślaniach. W końcu potrząsnął głową. – Przemyslałem to, Gnimshu. Wiem, że to desperacki czyn, na który normalnie nie zdobyłbym się, ale nie sędzę, żebyśmy mieli jakiś wybór. Sytuacja wymknęła się nam całkowicie spod kontroli. – Tas westchnął z powagą. – Wydaje mi się, że powinniśmy wyjawić prawdę.

Gnimsh sprawiał wrażenie nadzwyczaj przejętego tą nagłą decyzją; prawdę powiedziawszy, tak bardzo był tym poruszony, że potknął się o własny fartuch i padł jak długi na ziemię. Strażnicy, z których żaden nie znał wspólnej mowy, podnieśli gnoma i wlekli go przez resztę drogi, dopóki nie zatrzymali się wreszcie przed wielkimi, drewnianymi drzwiami. Tamtejsi wartownicy spojrzeli z odrazą na kendera i gnoma i napanarli na wrota, które otworzyły się powoli.

– Och, ja tu już byłem! – stwierdził nagle Tas. Teraz już wiem, gdzie jesteśmy.

– Bardzo pomocna uwaga – mruknął Gnimsh.

– Sala audiencyjna – ciągnął Tas. – Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, Tanisowi zrobiło się niedobrze. Wiesz, on jest elfem. No, w każdym razie w połowie elfem i nie znosił życia pod ziemią. – Tas ponownie westchnął. Szkoda, że nie ma tu teraz Tanisa. On wiedziałby, co zrobić. Chciałbym, żeby był tu teraz ktoś mądry.

Strażnicy wepchnęli ich do środka wielkiej sali. Przynajmniej – szepnął cichutko Tas do Gnimsha – nie jesteście sami. Przynajmniej mamy siebie nawzajem.

– Tasslehoff Burrfoot – powiedział kender, kłaniając się królowi krasnoludów, a następnie każdemu z thanów siedzących na kamiennych siedziskach umieszczonych niżej za tronem Duncana. – A to jest...

Gnom entuzjastycznie przepchnął się naprzód. – Gnimshmari...

– Gnimsh! – rzekł głośno Tas, nadeptując gnomowi na stopę, gdy ten przerwał, by zaczerpnąć tchu. – Mówienie zostaw mnie! – kender ofuknął go dobrze słyszalnym szeptem.

Urażony Gnimsh zamilkł, a Tas rozejrzał się po sali bystrym wzrokiem.

– Widzę, że nie planujecie większych remontów w ciągu najbliższych dwustu lat, prawda? W późniejszych czasach będzie tu wyglądało prawie tak samo. Chociaż wydaje mi się, że zapamiętałem to pęknięcie tutaj. Nie, tam. Tak, to. W przyszłości znacznie się poszerzy.

Powinniście...

– Skąd jesteś, kenderze? – warknął Duncan.

– Z Solące – powiedział Tas, przypominając sobie, że miał mówić prawdę. – Och, nie martwcie się, jeśli o nim nie słyszeliście. Jeszcze nie istnieje. W Istar też o nim nie słyszeli, ale to nie było zbyt ważne, bo w tym mieście nikt się nie przejmował czymś, czego nie ma. To znaczy nie ma w Istar. Solące znajduje się na północ od Haven, którego również nie ma, ale będzie wcześniej niż Solące, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Duncan pochylił się w przód i popatrzył na Tasa niepokojąco spod gęstych brwi. – Łżesz.

– Nigdy w życiu! – zaperzył się Tas. – Przybyliśmy tu dzięki pewnej magicznej rzeczy, którą, powiedzmy, pożyczyłem od przyjaciela. Działała świetnie, ale potem przypadkowo ją popsulem. W rzeczywistości to nie była moja wina, ale to już zupełnie inna historia. W każdym razie przeżyłem Kataklyzm i wylądowałem w Otchłani. Niezbyt miłe miejsce. W Otchłani spotkałem Gnimsha i on ją naprawił. To znaczy tę magiczną rzecz, nie Otchłań. On jest naprawdę fantastycznym facetem – ciągnął poufnym tonem Tas, klepiąc Gnimsha po ramieniu. – Co prawda to gnom, ale jego wynalazki działają.

– A więc jesteście z Otchłani! – stwierdził posepnie Kharas – Przyznajecie się! Zjawy z Królestwa Ciemno. – Arcymag w czarnych szatach wyczarował was i przybyliście na jego żądanie.

Słyszając to zaskakujące oskarżenie, kender zaniemówił.

– Cc-co... – Tas przez chwilę bełkotał niezrozumiale, a potem odzyskał zdolność mówienia. – Jeszcze nikt mnie tak nie obraził! Może jeszcze tylko ten strażnik w Istar, który nazwał mnie rzezi-rzezimie... – mniejsza o to. Nie wspominając o tym, że gdyby Raistlin zamierzał coś wyczarować, jestem przekonany, że nie bylibyśmy to my. Co mi przypomina o pewnej rzeczy! – Tas spojrzał srogo na Kharasa. – Dlaczego poszedłeś go zabić? No, wiesz, może rzeczywiście trudno byłoby go nazwać naprawdę miłą osobą. I może rzeczywiście usiłował mnie zabić, każąc mi zepsuć magiczne urządzenie i zostawiając mnie potem w Istar, na które bogowie mieli zrzucić ognistą górę. Ale – Tas westchnął z żalem – był z pewnością jednym z najbardziej interesujących ludzi, jakich znałem.

– Twój czarodziej nie umarł i dobrze wiesz o tym, zjawo! – warknął Duncan.

– Posłuchaj, nie jestem żadną zja... Nie umarł? – Twarz Tasa rozpromieniła się. – Naprawdę? Nawet po tym, kiedy tak go dźgnałeś i poląła się krew, i w ogóle, i... och, już wiem! Crysania! Oczywiście! Pani Crysania!

– Aha, wiedźma! – powiedział cicho Kharas, prawie pod nosem, gdy wśród thanów podniósł się szum.

– Cóż, czasami jest raczej chłodna i bezosobowa stwierdził zaszokowany Tas – ale to jeszcze nie powód, żebyście mieli prawo obrzucać ją wyzwiskami! W końcu to kapłanka Paladine’a.

– Kapłanka! – Thanowie wybuchnęli śmiechem.

– Oto twoja odpowiedź – rzekł Duncan do Kharasa, ignorując kendera. – Czarna magia.

– Oczywiście nie mylisz się, thanie – powiedział Kharas, marszcząc brwi – ale...

– Posłuchajcie – błagał Tas – gdybyście tylko zechcieli mnie wypuścić! Cały czas próbuję wam wyjaśnić. To wszystko jakieś straszne nieporozumienie! Muszę wrócić do Caramona!

To wywołało poruszenie. Thanowie natychmiast ucichli.

– Znasz generała Caramona? – spytał z powątpiewaniem Kharas.

– Generała? – powtórzył Tas. – Ale numer! Dopiero Tanis się zdziwi, jak o tym usłyszy! Tika będzie się śmiała... Ee, oczywiście, że znam Cara... generała Caramona – kontynuował Tas, widząc, jak Duncan znów zmarszczył brwi. – To mój najlepszy przyjaciel. Gdybyście tylko posłuchali tego, co próbuję wam powiedzieć. Gnimsh i ja przybyliśmy tu dzięki magicznemu urządzeniu, żeby znaleźć Caramona i zabrać go do domu. Jestem pewny, że on nie chce być tutaj. Bo widzicie, Gnimsh naprawił to urządzenie tak, że może zabrać więcej niż jedną osobę...

– Zabrać go do domu gdzie? – warknął Duncan. Do Otchłani? Może jego też wyczarował ten mag?

– Nie! – krzyknął Tas, zaczynając tracić cierpliwość.

– Oczywiście zabrać do domu do Solące. I Raistlina też, gdyby chciał. Słowo daję, nie mogę pojąć, co oni tu robią. Raistlin nie mógł znieść Thorbardinu, kiedy byliśmy tam ostatni raz, co będzie za jakieś dwieście lat. Cały czas kaszlał i uskarżał się na wilgoć. Flint powiedział, to znaczy Flint Fireforge, mój stary przyjaciel...

– Fireforge! – Duncan aż zerwał się z tronu i zgromił kendera wzrokiem. – Jesteś przyjacielem Fireforge'a?

– No wiesz, nie musisz się tak unosić – stwierdził nieco spłoszony Tas. – Flint miał swoje wady, to jasne, zawsze marudził i oskarżał ludzi o kradzież rzeczy, podczas gdy ja miałem szczerzy zamiar odłożyć tę bransoletkę tam, skąd ją wzięłem, ale to nie oznacza, że ty...

– Fireforge – rzekł z zawziętością Duncan – jest wodzem naszych nieprzyjaciół. A może nie wiedziałeś o tym?

– Nie – stwierdził zaciekawiony Tas – nie wiedziałem. Och, ale jestem pewny, że to nie może być ten sam Fireforge – dodał po chwili zastanowienia. – Flint urodzi się nie wcześniej niż za jakieś pięćdziesiąt lat. Może to jego ojciec. Raistlin powiedział...

– Raistlin? Kto to jest Raistlin? – zapytał Duncan.

Tasslehoff posłał krasnoludowi surowe spojrzenie. Mię uważasz. Raistlin jest czarodziejem. Tym, którego zabiłeś... ee, tym, którego nie zabiłeś. Wydawało ci się tylko, że go zabiłeś, ale tak nie było.

– On się nie nazywa Raistlin. On się nazywa Fistandantilus! – wysapał Duncan. Potem król krasnoludów ponownie usiadł z ponurą miną. – Tak więc – rzekł, posyłając kenderowi spojrzenie

spod krzaczastych brwi – zamierzałeś zabrać tego czarnoksiężnika, którego uleczyła kapłanka, choć na świecie nie ma kapłanów, oraz generała, który według ciebie jest twym najlepszym przyjacielem, do miejsca, które jeszcze nie istnieje, na spotkanie z naszym wrogiem, który jeszcze się nie narodził, dzięki zbudowanemu przez gнома urządzeniu, które rzeczywiście działa?

– Właśnie! – krzyknął triumfalnie Tas. – Widzisz! Popatrz, czego możesz się dowiedzieć, kiedy uważasz!

Gnimsh skinął głową na potwierdzenie.

– Straże! Wyprowadzić ich! – warknął Duncan. Odwracając się na pięcie, spojrzął chłodno na Kharasa. – Dałeś mi słowo. Spodziewam się ujrzeć cię w sali narad wojennych za dziesięć minut.

– Ależ, thanie! Jeśli on naprawdę zna generała Caramona...

– Dość! – Duncan wpadł w gniew. – Nadchodzi wojna, Kharasie. Cały twój honor i całe twoje szlachetne lamentowanie nad zabijaniem rodaków nie zdołają jej powstrzymać! A ty znajdziesz się na polu walki albo możesz zabrać to swoje oblicze, które przynosi wstyd nam wszystkim, i ukryć je w lochach, gdzie znajduje się reszta zdrajców naszego ludu, Dewarowie! Co wolisz?

– Oczywiście jestem na twoje rozkazy, thanie sztywno Kharas. – Przysięgałem ci życie.

– Obyś o tym nie zapomniał! – rzucił Duncan. – I żebyś się nie rozpraszał, rozkazuję ci nie opuszczać swej kwatery z wyjątkiem wyjścia na posiedzenia rady wojennej a także rozkazuję uwięzić tych dwóch – machnął ręką w kierunku Tasa i Gnimsha – i trzymać w tajemnicy miejsce ich pobytu aż do końca wojny. Niech śmierć spadnie na głowę każdego, kto sprzeciwi się temu rozkazowi.

Thanowie popatrzyli na siebie i pokiwali głowami z aprobatą, choć jeden szepnął, że już za późno. Strażnicy złapali Gnimsha oraz Tasa i wyprowadzili ich, choć kender wciąż zawzięcie protestował.

– Mówiłem prawdę – jęczał. – Musicie mi uwierzyć! Wiem, że to brzmi dziwnie, ale widzicie, nie jestem całkiem przyzwyczajony do... hm... mówienia prawdy! Dajcie mi tylko trochę czasu. Jestem pewny, że kiedyś wreszcie połapię się w tym...

Tasslehoff nie uwierzyłby, że można zejść tak głęboko pod powierzchnię ziemi, jak zaprowadzili go strażnicy, gdyby nie przebył tej odległości na własnych nogach. Przypomniało mu się, jak Flint kiedyś opowiadał, że tam na dole mieszka Reonc, który swym olbrzymim młotem wykuwa świat.

– To musi być wyjątkowo miły i wesoły facet – burczał Tas, dygocąc z zimna tak, że aż mu dzwoniły zęby.

– Można by pomyśleć, że skoro Reorc wykuwa świat, będzie tu trochę ciepłej.

– Ufaj tu krasnoludom – wymamrotał Gnimsh.

– Co powiedziałaś? – Kedner miał wrażenie, że ostatnią połowę swego życia spędził na zaczynaniu każdego zdania do gнома od „Co powiedziałaś?” – Powiedziałem „ufaj tu krasnoludom”! – odwrzasnął Gnimsh. – Zamiast budować domy w czynnych wulkanach, które choć trochę niestabilne, stanowią doskonałe źródło ciepła, budują w starych, martwych górach.

– Pod rzadką czupryną. – Trudno uwierzyć, że jesteśmy kuzynami.

Tas nie odpowiedział, zajęty był bowiem czym innym. Jak stąd się wydostaniemy, dokąd pójdziemy, kiedy już się stąd wydostaniemy, i kiedy mogą podawać tu obiad? – rozmyślał. Ponieważ na żadne z tych pytań (łącznie z kwestią obiadu) nie nasuwała mu się natychmiastowa odpowiedź, kender zapadł w ponure milczenie.

Och, był pewien dość ekscytujący moment – kiedy spuszczano ich wąskim kominem wywierconym w skale. Gnimsh twierdził, że urządzenie, którym opuszczano ludzi w głąb tego tunelu, gnomo wie nazywali „windą”. (Czy „winda” nie jest nieodpowiednią dla niego nazwą, jeśli zamiast windować coś, spuszcza na dół?, zauważył Tas, ale gnom go zignorował.) Ponieważ nie przychodziło mu do głowy rozwiązanie żadnego z jego problemów, Tas stwierdził, że w tak ciekawym miejscu szkoda marnować czas na spuszczenie nosa na kwintę. W związku z tym podróż windą sprawiła mu niezmierną radość, choć czasami nie należała do najprzyjemniejszych, gdy skrzypiące, drewniane urządzenie – poruszane przez muskularnych krasnoludów, którzy ciągnęli za bardzo długą linę – uderzało o ściany kamienistego tunelu, potrząsając pasażerami w środku i kalecząc ich, tudzież dotkliwie siniacząc.

Wszystko to było bardzo zabawne, szczególnie gdy krasnoludscy strażnicy towarzyszący Tasowi i Gnimshowi wygrażali pięściami i klęli zawzięcie w swoim języku na tych, którzy stojąc wysoko na górze, spuszczaali windę.

Gnom natomiast wpadł w trudny do uwierzenia stan podniecenia. Wyciągnąwszy kawałek węgla drzewnego i pożyczwszy jedną z chusteczek Tasa, przykucnął na podłodze Windy i zaczął natychmiast kreślić plany Nowej Ulepszonej Windy.

– Trybykablepara – mamrotał pod nosem radośnie, zajęty rysowaniem czegoś, co Tasowi przypominało olbrzymią pułapkę na kólkach na homary. – W górę w dół. Które piętro? Przejdź na tyły. Pojemność – trzydzieści dwa. Utknęła? Alarmy! Dzwonki, gwizdki, trąby.

Kiedy wreszcie dotarli na dół, Tas starał się uważnie patrzeć, dokąd idą (aby mogli się wydostać nawet bez mapy) lecz Gnimsh uczeplił się go, pokazując mu szkic i objaśniając go szczegółowo.

– Tak, Gnimshu. Czyż to nie interesujące? – mówił Tas, tylko jednym uchem słuchając gнома. Znajdował się nie tylko na dnie lochów, ale i na dnie rozpaczy. – Kojąca muzyka grajka w kącie? Tak, Gnimshu, to wspaniałe pomysł.

Rozejrzawszy się dookoła, gdy strażnicy popędzili ich szturchańcami naprzód, Tas

westchnął. Miejsce to nie tylko z wyglądu było równie nudne co Otchłań, ale w dodatku śmierdziało jeszcze gorzej. Wzdłuż kamiennych ścian ciągnęły się rzędy wielkich, prymitywnych cel więziennych. Cele oświetlone były pochodniami, które kopcily w cuchnącym, rzadkim powietrzu, i wypełnione były po brzegi krasnoludami.

Idąc wąskim przejściem pomiędzy więziennymi blokami, Tas przyglądał im się z rosnącym zakłopotaniem. Ci krasnoludowie nie wyglądali na przestępców. W tych celach siedzieli stłoczeni mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Skuleni na brudnych kocach, zgarbieni na rozklekotanych stołkach, wyglądali ponuro zza krat.

– Hej! – powiedział Tas, szarpiąc strażnika za rękaw. Kender mówił trochę w języku krasnoludów, nauczywszy się go od Flinta. – Co to wszystko znaczy? – spytał, machając ręką. – Dlaczego ci wszyscy ludzie są tutaj? (Przynajmniej miał nadzieję, że to powiedział. Istniało duże prawdopodobieństwo, że omyłkowo zapytał o drogę do najbliższej piwiarni.) Strażnik jednak popatrzył na niego groźnie i powiedział tylko: – Dewarowie.

Rozdział XI

Dewarowie? – powtórzył Tas i zrobił zakłopotaną minę.

Strażnik jednakże nie miał zamiaru mu tego tłumaczyć, natomiast pchnął go brutalnie w plecy. Tas potknął się, a potem szedł dalej, starając się zgadnąć, co tu się dzieje. Gnimsh natomiast, najwyraźniej w kolejnym napadzie inspiracji, rozprawiał o „hydraulicce”.

Tas zastanawiał się. Dewarowie, pomyślał, starając się przypomnieć sobie, gdzie słyszał to słowo. Nagle znalazł odpowiedź.

– Czarni krasnoludowie! – rzekł. – Oczywiście! Pamiętam! Walczyli dla smoczych władców. Nie mieszkali jednak w tych podziemiach, kiedy ostatnim razem, albo raczej, kiedy następnym razem byliśmy tutaj albo będziemy tutaj. O kurczę, ale wszystko mi się miesza. Dewarowie chyba jednak nie mieszkają w celach więziennych. Hej, ty Tas znów postukał krasnoluda – co oni zrobili? To znaczy, Za co ich wpakowano do więzienia?

– Zdrajcy! – warknął krasnolud. Po dojściu do celi, która umieściła się na samym końcu rzędu, wyciągnął klucz włożył go do zamka i otworzył drzwi.

Zajrzawszy do środka, Tas zobaczył jakichś dwudziestu czy trzydziestu Dewarów ściśniętych w celi. Niektórzy leżeli w odrętwieniu na podłodze, inni spali na siedząco pod ścianami. Jedna grupa, skulona w odległym kącie, rozmawiała przyciszonymi głosami, kiedy przybył strażnik. Kiedy tylko drzwi celi otworzyły się, natychmiast umilkli. W tej celi nie było kobiet ani dzieci, tylko sami mężczyźni, którzy przyglądali się Tasowi, gnomowi i strażnikowi ciemnymi, pełnymi nienawiści oczyma.

Tas złapał Gnimsha w chwili, gdy gnom – wciąż mamroczący o ludziach, którzy ugrzęźli między piętami chciał w roztargnieniu wejść do celi.

– Cóż – rzekł Tas do krasnoludzkiego strażnika, szarpnięciem przyciągając Gnimsha z powrotem do siebie muszę powiedzieć, że ta wycieczka była bardzo...ee... zabawna. A teraz, jeśli zechciałbyś zaprowadzić nas do naszych cel, które były bardzo przyjemne, takie jasne, przewiewne i przestronne, sądzę, że mógłbym obiecać, że mój kolega i ja nie będziemy więcej urządzać niedozwolonych wycieczek do waszego miasta, chociaż jest ono nadzwyczaj ciekawym miejscem i chciałbym je lepiej poznać. Ja...

Jednakże krasnolud wrzucił kendera do celi brutalnym pchnięciem, od którego Tas się przewrócił.

– Mógłbyś się wreszcie zdecydować – wypalił poirytowany Gnimsh, wchodząc do celi za Tasem. – Wchodzimy czy wychodzimy?

– Wygląda na to, że wpadliśmy – stwierdził żałośnie Tas, podnosząc się do pozycji siedzącej i przyglądając się z powątpiewaniem Dewarom, którzy gapili się na nich w milczeniu. Stukowi ciężkich butów strażników oddalających się korytarzem towarzyszyły wulgarnie przekleństwa

i groźby wykrzykiwane z sąsiednich cel.

– Cześć – powiedział Tas, uśmiechając się przyjaźnie, ale nie podając ręki. – Jestem Tasslehoff Burrfoot, a to mój przyjaciel Gnimsh. Wygląda na to, że teraz będziemy współwędźniami, prawda? Więc, jak się nazywacie? No, wiesz, moim zdaniem to nie było bardzo miłe...

Tas wyprostował się i spojrzał srogo na jednego z Dewarów, który wstał i właśnie się do nich zbliżał.

Był to wysoki krasnolud, którego twarzy nie było widać zza splątanej gęstwiny zmierzwionych włosów i brody. Nagle krasnolud wyszczerzył zęby. Błysnęła stal i w jego ręku pojawił się wielki nóż. Powłócząc nogami, krasnolud podchodził do kendera, który wcisnął się w kąt najdalej, jak było to możliwe, ciągnąc za sobą Gnimsha.

– Kimonisa? – pisnął przestraszony Gnimsh, wreszcie zauważając ponure otoczenie.

Zanim Tas zdołał odpowiedzieć, Dewar złapał kendera za kark i przyłożył mu nóż do gardła.

Już po mnie!, pomyślał z żalem Tas. Tym razem na pewno zginę. Ale się Flint z tego uśmieje!

Jednakże nóż czarnego krasnoluda wyminął twarz Tasa o kilka centymetrów. Sięgnąwszy mu za ramię, czarny krasnolud sprawnie przeciął rzemyki sakiewek Tasa, rozrzucając je oraz ich zawartość na posadzkę.

W celi natychmiast wybuchło piekło, gdy Dewarowie rzucili się na mieszki. Krasnolud trzymający nóż złapał ich najwięcej, starając się odpędzić kompanów wymachami i dźgnięciami klingi. Wszystko znikło w przeciągu sekund.

Ściskając własność kendera, Dewarowie natychmiast usiedli i zaczęli ją przeglądać. Czarny krasnolud z nożem zdołał ukraść najwięcej. Przyciskając łup do piersi, wrócił na swe miejsce na tyłach celi, gdzie wraz ze swymi przyjaciółmi bezzwłocznie zaczął wysypywać zawartość sakiewek na podłogę.

Tas sapnął z ulgi i osunął się na zimną, kamienną posadzkę. Było to jednakże pełne zatroskania westchnienie ulgi. Tas bowiem domyślił się, że kiedy sakwy przestaną już ciekawić Dewarów, przyjdzie im do głowy wspianiały pomysł, aby teraz przeszukać ich samych.

– A z pewnością łatwiej będzie obszukać nasze trupy mruknął pod nosem. To jednakże podsunęło mu następną myśl. – Gnimsh! – szepnął natarczywie. – Magiczne urządzenie! Gdzie ono jest?

Gnimsh zamrugnął oczami, poklepał się po kieszeni skórzanego fartucha i potrząsnął głową. Poklepawszy się po następnej kieszeni, wydobył przykładnicę w kształcie litery T i kawałek węgla drzewnego. Przyjrzał im się uważnie przez chwilę. Następnie doszedł do wniosku, że żaden z tych przedmiotów nie jest magicznym urządzeniem i wepchnął je z powrotem do kieszeni. Tas poważnie zastanawiał się nad uduszeniem gnoma, kiedy Gnimsh z triumfalnym

uśmiechem sięgnął do buta i wyjął z niego magiczny przyrząd.

Podczas poprzedniego pobytu w więzieniu Gnimshowi udało się ponownie złożyć urządzenie. Przyjęło ono teraz kształt i wielkość dość przeciętnego, nie przyciągającego uwagi wisiora zamiast skomplikowanego i przepięknego berła, jakie przypominało w całej swej okazałości.

– Nie pokazuj go! – ostrzegł Tas. Oglądając się na Dewarów, zobaczył, że byli zajęci walką o rzeczy znalezione w jego torbach. – Gnimshu – szepnął – dzięki temu przedmiotowi wydostaliśmy się z Otchłani i powiedziałaś wtedy, że jest wysko-wyskalo-coś tam i żeby iść prosto do Caramona, bo to jemu dał je Par-Salian. Wiesz, naprawdę nie chciałbym, żebyśmy znowu powędrowali gdzieś w czasie, ale czy nie sądzisz, że udałby się skok, powiedzmy, tylko na niewielką odległość? Jeśli Caramon jest generałem tej armii, nie może być zbyt daleko stąd.

– To świetny pomysł! – Gnimshowi zabłysły oczy. – Chwileczkę, niech tylko pomyślę...

Jednak było już za późno. Tas poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Z sercem stojącym mu w gardle kender odwrócił się gwałtownie. Miał nadzieję, że wyraz jego twarzy jest ponurą miną zatwardziałego zabójcy. Chyba tak było, Dewar bowiem, który go dotknął, odskoczył przerażony podnosząc ręce do góry w obronnym geście.

Kiedy Tasslehoff zobaczył, że był to krasnolud o młodzieńczym wyglądzie i prawie przytomnym wyrazie oczu, odetchnął i rozluźnił się, podczas gdy Dewar, który ujrzał, że kender nie zamierza pożreć go żywcem, przestał się trząść i spojrzał na niego z nadzieją.

– O co chodzi? – spytał Tas w języku krasnoludów.

– Czego chcesz?

– Chodź. Ty chodź. – Dewar wzywał go gestem. Potem, widząc, że Tas marszczy brwi, pokazał coś, a następnie znów machnął do niego ręką, cofając się w głąb celi.

Tas wstał ostrożnie. – Zostań tu, Gnimshu – polecił. Gnom jednakże nie zwracał na niego uwagi. Mamrocząc pod nosem z zadowolenia, Gnimsh był zajęty obracaniem i przekręcaniem drobnych elementów urządzenia.

Zaciekawiony Tas skradał się za Dewarem. Może ten gość odkrył drogę ucieczki. Może kopał tunel.

Dewar, stale kiwając na kendera, zaprowadził go na środek celi. Tam zatrzymał się i wyciągnął rękę. – Pomoc? – rzekł z nadzieją.

Kiedy Tas spojrział w dół, nie zobaczył tunelu. Zobaczył natomiast Dewara leżącego na kocu. Krasnolud miał spoconą twarz, a z jego włosów i brody kapał pot. Oczy miał zamknięte, a całym ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki. Na ten widok Tasa zdjął dreszcz. Kender rozejrzał się po celi. Kiedy znów spojrział na młodego Dewara, pokręcił głową z żalem. – Nie – rzekł łagodnie Tas. – Przykro mi. Nic... nic nie mogę zrobić. Przepraszam. – Bezradnie wrzucił ramionami.

Dewar zdawał się rozumieć, usiadł bowiem przy chorym krasnoludzie i spuścił głowę

niepocieszony.

Tas przeczłogał się z powrotem do Gnimsha, czując się w środku cały odrętwiały. Siadł w kącie i popatrzył na ciemną celę widząc i słysząc to, co powinien był zauważyć od razu – szalony, bezsensowny bełkot, krzyki bólu, wołanie o wodę oraz tu i ówdzie straszliwe milczenie tych, którzy leżeli bardzo, bardzo nieruchomo.

– Gnimshu – powiedział cicho Tas – ci krasnoludowie są chorzy. Naprawdę chorzy. Widywałem to już w przyszłości. Oni są chorzy na zarazę.

Gnimsh wybałuszył oczy. Niemal upuścił magiczne urządzenie.

– Gnimshu – rzekł Tas, starając się mówić spokojnie musimy się stąd szybko wydostać! Wydaje mi się, że jedyne, co nas tu czeka, to śmierć od noża, która, choć niewątpliwie ciekawa, ma swoje złe strony, albo dopadnie nas dość powolna i nudna śmierć od zarazy.

– Sądzę, że zadziała – powiedział Gnimsh, z powątpiewaniem przyglądając się magicznemu urządzeniu. Oczywiście może nas zabrać z powrotem do Otchłani...

– Nie najgorsze miejsce – stwierdził Tas, wstając powoli i pomagając podnieść się Gnimshowi. – Wymaga trochę przyzwyczajenia i nie sądzą, żeby oni byli zachwyceni ujrzeniem nas raz jeszcze, ale uważam, że stanowczo warto spróbować.

– Zgoda, tylko dokonam pewnych poprawek...

– Nie dotykaj go!

Z cienia dobiegł ich znajomy głos, który zabrzmiał tak groźnie i rozkazująco, że Gnimsh zamarł w bezruchu z urządzeniem w dłoni.

– Raistlin! – krzyknął Tas, rozglądając się gorączkowo. – Raistlinie! Jesteśmy tutaj! Tutaj!

– Wiem, gdzie jesteście – stwierdził ozięble arcymag, materializując się w zadymionym powietrzu i stając przed nimi w celi.

Dewarowie zareagowali na jego niespodziewane zjawienie się jękami, wrzaskami i krzykami. Krasnolud z nożem, który siedział w kącie, podniósł się zwinnie i skoczył naprzód.

– Raistlinie, uwa... – pisnął Tas.

Raistlin odwrócił się. Nic nie powiedział. Nie podniósł ręki. Spojrzał tylko na czarnego krasnoluda. Twarz De wara była biała jak ściana. Wypuściwszy nóż ze zmartwiały palców, krasnolud cofnął się i starał się ukryć w najciemniejszym kącie. Zanim Raistlin odwrócił się do kendera, rozejrzał się po celi. Natychmiast zapadła cisza. Ucichli nawet ci, którzy majaczyli.

Zadowolony Raistlin odwrócił się znów do Tasa.

– ...żaj – dokończył niezręcznie Tas. Potem rozpromienił się. Klasnął w dłonie. – Och, Raistlinie! Jak to dobrze znów cię widzieć! Doprawdy świetnie wyglądasz. Szczególnie jak na kogoś, komu... ee... miecz utkwiał w... ee... Cóż, to raczej nieważne, i przyszedłeś nas uratować, prawda? To cudownie!

– Dość tego jazgotu! – powiedział chłodno Raistlin. Nachylił się, złapał Tasa i przyciągnął

go ku sobie. – A teraz powiedz mi, skąd się tu wzięłeś?

Tas zająknął się, patrząc Raistlinowi w oczy. – Nie... nie jestem pewien, czy w to uwierzysz. Nikt inny nie wierzy. Jednak to szczerą prawdą, przysięgam!

– Mów wreszcie! – warknął Raistlin, zwinnie skręcając kołnierz Tasa.

– Jasne! – Tas wiał się, czując ściskanie w gardle. Uch, pamiętaj tylko, że lepiej będzie, jeśli czasami pozwolisz mi nabrać tchu. Zobaczmy, jak to było. Próbowałem powstrzymać Katakлизм i urządzenie się popsuło. Jestem pewien, że nie chciałeś tego – wybełkotał Tas – ale wiesz... hm... zdaje się, że dałeś mi niewłaściwe instrukcje...

– To prawda. To znaczy, taki miałem zamiar stwierdził ponuro Raistlin. – Mów dalej.

– Chciałbym, ale... trudno jest mówić bez powietrza... Raistlin rozluźnił trochę uścisk, w którym trzymał kendera. Tas odetchnął głęboko. – Dobrze! O czym to ja mówiłem? Ach, tak. Czy wiesz, że zszedłem za panią Crysanią głęboko, głęboko pod ziemię, na samo dno walącej się świątyni w Istar? Zobaczyłem, jak Crysania weszła do tej komnaty, i wiedziałem, że musiała iść na spotkanie z tobą, wymówiła twoje imię, i miałem nadzieję, że naprawisz to urządzenie...

– Kończ szybko!

– Ja-jasne. – Po przyspieszeniu do granic możliwości głos Tasa stał się prawie niezrozumiały. – A potem coś gruchnęło za mną i to był Caramon, tylko on mnie nie widział i wszędzie zrobiło się ciemno, a kiedy się obudziłem, ciebie nie było i popatrzyłem w górę w samą porę, żeby zobaczyć, jak bogowie zrzucają ognistą górę... – Tas nabrał powietrza. – To dopiero było coś. Chciałbyś może posłuchać o... Nie? No cóż, może kiedy indziej. Przypuszczam, że musiałem znowu usnąć, bo potem się ocknąłem i wszędzie było cicho. Myślałem, że jestem nieżywy, ale nie byłem. Byłem w Otchłani, gdzie świątynia powędrowała po Kataklizmie.

– Otchłań! – szepnął Raistlin. Ręka mu drżała.

– Nieprzyjemne miejsce – stwierdził Tas z namaszczeniem – mimo wszystko, co wcześniej powiedziałem. Spotkałem Królową... – Kender zadrżał. – Wiesz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym nie mówić o tym w tej chwili. – Wyciągnął drżącą rękę. – Tu jest jej znak, tych pięć białych punkcików... w każdym razie powiedziała, że muszę tam zostać na zawsze, ponieważ teraz może zmienić historię i wygrać wojnę. A ja nie zamierzałem...

– Tas popatrzył błagalnie na Raistlina – chciałem tylko pomóc Caramonowi. Potem, podczas pobytu w Otchłani, spotkałem Gnimsha...

– Gnoma – rzekł cicho Raistlin, spojrzawszy na Gnimsha, który wpatrywał się ze zdumieniem w czarodzieja, nie śmiejąc nawet drgnąć.

– Tak. – Tas wykręcił głowę, żeby uśmiechnąć się do przyjaciela. – On zbudował urządzenie do podróży w czasie, które działało, naprawdę działało, pomyśl tylko o tym! I fiuu! Znaleźliśmy się tutaj!

– Uciekliście z Otchłani? – Raistlin zwrócił swe lustrzane oczy w stronę kendera.

Tas wił się jak piskorz. Te ostatnie momenty prześladowały go w snach w nocy, a kenderzy rzadko śnią. – Ee, oczywiście – bąknął i uśmiechnął się do arcymaga, żywiąc nadzieję, że był to rozbrajający uśmiech.

Był to jednakże najwyraźniej daremny wysiłek. Przejęty czymś Raistlin przyglądał się gnomowi z miną, na widok której lasowi nagle zrobiło się zimno.

– Powiedziałeś, że urządzenie było popsute? – spytał cicho Raistlin.

– Tak. – Tas przełknął ślinę. Czując, że zamyślony mag rozluźnił uścisk, kender pokręcił się lekko, zamierzając wyslizgnąć się czarodziejowi z rąk. Ku jego zaskoczeniu Raistlin wypuścił go, rozwierając dłoń tak niespodziewanie, że Tas omal nie upadł na plecy.

– Urządzenie było popsute – szepnął Raistlin. Nagle zmierzył Tasa przenikliwym wzrokiem.

– W takim razie kto je naprawił? – Arcymag powiedział to prawie szeptem.

Odsunawszy się od Raistlina, Tas zaczął się zastrzeżać: Mam nadzieję, że czarodzieje nie będą się gniewać. Gnimsh wcale go nie naprawił. Powiesz o tym Par-Salianowi, dobrze, Raistlinie? Nie chciałbym mu się narazić... wiesz, w każdym razie bardziej niż już mu się naraziłem. Naprawdę niczego nie zrobiliśmy z tym urządzeniem. Gnimsh tylko... hm... tak jakby złożył je z powrotem w taki sposób, że zadziało.

– Zmontował je? – dopytywał się Raistlin, wciąż z tym samym dziwnym wyrazem oczu.

– T-tak. – Uśmiechając się blado, Tas cofnął się, by szturchnąć Gnimsha w żebra w chwili, gdy gnom zamierzał się odezwać. – Z... zmontował. Tak właśnie. Zmontował.

– Ależ, Tas... – zaczął głośno Gnimsh. – Nie pamiętasz, co się stało? Ja...

– Zamknij się! – szepnął Tas. – Pozwól mi mówić. Jesteśmy po uszy w tarapatkach! Czarodzieje nie lubią, kiedy im się majsterkuje przy ich urządzeniach, nawet jeśli Przy okazji je się ulepszy! Jestem pewien, że potrafię wytłumaczyć to Par-Salianowi, kiedy się z nim zobaczę. Bez wątpienia będzie zadowolony, że je ulepszyłeś. W końcu na Pewno musiało to być dla nich bardzo dokuczliwe, że urządzenie mogło transportować tylko jedną osobę naraz, no i w ogóle. Jestem pewien, że Par-Salian tak to zrozumie ale wolałbym sam mu to powiedzieć... jeśli wiesz, co mam na myśli. Raistlin jest tak jakby... wiesz, drażliwy na tym punkcie. Nie sądzę, żeby to rozumiał, i możesz mi wierzyć – zerknął na maga i poczuł ścisk w gardle – to nie jest odpowiednia pora na wyjaśnienia.

Gnimsh zerknął niepewnie na Raistlina, po czym zadrżał i podszedł bliżej do Tasa.

– On patrzy na mnie tak, jakby chciał wyrzucić mnie na nice! – wymamrotał zaniepokojony gnom.

– On tak patrzy na każdego – odszepnął Tas. – Przyzwyczaisz się.

Nikt się nie odzywał. Jeden z chorych krasnoludów leżących w zatłoczonej celi jęknął i krzyknął w malignie. Tas obejrzał się z niepokojem najpierw na nich, a następnie na Raistlina.

Mag znów przyglądał się gnomowi z tą osobliwą, ponurą i przejętą miną, którą przybrała jego blada twarz.

– Wiesz, to już naprawdę wszystko, co mogę ci powiedzieć, Raistlinie – powiedział głośno Tas, posyłając kolejne nerwowe spojrzenie w stronę chorych krasnoludów.

– Czy moglibyśmy już stąd pójść? Śmigniesz nas stąd tak, jak robiłeś to w (star? To było bardzo fajne i...

– Oddaj mi urządzenie – powiedział Raistlin, wyciągając rękę.

Z jakiegoś powodu – może wyrazu oczu maga, a może chłodnej wilgoci panującej w podziemnych lochach – Tas zaczął się trząść. Gnimsh, który trzymał magiczny przedmiot w ręku, spojrzał pytająco na Tasa.

– Hm, czy bardzo by ci przeszkadzało, gdybyśmy, tak jakby, zatrzymali je jeszcze trochę? – zaczął Tas. – Nie zgubię go...

– Oddaj mi urządzenie. – Raistlin nie podnosił głosu. Tas znów przełknął ślinę. Miał jakiś dziwny smak w ustach. – Lepiej... lepiej oddaj mu je, Gnimshu. Gnom, który mrugał oczami z ogłupiałą miną i najwyraźniej próbował zorientować się w sytuacji, spojrzał tylko pytająco na Tasa.

– Wszystko, wszystko będzie w porządku – powiedział Tas, starając się uśmiechnąć, choć twarz mu nagle zeszywniała. – Widzisz, Raist... Raistlin jest moim przyjacielem. U niego będzie bezpieczne...

Gnimsh wzruszył ramionami, odwrócił się i poczłapał kilka kroków naprzód, trzymając urządzenie w wyciągniętej dłoni. Wisior wyglądał nieciekawie i pospolicie w słabym świetle pochodni. Wyciągnawszy rękę, Raistlin powoli i ostrożnie wziął urządzenie. Obejrzał je dokładnie, a następnie schował do jednej z tajnych kieszeni swych czarnych szat.

– Podejdz do mnie, Tas – rzekł łagodnym tonem Raistlin, kiwając na niego ręką.

Gnimsh nadal stał przed Raistlinem, z niepokieszoną miną spoglądając na kieszeń, w której zniknęło urządzenie. Chwyciwszy gnoma za troczki skórzanego fartucha, Tas odciągnął Gnimsha od czarodzieja. Potem złapał gnoma za rękę i popatrzył w górę.

– Jesteśmy gotowi, Raistlinie – powiedział wesoło. – Fiuu, lecimy! Ale Caramon się zdziwi...

– Powiedziałem, podejdz tu, Tas – powtórzył Raistlin tym cichym, pozbawionym wyrazu głosem. Przyglądał się gnomowi.

– Och, Raistlinie, nie chcesz go tu chyba zostawić, prawda? – zachlipał Tas. Wypuściwszy rękę Gnimsha, zrobił krok naprzód. – Bo jeśli tak, to ja też zostanę. Popatrz, on przecież sam nigdy się stąd nie wydostanie. A ma taki wspianiały pomysł na mechaniczną windę...

Raistlin nagle wysunął rękę węzowym ruchem, chwycił Tasa za ramię i szarpnięciem przyciągnął do siebie. – Nie, nie zamierzam go tu zostawić.

– Widzisz! On nas śmignie do Caramona. Czary to wielka frajda – zaczął Tas, wykręcając się

do Gnimsha, starając się wyszczerzyć zęby, choć silne palce czarodzieja sprawiały mu okropny ból. Jednakże na widok twarzy Gnimsha Tas przestał się uśmiechać. Chciał podejść do przyjaciela, ale Raistlin trzymał go mocno.

Gnom stał zupełnie sam i sprawiał wrażenie strasznie żałosnego i skonfundowanego, wciąż miętosząc w rękę chusteczkę Tasa.

Tas wił się jak na mękach. – Och, Gnimsh, proszę. Wszystko będzie dobrze. Mówiłem ci, Raistlin jest moim przyja...

Unosząc jedną rękę, a drugą trzymając Tasa za kołnierz, arcymag wymierzył palec w gнома. Cichym głosem zaintonował: – Ast kiranann kair...

Tasa ogarnęła zgroza. Słyszał już kiedyś te słowa zaklęcia...

– Nie! – krzyknął w udreće. Odwrócił się gwałtownie i popatrzył Raistlinowi w oczy. – Nie! – wrzasnął raz jeszcze, rzucając się całym ciałem na maga i bijąc go małymi piąstkami.

– ...Garditrm Soih-arn Suh kuli Jalaran! – dokończył spokojnie Raistlin.

Tas, który wciąż trzymał Raistlina za czarną szatę, usłyszał trzeszczenie i skwierczenie rozlegające się w powietrzu. Odwracając się i wydając nieartykułowany okrzyk, kender zobaczył, jak strugi płomieni strzelają z palców maga prosto w gнома. Magiczna błyskawica trafiła Gnimsha w pierś. Straszliwa energia podrzuciła małe ciało gнома i cisnęła nim o kamienną ścianę z tyłu.

Gnimsh osunął się na posadzkę, nawet nie jęknąwszy. Z jego skórzanego fartucha unosił się dym. Czuć było słodkawą, mdlący zapach spalonego mięsa. Dłoń ściskająca chusteczkę kendera drgnęła raz, a potem znieruchomiła.

Tas nie mógł się ruszyć. Z rękoma wciąż wczepionymi w szatę Raistlina stał i przyglądał się.

– Chodźmy, Tas – rzekł Raistlin. Odwróciwszy się, Tas spojrzał w górę na Raistlina. – Nie – wyszeptał, dygocąc i starając się wyrwać z silnych. Raistlina. Potem krzyknął w udreće: – Zamordowałeś go! Dlaczego? Był moim przyjacielem!

– Mam własne powody – powiedział Raistlin, mocno trzymając wydzierającego się kendera. – Teraz pójdziesz ze mną.

– Nie, nie pójde! – krzyczał Tas, szarpiąc się rozpaczliwie. – Nie jesteś interesujący ani fascynujący. Jesteś zły jak Otchłań! Jesteś okropny i wstrętny i nigdzie z tobą nie pójde! Nigdy! Puść mnie! Puść mnie!

Oślepiiony łzami Tas bił Raistlina w napadzie szału, kopiąc, wrzeszcząc i okładając go zaciśniętymi piąstkami.

Ochłonąwszy z przerażenia, Dewarowie przebywający w celi zaczęli krzyżeć w panice, przyciągając uwagę krasnoludów z sąsiednich cel. Krzyżąc i wydzierając się, Dewarowie przywarli do krat, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Wybuchło istne piekło. Wśród wrzasków słyhać było tubalne głosy strażników, którzy

krzyczeli coś w mowie krasnoludów.

Z ponurą i zawziętą miną Raistlin położył dłoń na czole Tasa i wypowiedział szybko i cicho parę słów. Ciało kendera natychmiast zwiotczało. Chwyając je, zanim upadło na podłogę, Raistlin znów coś powiedział i obaj zniknęli, zostawiając za sobą osłupiałych Dewarów gapiących się w puste miejsce na podłodze i skulone w kącie ciało martwego gнома.

Godzinę później Kharas, który bez trudu wymknął się ze swego więzienia, dotarł do bloku więziennego, gdzie trzymano w niewoli klany Dewarów.

Zasepiony Kharas maszerował wzdłuż cel.

– Co tu się dzieje? – spytał strażnika. – Strasznie tu cicho.

– Och, niedawno wybuchły tu jakieś zamieszki – mruknął strażnik. – Nie mogliśmy się zorientować, o co poszło.

Kharas rozejrzał się uważnie. Dewarowie patrzyli na niego nie z nienawiścią, lecz z podejrzliwością, a nawet strachem.

Coraz bardziej zaniepokojony krasnolud przyspieszył kroku wyczuwając, że wydarzyło się coś okropnego. Kiedy doszedł do ostatniej celi, zajrzał do środka.

Na widok Kharasa ci Dewarowie, którzy mogli, zerwali się na nogi i wycofali w najdalszy kąt. Tam się skulili, mamrocząc coś i wskazując na narożnik z przodu celi.

Popatrzawszy tam, Kharas zmarszczył czoło. Na podłodze leżało bezwładnie ciało gнома.

Kharas posłał pełne furii spojrzenie osłupiałemu strażnikowi i zwrócił się do Dewarów.

– Kto to zrobił? – spytał stanowczo. – I gdzie jest kender?

Ku zdumieniu Kharasa Dewarowie zamiast ponuro wyprzeć się zbrodni, natychmiast rzucili się naprzód, wszyscy bełkocząc jednocześnie. Kharas uciszył ich gniewnym wymachem ręki. – Ty, tam – wskazał na jednego z Dewarów, który nadal ścisnął tobołki Tasa – skąd masz tę sakiewkę? Co się stało? Kto to zrobił? Gdzie jest kender?

Kiedy Dewar zbliżył się, powłócząc nogami, Kharas zajrzał w oczy czarnemu krasnoludowi. Ku swej zgrozie zobaczył, że wszelkie zdrowe zmysły, jakie kiedyś ów krasnolud posiadał, opuściły go teraz całkowicie.

– Widziołek go – rzekł Dewar, szczerząc zęby. Widziołek. Cały w czarnych szatach, hej. I przyszedł po gнома. I przyszedł po kendera. I teraz przyjdzie po nas wszyć kich!

Czarny krasnolud zaśmiał się okropnie. – Po nas wszyć kich! – powtórzył.

– Kto? – spytał surowo Kharas. – Kogo widziałeś? Kto przyszedł po kendera?

– Onże sam! – szepnął Dewar, wbijając w gнома szalone, wytrzeszczone oczy. – Śmierć...

Rozdział XII

Od wieków nikt nie postawił stopy we wnętrzu magicznej fortecy Zhaman. Krasnoludowie patrzyli na nią nieufnie i podejrzliwie z kilku powodów. Po pierwsze, należała do czarnoksiężników. Po drugie, robota kamieniarska nie była dziełem krasnoludów, ani nawet natury. Forteca ta – jak mówi legenda – została wydzwignięta spod ziemi czarami i magia była jej spoiwem.

– Musi być magiczna – mruknął Reghar do Caramona, rzucając nienawistne spojrzenie na wysokie, cienkie wieżyczki twierdzy. – Inaczej zawaliłaby się już dawno temu.

Krasnoludowie podgórcy, którzy jak jeden mąż odmówili wsunięcia choćby brody do wnętrza fortecy, rozbili obóz na polach wokół twierdzy. Tak samo postąpili mieszkańcy Równin. Nie tyle z obawy przed zaczarowaną fortecą choć patrzyli na nią krzywym okiem i szemrali na jej temat w swej mowie – lecz dlatego, że czuli się nieswojo w każdym budynku.

Ludzie, którzy drwili sobie z tych zabobonów, wkroczyli do prastarego fortu, śmiejąc się w głos z duchów i upiorów. Zostali tylko jedną noc. Następnego poranek zastał ich rozbijających obóz na otwartej przestrzeni i mruczących o świeżym powietrzu oraz o tym, jak to pod gwiazdami śpi się lepiej.

– Co tu się działo? – Caramon spytał niespokojnie brata, kiedy po przybyciu do fortecy po niej spacerowali.

– Powiedziałeś, że nie była to Wieża Wielkiej Magii, a jednak jest niezaprzeczalnie magiczna. Zbudowali ją czarodzieje. Do tego... – wielki mężczyzna wzdrygnął się panuje tu osobliwa atmosfera. Nie taka niesamowita jak w Wieży. Mimo to... jakby... – Zabrakło mu słów.

– Atmosfera przemocy – szepnął Raistlin, rzucając bystrym, przenikliwym okiem na wszystkie przedmioty dookoła – przemocy i śmierci, mój bracie. Kiedyś przeprowadzano tu eksperymenty. Magowie wybudowali tę twierdzę z dala od cywilizowanych krajów z jednego powodu, otóż wiedzieli, że odprawiane tu czary mogą wyrwać im się spod kontroli. Tak też bywało, i to nierzadko. Niemniej jednak powstawały tu również rzeczy wielkie. Magia pomagała światu.

– Dlaczego opuszczono tę fortecę? – spytała pani Crysania, otulając się ściślej futrzaną peleryną. W wąskich przejściach ciągnęło chłodem, a powietrze miało zapach kurzu i kamienia.

Zasepiony Raistlin milczał przez długie chwile. Wędrowali cicho i powoli krętymi korytarzami. Zrobione z miękkiej skóry buty pani Crysanii nie wydawały dźwięku podczas chodzenia, ciężkie kroki Caramona dudniły echem w pustych komnatach, szeleszczące szaty Raistlina szurały w korytarzach, a laska Magiusa, którą się podpierał, stuknęła cicho o posadzkę. Poruszali się tak cicho, że sami mogli być duchami snującymi się po fortecy. Kiedy Raistlin odezwał się, Caramon i Crysania drgnęli na dźwięk jego głosu.

– Choć wśród magów zawsze istniały trzy zakony Szat: dobrzy, neutralni i źli, niestety, nie zawsze zachowywaliśmy równowagę – przyznał Raistlin. – Kiedy lud wystąpił przeciwko Arrii czarodzieje Białych Szat wycofali się do Wież, głosząc pokój. Jednakże czarodzieje Czarnych Szat pragnęli z początku odpowiedzieć agresją. Zajęli tę twierdzę i wykorzystali ją dla swych eksperymentów, których celem było stworzenie armii. – Umilkł. – Eksperymentów, które wówczas zakończyły się niepowodzeniem, lecz które doprowadziły do powstania w naszych czasach smokowców. Po tej klęsce magowie uświadomili sobie beznadziejność swej sytuacji. Opuścili Zhaman, by wraz ze swymi kolegami wziąć udział w starciach nazwanych później Przegranymi Bitwami.

– Wygląda na to, że dobrze znasz tę okolicę – zauważył Caramon.

Raistlin szybko zerknął na brata, lecz oblicze Caramona było szczere, bez śladu podstępu – choć być może brązowe oczy patrzyły jakoś dziwnie i posępnie.

– Jeszcze nie rozumiesz, mój bracie? – rzucił oschle Raistlin, zatrzymując się w ciemnym korytarzu, w którym panował przeciąg. – Nigdy tu nie byłem, a jednak chodziłem po tych salach. Wiele nocy przespałem w komnacie, którą obecnie zajmuję, choć czeka mnie dopiero pierwsza noc w tej twierdzy. Jestem tu obcy, a mimo to znam położenie każdego pokoju, począwszy od tych sal medytacyjnych i służących do nauki na samej górze po salę bankietową na parterze.

Carmon również się zatrzymał. Powoli rozejrzał się dookoła, patrząc na zakurzony sufit i zaglądając do pustych korytarzy, gdzie światło przesączało się przez cyzelowane okna i kładło się kwadratowymi wzorami na kamiennych Posadzkach. Kiedy wreszcie odwrócił wzrok, napotkał oczy swego bliźniaka.

– W takim razie, Fistantilusie – rzekł ciężko wiesz również, że to będzie twój grobowiec.

Przez chwilę Caramon widział cieniutkie pęknięcie w szkle oczu Raistlina, zobaczył, nie gniew, lecz rozbawienie, triumf. Potem znów ukazały mu się błyszczące lustra. Caramon ujrzał w nich jedynie odbicie siebie samego stojącego w plamie słabego, zimowego słońca.

Crysania przysunęła się do Raistlina. Położyła dłonie na jego ramieniu, gdy wsparł się na lasce, i przyglądała mu się chłodnymi, szarymi oczyma. – Bogowie nam sprzyjają – oznajmiła. – Fistantilusowi nie. Twój brat jest potężny swą sztuką, ja jestem silna moją wiarą! Nie poniesiemy klęski!

Wciąż spoglądając na Caramona, wciąż nie wypuszczając odbicia bliźniaka z połyskliwych kul swych oczu, Raistlin uśmiechnął się. – Tak – szepnął i w jego słowach dał się słyszeć lekki syk – zaiste, bogowie nam sprzyjają!

Na pierwszym poziomie olbrzymiej, magicznej twierdzy Zhaman znajdowały się ogromne, wykute w kamieniu sale, które – w minionych czasach – służyły do spotkań i ceremonii. Na parterze były również pomieszczenia niegdyś wypełnione książkami i służące do cichej nauki oraz medytacji. Z tyłu znajdowały się kuchnie i magazyny, od dawna nie używane i pokryte

kurzem licznych lat.

Na wyższych piętrach były ogromne sypialnie pełne osobliwych, staromodnych mebli. Pościel na łóżkach zachowała się przez lata dzięki suchości pustynnego powietrza. Caramon, pani Crysania i oficerowie sztabu Caramona spali w tych komnatach. Nawet jeśli nie sypiali dobrze, jeśli czasami budzili się w nocy z myślą, że słyszą głosy nucące dziwne słowa albo widzą przejrzyste, upiorne postaci, które snują się w ciemności rozświetlonej blaskiem księżyca, to nikt nie wspominał o tym za dnia.

A po kilku nocach te sprawy poszły w niepamięć, utopione w nawale większych zmartwień związanych z zaopatrzeniem, bójkami wybuchającymi między ludźmi i krasnoludami, tudzież raportami od szpiegów donoszących, że krasnoludowie z Thorbardinu gromadzą olbrzymie, dobrze uzbrojone wojska.

W Zhamanie znajdował się również na parterze korytarz, który sprawiał wrażenie pomyłki. Każdy, kto tam trafił, odkrywał, że korytarzyk odchodził na bok od krótkiego holu i raptownie kończył się pustą ścianą. Wyglądało to zupełnie tak, jakby budowniczy rzucił ze wstrętem narzędzia na ziemię i miał dość roboty.

Korytarz ten jednakże nie był pomyłką. Kiedy właściwe dłonie dotknęły pustej ściany, kiedy wypowiedziano właściwe słowa, kiedy właściwe runy zostały wyrysowane na kurzu, którym pokryty był mur, pojawiały się drzwi wiodące do wielkiej klatki schodowej, którą wykuto w granitowych fundamentach Zhamanu.

W dół, w dół po schodach, w dół ku ciemności, w dół – zdawałoby się – ku samemu wnętrzu ziemi, właściwa osoba mogła zejść. W dół do podziemi Zhamanu.

– Jeszcze raz. – Głos był cichy i cierpliwy, nurkował i owijał się wokół Tasslehoffa niczym wąż. Oplótszy go, zagłębiał swe zakrzywione zęby w jego ciele, wysysając z niego życie.

– Pomówimy o tym jeszcze raz. Opowiedz mi o Otchłani – ciągnął głos. – Wszystko, co pamiętasz. Jak tam trafiłeś. Jak wygląda krajobraz. Kogo i co widziałeś. Sama Królowa, jak wyglądała, jej słowa...

– Próbuję, Raistlinie, naprawdę! – skomlał Tasslehoff. – Ale... mówiliśmy o tym bez przerwy przez te ostatnie kilka dni. Niczego innego nie umiem już sobie przypomnieć! Głowę mam rozpaloną, a stopy i dłonie zimne i... pokój się strasznie kręci. Gdybyś... gdybyś mógł coś zrobić, żeby przestał tak się kręcić, Raistlinie, może zdołalbym sobie coś przypomnieć...

Czując dłonie Raistlina na swej piersi, Tas wcisnął się w pościel. – Nie! – jęknął, rozpaczliwie starając się wywinąć. – Będę już dobry, Raistlinie! Przypomnę sobie. Nie rób mi krzywdy jak biednemu Gnimshowi!

Dłoń arcymaga jednak tylko przez chwilę spoczęła lekko na piersi kendera, a potem dotknęła jego czoła. Tas był cały rozpalony, lecz dotyk tej dłoni parzył go jeszcze bardziej.

– Leż spokojnie – rozkazał Raistlin. Następnie mag uniósł Tasa za ręce i spojrzał uważnie

w zapadnięte oczy kendera.

W końcu Raistlin położył go z powrotem na posłanie i wstał, mamrocząc gorzkie przekleństwo.

Leżący na mokrej od potu poduszce Tas widział, jak postać w czarnych szatach nachyliła się nad nim przez chwilę, a potem z furkotem i łopotem szat, odwraca się i opuszcza pokój zamaszystym krokiem. Tas próbował podnieść głowę, żeby zobaczyć, dokąd Raistlin idzie, lecz wysiłek okazał się daremny. Kender opadł bezwładnie na poduszkę.

Dlaczego jestem taki słaby?, zastanawiał się. Co mi jest? Chcę usnąć. Może wtedy przestanie trochę boleć. Tas zamknął oczy. Otworzyły się jednak natychmiast, jakby były przyczepione do włosów drutami. Nie, nie mogę usnąć!, pomyślał, zdjęty lękiem. Tam w ciemności są straszne rzeczy, które tylko czekają, żebym usnął! Skoczą wtedy i...

Jakby z wielkiej oddali dotarł do niego głos Raistlina, który z kimś rozmawiał. Rozglądając się i rozpaczliwie pragnąc odpędzić sen, Tas postanowił skupić się na Raistlinie. Może dowiem się czegoś, pomyślał sennie. Może dowiem się, co mi jest.

Kiedy odwrócił głowę, zobaczył postać w czarnej szacie, która rozmawiała z ciemną, krępą osobą. Oczywiście rozmawiali o nim. Tas chciał posłuchać, ale jego umysł wyprawiał dziwne rzeczy – uciekał gdzieś, nie zabierając ze sobą ciała. Tak więc Tas nie mógł być pewny, czy słyszy to, co słyszy, czy mu się to śni.

– Daj mi jeszcze trochę tego wywaru. To go powinno uspokoić. – Głos przypominający głos Raistlina zwracał się do tej niskiej, ciemnej postaci. – Mało prawdopodobne, żeby ktoś go usłyszał w tych podziemiach, ale nie mogę ryzykować.

Mała, czarna postać coś powiedziała. Tas zamknął oczy i chłodne wody niebieskiego, niebieskiego jeziora – jeziora Crystalmir – omyły jego rozgorączkowaną skórę. Może jednak jego umysł postanowił zabrać ze sobą również ciało.

– Kiedy wyjdę – głos Raistlina dochodził z wody – zamknij za mną drzwi i zgaś światło. Mój brat ostatnio stał się podejrzliwy. Gdyby odkrył tajemne drzwi, z pewnością zszedłby tu. Nie wolno mu niczego znaleźć. Wszystkie te cele mają wyglądać na puste.

Postać coś mruknęła i zaskrzypiały zawiasy drzwi.

Toń Crystalmir niespodziewanie wzburzyła się wokół Tasa. Wychyły z niej oplątujące go macki. Kender raptownie otworzył oczy. – Raistlinie! – błagał. – Nie zostawiaj mnie! Pomóż mi!

Drzwi jednakże zatrzasnęły się z hukiem. Niska, ciemna postać przyczłapała do łóżka Tasa. Wpatrując się w nią z przerażeniem, jakie odczuwa się we śnie, Tas zobaczył, że był to krasnolud. Uśmiechnął się.

– Flint? – wyszeptał spierzchniętymi, popękanyimi wargami. – Nie! Arack! – Chciał uciec, lecz macki w wodzie sięgały po jego nogi. – Raistlin! – wrzasnął, rozpaczliwie starając się odsunąć do tyłu. Jego stopy jednakże nie chciały się ruszyć. Coś go pochwyciło! Macki!,

pomyślał Tas, krzycząc ze strachu.

– Zamknij się, gnojku. Wypij to. – Macki złapały go za kitkę i podsunęły mu do warg kubek.

– Pij, bo wyrwę ci włosy razem z cebulkami!

Krzusząc się i wytrzeszczając dziko oczy, Tas wypił łyk. Płyn był gorzki, lecz chłodny i orzeźwiający. Tak mu się chciało pić, pić! Tas wyrwał kubek krasnoludowi i opróżnił go jednym haustem. Potem opuścił głowę na poduszkę. Po chwili macki odsunęły się, ból kończyn ustąpił i czysta, słodka toń Crystalmiru zamknęła się nad jego głową.

Crysanie wyrwało ze snu wyraźne wrażenie, że ktoś woła ją po imieniu. Choć nie przypominała sobie, aby słyszała jakiś dźwięk, uczucie to było tak silne i przejmujące, że natychmiast ocknęła się i usiadła na łóżku, zanim jeszcze w pełni zrozumiała, co ją zbudziło. Czy to była część snu? Nie. Wrażenie nie ustąpiło i było coraz silniejsze.

Ktoś był w pokoju razem z nią! Rozejrzała się spieszenie. Poświata Solinari wpadająca przez niewielki narożnik po drugiej stronie pokoju niewiele rozjaśniała komnatę. Crysania niczego nie widziała, lecz usłyszała ruch. Otworzyła usta, żeby zawołać wartownika...

I poczuła dłoń na ustach. Potem z ciemności nocy wyłonił się Raistlin i przysiadł na jej łóżku.

– Wybacz, że cię przestraszyłem, wielbna córko rzekł półgłosem, ledwie odrobinę głośniej od szeptu. – Potrzebuję twojej pomocy, a nie chciałem zwracać uwagi strażników. – Powoli odsunął dłoń.

– Nie przestraszyłam się – zaprotestowała Crysania. Mag uśmiechnął się, a ona się spłoniła. Był tak blisko niej, że czuł jej drżenie. – Tylko... po prostu zaskoczyłeś mnie, nic więcej. Miałam sen. Wydawało mi się, że jesteś jego częścią.

– Prawda – odparł cicho Raistlin. – Tu jest portal, więc znajdujemy się bardzo blisko bogów.

To nie bliskość bogów sprawia, że cała drzę, pomyślała Crysania i westchnęła, czując palący żar ciała znajdującego się tuż przy niej oraz tajemniczy i upajający zapach maga. Odsunęła się od niego gniewnie, stanowczo dławiąc swe żądze i tęsknoty. On jest ponad takie sprawy. Czyż ma okazać się słabsza?

Raptownie wróciła do tematu. – Powiedziałeś, że potrzebujesz mojej pomocy. Dlaczego? – Zdjął ją nagły strach. Wyciągnawszy impulsywnie rękę, chwyciła go za dłoń. – Chyba dobrze się czujesz? Twoja rana...?

Przez twarz Raistlina przemknął szybki spazm bólu, a potem odmalował się na niej wyraz goryczy i chłodu. Nie, nic mi nie jest – uciał krótko.

– Dzięki niech będą Paladine'owi – rzekła Crysania z uśmiechem, ciągle dotykając jego dłoni.

Raistlin zmrużył oczy. – Ten bóg nie doczeka się moich podziękowań! – warknął. Dłoń, w której trzymał jej rękę, zacisnęła się, sprawiając jej ból.

Crysanie przeszedł dreszcz. Przez chwilę odnosiła wrażenie, że żar znajdującego się tak blisko niej ciała maga wysysa z niej ciepło, aż poczuła się zziębnięta. Chciała zabrać dłoń, lecz Raistlin, wyrwany tym gestem z głębokiego zamyślenia, odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Wybacz mi, wielbna córko – powiedział, uwalniając jej dłoń. – Ból był nie do zniesienia. Modliłem się o śmierć, ale mi jej odmówiono.

– Znasz powód – rzekła Crysania, w zatroskaniu zapominając o obawach. Jej dłoń zawahała się przez chwilę, a potem spoczęła na kołdrze w pobliżu jego drżącej dłoni, jednakże bez dotykania jej.

– Tak i godzę się z tym. Mimo to nie mogę mu wybaczyć. To jest jednakże sprawa pomiędzy twoim bogiem i mną – powiedział z wyrzutem Raistlin.

Crysania przygryzła wargę. – Przyjmuję nagane. Zasłużyłam na nią. – Milczała przez chwilę. Raistlin również nie miał ochoty się odzywać. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się.

– Powiedziałaś Caramonowi, że bogowie są z nami. Czyżbyś więc obcował z moim bogiem... z Paladinem? odważyła się z wahaniem spytać Crysania.

– Oczywiście. – Raistlin posłał jej krzywy uśmiech. – Czy to cię dziwi?

Crysania westchnęła. Spuściła głowę i ciemne włosy rozsypały się po jej ramionach. Wątpa księżycowa poświata sprawiła, że jej włosy migotały delikatnym, błękitnym blaskiem, a skóra promieniowała najczystsza bielą. Jej zapach wypełnił pokój, wypełnił noc. Poczuła, że mag dotyka jej włosów. Unosząc głowę, zobaczyła oczy Raistlina pałające namiętnością, która płynęła z głębi jego duszy, ze źródła, które nie miało nic wspólnego z magią. Crysania wstrzymała oddech, lecz w tym momencie Raistlin wstał i odszedł.

Crysania westchnęła. – A więc rozmawiałeś z obydwoma bóstwami? – spytała z żalem.

Raistlin odwrócił się do połowy. – Rozmawiałem z całą trójką – odparł od niechcenia.

– Trójką? – Była zaskoczona. – Gilean?

– Kimże jest Astinus, jeśli nie rzecznikiem Gileana? rzekł pogardliwie Raistlin. – Jeśli nie samym Gileanem, jak niektórzy przypuszczają. Jednak to zapewnię nic nowego dla ciebie...

– Ja nigdy nie rozmawiałam z Królową Ciemności powiedziała Crysania.

– Doprawdy? – spytał Raistlin, a jego przenikliwe spojrzenie wstrząsnęło kapłanką do głębi jej duszy. – Czy ona nie zna twego najskrytszego pragnienia? Czy nie proponowała ci spełnienia go?

Patrząc mu w oczy, czując jego bliskość i ogarniające ją pożądanie, Crysania nie umiała odpowiedzieć. Potem, gdy nie przestawał jej się przyglądać, przełknęła ślinę i pokręciła głową. – Jeśli tak – odparła ledwie słyszalnym głosem – dała mi je jedną ręką, a drugą odebrała.

Crysania usłyszała szmer czarnych szat, gdy mag drgnął. Jego widoczne w świetle księżycy oblicze przez chwilę było zmartwione i zamyślane. Potem się wygładziło.

– Nie przyszedłem tu dyskutować o teologii – stwierdził z lekką drwiną Raistlin. – Mam

inną, bardziej nagłą sprawę.

– Oczywiście. – Crysania splonęła się i nerwowo odgarnęła zmierzwione włosy z twarzy. – Ponownie proszę o wybaczenie. Powiedziałeś, że jestem ci potrzebna...

– Tasslehoff jest tutaj.

– Tasslehoff? – powtórzyła osłupiała Crysania.

– Tak i jest bardzo chory. Szczerze mówiąc, bliski śmierci. Potrzebuję twych zdolności uzdrowicielskich.

– Ale... nic nie rozumiem. Dlaczego... Jak on tu się znalazł? – wyjąkała oszołomiona Crysania. – Powiedziałeś, że wrócił do naszych czasów.

– Tak sądziłem – rzekł z powagą Raistlin. – Najwyraźniej jednak byłem w błędzie. Magiczne urządzenie sprowadziło go tutaj, do tej epoki. Wędrował sobie po świecie zwyczajem kenderów i bawił się wyśmienicie. Wreszcie kiedy usłyszał o wojnie, przyszedł tutaj, żeby przeżyć przygodę. Na nieszczęście podczas swych podróży nabawił się zarazy.

– To okropne! Oczywiście natychmiast przyjdę. Chwyciwszy futrzaną pelerynę z zagłówek łóżka, zarzuciła ją sobie na ramiona, zauważając przy tym, iż Raistlin odwrócił od niej wzrok. Wyglądał przez okno w srebrny blask księżyca. Crysania zobaczyła, że mięśnie jego szczęk napięły się, jakby wewnątrz z czymś się zmagał.

– Jestem gotowa – oznajmiła Crysania spokojnym, rzeczowym tonem, zapinając płaszcz. Raistlin odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Kobieta popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Musimy wędrować ścieżkami nocy – powiedział cicho. – Jak już mówiłem, nie chcę alarmować straży.

– Dlaczego? – zapytała. – Co za różnica...

– A co powiem bratu? Crysania zamilkła. – Rozumiem...

– Rozumiesz mój dylemat? – spytał Raistlin, mierząc ją uważnym wzrokiem. – Jeśli mu powiem, będzie się tym martwił, a nie jest to najlepsza pora na dorzucanie zmartwień do ciężaru, jaki i tak już dźwiga. Tas popsuł magiczne urządzenie. To również zaniepokoi Caramona, choć on wie, że zamierzam go odesłać do domu. Jednakże... powinienem mu powiedzieć, że kender jest tutaj.

– Przez ostatnie kilka dni Caramon rzeczywiście sprawiał wrażenie zmartwionego i zasmuconego – przyznała zamyślona Crysania z troską w głosie.

– Losy wojny nie układają się pomyślnie – oznajmił jej bez ogródek Raistlin. – Armia się rozsypuje. Mieszkańcy Równin każdego dnia mówią o odejściu. Z tego, co wiemy, może już odeszli. Krasnoludom pod dowództwem Fireforge'a nie można ufać. Naciskają na Caramona, żeby ruszał do ataku, zanim będzie gotowy. Tabor z zaopatrzeniem zniknął gdzieś i nikt nie wie, co się z nim stało. Jego własne wojsko jest niespokojne i zdenerwowane. Dorzuć do tego jeszcze płaczącego się wszędzie kendera, który trajkocze coś bez sensu i rozprasza jego uwagę...

Raistlin westchnął. – Niemniej jednak nie mogę, jak mi honor miły, ukryć tego przed nim.

Crysanía zacisnęła wargi. – Nie, Raistlinie. Nie sądzę, żeby mądrze było mówić mu o tym. – Widząc pełne powątpiewania spojrzenie Raistlina, ciągnęła z przejęciem: Caramon nic nie może zrobić. Jeśli kender jest naprawdę chory, jak podejrzewasz, mogę go wyleczyć, ale przez kilka dni i tak będzie osłabiony. Będzie to dodatkową troską dla twego brata. Caramon zamierza wymaszerować za kilka dni. Zaopiekujemy się kenderem, a potem poczekamy, aż zupełnie wyzdrowieje i będzie gotów spotkać się ze swym przyjacielem na równinie, jeśli będzie miał na to ochotę.

Arcymag znów westchnął z niechęcią i powątpiewaniem. Potem wzruszył ramionami. – Zgoda, wielbna córko rzekł. – Zdaję się na ciebie. Twoje słowa są mądre. Nie powiemy Caramonowi, że kender wrócił.

Podszedł blisko do niej i kiedy Crysanía podniosła na niego wzrok, spostrzegła dziwny uśmiech na jego twarzy, uśmiech, który – tylko tym razem – znajdował odbicie również w jego błyszczących oczach. Spłoszona i zdenerwowana sama nie wiedząc z jakiego powodu, cofnęła się, lecz mag objął ją ramieniem i przygarnął do siebie, wtulając w miękkie fałdy czarnych rękawów.

Zamknawszy oczy, Crysanía zapomniała o tym uśmiechu. Przytulając się mocniej, spowita jego ciepłem, przysłuchiwała się szybkiemu biciu jego serca...

Wyszeptawszy magiczne słowa, Raistlin zmienił ich oboje w nicłość. Ich cienie zdawały się jeszcze przez chwilę wisieć w świetle księżycy, lecz potem i one rozwiały się z szeptem.

– Trzymasz go tutaj? W lochach? – spytała Crysanía, drżąc z zimna i wilgoci.

– Shirak. – Raistlin sprawił, że kryształ na czubku łaski Magiusa oświetlił pomieszczenie delikatnym blaskiem. – On leży tutaj – powiedział czarodziej pokazując.

Pod jedną ze ścian stało toporne łóżko. Crysanía spojrzała na Raistlina z wyrzutem i pośpieszyła do chorego. Kiedy kapłanka przyklękła przy kenderze i dotknęła jego rozpalonego czoła, Tas krzyknął. Otworzył szeroko oczy, lecz nic nie widział. Raistlin, podchodząc wolniej, dał znak czarnemu krasnoludowi, który siedział skulony w kącie. – Zostaw nas. – Mag machnął ręką, a potem stanął przy łóżku. Usłyszał drzwi celi zamykające się za jego plecami.

– Jak możesz go tak trzymać zamkniętego w ciemności? – spytała Crysanía.

– Czy leczyłaś już wcześniej ofiary zarazy, pani Crysanio? – spytał osobliwym tonem Raistlin.

Zaskoczona kobieta popatrzyła na niego, a potem zaczerwieniła się i spuściła oczy.

Z gorzkim uśmiechem Raistlin udzielił odpowiedzi na swe własne pytanie. – Nie, to jasne, że nie. Mór nigdy nie dotarł do Palanthas. Nigdy nie atakuje pięknych, bogatych... – Nie czynił żadnych wysiłków, żeby ukrywać pogardę, i Crysanía czuła, że policzki jej płoną, jakby to ona miała gorączkę.

– Cóż, do nas dotarł – ciągnął Raistlin. – Szalał w uboższych dzielnicach Haven. Oczywiście uzdrowiciele nie było. Nie było też nawet wielu takich, którzy chcieliby zostać i pielęgnować zarażonych. Opuścili ich nawet członkowie ich własnych rodzin. Biedni, żałośni ludzie. Robiłem, co mogłem, wykorzystując swą wiedzę o ziołach, którą sobie przyswoiłem. Jeśli nie potrafiłem ich uzdrowić, przynajmniej mogłem ulżyć im w cierpieniach. Mój mistrz tego nie pochwałał. – Raistlin mówił półgłosem i Crysania uświadomiła sobie, że zapomniał o jej obecności. – Tak samo Caramon, obawiając się o moje zdrowie, jak twierdził. Ba!

– Raistlin zaśmiał się niewesoło. – Bał się o siebie. Myśl o zarazie budzi w nim lęk większy od wojska goblinów. Jakże jednak mógłbym odwrócić się do nich plecami? Nie mieli nikogo... nikogo. Żałośni, konający... umierali w samotności.

Patrząc na niego w odrętwieniu, Crysania poczuła szczypiące łzy w oczach. Raistlin jej nie widział. Myślami był znów w tych cuchnących lepiankach, które tłoczyły się na obrzeżu miasta, jakby uciekły tam, żeby się schować. Widział siebie, jak chodzi w czerwonych szatach wśród chorych, zmusza ich do wypicia gorzkich leków i trzyma konających w ramionach, łagodząc ich ostatnie chwile życia. Pracował wśród chorych zawzięcie, nie prosząc o podziękowania i ich się nie spodziewając. Jego oblicze – ostatnia ludzka twarz, którą widzieli przed śmiercią – nie wyrażało ani współczucia, ani troski. A jednak umierający odczuwali ulgę. Oto ktoś, kto ich rozumie, kto żyje z cierpieniem na co dzień. Oto ktoś, kto patrzy na śmierć i jej się nie boi...

Raistlin pielęgnował chorych na zarazę. Robił to, co uważał za konieczne, narażając własne życie, ale dlaczego? Z powodu, którego jeszcze nie rozumiał. Powodu, który być może zapomniał...

– W każdym razie – Raistlin powrócił do terażniejszości – odkryłem, że światło razi ich w oczy. Ozdrowieńcy czasami ślepli od...

Przeraźliwy wrzask kendera przerwał mu.

Tasslehoff patrzył na niego obłąkanym wzrokiem. Proszę, Raistlinie! Staram się sobie przypomnieć! Nie zabieraj mnie znów do królowej Ciemności...

– Sza, Tas – powiedziała cicho Crysania, chwytając kendera obiema rękami, wyglądało bowiem na to, że Tas próbuje dosłownie wcisnąć się w ścianę, którą miał za sobą.

– Uspokój się, Tas. To ja, pani Crysania. Znasz mnie? Chcę ci pomóc.

Tas przeniósł spojrzenie wytrzeszczonych, rozgorączkowanych oczu na kapłankę i przez chwilę jej nie poznawał.

Potem zaszlochał i złapał ją. – Nie pozwól mu zabrać mnie z powrotem do Otchłani, Crysanio! Nie pozwól, żeby zabrał tam ciebie! Tam jest strasznie, strasznie. Wszyscy zginiemy jak biedny Gnimsh. Królowa Ciemności powiedziała mi o tym!

– On bredzi – szepnęła Crysania, starając się oderwać od siebie natarczywe dłonie Tasa i zmusić go do położenia się. – Jakie dziwne przywidzenia. Czy to normalne u ofiar moru?

– Tak – odparł Raistlin. Przyglądając się uważnie Tasowi, mag usiadł przy łóżku. – Czasami najlepiej ulegać ich kaprysom. To może go uspokoić. Tasslehoffie...

Raistlin położył dłoń na piersi kendera. Tas natychmiast padł na posłanie, odskakując od maga, dygocąc i wlepiając w niego przerażone oczy. – Będę dobry, Raistlinie – zaskomlał. – Nie rób mi krzywdy jak biednemu Gnimshowi. Piorun! Piorun!

– Tas – rzekł Raistlin stanowczym głosem, w którym zabrzmiała nuta desperacji i złości, co sprawiło, że Crysania obejrzała się na niego z wyrzutem.

Widząc jednak jedynie zatroskanie na jego twarzy, doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć. Zamknąwszy oczy, dotknęła medalionu Paladine'a, który nosiła na szyi, i zaczęła szeptać uzdrawiającą modlitwę.

– Nie zrobię ci krzywdy, Tas. Szsz, leż spokojnie. Kiedy Raistlin zobaczył, że Crysania jest pogrążona w rozmowie ze swym bogiem, syknął: – Powiedz mi, Tas. Powiedz mi, co rzekła Królowa Ciemności.

.Jaskrawy, gorączkowy rumieniec ustąpił z twarzy kendera, gdy omyły go ciche słowa Crysanii, słodsze i chłodniejsze od wody w jego majakach. Wraz z malejącą gorączką oblicze Tasa pokryło się upiorną białością. W oczach pojawił się wąty błysk przytomności. Kender nie odrywał jednakże oczu od Raistlina.

– Powiedziała mi... zanim odeszliśmy... – Tas zakrztusił się.

– Odeszliście? – Raistlin nachylił się w przód. – Sądziłem, że mówiłeś o ucieczce!

Tas zbladł i oblizał suche, spękane wargi. Próbował oderwać wzrok od maga, ale Raistlin trzymał go w niewoli swych oczu połyskujących w blasku laski i wysysał z niego prawdę. Tas przełknął ślinę. Bolało go gardło.

– Wody – błagał.

– Kiedy mi powiesz! – warknął Raistlin, zerkając na Cysanię, która nadal klęczała z głową w dłoniach, modląc się do Paladine'a.

Tas poczuł bolesne ściskanie w gardle. – Ja... sądziłem, że... uciekamy. Uruchomiliśmy to urządzenie i zaczęliśmy się wznosić. Widziałem... Otchłań i cała płaszczyzna, gładka i pusta usunęła się spod m-mych stóp. A potem – Tas wzdrygnął się – już nie była wcale pusta! Były na niej cienie i... – potrząsnął głową, jęcząc – och, Raistlinie, nie każ mi przypominać sobie! Nie każ mi tam wracać!

– Cicho! – szepnął Raistlin, zasłaniając Tasowi usta dłonią. Zaniepokojona Crysania podniosła głowę, lecz ujrzała jedynie, jak Raistlin czule gładzi kendera po policzku. Widząc przerażony wyraz twarzy Tasa i jego blade oblicze, Crysania zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Już mu lepiej – powiedziała. – Nie umrze. Wiszą nad nim jednakże cienie mroku, nie pozwalając światłości Paladine'a uleczyć go całkowicie. Są to cienie tych gorączkowych

majaków. Czy potrafisz coś z nich zrozumieć?

– Ściągnęła pierzaste brwi. – Cokolwiek to jest, jemu wydaje się bardzo rzeczywiste. To musiało być coś potwornego, że aż tak wytrąciło go z równowagi.

– Być może gdybyś wyszła, pani, poczułby się pewniej podczas rozmowy ze mną – zasugerował łagodnie Raistlin. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Racja. – Crysania uśmiechnęła się, wstając. Ku jej zdumieniu Tas złapał ją za rękę.

– Nie zostawiaj mnie z nim, pani! – wysapał. – On zabił Gnimsha! Biedny Gnimsh. Widziałem, jak u-umiera! – fas wybuchnął płaczem. – Pałaca błyskawica...

– Już dobrze, Tas – powiedziała uspokajająco Crysania, łagodnie, lecz stanowczo zmuszając kendera do położenia się. – Nikt cię nie skrzywdzi. Ktokolwiek zabił tego... em... Gnimsha, nie może ci już zrobić krzywdy. Jesteś wśród przyjaciół. Prawda, Raistlinie?

– Moje czary są potężne – rzekł cicho Raistlin. Pamiętaj o tym, Tasslehoffie. Pamiętaj o potędze mojej magii.

– Tak, Raistlinie – odparł Tas, leżąc zupełnie sztywno, przyszpilony nieruchomym i przenikliwym wzrokiem maga.

– Sądzę, że mądrze będzie, jeśli zostaniesz jeszcze chwilę, żeby z nim porozmawiać – rzuciła półgłosem Crysania. – Te mroczne obawy będą go gryźć i zakłócać proces zdrowienia. Przy pomocy Paladine'a sama wrócę do swej komnaty.

– Więc uzgodniliśmy, że nie powiemy Caramonowi?

– Raistlin kątem oka zerknął na Crysanię.

– Tak – odparła stanowczo Crysania. – To by tylko niepotrzebnie go zmartwiło. – Obejrzała się na swego pacjenta. – Wrócę rano, Tasslehoffie. Porozmawiaj z Raistlinem. Zrzuć ciężar ze swej duszy. A potem idź spać. Położywszy chłodną dłoń na spoconym czole Tasslehoffa, dodała: – Niech Paladine będzie z tobą.

– Caramon? – powiedział z nadzieją Tas. – Czy powiedziałaś Caramon? Czy on jest tutaj?

– Tak, a kiedy wypiszesz się, zjesz coś i wypoczniesz, zaprowadzę cię do niego.

– Nie mógłbym zobaczyć się z nim teraz? – krzyknął zapalczywie Tas, a potem rzucił zatrwożone spojrzenie w stronę Raistlina. – To... to znaczy, jeśli nie sprawiałoby to zbyt wielkiego kłopotu...

– On jest bardzo zajęty – stwierdził oschle Raistlin.

Jest teraz generałem. Musi wydawać rozkazy armii i toczyć wojnę. Nie ma czasu dla kenderów.

– No, chyba tak – bąknął Tas, cichutko westchnął i położył głowę na poduszce, nie spuszczać oczu z Raistlina.

Crysania poklepała lekko kendera ostatni raz po głowie i wstała. Trzymając medalion Paladine'a w dłoni, wyszeptwała modlitwę i znikła w mroku nocy.

– A teraz, Tasslehoffie – powiedział Raistlin cichym głosem, od którego Tasa przeszły ciarki – zostaliśmy sami. – Silnymi rękoma mag podciągnął kenderowi koc pod brodę i poprawił mu poduszkę pod głową. – Proszę, czy teraz ci wygodnie?

Tasowi odebrało mowę. Mógł tylko wpatrywać się w arcymaga z rosnącym przerażeniem.

Raistlin usiadł na postaniu obok niego. Położywszy jedną smukłą dłoń na czole Tasa, od niechcenia pogładził jego skórę i odgarnął mokre od poru włosy.

– Czy pamiętasz Dalamara, mojego ucznia, Tas? spytał głosem człowieka prowadzącego zwykłą rozmowę.

– Widziałeś go, jak sądzę, w Wieży Wielkiej Magii, prawda? – Palce Raistlina muskały oblicze Tasa lekko niczym pajęczce odnóża. – Czy przypominasz sobie, jak w pewnym momencie Dalamar rozdarł swą czarną szatę, odsłaniając pięć ran na klatce piersiowej? Tak, widzę, że pamiętasz. To była kara, Tas. Kara za ukrywanie przede mną pewnych spraw. – Palce Raistlina przestały łaskotać skórę kendera i zatrzymały się w jednym miejscu, wywierając lekki nacisk na czoło Tasa.

Tas zadrżał i przygryzł sobie język, żeby nie krzyknąć na głos. – Pa-pamiętam, Raistlinie.

– Ciekawe przeżycie, nie sądzisz? – zauważył Raistlin takim tonem, jakby to było coś całkiem normalnego. Mógłbym dotknięciem wypalić otwór w twym ciele, tak jak mógłbym wytopić go, powiedzmy – wrzucił ramionami – gorącym nożem w maśle. Podobno kenderzy są żądni ciekawych wrażeń.

– Nie, nie aż tak ciekawych – szepnął żałośnie Tas.

Powiem ci, Raistlinie! Powiem ci wszystko, co... co się wydarzyło. – Zamknął oczy na chwilę, a potem zaczął mówić cały trzęsąc się na samą myśl o Otchłani. – Wydawało nam się, że nie tyle wznosimy się nad Otchłań, co... że Otchłań usunęła nam się spod nóg! A potem, jak już mówiłem, spostrzegłem, że nie jest pusta. Zobaczyłem cienie i pomyślałem... pomyślałem, że to doliny i góry...

Tas rozwarł szeroko oczy. Patrzył na maga z lękiem. To nie była prawda. Te cienie były jej oczami, Raistlinie! A wzgórza i doliny były jej nosem i ustami. Wznosiliśmy się znad jej twarzy! Spojrzała na mnie oczami, które błyszczały i pałały ogniem, otworzyła usta i... pomyślałem, że zaraz nas połknie! Ale tylko wzbiliśmy się jeszcze wyżej, a ona wirowała, niknąc w oddali pod nami, a potem popatrzyła na mnie i powiedziała... powiedziała...

– Co powiedziała! – zapytał natarczywie Raistlin. Wiadomość była dla mnie! Musiała być dla mnie! Dlatego cię wysłała! Co powiedziała Królowa?

Tas ściszył głos. – Powiedziała: „Wróć do domu...”

Rozdział XIII

Efekt, jaki owe słowa wywarły na Raistlinie, zaskoczył Tasslehoffa jak jeszcze nic w całym jego życiu. Tas widywał już przedtem rozgniewanego Raistlina. Widział go zadowolonego, widział popełniającego morderstwo, widział oblicze maga, gdy Kharas, bohater krasnoludów, zagłębił miecz w jego ciele.

Jednak jeszcze nigdy nie widział u niego takiej miny.

Twarz Raistlina zrobiła się blada jak chusta, tak biała, że przez chwilę Tas sądził, iż być może mag umarł, trafiony nagłą apopleksją. Jego lustrzane oczy sprawiały wrażenie roztrzaskanych. Tas zobaczył swoje odbicie w drobinkach stłuczonych okruchów wzroku maga. Następnie zobaczył, jak te oczy przestają cokolwiek poznawać, stają się puste i ślepo wytrzeszczone.

Dłoń, która spoczywała na czole Tasa, zaczęła drżeć konwulsyjnie. Na oczach zdumionego kendera Raistlin zdawał się maleć i kurczyć. Jego twarz postarzała się wyraźnie. Kiedy czarodziej wstał, wciąż rozglądając się wokół tym ślepyim wzrokiem, jego całym ciałem wstrząsały dreszcze.

– Raistlinie? – spytał nerwowo Tas, rad, że mag przestał zwracać na niego uwagę. Jednak jego dziwny wygląd wprowadził go w osłupienie. Kender usiadł z trudem. Straszliwe zawroty głowy ustąpiły wraz z osobliwym, obcym mu uczuciem strachu. Prawie zupełnie wrócił do siebie.

– Raistlinie... ja nie chciałem powiedzieć nic złego.

Czy masz zamiar zwymiotować? Wyglądasz okropnie dziwnie...

Jednakże arcymag nie odpowiedział. Zatoczywszy się do tyłu, Raistlin wpadł na kamienną ścianę i stanął tam po prostu. Miał szybki i spłycony oddech. Zasłaniając twarz dłonią, rozpaczliwie starał się odzyskać nad sobą panowanie. Toczył bój z jakimś niewidocznym przeciwnikiem.

Potem Raistlin rzucił się przed siebie z niskim, zdławionym okrzykiem wściekłości i udręki. Chwyił laskę Magiusa i z łopotem czarnych szat wybiegł przez drzwi.

Odprawdzając Raistlina pełnym zdumienia wzrokiem, Tas zobaczył, jak czarodziej wymija w pędzie czarnego krasnoluda, który stał na straży w drzwiach. Gdy Raistlin przebiegał na oślep obok niego, krasnolud rzucił okiem tylko raz na trupie oblicze maga. Czarodziej z dzikim wrzaskiem zawrócił i popędził w przeciwnym kierunku.

Wszystko to było tak zdumiewające, że Tas dopiero po kilku chwilach uświadomił sobie, że nie jest już więźniem.

– Wiesz co – rzekł do siebie kender, przykładając dłoń do czoła – Crysania miała rację. Rzeczywiście czuję się teraz lepiej, gdy wyrzuciłem to z siebie. Niestety, niewiele pomogło to Raistlinowi, ale w końcu mnie to nie obchodzi. W każdym razie niewiele. – Tas westchnął.

Nigdy nie pojme, dlaczego zabił biednego Gnimsha. Może kiedyś będę miał okazję go o to zapytać.

– Ale teraz – kender rozejrzał się wokół – wprawdzie znajdę Caramona i powiem mu, że mam magiczne urządzenie i możemy wracać do domu. Nigdy nie myślałem, że to powiem – stwierdził ze smutkiem Tas, spuszczając nogi z łóżka – ale słowo „dom” brzmi teraz okropnie miło!

Miał zamiar wstać, lecz jego nogi najwyraźniej wołały wrócić do łóżka, niespodziewanie bowiem Tas znalazł się znów w pozycji siedzącej.

– Nic wam to nie pomoże! – rzekł Tas, patrząc wrogo na nieposłuszne części ciała. – Jesteście beze mnie niczym! Pamiętajcie o tym! Ja tu jestem szefem i kiedy powiem, żeby ruszać, ruszycie się! Teraz znów wstanę. – Tas ostrzegł swe nogi surowo. – I spodziewam się współpracy.

Przemowa wywarła pewien skutek. Dolne kończyny Tasa tym razem zachowały się trochę lepiej i kender zdołał, nadal na nieco uginających się nogach, przejść przez ciemne pomieszczenie do oświetlonego pochodniami korytarza, który był widoczny za drzwiami.

Kiedy już do niego doszedł, spojrzął ostrożnie w górę i w dół holu, ale nikogo nie było w zasięgu jego wzroku. Ostrożnie wyszedł na korytarz i zobaczył jedynie ciemne, pozamykane cele – podobne do tej, w której przebywał – oraz na drugim końcu schody prowadzące na górę. Kiedy obejrzał się na przeciwległy koniec, ujrzał tam tylko głębokie cienie.

– Ciekawe, gdzie jestem? – Tas poszedł korytarzem w stronę schodów, które, o ile był w stanie stwierdzić, stanowiły jedyną drogę prowadzącą na górę. – Och, coś stwierdził filozoficznie kender – nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie. Jedyną dobrą stroną przebywania w Otchłani jest fakt, że w porównaniu z nią każde miejsce, bez względu na to jak jest ponure, sprawia wrażenie sympatycznego.

Musiał zatrzymać się na chwilę, by odbyć krótką sprzeczkę ze swymi nogami – nadal zdawało się, że miały wyraźną ochotę wrócić do łóżka – lecz owo chwilowe osłabienie minęło i kender dotarł do najniższego stopnia schodów. Kiedy nadstawił uszu, usłyszał jakieś głosy.

– Do licha – wymamrotał, zatrzymując się i chowając z powrotem w mroku. – Ktoś tam jest na górze. Pewnie straż. Sądząc z głosu, krasnoludowie. Ci jak-im-tam Dewarowie. – Tas stał cichutko, starając się wychwycić treść tego, o czym mówiły owe głębokie głosy. – Myślałem, że potrafią mówić w jakimś cywilizowanym języku – burknął z irytacją. – Takim, który można zrozumieć. Mimo to sprawiają wrażenie podnieconych.

Ciekawość wreszcie wzięła nad kenderem górę i Tas wspiął się po pierwszym ciągu schodów, a następnie wyjrzał zza rogu. Szybko cofnął się, wzdychając. – Jest ich dwóch. Obaj zagradzają schody. Nie ma jak ich wyminąć.

Brakowało mu sakiewek z narzędziami i bronią, które zostały w górskim lochu w Thorbardinie. Miał jednakże wciąż swój nóż. – Nie sądzę, żeby na wiele się zdał przeciwko

temu! – zauważył Tas, znów wyobrażając sobie olbrzymie topory bojowe, które dostrzegł uprzednio w dłoniach krasnoludów.

Odczekał kilka chwil, łudząc się nadzieją, że krasnoludowie odejdą. Z pewnością sprawiali wrażenie podenerwowanych, lecz jednocześnie jakby wrosli w ziemię.

– Nie mogę stać tu całą noc, czy może cały dzień, zależy jaka jest pora dnia – narzekał kender. – Cóż, jak powiadał tato, zawsze spróbuj rozmowy, zanim sięgniesz po wytrych. Przypuszczam, że najgorsze, co mogą mi zrobić, nie licząc oczywiście zabicia mnie, to znów mnie zamknąć. A jeśli dobrze potrafię ocenić zamki, potrafiłbym wydostać się stamtąd mniej więcej w przeciągu pół godziny. – Zaczął wchodzić po schodach. – Czy to tato powiedział głowił się podczas wspinaczki – czy może wujek Trapspringer?

Wyszedłszy zza rogu, stanął naprzeciwko dwóch Dewarów, którzy wydawali się mocno zaskoczeni jego widokiem. – Cześć! – rzucił wesoło kender. – Nazywam się Tasslehoff Burrfoot. – Wyciągnął dłoń. – A wy nazywacie?...? Och, nie zamierzacie się przedstawiać. Cóż, w porządku, i tak pewnie nie umiałbym tego wymówić. Wiecie co, jestem więźniem i szukam tego gościa, który trzymał mnie w zamknięciu tam w celi. Pewnie go znacie, taki czarodziej w czarnych szatach. Przesłuchiwał mnie. Powiedziałem mu coś, co musiało go zaskoczyć, bo dostał jakiegoś ataku i wybiegł z pomieszczenia. I zapomniał zamknąć za sobą drzwi. Czy któryś z was widział, w którą stronę... Och! – Tas mrugnął oczami. – Jakie to nieuprzejme.

Była to reakcja na zachowanie Dewarów, którzy po przyjrzeniu się kenderowi z rosnącym wyrazem niepokoju na twarzach, krzyknęli jedno słowo, odwrócili się i uciekli pędem.

– Antarax – powtórzył Tas, śledząc ich zdumionym wzrokiem. – Zobaczmy. To mi wygląda na krasnoludzkie słowo na... na... Och, oczywiście! Płonąca śmierć. Ach, oni myślą, że nadal jestem chory na zarazę! Mmmmm, to dogodne. A może jednak nie?

Kender znalazł się sam w kolejnym długim korytarzu, w każdym calu równie ponurym i niemiłym, jak ten, który opuścił. – Wciąż nie wiem, gdzie się znajduję, i nikt nie ma ochoty mi powiedzieć. Jediną drogą wyjścia są te schody, a skoro ci dwaj pędzą w ich stronę, sądzę, że najlepiej będzie po prostu pójść za nimi. Caramon musi być gdzieś w pobliżu.

Jednakże nogi Tasa, które już złożyły protest w sprawie chodzenia, poinformowały kendera w sposób nie budzący żadnych wątpliwości, że o bieganiu nie ma mowy. Kender poczłapał za krasnoludami, najszybciej jak mógł, ale do czasu, gdy przebył połowę korytarza, oni już wbiegli po schodach na górę i zniknęli mu z oczu. Zasapany Tas wdrapywał się za nimi po schodach. Kręciło mu się trochę w głowie, ale był zdecydowany znaleźć Caramona. Kiedy wyszedł zza rogu, zatrzymał się raptownie.

– Ojej! – powiedział i czym prędzej ukrył się w cieniu. Zasłoniwszy sobie usta dłonią, skarcił się surowo: Milcz, Burrfoot! Toż to cała armia Dewarów!

Rzeczywiście tak to wyglądało. Ci dwaj, za którymi szedł, spotkali się z około dwudziestoma

następnymi krasnoludami. Skulony w cieniu Tas słyszał ich podekscytowane okrzyki i spodziewał się, że lada moment zbiegną na dół, aby go ścigać... Jednakże nic takiego nie nastąpiło.

Czekał, przysłuchując się rozmowie, a potem odważył się wysunąć głowę i dostrzegł, że niektórzy z tych krasnoludów zupełnie nie przypominali Dewarów. Byli czyści, mieli uczesane brody i zakuci byli w błyszczące zbroje. Nie wyglądali też na zadowolonych. Spoglądali wściekle na jednego z Dewarów, jakby mieli ogromną ochotę obedrzeć go ze skóry.

– Górscy krasnoludowie! – mruknął do siebie zdumiony Tas, rozpoznając zbroje. – A z tego, co mówił Raistlin, wynikało, że są to nasi wrogowie. Co oznacza, że powinni być w swojej górze, a nie w naszej. Pod warunkiem oczywiście, że znajdujemy się w górze, ale z tego, co widzę, zacznam sądzić, że i owszem. Ciekaw jednak jestem...

Kiedy jeden z krasnoludów górskich przemówił, Tas rozpromienił się. – Wreszcie ktoś umie mówić! – westchnął z ulgą Kender. Z powodu obecności mieszaniny ras krasnolud mówił prymitywną wersją mowy wspólnej i języka krasnoludów.

Sednem tej rozmowy, o ile Tas zdołał się zorientować, było stwierdzenie, że górski krasnolud ma w nosie obłąkanego czarodzieja, jak również zadzumionego, wędrującego kendera.

– Przyszliśmy tu po głowę tego generała Caramona warknął krasnolud górski. – Powiedziałeś, że czarodziej obiecał to załatwić. Jeśli to prawda, możemy pominąć czarodzieja. I tak wolałbym nie zadawać się z magiem Czarnych Szat. A teraz odpowiedz mi, Argat. Czy twoi ludzie są gotowi zaatakować armię od środka? Czy jesteś gotów zabić tego generała? A może to tylko sztuczka? Jeśli tak, zobaczysz, jak ciężki będzie los twego ludu w Thorbardinie!

– To nie sztuczka! – zawarczał Argat, zaciskając pięść. – My jesteśmy gotowi do akcji. Generał przebywa w sali wojennej. Czarnoksiężnik powiedział, że dopilnuje, by był sam lub z tylko jednym strażnikiem. Nasi ludzie nakłonią krasnoludów podgórskich do ataku. Kiedy wy dotrzecie swojej części umowy, kiedy zwiadowcy dadzą znak, że wielkie bramy Thorbardinu są otwarte...

– W chwili gdy o tym mówimy, znak już został dany rzucił górski krasnolud. – Gdybyśmy znajdowali się powyżej poziomu ziemi, słyszałbyś trąbki. Armia ruszyła do ataku!

– Więc idziemy! – powiedział Argat. Skłoniwszy się, dodał szyderczo: – Jeśli waszmość się odważy, proszę z nami. Zaraz skrócimy generała Caramona o głowę!

– Dołączę do was – rzekł chłodno krasnolud górski – choćby tylko po to, by upewnić się, że nie knujecie kolejnej zdrady!

Co dalej powiedziało tych dwóch, uszło uszom Tasa, który oparł się o ścianę. Nogi mu ścierpły, a w uszach mu brzęczało.

– Caramon! – wyszeptał, łapiąc się za głowę i starając się pomyśleć. – Oni chcą go zabić! I to robota Raistlina! – Tas wzdrygnął się. – Biedny Caramon. Jego własny bliźniak. Gdyby

dowiedział się o tym, pewnie dostałby apopleksji. Krasnoludowie nie potrzebowaliby toporów.

Nagle kender gwałtownie podniósł głowę. – Tasslehoffie Burrfoot! – rzekł ze złością. – Co ty tu robisz? Stoisz jak krasnolud źlebowy, który wdepnął w błoto! Musisz go ocalić! W końcu obiecałeś Tice, że będziesz się o niego troszczył.

– Ocalić go? Jak, ty głąbie kapuściany? – W jego głowie zadudnił głos podejrzenie podobny do głosu Flinta.

– Tam musi być z dwudziestu krasnoludów! A ty jesteś uzbrojony tylko w tego zabójcę królików!

– Już ja coś wymyślę – odparł Tas. – Więc siedź cicho pod swoim drzewem!

Dało się słyszeć parsknięcie. Kender stanowczo zignorował je, wyprostował się dumnie, wydobył swój nożyk i zaczął się skradać cicho – jak tylko potrafią kenderzy w głąb korytarza.

Rozdział XIV

Miała ciemne, kędzierzawe włosy i ten krzywy uśmiech, który mężczyźni uznają później za tak urzekający u jej córki. Promieniowała prostoduszną i nieposzlakowaną uczciwością, która będzie cechowała jednego z jej synów, i miała talent – rzadką i cudowną moc – którą przekaże drugiemu.

Miała magię we krwi, tak samo jak jej syn. Była jednakże słaba – miała słabą wolę i słabego ducha. Tak więc pozwoliła, by magia zawładnęła nią, co w końcu stało się przyczyną jej śmierci.

Ani mocna duchem Kitiara, ani krzepki na ciele Caramon nie przeżyli bardzo śmierci matki. Kitiara nienawidziła matki z całą siłą zacieklej zazdrości, a Caramon, choć dbał o matkę, czuł znacznie bliższą więź ze swym wątłym bliźniakiem. Poza tym dziwaczne i chaotyczne wywody oraz mistyczne transy jego matki sprawiły, że dla młodego wojownika była zupełną zagadką.

Jej śmierć jednakże była wstrząsającym ciosem dla Raistlina. Będąc jedynym z jej dzieci, które ją prawdziwie rozumiało, litował się nad jej słabością, choć jednocześnie dlatego nią gardził. Był na nią wściekły za to, że umarła, że zostawiła go samego na tym świecie, samego z tym darem. Był zły i w głębi duszy zdjęty strachem, w jej losie bowiem Raistlin widział swą własną zgubę.

Po śmierci ojca jego ogarnięta żalem matka pogrzyżyła się w transie, z którego już się nie przebudziła. Raistlin był bezradny. Mógł tylko patrzeć, jak gaśnie mu w oczach. Odmawiając przyjmowania pokarmu, wypłynęła zabłąkana na magiczne płaszczyzny, które tylko ona widziała. A mag jej syn – był tym dogłębnie wstrząśnięty.

Siedział przy niej tej ostatniej nocy. Trzymając ją za wychudzoną rękę, przyglądał się jej zapadniętym, rozgorączkowanym oczom, które wpatrywały się w cuda wyczarowane przez oszalałą magię.

Tej nocy Raistlin poprzysiął sobie w głębi ducha, że nikt i nic nigdy nie będzie miało mocy, aby tak nim manipulować – ani jego bliźniaczy brat, ani siostra, ani magia, ani też bogowie. On i tylko on jeden będzie przewodnią siłą swego życia.

Poprzysiął to sobie, składając żarliwą, nierozzerwalną przysięgę. Był jednakże jeszcze chłopcem – chłopcem zostawionym samotnie w ciemności, który siedział przy swej matce tamtej nocy, gdy umarła. Patrzył, jak ostatni raz odetchnęła i zadygotała. Ściskając jej chudą dłoń o delikatnych palcach (tak podobnych do jego własnych!) błagał cicho przez łzy: – Mamo, wróć... Wróć do domu!

Teraz w Zhamanie znów usłyszał te słowa, które prowokowały go, sztydziły zeń i go drażniły. Dźwięczały mu w uszach, huczały w głowie dziką kakofonią. Zatoczył się pod ścianę z głową pękającą z bólu.

Raistlin widział kiedyś, jak lord Ariakas torturował pojmanego rycerza, zamknawszy go

w dzwonnicy. Tamtej nocy kapłani ciemności bili w dzwony na chwałę swej królowej – przez całą noc. Następnego dnia rano mężczyznę znaleziono martwego z tak głębokim i przeraźliwym wyrazem zgrozy na twarzy, że nawet zaprawieni w okrucieństwie postarali się o szybkie usunięcie zwłok.

Raistlin czuł się, jakby zamknięto go w takiej dzwonnicy, a jego własne słowa były mu na zgubę w czaszce. Słaniając się na nogach i trzymając za głowę, rozpaczliwie starał się zagłuszyć ten dźwięk.

– Wróć do domu... wróć do domu...

Oszołomiony i oślepiiony bólem mag myślał, że mu się wymknie. Kręcił się wokół, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, szukając jedynie drogi ucieczki. Odretwiałe nogi ugięły się pod nim. Potknąwszy się o rąbek swej czarnej szaty, upadł na kolana.

Jakiś przedmiot wypadł mu z kieszeni i poturlał się po kamiennej posadzce. Na ten widok Raistlin jęknął z trwogi i złości. Był to kolejny znak jego niepowodzenia – smocza kula, pęknięta, pociemniała, bezużyteczna. Gorączkowym ruchem sięgnął po nią, lecz bryła potoczyła się po podłodze jak szklana kulka służąca do dziecinnych zabaw, wymykając się jego chciwym dłoniom. Poczougał się za nią w rozpacz, aż wreszcie się zatrzymała. Warknąwszy gniewnie, Raistlin zamierzał złapać ją, ale wtedy właśnie się powstrzymał. Unosząc głowę, rozwarł szeroko oczy. Zobaczył, gdzie się znajduje, i cofnął się z drżeniem.

Przed nim wznosił się wielki portal.

Wyglądał dokładnie jak ten w Wieży Wielkiej Magii w Palanthas. Były to olbrzymie, owalne wrota stojące na podwyższeniu, ozdobione i strzeżone przez pięć smoczych łbów. Ich giętkie szyje węzowym ruchem wyłaniały się z posadzki; pięć głów było zwróconych do wewnątrz i pięć otwartych paszcz wykrzykiwało bezgłośny hołd dla swej Królowej.

W wieży w Palanthas drzwi do portalu były zamknięte. Nikt nie mógł ich otworzyć, chyba że od strony samej Otchłani, zbliżając się z przeciwnego kierunku – a oznaczałoby to wyjście z miejsca, którego jeszcze nikt nie opuścił. Te wrota były również zamknięte, lecz istniały dwie osoby, które mogły przekroczyć ich próg – odziany w białe szaty kapłan Nieskończonego Dobra i odziany w czarne szaty arcymag Nieskończonego Zła. Taka kombinacja była nieprawdopodobna. Tak oto wielcy czarodzieje mieli nadzieję zamknąć na wieki owe straszliwe wejście na płaszczyznę nieśmiertelnych.

Zwykły śmiertelnik spoglądający w głąb tego portalu, nie zobaczyłby niczego prócz pustej, groźnej ciemności.

Raistlin jednakże nie był już kimś zwykłym. Zbliżając się coraz bardziej do swej bogini, naginając całą swą energię i całe swe studia ku temu jednemu celowi, arcymag znajdował się obecnie w stanie zawieszenia pomiędzy oboma światami. Spoglądając na zamknięte wrota, prawie potrafił przeniknąć ten mrok! Ciemność drgała mu w oczach. Oderwawszy od niej

spojrzenie, skupił się na odzyskaniu smoczej kuli.

Jak mogła mi uciec?, zastanawiał się ze złością. Trzymał kulę w woreczku schowanym głęboko w tajnej kieszeni swych szat. Potem jednak zaśmiał się drwiąco z siebie, znał bowiem odpowiedź. Każda smocza kula obdarzona była silnym zmysłem samozachowawczym. Ta z Istar uniknęła Katakлизmu dzięki nakłonieniu podstępem elfiego króla Loraca, by ukraść ją i zabrał do Silvanesti. Kiedy kula nie mogła już wykorzystywać obłąkanego Loraca, przyczepiła się do Raistlina. Podtrzymała go przy życiu, gdy konał w bibliotece Astinusa. To ona spiskowała z Fistantilusem, by zabrać młodzieńca przed oblicze Królowej Ciemności. Teraz, wyczuwając większe zagrożenie swego istnienia, starała się od niego uciec.

Nie pozwoli na to! Wyciągnął rękę i zacisnął mocno dłoń na smoczej kuli.

Rozległ się wrzask...

Portal otworzył się.

Raistlin poniósł oczy. Brama nie otworzyła się po to, by go wpuścić. Nie, otwarła się, by go ostrzec – by pokazać mu karę, jaka go czeka za niepowodzenie.

Powalony na kolana i przyciskający smoczą kulę do piersi Raistlin poczuł obecność i majestat Takhisis, Królowej Ciemności, która wznosiła się przed nim. Zdjęty trwogą, dygotał skulony u stóp Królowej Ciemności.

Oto twoja zguba! Jej słowa zasyczały w jego umyśle. Czekasz na los twjej matki. Pożarty przez własną magię, ugrzęzniesz zaczarowany na zawsze i nawet nie zaznasz słodkiego pocieszenia śmierci, która zakończy twe męki!

Raistlin padł jak podcięty. Czuł, jak jego ciało usycha. Widział niegdyś, jak w taki sam sposób zeschnęło się zwiędłe ciało Fistantilusa pod dotykiem krwawnika.

Z głową spoczywającą na kamiennej posadzce jak na katowskim pieńku z sennych koszarów, mag gotów był już przyznać się do porażki...

Jednakże we wnętrzu Raistlina kryła się niespożyta siła. Dawno temu Par-Salian, głowa zakonu Białych Szat, otrzymał zadanie od bogów. Potrzebny im był czarodziej wystarczająco potężny, by pomóc pokonać rozrastające się zło Królowej Ciemności. Par-Salian długo szukał, aż wreszcie wybrał Raistlina. Dostrzegł bowiem w młodym magu tę wewnętrzną siłę. Za czasów młodości Raistlina była to zimna, bezkształtna bryła żelaza. Par-Salian żywił nadzieję, że rozpalony do białości ogień cierpienia, bólu, wojny i ambicji obróci tę masę we wspaniałe zahartowaną stal.

Raistlin uniósł głowę znad zimnego kamienia.

Żar furii Królowej buchał na niego. Całe ciało miał zlane potem. Nie mógł oddychać z powodu ognia palącego mu płuca. Królowa dręczyła go, szydziła z niego jego własnymi słowami, jego własnymi wizjami. Natrzęsała się z niego, tak jak wielu natrzęsało się wcześniej. A jednak, mimo iż Raistlin cały dygotał ze strachu, jakiego jeszcze do tej pory nie zaznał, jego

dusza zaczęła unosić się radością.

Zdumiony, zaczął analizować to uczucie. Starał się odzyskać panowanie nad sobą i po wysiłku, od którego drżał z osłabienia, przegnał dźwięczący mu w uszach głos matki. Zamknął oczy, by nie widzieć szyderczego uśmiechu swej Królowej.

Spłynęła na niego ciemność i w tym chłodnym, słodkim mroku ujrzał strach swej Królowej.

Ona bała się... bała się jego!

Powoli Raistlin podniósł się. Z portalu dał gorący wicher, który wydymał jego czarne szaty, tak że czarodziej zdawał się spowity w burzowe chmury. Teraz mógł już spojrzeć prosto w portal. Zmrużył oczy. Przyglądał się strasznej bramie z ponurym, krzywym uśmiechem. Potem Raistlin unióś rękę i cisnął smoczą kulą w portal.

Kula natrafiła na niewidzialną przeszkodę i strzaskała się. Rozległ się prawie niedostłyszalny wrzask. Ciemne, niewyraźne skrzydła załopotwały wokół głowy maga, a potem z żalnym jękiem zmieniły się w dym i rozwiały.

Ciało Raistlina rozpieierała siła, jakiej jeszcze dotychczas nie znał. Świadomość słabości nieprzyjaciela działała na niego jak upajający trunek. Czuł, jak magia przepływa z jego umysłu do serca, a stamtąd do żył. Zgromadzona, połączona potęga wieków nauki należała do niego – do niego i Fistantilusa!

Wtedy coś usłyszał, ten wyraźny, czysty dźwięk trąbki, której brzmienie było zimne niczym powietrze z ośnieżonych gór krasnoludzkiej ojczyzny w oddali. Czysta i przejmująca fanfara rozbrzmiewała w jego głowie echem, przepędzając rozprasające głosy, wzywając go ku ciemności, dając mu władzę nad samą śmiercią.

Raistlin zatrzymał się. Nie zamierzał wkraczać do portalu tak wcześnie. Chciałby poczekać jeszcze trochę. Jednak jeśli okaże się to konieczne, mógł wejść choćby natychmiast. Przybycie kendera oznaczało, że czas można zmienić. Śmierć gнома dawała pewność, że nie zaistnieje zakłócenie spowodowane magicznym urządzeniem – zakłócenie, które stało się przyczyną śmierci Fistantilusa.

Nadszedł czas.

Raistlin rzucił ostatnie, przeciągające się spojrzenie na portal. Potem, skłoniwszy się Królowej, odwrócił się i odszedł zdecydowanym krokiem w głąb korytarza.

Crysania klęczała w swej komnacie pogrążona w modlitwie.

Po powrocie od kendera zamierzała znów położyć się do łóżka, lecz ogarnęło ją dziwne przeczucie. W powietrzu coś wisiało. Atmosfera wyczekiwania nakazała jej wstrzymać się. Sen nie nadchodził. Crysania była czujna i trzeźwa, bardziej trzeźwa niż kiedykolwiek przedtem w całym swym życiu.

Niebo było pełne światła – zimnego blasku gwiazd płonących w ciemności i srebrnego księżyca Solinari, który lśnił niczym sztylet. Crysania widziała każdy przedmiot w pokoju

z niesamowitą wyrazistością. Każdy wydawał się żywy, czujny, wyczekujący razem z nią.

Zdjęta niezwykłym uczuciem, spozrzała na gwiazdy, śledząc zarysy konstelacji – Gileana, Księgi, Szal Równowagi; Takhisis, Królowej Ciemności, Smoka Wielu Kolorów i Żadnego; Paladine'a, Dzielnego Wojownika, Platynowego Smoka. Księżycy – Solinari, Oko Boga, Lunitari, Nocna Świeca. Za nimi rozproszeni byli po niebiosach pomniejsi bogowie, a wśród nich planety.

Gdzieś tam był także Czarny Księżyc – księżyc, którego mogły ujrzeć tylko jego oczy.

Stojąc wpatrzona w noc, Crysania poczuła, jak palce jej ziębną od przyciskania ich do chłodnego kamienia. Zdała sobie sprawę, że się trzęsie, i odwróciła się, mówiąc sobie, że najwyższy już czas iść spać...

Wciąż jednakże nie mogła pozbyć się wrażenia, że noc wstrzymuje jej drżący oddech. – Zaczekaj – szeptała. – Zaczekaj...

Wtedy usłyszała trąbkę. Czysty i wyraźny dźwięk przeszył jej serce, głosząc pean na cześć zwycięstwa, który sprawił, że serce zabiło jej żywiej.

W tym momencie otworzyły się drzwi do jej komnaty.

Nie była zaskoczona jego widokiem. To było tak, jakby spodziewała się jego przybycia. Spokojnie odwróciła się do niego.

Raistlin stał w drzwiach i tylko jego sylwetka rysowała się na tle pochodni palących się na korytarzu, jak również jego własnego światła, które wypływało spod jego szat mrokiem przeklętą poświatą bijącą z wnętrza.

Przyciągana jakąś dziwną siłą Crysania obejrzała się na nieboskłon i ujrzała jarzący się tym samym ciemnym blaskiem Nunitari – Czarny Księżyc.

Na chwilę zamknęła oczy, oszołomiona wywołującym zawrót głowy uderzeniem krwi i biciem serca. Potem, poczuwszy przypływ sił, otworzyła znów oczy i ujrzała stojącego przed nią Raistlina.

Wstrzymała oddech. Widziała Raistlina w ekstazie magii, widziała, jak zmagał się z klęską i śmiercią. Teraz widziała go w pełni mocy, w majestacie mrocznej siły. Starożytna mądrość i rozum były wyryte na obliczu, które ledwo poznała jako należące do niego.

– Już czas, Cysanio – oznajmił, wyciągając ręce. Chwyliła je. Jej palce były zziębnięte, jego dotyk sparzył je. – Boję się – szepnęła. Przyciągnął ją do siebie.

– Nie musisz się obawiać – oznajmił. – Twój bóg ci sprzyja. To moja bogini jest zatrwożona, Cysanio. Wyczuwam jej strach! Razem ty i ja przestąpimy granice czasu i wkroczymy do królestwa śmierci. Razem stoczymy bój z Ciemnością. Razem powalimy Takhisis na kolana!

Jego ręce przycisnęły ją blisko do piersi, jego ramiona objęły ją. Jego wargi przywarły do jej ust, kradnąc jej oddech pocałunkiem.

Crysania zamknęła oczy i pozwoliła, by magiczny ogień, ogień, który spopielił ciała

zmarłych, spalił jej ciało, spalił teraz tę zimną, przerażoną skorupę w białych szatach, w której chowała się przez wszystkie te lata.

Odsunął się, gładząc zarys jej ust dłonią i biorąc ją pod brodę tak, by spojrzała mu w oczy. W nich ujrzała odbitą w zwierciadle jego duszy samą siebie jarzącą się płomienistą aureolą jaskrawego, czystego, białego światła. Ujrzała siebie piękną, kochaną, czczoną. Ujrzała siebie niosącą prawdę i sprawiedliwość światu, na zawsze przepędzającą smutek, trwogę i rozpacz.

– Błogosławiony niech będzie Paladine – szepnęła Crysania.

– Błogosławiony niech będzie – odrzekł Raistlin. – Znów dam ci talizman. Tak jak ochroniłem cię podczas drogi przez zagajnik Shoikan, tak będziesz strzeżona, kiedy przestąpimy próg portalu.

Zadrzała. Przyciągnął ją blisko i objąwszy ostatni raz, przycisnął wargi do jej czoła. Ból przeszył jej ciało i sparzył serce. Drgnęła, lecz nie krzyknęła. Uśmiechnął się do niej. – Chodź.

Uniesieni wyszeptanymi słowami uskrzydłonego zaklęcia, oddali komnatę nocy w chwili, gdy w ciemność wdarły się czerwone promienie Lunitari – krew przelana błyszczącym nożem Solinari.

Rozdział XV

Wozy z zaopatrzeniem? – pytał Caramon spokojnym, wyważonym tonem, tonem osoby, która już zna odpowiedź.

– Żadnych wieści, panie generale – odrzekł Garic, unikając groźnego spojrzenia Caramona – ale... spodziewamy się ich...

– Nie nadejdą. Wpadły w pułapkę. Wiesz o tym. Na twarzy Caramona pojawił się znużony uśmiech.

– Przynajmniej znaleźliśmy wodę. – Stwierdzenie Garica zabrzmiało kulawo. Młodzieniec starał się, jak mógł, sprawiać wrażenie pogodnego, ponosząc przy tym żalostną porażkę. Nie podnosząc wzroku znad mapy rozłożonej przed nim na stole, nerwowo narysował kółeczko wokół zielonej plamki na pergaminie.

Caramon parsknął. – Wodopój, który opróżnia się przed nastaniem południa. Jasne, do wieczora znów jest pełny, ale mój pot ma lepszy smak. To paskudztwo musi być zanieczyszczone morską wodą.

– Mimo to nadaje się do picia. Racjonujemy ją oczy – wiście i wystawiliśmy wokół niej straż. Nie wydaje się jednak, by miała wyschnąć.

– Co tam. Po jakimś czasie nie trzeba będzie się martwić, bo zabraknie ludzi, żeby ją wypić – oświadczył Caramon. Westchnął, przeczesując swe kędzierzawe włosy dłonią – W pokoju było gorąco, gorąco i duszno. Jakiś nadgorliwy sługa dorzucił dREW do ognia, zanim przyzwyczajony do życia na otwartej przestrzeni Caramon zdołał go powstrzymać. Potężny mężczyzna otworzył okno na oścież, by wpuścić trochę świeżego, rześkiego powietrza, lecz i tak żar buchający mu na plecy mimo to nieźle go przypiekał. Ilu dziś zdezerterowało?

Garic chrząknął. – Około... około setki, panie generale – oznajmił z ociąganiem.

– Dokąd poszli? Do Pax Tharkas?

– Tak jest. Tak sądzimy.

– Co jeszcze? – spytał posepnie Caramon, badając wzrokiem twarz Garica. – Coś ukrywasz.

Młody rycerz zaczerwienił się. W tym momencie Garica zdjął chwilowy żal, że kłamstwo jest wbrew wszelkim nakazom kodeksu, który tak bardzo cenił. Tak jak oddałby swe życie, by oszczędzić temu człowiekowi cierpień, tak omal nie zdobył się na kłamstwo. Zawahał się, a potem – spoglądając na Caramona – spostrzegł, że nie było to konieczne. Generał już się domyślił.

Caramon powoli pokiwał głową. – Mieszkańcy Równin?

Garic spuścił wzrok na mapy.

– Wszyscy?

– Tak, panie generale.

Caramon zamknął oczy. Westchnąwszy cicho, podniósł jedną z małych figurek, które rozstawiono na mapie, by oznaczyć umieszczenie i rozstawienie wojsk. Obracając ją w palcach, zamyślił się. Potem nagle zaklął siarczyście i zamachnąwszy się, rzucił figurkę w ogień. Po chwili ukrył obolałą głowę w dłoniach.

– Nie sądzę, abym miał pretensje do Darknighta. Nawet teraz nie będzie łatwo jemu i jego ludziom. Krasnoludowie górscy bez wątpienia zajęli przełęcz za nami, to właśnie przydarzyło się wozom z zaopatrzeniem. Będzie musiał przedrzeć się do domu z bronią w rękę. Niech mu bogowie sprzyjają.

Caramon milczał przez chwilę, a potem zacisnął pięści. – Do licha z moim bratem! – zaklął. – Do licha!

Garic poruszył się nerwowo. Omiótł pokój szybkim spojrzeniem, obawiając się, że postać w czarnej szacie może wyłonić się z cienia.

– Cóż – stwierdził Caramon, prostując się i znów przyglądając mapom – to nas do niczego nie prowadzi. Teraz jedyną naszą nadzieją, jak ja to widzę, jest utrzymanie reszty naszych wojsk tu na równinie. Musimy wywabić krasnoludów, zmusić ich do walki na otwartej przestrzeni, żeby wykorzystać naszą konnicę. Nigdy nie przebijemy się do wnętrza góry – dodał z nutą goryczy w głosie – lecz przynajmniej zdołamy wycofać się, mając nadzieję na powrót do Pax Tharkas z nietkniętymi siłami. Tam możemy się umocnić i...

– Generale. – Jeden z wartowników stojących przy drzwiach wszedł do komnaty, czerwieniąc się, że musiał im przerwać. – Błagam o wybaczenie, panie generale, ale przybył posłaniec.

– Wpuść go.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna. Zakurzony, o policzkach zarumienionych od zimna, tęsknie spojrzął na ogień palący się w kominku, lecz najpierw wystąpił naprzód, by przekazać wiadomość.

– Nie, proszę, ogrzej się – rzekł Caramon, gestem zachęcając młodzieńca, by podszedł do kominka. – Ciesz? się, że ktoś potrafi go docenić. I tak mam wrażenie, że twoje wieści będą podłe w smaku.

– Dzięki, panie – powiedział mężczyzna z wdzięcznością. Stojąc przy ogniu, wyciągnął ręce do ciepła. Mam następujące wieści: krasnoludowie podgórscy odeszli – Odeszli? – powtórzył kompletnie osłupiały Caramon, zrywając się na równe nogi. – Dokąd? Chyba nie z powrotem do...

– Maszerują na Thorbardin. – Posłaniec zawahał się.

– Rycerze wyruszyli razem z nimi.

– To szaleństwo! – Caramon uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły drewniane pionki, a mapy ześlizgły się na krawędziach. Twarz mu spochmurniała. – Mój brat.

– Nie, panie. Najwyraźniej to Dewarowie. Polecono mi to ci przekazać. – Wyciągnąwszy zwój z sakwy, posłaniec podał go Caramonowi, który szybko go otworzył.

Generale Caramonie,

Właśnie dowiedziałem się od dewarskich szpiegów, że bramy góry otworzą się na dźwięk trąbki. Zamierzamy uprzedzić ich i pomaszerować wcześniej. Jeśli wstaniemy o świcie, dotrzemy tam przed zapadnięciem zmroku. Przykro mi, że nie było czasu, aby cię o tym powiadomić. Bądź spokojny, otrzymasz należną wam część łupów, nawet jeśli przybędziecie później. Oby światło Reorxa lśniło na waszych toporach.

Reghar Fireforge

Caramon wrócił myślami do tego splamionego krwią skrawka pergaminu, który trzymał w ręku jeszcze nie tak dawno temu. Czarodziej zdradził cię...

– Dewarowie! – Caramon zrobił wściekłą minę. Dewarscy szpiegowie. Szpiegowie tak, ale nie dla naszej strony! Zdraycy tak, ale nie swego ludu!

– Pułapka! – stwierdził Garic, również wstając.

– A my wpadliśmy w nią jak banda przeklętych królików – mruknął Caramon, myśląc o innym króliku w pułapce, oczami wyobraźni widząc, jak brat go z niej uwalnia.

– Tracimy Pax Tharkas. Niewielka strata. Zawsze można je odzyskać, zwłaszcza gdy obrońcy nie żyją. Nasi ludzie dezertują masowo. Mieszkańcy Równin odeszli. A teraz krasnoludowie podgórscy wymaszerowali na Thorbardin, a Wraz z nimi Dewarowie. A kiedy zagrają surmy...

Rozległ się czysty, wyrazisty dźwięk trąbki. Caramon drgnął. Czy naprawdę ją słyszy, czy też może to złudzenie przyniesione na skrzydłach straszliwej wizji? Niemal widział, jak wszystko rozgrywa się przed jego oczyma – Dewarowie powoli, niedostrzegalnie rozchodzą się wśród podgórskich krasnoludów, wnikając w ich szeregi. Ręce niepostrzeżenie sięgają po topory, młoty...

Większość ludu Reghara nawet się nie dowie, co ich trafiło, nie będzie miała szansy obronić się.

Caramon słyszał krzyki, łoskot okutych żelazem butów, brzęk oręża i szorstkie, zgrzytliwe wołanie głębokich głosów. To było prawdziwe, takie prawdziwe...

Pogrążony w swej wizji Caramon ledwo spostrzegł nagłą błądź na obliczu Garica. Wyciągając miecz, młody rycerz skoczył ku drzwiom z okrzykiem, który sprowadził Caramona z powrotem na ziemię. Odwróciwszy się, ujrzał ciemną falę czarnych krasnoludów kłębiącą się za drzwiami. Błysnęła stal.

– To zasadzka! – wrzasnął Garic.

– Wycofaj się! – zagrział Caramon. – Nie wychodź tam! Rycerze odeszli. Tylko my tu zostaliśmy! Zostań w pokoju. Zamknij drzwi na zasuwę! – Skoczywszy w ślad za Garicem, złapał rycerza i szarpnięciem odciągnął go wstecz.

– Straże, wycofajcie się! – krzyknął do dwóch wartowników, którzy wciąż stali przed drzwiami i zaciekle walczyli. Caramon złapał za ramię jednego ze strażników, by wciągnąć go do komnaty, jednocześnie spuszczając miecz na głowę atakującego Dewara. Hełm krasnoluda pękł. Krew trysnęła na Caramona, który jednakże nie zwracał na to uwagi. Wepchnąwszy strażnika za siebie, Caramon rzucił się na hordę czarnych krasnoludów stłoczonych na korytarzu i mieczem wycinał wśród nich krwawą ścieżkę.

– Wycofaj się, głupcze! – krzyknął przez ramię do drugiego wartownika, który zawahał się tylko chwilę, a potem uczynił, jak mu kazano. Zajadły atak Caramona wywarł oczekiwany skutek na Dewarach – odskoczyli w chwilowej panice na widok jego szału bojowego. Niemniej jednak owa panika była tylko taka chwilowa. Caramon już widział, jak biorą się w garść i zbierają na odwagę.

– Panie generale! Ostrożnie! – krzyknął Garic, który wciąż stał w drzwiach z mieczem w ręku. Odwróciwszy się, Caramon pobiegł ku bezpiecznemu schronieniu w pokoju map. Jednakże poślizgnął się na zakrwawionych kamieniach, upadł i stłukł sobie boleśnie kolano.

Z dzikim okrzykiem Dewarowie rzucili się na niego.

– Do środka! Zamknij drzwi na zasuwę... – Reszta słów Caramona przepadła, gdy potężny mężczyzna zniknął pod skłębioną masą krasnoludów.

– Caramonie!

Z bólem serca Garic skoczył w środek walki, przeklinając się za to, że tak się ociągał. Cios młota trafił go w ramię i rycerz usłyszał chrupnięcie kości. Jego lewe ramię zwisło dziwnie bezwładnie. Cóż, pomyślał, nie zważając na ból, przynajmniej nie jest to ręka, w której trzymam broń. Machnął mieczem i czarny krasnolud padł bez głowy. Zaświszczało ostrze topora, lecz ten, kto nim władał, chybił celu. Krasnoluda powalił od tyłu cios jednego ze strażników pełniących wartę przy drzwiach.

Choć Caramon nie mógł stać, nadal walczył. Kopniak wymierzony zdrową nogą odrzucił w tył dwóch krasnoludów tak, że aż się zatoczyli na swoich pobratymców. Przewracając się na bok, ogromny mężczyzna wbił rękojeść miecza w twarz kolejnego krasnoluda, ochlapując się krwią aż po łokcie. Następnie cofając cios, wbił klingę w brzuch kolejnemu przeciwnikowi. Natarcie Garica ocaliło mu, przynajmniej tak się wydawało, życie tylko na chwilę.

– Caramonie! Nad tobą! – wrzasnął Garic, tocząc zaciekle bój. Przeturlawszy się na plecy, Caramon spojrzał w górę i zobaczył Argata stojącego nad nim z wzniesionym toporem. Caramon uniósł miecz, lecz w tej chwili skoczyło na niego czterech czarnych krasnoludów i przycisnęło go do posadzki.

Prawie płacząc z wściekłości i nie zważając na błyszczącą stal dookoła, Garic rozpaczliwie próbował ocalić Caramona. Jednakże zbyt wielu czarnych krasnoludów dzieliło go od generała. Ostrze topora Dewara już opadało...

Topór opadł – wypadł z bezwładnych rąk. Garic zobaczył, jak oczy Argata otwierają się w bezgranicznym zdumieniu. Topór krasnoluda spadł z dźwięcznym brzękiem na śliskie od krwi kamienie, a sam czarny krasnolud przewrócił się na Caramona. Spojrzawszy na zwłoki Argata, Garic ujrzał mały nóż sterczący z karku krasnoluda.

Podniósł głowę, by zobaczyć zabójcę czarnego krasnoluda i jęknął ze zdumienia.

Nad trupem zdrajcy stał ktoś najmniej oczekiwany kender.

Garic mrugnął oczami, sądząc, że może strach i ból wywarły jakiś dziwny wpływ na jego umysł, każąc mu widzieć zjawy. Nie było jednakże czasu, by rozgryźć kwestię tego zdumiewającego pojawienia się. Młody rycerz zdołał wreszcie przedrzeć się do generała. Za sobą słyszał krzyki strażników odpędzających Dewarów, którzy ujrawszy śmierć swego przywódcy, nagle stracili znaczną część zapału do walki, która miała być w zamierzeniu łatwą rzezią.

Czterej krasnoludowie, którzy przytrzymywali Caramona, czym prędzej odskoczyli, gdy wielki mężczyzna zaczął gramolić się spod zwłok Argata. Nachyliwszy się, Garic podźwignął martwego krasnoluda za tył zbroi i odrzucił go na bok, a następnie postawił Caramona na nogi. Potężny mężczyzna zachwiał się i jęknął, gdy okaleczone kolano nie utrzymało ciężaru jego ciała.

– Pomóżcie nam! – Garic krzyknął niepotrzebnie do wartowników, gdyż ci już stali u jego boku. Pół ciągnąc i pół niosąc Caramona, pomogli utykającemu mężczyźnie wejść do pokoju map.

Odwróciwszy się, by pójść w ich ślady, Garic prędko rozejrzał się po korytarzu. Czarni krasnoludowie przyglądali mu się niepewnie. Za ich plecami mignęli mu inni krasnoludowie. Górscy krasnoludowie, odnotował jego umysł.

A do tego stał tu jak wrośnięty w ziemię nieznamy kender, który pojawił się najwyraźniej nie wiadomo skąd po to by ocalić Caramonowi życie. Kender był blady jak ściana, a jego wargi miały zielonkawy odcień. Nie wiedząc, co ma zrobić, Garic objął zdrową ręką kendera w pasie, podniósł go i zataszczył z powrotem do pokoju map. Kiedy tylko znalazł się w nim, strażnicy zatrzasnęli drzwi i zamknęli je na zasuwę.

Oblicze Caramona było zalane krwią i potem, lecz wojownik wyszczerzył zęby w uśmiechu do Garica. Potem zrobił srogą minę.

– Ty skończony rycerski idioto! – warknął. – Dałem ci wyraźny rozkaz, a ty go nie wykonałeś! Powinienem...

Głos mu jednakże zamarł w gardle, gdy kender, który wił się w uścisku Garica, podniósł głowę.

– Tas! – wyszeptał ogłuszony Caramon.

– Cześć, Caramonie – powiedział słabym głosem Tas. – Strasznie się cieszę, że cię znów widzę. Mam ci masę rzeczy do powiedzenia, i to bardzo ważnych, i naprawdę powinienem powiedzieć ci od razu, ale... wydaje mi się... że zaraz... zemdleję.

– I tak to wygląda – stwierdził cicho Tas. Miał łzy w oczach, gdy patrzył na pobladłą, pozbawioną wyrazu twarz Caramona. – Okłamał mnie co do uruchomienia magicznego urządzenia. Kiedy spróbowałem, rozpadło mi się w rękach. Rzeczywiście doczekałem się zobaczenia, jak spada ognista góra – dodał – i to było prawie warte zachodu. Może nawet warto było umrzeć, żeby to ujrzeć. Nie jestem jednak pewien, bo jeszcze nie umarłem, chociaż przez chwilę tak sądziłem. Jednakże na pewno nie byłoby warto, gdybym musiał spędzić całe życie pozagrobowe w Otchłani, która nie jest miłym miejscem. Nie wyobrażam sobie, po co on tam chce iść.

Tas westchnął. – W każdym razie mógłbym mu to wy – baczyć – kender zacisnął szczęki, a w jego głosie pojawiły się twarde tony – ale nie to, co zrobił biednemu Gnirnshowi ani co próbował zrobić tobie...

Tasslehoff ugryzł się w język. Nie zamierzał tego powiedzieć.

Caramon spojrzał na niego. – Mów dalej, Tas, Co próbował mi zrobić?

– N-nic – wyjąkał Tas, posyłając Caramonowi błady uśmiech. – To tylko moja gadanina. Znasz mnie.

– Co próbował mi zrobić? – Caramon uśmiechnął się z goryczą. – Nie przypuszczam, aby istniało jeszcze jakieś zło, które mógłby mi wyrządzić.

– Kazał cię zabić – wymamrotał Tas.

– Ach, tak. – Wyraz twarzy Caramona nie uległ zmianie. – Oczywiście. Więc o to chodziło w wiadomości od krasnoludów.

– Wydał cię tym Dewarom – stwierdził żałośnie Tas. – Mieli zamiar zanieść twoją głowę królowi Duncanowi.

Raistlin odprawił wszystkich rycerzy w zamku, mówiąc im, że rozkazałeś im wyruszyć na Thorbardin. – Tas machnął ręką na Garica i dwóch wartowników. – Powiedział Dewarom, że będą przy tobie tylko twoi strażnicy.

Caramon nic nie powiedział. Nie czuł niczego – ani bólu, ani nawet złości. Nie był też tym zaskoczony. W jego wnętrzu była pustka. A potem ogromna fala tęsknoty za domem, za Tiką i przyjaciółmi, Tanisem, Lauraną, Riverwindem i Goldmoon wdarła się, by wypełnić tę pustkę.

Jakby czytając w jego myślach, Tas wsparł swą małą głowę na ramieniu Caramona. – Możemy już wracać do naszych czasów? – spytał, patrząc smutnie na Caramona. Jestem okropnie zmęczony. Słuchaj, czy nie mógłbym zamieszkać z tobą i Tiką na jakiś czas? Tylko póki nie wydobrzeję. Nie będę sprawiał kłopotów... obiecuję...

Ze łzami w oczach Caramon objął kendera i przytulił go do piersi. – Jak długo zechcesz, Tas – rzekł. Uśmiechając się smutno, wpatrywał się w płomienie. – Wykończę dom. To nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy. Potem pojedziemy odwiedzić Tanisa i Lauranę. Obiecałem to Tice. Obiecałem jej dawno temu, ale nigdy jakoś nie mogłem się wybrać. Wiesz, Tika zawsze chciała zobaczyć Palanthas. I może wszyscy poszlibyśmy na grób Sturma. Nigdy nie miałem okazji się z nim pożegnać.

– Moglibyśmy odwiedzić Elistana i... Och! – Na twarzy Tasa odmalował się wyraz zaniepokojenia. – Crysania! Pani Crysania! Próbowałem jej powiedzieć o Raistlinie, ale ona mi nie wierzy! Nie możemy jej zostawić! Zerwał się na nogi i załamał ręce. – Nie możemy pozwolić, żeby zabrał ją do tego okropnego miejsca!

Caramon potrząsnął głową. – Spróbujemy jeszcze raz z nią porozmawiać, Tas. Nie sędzę, żeby posłuchała, ale możemy przynajmniej spróbować. – Podniósł się z bolesnym wysiłkiem. – W tej chwili będą przy portalu. Raistlin nie może czekać dłużej. Fortecę wkrótce zajmą czarni krasnoludowie. Jak tam, Garicu? – rzekł, kuśtykając do miejsca, gdzie siedział rycerz.

Jeden z pozostałych rycerzy skończył właśnie nastawiać złamaną rękę Garica. Umieszczono ją w prymitywnym temblaku, przybandażowując do tułowia, aby w ten sposób ją unieruchomić. Młodzieniec podniósł głowę i popatrzył na Caramona, zaciskając zęby z bólu, lecz mimo to zdobył się na uśmiech.

– Nic mi nie będzie, panie generale – oznajmił słabym głosem. – Proszę się nie martwić.

Caramon uśmiechnął się i przysunął sobie krzesło. Czujesz się na siłach podróżować?

– Oczywiście, panie generale.

– Świetnie. Prawdę powiedziawszy, nie sędzę, abyś miał wielki wybór. Ta twierdza wkrótce padnie. Musisz natychmiast spróbować się stąd wydostać. – Caramon potarł podbródek. – Reghar powiedział mi o tunelach biegnących pod równiną, tunelach prowadzących od Pax Tharkas do Thorbardinu. Radzę ci je odnaleźć. To nie powinno być zbyt trudne. Owe pagórki widoczne na zewnątrz wiodą do nich. Powinniście zdołać skorzystać z tych tuneli, aby przynajmniej bezpiecznie się stąd wydostać.

Garic nic nie odrzekł. Obejrzawszy się na pozostałych dwóch strażników, rzekł cicho: – Powiedział pan „radzę wam”. A pan, generale? Nie pójdzie pan z nami?

Caramon odchrząknął i chciał odpowiedzieć, lecz zabrakło mu słów. Spuścił wzrok na swe stopy. To była chwila, której się lękał, i teraz, kiedy nadeszła, starannie przygotowana przemowa wyleciała mu z głowy niczym liść niesiony przez wiatr.

– Nie, Garicu – oznajmił wreszcie. – Nie pójdę. – Dostrzegając błysk w oczach rycerza i domyślając się, o czym myśli, ogromny mężczyzna machnął ręką. – Nie, nie zamierzam uczynić czegoś tak nierozsądnego jak zmarnowanie swojego życia dla jakiejś szlachetnej, głupiej sprawy, jaką jest ratowanie mojego dowódcy!

Garic zaczerwienił się z zażenowania, gdy Caramon wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

– Nie – ciągnął potężny mężczyzna już poważniej dzięki bogom, nie jestem rycerzem. Mam dość rozsądku, by uciekać, kiedy jestem pokonany. A teraz właśnie – nie mógł powstrzymać się od westchnienia – zostałem pokonany. Przeczesał włosy dłonią. – Nie potrafię ci tego wyjaśnić tak, abyś to zrozumiał. Nie jestem pewien, czy sam to rozumiem, a w każdym razie w pełni. Mimo to powiedzmy tylko, że kender i ja mamy magiczny sposób powrotu do domu.

Garic zerknął na jednego, a potem na drugiego. – Chyba nie twego brata! – rzekł, posępnie marszcząc brwi.

– Nie – odparł Caramon – nie mojego brata. Tutaj nasze drogi się rozchodzą. On ma własne życie, a ja, co wreszcie zrozumiałem, mam swoje. – Położył rękę na ramieniu Garica. – Idź do Pax Tharkas. Wraz z Michaelem zróbcie wszystko, co w waszej mocy, by pomóc bezpiecznie przetrwać zimę tym, którzy tam dotrą.

– Ale...

– To jest rozkaz, panie rycerzu – rzekł oschle Caramon.

– Tak jest, panie generale. – Garic odwrócił twarz i szybko przetarł dłonią oczy.

Caramon złagodniał na twarzy i objął ramieniem młodego mężczyznę. – Niech Paladine będzie z tobą, Garicu – powiedział, ściskając go mocno. Spojrzał na pozostałych. – Niech będzie z wami wszystkimi.

Garic popatrzył na niego ze zdumieniem. Na policzkach połyskiwały mu łzy. – Paladine? – rzekł z goryczą. Ten bóg, który nas opuścił?

– Nie trać wiary, Garicu – zbeształ go Caramon, stając na nogi z bolesnym grymasem na twarzy. – Nawet jeśli nie wierzysz w tego boga, ufaj swemu sercu. Stawiaj jego głos ponad nakazy kodeksu i reguły, a któregoś dnia zrozumiesz.

– Tak jest, panie generale – wyszeptał Garic. – I... niech bogowie, w których pan wierzy, generale, będą również z panem.

– Sądzę, że byli przy mnie przez całe moje życie stwierdził Caramon, uśmiechając się z żalem. – Byłem po prostu zbyt tępy, aby posłuchać. A teraz, lepiej już zmykajcie.

Pożegnał się po kolei z pozostałymi młodymi rycerzami, udając, że nie widzi, jak dzielnie starają się ukryć łzy. Był prawdziwie wzruszony ich smutkiem z powodu rozstania smutkiem, który podzielał do tego stopnia, że o mało co sam się nie załamał i nie rozplakał jak dziecko.

Rycerze ostrożnie otworzyli drzwi i wyjrzeni na korytarz. Poza trupami było w nim pusto. Dewarowie znikli. Caramon jednakże nie wątpił, że owa przerwa potrwa wystarczająco długo, by zdążyli się przegrupować. Być może poczekają na przybycie posiłków. Potem zaatakują pokój map i wykończą ludzi.

Z mieczem w garści Garic wyprowadził rycerzy na ochlapany krwią korytarz, zamierzając zastosować się do nieco zagmatwanych wskazówek Tasa co do tego, jak dojść na niższe poziomy

magicznej fortecy (Tas zaproponował, że narysuje mapę, ale Caramon powiedział, że nie ma na to czasu).

Kiedy rycerze wyszli i ucichły ostatnie echa ich kroków, Tas i Caramon udali się w przeciwnym kierunku. Przed wyruszeniem Tas wydobyl z ciała Argata swój nóż.

– A ty kiedyś powiedziałaś, że taki nóż nadaje się tylko do zabijania wściekłych królików – stwierdził z dumą Tas. Wytarł krew z klingi i wsunął ją za pasek.

– Nie wspominaj o królikach – powiedział Caramon tak dziwnym, pełnym napięcia głosem, że Tas spojrział na niego i zdumiał się, widząc, jak jego oblicze pokryło się śmiertelną bladością.

Rozdział XVI

Oto jego chwila. Chwila, dla której się urodził. Chwila, dla której znosił ból, upokorzenia i mękę swego żywota. Chwila, dla której uczył się, walczył, dokonywał poświęceń... zabijał.

Rozkoszował się nią pozwalając, by moc przepływała nad nim i przez niego, by otaczała go i unosiła. Żadne inne dźwięki, żadne inne przedmioty, nic na tym świecie nie istniało dla niego w tym momencie z wyjątkiem portalu i magii.

Mimo iż napawał się radością owej chwili, nie odrywał uwagi od swego dzieła. Przyglądał się portalowi, wnikliwie studiował każdy jego szczegół – choć doprawdy nie było to konieczne. Widział go niezliczone razy w marzeniach zarówno we śnie, jak i na jawie. Zaklęcia do jego otworzenia były proste, nic wymyślnego ani złożonego. Każdą z pięciu smoczych głów otaczających i strzegących portalu trzeba ubłagać właściwym zwrotem. Do każdej trzeba się zwrócić we właściwej kolejności. Kiedy jednakże już się to uczyni, a kapłan Białych Szat ubłaga Paladine'a, by ten zainterweniował i przytrzymał portal otwarty, wejść doń. Portal zamknie się za nimi.

Wtedy stawi czoło swemu największemu wyzwaniu.

Ta myśl go podniecała. Szybko bijące serce sprawiło, że krew żywiej krążyła mu w żyłach, tętniąc w skroniach, pulsując w gardle. Spojrzawszy na Crysanię, skinął głową. Już czas.

Kapłanka, sama z twarzą zaróżowioną z wzmożonego podniecenia i oczyma lśnącymi w ekstazie blaskiem modlitwy, zajęła swe miejsce dokładnie pośrodku portalu, naprzeciwko Raistlina. To posunięcie wymagało od niej pokładania w nim absolutnego, kompletnego i bezgranicznego zaufania. Jedna bowiem źle wypowiedziana sylaba, niewłaściwy oddech zaczerpnięty w nieodpowiedniej chwili, najdrobniejsze przejęzyczenie czy błędny gest okaże się zabójczy dla niej i dla niego samego.

Takim oto sposobem starożytni – wymyślając sposób strzeżenia tych straszliwych wrót, których z powodu własnej głupoty nie umieli zatrzasnąć – pragnęli je zabezpieczyć. To bowiem, że czarodziej Czarnych Szat – popełniający ohydne czyny, które musiały zostać popełnione, aby dotrzeć do tego miejsca – i kapłan Paladine'a – czysty wiarą i duchem – pokładali w sobie wiarę, było niedorzecznym założeniem.

A jednak raz już się tak stało: związani przez fałszywy wdzięk jednego i zwątpienie drugiego, Fistantilus wraz z Denubisem osiągnęli ten punkt. Wydawało się też, że zdarzy się to raz jeszcze tym dwojgu połączonym czymś, czego starożytni mimo swej mądrości nie przewidzieli – dziwną, przekłątą miłością.

Wchodząc do portalu i spoglądając na Raistlina po raz ostatni na tym świecie, Crysania posłała mu uśmiech. On odpowiedział również uśmiechem, choć pierwsze słowa zaklęcia już nabierały kształtu w jego myślach.

Crysania uniosła ręce. Jej wzrok wymijał teraz Raistlina i sięgał ku jaśniejącym, cudnym krainom, gdzie przebywał jej bóg. Słyszała ostatnie słowa króla-kapłana i знаła błąd, jaki on popełnił – błąd pychy, aroganckie żądanie od boga tego, o co powinien poprosić w pokorze.

W tym momencie Crysania rozumiała, dlaczego bogowie – w swym świętym oburzeniu – zesłali klęskę zniszczeń na świat. Czuła też w głębi serca, że Paladine wysłucha jej modlitw, mimo iż nie wysłuchał modłów króla-kapłana. To była chwila świetności Raistlina. To była również jej chwila.

Jak święty rycerz Huma przeszła swe próby. Próbę ognia, ciemności, śmierci i krwi. Była gotowa. Była przygotowana.

– Paladine, Platynowy Smoku, twa wierna służka staje przed tobą i błaga, abys zechciał zesłać na nią swe błogosławieństwo. Jej oczy są otwarte na tve światło. Wreszcie rozumiała, czego w swej mądrości próbowałaś ją nauczyć. Wysłuchaj jej modlitwy, o Jaśniejący. Bądź przy niej. Otwórz ten portal, aby mogła wejść i nieść przed sobą twą pochodnię. Kroczy przy niej podczas jej starań przegnania ciemności na wieki!

Raistlin wstrzymał oddech. Wszystko zależało od tego! Czy nie mylił się co do niej? Czy posiada dość siły, mądrości, wiary? Czy rzeczywiście jest wybranką Paladine'a...

Czyste i święte światło zaczęło bić od Crysanii. Jej ciemne włosy zamigotały, białe szaty załśniły jak podświetlone słońcem chmury, jej oczy błyszczały niczym srebrny księżyc. W tej chwili jej uroda była niezrównana.

– Dziękuję ci za wysłuchanie mych modłów, Boże Światła – szepnęła Crysania, spuszczać głowę. Łzy iskrzyły się jak gwiazdy na jej bladej twarzy. – Okażę się ciebie godna!

Przyglądając się jej, urzeczony jej pięknem Raistlin zapomniał o swym wielkim celu. Zauroczone nie mógł oderwać od niej oczu. Nawet myśli o magii – na jedno uderzenie serca – rozwiały się.

Potem ogarnęło go uniesienie. Nic! Nic już nie mogło go powstrzymać...

– Och, Caramonie! – szepnął zdjęty trwogą Tasslehoff.

– Spóźniliśmy się – rzekł Caramon.

Dotarłszy do lochów położonych na najniższym poziomie magicznej twierdzy, stanęli nagle jak wryci – na widok Crysanii. Otoczona aureolą srebrnego światła, stała pośrodku portalu z rozłożonymi rękoma i twarzą wzniesioną ku niebiosom. Jej nieziemskie piękno chwyciło Caramona za serce.

– Za późno? Nie! – krzyknął zbolalym tonem Tas.

– To niemożliwe!

– Spójrz, Tas – stwierdził ze smutkiem Caramon. Spójrz na jej oczy. Ona jest ślepa! Ślepa! Zupełnie jak ja w Wieży Najwyższej Magii. Nic nie widzi przez tę jasność...

– Musimy spróbować porozmawiać z nią, Caramonie!

– Tas szarpał go rozpaczliwie. – Nie możemy pozwolić jej odejść. To... to moja wina! To ja powiedziałem jej o Bupu! Może nie poszłaby, gdyby nie ja! Porozmawiam z nią!

Kender skoczył naprzód, wymachując rękoma. Jednakże został gwałtownie odciągnięty do tyłu przez Caramona, który złapał go za kitkę włosów. Tas pisnął z bólu i – na ten dźwięk – Raistlin się odwrócił.

Przez chwilę arcymag patrzył na swego bliźniaka i kendera, jakby ich nie poznawał. Potem w jego oczach pojawiła się świadomość, że ich zna. Nie było to przyjemne.

– Sza, Tas – szepnął Caramon. – To nie twoja wina. Nie ruszaj się teraz z miejsca! – Caramon wepchnął kendera za gruby, granitowy filar. – Siedz tu! – rozkazał ogromny mężczyzna. – Pilnuj wisiora... i siebie.

Tas otworzył usta, by zaprotestować. Potem zobaczył twarz Caramona, a spojrzawszy w głąb korytarza, ujrzał Raistlina. Coś naszło kendera. Poczuł się jak wtedy w Otchłani, żaloszny i przerażony. – Tak, Caramonie – powiedział cicho. – Zostanę tutaj. Obiecuję...

Opierając się o filar i dygocąc, Tas widział w wyobraźni biednego Gnimsha leżącego bezwładnie na podłodze celi.

Rzuciwszy kenderowi ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, Caramon odwrócił się i pokuśtykał w głąb korytarza do miejsca, gdzie stał brat.

Ściskając laskę Magiusa w dłoni, Raistlin obserwował go podejrzliwie. – Więc przeżyłeś – skomentował.

– Dzięki bogom, nie tobie – odparł Caramon.

– Dzięki jednemu bóstwu, mój drogi bracie – oświadczył Raistlin z lekkim, wykrzywionym uśmiechem. – Królowej Ciemności. Przysłała tu z powrotem kendera i to ona, jak przypuszczam, zmieniła bieg czasu, zezwalając na oszczędzenie twego życia. Czy nie drażni cię, Caramonie, świadomość, iż winien jesteś swe życie Królowej Ciemności?

– Czy nie drażni cię świadomość, że winien jesteś jej swą duszę?

Oczy Raistlina rozbłysnęły, a ich zwierciadlana powierzchnia popękała na ułamek sekundy. Potem mag odwrócił się ze zgryźliwym uśmiechem. Stanąwszy naprzeciwko portalu, uniósł prawą rękę i trzymał ją dłonią na zewnątrz, patrząc na smoczy łeb tkwiący w dolnej prawej części owalnego wejścia.

– Czarny Smoku. – Jego głos stał się miękki i pieszczotliwy. – Z ciemności w ciemność. Mój głos brzmi echem w pustce.

Gdy Raistlin wypowiedział te słowa, wokół Crysanii zaczęła się tworzyć aureola mroku, aureola światła tak czarnego, jak klejnot nocy, czarnego jak blask ciemnego księżycy...

Raistlin poczuł dłoń Caramona zaciskającą się na jego ramieniu. Usiłował zrzucić ją w złości, lecz uścisk Caramona był mocny.

– Zabierz nas do domu, Raistlinie...

Raistlin odwrócił się i spojrział, zapomniawszy ze zdumienia o gniewie. – Co takiego? – Głos mu się załamał.

– Zabierz nas do domu – powtórzył spokojnie Caramon.

Raistlin roześmiał się pogardliwie.

– Jesteś takim słabym, użalającym się nad sobą głupkiem, Caramonie! – warknął. Z irytacją spróbował wyrwać się z uścisku bliźniaka. Równie dobrze mógł próbować wyrwać się śmierci. – Z pewnością już wiesz, co uczyniłem! Kender musiał ci powiedzieć o gnomie. Wiesz, że cię zdradziłem. Zostawiłbym cię na pastwę losu w tym przeklętym miejscu. A ty nadal się mnie trzymasz!

– Trzymam się ciebie, toń bowiem zamyka ci się nad głową, Raistlinie – powiedział Caramon.

Jego spojrzenie powędrowało ku jego własnej, silnej, opalonej dłoni, która ścisnęła chudy nadgarstek brata o kościach delikatnych jak kości ptaka i białej, niemal przezroczystej skórze. Caramonowi wydawało się, że dostrzega krew pulsującą w błękitnych żyłach.

– Moja dłoń jest na twym ramieniu. Tylko tyle mamy. – Caramon przerwał i zrobił głęboki wdech. Potem ciągnął dalej głosem pełnym smutku. – Nic nie może wymazać tego, co uczyniłeś, Raist. Nigdy już nie będzie tak samo między nami. Otworzyły mi się oczy. Teraz widzę, kim jesteś.

– A jednak wciąż błagasz mnie, bym z tobą wrócił! M– rzucił szyderczo Raistlin.

– Mógłbym nauczyć się żyć ze świadomością, kim jesteś i co zrobiłeś. – Patrząc uważnie bratu w oczy, Caramon rzekł cicho: – Ale ty musisz żyć ze sobą, Raistlinie. A są takie chwile w nocy, gdy musi to być straszliwie bliskie niemożliwości.

Raistlin nie zareagował. Jego oblicze było nieprzeniknioną maską, z której nic nie można było wyczytać.

Caramon przełknął ślinę czując, że zachrypl. Zaciśnął jeszcze mocniej rękę na ramieniu bliźniaka. – Pomyśl jednak o tym, Raistlinie. Postępowałeś w swym życiu dobrze, może nawet lepiej niż większość z nas. Och, ja też pomagałem ludziom. Łatwo jest pomagać komuś, kiedy ta pomoc zostanie doceniona. Jednakże ty pomagałeś tym, którzy jej nie chcieli. Pomagałeś tym, którzy na to nie zasługiwali. Pomagałeś nawet wtedy, gdy wiedziałeś, że to sprawa beznadziejna i niewdzięczna. – Caramonowi drżała ręka. Mógłbyś zrobić jeszcze tyle dobrego... żeby wynagrodzić to zło. Porzuć to. Wróć do domu.

Wróć do domu... wróć do domu...

Raistlin zamknął oczy. Ból w sercu był już prawie nie do wytrzymania. Jego lewa ręka drgnęła, uniosła się. Jej delikatne palce zawisły w pobliżu dłoni brata, muskając ją na mgnienie oka dotykiem tak miękkim, jak odnóża pająka. Słyszał na obrzeżach rzeczywistości cichy głos Crysanii, która modliła się do Paladine'a. Cudne, białe światło migotało mu na powiekach.

Wróć do domu...

Kiedy Raistlin znów się odezwał, jego głos był równie miękki, co jego dotyk.

– Mrocznych zbrodni, które plamą mą duszę, bracie, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Gdybyś je znał, odwróciłbyś się ode mnie ze zgrozą i nienawiścią. – Westchnął, wzdygając się lekko. – Nie myliłeś się. Czasami w nocy nawet ja odwracam się od siebie. – Podniósłszy powieki, Raistlin utkwiał spojrzenie w oczach brata. – Wiedz jednakże o jednym, Caramonie, popełniłem te zbrodnie celowo, chętnie. Dowiedz się również o tym: przede mną są jeszcze czarniejsze zbrodnie i je także popełnię celowo, chętnie... – Jego spojrzenie powędrowało ku Crysanii, która nieświadoma niczego stała w portalu, pogrążona w modlitwie, jaśniejąca pięknem i mocą.

Caramon spojrział na nią i twarz mu spochmurniała.

Raistlin, przyglądając się temu, uśmiechnął się. – Tak, mój bracie. Ona wejdzie ze mną do Otchłani. Będzie iść przede mną i toczyć za mnie boje. Czekają na nią kapłani ciemności, czarnoksiężnicy, duchy zmarłych skazanych na wędrowanie po tej przeklętej krainie, a także niewyobrażalne katusze, jakie potrafi wymyślić moja Królowa. Wszystko to porani jej ciało, pożre jej umysł i rozszarpie duszę. Wreszcie kiedy nie będzie już mogła tego znieść, padnie na ziemię u mych stóp... brocząca krwią, żalosna, konająca.

Ostatkiem sił wyciągnie do mnie rękę po pociechę. Nie poprosi mnie, bym ją ratował. Na to jest zbyt silna. Odda swe życie za mnie chętnie i z radością. Jedyne, o co mnie poprosi, to o to, bym został przy niej aż do śmierci.

Raistlin zrobił głęboki wdech, a potem wzruszył ramionami. – Ale ja wyminę ją, Caramonie. Przejdę obok niej, nawet na nią nie spojrzawszy, bez słowa. Dlaczego? Bo nie będę już jej potrzebował. Pójdę dalej ku memu celowi, a moja siła będzie wzrastała wraz z upływem krwi tryskającej z jej przebitego serca.

Na wpół odwróciwszy się, ponownie uniósł rękę dłonią na zewnątrz. Patrząc na łeb smoka osadzony na szczycie portalu, cicho wymówił drugie zaklęcie: Biały Smoku. Z tego świata ku następnemu. Mój głos krzyczy życiem.

Caramon patrzył na portal, na Crysanię, a jego umysł był ogarnięty zgrozą i wstrętem. Niemniej jednak nie wypuszczał z uścisku brata. Wciąż chciał zanieść ostatnią prośbę. Wtedy poczuł, jak chude ramię pod jego dłonią gwałtownie się obraca. Błysk, szybki ruch i lśniące ostrze srebrnego sztyletu zostało przytknięte do jego gardła, tuż w miejscu, gdzie na szyi pulsuje arteria.

– Puść mnie, mój bracie – rzekł Raistlin.

Choć nie dźgnął sztyletem, i tak połała się krew. Krew połała się nie z ciała, lecz z duszy. Szybko i czysto ostrze przecięło ostatnią duchową więź między bliźniakami. Caramon skrzywił się lekko z powodu raptownego, ostrego bólu serca. Ból jednak nie trwał długo. Wiąz została

zerwana. Wolny wreszcie Caramon wypuścił ramię bliźniaka bez słowa.

Odwróciwszy się chciał już pokuśtykać do Tasa, który czekał wciąż schowany za słupem.

– Ostatnia ostrzegawcza wskazówka, mój bracie – powiedział zimno Raistlin, chowając sztylet z powrotem do pochwy, którą nosił na nadgarstku.

Caramon nie odpowiedział, nie zatrzymał się, ani też nie odwrócił.

– Strzeż się tej magicznej maszyny czasu – ciągnął Raistlin szyderczym tonem. – Naprawił ją Jej Mroczny Majestat. To ona odesłała kendera. Jeśli jej użyjecie, możecie znaleźć się w bardzo nieprzyjemnym miejscu!

– Och, ale to nie ona ją naprawiła! – krzyknął Tas, wyskakując zza słupa. – To Gnimsh! Gnimsh ją naprawił! Gnimsh, mój przyjaciel. Ten gnom, którego zamordowałeś!

Ja...

– Użyj jej więc – stwierdził chłodno Raistlin. Zabierz go stąd i siebie też, Caramonie. Pamiętaj jednak, że cię ostrzegałem.

Caramon złapał rozgniewanego kendera. – Spokojnie, Tas. Dość tego. To już nieważne.

Odwracając się, Caramon stanął naprzeciw swego bliźniaka. Choć twarz wojownika była pobrużdżona cierpieniem i zmęczeniem, promieniował z niej spokój i harmonia kogoś, kto wreszcie poznał siebie samego. Głaszcząc uspokajająco Tasa po kitce włosów, powiedział: – Chodźmy, Tas. Wracajmy do domu. Żegnaj, mój bracie.

Raistlin już tego nie usłyszał. Stojąc twarzą do portalu, znów był pochłonięty swą magią. Jednakże w trakcie rozpoczynania trzeciego zaklęcia zobaczył kątem oka, że jego bliźniaczy brat bierze wisior od Tasa i zaczyna manipulacje, które doprowadzą do zmiany jego kształtu z wisiora w magiczne urządzenie do podróży w czasie.

Niech sobie idą. Baba z wozu, koniom lżej!, pomyślał Raistlin. Wreszcie uwolniłem się od tego olbrzymiego, niezdarnego idioty!

Oglądając się na portal, Raistlin uśmiechnął się. Crysanię otaczał krąg zimnego światła podobny do ostrego odbłasku słońca na śniegu. Prośba arcymaga do Białego Smoka została wysłuchana.

Wznosząc rękę i zwracając się do trzeciego smoczego łba znajdującego się w dolnej lewej części portalu, Raistlin wyrecytował zaklęcie: Czerwony Smoku. Z ciemności w ciemność krzyczę. Pod moimi stopami wszystko się utwardza.

Czerwone linie wystrzeliły z ciała Crysanii poprzez białe światło, przez czarną aureolę. Czerwone i płonące niczym krew, spinały przepaść między Raistlinem a portalem tworzyły most do zaświatów.

Raistlin podniósł głos. Obróciwszy się w prawo, zawołał do czwartego smoka: Niebieski Smoku. Czasie, który płyniesz! Zatrzymaj się w swym biegu.

Błękitne smugi światła spowiły Crysanię, a potem zaczęły się kłębić. Kobieta odchyliła

głowę do tyłu i wyciągnęła ręce, jakby unosiła się w wodzie. Jej szaty powiewały wokół niej w wirujących rozbłyskach światła, jej czarne włosy pływały, niesione prądem czasu.

Raistlin poczuł drżenie portalu. Magiczne pole zaczynało się uruchamiać i reagować na jego polecenia! Jego dusza zadrżała z radości, którą dzieliła również Crysania. Jej oczy błyszczały od łez zachwytu, jej wargi rozchyliły się w słodkim westchnieniu. Rozłożyła ręce i pod jej dotykiem portal się otworzył!

Raistlinowi oddech uwiązał w gardle. Impuls mocy i ekstazy, jaka przeniknęła jego ciało, omal go nie zadusił. Teraz już widział, co jest po drugiej stronie portalu. Widział przebłycki płaszczyzny zaświatów, płaszczyzny zakazanej śmiertelnikom.

Skądś dobiegł go ledwo słyszalny głos jego brata uruchamiającego magiczne urządzenie: – Twój czas należy do ciebie, choć podróżujesz przezeń... Chwyć mocno koniec i początek... przeznaczenie będzie nad twą głową...

Dom. Wróć do domu...

Raistlin zaczął piąte zaklęcie: Zielony Smoku. Albowiem przez los nawet bogowie bywają zmiecenii! Płaczcie wszyscy ze mną.

Raistlin zachrypiał i zająknął się. Działo się coś złego! Magia, którą tętnił jego organizm, stała się powolna, ospała. Wystękał ostatnie kilka słów, lecz każdy oddech wymagał wysiłku. Serce przestało mu bić na chwilę, by następnie znów ruszyć wielkim skokiem, który wstrząsnął jego wątłym ciałem.

Zaszokowany i zбитy z tropu Raistlin popatrzył rozpaczliwie na portal. Czy ostatnie zaklęcie podziałało? Nie! Światło wokół Crysanii zaczynało gasnąć. Pole zmieniało się!

Raistlin rozpaczliwie wykrzyczał jeszcze raz słowa zaklęcia. Głos mu jednakże załamał się i trzasnął go jak naprężony bicz, zadając szczypiący ból. Co się dzieje? Czuł, jak magia wyslizguje mu się z rąk. Tracił panowanie...

Wróć do domu...

Głos jego Królowej, roześmiany, drwiący. Głos brata, błagalny, przepełniony smutkiem... A potem inny głos piskliwy głos kendera – słyszalny jedynie częściowo, zagubiony w nawale ważniejszych spraw. Teraz przemknął mu przez głowę z olśniewającą jasnością.

Gnimsh je naprawił... Gnom, mój przyjaciel...

Tak jak klinga krasnoluda zagłębiła się w drżące ciało Raistlina, tak teraz przypomniane słowa Kronik Astinusa przeszły jego duszę: W tej samej chwili gnom będący w niewoli u krasnoludów z Thorbardinu uruchomił urządzenie do podróży w czasie... Działanie maszyny gнома w jakiś sposób splotło się z delikatnymi i potężnymi zaklęciami, jakie rzucał Fistantilus. Nastąpił wybuch o takiej sile, że równiny Dergoth zostały całkowicie spustoszone...

Raistlin zacisnął z gniewu pięści. Zabicie gнома okazało się bezskuteczne! Ta nieszczęsna

kreatura pomajstrowała przy urządzeniu przed swoją śmiercią. Historia się powtórzy! Siady na piasku...

Spoglądając na portal, Raistlin ujrzał wychodzącego zeń kata. Zobaczył swą własną dłoń unoszącą swój własny czarny kaptur, widział błysk spadającego topora spuszczanego własnymi rękoma na własny kark!

Magiczne pole zaczęło się gwałtownie zmieniać. Smocze głowy otaczające portal wrzasnęły triumfalnie. Spazm cierpienia i trwogi wykrzywił oblicze Crysanii. Kiedy Raistlin spojrzął jej w oczy, zobaczył w nich ten sam wyraz, jaki miały oczy jego matki spoglądającej niewidzącym wzrokiem na odległą płaszczyznę.

Wróć do domu...

Wewnątrz samego portalu wirujące światełka zaczęły kręcić się jak opętane. Wyrwawszy się spod kontroli, otoczyły bezwładne ciało kapłanki, tak jak zaczarowane płomienie strzeliły wokół niej w zadżumionym miasteczku. Crysania krzyknęła z bólu. Jej ciało zaczęło więdnąć w przepięknym, zabójczym ogniu nieopanowanej magii.

Na wpół oślepienemu jasnością Raistlinowi łyzy pociekły z oczu, gdy spróbował zajrzeć w głąb obracającego się wiru. Wtedy zobaczył, jak portal się zamyka.

Raistlin cisnął magiczną laskę na ziemię i wpadł w furję. Rozległ się gorzki, bezsensowny wrzask wściekłości.

Z wnętrza portalu odpowiedział perlisty, drwiący śmiech.

Wróć do domu...

Raistlina ogarnęło poczucie spokoju – zimne opanowanie wywołane rozpaczą. Poniósł klęskę, ale Ona nigdy nie zobaczy jego upodlenia. Jeśli musi umrzeć, zginie spowity swą magią...

Podniósł głowę. Wstał. Używając wszystkich swym niezmiernych mocy – mocy starożytnych, własnych mocy, mocy, o których istnieniu nie miał nawet pojęcia, mocy, które wypływały z jakiegoś zakamarka mrocznego i ukrytego nawet przed nim samym – Raistlin wznosił ręce i znów wykrzyknął wniebogłosy. Tym razem jednakże nie był to niezrozumiały krzyk sfrustrowanej bezsilności. Tym razem słowa były wyraźne. Tym razem wykrzyczał słowa rozkazu – słowa rozkazu, jakich nigdy przedtem nie wypowiedziano na tym świecie.

Tym razem jego słowa zostały usłyszane i zrozumiane.

Pole wytrzymało. On je utrzymał! Czuł, jak je trzyma. Na jego polecenie portal zadrżał i przestał się zamykać.

Raistlin zaczerpnął powietrza. Wtedy kątem oka dostrzegł gdzieś z prawej strony błysk. Magiczne urządzenie do podróży w czasie zostało uruchomione!

pole zafalowało jak szalone. Kiedy magia urządzenia rozrosła się i rozprzestrzeniła, jego potężne wibracje sprawiły, że skały fortecy zaczęły śpiewać. Ich pieśni nakryły Raistlina niszczycielską falą. W odpowiedzi smoki wrzasnęły z gniewu. Nie znające starości głosy skał

i nie znające czasu głosy smoków walczyły ze sobą, popłynęły razem i wreszcie połączyły się w chrapliwą, rozrywającą umysł kakofonię.

Od tego ogłuszającego dźwięku pękały bębni. Siła dwóch potężnych zaklęć sprawiła, że ziemia się rozstała. Grunt pod stopami Raistlina zadrżał. Śpiewające skały popękały, metaliczne głowy smoków potrzaskały się...

Sam portal zaczął się rozsypywać.

Raistlin padł na kolana. Magiczne pole pękało jak kości samego świata. Załamywało się i rozpadało, a ponieważ Raistlin wciąż je przytrzymywał, zaczynało rozrywać również jego.

Ból przeszył mu głowę. Szarpały go drgawki. Wił się w mękach.

Miał przed sobą straszliwy wybór. Jeśli puści, upadnie, padnie ofiarą swego przeznaczenia i wpadnie w nicość, w porównaniu z którą najohydniejsza ciemność byłaby lepsza. Z drugiej strony wiedział, że jeśli nie puści, zostanie rozdarty na strzępy przez siły magii, którą wytworzył i nad którą nie był w stanie już zapanować.

Mięśnie odrywały się od jego kości, wiązadła strzępiły się, ścięgna pękały.

– Caramonie! – jęknął Raistlin, ale Caramon i Tas już znikli. Magiczne urządzenie naprawione przez gnoma, którego wynalazki działały, rzeczywiście zadziało. Odeszli. Znikąd pomocy.

Raistlin miał jeszcze tylko sekundy życia i chwilę na działanie. Jednakże cierpiał tak straszliwe męczarnie, że nie mógł myśleć.

Kończyny wyskakiwały mu ze stawów, gałki oczne wychodziły z orbit, serce wyrывało się z ciała, mózg wypływał z czaszki.

Słyszał swoje wrzaski i wiedział, że to krzyk agonii. Mimo to dalej walczył, tak jak walczył przez całe swe życie.

Odzyskam... panowanie...

Słowa wydostawały się z jego ust. Raistlin broczył krwią...

Odzyskam panowanie...

Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na lasce Magiusa.

Odzyskam!

A potem już pędził naprzód w oślepiającą, wirującą, załamującą się falę wielobarwnych światła...

Wróć do domu... wróć do domu...